

Herman Melville

**MOBY DICK**  
**CZYLI BIAŁY WIELORYB**

**1 tom**

## ROZDZIAŁ I

### MIRAŻE

Imię moje: Izmael. Przed kilku laty – mniejsza o ścisłość jak dawno temu – mając niewiele czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że poześlę nieco po morzach i obejrzę wodną część świata. Taki mam właśnie sposób odpędzania splinu i regulowania krwiobiegu. Gdy tylko stwierdzę, że usta wykrzywają mi się ponuro, gdy tylko do duszy mej zawita wilgotny, dżdżysty listopad, gdy złapię się na tym, że mimowolnie przystaję przed składami trumien albo podążam za każdym napotkanym pogrzebem, a w szczególności, gdy moja hipochondria tak mnie opanuje, iż potrzeba mi silnych zasad moralnych, by się powstrzymać od rozmyślnego wyjścia na ulicę i metodycznego strącania ludziom z głów kapeluszy – wtedy uznaję, że już wielki czas udać się na morze jak najrychlej. To jest moja namiastka pistoletu i kuli. Katon z filozoficzną oracją rzuca się na ostrze swego miecza; ja spokojnie siadam na okręt. Nie ma w tym nic zdumiewającego. Gdyby tylko zdawano sobie z tego sprawę, okazałoby się, że niemal wszyscy ludzie, każdy na swój sposób, w takiej czy innej chwili, żywią wobec oceanu niemal te same co ja uczucia.

Oto macie wyspiarski gród manhattańczyków, opasany przystaniami, jak indyjskie wyspy rafami koralowymi. Otaczają go zewsząd spienione nurty handlu. Z prawej i lewej strony ulice wiodą was ku wodzie. Najdalszym skrajem miasta jest plac Battery, kędy wspaniałe moło obmywają fale i chłodzą bryzy, które jeszcze kilka godzin temu nie widziały lądu. Spójrzcie na tłumy wpatrzony tam w wodę.

Powędrujcie wokół miasta w zadumane niedzielne popołudnie. Przejdźcie od Corlears Hook do Coenties Slip, a stamtąd przez Whitehall ku północy. Cóż ujrzyjecie? Rozstawieni wokoło całego miasta jak milczące szyldwachy, tkwią tysiącami i tysiącami śmiertelnicy zatopieni w oceanicznych marzeniach. Jedni wsparli się o pale, drudzy zasiedli na skrajach pomostów, ci wyglądają przez burty statków przybyłych z Chin, inni wdrapali się wysoko na olinowanie, jak gdyby usiłując zyskać jeszcze lepszy widok na morze. Ale przecie to wszystko ludzie lądu, w powszedni dzień uwięzieni wśród desek i tynku – przywiązani do kontuarów, przygwożdżeni do ław, przytwierdzeni do biurka. Jakże więc to się dzieje? Czyżby zniknęły łany zielone? Co oni tu robią?

Lecz patrzcie! Oto napływają nowe tłumy, zmierzając wprost ku wodzie, najwyraźniej gotując się do nurkowania. Dziwne! Nie zadowolili ich nic prócz najdalszego skraju lądu. Nie wystarczy im wałęsanie się w cienistym zaciszu magazynów. Nie. Muszą przedostać się tak blisko wody, jak to tylko możliwe bez wpadnięcia do niej. I tam oto stoją – milami całymi, długimi milami. Wszystko to ludzie lądu; przybywają z uliczek i zaułków, ulic i alej – z północy, wschodu, południa i zachodu. A przecie tu jednoczą się wszyscy. Powiedzcie mi, czyżby przyciągała ich tutaj magnetyczna siła iglic kompasów wszystkich tych okrętów?

Albo znowu: jesteście, powiedzmy, na wsi, w jakiejś wyżynnej krainie jezior. Pójdźcie którąkolwiek ścieżką, jaka wam się spodoba, a stawiam dziesięć przeciw jednemu, że

zaprowadzi was ona w dolinę i pozostawi nad utworzonym przez strumień jeziorkiem. Są w tym jakieś czary. Pozwólcie najbardziej roztargnionemu z ludzi pograć się w głębokiej zadumie – postawcie go na nogi, wprawcie jego stopy w ruch, a niechybnie zaprowadzi was do wody, jeśli w tej okolicy wodę znaleźć można. Gdybyście kiedykolwiek cierpieli z pragnienia na wielkiej amerykańskiej pustyni, popróbcie tego eksperymentu, o ile tak się zdarzy, że karawana wasza wyposażona będzie w wyznawcę metafizyki. Tak, wszystkim to wiadomo, że medytacja i woda poślubione są sobie na zawsze.

A oto artysta. Pragnie on namalować wam najbardziej rozmarzony, najbardziej cienisty, najspokojniejszy i najczarowniejszy pejzaż romantyczny w całej dolinie Saco. Cóż będzie głównym elementem tego dzieła? Tu stoją drzewa, każde o pniu wydrążonym, jak gdyby wewnątrz siedział pustelnik z krucyfiksem; tam drzemie łąka, ówdzie śpi bydło, a z tamtej chaty wznosi się sennie dym. W głąb odległych borów wije się kręta ścieżyna zmierzając w stronę spiętrzonych ostróg szczytów skalnych o zboczach skąpanych w modrości. Lecz choć widzimy obraz tak urzekający,

choć drzewo otrząsa na głowę pasterza swe westchnienia jak liście, wszystko to byłoby daremne, gdyby jego oczy nie były utkwione w czarodziejski strumień, który ma przed sobą. Odwiedźcie w czerwcu prerie, gdzie dziesiątkami mil brodzi się po kolana wśród lilii – jakiegoż jedyne uroku tu brak? Wody – nie ma tu ani kropli wody! Gdyby Niagara była jedynie kataraktą piasku, czyż przebywalibyście tysiąc mil, by ją zobaczyć? Czemuż to ów ubogi poeta z Tennessee, otrzymawszy nagle dwie garście srebra, deliberował, czy kupić sobie płaszcz, tak srodze mu potrzebny, czy też obrócić te pieniądze na pieszą wędrówkę do Rockaway Beach? Dlaczego niemal każdy krzepki, zdrowy chłopak o krzepkiej i zdrowej duszy prędzej czy później dostaje bzika, żeby wyruszyć na morze? Z jakiejże to przyczyny wy sami, w czasie waszej pierwszej morskiej podróży, odczuliście tak tajemnicze drżenie, gdy oznajmiono wam po raz pierwszy, że wy i okręt wasz straciliście już ląd z oczu? Czemuż to starożytni Persowie uważali morze za świętość? Czemu Grecy przydali mu osobne bóstwo i to brata samego Jowisza? To wszystko z pewnością nie jest pozbawione znaczenia. A głębsze jeszcze znaczenie ma historia Narcyza, który nie mogąc pochwycić dręczącego, zwiewnego obrazu, dostrzeżonego w źródle, skoczył w nie i utonął. Ale my sami widzimy tenże obraz we wszystkich rzekach i oceanach. Jest to obraz nieuchwytnego zwidu życia – i to jest klucz do wszystkiego.

Kiedy jednakże powiadam, że mam zwyczaj wyruszać na morze, gdy tylko oczy ćmić mi się zaczną, a płuca ciężać – nie należy stąd wnioskować, że kiedykolwiek udaję się na taką wyprawę jako pasażer. Albowiem na to, aby być pasażerem, potrzeba koniecznie sakiewki, a sakiewka jest tylko łachmanem, jeżeli nic się w niej nie posiada. Prócz tego pasażerowie cierpią na morską chorobę, stają się swarliwi, nie śpią po nocach – na ogół nie spędzają czasu zbyt przyjemnie. Nie – nie pływam nigdy jako pasażer ani też, mimo że jestem po trosze człowiekiem morza, nie wyruszam nigdy na nie jako komodor czy jako kapitan, czy jako kucharz. Pozostawiam chwałę i znakomitość takich stanowisk tym, którzy to lubią. Jeżeli o mnie idzie, mam odrazę do wszelkich zaszczytnych i szacownych trudów, znojów i udręczeń jakiegokolwiek rodzaju.

Wszystko, na co się zdobyć mogę, to dbałość o samego siebie, bez dogładania okrętów, bark, brygów, szkunerów i czego tam jeszcze. Co zaś się tyczy wyruszenia w charakterze kucharza – acz przyznaję, iż znaczna jest w tym chwała, jako że kucharz to na pokładzie statku ktoś w rodzaju oficera – jednak nigdy nie odczuwałem upodobania do przypiekania drobiu; choć gdy jest on już upieczony, należycie omaszczony, roztropnie osolony i posypany pieprzem, nie znajdzie się nikt, kto by wyrażał się o nim z większym ode mnie respektem, a nawet rewefencją. Toć właśnie dzięki .bałwochwalczemu uwielbieniu, jakie żywili starożytni Egipcjanie dla pieczonego ibisa i smażonego hipopotama, oglądacie mumie tych stworzeń w owych olbrzymich piekarniach – piramidach.

Nie, kiedy wyruszam na morze, to tylko jako prosty majtek, którego miejsce jest na dziobie okrętu, pod pokładem for kasztelu albo też wysoko w górze, na szczycie stengi masztowej. Co prawda, posyłają mnie to tu, to tam, każą skakać z rei na reję jak konikowi polnemu po majowej łące i zrazu rzeczy tego rodzaju są dosyć nieprzyjemne. Obraża to poczucie naszej godności, zwłaszcza jeśli się pochodzi z rodu z dawna osiadłego w kraju, jak Van Rensselaerowie, Randolphowie czy też Hardicanute'owie. A już szczególnie jeżeli przed zabraniem się do morskiego rzemiosła sprawowało się rządy w charakterze wiejskiego nauczyciela, przed którym drżały najroślejsze chłopaki. Zapewniam was, że przeskok z nauczyciela na majtka jest gwałtowny i wymaga silnej mieszanki Seneki i stoików, by móc znosić wszystko z uśmiechem. Ale nawet to uczucie przytępia się z czasem.

Cóż stąd, że jakiś stary kutwa, szyper, rozkaże mi wziąć się za miotłę i zamieść pokłady? Cóż znaczy podobna zniewaga, jeśli się ją, powiedzmy, odważy na szali Nowego Testamentu? Czyż sądzicie, że archanioł Gabriel będzie miał o mnie gorsze mniema-' nie dlatego, że pośpiesznie i z uszanowaniem usłucham owego starego kutwy w tym właśnie przypadku? A któż nie jest. niewolnikiem? Powiedzcie tylko. Zatem więc, jakkolwiekby się starzy szyprowie mną wysługiwali, jakkolwiekby mnie szturchali i potracali, znajduję satysfakcję w świadomości, że jest to zupełnie w porządku, że każdy w ten czy ów sposób służył w bardzo podobnych warunkach – to znaczy albo z punktu widzenia fizycznego, albo metafizycznego; tak więc owym powszechnym szturchańcem obdzielani są wszyscy, przeto każdy winien klepnąć drugiego po plecach i być zadowolonym.

Zawsze, powtarzam, wyruszam na morze jako marynarz, uparto się bowiem, żeby mi płacić za mój trud, podczas gdy – o ile słyszałem – pasażerom nigdy nie płaci się ani szeląga. Wprost przeciwnie, właśnie pasażerowie muszą płacić. Istnieje zaś olbrzymia różnica między płaceniem a otrzymywaniem zapłaty. Akt płacenia jest może najdotkliwszym dopustem, jaki na nas ściągnęło owych dwoje złodziei z rajskiego ogrodu. Ale być opłacanym – cóż się może temu równać? Wytworna gorliwość, z jaką człowiek przyjmuje pieniądze, jest doprawdy zdumiewająca, zważywszy, iż tak żarliwie wierzymy, że pieniądze są źródłem wszelkiego doczesnego zła i że bogacz żadną miarą nie może dostać się do nieba. Ach, jakże ochoczo skazujemy się sami na potępienie!

I wreszcie wyruszam na morze zawsze jako majtek z uwagi na zbawienny dla zdrowia ruch i czyste powietrze na pokładzie forkasztelu. A ponieważ na tym świecie

wiatry wiejące od przodu znacznie przeważają nad wiatrami od rufy (to znaczy, o ile się nigdy nie pogwałci zasady pitagorejskiej), zatem w większości wypadków płuca komodora stojącego na mostku kapitańskim otrzymują powietrze z drugiej ręki – od majtków na forkaasztelu. Jemu się zdaje, że pierwszy nim oddycha; tak jednakże nie jest. W bardzo podobny sposób pospólstwo kieruje swymi przywódcami w wielu innych sprawach i to wtedy właśnie, gdy ci przywódcy bynajmniej tego nie podejrzewają. Ale jaka była po temu przyczyna, że wielokrotnie już pokosztowawszy morza jako marynarz na statku handlowym, teraz właśnie nabiłem sobie głowę, żeby wyruszyć na wyprawę wielorybniczą – na to lepiej, niż ktokolwiek inny, odpowiedzieć może ów niewidzialny policjant Losu, który sprawuje nade mną stały nadzór, potajemnie mnie śledzi i wpływa na mnie w jakiś sposób niepojęty. I bez wątpienia moje wyruszenie na tę wyprawę stanowiło część owego wielkiego programu Opatrzności, który został nakreślony już dawno temu. Przyszło to jako coś w rodzaju krótkiego *interludium* i solo między bardziej doniosłymi występami. Przypuszczani, że ta część programu musiała wyglądać mniej więcej tak:

*Wielka Walka Wyborcza o Fotel Prezydenta Stanów Zjednoczonych Wyprawa wielorybnicza niejakiego Izmaela Krwawa bitwa w Afganistanie*

Choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, że owi reżyserowie, Losy, przeznaczali mi tę lichą rolę w wyprawie wielorybniczej, podczas gdy inni otrzymują wspaniałe role w wykwinnych komediach lub też wesole role w farsach – choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, przecie teraz, kiedy wspominam wszystkie okoliczności, sądzę, że przejrzałem po trosze sprężyny i pobudki, które, przebiegłe mi podsunięte pod różnymi postaciami, nie tylko skłoniły mnie do odegrania tej roli, ale jeszcze wypieściły we mnie złudzenie, że wynikło to z mojej własnej nieprzymuszonej woli i bystrego rozeznania.

Główną z tych pobudek była przemożna myśl o samym olbrzymim wielorybie. Tak złowieszczy i tajemniczy potwór pobudził całą moją ciekawość. Następnie owe dzikie i dalekie morza, w których przetaczał on swe cielsko wyspie podobne; nieopisane, nienazwane niebezpieczeństwa, jakimi zagrażał, one to właśnie wraz ze wszystkimi towarzyszącymi im cudami tysiąca patagońskich widoków i odgłosów przyczyniły się do tego, żem uległ swojemu pragnieniu. Może dla innych ludzi rzeczy tego rodzaju nie stanowiłyby zachęty, ale jeśli o mnie idzie, to trapiiony jestem wiecznotrwałą tęsknotą za tym, co dalekie. Lubię żeglować po zakazanych morzach i lądować u dzikich wybrzeży. Nie lekceważąc sobie tego, co dobre, umiem szybko dostrzec wszelką okropność, a jednak współżyć z nią – jeśli mi tylko na to pozwolą – jako że dobrze jest być na przyjaznej stopie ze wszystkimi mieszkańcami miejsca, w którym się przebywa.

Z tych to powodów cieszyłem się na wyprawę wielorybniczą; olbrzymie śluzę świata cudów rozwarły się przede mną, a pośród fantastycznych wyobrażeń, które skłoniły mnie do powzięcia tego zamiaru, dwa, właśnie dwa zapadły mi w głąb duszy: nieskończone zastępy wielorybów, a w samym ich środku jedno ogromne, zakapturzone widmo, podobne do śnieżnej góry wznoszącej się w powietrzu.

## ROZDZIAŁ II

### SAKWA PODRÓŻNA

Wsadziłem jedną czy dwie koszule do mej starej sakwy podróżnej, wetknąłem ją sobie pod pachę i ruszyłem w drogę na Przylądek Horn i Pacyfik. Opuściwszy pocztowy, stary Manhattan, przybyłem jak się należy do Nowego Bedfordu. Działo się to w sobotnią grudniową noc. Wielkiego doznałem zawodu, kiedy się dowiedziałem, że mały statek pocztowy odpłynął już do Nantucket i że nie nadarzy się żadna sposobność dotarcia do owego miejsca przed następnym poniedziałkiem.

Ponieważ większość młodych kandydatów do trudów i utrapień wielorybniczego żywota zatrzymuje się w tymże Nowym Bedfordzie, aby stąd wyruszyć w podróż morską, należy nadmienić, że ja przynajmniej nie miałem zamiaru tak postąpić. Postanowiłem bowiem nie wypływać na żadnym statku, który by nie pochodził z Nantucket; coś świętego i szumnego we wszystkim, co się wiązało z ową sławną, starą wyspą, pociągało mnie w zdumiewający sposób. Poza tym, mimo że Nowy Bedford w ostatnich czasach stopniowo zyskiwał wyłączność w rzemiośle wielorybniczym i mimo że w tej dziedzinie biedne, stare Nantucket pozostało już teraz mocno w tyle, było ono jednak niegdyś wielkim zaczątkiem Nowego Bedfordu – Tyrem tej Kartaginy – miejscem, w którym wyciągnięto na brzeg pierwszego ubitego amerykańskiego wieloryba. Skądże, jeśli nie z Nantucket, robili na swych czółnach pierwsze wypady w pogoni za Lewiatanem owi czerwonoskóry, 'tubylczy wielorybnicy? A skąd, jeśli nie również z Nantucket, wyruszyła ta pierwsza mała, awanturnicza łódź, częściowo załadowana sprowadzonymi tu z lądu kamieniami, przeznaczonymi – jak powiadają – do miotania w wieloryby, ażeby sprawdzić, czy są już dość blisko, by łowcy mogli zaryzykować cios harpunem z bukszprytu?

Ponieważ miałem przed sobą noc, dzień i jeszcze jedną noc w Nowym Bedfordzie, przed odpłynięciem do mego portu przeznaczenia, wynikło więc kłopotliwe zagadnienie, gdzie mam jeść i spać w tym czasie. Noc nie budziła ufności, była zaiste wielce ciemna i ponura, przejmująco zimna i posępna. W mieście nie znałem nikogo. Niespokojnymi pazurami wysondowałem własną kieszeń i dobyłem z niej ledwie kilka sztuk srebra. „A więc dokądkolwiek się udasz, Izmaelu – powiedziałem do siebie, stojąc tak w pośrodku posępnej ulicy z sakwą na barkach i porównując mrok w północnej stronie z ciemnościami od południa – gdziekolwiek w swej mądrości postanowisz spędzić noc, mój drogi Izmaelu, nie omieszkaj zapytać o cenę i nie bądź zbyt wybredny.”

Niepewnym krokiem przemierzyłem ulice i minąłem tawernę Pod Skrzyżowanymi Harpunami – wyglądała ona jednak na zbyt kosztowną i gwarną. Nieco dalej, z jasno gorejących okien oberży Pod Rybą-Mieczem padały tak palące promienie światła, iż wydawało się, że stopiły one lód i śnieg ubity przed domem, gdyż wszędzie poza tym omrożona gołoledź leżała grubo na dziesięć cali tworząc twarde jak asfalt chodnik – raczej dla mnie przykry, kiedy stopą natrafiłem na twarde, krzemieniste wyboje, z powodu bowiem ciężkiej, bezlitosnej służby podeszwy moich butów znajdowały się w

niezwykle opjakanym stanie. „Za drogo tu i zbyt gwaro” – pomyślałem *sobie* znowu, przystając na chwilę, by przypatrzeć się jaskrawemu blaskowi padającemu na ulicę i posłuchać brzęku szklanek wewnątrz domostwa. „Idźże dalej, słyszysz, Izmaelu? – powiedziałem sobie wreszcie. – Odejdź sprzed wrót; twoje łatane buty tarasują tu drogę”. Poszedłem więc dalej. Teraz już, instynktem wiedziony, ruszyłem ulicami, które prowadziły mnie w stronę wody, jako że tam niezawodnie znajdować się musiały najtańsze, jeśli nie najweselsze gospody.

Cóż za ponure ulice! Masywy czerni, nie domy, po obu stronach, a tu i ówdzie świeczka, iakby migocząca w grobowcu. O tej nocnej godzinie, w ostatnim dniu tygodnia, ta dzielnica miasta okazała się niemal opustoszała. Wkrótce jednak doszedłem do miejsca, gdzie przydymione światło dobywało się z niskiego, rozłożystego budynku, którego podwoje stały gościnnie otworem. Dom miał wygląd zaniedbany, jak gdyby był przeznaczony do publicznego użytku, wszedłem więc i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było potknięcie się o popielnik w przedsionku. „Ha – pomyślałem, gdy wzbite w górę lotne cząsteczki omal mnie nie udusiły – czyżby te popioły pochodziły z owego zniszczonego grodu, Gomory? A skoro już widziałem Skrzyżowane Harpuny i Rybę-Miecz, tu musi być chyba oberża Pod Pułapką”. Pozbierałem się jakoś i słysząc w środku donośny głos, ruszyłem dalej i otworzyłem drugie, wewnętrzne drzwi.

Wydało mi się, że to wielki Czarny Parlament obraduje w piekle. Sto czarnych oblicz obróciło się w rzędach ław, by popatrzeć; za nimi jakiś czarny Anioł Sądu przerzucał karty księgi leżącej na pulpicie. Był to murzyński kościół, a tekst odczytywany przez kaznodzieję mówił o czerni otchłani piekielnej, o płaczu, zawroźdzeniu i zgrzytaniu zębów, jakie się tam rozlega. „Ha, Izmaelu – mruknąłem do siebie wycofując się z powrotem – nędzne są rozrywki pod znakiem Pułapki!”

Ruszywszy dalej dotarłem wreszcie do wątego światła w pobliżu doków i usłyszałem rozlegające się w górze żałośliwe skrzywienie. Podniósłszy głowę zobaczyłem kołyszący się nad drzwiami szyld z białym malowidłem, niewyraźnie przedstawiającym wysoki prosty słup rozpylonych bryzgów wodnych, pod nim zaś takie słowa:

„Trumna? Wielorybnik? – To brzmi raczej złowróźnie w tym akurat zestawieniu – pomyślałem sobie. – Mówią wszakże, iż nazwisko to jest w Nantucket pospolite i przypuszczalnie ten tutejszy Piotr musi być emigrantem stamtąd.” A ponieważ światło było przyćmione, miejsce wydawało się na razie dość spokojne, sam rozlatujący się drewniany domek wyglądał, jakby go tu przewieziono z ruin jakiejś spalonej dzielnicy, a kołyszący się szyld skrzypiał tak jakoś po nędzarsku – pomyślałem więc, że tu właśnie muszą być tanie kwatery i najlepsza kawa z grochu.

Dziwne to było miejsce – ten stary dom o trójkątnych ścianach szczytowych, z jednej strony jakby sparaliżowany i żałośnie na bok pochylony. Stał na ostrym, wietrznym rogu ulicy, gdzie ów burzliwy wiatr, Euroklidon, hulał znacznie gorzej, niż to kiedykolwiek czynił wokół skołatanej łodzi nieszczęsnego Pawła. Eu-roklidon może być jednak wielce miłym zefirkiem dla kogoś, kto siedzi w domu ze stopami wspartymi o brzeg kominka, spokojnie grzejąc je przed snem. W posiadaniu moim znajduje się jedyny istniejący egzemplarz dzieł pewnego starego pisarza, który powiada: *Przy*

osądzaniu onego burzliwego wichru, Euroklidonem zwanego, przedziwna powstaje różnica w zależności od tego, czy wyglądasz nań z za okna szklanego, na którym cały szron umieścił się od strony zewnętrznej, czyli też obserwujesz go przez owonierozsuwane okno omrożone ze stron obu, którego sama śmierć jedynym jest szklarzem. „To całkiem prawdziwe – pomyślałem sobie, gdy mi się ów ustęp na myśl nawinął – nieźle rozumujesz, stary hieroglifie!” Tak, oczy są oknami, a to ciało moje jest domem. Jaka szkoda jednak, że nie pozatykano szpar i szczelin, że nie opatrzone ich tu i ówdzie watą. Ale już teraz za późno na jakiegokolwiek ulepszenia. Wszechświat jest już ukończony, sklepienie położone, a wióry z budowy zabrano przed milionem lat. Nieszczęsny Łazarz, szczękający zębami na poduszce z kamiennego stopnia i otrząsający z siebie dreszczami swe łachmany, mógłby zatkać uszy szmatą, a w gębę wsadzić kolbę kukurydzy i jeszcze by to nie powstrzymało tego burzliwego Euroklidonu. – Euroklidon! – powiada stary bogacz spowity w czerwone, jedwabne szaty (miał później jeszcze czerwieńsze) – ba, ba! Co za piękna, mroźna noc, jakże iskrzy się Orion, jakie zorze północne! Niech sobie tam gadają o swych orientalnych letnich krainach wieczystej ciepłarni; mnie udzielcie przywileju stworzenia sobie własnego lata przy pomocy własnego węgla.

Ale cóż myśli Łazarz? Zaliż może on rozgrzać swe zsiniałe dłonie wyciągając je ku wspaniałym zorzom północnym? Czyż nie wołaliby znaleźć się na Sumatrze, miast tutaj? Czy nie o wiele bardziej by mu dogadzało wyciągnąć się na całą długość wzdłuż linii równika, a nawet – zaiste, o bogowie! – zejść do samej otchłani piekielnej, byleby tylko uchronić się od mrozu?

Że jednak Łazarz leży tutaj na kamiennych stopniach przed wrotami domu bogacza, to wydaje się osobliwsze, niż gdyby góra lodowa została przycumowana do jednej z wysp Moluków. Jednak sam bogacz też mieszka, jak car, w lodowym pałacu zbudowanym ze zmrożonych westchnień, będąc zaś prezesem towarzystwa wstrzemięźliwości, spija jedynie ciepławe łzy sierot.

Ale dość już na razie tego (biadolonia; wyruszamy na wieloryby i wiele go jeszcze będzie. Zeskrobmy lód z naszych oszronionych stóp i zobaczymy, co to może być za miejsce, owa oberża Pod Wielorybnikiem.

## ROZDZIAŁ III

### OBERŻA POD WIELORYBNIKIEM

Wchodząc pod trójkątny dach oberży Pod Wielorybnikiem trafiało się do szerokiej, niskiej, odrapanej sieni o staroświeckiej boazerii przypominającej burtę jakiegoś starego, bezużytecznego już okrętu. Po jednej stronie wisiało ogromne olejne malowidło, tak gruntownie zadymione i całkowicie zamazane, że w nierównym, krzyżującym się świetle, w jakim je oglądano, można było jakoś dojść do zrozumienia, o co w nim chodzi, tylko i jedynie przez pilne studia, serię systematycznych odwiedzin tudzież staranne rozpytywanie sąsiadów. Widniały tam tak niezliczone masy mroków i cieni, iż początkowo było się już skłonny przypuszczać, że jakiś ambitny młody artysta z okresu, kiedy w Nowej Anglii istniały jeszcze czarownice, usiłował tu odtworzyć zakłęty chaos. I przecie drogą głębokiej, a poważnej kontemplacji, częstotliwych przemyśleń, w szczególności zaś dzięki otworzeniu małego okienka umieszczonego w końcu sieni, dochodziło się nareszcie do wniosku, że podobna myśl, jakkolwiek dziwna, nie jest może tak zupełnie pozbawiona podstawy.

Ale rzeczą, która patrzącego najbardziej intrygowała i wprawiała w pomieszenie, była długa, gibka, złowieszcza, czarna masa czegoś, co unosiło się pośrodku obrazu ponad trzema błękitnymi, zamazanymi, pionowymi liniami skąpanymi w jakiejś nieokreślonej pianie. Bagniste, zwilgłe, doprawdy okropne to było malowidło; zupełnie wystarczające, by doprowadzić do szału człowieka nerwowego. A jednak była w tym obrazie pewna nieokreślona, niedopowiedziana, niepojęta wzniosłość, która przykuwała doń całkowicie, aż wreszcie człowiek mimowolnie poprzysięgał sobie, iż dowie się, co oznacza to cudaczne dzieło. Raz po raz przeszywała patrzącego jakaś znakomita, jednakże, niestety, zwodnicza myśl. — To Morze Czarne w czasie nocnej nawałnicy. — To przeciwne naturze starcie czterech pierwotnych żywiołów. — To jakiś zatracony ugór. — Hiperborejska scena zimowa. — Spękanie lodów na zamarznętym strumieniu Czasu. — Ale na koniec wszystkie te fantastyczne pomysły ustępowały przed owym czymś złowieszczym w środku obrazu. Gdyby tylko to zrozumieć — reszta byłaby już jasna. Ale chwileczkę; czyż nie ma w tym nikłego podobieństwa do jakiejś gigantycznej ryby? Może nawet do samego wielkiego Lewiatana?

W istocie takim zdawał się być zamiar artysty; oto moja własna, ostateczna teoria, po części oparta na zestawionych opiniach licznych wiekowych osób, z którymi przeprowadziłem na ów temat rozmowy. Obraz przedstawiał okręt z Przylądka Horn w straszliwym huraganie, na w pół zatopiony, zalany wodą, z widocznymi już tylko trzema odartymi z żagli masztami — oraz rozwścieżonego wieloryba zamierzającego przeskoczyć wprost nad owym okrętem, wyobrażonego właśnie w gigantycznej akcie nadziewania się na wierzchołki trzech masztów.

Przeciwległa ściana owej sieni obwieszona była isticie pogańskim zbiorem potwornych maczug i włóczni. Niektóre były gęsto wysadzone błyszczącymi zębami podobnymi do kościanych pił; inne zaopatrzone w pęki ludzkich włosów; jedna miała kształt sierpa, z ogromną rękojeścią zakręconą podobnie do linii kreślonej w świeżo koszonej trawie

przez długorękiego kosiarza. Człowiek drżał patrząc na to i zastanawiał się, jakież to potworny kanibal i dzikus mógł kiedykolwiek dokonywać żniwa śmierci tak straszliwym siecznym narzędziem. Wśród owej broni widniały także zardzewiałe, stare lance wielorybnicze i harpuny, całe połamane i pokrzywione. Niektóre miały swoją historię. Tą lancą, niegdyś śmigłą, obecnie srodze pogiętą, Natan Swain ubił przed pięćdziesięciu laty piętnaście wielorybów między wschodem a zachodem słońca. A tamten harpun – tak dziwnie teraz podobny do korkociągu – ciśnięto na morzach jawajskich w wieloryba, który uciekł z nim razem, a w wiele lat później został ubity około Przylądka Blanco. Tamten grot wszedł w pobliżu ogona i jak niespokojna igła przebywająca w ciele człowieka, przewędrował całe czterdzieści stóp, aż wreszcie odnaleziono go tkwiącego w garbie wieloryba.

Minąwszy ową mroczną sień oraz niskie, sklezione przejście – przebite przez coś, co za dawnych czasów musiało być wielkim centralnym kominem z kominkami dokoła – wchodzi się do izby ogólnej. Miejsce to jest jeszcze bardziej mroczne, belki pułapu zaś tak niskie i masywne, deski pod nogami tak stare i poorane bruzdami, iż niemal wyobrażacie sobie, że znajdujecie się w kokpicie jakiegoś starego statku, zwłaszcza w taką wyjącą wichrem noc, kiedy to owa zakotwiczona sędziwa arka wściekle się kołysze. Po jednej stronie stoi długi, niski stół, podobny do półki, cały zastawiony popękanymi szklanymi gablotami pełnymi zakurzonych osobliwości zgromadzonych tu z najodleglejszych zakątków tego szerokiego świata. W dalszym kącie izby widnieje ponury przybytek – szynkwias – ordynarnie usiłujący wyobrazić łeb wielorybi. Stoi tam bowiem ogromna, łukowato wygięta kość szczękowa wieloryba, tak szeroko rozwarta, że dylizans mógłby niemal pod nią przejechać. Wewnątrz widnieją odrapane półki zastawione starymi karafkami, butlami i flaszkami, a między tymi szczękami grożącymi błyskawicznym unicestwieniem krząta się drugi potępiony Jonasz (którego to imieniem w istocie go nazywają), mały, zawiedły staruszek, drogo sprzedając marynarzom, za ich własne pieniądze, delirium i śmierć.

Ohydne są puchary, do których nalewa on swą truciznę. Choć z zewnątrz rzetelnie cylindryczne – wewnątrz te szelmowskie, zielone, grube jak soczewki szklance zwężają się podstępnie ku dołowi aż po oszukańcze dno. Równoleżniki ordynarnie wyrzeżane na szkle biegną w krąg ścianek tych zbójceckich kielichów. Nalejcie sobie do tego znaku, a płacicie za ledwie pensa; do *tamtego* – o pensa więcej; i tak dalej aż do pełnej szklanki – miarki z Przylądka Horn, którą możecie łyknąć za szylinga.

Wszedłszy do izby zastałem tam kilku młodych marynarzy zebranych wokół stołu i zajętych oglądaniem przy wątłym świetle rozmaitych okazów skrimszanderskiej roboty. Odnalazłem oberżystę, lecz gdy mu oświadczyłem, że pragnę roztasować się w jakimś pokoju, otrzymałem odpowiedź, iż zakład jego jest przepelniony – ani jednego wolnego łóżka.

– Ale, zaraz! – dorzucił uderzając się w czoło. – Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby podzielić łożę z harpunnikiem, co? Tak mi się widzi, że wyruszenie na wieloryby, lepiej więc przyzwyczajajcie się do tego.

Odpowiedziałem mu, że nigdy nie lubiłem sypiać we dwie osoby; że gdybym kiedykolwiek to uczynił, uzależniłbym to od tego, kim jest ów harpunnik, i że jeśli on

(oberżysta) doprawdy nie posiada innego dla mnie miejsca, harpunnik zaś nie budzi zasadniczych zastrzeżeń, to cóż robić – wolę raczej połowę kołdry jakiegoś przyzwoitego człowieka niż dalszą wędrówkę po obcym mieście w tak okropną noc.

– Takem sobie i myślał. Dobra, siadajcie. Kolację? Chcielibyście kolację? Zaraz będzie gotowa.

Przysiadłem na starej drewnianej ławie, całej pokrytej nacięciami jak ława na Battery. Z brzegu siedział okrakiem jakiś zadumany marynarz i pochyliwszy się przyozdabiał pilnie kozikiem koniec ławy trzymany między kolanami. Próbował swej zręczności w wycinaniu okrętu pod pełnymi żaglami, ale pomyślałem sobie, że osiągnięcia jego nie są nazbyt wielkie.

Wreszcie czterech czy pięciu z nas zawezwano na posiłek do sąsiedniej izby. Zimno było jak w Islandii – ogień się w ogóle nie palił, gdyż gospodarz oświadczył, że nie może sobie na to pozwolić. Nic, oprócz dwóch ponurych łożówek, z których każda ociekała zastygłym tłuszczem. Nie było innego wyjścia; musieliśmy zapiąć pod szyję krótkie kurty marynarskie i na wpół zmarzniętymi palcami podnieść do ust kubki z wrzącą herbatą. Jadło było jednak nadzwyczaj treściwe – nie tylko mięso z ziemniakami, ale i knedle – wielkie nieba, knedle na kolację! Jakiś młodzieniaszek w zielonym płaszczu podróżnym zabrał się do tych knedli w niezwykle okrutny sposób.

– Chłopie – ozwał się oberżysta – będą cię pewnikiem trafiły w nocy koszmary.

– Gospodarzu – szepnąłem – to chyba nie ten harpunnik, co?

– O, nie – odparł z miną zabawnie diaboliczną. – Tamten harpunnik to chłop o ciemnej cerze. Nigdy nie jada knedli o nie – nie weźmie do gęby nic oprócz befsztyka, a i to lubi, jak prawie surowy.

– O, do diabła! – powiedziałem. – A gdzie ten harpunnik? Czy jest tutaj?

– Niedługo tu będzie – brzmiała odpowiedź.

Mimo woli zaczęły mi się nasuwać pewne podejrzenia co do owego harpunnika o „ciemnej cerze”. Na wszelki wypadek postanowiłem sobie, że jeśli się okaże, iż mamy spać razem, musi się rozebrać i wejść do łóżka przede mną.

Po wieczery całe towarzystwo powróciło do izby gospodniej, ja zaś, nie wiedząc, co z sobą począć, postanowiłem spędzić resztę wieczoru w charakterze widza.

Niebawem na zewnątrz dała się słyszeć gwałtowna wrzawa. Gospodarz zerwał się z miejsca i krzyknął:

– To załoga „Ork” ! Dziś rano doniesiono mi, że zbliża się do lądu; trzy lata na morzu – statek wraca dobrze naładowany! Hura, chłopaki! Będziemy teraz mieli najświeższe wiadomości z Fidżi!

Tupot butów marynarskich rozległ się w sieni, drzwi rozwarło jednym szarpnięciem i do izby wtoczyła się dość dzika czereda marynarzy. Owinięci w kosmate płaszcze wachtowe, z głowami okutnymi w wełniane szale, wszyscy w podartej i pocerowanej odzieży, z brodami sztywnymi od sopli lodu, wyglądali jak niedźwiedzie, które wyrwały się z Labradoru. Dopiero co zeszedli na ląd ze swego statku i to był pierwszy dom, do którego wstąpili. Nic więc dziwnego, że pozęglowali prościutko do paszczy wieloryba – do szynkwasu – a mały, pomarszczony, stary Jonasz tamże urzędujący niebawem nappełnił im wszystkim kielichy. Jeden z przybyłych uskarżał się na paskudne

przeziębienie, na co Jonasz zmieszał dlań czarny jak smoła kordiał z dżinu i syropu klnąc się, iż jest to najprzedniejszy lek na wszelkie przeziębienia i katary, choćby nie wiedzieć jak zadawnione, bez względu na to, czy złapało się je u wybrzeży Labradoru, czy też na nawietrznej stronie wyspy lodowej.

Trunek szybko uderzył im do głowy, jak to się zazwyczaj dzieje nawet z najbardziej notorycznymi moczygębami, gdy świeżo zstąpią na ląd po morskiej podróży; wszczęli więc niepohamowany zgiełk.

Zauważyłem jednakże, iż jeden z nowo przybyłych trzymał się nieco na uboczu i choć znać było, że pragnął nie psuć radości towarzyszom swym trzeźwym obliczem, jednak, ogólnie biorąc, powstrzymywał się od czynienia takiego rwetesu jak inni. Człowiek ów zaciekał mnie od razu, a jako że bogowie mórz tak zrzadzili, iż miał on wkrótce zostać mym towarzyszem na statku (choć jedynie współnikiem łoża, jeśli idzie o niniejsze opowiadanie), popróbuje więc dać tu krótki jego opis. Miał pełne sześć stóp wzrostu, szlachetny wykrój ramion i tors jak keson. Rzadko kiedy dane mi było widzieć u kogoś podobną krzepę. Oblicze miał smagłe, ciemnobrązowe, co przez kontrast sprawiało, iż zęby olśniewały białością, a w głębokich cieniach oczu kryły się jakieś wspomnienia, które snadź nie dostarczały mu zbyt wielkiej radości. Głos jego zdradzał od razu południowca, a z pięknej postawy wnosilem, iż musi to być jeden z owych roślących górali ze szczytów alleghańskich w Wirginii. Kiedy rozhulanie jego towarzyszy doszło już do zenitu, człowiek ów wymknął się niepostrzeżenie i nie zobaczyłem go więcej aż do czasu, gdy został mym kamratem na morzu. Jednakże po kilku minutach współtowarzysze-marynarze zauważyli jego nieobecność, a ponieważ, jak się zdawało, był z jakichś przyczyn ich wielkim faworytem, podnieśli więc ryk: „Bulkington! Bulkington! Gdzie jest Bulkington?” – i wypadli z gospody w pogoni za nim.

Było już około dziewiątej, a ponieważ izba wydawała się niemal nadnaturalnie cicha po owej orgii, zacząłem już sobie wieszować pewnego małego planu, który mi się nasunął tuż przed nadejściem marynarzy.

Nikt nie lubi sypiać we dwie osoby. Prawdę mówiąc, o wiele bardziej wolelibyście nie dzielić łoża nawet z własnym bratem. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale ludzie lubią być samotni, kiedy śpią. A kiedy już przychodzi spać z kimś zupełnie nieznanym, w obcym zajeździe, zaś nieznanomy ów jest harpunnikiem – w takim wypadku zastrzeżenia wasze nieskończenie się pomnażają. Nie było także żadnego na tym świecie powodu, dla którego właśnie ja, nie kto inny, będąc marynarzem, miałbym sypiać we dwóch w jednym łóżku; bowiem na morzu marynarze nie częściej śpią po dwóch, niż to na lądzie czynią nieżonaci królowie. Oczywiście sypiają oni wszyscy razem w jednym pomieszczeniu, ale każdy ma własny hamak, przykrywa się własnym kocem i śpi we własnej skórze.

Im bardziej się zastanawiałem nad owym harpunnikiem, tym więcej nabierałem abominacji do pomysłu spania z nim razem. Nietrudno było przypuścić, że skoro był harpunnikiem, jego bielizna, płócienna czy też wełniana, nie będzie należała do najczystszych, a już z pewnością nie do najwykwintniejszych. Aż się cały otrząsałem. Poza tym robiło się późno i mój zacny harpunnik powinien był wrócić już do domu i zmierzać do łoża. Przypuśćmy teraz, iż z zwali się na mnie o północy – skądże będę

wiedział, z jakiej ohydnej nory przybywa?

– Gospodarzu! Rozmyśliłem się, jeśli chodzi o tego harpunnika. Nie będę z nim spał. Spróbuję położyć się na tej ławie.

– Jak wam się podoba. Szkoda, że nie mam dla was nawet obrusa zamiast materaca, bo te deski szorstkie są jak zaraza! – tu pomacał sęki i karby. – Ale zaczekaj no, kamracie, mam tu pod szynkwasem stolarski hebel – zaczekaj, powiadam, a ja już ci zrobię przytulne leże

To mówiąc wyciągnął hebel i otarłszy najprzód ławę z pyłu starą jedwabną chustką, zabrał się żwawo do heblowania mego łóża, uśmiechając się przez cały czas jak małpa. Wióry leciały na prawo i lewo, aż wreszcie ostrze hebla zderzyło się z jakimś niepożytym sękiem. Gospodarz omal nie wywichnął sobie napiętka, powiedziałem mu więc, żeby na litość boską dał spokój – łóże jest dostatecznie miękkie jak na mój gust, a nie wyobrażam sobie, żeby nie wiem jakie heblowanie mogło przemienić sosnową deskę w puchową pierzynę. Zebrał więc wióry i znowu się uśmiechając wrzucił je do wielkiego pieca, który stał w środku izby, po czym powrócił do swoich zajęć, zostawiając mnie pogrążonego w zadumie.

Zmierzyłem teraz ławę i przekonałem się, że jest o stopę za krótka; temu wszakże można było zaradzić przy pomocy krzesła. Była jednak i o stopę za wąska, a druga ława znajdująca się w izbie była o jakieś cztery cale wyższa od tej zheblowanej – nie sposób więc było sprząc je razem. Ustawiłem zatem pierwszą ławę wzdłuż ściany, w jednym wolnym miejscu, pozostawiając nieco przestrzeni między nią a murem, by ulokować tam swoje plecy. Wkrótce jednak przekonałem się, że spod framugi okna dmie w moją stronę tak zimny wiew, iż cały plan w ogóle nie zda się na nic, zwłaszcza że drugi przeciąg dolatujący od rozklekotanych drzwi spotykał się z tamtym od okna i oba pospołu tworzyły serię małych trąb powietrznych w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, w którym zamierzałem spędzić noc.

„Niech diabli porwą tego harpunnika – pomyślałem sobie. – Ale zaraz! Czy nie mógłbym go wyprzedzić, zaryglować drzwi od wewnątrz, wskoczyć do jego łóżka i nie dać się zbudzić najgwałtowniejszym nawet kołataniami?” Ten pomysł wydawał się nie najgorszy, jednak po namyśle odrzuciłem go. Któż bowiem może wiedzieć, czy następnego ranka, ledwie wymknę się z pokoju, nie natrafię u wejścia na harpunnika, gotowego zdzielić mnie w łeb?

Rozejrzawszy się więc znowu i nie dostrzegając żadnych możliwości znośnego spędzenia nocy gdzie indziej niż w cudzym łóżku, zacząłem myśleć, że może, bądź co bądź, żywię nieuzasadnione uprzedzenia do owego nieznanego harpunnika. „Poczekam trochę – pomyślałem sobie – chyba niedługo tu wpadnie. Nie ma co gadać; wtedy przyjrzę mu się dobrze i może mimo wszystko będziemy mogli stać się jak najlepszymi towarzyszami łóża.”

Jednakże, choć inni lokatorzy powracali ciągle, bądź pojedynczo, bądź dwójkami czy trójkami, i udawali się na spoczynek, mojego harpunnika nie było ani śladu.

– Gospodarzu! – powiedziałem. – Co to za jeden? Czy zawsze tak się wałęsa po nocy? – Była już niemal dwunasta.

Oberżysta znowu się zaniósł swym cienkim chichotem i wydawał się wielce

rozbawiony czymś, czego pojąć nie mogłem.

– Nie – odparł – zazwyczaj ranny z niego ptaszek. Kto rano wstaje... Tak, to taki ptaszek, co złapie robaka... Ale dziś wyszedł pohandlować, widzicie, i nie mam pojęcia, co go u licha tak długo zatrzymało, chyba że nie mógł sprzedać tej swojej głowy.

– Nie mógł sprzedać swojej głowy?! Co mi tu za bzdury powiadacie? – chwyciła mnie szewska pasja. – Czyż chcecie przez to powiedzieć, że ów harpunnik w ten przeklęty sobotni wieczór, a raczej w niedzielny poranek, kupczy swoją głową po mieście?

– Właśnie – odparł oberżysta. – A mówiłem mu, że nie będzie mógł jej tu sprzedać, bo rynek jest zawałony.

– Czym? – wrzasnąłem.

– Głowami, oczywiście. Mało to głów na świecie?

– Coś wam powiem, gospodarzu – rzekłem bardzo spokojnie. – Skończcie lepiej z takim gadaniem. Nie jestem żółtodziobem.

– Może i nie – wziął do ręki kij i odłupał zeń nożem trzaskę na wykałaczkę do zębów – ale coś mi się widzi, że pięknie by was urządził ten harpunnik, gdyby usłyszał, jak spotwarzacie jego głowę.

– Już ja mu ją rozwałę! – krzyknąłem, znowu doprowadzony do pasji nieobliczalnym bredzeniem oberżysty.

– Już jest rozwalona – odparł.

– Rozwalona? – spytałem. – Co to ma znaczyć?

– A pewnie. I coś mi się widzi, że z tego właśnie powodu nie może jej sprzedać.

– Gospodarzu – powiedziałem podchodząc do niego, a byłem zimny jak wulkan Hekla w czasie śnieżnej zawiei. – Gospodarzu, przestańcie strugać ten kij. Musimy się ze sobą porozumieć i to bez zwłoki. Przychodzę do waszego domu i chcę dostać łóżko; powiadacie mi na to, że możecie dać mi jedynie połowę, gdyż druga należy do pewnego harpunnika. Co się zaś tyczy owego harpunnika, którego jeszcze nie widziałem, to z uporem opowiadacie mi o nim niezwykle bałamutne i irytujące historie, usiłując wzbudzić we mnie nieufność do człowieka, którego mi przeznaczacie na towarzysza łoża – a przecie związek taki należy do najintymniej szych i w najwyższym stopniu poufanych. Teraz więc żądam od was, byście się wypowiedzieli i objaśnili mnie, kto zacy jest ten harpunnik oraz czy będę pod każdym względem bezpieczny, spędzając z nim noc. A przede wszystkim będziecie tak dobrzy i odwołacie tę historię o sprzedawaniu własnej głowy, gdyż jeśliby to była prawda, musiałbym ją uznać za najlepszy dowód, iż człowiek ten jest kompletnym szaleńcem, a ja nie mam zamiaru spać z wariatem. Wy natomiast, wy, panie gospodarzu, usiłując świadomie nakłonić mnie do tego, możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

– No, cóż – ozwał się oberżysta nabierając głęboko tchu – to wcale długie kazanie, jak na chłopca, który się piekli od czasu do czasu. Ale uspokójcie się, uspokójcie; ten harpunnik, com wam o nim gadał, dopiero co przyjechał z Mórza Południowych, gdzie nakupił do licha zabalsamowanych nowozelandzkich głów (wielkie to osobliwości, trzeba wam wiedzieć) i posprzedawał je wszystkie prócz jednej, a tę jedną próbuje spuścić właśnie dziś wieczorem, bo jutro niedziela i jakoś by nie pasowało handlować

po ulicach ludzkimi łbami, kiedy naród idzie do kościoła. Chciał już to zrobić zeszłej niedzieli, alem go powstrzymał, akuratnie gdy wychodził z czterema głowami nanizanymi na sznurek jak nie przymierzając z wiankiem cebuli.

Relacja ta wyjaśniła niezrozumiałą skądinąd tajemnicę, tudzież wykazała, że oberżysta nie miał, bądź co bądź, zamiaru wystrychnąć mnie na dudka – ale z drugiej strony, cóż miałem sobie myśleć o harpunniku, który wałęsa się całą noc sobotnią aż do samej świętej niedzieli oddając się tak ludożerczym zajęciom, jak sprzedawanie głów nieżyjących bałwochwalców?

– Możecie mi wierzyć, gospodarzu, że ów harpunnik to człek niebezpieczny.

– Płaci regularnie – brzmiała odpowiedź. – No, ale już się robi diablo późno; lepiej zmieńcie kurs. Łóżko jest porządne; spałem w nim z Sally tej nocy, kiedyśmy się pobrali. Dość tam miejsca, żeby dwóch mogło sobie pobrykać, bo to okrutnie duże łóżko. Przecie do pewnego czasu Sally kładła tam w nogach naszego Sama i małego Johnny. Ale któreś nocy coś mi się przyśniło, zacząłem się wiercić i jakoś tak się stało, że Sam wypadł na podłogę i omal sobie ręki nie złamał. Po tym już Sally orzekła, że tak to nie da rady. Chodźcie no, migiem zrobię wam światło. – To mówiąc zapalił świeczkę i wyciągnął ją ku mnie proponując, że mi wskaże drogę. Ja jednak stałem niezdecydowany; wtem gospodarz, spojrzawszy na zegar, wykrzyknął: – Daję słowo, już niedziela! Nie zobaczycie tej nocy onego harpunnika. Gdzieś się musiał zakotwiczyć. Chodźcie więc, chodźcie, proszę. No cóż, pójdziecie nareszcie?

Przez chwilę rozważałem całą sprawę, po czym weszliśmy po schodach na górę i tam wprowadzono mnie do niewielkiego pokoju, gdzie zimno było jak w psiarni; umeblowanie składało się w istocie z niepospolitej wielkości łoża, niemal wystarczająco obszernego, by czterech harpunników mogło w nim spać rzędem.

– No – ozwał się oberżysta stawiając świecę na starej rozklekotanej skrzyni żeglarskiej, pełniącej dwojake obowiązki: umywalni i stołu – no, rozgoście się teraz i dobrej nocy. – Oderwałem wzrok od łóżka, lecz oberżysta już zniknął.

Odwinąłem kołdrę i pochyliłem się nad łóżkiem. Choć nie należało do najwykwintniej szych, przecie przy oględzinach okazało się dość znośne. Rozejrzałem się teraz po pokoju; nie mogłem dostrzec żadnych innych sprzętów przynależnych do owego pomieszczenia prócz łóżka, stołu, topornej półki, czterech ścian oraz stojącego przed kominkiem, oklejonego papierem parawanu, na którym wymalowany był człowiek godzący oszczepem w wieloryba. Z rzeczy nie należących właśnie do umeblowania był tam hamak związany i ciśnięty w kąt na podłogę, a także duża marynarska sakwa zawierająca garderobę harpunnika i zastępująca mu zapewne lądowy kufer. Na półce nad kominkiem leżała też paczka dziwacznych, kościanych haczyków na ryby, a u wezglowia łóżka wsparty był długi harpun.

Ale co to leży na skrzyni? Podniosłem ów przedmiot, przybliżyłem do światła, obmacywałem i wahałem, starając się na wszelkie możliwe sposoby dojść do jakiegoś zadowalającego wniosku w tej materii. Porównać to mogę tylko do dużej słomianki ozdobionej na brzegach małymi, brzęczącymi frędzelkami, nieco przypominającymi bure kolce jeża, którymi są obszyte indiańskie mokasyny. W środku tejeże maty widniał otwór czy przecięcie, takie, jakie się widuje w południowo-amerykańskich *poncho*. Ale

czyż było to możliwe, żeby jakikolwiek trzeźwy harpunnik wsadzał na siebie słomiankę i paradował po ulicach jakiegokolwiek chrześcijańskiego miasta w tego rodzaju stroju? Włożyłem ją na próbę i aż się ugiąłem, gdyż była ciężka jak waliza, niepospolicie kosmata i gruba oraz – wydało mi się – nieco wilgotna, jak gdyby ów tajemniczy harpunnik nosił ją w dżdżysty dzień. Podszedłem w tym stroju do kawałka lusterka opartego o ścianę i dalibóg ujrzałem widok, jakiego nie oglądałem nigdy w swoim życiu. Zerwałem z siebie matę z takim pośpiechem, że omal nie wykręciłem sobie karku.

Przysiadłem na brzegu łóżka i począłem rozmyślać o tym harpunniku-handlarzu głowami i o jego słomiance. Rozmyślałem czas niejaki na brzegu łóżka, po czym wstałem, zdjąłem mą kurtkę marynarską, a następnie przystanąłem na środku pokoju, rozmyślając nadal. Z kolei zdjąłem kubrak i pomedytowałem jeszcze nieco w koszuli.

Ponieważ jednak zacząłem teraz odczuwać dotkliwie zimno, jako że byłem na wpół rozebrany, ponieważ przypomniałem sobie, że oberżysta powiedział, iż harpunnik w ogóle nie wróci do domu tej nocy, i ponieważ było już tak bardzo późno, więc nie robiąc dłużej ceregieli wyskoczyłem ze swoich pantalonów i butów i zdmuchnąwszy świecę padłem na łóżko polecając się opiece niebios.

Trudno orzec, czy materac był wypchany kaczanami kukurydzy, czy też tłuczoną porcelaną, ale po wielekroć przewracałem się z boku na bok i długo nie mogłem zasnąć. Na koniec zapadłem w lekką drzemkę i prawie już odzeglowałem w krainę snu, kiedy usłyszałem ciężkie stąpanie na korytarzu i dojrzałem błysk światła przenikający do pokoju przez szparę pode drzwiami.

„Boże, miej mnie w swojej opiece – pomyślałem – to musi być ten harpunnik, ten piekielny handlarz głów.” Leżałem wszelako bez ruchu i postanowiłem nie odzywać się ni słowem, dopóki do mnie nie zagada. Ze świecą w jednej ręce i tą że właśnie nowozelandzką głową w drugiej nieznajomy wszedł do pokoju i nie patrząc w stronę łóżka ustawił świecę w kącie, na podłodze, w sporej ode mnie odległości, a następnie począł rozsypywać poplątane sznurki ogromnej sakwy, która, jak już wspomniałem, znajdowała się w izbie. Pałałem ochotą ujżenia jego twarzy, lecz przez czas jakiś trzymał ją odwróconą, zajęty rozwiązywaniem worka. Potem obrócił się jednak – i, wielkie nieba! Co za widok! Co za gęba! Ciemnej, żółtoszkarłatnej barwy, tu i ówdzie znaczona dużymi, czarniawymi kwadratami. No, oczywiście! Właśnie tak, jak myślałem; straszliwy z niego towarzysz łoża; musiał brać udział w jakiejś bójce, pokaleczono go okropnie i oto teraz wraca prosto od chirurga. W tejże jednak chwili przypadkiem obrócił twarz w stronę światła i najwyraźniej dojrzałem, iż te czarne kwadraty na jego policzkach w żadnym razie nie mogą być plastrami. Były to jakieś plamy takiego czy innego rodzaju. Początkowo nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, ale wkrótce zaświtał mi przebłysk prawdy. Przypomniałem sobie historię pewnego białego – również łowcy wielorybów – który dostawszy się między ludożerców został przez nich wytatuowany. Doszedłem do wniosku, że tego harpunnika musiała spotkać podobna przygoda podczas jego dalekich wypraw. „I cóż to, mimo wszystko, ma za znaczenie – pomyślałem sobie. – To tylko jego strona zewnętrzna; człowiek może być uczciwy niezależnie od rodzaju skóry.” Ale co sądzić o nieludzkiej barwie jego twarzy – to znaczy tej jej części, która znajduje się między tymi kwadratami tatuażu i jest od

nich całkowicie niezależna. Może to być, oczywiście, tylko porządna warstwa tropikalnej opalenizny; jednakże nigdy nie słyszałem, żeby promienie gorącego słońca przerobiły człowieka białego na purpurowożółtego. Z drugiej strony, nie przebywałem nigdy na Morzach Południowych; może tamtejsze słońce działa na skórę w sposób tak niezwykły?

Podczas gdy wszystkie te przypuszczenia przelatywały mi przez głowę jak błyskawice, harpunnik w ogóle mnie nie spostrzegął. Otworzywszy nie bez trudności swoją sakwę począł w niej szperać i niebawem dobył coś w rodzaju tomahawka oraz mieszek z foki wywrócony włosem na wierzch. Ułożył te przedmioty na starej skrzyni stojącej pośrodku pokoju, wziął ową nowozelandzką głowę – przedmiot dość upiorny – i wepchnął ją do sakwy. Zdjął teraz swój kapelusz – nowy bobrowy kapelusz – i omal znów nie wrzasnąłem ze zdumienia. Na głowie nie miał włosów – a przynajmniej miał ich tak niewiele, iż nie warto o tym wspominać – nic, oprócz małej kępki skręconej nad czołem. Jego naga, czerwona głowa wyglądała teraz kubek w kubek jak czaszka porośnięta pleśnią. Gdyby nie stał między mną a drzwiami, byłbym się znalazł za nimi susem szybszym niżli przelknięcie kęska strawy.

„Ale nawet w tym stanie rzeczy – pomyślałem – warto by się wymknąć przez okno.” Było to jednakowoż pierwsze piętro. Nie jestem tchórzem, ale zupełnie nie miałem pojęcia, co myśleć o tym purpurowym łajdaku kupczącym głowami. Nieświadomość jest rodzicielką lęku, a jako że byłem zupełnie zbity z pantafelki i stropiony przez owego nieznanego, wyznać muszę, że napadł mnie teraz taki strach przed nim, jak gdyby był on samym szatanem, który wtargnął do mego pokoju w środku nocy. W istocie tak się go bałem, iż zbrakło mi ducha, by doń przemówić i żądać zadowalających wyjaśnień w sprawie tego, co wydawało się w nim niezrozumiałe.

On zaś tymczasem był nadal zajęty rozbieraniem się i nareszcie ukazał tors i ramiona. Jak mi życie miłe, te zazwyczaj osłonięte części ciała pokratkowane były takimi samymi kwadratami, jak i twarz; plecy miał także pokryte identycznymi ciemnymi kwadratami, zupełnie jak gdyby brał udział w jakiejś wojnie trzydziestoletniej i dopiero co się z niej wyrwał, okryty istną koszulą z plastrów. Nie dość na tym; nawet nogi miał poznaczone, co wyglądało, jak gdyby zgraja ciemnozielonych żab wdrapywała się na pnie młodych palm. Stało się już całkiem jasne, że musi być jakowymś obrzydliwym dzikusiem, który zabrał się na pokład okrętu wielorybniczego na Morzach Południowych i w ten sposób wylądował w tym chrześcijańskim kraju. Na samą myśl aż zadrzałem. „I to jeszcze handlarz głowami – może głowami swych własnych braci. A nuż nabierze upodobania do mojej? O Boże! Spójrzcie tylko na ten tomahawk”.

Nie było jednak czasu na dreszcze, gdyż dziki zabrał się teraz do czegoś, co całkowicie przykuło moją uwagę i przekonało mnie, że to w istocie musi być poganin. Podszedł do swego ciężkiego płaszcza czy opończy, czy tam burki, którą uprzednio zawiesił na krześle, poszperał po kieszeniach i wreszcie wydobył osobliwy, mały, niekształtny posążek z garbem na plecach, dokładnie tego samego koloru co trzydniowe niemowlę z Konga. Pomny owej zabalsamowanej głowy, zrazu niemal pomyślałem, że ten czarny manekinek jest prawdziwym dziecięciem zakonserwowanym w jakiś podobny sposób. Widząc jednakże, iż to coś nie jest bynajmniej giętkie, a połyskuje

wcale podobnie do polerowanego hebanu, doszedłem do przekonania, iż musi to być nie co innego, jak drewniany bożek, co się w samej rzeczy okazało prawdą. Bo oto teraz dziki podszedł do pustego kominka, odsunął papierowy parawanik i zatknął ów mały, garbaty posążek między żelaznymi rusztami na kształt kołka. Boczne ścianki kominka oraz wszystkie cegły wewnątrz były mocno usmolone sadzami, pomyślałem więc sobie, że tworzy on wielce odpowiednią małą świątynkę czy kapliczkę dla owego bożyszczka z Konga.

Czując się dość nieswojo, wbiłem wzrok w na wpół zasłonięty posążek, by zobaczyć, co z kolei nastąpi. Przybysz, dobywszy, z kieszeni opończy około dwóch garści wiórów, ułożył je starannie przed bałwankiem, umieścił na wierzchu kawałek suchara okrętowego i zbliżywszy do wiórów ogień świecy, wzniecił płomień ofiarny. Niebawem, po licznych pośpiesznych próbach wyciągnięcia ręką suchara z ognia i jeszcze szybszym cofaniu palców (przy czym, jak się zdaje, mocno je sobie poparzył) udało mu się nareszcie wyciągnąć suchar; zdmuchnął zeń nieco popiołu i żaru, a następnie uprzejmie zaofiarował go małemu Murzynkowi. Jednakże mały szatanek najwyraźniej nie gustował w tak suchym pożywieniu; nie poruszył nawet wargami. Wszystkim tym dziwnym cudactwom towarzyszyły jeszcze dziwaczniejsze gardłowe odgłosy wydawane przez gorliwego czciela, który zdawał się zanosić monotonne modły, czy też śpiewać jakowąś pogańską psalmodię, przy czym wykrzywiał twarz w najniezwykleszy sposób. Wreszcie ugasił ogień i podniósłszy bałwanka całkiem bezceremonialnie, wetknął go na powrót do kieszeni opończy, równie niedbale, jak gdyby był myśliwcem wsadzającym do worka ubitą słonkę.

Te cudaczne czynności wzmogły mój niepokój, widząc więc, iż wszystko wskazuje na to, że dziki ma zamiar zakończyć swoje urzędowe funkcje i wskoczyć do łóżka, w którym się znajdowałem, pomyślałem, że już czas najwyższy – teraz albo nigdy, zanim światło zgaśnie – przełamać czar, który tak długo mnie obezwładniał.

Jednakże chwila, którą poświęciłem na zastanawianie się, co powiedzieć, okazała się fatalna. Dziki wziął ze stołu swój tomahawk, oglądał przez chwilę jego głowicę, a następnie zbliżył się do świecy i przytknąwszy usta do rękoności *począł* z niej dobywać ogromne obłoki dymu tytoniowego. W następnej chwili światło zgasło i dziki kanibal z tomahawkiem w zębach wskoczył do mnie do łóżka. Wrzasnąłem – nie mogłem się już powstrzymać – on zaś wydawszy pomruk zdumienia jął ręką macać w ciemnościach.

Wyjąkałem coś, sam nawet nie wiem co, i odsunąłem się od niego aż do ściany, następnie zaś zacząłem go zaklinać, by leżał spokojnie, kimkolwiek albo czymkolwiek jest, oraz pozwolił mi wstać i zapalić znowu światło. Lecz jego gardłowe odpowiedzi przekonały mnie od razu, że bardzo źle pojmuję, o co mi idzie.

– Kto być ty? – powiedział wreszcie. – Ty mówić wcale, diabła, ja ciebie zabić. – To rzekłszy począł w ciemnościach wywijać nade mną gorejącym tomahawkiem.

– Gospodarzu! Na litość boską! Piotrze Trumno! – krzyknąłem. – Gospodarzu! Na pomoc! Trumno! Ratujcie mnie, anieli!

– Gadać. Mówić, kto być ty, albo, diabła, ja zabić ciebie! – warknął znowu kanibal, a podczas tego straszliwego wywijania tomahawkiem sypnął na (mnie gorący popiół; przyszło mi do głowy, iż może się odeń zająć moja bielizna. Ale, Bogu dzięki, w tej

chwili wszedł do pokoju oberżysta ze światłem w rękę; dałem więc susa z łóżka i skoczyłem ku niemu.

– Nie 'bójcie się niczego – powiedział wykrzywiając twarz w uśmiechu. – Ten tutaj Queequeg nie tknie wam włosa z głowy.

– Przestańcie się śmiać! – krzyknąłem. – Czemuście mi nie powiedzieli, że ten piekielny harpunnik jest kanibalem?

– Myślałem, że sami wymiarkujecie – albowiem wam nie gadał, iż handluje po mieście głowami? Ale zwińcie żagle i idźcie spać. Uważaj, Queequegu, ty znać mnie, ja znać ciebie; ten człowiek spać z tobą, wiesz?

– Ja wiedzieć dużo za bardzo – mruknął Queequeg zaciągając się dymem z fajki i siadając na łóżku.

– Ty wejść – dodał i skinął na mnie tomahawkiem odrzucając na bok kołdrę. Uczynił to doprawdy w sposób nie tylko uprzejmy, ale ogromnie miły i życzliwy. Przez chwilę stałem spoglądając na niego. Mimo wszystkich swoich tatuaży, był właściwie schludnym i przyjemnie wyglądającym kanibalem. „Po co podnosiłem cały ten rwetes – pomyślałem sobie – ten człowiek jest istotą ludzką jak i ja; ma akurat tyle samo powodów, by lękać się mnie, co ja, by lękać się jego. Lepiej spać z trzeźwym kanibalem niż z pijanym chrześcijaninem.”

– Gospodarzu – rzekłem – powiedzcie mu, żeby dał pokój z tym swoim tomahawkiem czy fajką, czy jak tam to nazywacie; krótko mówiąc, każcie mu przestać palić, a położę się z nim razem. Nie lubię jednak mieć przy sobie w łóżku człowieka, który pali. To bardzo ryzykowne. W dodatku nie jestem ubezpieczony.

Kiedy oberżysta oświadczył to Queequegowi, ten zaraz zastosował się do mego życzenia i znowu grzecznie zaprosił mnie gestem do łóżka odsuwając się na bok, jak gdyby chciał powiedzieć: „nawet nie dotknę twojej nogi”.

– Dobrej nocy, gospodarzu – rzekłem. – Możecie już odejść.

Wsunąłem się do łóżka i zasnąłem tak smacznie jak nigdy w życiu.

## ROZDZIAŁ IV

### KOŁDRA

Zbudziwszy się następnego dnia o świcie ujrzałem ramię Que-equega zarzucone na mnie w niesłychanie czuły i miłosny sposób. Można było niemal pomyśleć, że jestem jego żoną. Kołdra uszyta była ze skrawków tkanin, pokryta dziwacznymi, małymi, pstrokatymi kwadracikami i trójkątami, a ramię dzikiego, całe wytatuowane w nie kończący się kreteński labirynt ornamentów, ramię, które nie miało dwóch części tej samej barwy – a to, jak sędzę, z tej przyczyny, że będąc na morzu trzymał je jak popadło, raz w słońcu, raz w cieniu, zawijając rozmaicie i o różnych porach rękawy od koszuli – to więc ramię jego, powiadam, wyglądało kubek w kubek jak kawałek tejże właśnie pstrokatą kołdry. I rzeczywiście, gdy tak częściowo na niej spoczywało w chwili mego przebudzenia, ledwo mogłem je odróżnić od kołdry, tak dalece barwy ich zlewały się ze sobą; tylko więc czując ciężar i nacisk, pojąłem, że Queequeg mnie utula.

Dziwnego doznałem uczucia; pozwólcie mi je wytłumaczyć. Pamiętam dobrze, iż dzieckiem jeszcze znalazłem się w nieco podobnej sytuacji; nigdy nie potrafiłem ostatecznie ustalić, czy była to rzeczywistość, czy też sen. Okoliczności były następujące: Wyprawiałem kiedyś jakieś brewerie – bodaj że usiłowałem wydrapać się kominem na dach, podobnie jak to uczynił kilka dni przedtem w moich oczach mały kominiarczyk, a macocha moja, która zawsze znajdowała powód, by mnie wychłostać lub posłać na górę bez kolacji, wyciągnęła mnie z komina za nogi i zapakowała do łóżka, mimo że była to dopiero druga po południu, dnia dwudziestego pierwszego czerwca, najdłuższego w roku dnia na naszej półkuli. Czuję się okropnie. Nie było jednak rady; udałem się więc na górę, do mej małej izdebki na drugim piętrze, rozebrałem się jak najwolniej dla zabicia czasu i z gorzkim westchnieniem wlałem pod kołdrę.

Leżałem tak, obliczając ponuro, że musi upłynąć pełne szesnaście godzin, zanim będę mógł mieć nadzieję na zmartwychwstanie. Szesnaście godzin w łóżku! Aż mnie krzyż bolał na samą myśl. A było tak widno; słońce świeciło w okno, z ulicy dolatywał donośny turkot pojazdów, a cały dom rozbrzmiewał wesołymi głosami. Czuję się coraz gorzej i gorzej – wreszcie wstałem, narzuciłem na siebie ubranie i zszedłszy cichutko w pończochach, odnalazłem macochę i upadłem jej nagle do nóg, błagając jak o szczególną łaskę, by mi spuściła porządne lanie za mój zły postępek, by uczyniła, co tylko zechce, byleby mnie nie skazywała na leżenie w łóżku przez tak nieznośnie długi czas. Ona jednak była najlepszą i najsumienniejszą z macoch, musiałem więc powrócić do swojej izby. Kilka godzin przeleżałem tam w pełni świadomości, czując się o wiele gorzej niż kiedykolwiek potem, nawet na skutek największych niedoli. Wreszcie musiałem zapaść w niespokojną, pełną koszmarów drzemkę; budząc się z niej powoli – jeszcze na wpół w snach pogrążony – otworzyłem oczy; izba, przedtem oświetlona słońcem, była teraz spowita w mrok. Uczułem natychmiast wstrząs przebiegający przez całe ciało; nic nie było widać, nic nie było słyhać, ale zdało mi się, że jakaś nadprzyrodzona dłoń spoczywa w mojej. Ręka zwisała mi na kołdrze, a bezimienny, niewyobrażalny, milczący kształt czy widmo, do którego dłoń owa należała, siedział

snadź tuż przy moim łóżku. Przez czas, który zdał się wiekiem wieków, leżałem zmrożony najpotworniejszym lękiem, nie śmiać cofnąć dłoni, choć ciągle myślałem, że gdybym tylko mógł o jeden cal ją poruszyć, prysłby straszliwy czar. Nie wiedziałem, w jaki sposób opuściła mnie wreszcie owa świadomość, lecz zbudziwszy się rankiem przypomniałem sobie to wszystko z drżeniem, a później przez całe dni, tygodnie i miesiące gubiłem się w zwodniczych próbach wyjaśnienia tajemnicy. Mało tego, do tej chwili często dręczył mnie owa zagadka.

Otóż wystarczyłoby odjąć tamten okropny lęk, a wrażenia, jakie przeżywałem wyczuwając nadprzyrodzoną dłoń w swojej własnej, stałyby się wielce podobne w swej dziwności do tych, których doświadczyłem budząc się i spostrzegając obejmujące mnie pogańskie ramię Queequega. Ale wreszcie, już na trzeźwo, wszystkie wypadki ubiegłej nocy zaczęły jeden po drugim powracać we wspomnieniu, przybierając kształt rzeczywistości; leżałem więc teraz, doznając tylko wrażenia komicznie kłopotliwej sytuacji. Albowiem choć usiłowałem odsunąć rękę Queequega – rozewrzeć jego oblubieńczy uścisk – on tulił mnie przez sen mocno, jak gdyby nic prócz śmierci nie mogło nas rozłączyć. Usiłowałem więc zbudzić go krzycząc: – Queequeg!« – ale jedyną odpowiedzią było chrapanie. Obróciłem się tedy na bok z szyją jakby ujętą w obroźę i nagle poczułem, że coś mnie z lekka zadrapało. Odrzuciwszy kołdrę ujrzałem tomahawk śpiący u boku dzikiego jak dziecko o twarzyczce z żelźca siekiery. „Masz babo placek – pomyślałem sobie – leżę w łóżku, w obcym domu, w biały dzień, z kanibalem tudzież tomahawkiem.” – Queeque-gu! Na litość boską, zbudź się, Queequegu! – Wreszcie, dzięki wielokrotnemu wierceniu się oraz donośnym i nieprzerwanym perswazjom na temat niestosowności tulenia, przezeń drugiego mężczyzny w sposób tak matrymonialny, udało mi się wydobyć z Queequega chrząknięcie. Zaraz też cofnął rękę, otrząsnął się cały niczym pies nowofundlandzki, który dopiero co wyskoczył z wody, i sztywny niby drzewce włócznie usiadł na łóżku patrząc na mnie i przecierając oczy, jakby sobie niezupełnie przypominał, skąd się tu wziął, chociaż niejasna myśl, że coś mu o mnie wiadomo, wydawała się z wolna świtać w jego głowie. Ja tymczasem leżałem, spokojnie mu się przyglądając bez żadnych już poważniejszych obaw, zdecydowany obserwować tak ciekawą istotę. Kiedy nareszcie uświadomił sobie widocznie charakter swego towarzysza łoża i jakoś pogodził się z tym faktem, zeskoczył na podłogę i za pomocą pewnych znaków oraz dźwięków dał mi do zrozumienia, że jeśli mi to dogadza, ubierze się pierwszy, a następnie pozwoli się ubrać mnie, pozostawiając cały apartament do mojej dyspozycji. „Queequegu – pomyślałem sobie – w tej sytuacji to wielce cywilizowani oferta” – ale bo też, co prawda – mówcie sobie, co chcecie – ci dzicy mają jednak wrodzone poczucie delikatności; to wprost zadziwiające, jak bardzo są uprzejmi. Te słowa uznania składam specjalnie Queequegowi, ponieważ potraktował mnie z tak wielką grzecznością i względami, podczas gdy ja zawiniłem ogromnym nieokrzesaniem, przyglądając mu się z łóżka i śledząc wszelkie jego poczynania przy rannej toalecie; chwilowo ciekawość moja wzięła bowiem górę nad dobrym wychowaniem. Nie co dzień jednak widzi się takiego człowieka jak Queequeg; on sam i jego sposób bycia był więc doprawdy godzien niezwyklej uwagi.

Ubieranie się rozpoczął od góry, wdzwiewając bobrowy kapelusz (bardzo wysoki kapelusz, należy dodać), a następnie, nadal bez spodni, odszukał swe buty. Po co. u Boga Ojca to uczynił, powiedzieć nie potrafię, ale następnym jego posunięciem było wtłoczenie się pod łóżko z butami w rękę i w kapeluszu na głowie. Tam, jak mogłem wnosić z sapania oraz przeróżnych gwałtownych odgłosów znamionujących srogi wysiłek, podjął ciężki trud obuwania się, mimo że nigdy nie słyszałem o żadnych regułach obyczajności, które by komukolwiek nakazywały odosobnienie w chwili wdzwiewania butów. Ale, widzicie, Queequeg był istotą znajdującą się w stadium przejściowym – ani gąsienicą, ani motylem. Był akurat na tyle cywilizowany, by wykazać swoje barbarzyństwo w sposób możliwie najdziwniejszy. Edukacja jego nie była jeszcze ukończona. Był ledwie studentem. Gdyby nie ten mierny stopień cywilizacji, jakim się jednak odznaczał, najprawdopodobniej nie kłopotałby się w ogóle butami; ale też gdyby nie był jeszcze dzikusiem, nawet by mu się nie śniło włożyć pod łóżko, by je nałożyć. Wynurzył się wreszcie stamtąd w kapeluszu mocno wygniecionym i wbitym na oczy, po czym zaczął skrzypieć i kuśtykać po pokoju; widać nie był zbyt do obuwia przyzwyczajony i owa para przemoczonych, pomarszczonych butów z surowej krowiej skóry, najpewniej nie robionych na obstalunek, musiała go uwierać i dręczyć przy pierwszych krokach stawianych w dojmująco chłodny poranek.

Zauważyłem, iż okno nie posiada firanek, a ponieważ ulica jest bardzo wąska, z domu naprzeciwko można dokładnie dojrzeć, co się dzieje w pokoju; toteż uświadamiając jak dalece nieprzystojna jest postać Queequega krzątającego się tam i sam bez żadnego niemal przyodziewku poza kapeluszem i butami – począłem go błagać, jak tylko umiałem, by nieco przyspieszył toaletę, a w szczególności co rychlej włożył w swoje pantalony. Zastosował się do tego, po czym przystąpił do mycia.

O tej porze dnia każdy chrześcijanin obmyłby sobie oblicze, ale Queequeg zadowolił się, ku mojemu zdumieniu, ograniczeniem ablucji do piersi, ramion i dłoni. Następnie włożył kamizelkę i wzięwszy kawałek twardego mydła z owej umywalni stołu, zanurzył je w wodzie i począł mydlić sobie twarz. Śledziłem go z uwagą, by się przekonać, gdzie przechowuje brzytwę, a ten, wystawcie sobie, bierze harpun stojący koło łóżka, wyciąga zeń długie drzewce, zdejmując pokrowiec z grotu, który chwilę ostrzy na podeszwie i podszedłszy do owego kawałka lustra opartego o ścianę, rozpoczyna energiczne golenie czy też raczej harpunowanie swoich policzków. „No, Queequegu – pomyślałem sobie – to się nazywa w pełni korzystać z najlepszych wyrobów stalowych Rogersa!” Później mniej już się dziwiłem owej operacji, gdy uświadomiono mnie, że jak wyborowej stali sporządzany jest grot harpuna i w jak niesłychanej ostrości są zawsze utrzymywane długie, proste jego krawędzie.

Queequeg szybko ukończył pozostałą część toalety i dumnie wymaszerował z pokoju owinięty w obszerną kurtę pilota, dzierżąc w rękę harpun jak marszałkowską buławę.

## ROZDZIAŁ V

### ŚNIADANIE

Szybko udałem się w jego ślady i zszedłszy do szynku, uprzejmie zagadnąłem oberżystę. Nie żywiłem wobec niego żadnych nieprzyjemnych uczuć, choć niezgorszego mi spłatał figla w związku z moim towarzyszem łoża.

Dobry śmiech to jednakże wyborna rzecz i w dodatku raczej zbyt rzadka; tym gorzej, że tak jest. A więc jeśli ktokolwiek może swą własną osobą dostarczyć komuś materiału do przedniego żartu, niechże się nie wzdraga, ale niech, z tego sam pogodnie korzysta i pozwoli innym wykorzystać się w ten sposób.

Bądźcie też pewni, że w człowieku, który ma w sobie jakiś rys godny szczodrego śmiechu, tkwi coś więcej, niż się tego może spodziewać.

Szynk już był pełen gości, którzy przybyli ubiegłej nocy i którym jeszcze się dotąd dobrze nie przyjrzałem. Niemal wszyscy byli wielorybnikami; pierwszymi, drugimi czy trzecimi oficerami, cieślami okrętowymi, pokładowymi bednarzami, morskimi kowalami, harpunnikami i dozorcami statków; krzepka i ogorzała kompania o krzaczastych brodach, obrośnięta, niestrzyżona banda przybrana w marynarskie kurty miast rannych szlafroków.

Można było dość dokładnie określić, od jak dawna każdy z nich przebywa na lądzie. Zdrowe policzki tego tu młodzieńca podobne są w kolorze do gruszki nagrzonej promieniami słońca; zdaje się, że muszą wydawać równie pyszną woń. Nie mógł wylądować dawniej niż trzy dni temu po swoim rejsie do Indii. Mężczyzna obok niego wydaje się o kilka tonów jaśniejszy; można by powiedzieć, iż cera jego ma coś z odcienia drzewa satynowego. Na obliczu trzeciego błąka się jeszcze tropikalna opalenizna, jednak już nieco zbielała; ten z pewnością przebywa na lądzie od całych tygodni. Lecz któż mógłby pokazać taki policzek jak Queequeg? Policzek, który, znaczone różnorodnymi barwami, zdaje się jak zachodnie stoki Andów ukazywać za jednym zamachem, strefa przy strefie, kontrastujące klimaty.

– Do jadła! – zakrzyknął właśnie oberżysta rozwierając na oścież drzwi; udaliśmy się więc na śniadanie.

Mówią, że ludzie, którzy świat zjeździli, zyskują przez to pełną swobodę bycia, stają się opanowani w towarzystwie. Nie zawsze jednak; Ledyard, wielki podróżnik z Nowej Anglii, oraz Mungo Park ze Szkocji odznaczeni się w bawialni najmniejszą ze wszystkich pewnością siebie. Ale też może i zwykłe przemierzenie Syberii w sankach ciągniętych przez psy, czego dokonał Ledyard, lub długa, samotna wędrówka o pustym żołądku poprzez murzyńskie serce Afryki, do czego sprowadzały się wyczyny biednego Mungo – to rodzaj podróży, powiadam, który nie jest najdoskonalszym sposobem osiągnięcia wielkiego towarzyskiego poloru. Jednakże w większości wypadków przymiot tego rodzaju można nabyć gdziekolwiek bądź.

Refleksje powyższe wywołała okoliczność, że gdy już wszyscy zasiedliśmy za stołem, a ja gotowałem się na wysłuchanie jakichś dobrych opowieści o połowach wielorybów, ku niemałemu mojemu zdziwieniu niemal wszyscy zachowywali głębokie milczenie.

Mało tego; wyglądali na zaambarasowanych. Tale; oto zebrała się tu czereda wilków morskich, z których wielu na pełnym morzu bez cienia nieśmiałości uderzało na olbrzymie wieloryby – całkowicie im nieznanym – i bez zmrużenia oka, potykało się z nimi w śmiertelnym pojedynku; a przecie siedzieli tu za stołem przy wspólnym śniadaniu – wszyscy złączeni tym samym powołaniem i pokrewnymi upodobaniami – spoglądając wzajem na siebie nieporadnie, jak gdyby nigdy się nie oddalali od jakowegoś pastwiska wśród Gór Zielonych. Ciekawy to był widok, te bojaźliwe niedźwiedzie, ci nieśmiali a wojowniczy wielorybnicy!

Co zaś do Queequega – no, ten siedział tam między nimi zimny jak sople lodu – i to u samej góry stołu; tak się akurat przydarzyło. Nie ma dwóch zdań, że nie mógłbym powiedzieć wiele dobrego o jego wychowaniu. Nawet największy jego wielbiciel nie potrafiłby usprawiedliwić faktu, iż zabrał on z sobą na śniadanie harpun i używał go bez żadnej ceremonii sięgając nim przez stół po befsztyki, co bezpośrednio *zagrozało* głowom współbiedniaków. Czynił to jednakże bez wątpienia ogromnie chłodno i spokojnie, a każdy wie, że zdaniem większości ludzi, robić coś w sposób chłodny, znaczy robić to wykwinnie.

Nie będziemy tu mówić o wszystkich osobliwościach Queeque-ga; o tym, jak unikał kawy i gorących bułeczek poświęcając niepodzielnie uwagę owym swoim prawie surowym befsztykom. Dość powiedzieć, że gdy śniadanie się skończyło, a ja wyskoczyłem na przechadzkę, on wycofał się wraz z innymi do izby ogólnej, zapalił fajkę-tomahawk i zasiadł w swym nieodłącznym kapeluszu na głowie, spokojnie oddając się trawieniu i paleniu.

## ROZDZIAŁ VI

### ULICA

Choć doświadczyłem zdumienia widząc po raz pierwszy tak dziwaczne indywiduum jak Queequeg obracające się pośród kulturalnej społeczności cywilizowanego miasta, zdumienie owo rychło mnie opuściło, gdy udałem się na pierwszą przechadzkę przy dziennym świetle po ulicach Nowego Bedfordu.

Każdy znaczniejszy port morski często daje możliwość ujrzenia na arteriach znajdujących się w pobliżu doków najosobliwszych cudaków z obcych stron. Nawet na Broadwayu i Chestnut śródziemnomorscy majtkowie czasem potrącają przerażone damy. Regent Street nie jest obca Laskarom i Malajom, w Bombaju, w Apollo Green prawdziwi Jankesi nieraz już przestraszyli krajowców. Ale Nowy Bedford bije wszystkie Water Streets czy Wappingi.

W tych ostatnich widuje się tylko marynarzy, natomiast w Nowym Bedfordzie prawdziwi ludożercy stoją gwarząc na rogach ulic; są to zupełne dzikusy, z których wielu nosi jeszcze na swych kościach świętokradcze ciało. Na taki widok obcy przybysz szeroko oczy otwiera.

Ale oprócz mieszkańców Fidżi i Tongatabu, prócz Erromangoanów, Pannangian i Briggiańczyków, oprócz dzikich okazów wielorybników wałęsających się po ulicach bez zwracania niczyjej uwagi, możecie tu zobaczyć inne widoki, jeszcze ciekawsze, a z pewnością bardziej zabawne. Co tygodnia przybywają do tego miasta dziesiątki niedoświadczonych chłopaków z Vermontu i New Hampshire, spragnionych zysku i chwały na polu rybołówstwa. Są to przeważnie mężczyźni młodzi, o krzepkiej budowie; chłopcy, które zwały lallsy, a teraz pragną odrzucić topór i wziąć się za wielorybniczą lancę. Wielu z nich jest jeszcze zupełnie niedojrzałych, równie zielonych jak owe Góry Zielone, z których przybywają. W niektórych sprawach wiek ich wydaje się nie przekraczać kilku godzin. Popatrzcie tylko na tego chłopaka skręcającego za róg ulicy. Ma on bobrowy kapelusz i kurtkę w kształcie jaskółczego ogona, przepasaną marynarskim pasem, u którego zwisa nóż w pochwie. A oto nadchodzi inny w brezentowym żeglarskim kapeluszu i płaszczu z bombazyny.

Żajden miejski dandys nie może się równać z wiejskim elegantem – mam na myśli takiego eleganta od krów, który w okresie kanikuły będzie kosił swoje dwa akry w kozłowych rękawiczkach z obawy, by nie opalić sobie dłoni. Kiedy taki wiejski wytwornis uprze się, że musi sobie zdobyć świetną reputację, i kiedy zabierze się do wielorybnictwa – wtedy warto widzieć, co za komiczne rzeczy wyprawia przybywszy do portu. Zamawiając morski strój, każe sobie przyszyć guziki ze spiżu do kamizelek oraz strzemiączka do płóciennych spodni. Ach, biedna Kopko Siana! Jakże sromotnie popękają ci owe strzemiączka w pierwszą wyjącą dmę, kiedy razem z twoimi guzikami i strzemiączkami wtłoczony zostaniesz w gardziel nawałnicy!

Nie sądzcie jednak, że to słynne miasto ma do pokazania zwiedzającym tylko harpunników, ludożerców i prostaków. Bynajmniej. W ogóle Nowy Bedford to dziwne miejsce. Gdyby nie my, wielorybnicy, ów szmat ziemi byłby dziś może w równie

opłakany stanie jak wybrzeże Labradoru. A i tak nawet, pewne jego okolice wystarczą, by kogoś przerazić, do tego stopnia są wynędzniałe. Samo miasto to może najkosztowniejsze miejsce pomieszkania w całej Nowej Anglii. Prawda, że to kraina oleju, ale przecie niepodobna do Kanaan, będącego krajem ziarna i wina. Ulice nie spływają mlekiem, a wiosną nie brukuje się ich świeżymi jajami. Mimo to jednak nigdzie w całej Ameryce nie znajdzie się większej liczby domów godnych patrycjuszy, parków i ogrodów bujniejszych niż w Nowym Bedfordzie. Skąd się wzięły? Jakże je zasadzono w tym niegdyś tak chudym, żuźlem pokrytym kraju?

Pójdźcie popatrzeć na żelazne emblematy harpunów wokół owego wyniosłego budynku, a znajdziecie odpowiedź na swoje pytanie. Tak, wszystkie te okazałe domy i kwietne ogrody z Atlantyku, Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego biorą swój początek. Każdy z nich został tu ściągnięty harpunem z dna morskiego. Czyż sam Aleksander potrafiłby dokonać podobnego czynu?

Mówią, że w Nowym Bedfordzie ojcowie rodzin dają córkom w posagu wieloryby, a każdą ze swych siostrzenic obdarowują kilkoma delfinami. Po to, by ujrzeć świetne weselisko, winniście udać się do Nowego Bedfordu, bowiem, jak powiadają, są tam w każdym domu rezerwuary oleju i co wieczór wypala się rozrzutnie ile wola świec obrotowych.

W czas lata miasto uroczy przedstawia widok; pełno tam wspaniałych jaworów, tworzących długie aleje z zieleni i złota. W sierpniu zaś strzeliste, piękne i bujne kasztany, kandelabrom podobne, wyciągają do przechodnia proste, spiczaste stożki zbitego kwiecia. Tak wszechmocną jest sztuka, która w wielu dzielnicach Nowego Bedfordu przykryła pysznymi terasami z kwiatów jałowe odpadki skalne odrzucone na bok w ostatnim dniu Stworzenia.

A kobiety z Nowego Bedfordu kwitną jak ich własne czerwone róże. Wszelako róże kwitną jedynie w lecie, natomiast cudna karnacja tych kobiet jest wiecznotrwała jak światło słoneczne na siódmym niebie. Nigdzie nie potraficie znaleźć równego rozkwitu, chyba w Salem, gdzie, jak mi powiadano, młode dziewczyny mają oddech tak wonny, że ich kochankowie-marynarze wyczuwają je o całe mile od lądu, jak gdyby zbliżali się do pachnących Moluków, a nie do owych purytańskich piasków.

## ROZDZIAŁ VII

### KAPLICA

W tymże Nowym Bedfordzie znajduje się Kaplica Wielorybników i niewielu jest takich posępnych rybaków, którzy by nie odwiedzili owego miejsca w dzień niedzielny mając niebawem wyruszyć na Ocean Indyjski czy Spokojny. Ja w każdym razie nie omieszkałem tego uczynić.

Powróciwszy z pierwszej porannej przechadzki wybiegłem znowu, specjalnie w tym celu. Niebo, przedtem czyste i mroźnie słoneczne, okryło się mgłą i poczęło mieść śniegiem pomieszanym z deszczem. Owinąwszy się w mą włochatą kurtę z sukna zwanego „niedźwiedzie futro” torowałem sobie drogę poprzez nieustępliwą zawieję. Wszedłszy do kaplicy znalazłem tam niewielką, rozproszoną grupkę wiernych składającą się z marynarzy, ich żon i wdów po żeglarzach. Panowała tu głucha cisza przerywana tylko od czasu do czasu wyciem nawałnicy. Każdy z milczących wiernych zdawał się rozmyślnie zajmować miejsce z dala od drugiego, jak gdyby wszelka milcząca bolesć była wyspiarska i nieprzekazywalna. Kapelan jeszcze nie przybył i te milczące wysepki mężczyzn i kobiet siedziały, uparcie spoglądając na kilka marmurowych, czarno obrzeżonych tablic wmurowanych w ścianę po obu stronach kazalnicy. Trzy z nich miały napisy o mniej więcej następującym brzmieniu, choć nie twierdzę, że cytuję dosłownie:

*Poświęcono pamięci Johna Talbota  
który w wieku lat osiemnastu zginął na morzu  
opodal wyspy Desolation, w pobliżu Patagonii  
1 listopada 1836  
tę tablicę  
wmurowała dla uczczenia jego pamięci  
siostra*

*Poświęcono  
pamięci  
Roberta Longa, Willisa Ellery,  
Natana Colemana, Waltera Canny, Setha Macy  
oraz Samuela Gleiga  
którzy stanowiąc załogę jednej z szalup  
statku Eliza  
zostali odciągnięci przez wieloryba i zaginęli  
na łowiskach, przybrzeżnych  
Oceanu Spokojnego  
31 grudnia 1839  
ta marmurowa tablica  
została tu umieszczona przez ich ocalałych  
towarzyszy*

*Poświęcono  
pamięci  
kapitana Ezechiela Hardy  
który na dziobie swej łodzi został zabity  
przez kaszalota u wybrzeży Japonii  
3 sierpnia 1833  
tą tablicą  
wmurowała, by uczcić jego pamięć,  
wdowa*

Strząsnąłem mokry śnieg ze szklącego się lodem kapelusza i kurty, zasiadłem opodal drzwi i obróciwszy się w bok ujrzałem ku swemu zdziwieniu siedzącego przy mnie Queequega. Przejęty powagą miejsca miał twarz zdziwioną, zaciekawioną i pełną niedowierzania. Ten dziki był jedynym z obecnych, który zdał się zauważyć moje przybycie; był bowiem jedynym tu człowiekiem nie znającym liter, a zatem nie odczytywał owych lodowatych napisów na ścianie. Nie wiem, czy między zebranymi wiernymi znajdowali się jacyś krewni marynarzy, których nazwiska tam widniały, ale w czasie połowów bywa tak wiele niezapisanych wypadków, a w rysach twarzy obecnych tu kobiet, jeśli nawet nie w ich szatach, malowała się tak wyraźnie nieustająca, żałoba, iż miałem pewność, że oto tu przed oczami moimi zgromadzili się ci, w których niezagojonych sercach widok owych tablic pośpynych na nowo rozkrwawia żalem stare rany.

O wy, których zmarli spoczywają pod zieloną murawą, wy, którzy stojąc wśród kwiatów powiedzieć możecie: „tutaj, tu leży mój umiłowany!” Nie znacie strapienia, które gości w takich sercach. Ileż gorzkich niedomówień na tych czernią obrzeżonych marmurach, co żadnych nie kryją prochów! Jakaż rozpacz w owych oschłych napisach! Co za śmiertelna pustka, jaki mimowolny brak wiary w tych wierszach, co wszelką wiarę unicestwiać się zdają odmawiając zmartwychpowstania istotom, które zginęły nie wiedzieć gdzie, pozbawione grobu. Tajblisce te mogłyby równie dobrze stanąć w pieczarze Elefanty jak tutaj.

Do któregoż spisu żywych zaliczeni są zmarli rodzaju ludzkiego; czemu to powszechnie znane przysłowie powiada o nich, że nic nie mówią, choć znają więcej tajemnic niż piasku Goodwinu ; jak się to dzieje, że do imienia kogoś, kto wczoraj odszedł na tamten świat, dodajemy tak znaczące i pełne niewiary słowo, a jednak nie obdarzamy go podobnym tytułem, jeśli wyrusza w podróż do najodleglejszych Indii tej ziemi żywych; czemu towarzystwa ubezpieczeń wypłacają stawki od śmierci nieśmiertelnych; w jakim to wieczystym, niezakłóconym odrętwieniu, w jakim śmiertelnym, beznadziejnym bezwładzie spoczywa dotąd pradawny Adam, który pomarł okrągłe sześćdziesiąt stuleci temu; jak się to dzieje, że ciągle nie chcemy się utulić po stracie tych, o których przecie utrzymujemy, iż zaznają niewypowiedzianej szczęśliwości; dlaczego wszyscy żyjący takie czynią wysiłki, by stłumić, głosy zmarłych; czemuż jedna pogłoska o tym, że coś zakołatało w jakimś grobowcu, pogrąża w

przerażeniu całe miasto? Wszystkie te sprawy nie są pozbawione głębszego znaczenia.

Ale wiara, jak szakał, żeruje pośród grobów i nawet z tych śmiertelnych wątpliwości czerpie najżywotniejszą nadzieję.

Nie trzeba opisywać, z jakim uczuciem patrzałem na te marmurowe tablice w przeddzień wyjazdu do Nantucket i w mrocznym świetle pociemniałego, ponurego dnia odczytywałem losy wielorybników, którzy odeszli przede mną. Tak, Izmaelu, ten sam los może stać się twoim udziałem. Ale jakoś rozpogodziłem się znowu. Rozkoszna to zachęta do wyprawy, wyborne perspektywy awansu, jak się zdaje; zaiste, strzaskana łódź da mi patent na nieśmiertelność. Tak, śmierć tkwi w tym wielorybnicznym rzemieśle – bezmowne, szybkie, chaotyczne załadowanie człeka do Wieczności. Ale co potem? Coś mi się widzi, żeśmy się grubo pomylili w tych sprawach Życia i Śmierci. Coś mi się widzi, że to, co tu, na ziemi, nazwano moim 'cieniem, jest moją właściwą treścią. Tak mi się wydaje, że gdy oglądamy rzeczy duchowe, zbyt się upodabniamy do ostryg, które przypatrując się słońcu poprzez wodę, sądzą, że ta zwarta toń jest najprzejrzystszym powietrzem. Zdaje mi się, że ciało moje to jedynie osad lepszej części mojej istoty. Toteż niech ciało moje zabiera, kto zechce, niech je zabiera, powtarzam; ono mną nie jest. I dlatego niech żyje Nantucket! A strzaskanie łodzi i strzaskanie ciała niech przyjdzie kiedy wola; albowiem duszy mojej nawet sam Jowisz roztrzaskać nie jest w stanie.

## ROZDZIAŁ VIII

### KAZALNICA

Nie siedziałem tam zbyt długo, gdy do kaplicy wszedł jakiś mężczyzna czcigodnej, krzepkiej postaci. Ledwie zatrzasnęły się za nim tairgnięte wichrem drzwi, a już spieszne i pełne szacunku spojrzenia, rzucone nań przez wszystkich zgromadzonych, dostatecznie przyświadczyły, że ten zacny starzec jest właśnie kapelanem. Tak, był to ów słynny Ojciec Mapple, nazywany tak przez wielorybników, których był wielkim ulubieńcem. Ongiś w młodości był marynarzem i harpunnikiem, lecz od wielu już lat poświęcił życie kapłaństwu. W czasie, który opisuję, Ojciec Mapple przeżywał właśnie pełną tężyzny zimę zdrowej starości, tego rodzaju starości, co zdaje się przechodzić w drugą, kwitnącą młodość; albowiem między licznymi bruzdami jego zmarszczek przeświecały łagodne błyski panownego kwitnienia – niby wiosenna zieleń, która przeziara nawet poprzez lutowe śniegi. Nikt, kto uprzednio zasłyszał jego historię, nie mógł oglądać Ojca Mapple po raz pierwszy bez najwyższego zaciekawienia, ile że tkwiły w nim pewne, jak na kapłana, osobliwości, które należało położyć na karb pełnego przygód żeglarskiego życia, jakie wiódł niegdyś. Zauważyłem, kiedy wszedł, że nie miał parasola i z pewnością nie przybył tu kareta, gdyż jego brezentowy kapelusz ociekał topniejącym śniegiem, a obszerna kurta z grubego marynarskiego sukna zdawała się niemal przytłaczać go do ziemi brzemieniem wody, którą przesiąknęła. Jednakże zdjął kolejno kapelusz, kurtę oraz kalosze i zawiesiwszy zwierzchnią odzież w pobliskim wolnym kącie, ubrany przyzwoicie, zbliżył się spokojnie do kazalnicy.

Jak większość staroświeckich kazalnicy, była ona bardzo wyniosła, a ponieważ zwykle schody wznosząc się do podobnej wysokości utworzyłyby długi kąt z podłogą, przez to poważnie uszczuplając i tak już niewielką przestrzeń kaplicy, architekt żar stosował się snadź do wskazówek Ojca Mapple i pozostawił kazalnicę bez schodów zastępując je pionową, boczną drabinką, podobną do tych, jakich używa się przy wchodzeniu z łodzi na pokład okrętu. Małżonka, któregoś z wielorybniczych kapitanów wyposażyła kaplicę w ładną parę linek z czerwonych włókien, przeznaczonych na poręcze dla owej drabinki, która pięknie u góry zakończona, bejcowana na kolor mahoni, w całości nie wydawała się bynajmniej w złym guście, zwłaszcza gdy się wzięło pod uwagę, jakiego rodzaju to była kaplica. Ojciec Mapple zatrzymał się na chwilę u stóp drabinki, ujął oburącz ozdobne gałki linek, rzucił w górę spojrzenie, a następnie z prawdziwie marynarską, choć nie pozbawioną dostojeństwa zwinnością, chwytając kolejno coraz wyżej dłońmi poręcze, wspinał się po stopniach, jak gdyby wstępował na mars głównego masztu swego okrętu.

Pionowe części drabinki, jak to zwykle bywa z drabinkami wiszącymi, sporządzone były z obszytej sukna liny; tylko stopnie miała drewniane, a przy każdym z nich umieszczone było wiązadło. Gdy po raz pierwszy rzuciłem okiem na kazalnicę, nie uszło mojej uwagi, że owe wiązadła, jakkolwiek stosowne na okręcie, w tym wypadku wydawały się zbędne. Nie byłem bowiem przygotowany na to, że Ojciec Mapple znalazłszy się na górze obróci się z wolna i wychylony przez poręcz starannie wciągnie

stopień za stopniem drabinę, która złożona w całości wewnątrz kazalnicy czyniła go nietykalnym w owej małej fortecy.

Zastanawiałem się czas pewien, nie bardzo rozumiejąc, jaki był powód po temu. Ojciec Mapple cieszył się tak powszechną opinią prostoty i świątobliwości, iż nie mogłem go podejrzewać o zdobywanie sobie rozgłosu przez zwykłe teatralne sztuczki. „Nie – pomyślałem – musi być jakaś rozsądna tego przyczyna; co więcej, musi to symbolizować coś niedostrzegalnego. Czy aby owym aktem fizycznej izolacji nie chce on zaznaczyć swego duchowego oderwania się na tę chwilę od wszelkich zewnętrznych, światowych więzów i stosunków? Tak, pojmuję; owa kazalnica, napelniona chlebem i winem Słowa, jest dla wiernego sługi bożego twierdzą samą w sobie – wyniosłym Ehrenbreitsteinem o wieczystym źródle wody bijącym wewnątrz murów.”

Ale drabinka nie była jedyną osobliwością owego miejsca, zapożyczoną z dawnych morskich wędrówek kapelana. Pomiedzy marmurowymi kenotafami, umieszczonymi po obu stronach kazalnicy, ściana stanowiąca jej tło przyozdobiona była wielkim malowidłem, na którym wspaniały okręt zmagał się ze straszliwą nawałnicą, gnającą go na czarne skały okryte śnieżną kipielałą bałwanów. A wysoko ponad rozpedzonymi obłokami i przetaczającą się czarną chmurą unosiła się mała wysepka słonecznego blasku, z której jaśniało oblicze anioła, ta zaś świetlista twarz rzucała na pokład skolatanego okrętu wyraźną promienistą plamę, nieco podobną do owej srebrnej płytki wprawionej obecnie w deski pokładu „Victory” w miejscu, gdzie padł Nelson. „Ach, szlachetny korabiu – zdawał się mówić anioł – walcz, walcz dalej, o ty wspaniały okręcie; niechaj cię wiedzie twój śmiały ster – albowiem spójrz! Oto już słońce przeziera, chmury pierzchają i najpogodniejszy lazur wrychle się ukaze.”

Kazalnica również nie była pozbawiona śladów tego samego marynarskiego smaku, którego wytworem była drabinka i obraz. Jej zdobiony filungami przód wykonano na podobieństwo pionowego dziobu okrętu, a Pismo święte spoczywało na zawile ornamentowanym występie naśladowującym rzeźbioną sztabę przednią.

Cóż mogło być bardziej wymowne? Przecie kazalnica jest zawsze najbardziej w przód wysuniętą częścią tej ziemi; wszystko inne postępuje za nią – kazalnica prowadzi świat. Stamtąd właśnie najpierw się postrzega burzę żywego gniewu bożego i ten dziób musi wytrzymać pierwsze jej uderzenie. Stamtąd właśnie zanosi się wezwanie do Boga, który włada, dobrym i złym wiatrem, by zesłał nam wiatr pomyślny. Tak, świat jest okrętem, który wypłynął w podróż, w rejs bez końca, a kazalnica jest jego dziobem.

## ROZDZIAŁ IX

### KAZANIE

Ojciec Mapple powstał i spokojnym, władczym, choć nie zuchwałym głosem nakazał rozproszonym ludziom, by się skupili pod kazalnicą.

– Wy z tamtego przejścia od sterbortu! Zbliźcie się do bakbortu! Ci z przejścia od bakbortu do tych ze sterbortu! Wszyscy na śródokręcie, na śródokręcie!

Między ławkami rozległo się przyciszone szuranie ciężkich butów marynarskich oraz delikatniejszy szelest trzewików kobiecych, po czym znowu zapadła, cisza, a oczy wszystkich zwróciły się na kaznodzieję.

Ten milczał przez chwilę, następnie przyklęknął w dziobie kazalnicy, złożył swe wielkie ogorzałe dłonie na piersiach, wznosił przymknięte oczy i począł się modlić tak głęboko i żarliwie, iż zdało się, że klęczy i modli się na dnie morza.

Skończywszy modlitwę, głosem przeciągłym i uroczystym, podobnym do ustawicznego dzwięczenia dzwonu na okręcie tonącym na morzu pośród mgły – takim właśnie tonem począł odczytywać następujący hymn; przy końcowych strofach głos jego zmienił jednak brzmienie i buchnął grzmiącym tryumfem i radością:

*Nade mną groźne zebra wieloryba  
Tworzyły mroku straszego sklepienie,  
Gdy fale, złote słońcem bożym, gnały  
Mimo, wciągając mnie w głąb na stracenie.*

*Rozwartą gardziel widziałem piekielną,  
Co mnie wnet mnóstwem mąk, cierpień osaczy;  
Tylko kto czuł je, wyrazić je zdoła –  
I pogrzyżłem się cały w rozpacz.*

*W srogim strapieniu wzniosłem głos do Boga,  
Co go zwać moim ledwo mogłem chyba,  
Lecz on nakłonił do mej prośby ucha –  
I już nie jestem więźniem wieloryba.*

*Jak na promiennym niesiony delfinie  
Pan mi najspieszniej pomocy udziela;  
Strasznie, lecz jasno jako błyskawica  
Lśniła twarz mego Boga – Zbawiciela.*

*Niechaj pieśń moja uwieczni godzinę  
Tego straszego dnia i radosnego;  
Chwała mojemu Bogu niechaj będzie  
I miłosierdziu, i potędze Jego.*

Niemal wszyscy połączyli swe głosy i hymn wzbił się wysoko ponad wycie wichru. Nastąpiła teraz krótka chwila ciszy; kaznodzieja z wolna przewracał kartki Biblii i wreszcie, położywszy rękę na właściwej stronie, rzekł:

Umiłowani koledzy żeglarze, zarzućcie linę na ostatni wiersz pierwszego rozdziału z Jonasza: „I przysposobił Pan rybę wielką żeby połknęła Jonasza”.

Koledzy marynarze, ta oto księga, ledwie cztery zawierająca rozdziały – cztery nici – jest jednym z najdrobniejszych włókien w potężnej linie Pisma świętego. Wszelako jakież to głębiny duszy sonduje dalekosiężna lina Jonaszowa! Jakże brzemienna w skutki jest nauka, której udziela nam ten prorok! Jak wzniosły jest ów hymn zanoszony z trzewi wieloryba! Jakże burzliwy i wspaniały, bałwanom morskim podobny! Czujemy, jak odmęty piętzą się nad nami, wraz z nim pogrążamy się na muliste dno wód; otacza nas morska trawa i wszystek szlam morza! Ale jakież to nauki udziela nam ona księga Jonaszowa? Dwojaka to nauka, koledzy marynarze, nauka dla nas wszystkich, jako ludzi grzesznych, a wraz i nauka dla mnie, który jestem pilotem Boga żywego. Jest ona nauką dla nas wszystkich, którzyśmy grzeszni, albowiem powiada o grzechu, zatwardziałości serca, o nagle zbudzonej trwodze, rychliwej karze, o skrusze, modlitwie i na koniec o wybawieniu i radości Jonasza. Podobnie jak to bywa ze wszystkimi grzesznikami spośród ludzi, grzech onego syna Amittaja polegał na samowolnym nieposłuszeństwie wobec rozkazu Bożego – mniejsza teraz o to, jakim był ów rozkaz i w jaki został przekazany sposób – który on uznał za uciążliwy dla siebie. Wszelako pomnijcie dobrze, iż wszelkie rzeczy, które z woli Boga czynić winniśmy, są dla nas uciążliwe, i dlatego to częściej On nam rozkazuje, niżli próbuje perswadować. Więc jeśli słuchamy Boga, musimy nie słuchać samych siebie i na tymże właśnie niesłuchaniu polega uciążliwość stosowania się do woli Bożej.

Nosząc w sobie ów grzech nieposłuszeństwa, Jonasz dalej Bogu urąga usiłując zemknąć przed Nim. Sądzi, iż nawa przez ludzi uczyniona zanieśie go do takowych krain, którymi nie Bóg włada, jeno kapitanowie tej ziemi. Kryje się po przystaniach Joppy i poszukuje okrętu, który by odpływał do Tarsisu. W tym tai się może niedostrzeżone dotychczas znaczenie. Ze wszystkiego wynika, iż Tarsis nie innym był miastem, jak dzisiejszym Kadyksem. Takie jest zdanie ludzi uczonych. A gdzież leży Kadyks, koledzy? Kadyks leży w Hiszpanii, a jest to najodleglejszy kraj, do jakiego Jonasz mógł dotrzeć drogą morską w tych czasach starożytnych, kiedy Atlantyk był morzem niemal nieznanym. Albowiem Joppa, dzisiejsza Jaffa, znajduje się, koledzy moi, na najdalszym wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, na wybrzeżu syryjskim, Tarsis zaś, czyli Kadyks, leży o przeszło dwa tysiące mii stamtąd w kierunku zachodnim, tuż przy Cieśninie Gibraltarskiej. Czy więc nie postrzegacie, mili moi, iż Jonasz usiłował ująć przed Bogiem przez cały świat szeroki? O, nędzny! O, najgodniejszy pogardy i szyderstwa! W pomiętym kapeluszu, z wejrzeniem zdradzającym winowajcę, kryje się przed Bogiem swoim, grasuje między okrętami jak nikczemny złodziejaszek, nagłony pośpiechem, by się przeprawić za morze. A w takim jest wzburzeniu, tak bardzo sam jego wygląd go piętnuje, iż gdyby w czasach onych istniała policja, Jonasz zostałby pojmany, zanimby stopą dotknął pokładu, po prostu na podstawie podejrzenia o jakąś sprawkę nieczystą. Jakież to jasne, iż jest on zbiegiem!

Ani bagażu, ani pudła do kapeluszy, ani walizki czy sakwy podróźnej – ani przyjaciół, którzy by go żegnali na przystani! Nareszcie po wielu przemyślnych poszukiwaniach znajduje odpływający do Tarsisu okręt, na który właśnie ładują ostatnie towary: gdy zaś wkracza na pokład, by w kabinie pomówić z kapitanem, wszyscy majtkowie na chwilę zaprzestają wciągania na okręt ładunki, gdyż zauważyli złowieszcze wejrzenie przybysza. Jonasz to widzi; na próżno jednak usiłuje zachować pozór swobody i pewności siebie; próżno próbuje swego nędznego uśmiechu. Bystre wyczucie marynarzy upewnia ich, że człowiek ów nie jest niewinny. W swój krotochwilny, choć w istocie poważny sposób jeden szepcze do drugiego: „Jack, ten to ograbił wdowę!” albo: „Joe, miej na niego oko, to bigamista!” lub też: „Harry, słuchaj no, chłopie, coś mi się widzi, że to ów cudzołożnik, co wyrwał się z kazamat starej Gomory, albo też jeden ze Zbiegłych morderców z Sodomy!” Inny biegnie odczytać afisz zawieszony na palu nabrzeża, u którego przycumowany jest okręt; afisz ów obiecuje pięćset sztuk złota temu, kto pojmie ojcobójcę, oraz zawiera opis zbrodniarza. Marynarz czyta i spogląda to na afisz, to na nieznanego, podczas gdy wszyscy jego koledzy pojmując, o co idzie, tłoczą się już wokół Jonasza, gotowi nań rękę położyć. Strwożony Jonasz drży cały, a usiłując przywołać na twarz wszystką pewność siebie, tym bardziej wygląda na tchórza. Nie chce przyznać, iż jest podejrzewany, ale samo to już jest wielce podejrzane. Robi więc, co może, a gdy marynarze stwierdziwszy, iż nie jest tym, którego opisano, przepuszczają go, schodzi na dół do kabiny.

„Kto tam?” – woła kapitan zatrudniony przy biurku pośpiesznym gotowaniem papierów dla urzędu celnego. „Kto tam?” O, jakże owo niewinne pytanie dręczy Jonasza! Już niemal zawraca do ucieczki, ale bierze się w karby. „Pragnąłbym przeprowadzić się tym okrętem do Tarsisu. Czy rychło odpływacie, panie?” Do tej chwili zajęty pracą kapitan nie patrzył na Jonasza, choć ów stał przed nim; wszelako ledwie usłyszał głuchy głos, rzuca na przybysza badawcze spojrzenie. „Podnosimy kotwicę z następnym przyplływem” – odpowiada wreszcie z wolna, wciąż uważnie na Jonasza spoglądając. „Nie rychlej, panie?” „Dość to rychło dla każdego poczciwego człeka udającego się w podróż.” Ha, Jonaszu, oto cię znów ugodzono. Lecz Jonasz szybko odwołuje kapitana od tego tropu. „Popłynę z wami – powiada. – Ile wynosi opłata za przejazd? Zapłacę wam teraz.” Albowiem tak to wyraźnie zapisano, bracia moi, jakby to była rzecz, której w historii onej przeoczyć się nie godzi, iż „dał najem jego” wprzód, nim okręt żagle rozwinął. A w połączeniu z całością wielkiej to nabiera wymowy.

Otóż kapitan Jonasz był, koledzy moi, człkiem, którego roztropność pozwałała mu wykryć występki u każdego, wszelako chciwość ujawniała go jedynie u tych, co są bez grosza. Na tym świecie, najmilsi, Grzech, który płaci za drogę, może podróżować swobodnie i bez paszportu, ale Cnotę, jeśli jest uboga, na każdej zatrzymują granicy. Zatem kapitan ów gotuje się wybadać objętość Jonaszowej kiesy, zanim go otwarcie osądzi. Każe mu zapłacić sumę trzykrotnie większą niż zazwyczaj. Jonasz na to przystaje. Teraz kapitan wie już, że jest on zbiegiem, lecz jednocześnie postanawia dopomóc w ucieczce, która mości sobie drogę złotem. Wszelako gdy Jonasz sumiennie dobywa sakiewki, podejrzenia poczynają znowu nękać przezornego kapitana. Próbuje dźwięku każdej z monet, w poszukiwaniu podobnej. „Nie jest w każdym razie

falszerzem” – mruczy pod nosem i Jonasz zapisany zostaje na przejazd. „Wskażcie mi mą kajutę, panie – powiada teraz Jonasz. – Utrudzon jestem drogą i snu potrzebuję.” „Wyglądasz na to – rzecze kapitan. – Oto twoja kabina.” Jonasz wchodzi do wnętrza; chętnie by drzwi zamknął, lecz w zamku brak klucza. Kapitan słysząc, jak się tam niezdarnie gmerze, śmieje się z cicha do siebie i coś mruczy o drzwiach cel więziennych, których nigdy nie wolno zamykać od wewnątrz. W ubraniu i pyłem okryty Jonasz, tak jak stoi, rzuca się na koję i czuje, że powała małej kajuty niemal o czoło mu się opiera. Brak tu powietrza i Jonasz oddycha ciężko. I wtedy, w tej ciasnej dziurze, poniżej linii zanurzenia statku, Jonasz doznaje wieszczego przeczucia onej dławiącej godziny, kiedy to wieloryb trzymać go będzie uwięzionego w najwęższym ze swych jelit.

W kabinie Jonasza lampa wisząca, przykręcona na osi do grodzi, lekko się kołysze; a jako że okręt przechylił się ku nabrzeżu pod ciężarem ostatnich bel sukna, które nań załadowano, lampa owa tudzież płomień jej, choć lekko się poruszają, przecie stale zachowują ukośne położenie w stosunku do kabiny. Mimo że w rzeczywistości niechybnie są proste, tym bardziej wskazują, jak fałszywe, jak kłamliwe są wszelkie linie poziome, wśród których zawisły. Lampa niepokoi i trwoży Jonasza, gdy ten spoczywając na swej koi toczy udręczonym wzrokiem po owym pomieszczeniu – i oto ów zbieg, któremu dotąd wszystko szło pomyślnie, nie znajduje oparcia dla swego niespokojnego spojrzenia. Owa sprzeczność, którą dostrzega w lampie, coraz bardziej go przeraża. Podłoga, powała i grodzień – wszystko jest krzywe. „Ach – jęczy – tak właśnie zawisło we mnie sumienie moje! Prosto ono płonie; wszelako ściany duszy mojej całe są skrzywione!” Jako ten, który po nocy na pijaństwie spędzonej śpieszy do łóżka, jeszcze się zataczając, atoli już kłuty wyrzutami sumienia; jako rzymski żrebiec wyścigowy, co wyrrywając się naprzód, tym boleśniej Wbija w swe ciało stalowe kolce uprzęży; jako ów, który w srogim cierniu kołacze się i kołacze, zamroczon i utrapion wielce, błagając Boga o unicestwienie, dopóki nie minie atak, a nareszcie pośród kłębowiska udręczeń czuje, jak spływa nań głębokie odrętwienie; podobnie jak na człeka, z którego życie wraz z krwią uchodzi (albowiem sumienie jest raną i nie masz, co by ją zgoić mogło) – tak i Jonasz, po srogim pasowaniu się z sobą na owej koi, czuje, iż ogrom przytłaczającej niedoli pociąga go w otchłań snu.

Lecz oto nadszedł czas przyplwy; okręt udający się do Tarsisu odrzuca liny i nie zegnany niczym okrzykiem sunie cały przechylony na morze oddalając się od opustoszałej przystani. Ów okręt, przyjaciele moi, to pierwszy w dziejach przemytnik! Kontrabandą zaś jest Jonasz. Ale morze się buntuje; nie chce ono nosić tak nikczemnego brzemienia. Nadciąga sztorm straszliwy i okręt bliski jest rozbicia. I oto teraz właśnie, kiedy bosman wzywa całą załogę, aby odciążyć okręt, gdy przez burzę z łoskotem wylatują skrzynie, bale i kadzie, gdy wichur wyje, a ludzie wrzeszczą, każda zaś deska huczy od tupotu nóg tuż nad głową Jonasza – ten wśród onego opętanego zgiełku pogrążon jest w swym śnie ohydny. Nie widzi czarnego nieba i szalejącego morza, nie czuje, jak drżą szpanty, nie słyszy ani zważa, że oto z oddali sunie potężny wieloryb, który właśnie z rozwartą paszczką pruje fale w pogoni za nim. Tak, koledzy, Jonasz znajdował się pod ,pokładem, na koi w kabinie, jakem to rzekł, i spał twardo. Wszelako strwożony szyper przybiega doń i wrzeszczy mu w otępiałe ucho: „Cóż sobie myślisz?!

Powstańże, człecze śpiący!” Wyrwany z letargu przez ów krzyk okrutny, Jonasz słaniając się wstaje i wybiega na pokład niepewnymi stopy. Tam chwyta się want, by popatrzeć na morze. W tejże jednak chwili, jak pantera, skacze nań poprzez burzę bałwan ogromny. Fala za falą spada tak na okręt, a nie znajdując szybkiego ujścia, z hukiem szoruje od dziobu do rufy, niemal już zatapiając marynarzy, mimo że okręt utrzymuje się jeszcze na powierzchni. A gdy tylko z czerni, która w górze zawisła, błądy księżyc ukaże swe ulękle lico między stromymi rozpadlinami odmętów, osłupiały Jonasz. postrzega wzniesiony bukszpryt, to sterczący wysoko w górę, to znowu rychło w dół się walący ku oszalałej głębinie.

Coraz to nowy lęk krzykiem przeszywa duszę Jonasza. Zbyt już łatwo można rozpoznać po jego nikczemnej postawie, że to zbieg pierzchający przed Bogiem. Marynarze mają nań oko; coraz bardziej utwierdzają się w swych podejrzeniach i na koniec, by w pełni poznać prawdę, odwołują się w owej materii do Niebios wysokich i poczynają rzucać losy chcąc się dowiedzieć, z czyjej to przyczyny owa sroga burza na nich zstąpiła. Los wskazuje Jonasza; kiedy to wykryli, jakże wściekłymi zarzucają go pytaniami; „Czym się trudnisz? Skąd pochodzisz? Jaki kraj twój? Twój naród?” Owóż uważcie teraz, bracia żeglarze, zachowanie biednego Jonasza. Natarczywi majątkowie pytają go jedynie, kim jest i skąd przybywa; otrzymują zaś odpowiedź nie tylko na owe pytania, ale i inną jeszcze, na pytanie, którego nie zadali, odpowiedź nieproszoną, którą wymusza na Jonaszu spoczywająca na nim twarda ręka Boga.

„Jam Hebrajczyk! – woła. I dodaje: – Bojaźń czuję przed Panem i Bogiem Niebios, któren uczynił morze i ląd suchy!” Bojaźń przed Nim czujesz, o, Jonaszu? Zaprawdę, słusznie mogłeś się natenczas lękać Pana Boga! I już nie mieszkając rozpoczyna Jonasz pełną spowiedź, co marynarzy coraz bardziej trwoży, lubo nadal czują litość w sercach swoich. Gdy bowiem Jonasz nie błagając jeszcze Boga o miłosierdzie, jako że zbyt dobrze zna okropność czynów swoich, gdy nieszczęsny Jonasz woła, by go chwycili i wrzucili do morza, ile że pojmuje, iż z jego to powodu przyszła na nich ona potężna nawałnica – ci miłosiernie się odeń odwracają usiłując ratować okręt innymi sposobami. Wszystko jednak daremnie; coraz to potężniej ryk srożącego się huraganu; za czym, wzniosłszy błagalnie do Boga jedno ramię, drugim – chociaż niechętnie – chwytają Jonasza.

I owóż popatrzcie, jako Jonasz pochwycon jest na kształt kotwicy i zrzucony w morze; w tejże chwili od wschodu oleista gładź rozpościera się na wodzie, morze cichnie, jako że wraz z Jonaszem niknie i burza pozostawiając za sobą gładką toń. Jonasz opadł na dno w wierze tak nieokiełznanej rozterki, iż nie zauważył nawet, kiedy, cały wzburzony, osunął się w ziejącą paszczę, która nań czeka, i oto wieloryb zatrzaskuje za nim swe zębiska, z których każdy jest jakby białym rygłem Jonaszowego więzienia. Natenczas Jonasz wznosi do Boga modlitwę z trzewi onego potwora. Lecz przypatrzcie się jego modlitwie i czerpcie z niej ważką naukę. Ponieważ bowiem zgrzeszył tak srodze, Jonasz nie płacze ani lamentuje, nie błaga o natychmiastowe wyzwolenie. Czuje, iż sprawiedliwą jest owa kara straszliwa. Pozostawia swe wybawienie Bogu, zadowolając się tym, że mimo całego cierpienia i udręki ciągle zawraca oczy ku Jego świętemu przybytkowi. I w tym właśnie, bracia żeglarze, jest rzetelna i wiary pełna

skrucha, nie wołająca o przebaczenie, ale wdzięczna za karę. A jak bardzo była ona miła Panu Bogu, to się pokazuje po ostatecznym wyzwoleniu Jonasza od morza i wieloryba. Zaprawdę, najmiłsi moi, nie stawiam wam przed oczy Jonasza, byście go naśladowali w grzechu jego, ale ukazuję go wam jako wzór skruchy i żalu. Nie grzeszcie; wszelako gdybyście zgrzeszyli, baczcie, byście umieli tak jak on żałować.

Gdy kaznodzieja wymawiał owe słowa, na zewnątrz kaplicy wycie huczącej, opętanej wichury jakby mu dodawało nowej mocy; opisując jonaszową burzę morską sam zdawał się być miotany nawałnicą. Jego szeroka pierś wznosiła się i opadała jak rozkolebane morze; wyciągnięte ramiona podobne były zmagającym się żywiołom, gromy, które toczyły się wokół jego ogorzałego czoła, błyskawice miotane przez oczy – wszystko to sprawiało, iż prostoduszni słuchacze spoglądali nań z dojmującym lękiem, który zazwyczaj był im obcy.

Teraz spokój zawitał na obliczu kapłana, który znowu począł milcząco przerzucać kartki Pisma świętego; po czym przez chwilę stał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, snadź rozmawiając z Bogiem i samym sobą.

Lecz oto znowu pochylił się w stronę zebranych i opuściwszy nisko głowę, z wyrazem najgłębszej, choć bardzo męskiej pokory, przemówił w te słowa:

– Bracia żeglarze, Bóg złożył na was jedną tylko ze swych dłoni; na minie zaś spoczywają obydwie. Otom wam wyłożył tę mizerną wiedzę, jaką posiadam, ową naukę, której Jonasz udziela wszystkim grzesznym, więc i wam, a bardziej jeszcze mnie samemu, jako żem większym od was grzesznikiem. Z jakąż radością zeszedłbym teraz z tego bocianiego gniazda, zasiadł tam na lukach, gdzie wy siedzicie, i słuchał, jako wy słuchacie, podczas gdy któryś z was wykladałby *mnie* tę inną, straszliwą naukę, której Jonasz udziela *mnie*, jako pilotowi Boga żywego. A mianowicie jak to Jonasz, namaszczony pilot-prorok, czyli głosiciel prawdy, otrzymawszy od Pana rozkazanie, by ona niepożądana prawda rozbrzmiała przezeń w uszach rozpustnej Niniwy, uląkł się wrogości, jaką by mógł obudzić, pierzchnął przed posłannictwem owym i usiłował się uchylić od obowiązku swego i umknąć przed Bogiem swoim wsiadając w Joppie na okręt. Lecz Bóg jest wszędzie i Jonasz nigdy nie dotarł do Tarsisu. Jakośmy widzieli, Bóg zstąpił nań poprzez wieloryba i pochłonął go zrzucając do otchłani zatracenia, bystrym spychając zakosem „w głębokości, w serce morza”, gdzie wirujące odmęty wessały go na dziesięć tysięcy sążni w głąb, gdzie „wodorosty głowę mu okręciły”, a cały wodny świat okropności przetaczał się nad nim. Lecz nawet stamtąd, spoza zasięgu jakiegokolwiek sondy – „z brzucha piekiel” – gdy już wieloryb opuścił się do samego jądra oceanu, nawet wtedy Bóg usłyszał wołanie zamkniętego w czeluści, żałującego za grzechy proroka. I Bóg przemówił do onego wieloryba, który z przenikliwego chłodu i pomroki toni morskiej wychynął na ciepłe i lube słońce, ku wszystkim rozkoszom powietrza i ziemi, oraz „wyrzucił Jonasza na suchą”. A oto po raz wtóry ozwał się głos Pana i Jonasz – potłuczeń i sińcami okryty, z uszami jako para muszli morskich jeszcze przepelnionymi mnóstwem szmerów oceanu – wykonał rozkazanie Wszechmocnego. A jakież ono było, bracia moi? Głosić Prawdę na przekór Fałszowi. Takie ono było!

To właśnie, przyjaciele moi, jest owa druga nauka i biada onemu pilotowi Boga żywego, który lekce ją sobie waży. Biada temu, którego świat od ewangelicznego

odwodzi obowiązku. Biada temu, kto usiłuje łać oliwę na fale, gdy Bóg rozkolebał je wichurą! Biada takiemu, który usiłuje raczej się przypodobać, niżli lęk budzić. Biada onemu, dla którego własne dobre imię więcej znaczy niż sama dobroć. Biada człękowi, który na tym świecie nie szuka wzdgardy! Biada temu, kto nie pozostanie wierny, nawet gdyby wiarołomstwo było mu ratunkiem! Zaprawdę, biada temu, któren – jak powiada ów wielki pilot Paweł – nauczając innych, sam pozostaje rozbitkiem!

Zwiesił głowę i zamilkł na chwilę, jakby duchem nieobecny; następnie znów podniósł na zebranych oczy, w których ukazała się radość ogromna, i zawołał z niebiańskim uniesieniem:

– Lecz, o, bracia żeglarze, na sterborcie każdego nieszczęścia znajduje się niechybnie szczęśliwość, a większa jest wysokość jej szczytów niżli głębia niedoli. Zaliż szczyt grotmasztu nie znajduje się na wysokości większej niż głębokość zanurzenia kilsonu? Szczęśliwość temu przypadnie – szczęśliwość wielce, wielce wzniosła i wewnętrzna – kto na przekór pysznym bogom i komodorom tej ziemi zawsze i nieugięte pozostanie sobą. Szczęśliwość temu przypadnie, kogo nadal podtrzymują własne krzepkie ramiona, kiedy korab tego podłego, fałszywego świata już pod nim zatonał. Szczęśliwość do tego należeć będzie, kto nie zna pardonu w walce o prawdę, kto zabija, wypala i niszczy wszelki grzech, choćby go miał wyrwać spod tog senatorów i sędziów. Szczęśliwość – szczęśliwość najwyższa temu, kto nie uznaje nijakiego prawa ani pana nad sobą, krom Boga, kto jest wyłącznie patriotą Niebios. Szczęśliwość temu, którego wszystkie fale i odmęty oceanów burzliwego motłochu nie strąca nigdy z onej bezpiecznej, odwiecznej nawy. Wieczysta szczęśliwość i rozkosz stanie się tego udziałem, kto w chwili zgonu może ostatnim swym tchnieniem rzec: „Ojcze, któryś mi dał się poznać przede wszystkim różgą swoją – oto umieram, czym śmiertelny, czyli też nieśmiertelny. Usiłowałem należeć do Ciebie bardziej niżli do świata, bardziej niżli do siebie samego. Nic to wszelako nie znaczy; pozostawiam wieczność Tobie, albowiem kimże jest człowiek, by miał żyć tak długo, jak Bóg jego?”

Kaznodzieja nie rzekł już nic więcej, lecz powoli uczynił ręką znak błogosławieństwa, ukrył twarz w dłoniach i tak trwał na klęczkach, dopóki wszyscy nie odeszli pozostawiając go samego w kaplicy.

## ROZDZIAŁ X

### PRZYJACIEL OD SERCA

Powróciwszy do obozu Pod Wielorybnikiem znalazłem tam osamotnionego Queequega, ponieważ opuścił on kaplicę na czas jakiś przed błogosławieństwem. Siedział przed ogniem na ławie wsparłszy stopy o krawędź paleniska; jedną ręką trzymał tuż przy twarzy swego małego murzyńskiego bożka spoglądając przenikliwie w jego oblicze i lekko ostrugując mu nos kozikiem, a jednocześnie coś nucąc na swą pogańską modłę.

Ponieważ mu przeszkodziłem, odłożył posążek i niebawem podszedł do stołu, z którego wziął dużą księgę. Zasiadł, umieścił ją sobie na kolanach i począł liczyć stronicę systematycznie i z zastanowieniem; przy każdej pięćdziesiątej, jak mi się zdawało, zatrzymywał się na chwilę, spoglądał bezmyślnie wokoło i wydawał z siebie przeciągły, bulgoczący gwizd zdumienia. Potem rozpoczął następną pięćdziesiątkę, najwyraźniej zaczynając liczenie od jedyńki, jak gdyby nie umiał rachować powyżej pięćdziesięciu, i dopiero znaczna liczba nagromadzonych pięćdziesiątek podniecała jego zdziwienie nad mnogością stronic.

Siedziałem śledząc go z wielkim zainteresowaniem. Choć był takim dzikusiem, a twarz miał paskudnie zeszpeconą – na mój gust przynajmniej – jego oblicze miało jednak w sobie coś, co wcale a wcale nie było nieprzyjemne. Nie sposób ukryć duszy. Mimo wszystkich owych niesamowitych tatuażów zdawało mi się, iż dostrzegam w nim oznaki prostego i zacnego serca; a w jego dużych, głębokich oczach, płomiennie czarnych i śmiałych, kryły się niejako znamiona ducha, który potrafiłby rzucić wyzwanie tysiącowi szatanów. A prócz tego w obejściu owego poganina było coś tak bardzo górnego, że nawet jego nieokrzese nie potrafiło tego całkowicie zagłuszyć. Wyglądał na człowieka, który nie płaszczył się nigdy i nigdy nie miał wierzyciela. Nie próbuję rozstrzygać, czy to dzięki zgoleniu włosów czoło jego odcinało się swobodniejszą i doskonalszą wypukłością wyglądając na bardziej rozłożyste, niż gdyby miał czuprynę; pewne jest jednak, iż frenologicznie głowa jego była znakomita. Może się to wydać śmieszne, ale przypominała mi głowę generała Waszyngtona, taką, jaką się widuje na popularnych popiersiach. Miała tę samą regularnie stopniowaną, cofającą się pochyłość, która zaczynała się ponad brwiami, równie silnie wysuniętymi, niby dwa gęsto na szczycie zadrzewione wzgórza.

Queequeg był to Jerzy Waszyngton w kanibalskim wydaniu.

Podczas gdy tak bacznie go obserwowałem, na wpół tymczasem udając, że wyglądam przez szyby na zawieję, on w ogóle nie zwracał uwagi na moją obecność, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by rzucić na mnie choć jedno spojrzenie; zdawał się być całkowicie pochłonięty liczeniem stronic owej cudownej księgi. Zważywszy, w jak przyjemny sposób przespaliśmy razem noc ubiegłą, a zwłaszcza pomnąc owo czułe ramię, które rankiem, przy obudzeniu, znalazłem zarzucone na siebie, pomyślałem, iż ta jego obojętność wielce jest osobliwa. Ale dzicy to dziwne istoty; czasami nie wiadomo właściwie, jak ich należy rozumieć. Zrazu przejmują grozą; ich spokojne skupienie i

prostota wydają się sokratyczną mądrością. Zauważyłem również, że Que-equeg nigdy albo prawie nigdy nie zadawał się z innymi żeglarzami w zajeździe. Nie czynił nikomu żadnych awansów; nie żywił snadź chęci rozszerzenia kręgu swoich znajomości. To wszystko uderzyło mnie jako wielce szczególne, jednakże po namyśle uznałem, iż jest w tym coś niemal wzniosłego. Tu oto był człowiek oddalony o jakieś dwadzieścia tysięcy mil od swego domu licząc przez Przylądek Horn, oczywiście – jako że była to droga, którą mógł się tam dostać – rzucony pomiędzy ludzi równie mu obcych, jak gdyby się znalazł na planecie Jowisz; a przecież zdawał się czuć zupełnie swobodnie, zachowywał najwyższą pogodę ducha, zadowalał się własnym towarzystwem, zawsze zrównoważony wobec samego siebie. Była w tym z pewnością odrobina jakiejś subtelnej filozofii, choć bez wątpienia on sam nigdy nie słyszał, iż istnieje coś podobnego. Ale może na to, żeby się stać prawdziwymi filozofami, my, zwykli śmiertelnicy, nie powinniśmy być świadomi, że do tego dążymy czy że tak żyjemy. Gdy tylko słyszę, iż ten czy ów podaje się za filozofa, wnioskuje zaraz, że podobnie jak owa staruszka cierpiąca na niestrawność, musiał zrujnować sobie żołądek.

Gdy tak siedziałem w tej opustoszałej teraz izbie, a ogień palił się małym płomieniem, osiągnąwszy owo łagodne stadium, kiedy po pierwszym natężeniu ogrzał powietrze i teraz żarzy się już tylko dla oka; gdy wieczorne cienie i zwidy gromadziły się wokół okiennych framug i spozierały na naszą milczącą, samotną dwójkę, na dworze zaś nawałnica nabrzmiewała uroczystym pomrukiem – wtedy to poczęłem zdawać sobie sprawę z dziwnego uczucia. Czułem mianowicie, iż coś we mnie topnieje.

Już moje rozdarte serce i dłoń oszalala nie zwracały się przeciw temu wilczemu światu. Ów kojący dzikus przyniósł ze sobą odkupienie. Oto siedział tam, a nawet jego obojętność mówiła o naturze, w której nie czai się żadna cywilizowana hipokryzja ani gładkie oszustwo. Był dziki; przedstawiał najbardziej niepospolity widok, a jednak zacząłem doń odczuwać tajemniczy pociąg. Te same rzeczy, które by odpychały większość innych ludzi, stanowiły właśnie magnes, który mnie przyciągał. „Pokosztuję pogańskiego druha – pomyślałem – skoro życzliwość chrześcijańska okazała się tylko pustą kurtuazją.” Przynalęm do niego ławkę i uczyniłem kilka przyjaznych gestów i znaków robiąc jednocześnie, co było w mojej mocy, aby nawiązać z nim rozmowę. Zrazu niewiele zwracał uwagi na owe awanse, lecz niebawem, gdy napomknąłem coś o jego zeszlonocej gościnności, dał mi do zrozumienia, że pragnie wiedzieć, czy mamy znowu być towarzyszami łoża.

Odpowiedziałem, że tak, co, jak mi się zdawało, sprawiło mu przyjemność, a może nawet pochlebiło mu nieco.

Następnie poczęliśmy razem przeglądać książkę, ja zaś usiłowałem wyjaśnić mu jej przeznaczenie oraz sens kilku ilustracji, jakie się w niej znajdowały. W ten sposób niebawem obudziłem jego zainteresowanie i z kolei wdaliśmy się, jak umieliśmy, w pogawędkę na temat rozmaitych widoków, które można było obejrzeć w tym sławnym mieście. Wkrótce zaproponowałem, byśmy coś razem zakurzyli; Queequeg więc, dobywszy swego woreczka z tytoniem i tomahawka, spokojnie mi go podsunął, bym się zaciągnął. Siedzieliśmy tak pykając na zmianę z tej jego cudacznej fajki, która regularnie między nami krążyła.

Jeżeli w piersi poganina taił się jeszcze jakiś lód obojętności w stosunku do mojej osoby, to nasze przyjemne, wspólne palenie rychło go stopiło czyniąc z nas druhów. Najwyraźniej odnosił się do mnie równie naturalnie i bez przymusu jak ja do niego; a kiedy skończyliśmy palić, przycisnął swe czoło do mojego, objął mnie w pół i oświadczył, iż odtąd jesteśmy sobie poślubieni, który to zwrot w jego kraju oznaczał, że jesteśmy przyjaciółmi od serca i że chętnie oddałby za mnie życie, gdyby zaszła po temu potrzeba. U rodaka tak nagły płomień przyjaźni wydawałby się mocno przedwczesny i znaczną budzący nieufność, ale do tego prostego dzikusa nie stosowały się owe stare prawidła.

Po wieczerzy i jeszcze jednej towarzyskiej pogawędce i paleniu udaliśmy się razem do naszego pokoju. Ofiarował mi w prezencie ową zabalsamowaną głowę, następnie wydobyl swój ogromny worek, poszperał pod tytoniem i wyciągnął około trzydziestu dolarów w srebrze; rozłożywszy pieniądze na stole, mechanicznie podzielił je na dwie równe części i podsunął mi jedną z nich, mówiąc, iż należy ona do mnie. Zamierzałem już protestować, lecz nakazał mi milczenie wrzucając pieniądze do kieszeni mych spodni. Pozwoliłem im tam zostać. Teraz zabrał się do modlitw wieczornych, wyciągnął ów posążek i odsunął przed kominka papierowy parawanik. Z pewnych oznak i objawów wnosilem, że wielce by pragnął, żebym się z nim połączył w modlitwie, ale choć dobrze wiedziałem, co nastąpi, namyślałem się przez chwilę, czy w wypadku, gdyby mnie o to prosił, mam się do tej prośby zastosować czy też nie.

Jestem dobrym chrześcijaninem, urodzonym i wychowanym na łonie nieomylnego Kościoła Prezbiteriańskiego. Jakżebym więc mógł zjednoczyć się z tym dzikim bałwochwalcą w czczeniu kawałka drewna? „Wszelako co to jest oddawanie czci? – pomyślałem sobie. – Czyżbyś przypuszczał, Izmaelu, że wielkoduszny Pan niebios i ziemi – królujący nad wszystkimi, z poganami włącznie – mógłby uczuć zazdrość o nic nie znaczący kawałek czarnego drewna? Niemożliwe! Bo czymże jest oddawanie czci? Czynieniem woli bożej, oto czym ono jest. A co jest wolą Boga? Czynić bliźniemu to, co bym pragnął, by on mnie uczynił. To jest wola Boga. Otóż Queequeg jest moim bliźnim. A czegoż to bym pragnął od tego Queequega? No cóż, pragnąłbym, żeby się ze mną połączył w mojej szczególnej prezbiteriańskiej formie kultu. Co za tym idzie, muszę więc połączyć się z nim w tej formie czczenia Boga, która jest jemu właściwa; *ergo* muszę przemienić się w bałwochwalcę.” Podpaliłem więc wiórki, pomogłem podeprzeć małego, nieszkodliwego bałwanka; ofiarowałem mu wraz z Queequegiem przypalony suchar, po dwakroć czy trzykroć wybiłem przed nim pokłony, złożyłem pocałunek na jego nosie; czego dokonawszy rozebraliśmy się z mym towarzyszem i położyliśmy się do łóżka uczyniwszy pokój z naszym własnym sumieniem i z całym światem. Nie usnęliśmy jednak bez małej pogawędki.

Nie wiem, czemu się to dzieje, ale nie ma lepszego nad łóżko miejsca dla poufnych zwiedzeń między przyjaciółmi. Powiadają, że tam właśnie mąż i żona otwierają sobie wzajem do cna dusze, niektóre zaś wiekowe pary często leżą tak i gwarzą o dawnych czasach niemal do rana. I tak właśnie, w miodowym miesiącu naszych serc, leżeliśmy ja i Queequeg – miła, zakochana parka.

## ROZDZIAŁ XI

### NOCNA KOSZULA

Poleżeliśmy tak w łóżku, to gadając, to drzemiąc na przemian; Queequeg od czasu do czasu czule zarzucał swe brunatne, wytatuowane nogi na moje i znów je cofał, tak bardzo już byliśmy zżyci i bezceremonialni wobec siebie. Wreszcie pogwarki nasze, sprawiły, iż resztki tkwiącej w nas senności zgoła odbieżyły i wzięła nas chęć, by znowu wstać z łóżka, choć świt należał jeszcze do dość odległej przyszłości.

Tak, rozbudziliśmy się zupełnie i to do tego stopnia, iż leżąca pozycja poczęła nas męczyć i okazało się, że pomalutku siedliśmy na łóżku dobrze otuleni pościelą, oparci o deskę wezgłowia, podciągnąwszy nasze cztery zesunięte kolana i zwiesiwszy nad nimi oba nosy, jak gdyby kolana owe były grzałkami. Czuliśmy się ogromnie miło i przytulnie, tym przytulniej, że tak bardzo zimno było na dworze, a nawet poza łóżkiem, zważywszy, iż w pokoju nie płonął ogień. Tym przytulniej się czuliśmy, rzec można, że aby prawdziwie rozkoszować się cielesnym ciepłem, zawsze jakaś maleńka cząstka naszej osoby winna doświadczać chłodu, ponieważ nie ma na świecie takiego przedmiotu, który by nie był tym, czym jest, jedynie przez kontrast! Nic nie istnieje samo w sobie. Jeżeli się łudzicie, że poczucie wygody ogarnia całą waszą istotę i że stan taki trwa od dłuższego czasu, wtedy nie można już o was powiedzieć, że jest wam wygodnie. Ale jeśli tak, jak to się działo ze mną i Queequegiem w łóżku, czubek waszego nosa lub ciemność jest z lekka chłodzone, no, wtedy dopiero w swej ogólnej świadomości czujecie najrozkoszniejsze, nieomyślne ciepło. Z tej to przyczyny pokój sypialny nie powinien nigdy być wyposażony w kominek, który jest jedną ze zbytkownych niewygód bogaczy. Albowiem szczyt tego rodzaju rozkoszy to nie mieć nic prócz kołdry między sobą i swoją błogością a chłodem powietrza na zewnątrz. Wtedy leżycie sobie jak jedyna gorąca iskra w sercu arktycznego kryształu.

Siedzieliśmy już w owej skulonej pozycji przez czas jakiś, kiedy raptem pomyślałem, że trzeba otworzyć oczy; gdy bowiem znajduję się w pościeli, czy we dnie, czy w nocy, czuwając czy śpiąc, zawsze mam zwyczaj trzymać oczy zamknięte, by tym więcej skoncentrować poczucie przytulności czerpane z przebywania w łóżku. Nikt bowiem nie może odczuć właściwie swojego jestestwa, jeśli oczy jego nie są zamknięte; jest to tak, jakby ciemność była rzeczywiście własnym pierwiastkiem naszej prawdziwej istoty, mimo że światło jest bardziej pokrewne tamtej, gliniastej części nas samych. Otworzywszy więc oczy i przeszedłszy z mej własnej, przyjemnej, samowytworzonej ciemności w narzucony mi, szorstki, zewnętrzny mrok nieoświetlonej północnej godziny, doświadczyłem niemiłego przeskoku. Nie miałem też żadnych zastrzeżeń, gdy Queequeg dał mi do zrozumienia, iż może dobrze by było skrzesać ognia, zważywszy, że tak bardzo jesteśmy ze snu wybici. Prócz tego miał wielką ochotę na kilka spokojnych dymków ze swego tomahawka. Trzeba tu nadmienić, że chociaż ubiegłej nocy odczuwałem tak silną odrazę do palenia w łóżku, przecież popatrzcie tylko, jak elastycznymi się stają nasze sztywne przesady, kiedy je raz ugnie miłość. Teraz bowiem nic mi nie było milsze nad poczucie, że Queequeg przy mnie pali, choćby nawet w łóżku

– tak zdawał się być wtedy pełnym pogodnej, domowej radości. Nie odczuwałem już przesadnej troski o polisę ubezpieczeniową naszego oberżysty. Miałem jedynie świadomość skoncentrowanego, poufnego zadowolenia, jakie daje dzielenie fajki i łoża z prawdziwym przyjacielem. Teraz, zarzuciwszy na ramiona nasze włochate kurty, podawaliśmy sobie tomahawk z ręki do ręki, aż wreszcie rozpiął się z wolna nad nami błękitny, wiszący baldachim dymu rozświetlony płomykiem ponownie zapalanej lampy. Nie wiem, czy to właśnie ów falujący baldachim uniósł myśl dzikiego ku jakimś odległym sceneriom, ale zaczął on teraz mówić o swej rodzinnej wyspie, ja zaś, pragnąc usłyszeć jego historię, prosiłem, by nie przerywał i opowiedział mi ją. Zgodził się na to chętnie. Choć wtedy chwilami ledwie rozumiałem niejedno ze słów, jakie wypowiadał, przecie później oswoiłem się nieco bardziej z jego łamanym językiem i dalsze wynurzenia mojego towarzysza pozwalają mi teraz przedstawić całą historię tak, jak się ona da ustalić z tego szkieletu, który tu podaję.

## ROZDZIAŁ XII

### DANE BIOGRAFICZNE

Queequeg był rodem z Rokovoko, wyspy leżącej daleko na południowym zachodzie. Nie znajduje się ona na żadnej mapie; prawdziwie zacne miejscowości nigdy nie są bowiem na nich umieszczane.

Jeszcze gdy był świeżo wylęgniętym dzikusem, bez opamiętania przebiegającym w szacie z traw rodzinne gęstwiny, ściganym przez pasące się tam kozły, jak gdyby był młodym, zielonym drzewkiem – już wtedy w ambitnej duszy Queequega nurtowało usilne pragnienie obejrzenia czegoś więcej ze świata chrześcijańskiego niż jeden czy drugi okaz wielorybniczego statku. Ojciec, jego był Wielkim Wodzem, czyli królem; stryj – Wielkim Kapłanem, a po kądzieli szczycił się ciotkami, wdowami po niezwycięzonych wojownikach. W żyłach jego płynęła krew znamienita – prawdziwie królewska, choć obawiam się, że smutnie skażona przez ludożercze inklinacje, jakie żywił w bezpańskiej młodości.

Zatokę jego ojca odwiedził kiedyś okręt z Sag Harbour i Queequeg usiłował przedostać się na nim do krajów chrześcijańskich. Jednakże okręt miał już załogę w komplecie, więc odrzucono jego prośbę; nawet cały wpływ króla-ojca nie mógł tu przeważać. Lecz Queequeg uczynił sobie ślubowanie. Samotny w swym czólnie powiosłował ku dalekiej cieśninie, przez którą, jak wiedział, okręt będzie musiał przepływać opuszczając wyspę. Z jednej strony znajdowała się tam rafa koralowa, z drugiej zaś płaskie pasmo lądu pokryte gęstwą mangrowii, wyrastających wprost z wody. Ukrywszy między zaroślami swe czółno dziobem skierowane ku morzu, zasiadł na rufie dzierżąc w ręku wiosło opuszczone do wody i gdy okręt sunął mimo, wynurzył się z gęstwiny jak błyskawica, dobił do niego, jednym wierzgnięciem przewrócił czółno dnem do góry zatapiając je, następnie wdrapał się po łańcuchach na pokład, gdzie padłszy jak długi, pochwycił jedną z klubek i zaklął się, iż jej nie puści, choćby go porąbano w kawałki.

Próżno kapitan groził, że go wyrzuci za burtę, próżno wznosił kordelas nad jego nagimi napięstkami; Queequeg był synem królewskim i Queequeg ani drgnął. Pod wrażeniem jego rozpaczliwej nieustraszonej oraz nieposkromionej żądzy zwiedzenia chrześcijańskiego świata kapitan wreszcie zmiękł i oświadczył mu, że może się na okręcie rozgościć. Lecz ten znakomity młody krajowiec – ten zamorski książę Walii – nigdy nie ujrzał kapitańskiej kajuty. Umieszczono go między marynarzami i zrobiono zeń wielorybnika. Ale podobnie jak car Piotr rad był ciężko pracować w stoczniach miast cudzoziemskich, tak i Queequeg nie gardził żadną pozorną sromotą, jeśli tylko mógł dzięki niej pomyślnie uzyskać moc oświecenia swoich nieokrzesanych rodaków. Albowiem w gruncie *rzeczy* – tak mi powiadał – kierowało nim głębokie pragnienie, by nauczyć się pośród chrześcijan sztuki uczynienia swego ludu jeszcze szczęśliwszym, niż był, a co więcej, uczynienia go jeszcze lepszym. Lecz niestety! Obyczaje wielorybników rychło go przekonały, że nawet chrześcijanie potrafią być zarówno nędzni jak i zepsuci; i to nieskończenie bardziej niż wszyscy poganie jego rodzica. Gdy

przybył na koniec do starego Sag Harbour i ujrzał, co tam wyrabiają marynarze, gdy udał się do Nantucket i zobaczył, w jaki sposób również i tam wydają zarobione pieniądze, biedny Queequeg dał za wygraną. Pomyślał sobie: „świat jest niegodziwy pod każdą szerokością geograficzną; już lepiej umrę poganinem.”

I tak pozostawszy w głębi duszy po staremu bałwochwalcą, żył jednak między tymi chrześcijanami, nosił ich odzienie i usiłował mówić ich żargonem. Stąd pochodził jego osobliwy sposób bycia, choć już od dłuższego czasu znajdował się z dala od domu.

Zapytałem go na migi, czy nie zamyśla o powrocie i koronacji, skoro teraz mógł już na pewno uważać ojca za zmarłego, ponieważ według ostatnich wieści był on już bardzo stary i słaby. Odpowiedział, że na razie jeszcze nie, i dodał, iż lęka się, że chrześcijaństwo, a raczej chrześcijanie uczynili go niezdolnym do wstąpienia na czysty i nieskalany tron trzydziestu pogańskich królów, jego poprzedników. Lecz kiedyś, oświadczył, powróci, gdy tylko znowu poczuje się oczyszczonym. Na razie jednak zamierza wyruszyć na morze i wyszumieć się na wszystkich czterech oceanach. Zrobiono z niego harpunnika i to ostre żelazo zastępowało mu obecnie berło.

Zapytałem, jakie ma bezpośrednie zamiary na przyszłość. Odpowiedział, że chce znowu puścić się na morze i pracować w swym dawnym zawodzie. Na to oświadczyłem mu, że i ja również zamyślam poświęcić się wielorybnictwu, i powiadomiłem go o moim zamiarze wypłynięcia z Nantucket, który jest najbardziej obiecującym portem, z jakiego wyruszyć może żądny przygód łowca wielorybów. Od razu postanowił towarzyszyć mi na ową wyspę, załadować się na ten sam statek, dostać się do tej samej wachty, tej samej łodzi i tej samej messy, co ja, krótko mówiąc, postanowił dzielić ze mną wszelkie moje losy i trzymając mnie za obie ręce śmiało zanurzyć się na los szczęścia w kocioł obu półkul. Z radością zgodziłem się na to wszystko, gdyż oprócz przywiązania, jakie już odczuwałem dla Queequega, wiedziałem, że jest on doświadczonym harpunnikiem i przeto może niechybnie być wielce użyteczny dla kogoś takiego jak ja, kto nie ma żadnego pojęcia o tajemnicach wielorybnictwa, mimo że dobrze już zapoznał się z morzem, o tyle, o ile je zna marynarz floty handlowej.

Kiedy wraz z ostatnim zamierającym kłębem dymu z fajki zakończył opowiadanie swej historii, Queequeg objął mnie i przycisnął czoło do mojego czoła; zdmuchnąwszy lampę, obaj odwróciliśmy się jeden do drugiego w tę i tamtą stronę i bardzo szybko usnęliśmy.

## ROZDZIAŁ XIII

### TACZKI

Następnego ranka, w poniedziałek, pozbyłem się zabalsamowanej głowy oddając ją fryzjerowi na podstawkę do peruk, zapłaciłem rachunek swój i mego towarzysza, używając jednak na ten cel jego pieniędzy. Roześmiany oberżysta jak również i jego goście wydawali się niezwykle rozbawieni tą nagłą przyjaźnią, jaka zrodziła się między mną i Queequegiem – zwłaszcza że niebываłe historie, których mi naopowiadał o nim Piotr Trumna, wzniciły we mnie taki lęk przed tym właśnie człowiekiem, z którym się teraz połączyłem.

Wypożyczyliśmy taczki i załadowawszy na nie nasze rzeczy włącznie z mą ubogą sakwą podrózną oraz płóciennym workiem i hamakiem Queequega, udaliśmy się na „Mech”, mały nantucketański szkuner pocztowy, przycumowany u nabrzeża. Gdyśmy tak przemierzali ulice, ludzie patrzyli na nas z zaciekawieniem; nie tyle na Queequega – bo przyzwyczajeni byli widywać podobnych do niego kanibali na swych ulicach – lecz ponieważ widzieli, że obaj jesteśmy ze sobą w tak poufałych stosunkach. My jednak nie zwracaliśmy na nich uwagi pchając na zmianę taczki, Queequeg zaś od czasu do czasu zatrzymywał się, by poprawić pokrowiec na kolcach swego harpuna. Spytałem go, po co zabiera ze sobą na ląd przedmiot tak kłopotliwy oraz czy statek wielorybniczy nie posiada własnych harpunów. Treść odpowiedzi, jakiej mi udzielił, sprowadzała się do tego, że choć moja uwaga jest zupełnie słuszna, jednakże on żywi szczególne uczucie dla swego harpuna, ponieważ jest sporządzony z niezawodnego materiału, dobrze został wypróbowany w niejednej śmiertelnej walce i zawarł bliską znajomość z sercami wielorybów. Krótko mówiąc, podobnie jak wielu żeńców i kosiarzy, którzy wyruszają na gospodarskie pola uzbrojeni we własne kosy, choć bynajmniej nie są do tego obowiązani, tak i Queequeg dla swych własnych, osobistych powodów wolał mieć własny harpun.

Odbierając taczki z moich rąk opowiedział mi zabawną historię o pierwszych taczkach, jakie w ogóle widział. Było to w Sag Harbour. Właściciele jego statku pożyczili mu, okazuje się, taczki, żeby przewiózł swą ciężką skrzynię do zajazdu. Ażeby się nie wydać nieświadomym rzeczy – choć w istocie nie miał żadnego pojęcia o właściwym sposobie używania taczek – Queequeg ustawił na nich swą skrzynię, przywiązał ją mocno, a następnie wziął taczki na plecy i odmaszerował z przystani. – Ależ, Queequegu – rzekłem – powinienesz być chyba lepiej się w tym rozeznać. To się dopiero ludzie musieli śmiać!

Na to opowiedział mi inną historię. Okazuje się, że ludzie na tej jego wyspie Rokovoko w czasie uczt weselnych wyciskają wonny sok z młodych orzechów kokosowych do dużej malowanej tytkwy przypominającej czaszę do ponczu i ta właśnie czasza stanowi zawsze wielką, centralną ozdobę plecionej maty, na której zastawia się ucztę. Otóż ongiś zawiął do Rokovoko pewien wspaniały statek handlowy, którego dowódca – jak wszystko wskazuje, mąż wielce godny i skrupulatny, przynajmniej jak na kapitana okrętu – ów więc dowódca zaproszony został na ucztę weselną siostry

Queequega, młodej, nadobnej księżniczki, która właśnie ukończyła dziesięć lat. No i kiedy już wszyscy goście weselni zgromadzili się w bambusowej chatce oblubienicy, wkracza ów kapitan, a ponieważ wyznaczono mu miejsce honorowe, zasiada tuż przy czaszy, między Wielkim Kapłanem a Jego Królewską Mością, ojcem Queequega. Gdy już odmówiono modlitwę przed posiłkiem – bowiem i tamci ludzie mają taką modlitwę, równie jak my, choć Queequeg wspominał mi, że w przeciwieństwie do nas, którzy w takim wypadku spoglądamy na nasze półmiski, oni przeciwnie, na wzór kaczek, podnoszą wzrok w górę, ku wielkiemu Dawcy wszelkich biesiad – gdy więc, jak powiedziałem, odmówiono już modlitwę, Wielki Kapłan otworzył bankiet odwiecznym obrzędkiem tej wyspy, a mianowicie przez zanurzenie swych poświęconych i poświęcających palców w tykwie, zanim błogosławiony napój począł krążyć między zebranymi. Kapitan widząc, że posadzono go obok Kapłana i zaobserwowawszy ową ceremonię, a sądząc, że – zwłaszcza jako kapitan okrętu – ma oczywiście pierwszeństwo przed zwykłym wyspiarskim królikiem – szczególnie w jego własnym domu – najspokojniej począł obmywać sobie ręce w wielkiej czaszy biorąc ją, jak się zdaje, za ogromne naczynie do płukania palców. – No, teraz ty sobie wyobraź – rzekł Queequeg – jak nasi ludzie sięśmiać!

Wreszcie, zapłaciwszy za przejazd i umieściwszy bagaż w bezpiecznym miejscu, stanęliśmy na pokładzie szkunera. Rozwinąwszy żagle począł on sunąć w dół rzeki Acushnet. Po jednej stronie Nowy Bedford wznosił się terasami ulic, na których oblodzone drzewa całe lśniły w czystym, zimnym powietrzu. Ogromne pagórki, a nawet góry spiętrzonych beczek widniały na nabrzeżach, a podczas gdy jedne wielorybiczne okręty obieżyświaty stały burta w burtę, ciche i nareszcie bezpiecznie przycumowane, z innych dolatywał stuk narzędzi cieśli i bednarzy wraz ze zmieszanyimi odgłosami kuźni i hukiem palenisk do topienia smoły, co wróżyło, że rychło wyruszą w nowy rejs, że ledwie zakończono jedną, tak długą i niebezpieczną wyprawę, a już zaczyna się następna, a gdy i ta się skończy, rozpocznie się trzecia, i tak dalej, zawsze i zawsze. Taka jest bowiem nieskończoność, a i zaprawdę nieznośność wszelkiego doczesnego wysiłku.

Gdyśmy wypłynęli na szersze wody, wzmogła się świeża, *ożywczą* bryza; mały „Mech” roztrzącał dziobem chybłą pianę jak młody, parszający żreback. Jakże wdychałem to orzeźwiające powietrze! Jakże gardziłem tą ziemią różnymi barierami pokrytą, tym pospolitym gościńcem poznanym tropami niewolnych obcasów i kopyt, jakże się cały oddałem podziwowi dla wielkoduszności morza, które nie pozwala pozostawiać jakichkolwiek śladów!

Wraz ze mną Queequeg zdawał się pić i upajać u tego samego źródła pienistych bryzgów. Rozdęły mu się ciemne nozdrza, ukazały równe, ostre zęby. Lecieliśmy dalej i dalej, gdy zaś odpłynęliśmy daleko od lądu, „Mech” złożył hołd wiatrowi chyląc się przed nim i bijąc czołem niby niewolnik przed sułtanem. Przechyleni na bok sunęliśmy skosem naprzód, a każda żyłka lin dźwięczała jak drut stalowy; dwa tylne maszty przygięły się niby indyjska trzcina w czasie tornada. Tak nas porwał ten zawrotny widok, gdyśmy tam stali koło zapadającego w dół bukszprytu, że przez czas jakiś nie zauważyliśmy drwiących spojrzeń pasażerów, dość prostackiej kompanii, która

dziwowała się, że dwie pokrewne sobie istoty mogą tak dobrze czuć się razem, jak gdyby biały był w czymkolwiek godniejszy od wybielonego Murzyna. Znajdowały się tam różne pospolitaki i cymbały, które, zważywszy jak ogromnie zielono miały w głowie, musiały chyba pochodzić z samego jądra i ośrodka wszelkiej zieloności. Queequeg złapał jednego z owych młodych dębczaków na tym, że go przedrzeźniał za plecami. Już myślałem, że nadeszła ostatnia godzina tego chłystka. Porzuciwszy harpun, muskularny Queequeg porwał go w ramiona i z niemal cudowną zręcznością i siłą wyrzucił wysoko w górę; tamten wywinął koziołka i z lekka objając sobie pośladki wylądował z rykiem na nogi, podczas gdy Queequeg odwróciwszy się doń plecami zapalił swą fajkętomahawk i podał mi ją, bym się zaciągnął.

– Panie kapitanie! Panie kapitanie! – począł wrzeszczeć ów kiep biegnąc w stronę oficera. – Panie kapitanie, to diabeł!

– Hej tam, mój panie! – zawołał kapitan, chudy jak kość marynarz, krocząc w stronę Queequega. – Co sobie myślisz, u pioruna! Nie rozumiesz, żeś mógł zabić tego chłopca?

– Co on mówić? – zapytał Queequeg, łagodnie zwracając się do mnie.

– On mówić – odparłem – że tym omal nie zabić tego tu człowieka – wskazywałem na jeszcze drżącego draba.

– Zabić? – zawołał Queequeg, a wytatuowana twarz wykrzywiła się grymasem nadludzkiej pogardy. – Ach, on bardzo mała ryba. Queequeg nie zabijać taka mała ryba. Queequeg zabijać duża wieloryb!

– Uważaj ty – ryknął kapitan – ja zabić ciebie, ty ludożerco, jeżeli mi tu na pokładzie próbujesz jeszcze jakichś swoich sztuczek, więc pilnuj swego, nosa!

Tak się jednak przydarzyło, że właśnie najwyższy czas był po temu, by swego nosa pilnował kapitan. Olbrzymi napór wiatru na główny żagiel urwał szkot i wielki bom latał teraz od burty do burty, zamiatając po tylnej części pokładu. Nieszczęśnika, z którym tak ostro obszedł się Queequeg, zmiotło za burtę; wszyscy popadli w panikę, a wszelka próba pochwycenia bomu i zatrzymania go wydawała się szaleństwem. Przelatywał on z prawa w lewo i na powrót niemal za jednym łyknięciem zegarka i zdawało się, że lada chwila roztrzaska się w drzazgi. Nic na to nie zaradzono i nie wydawało się możliwe cokolwiek przedsięwziąć; ludzie na pokładzie rzucili się w stronę dzioba i tam stanęli spoglądając na bom, jak gdyby był szczęką rozwścieczonego wieloryba. Wśród tej konsternacji Queequeg padł na kolana, podczołgał się pad latający bom, porwał jakąś linę, przywiązał jeden jej koniec do burty, drugi zaś zarzuciwszy jak lasso, pochwycił w pętlę bom, gdy ten przelatywał nad jego głową, i w ten sposób przy następnym targnięciu drzewce zostało uwięzione, a bezpieczeństwo przywrócone. Szkuner poszedł z wiatrem, a podczas gdy majtkowie spuszczały łódź z rufy, Queequeg obnażony do pasa rzucił się z burty długim, żywym łukiem skoku. Przez trzy minuty albo dłużej widziano, że płynie jak pies wyrzucając prosto przed siebie długie ręce i co chwila ukazując nad lodowatą kipiela swe muskularne ramiona. Patrzałem za tym wspaniałym, przepyszny chłopakiem, lecz nie dostrzegałem nikogo, komu by mógł udzielić ratunku; tamten drażał poszedł już bowiem pod wodę. Wystrzeliwszy pionowo ponad toń Quee-queg błyskawicznie rzucił wokoło spojrzenie,

jak gdyby chciał się rozeznąć w stanie rzeczy, znurkował i zniknął nam z oczu. Jeszcze parę minut i oto znowu się wynurzył, wciąż zagarniając wodę jedną ręką, drugą zaś ciągnąc jakiś bezwładny kształt.

Łódź rychło ich wyłowiała. Biedny chłystek został uratowany. Cała załoga ogłosiła Queequega szlachetnym zuchem, a kapitan poprosił go o przebaczenie. Od tej chwili przylgnąłem do Quee-quega jak skorupiak, aż do momentu kiedy biedaczysko dał swego ostatniego już, długiego nurka.

Czyż kiedykolwiek widziano podobną nieświadomość? Quee-queg nie zdawał się wcale uważać, żeby zasłużył na medal od jakichś humanitarnych i wielkodusznych stowarzyszeń. Poprosił tylko o wodę – o słodką wodę – o coś, czym by się mógł obmyć z morskiej soli; uczyniwszy to włożył suche ubranie, zapalił fajkę, oparł się o burtę i łagodnie spoglądając na otaczających go ludzi zdawał się mówić do siebie: „Ten świat jest wspólny, jest spółką akcyjną wszystkich ludzi pod każdą szerokością geograficzną. My, kanibale, musimy jakoś dopomagać tym chrześcijanom.”

Nic już godnego uwagi nie przydarzyło się w czasie drogi i po doskonałej przeprawie zawinęliśmy cało do Nantucket.

Nantucket! Wyjmijcie mapę i popatrzcie na nią. Zobaczycie, w jakim istnym zakamarku świata usadowiło się ono, jak tam tkwi z dala od lądu, samotniejsze od morskiej latarni z Eddystone. Popatrzcie na nie – to po prostu pagórek i szmat piachu; wszędzie plaża, a nic za nią. Więcej tam piasku, niżbyście go mogli zużyć przez lat dwadzieścia w zastępstwie bibuły do atramentu. Poniektórzy wesołkowie powiedzą wam, że ludzie muszą tam sadzić chwasty, gdyż nie rosną one w sposób naturalny; że importuje się tam oset z Kanady; że po kolek do zatkania ciekącej beczki z olejem trzeba posyłać za morze; że w Nantucket obnosi się kawałki drewna jak w Rzymie drzazgi z Krzyża Świętego; że ludzie sadzą tam przed domami muchomory, by zażyć nieco cienia letnią porą; że jedno źdźbło trawy tworzy oazę, zaś trzy trawki napotkane w ciągu całodziennej wędrówki – prerie; że tamtejsi mieszkańcy noszą specjalne obuwie na piaski ruchome, coś w rodzaju nart lapońskich; że są tak zamknięci, opasani wokół, z każdej strony otoczeni, okrążeni i uczynieni najzupełniejszą wyspą przez ocean, iż czasem można znaleźć małe ślimaki przywarte nawet do ich krzeseł i stołów niczym do grzbietów morskich żółwi. Lecz te wybryki wskazują jedynie, że Nantucket to nie Illinois.

Posłuchajcie teraz wspaniałej, tradycyjnej opowieści o zasiedleniu tej wyspy przez czerwonoskórych. Legenda tak mówi: W pradawnych czasach spadł na wybrzeże Nowej Anglii orzeł i porwał w swych szponach dziecko indiańskie. Rodzice patrzyli, głośno lamentując, jak dziecko ich znika z oczu, hen, za wodą szeroką. Postanowili ruszyć za nim w tym samym kierunku. Wypłynąwszy w swych czółnach odkryli po pełnej niebezpieczeństw przeprawie ową wyspę, a na niej odnaleźli pustą kościaną szkatułkę – szkielecik biednego malca.

Cóż więc dziwnego, że ci nantucketańczycy zrodzeni na brzegu zabrali się do szukania w morzu środków utrzymania? Początkowo łapali w piasku kraby i mięczaki; gdy już nabrali śmiałości, poczęli brodzić po wodzie z siatką na makrele; posiadłszy więcej doświadczenia wyruszyli łodziami na połów dorsza i wreszcie, spuściwszy na

morze flotyllę dużych statków, przemierzyli świat wód, otoczyli go nieprzerwanym pasem okólnej żeglugi, zajrzeli do Cieśniny Beringa i na wszystkich oceanach, o każdej porze roku wypowiadali wieczystą wojnę najpotężniejszej ożywionej masie, jaka ocalała z potopu, masie najbardziej potwornej i najbardziej górom podobnej! Wypowiedzieli wojnę owemu himalajskiemu Mastodontowi słonych mórz, zbrojnemu w taką potworność nieświadomej mocy, że nawet jego trwogi więcej się lękać należy niż najbardziej nieustraszonych i złośliwych ataków!

I tak właśnie owi goli nantucketańczycy, ci morscy pustelnicy, wylazłszy ze swego mrowiska na morzu, zaleli i podbili świat wód jak tyłuż Aleksandrów; podzielili między siebie Atlantyk, Pacyfik i Ocean Indyjski, podobnie jak to trzy pirackie mocarstwa uczyniły z Polską. Niech sobie Ameryka przyłącza Meksyk do Teksasu, niech wchłania Kubę po Kanadzie, niechaj Anglicy zalewają całe Indie, niechby nawet na słońcu wywiesili swój sztandar płomienny; jednak dwie trzecie tego ziemskiego globu należą do nantucketańczyka. Jego bowiem jest morze; on nim włada, jak cesarze władają imperiami; inni *żeglarze* mają przez nie jedynie prawo przejazdu. Statki handlowe to tylko przedłużone mosty, okręty wojenne to ledwie forty pływające, nawet piraci i korsarze, choć przemierzają morza jak rozbójnicy gościńce, przecie plądrują jedynie inne statki, inne fragmenty lądu, takie same jak i oni, nie usiłując czerpać środków do życia z samej bezdennej głębin. Jeden tylko nantucketańczyk rezyduje i hula na morzach, on tylko, mówiąc językiem biblijnym, spływa na nie korabiem, przeorując je tam i sam jak swą własną, osobistą plantację. *Tam* jest dom jego i *tam* jego rzemiosło, którego nie przerwałby nawet potop Noego, choćby miał pograżyć milionowe rzesze Chin. Nantucketańczyk żyje na morzu jak pardwa na prerii; przytają się między falami i wspina na nie niby łowcy kozic w Alpach. Przez lata całe nie wie, co ląd, tak że gdy wreszcie nań przybędzie, pachnie mu on innym światem, jeszcze dziwniej niż księżyc mieszkańcowi ziemi. Wraz z mewą tułaczką, która o zachodzie słońca składa skrzydła i daje się falom do snu ukołysać, nantucketańczyk, gdy zmrok zapada, zwija z dala od lądu swe żagle i układa się na spoczynek, podczas gdy tuż pod jego wezglowiem uwijają się stada morsów i wielorybów.

## ROZDZIAŁ XV

### CHOWDER

Był już późny wieczór, gdy mały „Mech” zawinął do cichej przystani, a Queequeg i ja zeszliliśmy na ląd; tego dnia nie mogliśmy więc już nic załatwić, a przynajmniej nic oprócz kolacji i noclegu. Gospodarz oberży Pod Wielorybnikiem polecił nam swego kuzyna Hossea Hussey z zajazdu Pod Kotłami twierdząc, że jest on właścicielem jednego z najlepiej utrzymanych hoteli w Nantucket i co więcej, zapewnił nas, że kuzyn Hossea, jak go nazywał, znany jest ze swych *chowderów*. Krótko mówiąc, dał nam jasno do zrozumienia, że nie możemy uczynić nic lepszego, jak pokosztować kotła w zajeździe Pod Kotłami. Aliści wskazówki, jakich nam udzielił, byśmy idąc zostawili po sterbocie żółty magazyn, aż do bakibortu ukaże nam się biały kościół, a następnie byśmy ciągle mając tenże po bakbocie szli do zakrętu znajdującego się o trzy rumby od sterbortu, po czym zapytali pierwszego napotkanego przechodnia, gdzie znajduje się ów zajazd; te zawiłe wskazówki wielkiego nam początkowo narobiły kłopotu, szczególnie dlatego, że Queequeg upierał się zrazu, iż ów żółty magazyn – nasz pierwszy punkt wyjścia – winien zostać po bakbocie, podczas gdy ja zrozumiałem, iż Piotr „frumna wspominał o sterbocie. Jednakowoż po pewnym krążeniu w ciemnościach i kołataniu od czasu do czasu do drzwi spokojnych mieszkańców, żeby wywiedzieć się o drogę, dobrnęliśmy wreszcie do czegoś, co nie nasuwało już żadnych wątpliwości.

Dwa olbrzymie drewniane kotły, pomalowane na czarno i zawieszane za isticie osłe ucha, kołysały się u salingu na starej stendze masztowej białej w ziemię przed staroświeckimi podwojami. Ramiona salingu spiłowano z drugiej strony, tak że owa stara stenga niemało przypominała szubienicę. Może byłem naówczas szczególnie wyczulony na podobne wrażenia, ale chcąc nie chcąc wpatrywałem się w tę szubienicę z jakąś niejasną obawą. Poczulem coś w rodzaju skurczu w karku patrząc w górę na te dwa pozostałe ramiona; tak, dwa tam były – jedno dla Quee-quega, jedno dla mnie. Zła to wróżba, pomyślałem sobie. Oberżysta, do którego trafiam wylądowawszy w mym pierwszym porcie wielorybniczym, zowie się Trumna; w kaplicy wielorybników spozierają na mnie nagrobki, a tu jeszcze szubienica! I na dobitkę para olbrzymich czarnych garów! Czyżby te ostatnie nasuwały pośrednio myśl o Piekło?

Z owych rozważań wyrwał mnie widok piegowatej niewiasty o żółtych włosach, przybranej w żółtą suknię i stojącej w przedsionku zajazdu pod kołyszącą się tam mętnoczerwoną latarnią, która wielce przypominała podbite oko; niewiasta owa żywo łajała jakiegoś mężczyznę w purpurowej wełnianej koszuli.

– Zabieraj się stąd – mówiła – bo cię przepędzę!

– Chodź, Queequegu – powiedziałem. – W porządku. To pani Hussey.

Okazało się, że tak jest istotnie; pan Hossea Hussey był nieobecny i poruczył pani Hussey, jako osobie całkowicie kompetentnej, prowadzenie wszystkich swych interesów. Gdy oznajmiliśmy jej, że pragniemy kolacji i noclegu, pani Hussey, odkładając na razie dalsze łajanie, wprowadziła nas do niewielkiej izby. posadziła przy

stole, na którym walały się resztki niedawno ukończonej uczty, obróciła się do nas i zapytała: – Dorsz czy ślimak?

– Jak to ślimak, pani? – odezwałem się z wielką uprzejmością.

– Dorsz czy ślimak? – powtórzyła.

– Ślimak na kolację? Zimny ślimak, chce pani powiedzieć? – zapytałem. – To nieco chłodne i zaślimaczone przyjęcie, jak na zimową porę, czyż nie tak, pani Hussey?

Gospodyni jednak ogromnie było spieszo dalej besztać owego mężczyznę w purpurowej koszuli, który oczekiwała nią u wejścia, więc usłyszawszy, jak się zdaje, jedynie słowo „ślimak”, podbiegła do otwartych drzwi wiodących do kuchni i wrzasnąwszy: – Dwa razy ślimak! – zniknęła nam z oczu.

– Queequegu – powiedziałem – czy sądzisz, że na kolację wystarczy dla nas dwóch jeden ślimak?

Jednakowoż ciepłe, smakowite opary, dolatujące z kuchni, zadały kłam tym pozornie niewesołym perspektywom, jakie mieliśmy przed sobą. Kiedy zaś wniesiono ów dymiący *chowder*, tajemnica wyjaśniła się w sposób zachwycający. O posłuchajcie mnie, drodzy przyjaciele! Potrawa ta była sporządzona z małych, soczystych ślimaków, ledwie co większych od orzechów laskowych, a pomieszanych z tartymi sucharami okrętowymi i soloną wieprzowiną pokrajaną w drobne płatki; całość bogato podlana masłem oraz obficie przyprawiona solą i pieprzem. Jako że apetyty nasze zaostrzyła mroźna podróż, a w szczególności ponieważ Quee-queg ujrzał przed sobą swoje ulubione rybne danie, *chowder* zaś wszystko przewyższał swą znakomitością, załatwiliśmy się z nim z niezwykłym pośpiechem; i wtedy właśnie odchyliłem się na chwilę do tyłu i przypomniawszy sobie oświadczenie pani Hussey na temat dorszy i ślimaków, pomyślałem, że popróbuję małego eksperymentu. Podeszedłem do drzwi kuchennych, wyrzuciłem z wielkim naciskiem słowo: „Dorsz!” i powróciłem na swoje miejsce. Po kilku chwilach z kuchni rozeszły się znowu smakowite, choć inne nieco aromaty, i niebawem postawiono przed nami wyborny *chowder* z dorsza.

Znowu przystąpiliśmy do dzieła, lecz kiedy zanurzyliśmy łyżki w misce, pomyślałem sobie: ciekawe, czy ta potrawa nie ma jakiegoś wpływu na mózg? Jak brzmi to ośmieszające powiedzenie o ludziach, co mają głowy jak *chowder*? – Popatrz, Quee-quegu! – zawołałem. – Czy to nie żywy węgorz na twojej misce? Gdzie masz harpun?

Ze wszystkich rybnych miejsc najbardziej rybny był zajazd Pod Kotłami, który dobrze zasługiwał na swą nazwę, bowiem w kotłach jego stale dusił się *chowder*. *Chowder* na śniadanie, *chowder* na obiad i *chowder* na wieczerzę, aż wreszcie człowiek zaczynał się oglądać, czy mu przez odzienie nie wylażą ości. Przestrzeń przed domem usłana była skorupkami ślimaków. Pani Hussey nosiła polerowany naszyjnik z kręgów dorsza, a księgi rachunkowe pana Hussey oprawne były w starą, wybornej jakości skórę rekina. Mleko miało tutaj również rybi zapach, czego nie mogłem sobie wytłumaczyć, dopóki pewnego ranka, przechadzając się właśnie po plaży wśród łodzi rybackich, nie ujrzałem łaciatej krowy pana Husseya przeżuwej resztki ryb i maszerującej wzdłuż piaszczystego wybrzeża krok za krokiem z racicami w odciętych łbach dorszów; wyglądała ona jak w przydeptanych pantoflach, mogę was upewnić.

Po zakończeniu wieczerzy otrzymaliśmy od pani Hussey lampę tudzież wskazówki

dotyczące najkrótszej drogi do łóżka; kiedy jednak Queequeg już zamierzał poprowadzić mnie po schodach, dama wyciągnęła doń rękę i zażądała jego harpuna; nie zezwalała bowiem na przechowywanie harpunów w swych komnatach.

– Czemu nie? – zapytałem. – Każdy rzetelny wielorybnik sypia ze swym harpunem, czemu więc pani na to nie pozwalasz?

– Bo to niebezpiecznie – ona na to. – Odkąd ten młodziak, Stiggs, wrócił ze swej nieszczęsnej wyprawy, na której się pałętał przez cztery i pół roku, i przywiózł tylko trzy baryłki oleju, a potem go u mnie znaleźli na pierwszym piętrze od podwórza nieżywego z harpunem w boku, to ja już nie pozwalam nijakim gościom taskać po nocy takich niebezpiecznych dzid do pokoju. Dlatego, panie Queequegu – dowiedziała się bowiem jego imienia – już ja zabiorę to żelastwo i przechowam je u siebie do rana. Ale co z *chowderem*, chłopaki! Zrobić go jutro na śniadanie ze ślimaków czy z dorszy?

– I z tego, i z tego – odparłem. – A może też jeszcze zjemy parę wędzonych śledzi dla różnaitości!

## ROZDZIAŁ XVI

### OKRĘT

W łóżku poczęliśmy snuć plany na dzień jutrzejszy. Ale ku mojemu zdumieniu i niemałemu frasunkowi Queequeg dał mi do zrozumienia, że pilnie konsultował Jodża – było to imię jego małego, czarnego bożka – i ten po dwakroć czy trzykroć oświadczył mu, wszechstronnie a usilnie na to nalegając, żebyśmy nie obchodzili razem wielorybniczej floty lii, znajdującej się w porcie, i nie wybierali wspólnie okrętu. Jodżo z całą powagą zalecił, żeby miast tego wybór całkowicie mnie pozostawić, jako że on zamierza użyć nam swej pomocy i w tym celu upatrzył już sobie okręt, jeśli zaś zostawi się wybór mnie samemu, to ja, Izmael, niechybnie na okręt ten natrafie, pozornie zupełnie przypadkowo. Powiniennem się nań niezwłocznie załadować, chwilowo nie oglądając się na Queequega.

Zapomniałem nadmienić, że Queequeg w wielu sprawach pokładał ogromną ufność w doskonałości sądu Jodża i w jego zdumiewającej zdolności przewidywania; obdarzał go znacznym szacunkiem, jako bożka raczej poczciwego, który, ogólnie mówiąc, ma zapewne dość znaczne intencje, choć nie we wszystkich przypadkach udaje mu się urzeczywistnić owe życzliwe zamysły.

Otóż ten plan Queequega, czy raczej Jodża, dotyczący wyboru dla nas statku, nie podobał mi się ani trochę. Jeśli idzie o wskazanie, który statek jest najsposobniejszy, by bezpiecznie unieść ze sobą nas i nasze losy, to niemało polegałem w tej mierze na mądrości Queequega. Ale ponieważ wszelkie moje argumenty nie wywierały na nim żadnego wrażenia, zmuszony byłem wyrazić zgodę i stosownie do tego poczyniłem przygotowania, by zabrać się do dzieła ze zdeterminowaną a gwałtowną energią tudzież wigorem, który powinien był umożliwić szybkie załatwienie tej błahej i drobnej sprawy. Nazajutrz % samego rana pozostawiłem Queequega zamkniętego z Jodżem w naszej małej sypialni – gdyż, jak się zdaje, był to dla nich jakiś dzień postu czy Ramadanu, czy umartwień, pokory i modlitwy; nie mogłem wymiarkować, jak to tam było, gdyż, mimo że przykładałem się do tego po kilkakroć, nigdy nie potrafiłem opanować liturgii Queequega oraz jego XXXIX Artykułów Wiary. Pozostawiłem więc swego towarzysza, który pościł pałac fajkę-tomahawk, oraz Jodża, grzejącego się przy ofiarnym stosie z wiórów, i wyruszyłem między okręty. Po dłuższym krążeniu i rozlicznych wypytywaniach na chybił trafił, powziąłem wiadomość, że trzy żaglowce wypłynąć mają w trzyletnie rejsy. Były to: „Diablica”, „Smakołyk” i „Pequod”. Nie znam pochodzenia pierwszej nazwy; „Smakołyk” jasno się tłumaczy, „Pequod” zaś, jak to sobie bez wątpienia przypominacie, jest nazwą słynnego plemienia Indian z Massachusetts, obecnie już wygasłego jak starożytni Medowie. Zerkąłem i węszyłem wokół „Diablicy”, od niej przerzuciłem się na „Smakołyka”, aż wreszcie dostawszy się na pokład „Pequoda” rozejrzałem się po nim przez chwilę i zdecydowałem, że jest to statek w sam raz dla nas.

W swoim czasie widzieliście zapewne niejednego osobliwy okręt; staroświeckie lugry, zwaliste dżonki japońskie, galioty do kaczek podobne, i co tam jeszcze – ale wiercie

mi na słowo, że nigdyście nie widzieli podobnie niezwykłego, starego okazu żaglowca, jak ten właśnie niezwykły, stary „Pequod”. Był on okrętem dawnej szkoły i to raczej niewielkim; miał w sobie coś staroświeckiego i drapieżnego. Cera jego sędziwego kadłuba, długo hartowana i zaprawiana wśród tajfunów lub ciszy morskiej na wszystkich czterech oceanach, pociemniała jak twarz francuskiego grenadiera, który walczył zarówno w Egipcie jak i na Syberii. Zdawało się, że czcigodny dziób okrętu jest brodaty. Maszty, ścięte gdzieś na wybrzeżach Japonii, kędy sztorm zwałił za burtę te, które okręt pierwotnie posiadał, sterczały sztywno w górę, niby trzej starzy królowie z Kolonii. Prastare pokłady były starte i pożłobione, jak owa czczona przez pielgrzymów płyta kamienna w katedrze w Canterbury, na miejscu, gdzie krwawił Becket. Wszelako do wszystkich tych starożytności dołączyły się nowe, cudaczne rysy, mające związek z burzliwym rzemiosłem, które żaglowiec uprawiał przez, z górą pół wieku. Stary kapitan Peleg, który przez lat wiele służył na nim jako pierwszy oficer, zanim począł dowodzić innym, własnym okrętem – obecnie zaś wycofał się ze służby morskiej i był jednym z głównych właścicieli „Pe-quoda” – ten właśnie stary Peleg w czasie sprawowania swych funkcji oficerskich spotęgował jeszcze pierwotną dziwaczność żaglowca i przyozdobił go takimi osobliwościami – zarówno co się tyczy materiału jak i urządzeń – że nie miały one sobie równych, z wyjątkiem chyba rzeźbionej tarczy i łoża Thorkill-Hake'a. Okręt był przystrojony jak jakiś cesarz etiopski o szyi uginającej się pod ciężarem wisiorów z polerowanej kości słoniowej. Składały się nań same trofea. Był okrętem-kanibalem strojącym się w zdobyczne kości swych nieprzyjaciół. Wszędzie w krąg gładkie, otwarte jego burty przybrane były – jak jedna kolista szczeka – długimi, ostrymi zębami kaszalotów, zatkniętymi tam miast nagli, celem przywiązywania do nich starych, konopnych mięśni i ścięgien statku. Mięśnie owe nie przebiegały poprzez pospolite bloki z lądowego drewna, lecz zgrabnie wędrowały po krążkach z wielorybiej kości. Gardząc kołowrotem jako niegodnym swego szacownego steru, statek obnosił miast niego rumpel; ten zaś był z jednej sztuki, kunsztownie wycięty z długiej, wąskiej dolnej szczęki odwiecznego wroga statku. Sternik, posługujący się w czas burzy owym rumplem, czuł się jak Tatarzyn, który powstrzymuje swego ognistego rumaka, pochwywszy go za pysk. Szlachetny to był żaglowiec, choć miał w sobie coś wielce melancholijnego. Wszystkie rzeczy szlachetne noszą takie piętno.

Owóż kiedy się rozejrzałem po mostku kapitańskim w poszukiwaniu kogoś sprawującego tu władzę, aby mu się przedstawić jako kandydat na wyprawę, nie dostrzegłem z początku nikogo. Nie mogłem wszakże przeoczyć osobliwego rodzaju namiotu czy raczej wigwamu rozbitego niedaleko za grotmasztem. Zdawał się on być jedynie prowizoryczną konstrukcją używaną w porcie. Kształtu był stożkowatego, wysokości około dziesięciu stóp, a składał się z długich, ogromnych płyt giętkiej, czarnej kości wyjętej ze środka oraz z najwyższej części szczek wieloryba. Osadzone szerszymi końcami na pokładzie i razem związane, wzajemnie ku sobie nachylone, kości te tworzyły krąg, u wierzchołka łączyły się w kitę wolno zwisających, strzępiastych włókien, które chwiały się tam i sam niby czub na głowie jakiegoś starego wodza Indian ze szczepu Pottowottamie. Trójkątny otwór wychodził na dziób statku, tak że przebywający w namiocie miał rozległy widok na wprost.

Wreszcie spostrzegłem na wpół ukrytego w owym dziwacznym pomieszczeniu kogoś, kto z wyglądu swego zdawał się mieć tu władzę, kogoś, kto w tej chwili, jako że właśnie było południe i praca na żaglowcu została przerwana, odpoczywał po trudach rozkazywania. Siedział on na staroświeckim krześle dębowym, po którym wił się ciekawie rzeźbiony ornament; siedzenie krzesła tworzyła mocna plecionka z tego samego elastycznego materiału, z którego zbudowany był wigwam.

Nie było może nic tak bardzo szczególnego w wyglądzie starszego pana, którego ujrzałem; ogorzały i muskularny, jak większość starych żeglarzy, zakutany był w granatowe sukno, skrojone na modłę kwakerską. Miał tylko delikatną, niemal mikroskopijną siateczkę drobniutkich zmarszczek przeplatających się wokół oczu; musiała się ona utworzyć na skutek stałego żeglowania wśród mnogich a ciężkich nawałnic i patrzenia pod wiatr – z tej to bowiem przyczyny ściągają się mięśnie około oczu. Tego rodzaju zmarszczki świetny dają efekt przy patrzeniu spode łba.

– Czy pan jesteś kapitanem „Pequoda” ? – zapytałem podchodząc do drzwi namiotu.

– Przypuśćmy, że jestem tym kapitanem. No a co ty chcesz od niego? – zapytał ów człowiek.

– Myślałem zaciągnąć się na okręt.

– Nie może być! Widzę, żeś nie nantucketańczyk. Byłeś kiedy w rozbitej łodzi?

– Nie, panie, nigdy jeszcze.

– Widzi mi się, że nie masz pojęcia o wielorybnictwie, he?

– Żadnego, panie, ale nie wątpię, że szybko się nauczę. Odbyłem kilka rejsów w marynarce handlowej i sądzę, że...

– Niech piorun spali marynarkę handlową! Nie gadaj do mnie tym żargonem. Widzisz swą nogę? Wyrwę ci ją z rufy, jeśli jeszcze kiedykolwiek piśniesz mi o marynarce handlowej. Marynarka handlowa – też rzeczywiście! Prawdopodobnie czujesz się wielce dumny, iześ służył na tych statkach handlowych. Ale do diabła, człowieku, co cię skłania do wyruszenia na wieloryby, he? Coś to wygląda podejrzenie. Czy nie byłeś czasem piratem? Nie ograbiłeś swego ostatniego kapitana? Nie chodzi ci po głowie, żeby wymordować oficerów, kiedy znajdziesz się na morzu?

Zapewniłem go o swojej niewinności w tych sprawach. Widziałem, iż pod pokrywką na wpół żartobliwych insynuacji ów stary żeglarz, jako wyspiarski, kwakerski nantucketańczyk, pełen był wyspiarskich przesądów i raczej nie ufał wszystkim obcym, jeśli tylko nie pochodzili z Przylądka Cod czy Yineyardu.

– Ale co ciebie ciągnie do wielorybnictwa? Chcę to wiedzieć, zanim pomyślę, czy zabrać cię na pokład.

– No cóż, panie, chcę zapoznać się z wielorybnictwem. Chcę obejrzeć świat.

– Chcesz się zapoznać z wielorybnictwem, co? A czyś kiedy widział na oczy kapitana Ahaba?

– Kto to jest kapitan Ahaba, panie?

– Właśnie, właśnie. Takem i myślał. Kapitan Ahab jest kapitanem tego statku.

– A zatem się pomyliłem. Sądziłem, że mówię z samym kapitanem.

– Mówisz z kapitanem Pelegiem – oto z kim mówisz, młodzieńcze. Do mnie i do

kapitana Bildada należy zaopatrzenie „Pequoda” na wyprawę i wyposażenie go we wszystko, czego mu trzeba, z załogą włącznie. Jesteśmy częściowo właścicielami i agentami. Ale właśnie miał zamiar rzec, iż jeśli chcesz się dowiedzieć, czym jest wielorybnictwo, tedy mogę ci to ułatwić, zanim się zwiążesz bez możliwości odwrotu. Rzuć no okiem na kapitana Ahaba, młodzieńcze, a zobaczysz, że on ma tylko jedną nogę.

– Jak to, panie kapitanie? Czy drugą utracił przez wieloryba?

– Utracił przez wieloryba! Podejź no bliżej, młodzieńcze: noga ta została pożarta, przeżuta, schrupana przez najpotworniejszego kaszalota, jaki kiedykolwiek rozłupał łódź, och!

Byłem nieco zaniepokojony jego gwałtownością, a może i trochę wzruszony serdeczną boleścią zawartą w jego ostatnim wykrzykniku, powiedziałem jednak najspokojniej, jak umiałem:

– To bez wątpienia prawda, co pan mówi, ale skądże miałem wiedzieć, że w tym akurat wielorybie była jakaś szczególna drapieżność, choć może mogłem to wnosić z samego tego wypadku.

– Słuchaj no, młody człowieku, ty masz, widać, jakieś miękkie płuca, nie gadasz ani trochę po marynarzku. Czyś ty aby pewny, zupełnie pewny, żeś bywał już przedtem na morzu?

– Kapitanie – odparłem – zdaje mi się, że panu mówiłem, iż odbyłem cztery rejsy w handlowej...

– Do kroćset z tym! Bacz, com ci gadał o marynarce, handlowej – nie złość mnie – nie pozwolę na to! Musimy się na wzajem zrozumieć. Dałem ci już zmiarkować, co to jest wielorybnictwo. Maszże nadal na nie chętkę?

– Tak jest.

– Dobra. No, a teraz powiedz mi, czy jesteś człkiem, który potrafi cisnąć harpun w gardziel żywego wieloryba i cisnąwszy skoczyć za nim? Odpowiadaj, a szybko.

– Jestem nim, kapitanie – jeżeli okaże się to rzeczywiście niezbędne, to znaczy, jeśli nie da się tego uniknąć. Sądzę wszelako, że tak się nie zdarzy.

– Znowu dobra odpowiedź. No, ale nie tylko chcesz wyruszyć na wieloryby i przekonać się z doświadczenia, czym jest wielorybnictwo, lecz także pragniesz popływać, aby obejrzeć świat. Czy nie tak gadałeś? No właśnie. A więc idź na przód, wyjrzyj przez dziób na nawietrzną, wróć do mnie i powiedz, co tam widzisz.

Przez chwilę stałem nieco zaskoczony owym dziwnym żądaniem, nie wiedząc właściwie, jak mam je przyjąć – czy żartobliwie, czyli też poważnie. Ale kapitan Peleg, ściągnąwszy wszystkie swoje zmarszczki w jedno ponure spojrzenie, wysłał mnie z owym rozkazem.

Poszedłem na przód i wyjrzawszy przez dziób na nawietrzną, zauważyłem, że statek, kołysząc się na kotwicy, ustawia się teraz z przyływem skośnie w stronę pełnego morza. Widok był nieograniczony, ale ogromnie monotony i niepowabny; wzrok nie natrafiał na nic, co by stanowiło najmniejsze choćby urozmaicenie.

– No i co powiesz? – zapytał Peleg, kiedy doń wróciłem. – Cóżeś widział?

– Niewiele – odparłem. – Nic oprócz wody. Horyzont jest jednak rozległy, a i

zdaje się, że szkwał nadchodzi.

– No, więc cóż ci się marzy o obejrzeniu świata? Chciałbyś opłynąć Przylądek Horn, żeby jeszcze trochę tego zobaczyć, co? Nie możesz obejrzeć świata z tego miejsca, gdzie stoisz?

Zakłopotalem się nieco; ale pomyślałem, że przecie muszę wybrać się na wieloryby i uczynię to, a „Pequod” był równie dobrym okrętem jak każdy inny – najlepszym, jak sądziłem – powtórzyłem więc teraz to wszystko Pelegowi. Widząc moją determinację, wyraził chęć zabrania mnie na pokład.

– I możesz sobie zaraz podpisać papiery – dorzucił. – Chodź ze mną. – To mówiąc zaprowadził mnie pod pokład, do kabiny.

Na poprzecznej belce siedziało tam indywiduum, które wydało mi się wielce niezwykle i zadziwiające. Okazało się, że jest to kapitan Bildad, który wraz z kapitanem Pelegiem był jednym z głównych właścicieli statku, ponieważ inne udziały, jak się to często zdarza w tamtych portach, stanowiły własność rzeszy dawnych rentierów: wdów, sierot i wychowanków; do każdego z nich należała mniej więcej równowartość kołka do wiązania lin, kawałka deski lub jednego czy dwóch gwoździ w żaglowcu. W Nantucket ludzie inwestują gotówkę w statki wielorybnicze zupełnie tak, jak wy lokujecie pieniądze w akcjach państwowych, przynoszących korzystny procent.

Otóż Bildad – podobnie jak Peleg, a także i wielu innych nantucketańczyków – był kwakrem, jako że członkowie tejże sekty pierwsi ową wyspę zasiedlili; na ogół do dziś dnia jej mieszkańcy w znacznej mierze zachowują osobliwe obyczaje kwaków, tyle tylko, że rozmaicie zniekształcone i zmienione przez zupełnie obce i różnorodne naleciałości. Niektórzy bowiem z tych właśnie kwaków są najbardziej krwiożerczymi z marynarzy i wielorybników. Są to kwakrowie wojujący; są to kwakrowie nie na żarty.

Tak więc zdarzają się między nimi ludzie, którzy, nazwani imionami z Pisma świętego – szczególnie powszechny to zwyczaj na tej wyspie – i w dzieciństwie chłonący naturalnie ową dostojną i dramatyczną gwarę kwakierską, później potrafią jednak w sposób przedziwny połączyć owe nabyte za młodu osobliwości z tysiącami śmiałych rysów charakteru, najzupełniej godnych skandynawskiego króla mórza czy też poetycznego, pogańskiego Rzymianina – czerpanych z zuchwałych, awanturnicznych, nieprzeliczonych przygód swego dalszego życia. Kiedy zaś cechy te skupią się w człowieku o niepospolitej przyrodzonej sile, ukrwionym mózgu i nieustępliwym sercu, w człowieku, który w ciszy i odosobnieniu wielu długich wacht nocnych, na najodleglejszych wodach, pod nigdy nie widywanymi tu, na północy, konstelacjami gwiazd, nauczył się myśleć niezależnie i niekonwencjonalnie; który wprost z dziewiczego, ochotnego i ufego łona natury czerpał wszystkie słodkie czy gwałtowne wrażenia i stąd głównie, choć może z niejaką pomocą przypadkowych a sprzyjających okoliczności, nauczył się przemawiać śmiałym, nerwowym i wyniosłym językiem – wtedy staje się on jednym jedynym na liście członków całego narodu – mocarną, przepyszną istotą, stworzoną dla wzniosłych tragedii. Nic mu to jednak nie ujmuje dramatyczności, jeżeli czy z urodzenia, czy też na skutek innych przyczyn na dnie jego natury leży coś jakby uparcie, przemożnie chorobliwego. Albowiem wszyscy ludzie tragicznie wielcy stają się takimi dzięki pewnej chorobliwości swojej natury. Bądź tego

pewna, o młodzieńcza ambicjo: wszelaka doczesna wielkość jest jedynie chorobą. Ale w tej chwili nie mamy do czynienia z kimś właśnie takim, lecz z człowiekiem zgoła innym i jeśli rzeczywiście ma on w sobie coś osobliwego, jest to po prostu wynikiem jeszcze jednej odmiany kwakierstwa, zmodyfikowanej przez indywidualne okoliczności.

Kapitan Bildad, podobnie jak kapitan Peleg, był zamożnym wielorybnikiem, który porzucił na starość to rzemiosło. Ale w przeciwieństwie do Pelega, który nie dbał ani na jotę o to, co się nazywa sprawami poważnymi, a nawet poczytywał te właśnie sprawy poważne za najwierutniejsze błahostki – w przeciwieństwie do niego kapitan Bildad nie tylko otrzymał zrazu wychowanie zgodne z najsurowszą regułą sekty kwaków nantucketańskich, lecz nawet jego cały późniejszy morski żywot, jak również widok rozlicznych nadobnych a nieubranych stworzeń wyspiarskich za Przylądkiem Horn nie poruszył ani na włos tego urodzonego kwakra, nie zmienił w nim nic – nawet sposobu nakładania kamizelki. A jednak mimo całej niezmienności był w zacnym kapitanie Bildadzie jakiś brak prostej konsekwencji. Choć z racji skrupułów sumienia odmawiał chwytania za broń przeciwko naziemnym najeźdźcom – przecie sam bez ograniczeń najeżdżał Atlantyk czy Pacyfik; choć był przysięgłym wrogiem rozlewu ludzkiej krwi, jednak sam w swym prostym, obcisłym kabacie przelał całe stągwie i kadzie lewiatanowej posoki. W jaki sposób Bildad potrafił teraz, w kontemplacyjnym zmierzchu swych dni, pogodzić owe rzeczy we wspomnieniach, tego mi nie wiadomo; nie zdawało się to jednak budzić w nim szczególnej troski, gdyż najprawdopodobniej z dawna już doszedł do mądrego i rozsądnego wniosku, że religia człowieka jest jedną rzeczą, a ten prakyczny świat – zupełnie inną. Ten świat wypłaca dywidendy. Awansując z małego chłopca okrętowego w najgrzebniejszym ze zgrzebnych, przykrótkim przyodziewku – na harpunnika w okazałej, opiętej kamizelce, a z niego na dowódcę łodzi wielorybniczej, pierwszego oficera, kapitana i wreszcie na właściciela okrętu – Bildad, jakem to już wspomniał, zakończył awanturniczą karierę wycofując się całkowicie z czynnego życia w pięknym wieku lat sześćdziesięciu i poświęcając dni, które mu jeszcze pozostały, na spokojne pobieranie dobrze zapracowanego dochodu.

Otóż Bildad, z żalem to muszę powiedzieć, miał opinię niepoprawnego starego kutwy, a za .czasów swych morskich podróży – twardego, ostrego zwierzchnika. Opowiadano mi w Nantucket, choć historia ta wydaje się oczywiście osobliwa, że kiedy pływał na swym wielorybniczym okręcie z Categut, jego załogę powrocie do kraju niemal w całości przenoszono na ląd do szpitala, tak srodze była wyczerpana i wyniszczona. Jak na człeka pobożnego, jak na kwakra, miał z pewnością co najmniej twarde serce. Mówiono, że nie zwykł był jednak nigdy wymyślać swym ludziom; tylko jakoś potrafił dobywać z nich niepospolitą ilość okrutnego, bezwzględnego, ciężkiego wysiłku. Kiedy był pierwszym oficerem i skierował na kogoś bacznie płowe oczy – ten odczuwał silne zdenerwowanie, dopóki nie porwał czegokolwiek!: młota czy szydła do lin, i nie zabrał się jak szalony do roboty przy tym czy owym – obojętnie, co by to było. Opieszałość i lenistwo pierzchały na jego widok bez śladu. Własna jego postać była doskonałym ucieleśnieniem utylitarne go usposobienia. Na długiej, wychudłej figurze nie miał ani krzty zbędnego ciała, a na twarzy niepotrzebnej brody; szczękę pokrywał mu miękki, skąpy meszek, podobny do tego, który widniał na jego podniszczonym

kapeluszu z szerokimi kresami.

Tak więc przedstawiała się osobistość, którą ujrzałem siedzącą na belce poprzecznej, kiedy za kapitanem Pelegiem zeszedłem do kajuty. Przestrzeń między pokładami była szczupła i tam oto, sztywno jak kołek, siedział stary kapitan, który tak zawsze siadywał, nigdy nie opierając się plecami, a to dla oszczędzania poł swego surduta. Obok niego leżał kapelusz o szerokich kresach; nogi miał Bildad sztywno skrzyżowane, tabaczkowy surdut zapięty pod szyję; i tak z okularami na nosie, kapitan zdawał się być pogrążony w lekturze potężnej księgi.

– Bildad! – zawołał kapitan Peleg. – Znowu w tym tkwisz, co? Studiowałeś to Pismo przez ostatnie lat trzydzieści, jak mi z całą pewnością wiadomo. Dalekoś dojechał, Bildad?

Jak gdyby z dawna przywykły do podobnie świętokradczych słów z ust swego starego towarzysza, Bildad, nie zwracając uwagi na ten nowy dowód braku uszanowania, spokojnie podniósł oczy i ujrawszy mnie, popatrzył pytająco na Pelega.

– Powiada, że jest w sam raz dla nas – wyjaśnił Peleg. – Chce służyć na okręcie.

– Zaprawdę? – zapytał Bildad głuchym głosem, zwracając się do mnie.

– Zaprawdę – odparłem mimo woli; tak mi się nieodparcie narzucił jego styl kwakerski.

– Co o nim sądzisz, Bildad? – zapytał Peleg.

– Nałda się – odpowiedział Bildad rzucając na mnie okiem, po czym znowu zaczął sylabizować coś ze swej księgi, wydając dość głośnie mruczenie.

Pomyślałem sobie, że to najdziwaczniejszy stary kwakier, jakiego kiedykolwiek widziałem, zwłaszcza że Peleg, jego dawny druh i towarzysz, zdawał się być takim zawiadziakiem. Nie odezwałem się jednak, a tylko szybko obejrzałem dokoła. Peleg otworzył właśnie skrzynię i dobywszy przyborów okrętowych, umieścił przed sobą kałamarz i pióro, po czym zasiadł za małym stołem. Przyszło mi do głowy, że już czas najwyższy pomyśleć, na jakich warunkach byłbym skłonny zaangażować się na wyprawę. Świadom byłem, że w rzemiośle wielorybniczym nie dają płacy, ale że wszyscy należący do załogi, z kapitanem włącznie, otrzymują pewną część zysków, zwaną *dola* i że te dole są proporcjonalne do stopnia ważności odpowiednich obowiązków członków załogi. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że ponieważ w wielorybnictwie jestem nowicjuszem, moja dola nie będzie zbyt wielka; zważywszy wszakże, iż wzwyczajony już byłem do morza, umiałem sterować okrętem, złączyć liny i tak dalej, nie miałem wątpliwości, że z tego wszystkiego, co słyszałem, powinni mi zaproponować co najmniej 275 dole, to znaczy jedną dwieście siedemdziesiątą piątą część czystego zysku z wyprawy, bez względu na to, ile by wyniósł. I choć 275 dola była, jak to się mówi, raczej daleką dolą, przecie lepsze to niż nic; a jeśli będziemy mieli udany rejs, niemal w zupełności starczy na opłacenie odzieży, jaką w tym czasie zużyję, nie mówiąc już o trzyletnim wikcie i wołowinie, za które nie będę musiał płacić ani szeląga.

Można by pomyśleć, że jest to kiepski sposób gromadzenia książęcej fortuny – i tak po prawdzie było; sposób był rzeczywiście kiepski. Należę jednak do tych, którzy nigdy nie gonią za książęcą fortuną i jestem zupełnie zadowolony, jeśli tylko świat gotów jest

zapewnić mi wikt i pomieszkanie, dopóki przebywam pod tym ponurym znakiem Chmury Gromowej. W ogólności uważałem, że 275 dola będzie mniej więcej sprawiedliwa, nie zdziwiłbym się jednakże, gdyby mi zaofiarowano dwóchsetną, zważywszy, że odznaczałem się barczystą budową.

Wszelako jedna rzecz budziła we mnie niejaką niepewność co do otrzymania hojnego udziału w zyskach; a mianowicie na łądzie zasłyszałem coś niecoś zarówno o kapitanie Pelegu, jak i o jego nieobliczalnym, starym kamracie, Bildadzie. Słyszałem, że ponieważ byli głównymi właścicielami „Pequoda”, więc inni, mniej znaczni, rozproszeni współwłaściciele pozostawili niemal w całości prowadzenie spraw statku tym dwom. I domyślałem się, że ten stary sknera, Bildad, będzie miał wiele do powiedzenia w sprawie werbunku załogi, zwłaszcza że na „Pequodzie” zastałem go całkiem zadomowionego w kajucie i czytającego Biblię jak przy własnym kominku. Otóż podczas gdy Peleg daremnie usiłował zaostrzyć pióro kozikiem, stary Bildad, ku niemałemu mojemu zdziwieniu – zważywszy, że był przecie stroną tak bardzo zainteresowaną w owych sprawach – nie zwracał na nas najmniejszej uwagi, lecz nadal mamrotał coś do siebie, czytając z księgi: – „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól...”

– No, kapitanie – przerwał mu Peleg – co powiadasz? Jaką że dolę damy temu młodzieńcowi?

– Sam wiesz najlepiej – brzmiała grobowa odpowiedź. – Siedemset siedemdziesiątą siódmą, to nie będzie za dużo, co? ... gdzie mól i rdza je zżera, ale skarbcie sobie...”

„Niezły *skarb*, rzeczywiście – pomyślałem sobie – i co za dola! Siedemset siedemdziesiątą siódma! No, stary Bildadzie, po wziąłem widać postanowienie, że ja przynajmniej nie mam sobie skarbie skarbów na tym padole, gdzie mól i rdza je zżerają!” Była to w istocie niezwykle daleka dola i choć wysokością cyfry mogła zrazu omamić szczura lądowego, jednak przelotne nawet jej rozważenie przekonywało, że choć siedemset siedemdziesiąt siedem to liczba dość wysoka, przecie jeśli oznaczycie nią część, zobaczycie zaiste, iż siedemset siedemdziesiąt siódma część szeląga, to o wiele mniej niż siedemset siedemdziesiąt siedem złotych dublonów; i to właśnie sobie wtedy pomyślałem.

– Niech cię diabli porwą, Bildad! – zawołał Peleg. – Nie chcesz chyba oszwabić tego młodzieńca! Musi dostać więcej.

– Siedemset siedemdziesiąt siódma – powtórzył Bildad nie podnosząc oczu; a następnie począł znowu mamrotać:

– „Albowiem gdzie skarb twój, tam i serce twoje”.

– Wpiszę mu trzechsetną – powiedział. Peleg. – Słyszysz mnie, Bildad? Trzechsetną dola, powiadam.

Bildad odłożył, księgę i zwróciwszy się uroczyście w jego stronę, powiedział:

– Kapitanie, serce twe szcudrobliwie jest, musisz wszelako pomnieć o obowiązku, swoim, który wypełnić winieneś wobec innych tego okrętu właścicieli – wobec wdów i sierot tak mnogich – tudzież o tym, że jeśli zbyt hojnie wynagrodzimy znoje tego młodzieniaszka, tedy może odbierzemy chleb onym wdowom i sierotom. Siedemset

siedemdziesiąta siódma dola, kapitanie Peleg.

– Ty, Bildad! – ryknął Peleg zrywając się z miejsca i miotając po kajucie. – „Niechże cię, Bildad! Gdybym słuchał twoich rad w tych sprawach, to już od dawna włókłbym za sobą sumienie dość obciążone, by zatopić największy okręt, jaki kiedykolwiek opłynął Przylądek Horn!

– Kapitanie – odparł niewzruszenie Bildad – sumienie twoje może się zanurzać na dziesięć cali w Wodę, czyli też na dziesięć sążni – tego mi, nie wiadomo. Wszelako ponieważ jesteś nadal człkiem zatwardziałego, serca, srodze się lękam, kapitanie Peleg, iż sumienie twoje po prostu przecieka i na koniec pociągnie cię w 'otchłań piekielną. – Otchłań piekielną! Otchłań piekielną! Znieważasz mnie człowieku znieważasz, mnie. ponad wszelką wytrzymałość. To diabła zniewaga, powiedzieć jakiejś ludzkiej istocie, że jest przeznaczona do piekła! Pioruny!, Jeśli to jeszcze raz powtórzysz Bildad, to niech mnie grom uderzy, niech ja – tak! – połknę żywą kozę z sierścią i rogami! Precz z kajuty, ty obłudny, kaprawy przeklętniku, steruj stąd, a żywo! Grzmiąc w ten sposób, rzucił się na Bildadą, lecz ten z niezwykłą, zwinną chyżością wywinął mu się tym razem. Przestraszony tym okropnym wybuchem, jednego z dwóch głównych i odpowiedzialnych właścicieli, okrętu i już na w pół zdecydowany porzucić wszelką myśl o żeglowaniu na statku posiadającym opiekunów tak wątpliwej wartości, a dowódców nieobliczalnych, usunął się od drzwi, by zrobić przejście Bildadowi, który, jak nie wątpił, pałał pragnieniem ucieczki przed obudzonym gniewem Pelega. Jednakże ku mojemu zdumieniu zasiadł on znowu najspokojniej na belce i nie zdradzał najmniejszego zamiaru wycofania się z kajuty. Był snadź zupełnie otrzaskany z zatwardziałym Pelegiem i jego sposobem bycia.. Co zaś się tyczy Pelega, to ten, dawszy upust wściekłości, wyzbył się jej widać całkowicie i również usiadł, jak baranek; choć drżał z lekka, jak gdyby nerwy jego nadal były wzburzone. – Fiu! – gwizdnął wreszcie. – Coś mi się zdaje, że szkwał poszedł na zawietrzną. Bildad, byłeś biegły w ostrzeniu lanc, zastrugaj mi to pióro, dobrze? Ten mój kozik potrzebuje; oselki. O właśnie; dziękuję ci, Bildad. No więc, młodzieńcze, powiadasz że na imię ci Izmael? Zatem zapisuję cię tu, Izmaelu, na trzechsetną dolę.

– Kapitanie Peleg – powiedziałem – jest tu ze mną mój przyjaciel, który także chciałby się zaciągnąć. Czy mam go jutra przyprowadzić?

– A pewnie – odparł Peleg. – Przyprowadź go, to go sobie obejrzymy.

– Jakiej doli by chciał? – stęknął Bildad łypiąc znad książki, w której się znowu zagrzebał.

– Już ty się o to nie martw, Bildad – rzekł Peleg. – Polował kiedykolwiek na wieloryby? – dodał zwracając się do mnie.

– Ubił ich więcej, niżbym potrafił zliczyć, kapitanie Peleg.

– No, to przyprowadź go.

– Podpisawszy, więc papiery wyszedłem nie wątpiąc, że dobrze wykonałem tego ranka swoje zadanie i że to właśnie „Pequod” jest owym okrętem następczym przez Jodza, ażeby obwieść mnie i Queequega wokół Przylądka.

Nie uszedłem jednak daleko, kiedy przyszło mi do głowy, że przecie kapitan, z którym miałem żeglować, pozostawał ciągle dla mnie niewidzialny. Wprawdzie nieraz

tak się zdarza, że statek wielorybiczny otrzymuje kompletne wyposażenie i przyjmuje na pokład całą załogę, zanim kapitan da się na nim widzieć, przybywając dla objęcia komendy. Czasami bowiem wyprawy tak się przedłużają, a przerwy między nimi spędzone w domu, na lądzie, bywają tak niesłychanie krótkie, że jeśli kapitan posiada rodzinę czy jakiegokolwiek podobnie absorbujące sprawy, nie kłopotuje się wiele w porcie o swój statek, lecz pozostawia go właścicielom, dopóki wszystko nie będzie gotowe do wypłynięcia. Bądź co bądź dobrze jest jednak obejrzeć kapitana, nim człowiek odda mu się nieodwołalnie w ręce. Zawróciłem więc i zagadnąłem Pelega, gdzie można znaleźć kapitana Ahaba.

– A cóż ty chcesz od kapitana Ahaba? Wszystko jest w porządku. Zaciągnąłeś się już przecie.

– Tak, ale chciałbym się z nim zobaczyć.

– Nie sądzę, żebyś to teraz mógł uczynić. Nie mam pojęcia, co mu właściwie jest, ale ciągle siedzi w domu; coś jakby chory, choć na to nie wygląda. Po prawdzie to chory nie jest, ale i dobrze się też nie czuje. W każdym razie nie zawsze życzy sobie mnie widzieć, więc nie przypuszczam, żeby chciał zobaczyć się z tobą, młodzieńcze. To dziwaczny człek, ten kapitan Ahab – tak uważają niektórzy – chociaż zacny. Nie ma obawy, nie ma obawy, polubisz go na pewno. Kapitan Ahab to chłop wspaniały. Boga się nie boi, choć bogom jest podobny. Nie gada wiele, lecz kiedy przemówi, wtedy go warto posłuchać. Zakonotuj sobie tę przestrożę: Ahab to człek niepospolity; bywał na uniwersytetach, jak również między ludożercami, przywykł do większych dziwów niż morskie fale, wbijał swą płomienistą lancę we wrogów potężniejszych i osobliwszych niż wieloryby. Ta jego lanca! Zaiste, najostrzejsza i najbardziej niechybna ze wszystkich na całej naszej wyspie! O, to nie kapitan Bildad, to nie Peleg; to *Ahab*, chłopcze, a starodawny Ahab, jak wiesz, był koronowanym królem.

– I to bardzo nikczemnym. Przecie kiedy tego podłego króla zabito, czyż psy nie zlizywały jego krwi?

– Podejdz no bliżej do mnie. Bliżej, bliżej – ozwał się Peleg z tak znaczącym spojrzeniem, że omal nie zadrżałem. – Uważaj, chłopcze; nigdy nie powiadaj tego na „Pequodzie”. Nie powiadaj tego nigdzie. Kapitan Ahab nie wybierał sobie imienia. To był lekkomyślny, głupi kaprys jego zbzikowanej, owdowiałej matki, która umarła, kiedy miał ledwie rok. A jednak stara Indianka Tistig powiedziała w Gayhead, że imię to w jakiś tam sposób okaże się prorocze. I być może, iż inni jej podobni głupcy powtórzą ci to samo. Chcę cię przestrzec. To łgarstwo. Znam dobrze kapitana Ahaba. Przed laty pływałem z nim jako oficer i dobrze wiem, jaki jest – dobry człowiek, nie taki pobożny, zacny człek jak Bildad, ale dobry człek, który umie przeklinać – coś tak jak ja, tylko że wiele więcej. Tak, tak, wiem, że nigdy nie był zbyt wesoły, wiem także, iż w powrotnej drodze do domu trochę mu się przejściowo we łbie pomieszało; wszelako, jak każdy może wymiarkować, sprawiły to owe przeszywające bóle w jego krwawiącym kikucie. Wiadomo mi także, że odkąd w ostatniej wyprawie stracił nogę przez tego przekłętą wieloryba, jest czegoś ponury – rozpaczliwie ponury, a czasem wręcz opętany, ale to wszystko przejdzie. A pozwól sobie raz na zawsze powiedzieć i zapewnić cię, młody człowieku, że lepiej żeglować pod ponurym, a dobrym kapitanem

niż pod roześmianym, a złym. Więc żegnaj mi – i nie krzywdź kapitana Ahaba dlatego tylko, że przypadkowo ma straszne imię. Prócz tego, mój chłopcze, ma on żonę – poślubioną ze trzy wyprawy temu – lubą, cichą dziewczeczkę. Pomyśl tylko: z tej słodkiej dziewczyny ów człek ma dziecko. Czyliż więc sądzisz, że jest w Ahabie jakieś całkowite, beznadziejne zło? Nie, nie, mój chłopcze; może on być opętany piekielnikiem, a przecie ma w sobie coś ludzkiego.

Odchodząc zatopiłem się w rozmyślaniach; to, co przypadkowo wyjawiono mi o kapitanie Ahabie, nappełniło mnie jakimś niespokojnym, nieokreślonym bólem wiążącym się z jego osobą. Jednocześnie zaś doświadczałem dlań współczucia i litości, choć nie zdawałem sobie sprawy z jakiego powodu – chyba z racji tej okrutnej utraty nogi. A jednak przejmowała mnie także dziwna przed nim groza, ale ten rodzaj grozy, którego wcale nie potrafię opisać, który grozą właściwie nie był, choć nie wiem, czym był w istocie. Doświadczałem przecie takiego uczucia, lecz wcale mnie ono źle wobec Ahaba nie usposabiało, chociaż drażniło mnie coś, co – acz go dotąd niedostatecznie poznałem – wydawało się w nim tak tajemnicze. Jednakże myśli moje pobiegły wkrótce w innym kierunku i na razie mroczny Ahab wyleciał mi z głowy.

## ROZDZIAŁ XVII

### RAMADAN

Jako że Ramadan czy post, czy tam umartwienie Queequega miało trwać cały dzień, postanowiłem nie przeszkadzać mu przed zapadnięciem nocy, żywię bowiem najwyższy respekt dla wszelkich obowiązków religijnych, bez względu na to, jak mogą być komiczne, i nie miałbym odwagi lekceważyć nawet kongregacji mrówek oddających cześć muchomorowi albo tych innych stworów, które w pewnych częściach naszej ziemi, z lokajstwem doprowadzonym do stopnia nie mającego precedensu na innych planetach, wybijają pokłony przed popiersiem zmarłego właściciela ziemskiego, po prostu z uwagi na niezwykłą wielkość dóbr, nadal posiadanych i wydzierzawionych w jego imieniu.

Uważam, że my, dobrzy chrześcijanie prezbiteriańscy, powinniśmy być miłosierni w tych sprawach i nie wyobrażać sobie, iż stoimy tak wiele wyżej od innych śmiertelników, pogan czy tam kogo, z racji ich na wpół obłądnych urojeń w tych materiach. Oto taki Queequeg z pewnością żywi najniedorzeczniejsze wyobrażenia o Jodżu i swoim Ramadanie – ale cóż z tego? Przypuszczam, iż Queequeg sądzi, że wie, co robi; wydaje się zadowolony; niechże więc zostanie w spokoju. Wszelkie z nim spory nie zdałyby się na nic, należy więc dać mu spokój, powiadam, i niech Nieba mają miłosierdzie nad nami wszystkimi – prezbiterianami i poganami na równi – wszyscy bowiem mamy okropnie pokręcone w głowach i srodze nam potrzeba naprawy.

Pod wieczór, kiedy byłem już pewny, że Queequeg musiał zakończyć wszystkie swoje obrządki i rytuały, poszedłem na górę do jego pokoju i zapukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Usiłowałem je otworzyć, lecz były zaparte od wewnątrz. – Queequeg... – powiedziałem cichutko przez dziurkę od klucza. Cisza. – Queequeg! Słuchaj, czemu się nie odzywasz? To ja, Izmael. – Ale nadal panowało zupełne milczenie. Zacząłem się niepokoić. Dałem mu przecie tak wiele czasu; pomyślałem, że może miał atak apoplektyczny. Zajrzałem przez dziurkę od klucza, lecz ponieważ drzwi wychodziły na jakiś zakamarek pokoju, widok przez nią był niepełny i dość ponury. Mogłem dojrzeć tylko kawałek deski w nogach łóżka i część ściany, nic jednak poza tym. Ze zdumieniem zauważyłem oparte o ścianę drzewce harpuna, który gospodyni zabrała Queequegowi ubiegłego wieczora, zanim udaliśmy się do izby. „To dziwne – pomyślałem – ale w każdym razie, skoro harpun tam stoi, a Quee-queg rzadko czy raczej nigdy bez niego nie wychodzi, bez wątpienia i on sam musi się wewnątrz znajdować.”

– Queequeg! Queequeg! – Cisza całkowita. Coś się musiało stać. Apopleksja! Usiłowałem wyważyć drzwi, lecz stały mi nieugięty opór. Zbiegłszy ze schodów, szybko oznajmiłem o swych podejrzeniach pierwszej napotkanej osobie – dziewczynie służebnej.

– Och, och! – zawołała. – Zaraz sobie pomyślałam, że coś się przydarzyło. Poszłam słać łóżko po śniadaniu i drzwi zastałam zamknięte. Cisza jak makiem zasiał – i od tej pory ciągle tam cicho. Alem sobie pomyślała, żeście może obaj wyszli i dla pewności

zamknęli w pokoju swoje rzeczy. Och! Pani! Pani! Morderstwo! Pani Hussey! Apopleksja! – z tym krzykiem popędziła do kuchni, a ja za nią.

Wkrótce ukazała się pani Hussey ze słoikiem musztardy w jednej, a dzbanuszkim octu w drugiej ręce; właśnie się oderwała od porządkowania półek w spiżarni i jednoczesnego strofowania swego małego Murzynka.

– Gdzie skład drzewa? – krzyknąłem. – Którędy się tam idzie? Biegnijcie, na miłość boską, i przynieście coś, czym by można wywalić drzwi – siekierę – siekierę! On miał atak, wierzcie mi! – to mówiąc skoczyłem bezmyślnie i z pustymi rękami z powrotem na schody. Lecz pani Hussey zagroziła mi drogę słoikiem musztardy, dzbanuszkim octu oraz swym nie mniej kwaśnym obliczem.

– Co się z panem dzieje, młody człowieku?

– Dajcie mi siekierę! Na imię boskie, niech ktoś leci po doktora, a ja tymczasem wyważę drzwi!

– Słuchaj no pan – rzekła gospodyni, szybko odstawiając dzbanek z octem, by mieć jedną rękę wolną – słuchaj no pan. Czy chcesz przez to powiedzieć, że wyważysz którekolwiek z moich drzwi? – Z tymi słowy pochwyciła mnie za ramię. – Co się z panem dzieje? Co się dzieje, kolego marynarzu?

W sposób możliwie najspokojniejszy, choć bardzo pośpieszny, zapoznałem ją z całą sprawą; zastanowiła się chwilę, bezwiednie trącając się dzbankiem octu w nos, po czym zawołała:

– Nie! Nie widziałam go, odkąd go tam postawiłam! – Pobiegła do małej komórki pod schodami, zajrzała tam i wróciwszy oświadczyła mi, że harpun Queequega zniknął.

– Zabił się! – krzyknęła. – Znowu to samo, co z tym nieszczęsnym Stiggsem, znów pójdzie jedna kołdra – Panie, miej litość nad jego nieszczęsną matką! To już będzie klęska dla naszego zajazdu! Czy ten nieszczęśnik miał siostrę? Gdzie ona? Słuchaj, Betty, leć do malarza Snarlesa i każ mu wymalować dla mnie szyld z napisem: „Zabrania się popełniać tu samobójstw oraz palić w bawialni” – można ubić dwa wróble za jednym zamachem... Ubić? O Boże, bądź miłościw jego duszy! Co to za hałas? Dość tego, młody człowieku!

I skoczywszy za mną pochwyciła mnie w chwili, gdy znowu usiłowałem wyważyć drzwi.

– Na to nie pozwolę! Nie zgadzam się, żeby mi rujnowano mieszkanie. Idź pan po ślusarza; mieszka tu jeden, o jakąś milę stąd. Ale zaraz! – wsunęła rękę do bocznej kieszeni. – Mam klucz, który chyba będzie pasował. Trzeba zobaczyć. – To mówiąc przekreśliła go w zamku; niestety jednak, zasunięta na wszelki wypadek przez Queequega zasuwa pozostała wewnątrz nieporuszona.

– Muszę wyważyć drzwi – rzuciłem i już odbiegłem w głąb sieni, by nabrać dobrego rozpędu, kiedy gospodyni przyskoczyła do mnie zaklinając znowu, żebym jej nie niszczył mieszkania. Wyrwałem się jednak i nagłym rzutem całego ciała runąłem na drzwi.

Rozwarły się z okropnym trzaskiem, klamka wyrznięta o ścianę, aż tynk prysnął na sufit i oto tam w samym środku pokoju – o dobre Nieba! – przycupnąwszy na własnych pośladkach, siedział sobie Queequeg, całkowicie spokojny i opanowany,

trzymając Jodża na czubku głowy. Nie patrzył ani w jedną, ani w drugą stronę, ale siedział jak rzeźbiony posąg, ledwie dając oznaki życia.

– Queequeg – powiedziałem podchodząc doń. – Queequeg, co się z tobą dzieje?

– Przecie chyba nie siedzi tu tak przez cały dzień? – zapytała gospodyni.

Ale cokolwiek mówiliśmy, nic nie potrafiło wydobyć zeń ani słowa; miałem niemal ochotę popchnąć go, żeby zmienić pozycję, tak się wydawała boleśnie wymuszona i nienaturalna, zwłaszcza że według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał tak siedzieć od przeszło ośmiu czy dziesięciu godzin, i to nie przyjmując zwykłych posiłków.

– Pani Hussey – rzekłem. – W każdym razie żyje. Zostawcie nas więc, proszę, a ja sam załatwię tę dziwną sprawę.

Zamknawszy drzwi za gospodynią, usiłowałem nakłonić Quee-quega, by wziął sobie krzesło; na próżno jednak. Siedział tak oto – i mimo wszelkich moich uprzejmych zabiegów i pochlebstw nie ruszył palcem, nie wypowiedział ani jednego słowa, nie spojrzał nawet w moją stronę ani nie zwrócił uwagi na moją obecność w najmniejszej choćby mierze.

„Ciekaw jestem – pomyślałem – czy to może również należeć do jego Ramadanu; czy na tej jego rodzinnej wyspie tak samo poszczą siedząc na własnych szynkach? Pewnie tak jest; to chyba przynależy do jego wierzeń; a zatem niech siedzi w spokoju. Bez wątpienia wstanie prędzej czy później. Bogu dzięki, nie może to trwać wiecznie, a jego Ramadan przypada tylko raz na rok i nie sądzę, żeby znów tak bardzo punktualnie.”

Zszedłem na wieczerzę. Długi czas siedziałem, przysłuchując się rozwlekłym opowieściom marynarzy, którzy właśnie powrócili z tego, co nazywali „puddingowym rejssem” (to znaczy z krótkiej wyprawy wielorybniczej na brygu czy skunerze, ograniczonej do terenów na północ od równika, i to jedynie na Oceanie Atlantyckim). Nasłuchawszy się tych „puddingowców” niemal do jedenastej godziny, poszedłem na górę chcąc się położyć do łóżka; byłem teraz pewny, że Queequeg oczywiście musiał już zakończyć swój Ramadan. Ale nie – siedział tam oto, gdzie go zostawiłem; nie drgnął nawet na cal. Zaczęło mnie to irytować; owo siedzenie na zadku w zimnej izbie przez cały dzień i pół nocy z kawałkiem drewna na głowie wydawało mi się wręcz niedorzeczne i obłąkane.

– Na litość boską, Queequegu, wstańże i otrząśnij się. Idź na kolację; umrzesz z głodu, zabijesz się, chłopie. – Ale ani słowa odpowiedzi.

Uznawszy więc, że sprawa jest beznadziejna, postanowiłem położyć się do łóżka i zasnąć; z pewnością po niedługim czasie pójdzie on za moim przykładem. Zanim to jednak uczyniłem, zdjąłem z siebie ciężką, sukienną kurtkę i zarzuciłem ją na niego, jako że zanosilo się na bardzo chłodną noc, on zaś nie miał na sobie nic, prócz zwykłego, kusego kaftana. Ale choć, robiłem, co mogłem, przez czas jakiś nie udało mi się zapaść nawet w najlżejszą drzemkę. Zdmuchnąłem świecę, lecz sama myśl o Quee-quegu siedzącym niecałe cztery stopy ode mnie w tej niewygodnej pozycji, całkowicie, samotnym wśród zimna i mroku, doprawdy mnie gnębiła. Pomyślcie tylko: spać przez całą noc w jednym pokoju z czuwającym poganinem siedzącym na zadku i oddającym

się temu okropnemu niepojętemu Ramadanowi!

Przecie na koniec usnąłem jakoś i straciłem świadomość aż do świtu, lecz kiedy wyrząłem z łóżka, zobaczyłem przycupniętego Queequega, który tam tkwił, jakby go przyśrubowano do podłogi. Ledwie jednak słońce zajaśniało po raz pierwszy do okna, Queequeg wstał z zeszywniałymi i trzeszczącymi stawami, ale wesołym wejrzeniem, pokuśtykał w stronę łóżka, na którym leżałem, przycisnął swoje czoło do mojego i obwieścił, że jego Ramadan jest zakończony.

Otóż, jak już wspomniałem, nie mam żadnych zastrzeżeń wobec religii jakiegokolwiek człowieka, bez względu na to, jaka ona jest – dopóki ów człowiek nie zabija czy nie łży innego, dlatego że ten jej również nie wyznaje. Kiedy jednak religia tego człowieka staje się wręcz opętana, kiedy okazuje się oczywistą dla niego udręką i koniec końców czyni tę naszą ziemię zajazdem wielce niewygodnym do mieszkania – wtedy uważam, że wielki czas wziąć owego osobnika na stronę i przedyskutować z nim rzecz całą.

Tak właśnie postąpiłem teraz z Queequegiem. – Queequegu – powiedziałem – połóż się teraz do łóżka i posłuchaj, co ci powiem. – Po czym mówiłem dalej zaczynając od powstania i rozwoju religii pierwotnych, następnie przeszedłem do różnorodnych religii czasów obecnych, ciągle usiłując wykazać Queequegowi, że te wszystkie posty, Ramadany i przewlekłe wysiadania własnych pośladków w zimnych, ponurych izbach są czystym nonsensem, szkodliwym dla zdrowia, bezużytecznym dla duszy, sprzeciwiającym się, Krótko mówiąc, oczywistym nakazom higieny i zdrowego rozsądku. Powiedziałem mu również, iż zważywszy, że w innych sprawach jest nadzwyczajnie rozsądnym i mądrym dzikusiem, odczuwam, przykrość, i to bardzo żywą przykrość, widząc jego pożałowania godną głupotę na punkcie tego śmiesznego Ramadanu. Prócz tego, dowodziłem, posty sprawiają, że podupada się na ciele, a przez to upada się i na duchu, wszystkie zaś myśli z postu zrodzone muszą być z konieczności na wpół zagłodzone. To jest właśnie przyczyną, dla której większość cierpiących na niestrawność religiantów żywi tak melancholijne wyobrażenia o swoim przyszłym życiu. Jednym słowem, powiedziałem Queequegowi, nieco odchodząc od tematu, że piekło jest pomysłem, który się po raz pierwszy zrodził z niestrawnego pieroga z jabłkami i od owej pory utrwalany jest dzięki dziedzicznym niestrawnościom kultywowanym przez Ramadany. Zapytałem następnie Queequega, czy kiedykolwiek nękała go niestrawność, wyjaśniając znaczenie tego słowa wielce przystępnie, tak, by był w stanie je pojąć. Odpowiedział, że nie, z wyjątkiem jednego pamiętnego przypadku. Wydarzyło się to po wielkiej uczcie wydanej przez jego ojca-króla z okazji wygrania walnej batalii, w czasie której ubito pięćdziesięciu nieprzyjaciół około drugiej po południu, a ugotowano i spożyto ich wszystkich tegoż samego wieczora.

– Dość, Queequegu – rzekłem wzdygając się. – Wystarczy. – Wnioski, jakie stąd wypływały, były mi bowiem znane bez dalszych aluzji. Widziałem kiedyś marynarza, który odwiedził tę właśnie wyspę; opowiadał mi, że według panującego tam obyczaju, po wygraniu wielkiej bitwy wszystkich poległych czczono na rożnie, na dziedzińcu lub w ogrodzie zwycięzcy; następnie umieszczano ich po kolei na wielkich drewnianych tacach, garnirowano jak pilaw owocami drzewa chlebowego oraz orzechami

kokosowymi, i z odrobiną pietruszki w zębach rozsyłano z ukłonami od zwycięzcy wszystkim jego przyjaciołom, zupełnie jak gdyby owe podarki były gwiazdkowymi indykami.

Myślę jednak, że mimo wszystko moje uwagi na temat religii nie wywarły wielkiego wrażenia na Queequegu. Po pierwsze, wydawał się jakby głuchy na tak doniosłe tematy, jeśli się ich nie rozważało z jego własnego punktu widzenia; po wtóre, rozumiał jedną trzecią tego, co mówiłem, choć starałem się myśli moje wyłożyć jak najprościej, i wreszcie niewątpliwie wyobrażał sobie, że o prawdziwej religii wie znacznie więcej ode mnie. Spoglądał na mnie z czymś w rodzaju pobłażliwej troski i współczucia, jak gdyby uznawał, iż wielka to szkoda, że podobnie rozsądny młody człowiek jest tak bezpowrotnie stracony dla ewangelicznej pogańskiej pobożności.

Nareszcie wstaliśmy z łóżka i ubraliśmy się; Queequeg pochłoniął olbrzymie śniadanie złożone ze wszelkiego rodzaju *chowderów*, tak aby gospodyni nie odniosła zbyt wielkiej korzyści z jego Ramadanu, a następnie wybraliśmy się na „Pequoda”, po drodze dłubiąc w zębach ośmi płastugi.

## ROZDZIAŁ XVIII

### JEGO ZNAK

Kiedyśmy tak kroczyli skrajem nabrzeża ku statkowi – Quee-queg z harpunem w garści – kapitan Peleg powitał nas donośnie spod wigwamu stwierdzając swym burkliwym głosem, iż nie przypuszczał, że przyjaciel mój jest kanibalem, po czym oznajmił, że nie wpuszcza ludożerców na pokład tego statku, jeśli mu uprzednio nie okdzą dokumentów.

– Co pan chce przez to powiedzieć, kapitanie? – zapytałem przeskakując przez burtę i pozostawiając mego towarzysza na nabrzeżu.

– Chcę przez to powiedzieć – odparł – że musi on okazać swoje dokumenty.

– Aha! – ozwał się kapitan Bildad swym głuchym głosem, wytknąwszy zza Pelega głowę spod wigwamu. – Musi wykazać, że jest nawrócony. Synu Ciemności – dorzucił zwracając się do Queequega – zali przynależysz obecnie do jakowegoś chrześcijańskiego Kościoła?

– Ależ on jest członkiem Pierwszego Kościoła Kongregacjonalistycznego – powiedziałem. Nadmienić tu należy, że wielu wytatuowanych dzikich pływających na okrętach nantucketańskich przyjmuje wreszcie chrzest w którymś z Kościołów.

– Pierwszy Kościół Kongregacjonalistyczny! – zawołał Bildad. – Co? Ten, który odprawia nabożeństwa w domu zebrania diakona Deuteronomiona Colemana? – to mówiąc zdjął okulary, przetaił je wielką żółtą chustą z indyjskiego jedwabiu i nałożywszy na powrót z wielką starannością, wylał z wigwamu, wychylił się sztywno przez burtę i długo, bacznie przyglądał się Queequegowi.

– Od jak dawna jest członkiem? – zapytał obracając się ku mnie. – Przypuszczam, że chyba niezbyt dawno, młody człowieku.

– Nie – ozwał się Peleg. – Nie został też porządnie ochrzczony, gdyż inaczej zmyłoby mu to z gęby nieco tej diabelskiej błękitnej farby.

– Powiadajże zaraz – krzyknął Bildad – czy ten Filistyn jest prawdziwym członkiem zboru diakona Deuteronomiona? Nigdy nie widział, żeby się tam udawał, a przechodzę tamtędy w każdą świętą niedzielę.

– Nic mi nie wiadomo o diakonie Deuteronomionie ani o jego zborze – odparłem, – a wszystko, co wiem, to to, że tu obecny Queequeg jest urodzonym członkiem Pierwszego Kościoła Kongregacjonalistycznego. Sam nawet jest diakonem, a jakże.

– Młodzieńcze – rzekł Bildad surowo – urządzasz sobie ze mnie krotchwile, wytlumacz się, młody Hetyto. O jakim Kościele prawisz? Odpowiedz mi.

Przyparty w ten sposób do muru odrzekłem: – Mówię o tym samym pradawnym Kościele Powszechnym, do którego należę i ja, i pan, i kapitan Peleg tu obecny, i tenże Queequeg, i my wszyscy, i syn każdej z matek, i dusze nasze: mówię o wielkiej, wieczystej, Pierwszej Kongregacji całego tego wierzącego świata. Wszyscy do niej należymy – tylko niektórzy z nas pielęgnowują pewne wymyślności nie mające żadnego związku z samym wspaniałym wierzeniem; w nim natomiast wszyscy łączymy nasze dłonie.

– Splatamy, chcesz powiedzieć: *splatamy dłonie!* – wykrzyknął Peleg podchodząc bliżej. – Młodzieńcze, lepiej zaciągnij się na misjonarza, miast zostawać zwykłym majtkiem; nigdy jeszcze nie słyszał lepszego kazania. Diakon Deuteronomion – co mówię! – sam Ojciec Mapple nie mógłby go pobić, a ten się przecież za coś liczy. Chodźcie na pokład, na pokład, mniejsza o te papiery. Powiedzże temu Quohogowi – jak go tam nazywasz? – powiedz mu, żeby przyszedł. Na wielką kotwicę! Ależ on ma olbrzymi harpun! Wygląda na całkiem niezły; widać też, że chłop umie się z nim obchodzić. Hejże, Quohogu, czy jak tam twoje imię, stałeś kiedy na dziobie wielorybicznej łodzi? Zadłgałeś w życiu jaką rybę?

Nie mówiąc ani słowa Queequeg w swój nieco dziki sposób wskoczył na burtę, z niej na dziób jednej z łodzi wielorybicznych zawieszonych u boku okrętu, zaparł się lewym kolaniem, wznosił harpun i wykrzyknął coś w tym rodzaju:

– Kapitan, ty widzieć ten mała plama smoła na wodzie? Widzieć go, no to on oko wieloryby i proszę! – wycelowawszy dokładnie, cisnął żelazo tuż nad szerokokresym kapeluszem Bildada, prosto przez pokład okrętu, trafiając w samą połyskliwą plamę smoły, która znikła nam z oczu.

– No – rzekł Queequeg spokojnie holując do siebie linkę harpuna – gdyby on być oko wieloryby, to ta wieloryba być zabita.

– Bystro, Bildad! – zawołał Peleg do swego współnika, który przerażony bliskością lecącego harpuna wycofał się w stronę zejścia kajutowego. – Bystro, mówię ci, Bildad; łap się za papiery okrętowe. Musimy mieć tego Minoga czy tam Quohoga w jednej z naszych łodzi. Słuchaj, Quohog, damy ci dziewięćdziesiątą dolę, a to jest więcej, niż kiedykolwiek otrzymał harpunnik spoza Nantucket.

Zeszliśmy więc do kajuty i ku wielkiej mojej radości Quee-queg został niebawem wciągnięty na listę załogi tego samego okrętu, do którego i ja należałem.

Kiedy wszelkie przedwstępne czynności zostały już zakończone, a Peleg przygotował wszystko do podpisania, obrócił się do mnie i rzekł:

– Myślę, że ten ów Quohog nie umie pisać, co? Hola, Quohog, niechże cię! Czy podpisujesz swoje imię, czy też stawiasz swój znak?

Ale na to pytanie Queequeg, który już dwa czy trzy razy brał udział w podobnej ceremonii, nie okazał bynajmniej zmieszania; ująwszy podane mu pióro wykonał na papierze, we właściwym miejscu, dokładną kopię osobliwego, krągłego znaku wytatuowanego na jego ramieniu. Dzięki więc pomyłce, jaką kapitan Peleg uparcie popełniał przy jego imieniu, wyglądało to mniej więcej tak:

Tymczasem kapitan Bildad siedział, niewzruszenie i z powagą przypatrując się Queequegowi; wreszcie wstał uroczyście i poszperawszy w olbrzymich kieszeniach swego szerokiego, tabaczkowego surduta, wydobyl plik rozprawek religijnych, wybrał jedną z nich zatytułowaną *Dzień Sądu nadchodzi, czyli nie ma czasu do stracenia* i wetknąwszy ją w rękę Queequegowi objął obiema dłońmi jego dłonie dzierzące broszurę, zajrzał mu z powagą w oczy i powiedział:

– Synu Ciemności, winienem wykonać swą powinność wobec ciebie. Jestem współwłaścicielem tego okrętu i muszę się troszczyć o dusze całej jego załogi; jeśli przeto tkwisz jeszcze w swoich pogańskich obyczajach – czego się srodze lękam –

zaklinam cię, nie pozostawaj na zawsze sługą Beliala. Odtrąć onego bałwana, smoka ohydneho, uchron się od gniewu, któren cię oczekuje, strzeż się pilnie, powiadam ci, i – na miły Bóg! – steruj precz od czeluści piekielnej!

Coś ze świata mórz słonych błąkało się jeszcze w mowie Bildada, w przedziwnym połączeniu z biblijnymi i potocznymi zdaniami.

– Dość tego, dość tego, Bildad! Przestań już psuć naszego harpunnika! – zawołał Peleg. – Nabożni harpunnicy nigdy nie bywają dobrymi marynarzami – to pozbawia ich dzikości rekina, a harpunnik, który nie będzie dostatecznie rekinowaty, nie wart jest nawet tyle co źdźbło słomy. Tak było z Natem Swaine, niegdyś najdzielniejszym dziobowym z całego Nantucket i Vine-yardu; przystał do zboru i nigdy mu to na dobre nie wyszło. Tak się zaczął strachać o tę swoją parszywą duszę, że się wykręcał i unikał wielorybów z obawy przed złymi dla niej skutkami, na wypadek gdyby po rozbiciu łodzi musiał się dostać w łapy Davy Jonesa .

– Peleg, Peleg! – ozwał się Bildad wznosząc w górę oczy i ręce. – Ty sam, jako i ja, oglądałeś już niejedno niebezpieczeństwo. Wiesz, Peleg, co to znaczy czuć strach przed śmiercią – jakże więc możesz gadać na tak bezbożna modłę? Kłam zadajesz własnemu sercu, Peleg. Powiedzże mi, czy wówczas, gdy tajfun zwałił za burtę temu tu „Pequodowi” trzy maszty u wybrzeży Japonii, w czasie tego rejsu, kiedyś to pływał jako oficer przy kapitanie Ahabie, czyś wtedy nie myślał o śmierci i Sądzie Ostatecznym?

– Patrzcie go, patrzcie go tylko! – zawołał Peleg krocząc po kabinie i wpychając ręce głęboko w kieszenie. – Widzieliście go! O tym miałem myśleć? Kiedy sądziliśmy, że okręt zatonie lada chwila! Śmierć i Sąd – wtedy? Co? Gdy wszystkie trzy maszty bez przerwy łomotały o kadłub, a całe morze waliło się na nas od dzioba i rufy! Wówczas myśleć o śmierci i Sądzie Ostatecznym? Nie! Nie było wtedy czasu myśleć o śmierci. O życiu myśleliśmy z kapitanem Ahabem, i o tym, jak ratować załogę, jak umocować zapasowe maszty, jak się dostać do najbliższego portu: o tym myślałem!

Bildad nie wyrzekł już ni słowa, lecz zapiawszy surdut wymaszerował na pokład, my zaś niebawem udaliśmy się za nim. Stał tam, nadzorując z ogromnym spokojem kilku żaglomistrzów naprawiających środek topsła. Od czasu do czasu schylał się, by podnieść jakąś łatę lub pozbierać kawałki smołowanego szpagatu, które inaczej mogłyby się zmarnować.

## ROZDZIAŁ XIX

### PROROK

– Koledzy marynarze, czyście się zaciągnęli na ten statek? Queequeg i ja zeszlśmy właśnie z „Pequoda” i oddalaliśmy się

od wody – każdy z nas chwilowo zajęty własnymi myślami – kiedy powyższe słowa wyrzeczone do nas zostały przez nieznanego człowieka, który zastąpiwszy nam drogę wycelował masywny wskazujący palec w stronę tegoż żaglowca. Był dość nędznie oddziany w wypłowiały kabat i łatane spodnie; strzęp czarnej chusty okręcał mu szyję. Ospa rozlała się na wsze strony po jego twarzy czyniąc z niej coś na kształt zawile żłobionego łożyska potoku, którego rwące wody wyschły już od dawna.

– Czyście się zaciągnęli na niego? – powtórzył.

– Chodzi panu o żaglowiec „Pequod”, jak się zdaje? – odrzekłem usiłując zyskać nieco na czasie, by mu się spokojnie przyjrzeć.

– Właśnie o „Pequoda”, o ten tu statek – powiedział cofając ramię, a następnie wyrzucając je nagle przed siebie z nastawionym bagnetem palca wymierzonym wprost w cel.

– Tak – odrzekłem. – Właśnie podpisaliśmy listę werbunkową.

– Było w niej coś o waszych duszach?

– O czym?

– O, może w ogóle ich nie macie – powiedział z pośpiechem. – Mniejsza o to; znam wielu takich, co ich nie mają – Bóg z nimi – i tym lepiej się czują. Dusza to coś w rodzaju piątego koła u wozu.

– Co tam pleciesz, kolego? – zapytałem.

– On ma przecie dość duszy, by nadrobić wszelkie podobne braki u innych – powiedział nagle nieznanomy, wymawiając słowo *on* z nerwowym naciskiem.

– Queequeg – rzekłem – chodźmy; ten chłop musiał się skądś urwać. Gada o czymś czy o kimś, kogo wcale nie znamy.

– Stójcie! – wykrzyknął nieznanomy. – Powiedzieliście prawdę – nie widzieliście jeszcze przecie Starego Gromu?

– Kto to jest Stary Grom? – zapytałem, ponownie uderzony jego obłąkaną powagą.

– Kapitan Ahab.

– Co? Kapitan naszego okrętu, „Pequoda” ?

– A jakże. Wśród niektórych z nas, starych marynarzy, znany on jest pod tym przezwiskiem. Nie widzieliście go jeszcze, co?

– Nie, jeszcze nie. Jest chory, jak mówią, ale już mu lepiej i wkrótce całkiem wydobrzeje.

– Wkrótce całkiem wydobrzeje! – wybuchnął nieznanomy uroczyście szyderczym śmiechem. – Słuchajcie no: kapitan Ahab wydobrzeje, kiedy to moje lewe ramię będzie zdrowe, ale nie wcześniej.

– Co o nim wiecie?

– A co wam o nim mówiono? To lepiej powiedzcie!

– Niezbyt wiele. Słyszałem tylko, że jest przednim łowcą wielorybów i dobrym kapitanem dla swojej załogi.

– Prawda, prawda, obie rzeczy są prawdziwe. Ale trzeba dobrze skakać, kiedy wyda rozkaz. Chodź i jęcz, jęcz i rób swoje – to hasło kapitana Ahaba. A nic wam nie mówiono o tym, co mu się przydarzyło za Przylądkiem Horn, dawno już temu, kiedy to leżał jak trup przez trzy dni i trzy noce; nic o tej śmiertelnej walce z Hiszpanem przed ołtarzem w Santa? Niceście o tym nie słyszeli, hę? A o tej srebrnej czaszy, do której napłuł? I nic też o tym, że zgodnie z prorocstwem stracił nogę w czasie ostatniego rejsu? Ani słowa nie słyszeliście o tych rzeczach i o innych jeszcze, co? Nie, nie przypuszczam, bo i skąd? Kto o tym wie? Nie całe Nantucket, jak sądzę. Ale przecie możecie słyszeli o tej nodze i o tym, jak ją stracił? Myślę, że o tym chyba słyszeliście. O tak, to wie niemal każdy – znaczy się wiedzą, że on ma tylko jedną nogę i że kaszalot zabrał mu drugą.

– Przyjacielu – powiedziałem – nie wiem, czego się tyczy cała ta wasza gadanina i niewiele mnie to obchodzi, bo coś mi się widzi, że macie trochę źle w głowie. Jeżeli jednak mówicie o Ahabie, kapitanie tego tu okrętu, „Pequoda”, tedy pozwólcie sobie powiedzieć, że wszystko mi wiadomo o utraceniu przezeń nogi.

– Wszystko, co? Pewniście tego – wszystko?

– Pewnym, że tak.

Wyglądający na żebraka nieznajomy stał przez chwilę z palcem wyciągniętym i wzrokiem utkwionym w „Pequoda”, jakby pogrążony w niespokojnej zadumie; następnie drgnął lekko, obrócił się i rzekł:

– Zaciągnęliście się więc? Podpisy już złożone? No, cóż, co podpisane, to podpisane, a co ma być – będzie; a zresztą może jednak i nie będzie. W każdym razie wszystko już ustalone i załatwione, a uważam, że jacyś marynarze muszą przecie z nim popłynąć. Równie więc dobrze mogą być ci, jak i tamci. Niech Bóg się nad nimi zmiłuje. Kłaniam się wam, koledzy, kłaniam, i niechaj dobrotliwe Nieba wam błogosławią. Wybaczcie, żem was zatrzymał.

– Słuchajcie no, przyjacielu – powiedziałem. – Jeśli macie nam coś ważnego do powiedzenia, no to jazda! Ale jeśli tylko usiłujecie nas otumanić, toście się pomylili w rachubach. To wszystko, co mam do powiedzenia. .

– I pięknieście to powiedzieli; a ja lubię słuchać chłopca, który tak gada. Jesteście w sam raz dla niego – wy i wam podobni. Kłaniam, koledzy, kłaniam! Aha! Kiedy już się tam znajdziecie, powiedzcie im, że postanowiłem do nich nie przystawać.

– O, drogi kolego, nie uda ci się tak nas zbyć, nie uda ci się tak wymigać. Najłatwiejsza to w świecie rzecz, nadawać sobie pozory posiadania wielkiej tajemnicy.

– Żegnam, koledzy, żegnam.

– A no dobrze – odparłem. – Chodź, Queequegu, zostawmy tego szaleńca. Ale zaraz! Powiedzcie mi swoje imię, dobrze?

– Eliasz.

„Eliasz!” – pomyślałem i odeszliśmy, czyniąc każdy na swój sposób uwagi o tym obdartym, starym marynarzu; zgodziliśmy się obaj, że jest on po prostu szalbierzem usiłującym udawać wilkołaka. Ale nie uszliśmy dalej niż jakieś sto jardów, kiedy skręcając akurat za róg obejrzałem się i zoczyłem nie kogo innego jak Eliasza

postępującego za nami w pewnej odległości. Jego widok do tego stopnia mnie zaskoczył, że nic nie powiedziałem Queequegowi i poszedłem dalej wraz z moim towarzyszem, pragnąc przekonać się, czy nieznajomy skręci za ten sam róg, co my. Uczynił to, i w tedy wydało mi się, że chyba nas tropi, ale w jakich zamiarach, tego nie mogłem pojąć, choćby mnie kto zabił. Ta okoliczność w połączeniu z jego dwuznacznym, tajemniczym sposobem mówienia, pełnym półaluzji i półwyjawień, zrodziła we mnie wielorakie niejasne refleksje i niemal obawy, a wszystko w związku z „Pequodem” i kapitanem Ahabem, i nogą, którą utracił, i napadem, który miał na Przylądku Horn, i srebrną czaszą, i z tym, co o nim mówił kapitan Peleg, kiedy poprzedniego dnia opuszczałem okręt, i przepowiednię Indianki Tistig, i wyprawą, na którą zobowiązaliśmy się wyruszyć, i z tysiącem innych, mrocznych spraw.

Byłem zdecydowany przekonać się, czy ten obdarty Eliasz naprawdę nas tropi, czy nie, i z tym zamiarem przeszedłem wraz z Queequegiem na drugą stronę ulicy, tam zaś zawróciliśmy. Eliasz jednakże przeszedł, zdając się nie zwracać na nas uwagi. To mi przyniosło ulgę i raz jeszcze, w sposób, jak mi się zdawało, ostateczny, orzekłem w duszy, że jest to oszust.

## ROZDZIAŁ XX

### OGÓLNE PORUSZENIE

Minęło kilka dni i oto na pokładzie „Pequoda” zapanowało wielkie poruszenie. Nie tylko naprawiano stare żagle, ale dostarczano na pokład nowe, jak również bele płótna żaglowego i zwoje lin; krótko mówiąc, wszystko wskazywało, że przygotowania na statku szybko dobiegają końca. Kapitan Peleg rzadko albo wcale nie schodził na ląd, lecz siedział w swym wigwamie bacznie obserwując marynarzy. Bildad dokonywał w magazynach wszystkich zakupów celem zaopatrzenia żaglowca, a ludzie zatrudnieni w ładowni i przy takielunku pracowali długo po zapadnięciu nocy.

Nazajutrz po podpisaniu przez Queequega kontraktu dano znać po wszystkich zajazdach, w których zatrzymali się członkowie załogi, że ich kufry muszą być dostarczone na pokład przed nocą, nie wiadomo bowiem, czy statek rychło nie odpłynie. Zatem Queequeg i ja przenieśliśmy nań manatki, postanowiwszy jednakże nocować do końca na lądzie. Ale widać w tych wypadkach zawsze daje się znać na długi czas z góry, gdyż statek nie wypłynął przez kilka następných dni. Nic w tym jednak dziwnego; tyle trzeba było jeszcze zrobić, o tylu rzeczach pomyśleć, zanim „Pequod” będzie w pełni wyekwipowany.

Każdy wie, jakie mnóstwo przedmiotów — łyżek, patelni, noży i widelców, szufel i szczypiec, obrusów, dziadków do orzechów i czego tam jeszcze — niezbędne jest w gospodarstwie domowym. To samo i z wielorybnictwem, które wymaga trzyletniego prowadzenia domu na szerokim oceanie, z dala od wszystkich kupców kolonialnych, przekupek, lekarzy, piekarzy i bankierów. I choć to samo dotyczy również i statków handlowych, przecie w żadnym razie nie w tej mierze co wielorybniczych. Albowiem oprócz wielce długiego trwania wyprawy wielorybniczej, prócz licznych artykułów koniecznych do uprawiania rybołówstwa, prócz niemożności uzupełnienia ich w odległych portach zazwyczaj odwiedzanych — należy pamiętać, że ze wszystkich okrętów wielorybnicze najbardziej są narażone na wszelkiego rodzaju wypadki, a w szczególności na zniszczenie i utratę tych właśnie rzeczy, od których najwięcej *zależy* powodzenie wyprawy. Stąd właśnie zapasowe łodzie, zapasowe drzewca i zapasowe liny oraz harpuny, zapasowe niemal wszystko z wyjątkiem zapasowego kapitana i duplikatu okrętu.

Najważniejsze zaopatrzenie „Pequoda”, składające się z wołowiny, chleba, wody, opału, obręczy żelaznych i klepek, zostało już niemal całkowicie zgromadzone w okresie naszego przybycia na wyspę. Jednakże, jak wyżej wspomniano, przez jakiś czas trwało jeszcze nieprzerwane zbieranie i znoszenie na pokład przeróżnych przedmiotów, tak małych jak i dużych.

Główną osobą między zajmującymi się owym zbieraniem i znoszeniem była siostra kapitana Bildada, chuda, starsza pani, ożywiona niezwykle stanowczym i niezmordowanym duchem, przy tym bardzo dobrego serca; powzięła ona widać postanowienie, że jeśli tylko będzie to w jej mocy, uczyni wszystko; by na „Pequodzie” niczego nie zbrakło, gdy statek znajdzie się już na morzu. Raz przychodziła na pokład z

dzbanem marynat dla spiżarni stewarda, kiedy indziej znowu z pękiem piór gęsich przeznaczonych na biurko pierwszego oficera, który prowadził dziennik okrętowy – to znów ze zwojem flaneli na czyjeś tknięte reumatyzmem krzyże. Nigdy żadna niewiasta nie zasługiwała bardziej niż ona na swe imię, które brzmiało: Charity – ciocia Charity, jak ją wszyscy nazywali. I właśnie jak siostra miłosierdzia, krzątała się tu i ówdzie owa miłosierna ciocia Charity, gotowa obrócić serce i dłoń ku wszystkiemu, co obiecywało bezpieczeństwo, wygodę i pokrzepienie każdemu, kto znajdował się na pokładzie okrętu, będącego przedmiotem zainteresowania jej umiłowanego brata Bildada, w którym to okręcie i ona sama ulokowała kilkadziesiąt skrzętnie zaoszczędzonych dolarów.

Zdumiewający był widok owej kwakierki o przezacnym sercu, przybywającej na pokład – jak to uczyniła ostatniego dnia – z długą chochlą do oleju w jednej ręce oraz jeszcze dłuższą lancą wielorybniczą w drugiej. Wszelako ani sam Bildad, ani kapitan Peleg nie pozostawiali bynajmniej w tyle. Jeśli idzie o Bildada, to nosił on przy sobie długą listę potrzebnych przedmiotów i za każdym nowym przybytkiem stawiał swój znaczek obok odnośnej pozycji. Peleg co chwila wyłaził kuśtykając ze swej kryjówki z wielorybiej kości, ryczał na ludzi zatrudnionych w lukach, ryczał na pracujących przy takielunku na marsie i na zakończenie ryczał wracając do swego wigwamu.

W czasie tych przygotowań często odwiedzaliśmy wraz z Quee-quegiem „Pequoda”, ja zaś równie często wypytywałem o kapitana Ahaba, o to, jak się czuje i kiedy przybędzie na swój okręt. Na te pytania odpowiadano, że stan zdrowia kapitana stale się poprawia i że oczekują go lada dzień na pokładzie; tymczasem zaś obaj kapitanowie, Peleg i Bildad, mogą dopilnować wszystkiego, co potrzebne, by żaglowiec przysposobić do podróży. Gdybym był prawdziwie szczery wobec samego siebie, dostrzegłbym z całą jasnością, iż w głębi serca niezbyt mnie zachwycała *myśl*, że w taki sposób zobowiązałem się do podobnie długiej podróży, nie rzuciwszy ani razu okiem na człowieka, który miał być jej absolutnym dyktatorem, gdy tylko statek wypłynie na pełne morze. Ale zdarza się czasem, że kiedy człowiek podejrzewa coś niedobrego, to skoro już się zaplątał w daną sprawę, bezwiednie usiłuje ukryć swe podejrzenia nawet przed samym sobą. Cos bardzo podobnego stało się i ze mną. Nic nie mówiłem i próbowałem o niczym nie myśleć.

Obwieszczono na koniec, że o jakimś czasie następnego dnia statek odpłynie z całą pewnością. Wobec tego nazajutrz wstaliśmy z Queequegiem bardzo wcześnie.

## ROZDZIAŁ XXI

### NA POKŁAD!

Była już prawie szósta, świt szary, niepełny i mglisty, kiedy się zbliżaliśmy do przystani.

– Jacyś marynarze biegną tam przed nami, jeśli mnie wzrok nie myli – rzekłem do Queequega. – Chyba to nie cienie; widocznie statek wyrusza o wschodzie słońca – chodźmy!

– Stójcie! – zabrzmiał jakiś głos, którego właściciel, podszedłszy w tej samej chwili z tyłu, położył nam dłonie na ramionach, wsunął się między nas i przystanął pochyłony nieco do przodu, dziwnie zerkając w niepewnym półmroku to na mnie, to na Queequega. Był to Eliasz.

– Idziecie na pokład?

– Zabierzcie no te ręce! – powiedziałem.

– Słuchaj ty – rzekł Queequeg otrząsając się. – Ty iść sobie!

– Więc nie idziecie na pokład?

– Owszem, idziemy – odparłem – ale co wam do tego? Wiecie, panie Eliaszu, moim zdaniem jesteście trochę bezczelni.

– Nie, nie, nie, z tegom sobie sprawy nie zdawał – odpowiedział z wolna Eliasz, w zamyśleniu spoglądając to na mnie, to na Queequega wręcz niesamowitym wzrokiem.

– Eliaszu – rzekłem – ja i mój przyjaciel będziemy wam wielce zobowiązani, jeśli odejdziecie. Udajemy się na Ocean Indyjski i Spokojny; wolelibyśmy, żeby nas nie zatrzymywano.

– Czy tak? A wróćcie przed śniadaniem?

– On ma bzika, Queequegu – powiedziałem. – Chodźmy.

– Halo! – krzyknął nie ruszając się z miejsca Eliasz, gdyśmy już uszli parę kroków.

– Nie zważaj na niego – rzuciłem. – Chodź, Queequegu.

On jednak podkradł się znowu ku nam i raptem położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł:

– Czy widzieliście przed chwilą coś jakby ludzi idących w stronę statku?

Uderzony tym prostym, rzeczowym pytaniem odparłem:

– A jakże, zdaje mi się, że widziałem czterech czy pięciu ludzi. Było jednak zbyt szaro, by to twierdzić z pewnością.

– Bardzo szaro, ogromnie szaro – rzekł Eliasz. – Żegnam was.

Raz jeszcze rozstaliśmy się z nim i raz jeszcze poszedł cicho za nami; dotknąwszy znowu mego ramienia powiedział:

– Popróbcie, czy się ich da teraz odnaleźć, dobrze?

– Odnaleźć kogo?

– Do widzenia, do widzenia! – odparł oddalając się ponownie. – O, chciałem was przestrzec przed... ale nic to, nic to – wszystko jedno. Wszystko też pozostanie w rodzinie... Siarczysty mróz dzisiaj, co? Żegnajcie mi. Już was pewnie rychło nie zobaczę; chyba przed Wielkim Trybunałem. – I z tymi obłąkanymi słowy odszedł nareszcie

pozostawiając mnie w pierwszej chwili niemalże zdumionego tą opętaną czelnością.

Wstąpiliśmy wreszcie na pokład „Pequoda” i zastaliśmy wszystko pogrążone w głębokiej ciszy; ani żywa dusza nie drgnęła. Zejście do kabin było zamknięte od środka, luki zawarte i przywalone zwojami lin. Przeszliśmy na forkasztel, gdzie znaleźliśmy klapę wjazdu otwartą. Dostrzegłszy światło, zeszliśmy na dół i zastaliśmy tam jedynie starego żaglomistrza owiniętego w obszerny, podarty, wełniany kubrak. Człowiek ów leżał jak długi na dwóch skrzyniach, z twarzą ukrytą w podciągniętych ramionach. Najgłębszy sen spoczywał mu na piersiach.

– Gdzie się mogli podziać ci marynarze, których widzieliśmy, Queequegu? – powiedziałem spoglądając niepewnie na śpiącego.

Okazało się jednak, że wtedy, na nabrzeżu, Queequeg w ogóle ich nie zauważył; toteż mógłbym pomyśleć, że w tej materii padłem ofiarą wzrokowego złudzenia, gdyby nie owo pytanie Eliasza, nie dające się w takim wypadku wytłumaczyć. Zlekceważyłem to jednak i spojrzawszy znowu na śpiącego, napomknąłem żartobliwie Queequegowi, że może najlepiej by było przy sięść na owych zwłokach; zachęciłem go, by się na nich usadowił. Queequeg położył dłoń na pośladkach śpiącego, jakby próbując, czy są dość miękkie, a następnie, bez dalszych ceregieli, spokojnie na nich zasiadł.

– Na Boga, nie siadaj że na nim, Queequegu! – zawołałem.

– O! Bardzo dobra siedzenie – odpowiedział Queequeg. – Jak w moja dom. Nic się nie stać jego twarz.

– Twarz! – zawołałem. – Ty to nazywasz twarzą? Wielce to zatem dobrotliwa fizjonomia. Ale spójrz, jak on ciężko dycha, jak się dźwiga – zejźdź, Queequegu, ciężki jesteś, miądzysz twarz biedakowi. Zejźdźże, Queequegu! Patrz, zaraz cię zrzuci. Dziwne, że się jeszcze nie zbudził.

Queequeg przeniósł się na miejsce tuż za głową leżącego i zapalił swą fajkę-tomahawk. Ja zasiadłem w nogach. Podawaliśmy sobie wzajemnie z rąk do rąk fajkę ponad śpiącym. Tymczasem zaś począłem wypytywać Queequega na jego łamaną modłę, a on w odpowiedzi dał mi do zrozumienia, że w jego kraju – z uwagi na brak wszelkich kanap i sof – królowie, wodzowie i w ogólności możni panowie mają zwyczaj tuczyć sobie poniekórych ludzi podlejszego stanu na otomany; by więc pod tym względem wygodnie urządzić mieszkanie, wystarczy po prostu zakupić ośmiu do dziesięciu gnuśnych osobników, a następnie porozkładać ich tu i ówdzie pod oknami i w alkowach. Prócz tego jest to ogromnie wygodne w czasie wycieczki, o wiele lepsze niż te ogrodowe zydelki, dające się składać w laskę, gdyż w razie potrzeby wódz woła swego adiutanta i wyraża życzenie, żeby przemienił się w kanapę ulokowaną pod jakimś rozłożystym drzewem, być może w wilgotnym czy błotnistym miejscu.

Ciągnąc tę opowieść Queequeg, za każdym razem, gdy brał tomahawk z moich rąk, wywijał nad głową śpiącego tą stroną, po której było żeleźce.

– A to na co, Queequegu?

– Bardzo łatwo zabić, o, bardzo łatwo!

Właśnie zamierzał snuć dalej jakoweś dzikie wspomnienia o fajce-tomahawku, która podobno w swoim dwojakim zastosowaniu zarówno rozłupywała czaszki jego wrogów, jak i koła jego duszę, kiedy uwagę naszą zwrócił na siebie śpiący majster. Tęgi odór

dymu, wypełniający obecnie całe ciasne pomieszczenie, zaczął na niego działać. Sapnął z trudem, następnie coś zaczęło go widać kręcić w nosie, bo przewrócił się z boku na bok parę razy i wreszcie usiadł przecierając oczy.

– Halo! – odetchnął na koniec. – Coście za jedni, palacze?

– Ludzie z załogi – odparłem. – Kiedy statek odpływa?

– Aha, macie na nim popłynąć, tak? Wyrusza dzisiaj. Kapitan przybył na pokład tej nocy.

– Który kapitan? Ahab?

– A któż by, jak nie on?

Już miałem zadać mu kilka dalszych pytań dotyczących Ahaba, kiedy usłyszeliśmy hałas na pokładzie.

– Hej, Starbuck się ruszył! – rzekł majster. – Bardzo z niego żwawy pierwszy oficer; dobry człek i pobożny. Ale wszystko już się budzi, trza się brać do roboty. – Z tymi słowami wylazł na pokład, my zaś udaliśmy się w jego ślady.

Słońce wschodziło jasno. Wkrótce załoga przybyła na pokład dwójkami i trójkami; uwijali się żaglomistrze, oficerowie krzatali żywo, a kilku robotników portowych zajętych było przenoszeniem na okręt ostatnich różności. Tymczasem kapitan Ahab pozostawał niewidzialny, zamknięty w swej kabinie jak w relikwiarzu.

## ROZDZIAŁ XXII

### WESOŁYCH ŚWIĄT!

Na koniec, około południa, gdy już ostatecznie odprawiono rzemieślników, a „Pequoda” odholowano od nabrzeża, gdy o wszystkim myśląca Charity odpłynęła na łodzi wielorybniczej wręczywszy ostatnia podarki: szlafmycę swemu szwagrowi Stubbowi, który był drugim oficerem, i zapasową Biblię stewardowi – po tym wszystkim obaj kapitanowie, Peleg i Bildad, wyszli z kajuty, a Peleg, zwracając się do pierwszego oficera, przemówił w te słowa:

– No, panie Starbuck, czyś pewny, że wszystko jest jak się patrzy? Kapitan Ahab już całkiem gotów – dopiero co z nim gadałem – nic już nie potrzeba z lądu? A więc zwołaj pan całą załogę. Ustaw ich tam na rufie, do diaska!

– Nie trzeba paskudnych słów choćby i w największym pośpiechu, Peleg – ozwał się Bildad. – Idź już wszelako, przyjacielu Starbuck, i wykonaj nasze polecenie.

Jakże to? Właśnie w chwili wyruszenia w rejs kapitanowie Peleg i Bildad tak z góry sobie poczynają na mostku kapitańskim, jak gdyby mieli łącznie sprawować komendę na morzu, podobnie jak to według wszelkich pozorów czynili w porcie! A kapitana Ahaba ani śladu; mówiono tylko, że znajduje się w kajucie. Z drugiej jednak strony uważano, iż jego obecność nie jest bynajmniej potrzebna przy wyprawianiu żaglowca w drogę i wyprowadzaniu go na morze. Zapewne kapitan Ahab pozostawał pod pokładem dlatego, że czynności owe nie należały wcale do niego, lecz do pilota, oraz z tej racji, że jak mówiono, jeszcze nie całkowicie przyszedł do siebie. Wszystko to wydawało się zupełnie naturalne, szczególnie dlatego, że w marynarce handlowej wielu kapitanów nie pokazuje się wcale na pokładzie przez dłuższy czas po podniesieniu kotwicy, ale pozostaje w kajucie, za stołem, przy wesołej, pożegnalnej biesiadzie z przyjaciółmi z lądu, zanim ci na dobre opuszczą statek wraz z pilotem.

Niewiele jednak było sposobności, aby nad tym zastanawiać się, gdyż kapitan Peleg właśnie się wielce ożywił. Najwyraźniej on, a nie Bildad, był tym, który najwięcej gadał i rozkazywał.

– Na rufę, wy, tacy synowie! – krzyknął, gdy majtkowie marudzili jeszcze koło grotmasztu. – Panie Starbuck, zagońże ich pan na rufę!

– Zwinąć ten namiot! – brzmiał następny rozkaz. Jak już wspomniałem, ów wielorybi szalas rozstawiano wyłącznie w porcie; na pokładzie „Pequoda” przez lat trzydzieści wiadomo było dobrze, że rozkaz zwinięcia namiotu jest niemal równoznaczny z podniesieniem kotwicy.

– Do kabestanu! Co, u stu piorunów? Już was nie ma! – taki był następny rozkaz, a załoga skoczyła po hanszpugi.

Gdy statek wychodzi z portu, pilot zazwyczaj zajmuje stanowisko na przodzie. I oto Bildad, który wraz z Pelegiem – należy to wiedzieć – był w dodatku do swych innych funkcji także i jednym z licencjonowanych pilotów portowych (podejrzewano, że kazał się zrobić pilotem, aby zaoszczędzić opłat za pilotaż w porcie Nantucket wszystkim statkom, w których był zainteresowany, nigdy bowiem nie pilotował żadnych innych)

– Bildad więc, jak mówię, ukazał się teraz naszym oczom, pilnie wyglądając przez dziób na podnoszącą się kotwicę i od czasu do czasu zawodząc coś w rodzaju posępnej psalmodii, na otuchę ludziom zajęтым przy windzie kotwicznej, którzy chórem wyrzaskiwali z siarczystą ochotą jakąś swawolną piosenkę o dziewczętach z Booble Alley. A przecie ledwie trzy dni temu Bildad zapowiadał im, że żadne bezecne pieśni nie będą dozwolone na pokładzie „Pequoda”, a już w szczególności w chwili wyruszania w drogę; zaś siostra jego, Charity, złożyła na koi każdego z marynarzy mały tomik zawierający wybór dzieł Wattsa

Tymczasem kapitan Peleg, doglądając tego, co się działo na drugiej części statku, miotał się i przeklinał na rufie w najstraszliwszy sposób. Już byłem skłonny przypuszczać, że chyba zatopi statek, zanim zdążymy podnieść kotwicę; bezwiednie przystanąłem oparty na mym hanszpu, mówiąc Queequegowi, by uczynił to samo, i dumalem nad niebezpieczeństwami, na jakie się obaj narażamy wyruszając w podróż z takim szatanem miast pilota. Pokrzepiałem się jednak myślą, że w pobożnym Bildadzie znajdzie się może jakiś ratunek, mimo tej jego siedemset siedemdziesiątej siódmej doli, kiedy nagle poczułem ostry cios w krzyże i obróciwszy się z przerażeniem, ujrzałem kapitana Pelega w trakcie wycofywania swej nogi z mojej bezpośredniej bliskości. Był to pierwszy kopniak, jaki mi się dostał.

– To tak się wciąga kotwicę w marynarce handlowej? – zaryczał kapitan. – Ruszaj się, ty barani łbie, ruszaj się i złam kark! Czego stoicie, wy wszyscy? Dalej go, powtarzam! Nuże, Quohog! I ten z czerwoną brodą, i ten w szkockiej czapce, i tamten w zielonych portkach! Mówię wam, ruszajcie się wszyscy, aż wam gały na wierzch powyłażą! – Z tymi słowy miotał się wokół bratszpilu, tu i ówdzie hojnie pomagając sobie nogą, podczas gdy niewzruszony Bildad nadal ciągnął swoją psalmodię. Pomyślałem, że kapitan Peleg musiał dzisiaj popić co nieco.

Nareszcie wciągnięto kotwicę, rozwinięto żagle i poczęliśmy odsuwać się od lądu. Było to krótkie, zimne święto Bożego Narodzenia i gdy północny, niedługi dzień pogrążył się w noc, ta zastała nas już niemal na pełnym, mroźnym oceanie, którego zamierzające bryzgi zakuwały nas w lód jak w lśniącą zbroję. Na burtach połyskiwały w świetle księżyca długie rzędy zębów, a ogromne, skrzycone sopte lodu, podobne białym kłom jakiegoś olbrzymiego słonia, zwisały u dziobu.

Chudy Bildad, jako pilot, stanął na czele pierwszej wachty i gdy stary żaglowiec zanurzył się głęboko w zieloną toń, okrywając się wszystkim rezedrganym zamrozem, gdy wichler dał, a liny dzwoniły, usłyszano jego spokojny śpiew:

*Za falą wzdętą – słodkich łanów  
Zieloność rozwija się świeża.  
Tak Żydów nęcił Kanaanu  
Kraj, gdy Jordan przed nimi leżał...*

Nigdy owe słodkie słowa nie brzmiały milej dla mego ucha niż naówczas. Pełne były nadziei i radosnego spełnienia. Mimo tej lodowatej nocy na rozhukanym Atlantyku; mimo przemoczonych nóg i jeszcze wilgotniejszej kurty, zdało mi się wtedy, że mam

przecie przed sobą jeszcze niejedną miłą port, łąki i polanki tak wiecześnie wiośniane, że trawa, która okryje tam ziemię na wiosnę, pozostaje niezdeptana, niezwiędła aż po środek lata.

Nareszcie wypłynęliśmy już tak daleko na morze, iż obaj piloci nie byli dłużej potrzebni. Krzepka łódź żaglowa, która nam towarzyszyła, zaczęła ustawiać się przy kadłubie okrętu.

Ciekawie było i dość przyjemnie patrzeć, jak Peleg i Bildad przeżywali tę chwilę, a już osobliwie kapitan Bildad. Ten bowiem, wzdragając się odejść, wzdragając się opuścić na dobre statek idący w tak długą i niebezpieczną podróż poza oba burzliwe Przylądki, statek, w który włożył kilka tysięcy ciężko zapracowanych dolarów, na którym kapitanem był stary towarzysz – niemal równie stary jak on, Bildad, a wyruszający raz jeszcze na spotkanie wszystkich okropności tamtej bezlitosnej paszczyki – wzdragając się przed pożegnaniem czegoś tak pod każdym względem pełnego dlań wartości – biedny, stary Bildad długo zwlekał. Stąpał po pokładzie niespokojnymi krokami, zbiegał do kajuty, by raz jeszcze wypowiedzieć tam słowa pożegnania, znowu powracał na pokład i spoglądał ku nawietrznej, spozierał na szerokie, nieskończone wody, zamknięte gdzieś dalekimi, niewidocznymi, wschodnimi kontynentami, patrzył ku lądowi i w górę, w prawo i w lewo – wszędzie i nigdzie zarazem; wreszcie okręcił mechanicznie jakąś linę wokoło nagłą, kurczowo pochwycił za rękę krzepkiego Pelega i wzniosłszy trzymaną w dłoni latarnię stał przez chwilę, zaglądając mu bohatercko w twarz, jakby chciał powiedzieć: „A jednak, Peleg, przyjacielu, wytrzymam to, tak, wytrzymam.”

Jeśli zaś idzie o Pelega, to przyjmował on to wszystko bardziej filozoficznie; jednak mimo całej tej filozoficzności w oku błysnęła mu łza, gdy latarnia zbyt blisko zbliżyła się do jego twarzy. On również nie mało się nabiegał z kajuty na pokład – to jeszcze słówko tam, na dole, to znowu inne, do Starbucka, pierwszego oficera.

Ale wreszcie obrócił się do swego kamrata, a na twarzy jego odmalowała się ostateczna decyzja.

– Bildad, pójdź, stary towarzyszu, musimy już odejść. Hej, wy tam! Przebrasować grot-reję! Łódź, ahoy! Podpłynąć tuż do boku! No, ostrożnie, ostrożnie! Chodź, Bildad, chodź, stary, żegnaj się. Wszystkiego dobrego, Starbuck, i panu, Stubb, i panu, panie Fiask. Żegnajcie i niech wam się dobrze powodzi! A od dziś za trzy lata gorąca wieczerza będzie dla was dymiała u mnie, w starym Nantucket. Hura! Bądźcie zdrowi!

– Oby Bóg wam błogosławił i miał was w swej przenajświętszej opiece, chłopcy – bąknął Bildad niemal bez związku. – Ufam, że teraz będziecie mieli przednią pogodę, a kapitan Ahab wkrótce ukaże się między wami. Wszystko, czego mu trzeba, to lube słońce, a będziecie tego mieli w bród w onej tropikalnej podróży. Bądźcie ostrożni w czasie łowów, panowie oficerowie. Nie rozwalajcie bez potrzeby łodzi, wy, harpunnicy; dobra deska z białego cedru podrożała o całe trzy procent w ciągu tego roku. Nie przepominajcie też o modlitwie. Panie Starbuck, niechże pan baczy, żeby bednarz nie marnował zapasowych klepek. Aha, igły do żagli są w tym zielonym puzdrze. Nie polujcie za dużo w niedzielę, chłopcy, ale nie marnujcie też dobrej okazji, bo to by było odrzucaniem znacznych darów Niebios. Miej pan oko na kadź z syropem, panie Stubb,

zdawało mi się, że nieco przecieka. Jeśli zawiniecie na jakoweś wyspy, panie Fiask, strzeżcie się rozpusty. Żegnajcie, żegnajcie! Nie przetrzymuje pan zbyt długo tego sera w ładowni, bo się zepsuje. Ostrożnie z masłem – kosztowało po dwadzieścia centów za funt, uważajcie więc, ażeby..

– Chodź, chodź, Bildad, przestań głądzić, w drogę! – z tymi słowy Peleg pociągnął go ku burcie i obaj zsunęli się do łodzi.

Okręt i łódź poczęły się od siebie oddalać; zimna, wilgotna nocna bryza zadęła między nimi, mewa z wrzaskiem przeleciała w górze; oba kadłuby kołysały się gwałtownie. Wznieśliśmy z ciężkim sercem trzy okrzyki i na oślep, jak samo przeznaczenie, zanurzyliśmy się w pustynny Atlantyk.

## ROZDZIAŁ XXIII

### BRZEG OD ZAWIETRZNEJ

W jednym z poprzednich rozdziałów była mowa o jakimś Bulkingtonie, roslim marynarzu, którego świeżo po jego powrocie na ląd spotkałem w oberży w Nowym Bedfordzie.

Kiedy owej przejmującej, zimowej nocy „Pequod” wbił mściwy dziób w złe, lodowate fale, kogóż to ujrzałem stojącego u steru, jeśli nie Bulkingtona! Patrzałem z pełnym współczuciem podziwem i lękiem na człowieka, który ledwie wylądowawszy wpośród zimy po czteroletniej, niebezpiecznej podróży, mógł nie zaznawszy spoczynku wyruszyć ponownie na następną długą, burzliwą wyprawę. Ląd zdawał się palić mu stopy. Najcudowniejszymi są zawsze te rzeczy, których nazwać nie sposób; wspomnienia głębokich przeżyć nie tworzą epitafiów – ten sześciocalowy rozdział jest Bulkingtona grobem bez nagrobka. Pozwólcie mi tylko powiedzieć, że z Bulkingtonem działo się podobnie jak ze skołatany burzą okrętem, żałośnie sunącym wzdłuż lądu, na który gnają go wichry. Port chętnie by mu udzielił pomocy, port jest litościwy; w porcie jest bezpieczeństwo, pokrzepienie, ogień na kominku, wieczerza, ciepła kołdra, przyjaciele i wszystko, co miłe naszej doczesności. Ale w czas tej burzy port i ląd stają się dla okrętu najokrutniejszym niebezpieczeństwem; musi on uciekać od wszelkiej gościny; jedno dotknięcie ziemi, choćby ledwie kil musnęło, wstrząsnęłoby statkiem na wskroś. Wszystką swą mocą, wszystkimi żaglami, uchodzi od lądu, a czyniąc to walczy przeciw tym właśnie wiatrom, „które chętnie by go do domu zagnały; na nowo szuka chłostanego wichrem bezmiaru mór, dla ratunku rzuca się rozpaczliwie w niebezpieczeństwo – jedynym jego druhem staje się wróg najzagorzalszy.

Wiesz już teraz, Bulkington? Zdajesz się już postrzegać przebłyski owej śmiertelnie niezdolnej prawdy: że wszelkie głębokie, poważne myślenie – to jedynie nieulekły wysiłek duszy, by zachować bezbrzeżną, niezawisłość jej morza wtedy właśnie, gdy najdziksze wichury niebios i ziemi zmówiły się, by ją rzucić na zdradziecki, niewolny brzeg.

Ale jako że w bezkresności jedynie tkwi prawda najwyższa, bezbrzeżna, nieogarniona jak Bóg – przeto lepiej już iść. na zagładę w owej zawierusze nieskończoności, niż zostać niesławnie ciśniętym na brzeg, choćby ten miał być ratunkiem! O, bowiem natenczas, któż by chciał nikczemnie jak robak wypełznąć na ląd! O straszliwości! Byłyżby wszystkie te męki daremne? Odwagi, odwagi, Bulkingtonie! Bądź nieubłagany, półbogu! Z bryzgów pianistych twej zagłady na oceanie wystrzela w górę twoja apoteoza!

## ROZDZIAŁ XXIV

### OBROŃCA

Ponieważ Queequeg i ja już na dobre zabraliśmy się do tego wielorybniczego rzemiosła oraz ponieważ jakoś się przyjęło między ludźmi lądu uważać wielorybnictwo za profesję o złej sławie i raczej niepoetyczną, przeto pałam chęcią przekonania was, szczyry lądowe, jaką niesprawiedliwość w ten sposób wyrządzaacie nam, łowcom wielorybów.

Przede wszystkim można uznać za niemal zbędne stwierdzenie faktu, że wśród szerokiego ogółu rzemiosło wielorybnicze nie jest stawiane na równym poziomie z tym, co się zwie zawodami wyzwolonymi. Gdyby do jakiegokolwiek wielkomiejskiego towarzystwa wprowadzono obcego człowieka i przedstawiono go jako, powiedzmy, harpunnika, to fakt ten bardzo by nieznacznie podniósł ogólną opinię o jego walorach; gdyby zaś, ubiegając się o lepsze z oficerami marynarki wojennej, dołączył on do swego nazwiska na bilecie wizytowym inicjały Ł. K. (Łowca Kaszalotów), uznano by tego rodzaju postępek za śmieszny i zarozumiały w najwyższym stopniu.

Bez wątpienia głównym powodem, dla którego świat odmawia szacunku nam, wielorybnikom, jest to, iż ludzie sądzą, że w najlepszym wypadku powołanie nasze sprowadza się do czegoś w rodzaju rzeźnictwa, oraz że kiedy je czynnie uprawiamy, otaczają nas wszelkiego gatunku plugastwa. Jesteśmy rzeźnikami, to prawda. Ale przecie rzeźnikami i to rzeźnikami spod najkrwawszego znaku byli wszyscy wodzowie, których świat niezmiennie i z upodobaniem wciąż obdarza. Co zaś się tyczy sprawy rzekomej nieczystości naszego rzemiosła, to niebawem wtajemniczeni zostaniecie w pewne fakty, dotąd niemal powszechnie nie znane, które, rzec można, w tryumfie wprowadzą okręt wielo-rybniczy między najczystsze rzeczy tej schludnej ziemi. Ale założywszy nawet, że oskarżenie owo jest słuszne, to któreż niechlujne, oślizłe pokłady statku wielorybniczego można porównać z nie dającym się opisać ścierwem, zalegającym pola bitew, z których tak wielu żołnierzy powraca, by chłonąć głębokie uwielbienie dam? Jeśli zaś czynnik niebezpieczeństwa tak bardzo podnosi powszechne mniemanie o zawodzie żołnierskim, to pozwólcie się upewnić, że niejedyn weteran, który śmiało kroczył na baterie, pośpiesznie zwinąłby szyki na widok olbrzymiego ogona kaszalota wzbijającego mu nad głową wir powietrzny. Czymże są bowiem dające się objąć rozumem okropności człowieka w porównaniu ze straszliwością, a razem i cudami Boga?

Jednakże choć świat naigrawa się z nas, łowców wielorybów, przecie mimowolnie składa nam w dani także i hołd najgłębszy. Zaiste, nawet najszczodroblewsze uwielbienie. Wszystkie bowiem lampy, świece i świeczniki, płonące na całej kuli ziemskiej, palą się, niczym przed ołtarzami, ku naszej chwale! .

Spójrzcie jednak na tę sprawę i z innej strony; zważcie ją na wszelakich szalach; przyjrzyjcie się, czym mianowicie jesteśmy i czym byliśmy – my, wielorybnicy.

Czemuż to Holendrzy za czasów De Witta mieli admirałów wielorybniczych flotylli? Czemu król francuski, Ludwik XVI, własnym osobistym ekspansem wyposażył w

Dunkierce statki wielorybnicze i uprzejmie zaprosił do tego miasta kilkadziesiąt rodzin z naszej rodzimej wyspy Nantucket? Dlaczego to Wielka Brytania między rokiem 1750 a 1788 wypłaciła swoim wielorybnikom ponad 1 000 000 funtów gratyfikacji? I wreszcie jak się to stało, że my, wielorybnicy amerykańscy, przewyższamy teraz liczbą wszystkich pozostałych wielorybników świata łącznie, że posiadamy flotę liczącą przeszło siedemset żaglowców obsługiwanych przez osiemnaście tysięcy ludzi, pochłaniającą rocznie 4 000 000 dolarów, ze statkami przedstawiającymi przy wyjściu na morze wartość 20 000 000, a przynoszącymi do naszych portów pięknie zebrany plon 7 000 000 dolarów? Czyż działałoby się to, wszystko, gdyby w wielorybnictwie nie było czegoś przemożnego.

Ale to jeszcze nic; słuchajcie dalej.

Utrzymuję bez wahania, że kosmopolityczny filozof żadną miarą nie potrafi wskazać jednego jedyne go pokojowego wpływu, który by w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu oddziałał na wszystkich szeroki świat jako całość z większą mocą od wzniesłego i potężnego rzemiosła wielorybniczego. W ten czy ów sposób zrodziło ono wydarzenia tak godne uwagi i tak zawsze doniosłe w swych dalszych następstwach, że na wielorybnictwo można śmiało patrzeć jak na ową egipską matkę, co porodziła potomków samych już brzemiennych w jej łonie. Beznadziejnym i nieskończonym by to było zadaniem skatalogować wszystkie owe rzeczy. Niechże ich garść wystarczy. Przez wiele lat ostatnich statek wielorybniczy był pionierem w myśzkowaniu po najodleglejszych i najmniej znanych częściach ziemi. Przemierzył on morza i archipelagi, których nie znaleźć na mapie, do których nigdy nie dotarł żaden Cook czy Vancouver. Jeśli amerykańskie czy europejskie okręty wojenne spokojnie teraz zawijają do niegdyś dzikich przystani, niechże oddadzą salut na cześć i na chwałę statku wielorybniczego, który pierwszy wskazał im drogę i pierwszy też pośredniczył między nimi a krajami. Można sobie czcić, ile wola, bohaterów ekspedycji badawczych, tych waszych Cooków i Krusensternów, ja wszelako twierdzę, że z Nantucket wypływały dziesiątki bezimiennych kapitanów, którzy byli równie wielcy, a nawet więksi od takiego Cooka czy Krusensterna. Albowiem kapitanowie ci, pozbawieni pomocy, z pustymi rękami, na barbarzyńskich, rekinowych wodach, u wybrzeży nieznanymi, oszczepami najeżonych wysp, zmagali się z dziwami i potwornościami dziewiczego świata, którym niechętnie by stawił czoło Cook razem ze wszystkimi swymi marynarzami i muszkietami. Wszystko, z czego uczyniono taką ozdobę dawnych wypraw na Morza Południowe, było przez całe życie po prostu chlebem powszednim dla naszych bohaterskich nantucketańczyków. Częstokroć przygody, którym Vancouver poświęca trzy rozdziały, nie były uznawane przez tych ludzi za godne wpisania do zwykłego dziennika okrętowego. Ach, świecie! E, świecie!

Dopokąd wielorybnictwo nie okrążyło Przylądka Horn, żaden handel prócz kolonialnego, żadne stosunki prócz kolonialnych nie były utrzymywane między Europą a długim szeregiem zasobnych prowincji hiszpańskich na wybrzeżach Pacyfiku. To łowca wielorybów pierwszy przełamał zachłanną politykę korony hiszpańskiej wobec tych kolonii; gdyby tylko miejsce pozwalało, można by tu jasno wykazać, jak to dzięki owym wielorybnikom doszło na koniec do oswobodzenia Peru, Chile i Boliwii z jarzma

starej Hiszpanii i do ustanowienia w tych krajach wieczystej demokracji.

Owa ogromna Ameryka drugiej półkuli – Australia – podarowana została oświeconemu światu przez wielorybnika. Po pierwszym, z omyłki zrodzonym odkryciu jej przez pewnego Holendra wszystkie inne statki długo unikały owych wybrzeży jako szkaradnie barbarzyńskich; a przecie przybił do nich wielorybiczny żaglowiec. Jest on prawdziwie matką tej obecnie potężnej kolonii. Co więcej, za czasów dzieciństwa pierwszej australijskiej osady, emigrantów po kilkakroć uratował od głodowej śmierci dobroczynny suchar z okrętu wielorybicznego, który szczęśliwie zarzucił kotwicę na ich wodach. Tę samą prawdę głoszą niepolicone wyspy całej Polinezji, składając handlowy hołd żaglowcowi wielorybiczemu, który przetaił drogi dla misjonarza i kupca, w wielu zaś wypadkach przewiózł pierwszych misjonarzy do ich pierwszego miejsca przeznaczenia. Jeżeli Japonia, ów kraj na cztery spusty zamknięty, stanie kiedykolwiek otworem, to zasługa przypadnie w udziale tylko i jedynie statkowi wielorybiczemu; już teraz bowiem znalazł się on na progu tej krainy.

Jeżeli jednak w obliczu tego wszystkiego nadal jeszcze oświadczacie, że wielorybnictwo nie wiąże się z żadnymi szlachetnymi pod względem estetycznym skojarzeniami, tedy gotów tu jestem skruszyć z wami pięćdziesiąt kopii i za każdym razem wysadzić was z siodła ze strzaskaną przyłbicą.

Powiecie, że wieloryb nie znalazł żadnego sławnego piewcy, a wielorybnictwo żadnego sławnego kronikarza.

*Wieloryb nie ma żadnego sławnego piewcy, a wielorybnictwo – słynnego kronikarza? A któż to spisał pierwszą relację o naszym Lewiatanie? Któż, jeśli nie potężny Hiob? Kto ułożył pierwszą opowieść o wyprawie wielorybicznej? Ni mniej, ni więcej, tylko taki władca, jak Alfred Wielki, który swym własnym królewskim piórem spisał słowa Othera, norweskiego łowcy wielorybów z owych czasów! A któż wygłosił o nas płomienną pochwałę w Parlamencie? Kto, jeśli nie Edmund Burke!*

Możliwe, ale przecie sami wielorybnicy to szaraczki, nie mające w żyłach zacnej krwi.

*Wie mają w żyłach zacnej krwi? Mają w nich coś przedniejszego od krwi królewskiej. Babką Benjamina Franklina była Mary Morrel, później, z męża, Mary Folger, należąca do dawnych osadników z Nantucket, antenatka długiej linii Folgerów i harpunników – wszystkich, spokrewnionych ze szlachetnym Benjaminem – którzy po dziś dzień miotają ostre żelazo na obu półkulach.*

No, dobrze; ale przecie wszyscy przyznają, że tak czy inaczej wielorybnictwo nie jest godne szacunku.

*Wielorybnictwo niegodne szacunku? Wielorybnictwo jest dostojne! Starożytne angielskie statuty uznają wieloryba za „rybę królewską”.*

O, to tylko słowa! Sam wieloryb nigdy nie występował w sposób prawdziwie świetny i imponujący.

*Nigdy tak nie występował? Podczas jednego ze wspaniałych tryumfów, urządzonych na cześć pewnego wodza rzymskiego, przy jego wjeździe do stolicy świata, przedmiotem najbardziej rzucającym się w oczy pośród grzmiącego surmami orszaku były kości wieloryba przewiezione tu aż z wybrzeży syryjskich.*

Zgoda, skoro pan to przeczytasz, mów sobie jednak co chcesz, a przecie w

wielorybnictwie nie ma prawdziwej godności.

Nie *ma w wielorybnictwie godności*? Samo niebo potwierdza godność naszego powołania. *Cetus* jest jedną z konstelacji na południu. Ni mniej, ni więcej! Wbijcie sobie kapelusz na oczy w obecności cara, ale zdejmijcie go przed Queequegiem. Dosyć! *Znam* człowieka, który w ciągu swego życia upolował trzysta pięćdziesiąt wielorybów. Uznaję tego człowieka za godniejszego szacunku od owego wielkiego wodza czasów starożytnych, który się chełpił zdobyciem tyluż warownych grodów.

Co do mnie zaś, to jeśli w ogóle tkwi we mnie coś dotąd nie ujawnionego a świętego, jeżeli kiedykolwiek na tym niewielkim a cichym świecie zasłużę na jakąś rzeczywistą sławę, do której nie bez racji mógłbym sobie rościć pretensje; jeżeli jeszcze zdziałam cokolwiek takiego, co, ogólnie mówiąc, człowiek raczej winien uczynić niż zaniechać; jeśli po mojej śmierci wykonawcy mego testamentu albo raczej, mówiąc właściwiej, moi wierzyciele znajdą w mym biurku jakowyś cenny manuskrypt – tedy już z góry przypisuję za to całą cześć i chwałę wielorybnictwu, albowiem okręt wielorybiczny był to mój Yale i mój Harvard.

## ROZDZIAŁ XXV

### POSTSCRIPTUM

W obronie godności wielorybnictwa chętnie bym wysuwał wyłącznie istotne fakty. Lecz czyż nie zasługiwałby na naganę obrońca, który, uszykowawszy jak do boju swoje fakty, całkowicie by przemilczał nie pozbawione logiki przypuszczenie, mogące dobitnie przemówić za sprawą?

Dobrze to wiadomo, że przy koronacji królów i królowych, nawet współczesnych, stosuje się pewien osobliwy zabieg przygotowania ich przed objęciem tych funkcji. Istnieje tak zwana solnica stanu, może więc być i także karafka z oliwą. Jak właściwie stosuje się sól – któż to wie? Pewny jestem wszelako, że przy koronacji uroczyście oliwi się głowę królewską, tak właśnie jak główkę sałaty. Czyżby dlatego ją namaszczano, żeby jej wnętrze dobrze pracowało, podobnie jak się oliwi maszynię? Wiele by można tu rozmyślać na temat zasadniczego dostojęstwa owego królewskiego procederu, jako że w codziennym życiu nędznie i pogardliwie szacujemy człeka, który pomaduje sobie włosy i wyraźnie wonieje ową pomadą. Po prawdzie, mężczyzna dojrzały, który używa oliwy do włosów, jeśli nie czyni tego ze względów leczniczych, ma najprawdopodobniej nieco źle w głowie. A już z reguły nie musi być wiele wart jako człowiek.

Ale jedyna rzecz, którą tu mamy rozważyć, to pytanie, jakiego rodzaju oleju używa się przy koronacjach? Z pewnością nie może to być oliwa ani pomada, ani olej rycynowy, ani tłuszcz niedźwiedzi, ani zwykły tran rybi, ani sztokfiszowy. Cóż więc może to być, jeśli nie olbrot w swej nieprzerobionej, nieskażonej formie – najśłodszy ze wszystkich olejów?

Pomyślcie o tym, wierni Brytyjczycy! My, łowcy wielorybów, zaopatrujemy waszych królów i królowe w materiały koronacyjne!

## ROZDZIAŁ XXVI

### RYCERZE I GIERMKOWIE

Pierwszym oficerem „Pequoda” był Starbuck urodzony w Nantucket, kwakier z pochodzenia. Był to wysoki, poważny mężczyzna, który, choć ujrzał światło dzienne na lodowatym wybrzeżu, najwidoczniej dobrze się przystosował do znoszenia gorącego klimatu, gdyż ciało miał twarde, jak po dwakroć pieczony suchar. Gdyby przewieziono jego żywą krew do Indii, nie zepsułaby się, podobnie jak butelkowane piwo. Musiał się być urodzić w jakimś okresie powszechnej suszy i głodu lub też któregoś z owych dni postu, jakimi słynie jego stan ojczysty. Ujrzał dotąd ledwie ze trzydzieści jałowych wiosen, a te wysuszyły w nim wszystko, co fizycznie zbędne. Ale ta jego chudość nie była właściwie ani oznaką zżerających go niepokojów czy trosk, ani też nie zdawała się wskazywać na te czy inne cielesne niedomagania. Była to po prostu kondensacja jego jestestwa. Nie był bynajmniej szpetny; wprost przeciwnie. Jego czysta, napięta skóra leżała na nim jak ulana; ciasno w nią obleczony, zabalsamowany wewnętrznym zdrowiem i mocą, niby przywrócony do życia Egipcjanin – Starbuck zdawał się gotów przetrzymać długie przyszłe stulecia i zawsze zostać takim jak obecnie” ; albowiem czy to wśród polarnej śnieżycy, czy pod skwarnym słońcem jego wewnętrzna witalność niczym patentowany chronometr dawała gwarancję dobrej pracy w każdym klimacie. Zaglądając w jego oczy mieliście wrażenie, iż dostrzegacie błędzące w nich jeszcze obrazy owych tysiącznych niebezpieczeństw, którym ze spokojem stawiał czoło w ciągu swojego życia. Opanowany, stanowczy człowiek, którego żywot w Większej części był wymowną pantomimą działania, nie zaś bezdusznym rozdziałem pustych dźwięków. A jednak mimo swej twardej powściągliwości i dzielności miał pewne cechy, które się czasem kłóciły ze wszystkimi pozostałymi, a w niektórych wypadkach zdawały się wcale bliskie uzyskania nad nimi przewagi. Niezwykły skrupulat, jak na żeglarza, obdarzony głębokim wrodzonym instynktem wartości, nabrał na skutek dzikiego, wodnego samotnictwa swego życia silnej skłonności do przesądów; jednak tego rodzaju przesądów, jakie w niektórych umysłowościach zdają się wynikać raczej z inteligencji niż z ciemnoty. Przywiązywał wagę do zewnętrznych wróżb i wewnętrznych przeczuć. Ale nawet jeżeli chwilami przyginały one hartowne żelazo jego duszy, to wspomnienia o domu, o młodej małżonce z Przylądka i dziecku znacznie więcej przyczyniały się do złagodzenia właściwej jego naturze szorstkości i do otwarcia jeszcze szerszego ujścia owym ukrytym siłom, jakie w niektórych zacnych ludziach hamują wybuchy zuchwałej odwagi, tak często spotykane u innych wśród niebezpiecznych kolei losu wielorybniczego. „Nie chcę mieć w swej łodzi człowieka, który nie lęka się wieloryba” – mawiał Starbuck. Snadź chciał przez to nie tylko powiedzieć, że najpewniejszą i najpożyteczniejszą odwagą jest ta, która wynika z właściwej oceny napotkanego niebezpieczeństwa, ale też, że człowiek całkowicie pozbawiony lęku jest towarzyszem znacznie niebezpieczniejszym od tchórza.

„Tak, tak – mawiał Stubb, drugi oficer – ten Starbuck to najostrożniejszy chłop, jakiego można znaleźć wśród wielorybników.” Ale już niebawem zobaczymy, co

właściwie oznacza to słowo „ostrożny”, kiedy go używa człowiek taki, jak Stubb czy którykolwiek inny łowca wielorybów.

Starbuck nie gonił za niebezpieczeństwami; odwaga nie była u niego uczuciem, ale po prostu rzeczą dlań użyteczną, którą miał zawsze pod ręką przy każdej prawdziwie morderczej okazji. Prócz tego uważał, być może, iż w tym wielorybniczym rzemiośle odwaga jest jednym z głównych artykułów składających się na wyposażenie okrętu, podobnie jak chleb i wołowina, i że nie należy jej trwonić lekkomyślnie. Z tych przyczyn nie miał upodobania do pogoni za wielorybami po zachodzie słońca ani do upierania się przy walce z rybą, która zbyt się upierała, by walczyć z nim. „Albowiem – myślał sobie Starbuck – jestem tu, na tym niepewnym oceanie po to, żeby zarabiać na życie zabijaniem wielorybów, a nie po to, by one zarabiały na życie, zabijając mnie.” Że zaś setki ludzi w ten sposób zginęły, Starbuck wiedział dobrze. Jakież to los przypadł w udziale jego własnemu ojcu? A gdzie w bezdennej głębinie mógłby odszukać rozdarte członki swego brata?

Odwaga tego Starbucka musiała zaiste być niezmierna, jeżeli mogła rozkwitać mimo podobnych wspomnień i, co więcej, mimo pewnej zabobonności, do której, jak powiedziano, był on skłonny. Ale nie byłoby to zgodne z logicznym, naturalnym porządkiem rzeczy, gdyby w człowieku tak ukształtowanym jak Starbuck, sprawy te skrycie nie poczęły pewnych pierwiastków, które przy sprzyjających okolicznościach wyłamać się mogły ze swego zamknięcia i spalić całe jego męstwo. I choć odznaczał się odwagą, była to w głównej mierze taka odwaga, jaką się widuje u niektórych ludzi nieustraszonych, co chociaż potrafią nieustępliwie zmagać się z morzem, wichrami, wielorybem czy jakąkolwiek ze zwykłych, absurdalnych potworności tego świata, przecie nie są w stanie zdzierżyć owych straszliwych, bo bardziej duchowych okropności, którymi czasem grożą nam zwiedzione brwi rozwścieczonego, a potężnego człowieka.

Gdyby jednak poniższe opowiadanie miało ujawnić jakikolwiek przykład całkowitego załamania się odwagi u biednego Starbucka, nie miałbym serca tego opisać, jest bowiem rzeczą najsmutniejszą, mało powiedzieć – okropną, ukazywać załamanie się bohaterstwa duszy. Ludzie mogą się wydawać odrażający jako towarzystwa akcyjne czy narody; mogą być łotrami, głupcami i mordercami; mogą mieć wychudłe i nędzne ..oblicza – lecz człowiek jako pojęcie jest istotą tak szlachetną i olśniewającą, tak wzniosłą i promienną, że wszyscy jego bliźni winni pośpiesznie zarzucić swe najkosztowniejsze szaty na każdą sromotną w nim skazę. Owa niepokalana siła, którą czujemy wewnątrz siebie tak głęboko, że pozostaje ona nietknięta, choćby wszystka nasza zewnętrzność zdawała się zmieniać, owa moc krwawi najostrzejszą boleścią oglądając odsłoniętą ruinę bohaterstwa w człowieku. Na widok tak haniebny nawet sama wiara nie jest w stanie zdławić wyrzutów przeciw gwiazdom, które dały na coś podobnego swoje przyzwolenie. Wszelako to czcigodne dostojeństwo, o którym tu mówię, nie jest dostojeństwem królów i szat uroczystych, lecz tym szczodrobliwym dostojeństwem, co się w togi nie przyobleka. Ujrzysz je lśniące w ramieniu, które dzierży oskard czy wbija gwóźdź – owo dostojeństwo demokratyczne, co na wszystkich dłoniach promienieje bez końca z mocy samego Boga! Wielki,

wszechpotężny Bóg! Jądro i granica wszelkiej demokracji! Jego wszechobecność to nasza boska równość!

Jeżeli więc będę następnie przypisywał najlichszym marynarzom, renegatom czy wyrzutkom wysokie, choć mroczne przymioty oraz oplatał ich tragicznym urokiem; jeżeli, najżałośniejszy z nich a i, być może, najbardziej upodlony podniesie się czasami do wyżyn wzniosłości, jeśli dotknę ramienia tego wyrobnika jakimś światłem niezemskim, jeżeli rozepnę tęczę nad rozpaczliwym zachodem jego słońca – tedy na przekór wszystkim śmiertelnym krytykom wesprzyj mnie w tym dziele, o sprawiedliwy Duchu Równości, któryś rozpostarł jeden królewski płaszcz ludzkości nad wszystkim moim plemieniem! Wesprzyj mnie w tym o wielki, demokratyczny Boże, któryś nie odmówił ciemnolicemu więźniowi, Bunyanowi , bladej perły poezji; o Ty, któryś okrył listkami dwakroć kowanego, najczystszej złota wynędzniałe, kalekie ramię starego Cervantesa, Ty, któryś podjął z pyłu Andrew Jacksona , któryś osadził go na bojowym rumaku, któryś go wyniósł ponad trony! O Ty, który we wszystkich swych potężnych, ziemskich poczynaniach zawsze oddzielasz wybranych swoich szermierzy od królewskiego gminu – wesprzyj mnie w tym dziele, o Boże!

## ROZDZIAŁ XXVII

### RYCERZE I GIERMKOWIE (CD.)

Drugim oficerem był Stubb. Pochodził z Przylądka Cod i dlatego zgodnie z miejscowym zwyczajem nazywany był Człowiekiem z Przylądka. Niefrasobliwy – ani tchórzliwy, ani waleczny – z obojętną miną przyjmował niebezpieczeństwa tak, jak się nadarzały; jeżeli w czasie pogoni znalazł się w obliczu bezpośrednio zagrażającej katastrofy, brał się do dzieła ze spokojem i opanowaniem, podobny do czeladnika stolarskiego wynajętego na sezon. Pogodny, beztroski i swobodny prezydował na swej łodzi, jak gdyby najbardziej śmiertelne spotkanie było po prostu kolacją, a cała załoga zaproszonymi gośćmi. Był równie wymagający, jeśli idzie o wygodne urządzenie swej części łodzi, jak stary woźnica w sprawie przytulności kozła swego dyliżansu. Kiedy znalazł się oko w oko z wielorybem, w śmiertelnym wirze walki władał swą bezlitosną laną chłodno i swobodnie, niby pogwizdujący przy robocie blacharz młotkiem. Nucił stare, skoczne piosenki znajdując się bok w bok z najbardziej rozjuszonym potworem. Długa praktyka przemieniła dla tego Stubba paszczkę śmierci w wyściełany fotel. Trudno powiedzieć, co sądził o samej śmierci. Pytanie, czy w ogóle o niej myślał – ale jeżeli kiedykolwiek, po smacznym obiedzie, posłał przypadkiem myśl w tę stronę, to bez wątpienia, jak na dobrego marynarza przystało, uznawał śmierć za coś w rodzaju wydanej w czasie wachty koi mendy wdrapania się na maszt i zabrania się tamże do jakiejś roboty, o której istocie będzie się mógł dowiedzieć dopiero po usłuchaniu rozkazu, ale nie wcześniej.

Tym, co być może oprócz innych spraw czyniło ze Stubba człowieka tak nieulekłego, nie dbającego o nic, tak pogodnie niosącego brzemię żywota na świecie pełnym ponurych kramarzy przygiętych do ziemi ciężarem swoich tłumoków, tym, co się przyczyniało do właściwego mu, niemal bezbożnego humoru – musiała być jego fajka. Tak bowiem jak jego nos, owa krótka, czarna fajeczka była jednym z istotnych rysów jego twarzy. Z niemal równym prawdopodobieństwem można było oczekiwać, że się go ujrzy wyłazającego ze swej koi bez nosa, jak bez fajki. Miał tam na stojaku, tuż pod ręką, cały rząd nabitych i przygotowanych fajek i gdy tylko udawał się na spoczynek, wypalał wszystkie po kolei zapalając jedną od drugiej, aż do końca serii; następnie zaś nabijał je na powrót, aby mieć fajki znowu w gotowości. Albowiem kiedy Stubb się ubierał, miał wprzód włożyć nogi w spodnie, wkładał sobie w usta fajkę.

Jak mówię, owo nieprzerwane palenie musiało być przynajmniej jedną z przyczyn jego osobliwego usposobienia, każdy bowiem wie, że to ziemskie powietrze, na lądzie czy na wodzie, jest okropnie zakażone nieopisanymi cierpieniami nieprzeliczonych śmiertelników, co wydychając je pomarli; i podobnie jak czasu zarazy niektórzy ludzie chadzają z przyłożoną do ust chustką nasyoną kamforą, tak właśnie i dym Stubba mógł działać jako coś w rodzaju środka dezynfekcyjnego przeciwko wszelkim doczesnym utrapieniom.

Trzecim oficerem był Fiask, rodem z Tisbury na Martha's Vineyard . Niski, tęgi, rumiany młody człowiek, ogromnie wojowniczy wobec wielorybów, zdawał się

mniemać, że owe olbrzymie Lewiatany osobiście go od pokoleń znieważały, i z tej przyczyny uważał sobie za punkt honoru, żeby je niszczyć przy każdym spotkaniu. Był tak do szczętu wyzutą ze wszelkiego poszanowania dla licznych cudowności ich majestatycznego ogromu oraz tajemniczych obyczajów, tak głuchy na jakiegokolwiek obawy przed ewentualnym spotkaniem z nimi, że w jego skromnym mniemaniu wspaniały wieloryb był zaledwie czymś w rodzaju powiększonej myszy, a już w najlepszym razie szczura wodnego, czymś wymagającym jedynie odrobiny sprytu i poświęcenia, niewielkiej ilości czasu tudzież zachodu, by go ubić i ugotować. Ten mimowiedny, nieświadomy brak lęku powodował, że w sprawach dotyczących wielorybów Fiask był po trosze pustakiem; ścigał je dla samej zabawy, a trzyletnią wyprawę za Przylądek Horn uważał po prostu za dobry żart, trwający tyle właśnie czasu.

Jak gwoździe ciesielskie dzielą się na kute i cięte, podobnie podzielić można i rodzaj ludzki. Mały Fiask należał do tych kowanych; sporządzony był tak, by mocno spajać i długo trwać. Na „Pequodzie” zwano go „King-Post”, ponieważ z postury łącznie go było można porównać do znanego pod tą nazwą na arktycznych okrętach łowieckich krótkiego, kanciastego przyrządu, który przy pomocy zatkniętych weń licznych rozchodzących się promieniście drzewc służy do chronienia okrętu przed lodowatymi wstrząsami owych rozhukanych mórz.

Otóż ci trzech oficerowie – Starbuck, Stubb i Fiask – byli to ludzie mający doniosłe zadania. To właśnie oni na mocy powszechnie przyjętego prawa wydawali rozkazy na trzech łodziach „Pequoda”, jako dowódcy.

W tym wielkim planie bitwy, zgodnie z którym kapitan Ahab dowodziłby zapewne swymi siłami w ataku na wieloryby, owi trzech dowódcy łodzi byli jak gdyby kapitanami kompanii. Albo też zbrojni w swe długie, ostre włócznie wielorybnicze stanowili coś w rodzaju trójki wybranych lansjerów, podobnie jak harpunnicy byli oszczepnikami.

A że w tym chlubnym rzemiośle każdemu oficerowi czy dowódcy łodzi zawsze towarzyszy, jak dawnemu średniowiecznemu rycerzowi, jego sternik albo harpunnik, który w pewnych okolicznościach podaje mu świeżą lancę, jeżeli poprzednia paskudnie się skrzyła czy wygięła w natarciu, a co więcej, ponieważ między tymi dwoma na ogół panuje bliska zażyłość i przyjaźń – jest więc bardzo stosowne, żebyśmy w tym miejscu zanotowali, kim byli harpunnicy „Pequoda”, oraz któremu z dowódców łodzi każdy z nich podlegał.

Przede wszystkim był tam Queequeg, którego obrał sobie na giermka Starbuck, pierwszy oficer. Ale Queequeg jest nam już znany.

Następnie był Tasztego, czystej krwi Indianin z Gay-Head, najdalej na zachód wysuniętego cypla Martha's Vineyard, gdzie do tej pory istnieją ostatnie pozostałości wioski czerwonoskórych, która z dawien dawna dostarczała sąsiedniej wyspie Nantucket wielu jej najdzielniejszych harpunników. Wśród wielorybników nadaje im się zazwyczaj rodowe miano Gay-Headerów. Długie, cienkie, krucze włosy Tasztega, jego wystające kości policzkowe i czarne, krągłe oczy – jak na Indianina bardzo wschodnie przez swoją wielkość, lecz aniarctyczne w swym połyskliwym wyrazie – wszystko to dobitnie wskazywało, że Tasztego jest dziedzicem nieskazitelnej krwi

dumnych łowców-wojowników, co w pogoni za nowoangielskim łosiem przebiegali z łukiem w rękę dziewicze lasy owej ziemi. Ale Tasztego nie wężąc już po tropie dzikiego, leśnego zwierza gonił teraz szlakiem potężnych morskich wielorybów; nieomylny harpun syna godnie zastąpił niechybną strzałę praojców. Patrząc na smagłą muskularność jego gibkich, węzowych członków było się niemal skłonny dać wiarę zabobonom niektórych z pierwszych purytanów i przypuszczać, że ten dziki Indianin jest synem Księcia Mocy Powietrznych. Tasztego był giermkim Stubba, drugiego oficera.

Trzecim spośród harpunników był Daggoo, gigantyczny, czarny jak węgiel dziki Negr o chodzie podobnym do stąpania lwa. Postać jego przywodziła na myśl Ahaswera. U jego uszu zwisały dwie złociste obręcze, tak wielkie, że marynarze nazywali je klubkami, twierząc, iż warto by uwiązać do nich liny od topsli. W młodości Daggoo zaciągnął się ochotniczo na statek wielorybniczy, który zawinął do samotnej zatoki jego ojczystego wybrzeża. Nigdy nie przebywał w żadnym innym miejscu na świecie prócz Afryki, Nantucket i pogańskich przystani najczęściej przez wielorybników nawiedzanych; wiodąc od lat wielu śmiały żywot łowcy wielorybów na okrętach, których właściciele dawali niezwykle baczenie na to, jakiego rodzaju ludzi zatrudniają, Daggoo zachował wszystkie swe barbarzyńskie zalety i wyprostowany jak żyrafa poruszał się po pokładzie w całej świetności swych sześciu stóp i pięciu cali wzrostu (w skarpetkach). Odczuwało się jakoweś cielesne upokorzenie spoglądając nań z dołu; biały człowiek, stojący przed nim, zdawał się być białą flagą, która przybyła prosić fortecę o rozejm. A co ciekawsze, ten królewski Murzyn, ten Ahaswer Daggoo był giermkim malutkiego Fiaska, który przy nim wyglądał jak pionek szachowy. Co zaś się tyczy reszty załogi „Pequoda”, to należy nadmienić, iż w chwili obecnej nawet połowa wielotysięcznej rzeszy prostych majtków zatrudnionych w wielorybnictwie amerykańskim nie jest amerykańskiego pochodzenia, choć Amerykanami są niemal wszyscy oficerowie. To samo więc odnosi się do amerykańskiego wielorybnictwa, do amerykańskiej armii, floty wojennej i handlowej oraz do zastępów saperów używanych przy budowie amerykańskich kanałów i kolei żelaznych. A to mianowicie dlatego, że we wszystkich tych przypadkach rodowity Amerykanin hojnie szafuje mózgiem, reszta zaś świata równie szczerze dostarcza mięśni. Niemało owych wielorybników pochodzi z Azorów, dokąd wypływające z Nantucket statki wielorybnicze często zawijają celem uzupełnienia załóg krzepkimi wieśniakami z owych skalistych wybrzeży. Podobnie żaglowce wielorybnicze wyruszające do Grenlandii z Hull czy Londynu zatrzymują się na Wyspach Szetlandzkich, by tu dopełnić składu załogi. W drodze do domu wysadzają tam z powrotem nowo zaciężnych. Nie wiedzieć czemu się to dzieje, ale wyspiarze są widocznie najlepszymi łowcami wielorybów. Na „Pequodzie” niemal wszyscy byli wyspiarzami, *Izolacjami*, tak bym ich nazwał, gdyż nie uznawali wspólnego ludzimu kontynentu, ale mieszkali każdy na swoim kontynencie własnym i osobnym. A jednak teraz, skonfederowani przy jednym kilu, jakież zespół tworzyli owi *Izolacil* Delegacja Anacharsis Cloutzów ze wszystkich wysp morza, ze wszystkich krańców ziemi, towarzysząca na „Pequodzie” staremu Ahabowi po to, aby przedłożyć wszystkie krzywdy tego świata owemu trybunałowi, z którego nieliczna

tylko powracają. Mały czarny Pip! Ten nie powrócił, o nie! Odszedł już wcześniej. Biedny chłopak z Alabamy! Niebawem ujrzy cię go na ponurym forkaście „Pequoda”, jak wali w swój bębenek, niby zapowiadając ową wieczystą porę, kiedy wezwany na wielki mostek kapitański, tam w górze, otrzyma zlecenie, by w chwale wybijać swój werbel pospołu z aniołami; tu przezywano go tchórzem, tam powitano jako bohatera!

## ROZDZIAŁ XXVIII

### AHAB

Przez kilka dni po wypłynięciu z Nantucket nie sposób było ujrzeć kapitana Ahaba na pokładzie. Oficerowie zmieniali się regularnie na wachtach i według wszelkich pozorów zdawali się być jedynymi dowódcami okrętu. Czasem tylko wybiegali z kajuty z rozkazem tak nagłym i stanowczym, iż stawało się jednak, oczywiste, że sprawują rządy jedynie zastępczo. Tak, ich najwyższy pan i dyktator znajdował się tutaj, choć dotąd niewidzialny dla jakichkolwiek oczu, którym nie zezwolono przeniknąć do uświęconego ustronia kajuty.

Ilekróć wychodziłem na pokład po dyżurze na dole, natychmiast rzucałem okiem w stronę rufy, by się przekonać, czy nie ujrzę jakiejś obcej twarzy, gdyż pierwotny mglisty niepokój, którym napawał mnie nieznany kapitan, teraz, w odosobnieniu morskim, przerodził się niemal we wzburzenie. Kiedy niekiedy dziwnie go zwiększało natrętnie wspomnienie diabolicznych bredni tego oberwańca, Eliasza, które z tajemniczą mocą nasuwały mi się nieproszone na myśl. Nie bardzo potrafiłem im się oprzeć, choć w innym nastroju byłbym niemal gotów śmiać się z uroczyстых fantazjowań owego dziwnego proroka przystani. Ale jakkolwiek czułem się niespokojny czy, że tak powiem, nieswój, przecie gdy tylko rozejrzałem się po statku, doznawałem wrażenia, iż żywienie podobnych uczuć jest całkowicie pozbawione racji. Choć bowiem harpunnicy wraz z większością załogi stanowili o wiele bardziej barbarzyńską i pogańską zbieraninę niż którakolwiek z potulnych załóg statków handlowych, z jakimi zapoznały mnie moje dotychczasowe przeżycia, przypisywałem to jednak – i słusznie – faktowi, że sama istota owego niesamowitego, skandynawskiego rzemiosła, któremu się tak bez zastrzeżeń poświęciłem, była jedyna w swoim rodzaju. Ale właśnie widok trzech głównych oficerów „Pequoda” najbardziej sprzyjał rozproszeniu takich niejasnych obaw i mógł tchnąć ufność i pogodę we wszelkie przewidywania co do losów tej wyprawy. Niełatwo by znaleźć trzech lepszych, odpowiedzialniejszych oficerów i ludzi, każdego w swoim rodzaju; wszyscy trzej byli Amerykanami: nantucketańczyk, vineyardczyk i Człowiek z Przylądka. Ponieważ okręt wyszedł z portu w Boże Narodzenie, przez jakiś czas mieliśmy przejmującą, polarną pogodę, chociaż ciągle uciekaliśmy od niej ku południowi, z każdym przepływanym stopniem i minutą szerokości geograficznej coraz dalej pozostawiając za sobą bezlitosną zimę i cały jej nieznośny klimat. Właśnie jednego z tych mniej już ponurych, lecz jeszcze szarych i dość chmurnych poranków okresu przejściowego, kiedy gnany pomyślnym wiatrem żaglowiec z melancholijną chyżością sunął przez wodę jakimiś mściwymi skoki, takiego właśnie ranka wyszedłem na pokład na zew przedpołudniowej wachty i gdy tylko skierowałem wzrok w stronę burty rufowej, po ciele mym przebiegł wróżebny dreszcz. Rzeczywistość przeszła oczekiwania: kapitan Ahab stał na swym pomoście.

Nie było po nim widać żadnych oznak zwykłego, cielesnego niedomagania ani też powrotu do zdrowia. Wyglądał jak człek, którego odcięto ze stosu w chwili, gdy płomień ogarnął już członki, nie strawiwszy jednak ani nie odjawszy ni odrobiny ich

zwartej, dostalej krzepoty. Wysoka, barczysta postać zdawała się być sporządzona z masywnego brązu, odlana w jakiejś nieomyślnej formie, jak Perseusz Celliniego. Spomiędzy siwych włosów, jedną stroną ogorzałej, opiekłej twarzy i szyi, zbiegała wąska jak różga, sinobiaława kresa nika pod ubraniem. Przypominała pionowe pęknięcie czasem widoczne na prostym, wyniosłym pniu ogromnego drzewa, gdy rozedrze je uderzenie piorunu i nie uszkodziwszy ani jednej gałązki obłupie zeń i wyżłobi korę od góry do dołu, nim spłynie w ziemię, pozostawiając drzewo żywotnie zielone, chociaż napiętnowane. Nikt nie mógł z całą pewnością powiedzieć, czy znak ów przyszedł na świat wraz z Ahabem, czyli też była to blizna po jakowej straszliwej ranie. Za milczącą zgodą nikt, a już zwłaszcza oficerowie, nie czynił w ciągu podróży niemal żadnych w tej sprawie aluzji. Raz tylko współplemiennik Tasztega, należący do załogi stary Indianin z Gay-Head, oświadczył tajemniczo, że Ahab nie był w ten sposób naznaczony przed ukończeniem czterdziestego roku życia i że przydarzyło mu się to nie w zaciekłości jakiejś śmiertelnej bójki, lecz w żywiołowych zapasach na morzu. Owym niezwykłym pogłoskom zdawało się jednak przeczyć to, o czym napomknął pewien siwy mieszkaniec wyspy Man, stary, grobowo ponury człek, który nigdy dotąd nie wypływał z Nantucket i dlatego dotychczas nie widział Ahaba na oczy. Mimo to dawne morskie tradycje i odwieczne wierzenia nadawały temu staremu w oczach ogółu nadnaturalną moc rozeznania. Dlatego też żaden z białych marynarzy nie przeczył mu na serio, gdy mówił, że jeśli kapitan Ahab zostanie kiedykolwiek spokojnie złożony do trumny – tu mruczał, iż mało to jest prawdopodobne – wówczas ten, kto odda zmarłemu ostatnią posługę, znajdzie na nim naturalne znamię biegnące od ciemienia do pięty.

Tak silne wrażenie wywarł na mnie ponury wygląd Ahaba oraz to sine piętno, jakim był naznaczony, iż przez kilka pierwszych chwil nie zdałem sobie sprawy, że sporo tej przemożnej grozy nadaje mu brutalnie biała noga, na której się częściowo wspierał. Już przedtem dowiedziałem się, że tę kościaną nogę sporządzono dlań na morzu z polerowanej szczęki kaszalota. „Tak, urwało mu maszt opodal Japonii – powiedział kiedyś ów stary Indianin z Gay-Head – ale podobnie jak to było z jego okrętem, znalazł sobie nowy nie wracając po niego do domu. Ma ich pełny kołczan.”

Uderzyła mnie szczególna postawa, w jakiej kapitan się utrzymywał. Na „Pequodzie”, po obu stronach mostka kapitańskiego, tuż przy bezanwantach były w deskach wyświdrowane otwory mniej więcej półcalowej głębokości. Wetknąwszy kościaną nogę w taki otwór i uchwyciwszy się want wzniesionym ramieniem, kapitan Ahab stał wyprostowany i spoglądał daleko przed siebie, poza nieprzerwanie prujący wodę dziób okrętu. W tym nieulekłym wzroku, wbitym nieruchomo w przestrzeń, była cała nieskończonej twardego męstwa, zdeterminowanej, nieustępliwej woli. Nie odzywał się ni słowem, nie mówili też nic do niego oficerowie, choć po każdym ich najdrobniejszym geście i wyrazie twarzy snadnie można było poznać nękającą, jeśli nie bolesną świadomość, iż znajdują się pod niespokojnym okiem pana. Mało tego; posępny Ahab stał przed nimi z jakimś ukrzyżowaniem malującym się na obliczu, w całym niewymownym, królewskim, wyniosłym dostojeństwie jakowejś przemożnej niedoli.

Po tej pierwszej bytności na powietrzu wycofał się rychło do swej kajuty. Ale od tego

poranka co dnia dawał się ujrzyć załodze; albo stał z nogą utkwioną w owym otworze, albo siadywał na przygotowanym dlań kościanym zydlu, albo też ciężko przemierzał pokład. W miarę jak niebo stawało się mniej chmurne, a nawet dość pogodne, on coraz to krócej trwał w swym odosobnieniu, jak gdyby tylko martwa, mroźna posępność morza trzymała go w zaniknięciu wówczas, gdy statek odpływał od domu. I stopniowo doszło do tego, że niemal stale przebywał na powietrzu; dotychczas jednak bez względu na to, co by powiedział czy też w sposób widomy uczynił na pokładzie, który wreszcie opromieniło słońce – wydawał się tam równie niepotrzebny jak jeszcze jeden maszt. Ale „Pequod” nie dopłynął jeszcze do miejsc, w których miał rozpocząć właściwe krążenie po morzu; oficerowie mogli całkowicie sprostać niemal wszelkim przygotowaniom do łowów, jakie wymagały nadzoru; dla Ahaba więc, poza nim samym, nie było teraz prawie nic, co mogłoby go zająć czy porwać i w ten sposób choćby na jedną chwilę rozpędzić chmury, które obficie spiętrzyły mu się nad czołem; wszelkie bowiem chmury zawsze wybierają najwyższe szczyty, aby się na nich sadowić.

Niemniej jednak już wkrótce ciepła, świegotliwa perswazja przyjemnej, odświeżonej pogody, do której dotarliśmy, rzuciła nań widać swój urok i stopniowo odwiodła od tego nastroju. I jak wtedy, gdy owe rumiane, rozpląsane pacholęta, Kwiecień i Maj, wbiegną tanecznym krokiem w mroźne, samotnicze bory, a w/tedy nawet najbardziej bezlitosny, chropawy, piorunem rozszczepiony, prastary dąb wypuści wreszcie kilka zielonych pędów, aby powitać podobnie radosnych gości – tak na koniec i Ahab uległ rozigranym powabom tego młodzieńczego tchnienia. Nieraz już rozwijał pęk spojrzeń, które u każdego innego człowieka rychło by w uśmiech rozkwitło.

## ROZDZIAŁ XXIX

### WCHODZI AHAB; PO NIM STUBB

Minęło kilka dni; „Pequod”, zostawiwszy za rufą wszystkie lody i góry lodowe, kołysał się na falach wśród jasnej, godnej Quita wiosny, która niemal nieprzerwanie króluje na morzu u progu wieczystego sierpnia Zwrotników. Dnie ciepłe, a świeże, czyste, dzwonne i pachnące, wezbrane i bujne, były jak kryształowe puchary perskiego sorbetu, okryte, owiane śniegiem z wody różanej. Gwiezdne, wspaniałe noce zdawały się być podobne wyniosłym damom, które w aksamitach lśniących klejnotami, dumne i samotne, pieszczą w domowym zaciszu wspomnienia o zdobywczych rycerzach, co już odeszli – o słońcach w złociste hełmy przybranych! Trudno było sennemu człowiekowi wybierać między tak powabnymi dniami i uwodzicielskimi nocami. Jednakże wszystkie czarodziejstwa owej nieustającej pogody nie tylko przydawały nowego uroku i mocy zewnętrznemu światu. Działały one na duszę, zwłaszcza gdy nadeszła wciąż jeszcze łagodna godzina wieczoru; wtedy to wspomnienia rozbłyskiwały kryształami, podobnie jak o cichym zmierzchu lód przezroczysty okrywa przedmioty. A wszystkie te delikatne sprawy coraz bardziej i bardziej działały na duszę Ahaba.

Starość jest zawsze bezsenna, jakby dlatego, że im dłużej człowiek związany jest z życiem, tym mniej chce mieć do czynienia ze wszystkim, co przypomina śmierć. Spośród dowódców morskich starzy, siwobrodzi najczęściej opuszczają swe koje, aby nawiedzić pokłady w noc spowite. Tak było i z Ahabem; tylko że ostatnio tyle przebywał na powietrzu, iż po prawdzie odwiedzał raczej kajuty, a nie pokład. „To tak, jakby się schodziło do własnej mogiły – pomrukiwał do siebie – to „właśnie czuje taki stary kapitan jak ja, kiedy złazi tym wąskim zejściem do swej grobowej koi.”

Tak więc niemal co dwadzieścia cztery godziny, gdy zaciągnięto nocną wachtę, gdy grupa ludzi na pokładzie czuwała nad snem grupy znajdującej się na dole, a jeśli trzeba było wciągnąć linę na forkasztel, nie ciskano jej brutalnie na deski jak za dnia, ale ostrożnie osuwano na swoje miejsce z obawy, by nie zakłócić snu towarzyszy; gdy zapanowała taka właśnie spokojna cichość – zazwyczaj wtedy milczący sternik bacznie poczynał śledzić zejście kajutowe. I oto niebawem wynurzał się zeń kapitan, chwytając za żelazną poręcz, by pomóc sobie w swoim kalekim stąpaniu. Tkwiła w nim jakaś nutka ludzkich względów, skoro w takich wypadkach powstrzymywał się zazwyczaj od patrolowania po pomoście; albowiem dla jego zmordowanych oficerów szukających spoczynku sześć cali pod jego kościaną piętą, trzask i łoskot tego kostnego kroku byłby tak donośny, iż musiałyby ich nawiedzać sny o zgrzytających zębach rekinów. Kiedyś wszakże nastrój wziął w nim górę nad pospolitymi względami i właśnie gdy krokiem ciężkim jak uderzenia kłoca przemierzał statek od relingu na rufie do grotmasztu, Stubb, stary drugi oficer, wynurzył się spod pokładu i z jakąś niepewną, przeprosającą żartobliwością napomknął coś, że jeśli kapitanowi Ahabowi podoba się spacerować po deskach, to nikt mu tego nie wzbroni, może wszelako istnieje sposób stłumienia hałasu; wspomniał też niejasno i wahająco o kłębku pakuł i wetknięciu weń kościanej pięty. Ach, Stubb! Nie znałeś wtedy jeszcze kapitana Ahaba.

– Alboż ze mnie kula armatnia, Stubb – zapytał Ahab – że chciałbyś mi dać taką podkładkę? Ale idź swoją drogą; już ci tego nie pamiętam. Marsz na dół, do twojej nocnej mogiły, gdzie tacy jak ty śpią pod prześcieradłami, by się wzwyczaić do całunu, który was czeka na ostatku. Na dół, psie, do budy!

Stubb drgnął na ów nieprzewidziany końcowy wykrzyknik nagle rozsierzonego kapitana; przez chwilę nic nie mógł wykrztusić, wreszcie powiedział w podnieceniu:

– Nie jestem przyzwyczajony, by do mnie tak przemawiano, kapitanie. Nie podoba mi się to ani trochę.

– Dość! – wycedził Ahab przez zaciśnięte zęby i gwałtownie się oddalił, jakby chciał uniknąć jakowejś palącej pokusy.

– A nie, kapitanie. Chwileczkę – ozwał się ośmielony Stubb. – Nie będę pokornie słuchał, jak się mnie nazywa psem.

– A zatem bądź po dziesięćkroć nazwany osłem, mułem, baranem i idźże precz albo uwolnię świat od ciebie!

To mówiąc Ahab szedł na niego z tak straszliwie okrutnym wyrazem twarzy, iż Stubb mimowolnie się cofnął.

– Nikt mi dotąd nigdy tak nie wygarnął nie otrzymawszy za to porządnego łupnia – mruknął Stubb znalazłszy się na schodach wiodących do kajut. – To osobliwe. Stójże, Stubb... Jakoś teraz nie wiem właściwie, czy wrócić i grzmotnąć go, czy też – cóż mi na myśl przychodzi? – upaść tu na kolana i modlić się za niego. Tak, ta właśnie myśl mi się nasunęła, ale to byłaby moja pierwsza w życiu modlitwa. Dziwne, bardzo dziwne, i on także dziwny. Tak, czy go oglądać z przodu, czy z tyłu, to chyba najosobliwszy kapitan, z jakim Stubb kiedykolwiek pływał. Jak mnie spiorunował wzrokiem! Oczy miał niczym panewki z prochem! Czyżby był szalony? W każdym razie coś mu ciąży na sercu – równie pewne jak to, że coś musi leżeć na pokładzie, skoro ten trzeszczy. Nie leży teraz w łóżku dłużej niż trzy godziny na dobę – a i wtedy nie sypia. Alboż ta klucha, steward, nie powiadał mi, że rano zawsze znajduje pościel starego na hamaku wymiętą i zgniecioną, prześcieradło skopane w nogach, kołdrę niemal splątaną w supły, poduszkę zaś okrutnie gorącą, jakby leżała na niej rozpalona cegła? Gorący stary! Widzi mi się, że ma on to, co na ładzie poniektórzy zowią sumieniem; mówią, że to coś w rodzaju tik dulure – jeszcze gorsze niż ból zębów. No, no, nie wiem, co to jest, ale niech Bóg broni, żebym to złapał. Pelen jest zagadek. Ciekawe, po co łązi co noc do tylnej ładowni? Steward gadał mi, że go o to podejrzewa. A po co tam chodzi, chciałbym wiedzieć? Któż mu naznacza spotkania w ładowni? Czy to nie dziwaczne? Nie ma co gadać, to chytra sztuka. No, trzeba się zdrzemnąć. Do kata, warto się na świat narodzić, choćby tylko po to, żeby zaraz iść spać. Ale właściwie jak się nad tym zastanowić, to przecie jest pierwsza rzecz, jaką czynią dzieciaki, i to także jest dziwne. Do diabła, właściwie wszystko jest dziwne, gdy się nad tym pomyśli. Ale to znowu byłoby wbrew moim zasadom. Nie myśl – oto moje jedenaste przykazanie, a śpij, kiedy możesz – dwunaste. Znowu sen mnie morzy. Ale jakże to? Alboż nie nazwał mnie psem? Do pioruna! Nazwał mnie dziesięćkrotnym osłem i jeszcze dorzucił całą kupę bydląt na dodatek. Równie dobrze mógł mnie kopnąć i już. A może mnie i kopnął, tylko tego nie zauważył, bo tak osłupiałem, widząc jego czoło. Błyszczało mu jak

zbielała kość. Co się u diabła ze miną dzieje? Nie mogę ustać na nogach. Tak mnie otumanił ten stary, że wszystko się we mnie wywróciło na nice. Przebóg, musiałem chyba śnić – ale jak, jakim sposobem? Nie ma rady, trzeba to sobie zapamiętać. No, chodźmy na hamak. Jutro rano zobaczymy, co ten zatracony czarnoksiężnik myśli sobie przy dziennym świetle.

## ROZDZIAŁ XXX

### FAJKA

Kiedy Stubb odszedł, Ahab chwilę stał wychylony przez burtę, a następnie, jak to zwykł był czynić ostatnio, zawołał majtkę z wachty i posłał go na dół po kościany zydel i fajkę. Zapalił ją od lampy naktuza i ustawivszy zydel po nawietrznej stronie pokładu, zasiadł i zaciągnął się dymem.

Podanie mówi, że za dawnych, skandynawskich czasów, trony rozkochanych w morzu królów duńskich robiono z kłów narwala. Czyż można więc było patrzeć na Ahaba zasiadającego na owym kościanym trójnogu i nie pomyśleć o królewskości, której był symbolem? Albowiem Ahab był chanem pokładów, królem mórza, możnowładcą Lewiathanów.

Minęło kilka chwil, w czasie których gęsty dym wydobywał się z jego ust szybkimi, nieprzerwanymi kłębami, które wiatr z powrotem nawiewał mu w twarz.

— No i cóż — powiedział wreszcie do siebie wyjmując fajkę z ust. — To palenie już mnie nie koi. O, fajko moja! Źle musi dziać się ze mną, skoro czar twój prysł! Otom w nieświadomości swojej trudził się nie osiągając zadowolenia i przez cały czas bezwiednie paliłem pod wiatr; pod wiatr i to tak nerwowymi kłębami, jak gdyby, na podobieństwo zdychającego wieloryba, ostatnie moje wydmuchy były najsilniejsze i najbardziej znękanie. Po co mi ta fajka? Ona, którą przeznaczono dla ukojenia, która winna posyłać miękkie, białe obłoczki pomiędzy miękkie, białe włosy, a nie takie zwichrzzone, stalowoszare kędziory jak moje. Nie będę już palił więcej...

Cisnął palącą się jeszcze fajkę w morze. Ogieniek zasyczał wśród fal; w tym samym momencie okręt przemknął obok banieczki powietrza, którą zostawiła na wodzie tonąca fajka. Z rondem kapelusza opuszczonym na oczy Ahab pokuśtykał przez pokład.

## ROZDZIAŁ XXXI

### KRÓLOWA MAB

Następnego ranka Stubb podszedł do Fiaska.

– Jeszcze nigdy nie miał tak dziwnego snu, „King-Post”. Znasz tę kościaną nogę starego. Otóż śniło mi się, iż mnie nią kopnął, kiedy zaś spróbowałem oddać mu kopniaka, wyobraź sobie, człeczko, omal mi noga nie odleciała. Tak, na mą duszę! Potem trzask, prask i Ahab stał się piramidą, a ja, głupiec zatracony, dalej ją kopałem. Ale co jeszcze ciekawsze, Fiask – wiesz przecie, jak ciekawe są wszystkie sny – poprzez całą tę wściekłość, jaka mnie ogarnęła, najwyraźniej myślałem sobie, że bądź co bądź ten kopniak od Ahaba to nie taka znowu obraza. „Cóż – myślałem – o co tyle hałasu? To przecie nie prawdziwa noga, a sztuczna.” A wielka jest różnica między żywym kopniakiem a martwym. To właśnie czyni uderzenie dłonią stokroć nieznośniejszym od ciosu laską. Żywe ciało – ono właśnie wyrządza żywą zniewagę, mój stary. I cały czas tak sobie myślę – a zważ, że ciągle tłukę tą głupią nogą o ową przeklętą piramidę (tak to wszystko było diablo pokręcone) – cały czas sobie myślę: „Czymże jest jego noga, jeśli nie laską – laską z kości wielorybiej? Tak – myślałem – on przecie tylko dla żartu mnie obił, właściwie mówiąc owielorybił, a nie skopał nikczemnie. Prócz tego wystarczy spojrzeć raz na tę nogę, na jej koniec, ten od dołu; jakież on mały! Natomiast gdyby mnie kopnął wielkim kulasem jakiś farmer, toby dopiero była wielka zniewaga. Ta zaś jest zestrugana na igłę.” Ale teraz dopiero kolej na najlepszy kawał tego snu. Fiask. Kiedy tak grzmocę w tę piramidę, jakiś stary wodnik o kudłach jak u borsuka, z garbem na grzbiecie, łapie mnie za ramiona i okręca w kółko. „Czego tu chcesz?” – pyta. Uch, człowieku! Alem się wystraszył! Co za gęba! Jednak w następnej chwili jakoś mi ten strach przeszedł. „Czego chcesz? – powiadam wreszcie. – A chciałbym wiedzieć, co panu do tego, panie garbus? Czy i pan chcesz kopniaka?” Przebóg, Fiask, ledwo to wyrzekł, a ów się do mnie rufą obraca, schyla i zadziera kupę wodorostów, które miał zamiast giezła, a wtedy – domyśl się, com ujrzał! – do kroćset, człeczko, rufę miał najeżoną szydłami do lin, ostrzem na zewnątrz. Na to ja, po namyśle: „Chyba cię nie kopnę, mój stary.” „Mądry Stubb – on powiada – mądry Stubb!” – i tak dalej mamrocze, jakby gryzł własne dziaśła, ni to stara wiedźma. Widząc, że nie zamierza przestać z tym swoim „Mądry Stubb, mądry Stubb”, pomyślałem, że równie dobrze mogę się znów zabrać do kopania piramidy. Ale ledwie się nogą zamachnął, ten ryknął: „Przestań z tym kopaniem!” „Halo – powiadam – a cóż to znowu, staruchu?” „Słuchaj no – on mówi – przekonajmy się, czy to jest zniewaga. Kapitan Ahab cię kopnął?” „Kopnął mnie – ja na to – tutaj właśnie.” „Pięknie – mówi on – ale uczynił to przy pomocy swej kościanej nogi, nieprawdaż?” „Owszem” – mówię mu. „No więc – on do mnie. – Na cóż narzekasz, mądry Stubbie? Zaliż nie kopnął cię z dobrą wolą? Nie kopnął cię przecież pospolitą sosnową nogą. Nie, skopany zostałeś przez człeka wielkiego, i to piękną nogą z kości. To zaszczyt, Stubb, ja uważam, że to zaszczyt. Słuchaj, mądry Stubbie. W starej Anglii najwięksi panowie za chwałę sobie poczytują, jeśli otrzymają uderzenie od królowej, a wraz i godność kawalera Podwiązki; niechże

więc będzie to twoją chwałą, żeś dostał od starego Ahaba kopniaka, który cię uczynił mądrym człowiekiem. Pomnij, co ci rzekę: daj mu się kopać; uważaj jego kopniaki za zaszczyt i w żadnym wypadku mu ich nie oddawaj, bo nie dasz rady, mądry Stubbie. Widzisz tę piramidę?" Z tymi słowy rozplynął się nagle w jakiś osobliwy sposób w powietrzu. Chrapnąłem, przekręciłem się z boku na bok i oto znalazłem się w swym hamaku! No i cóż, co sądzisz o tym śnie, Fiask?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się jednak trochę głupi.

– Może być, może być. Ale mnie uczynił mądrym, Fiask. Widzisz Ahaba, jak tam stoi i patrzy z ukosa nad rufą? Owóż najlepszą rzeczą, jaką możesz uczynić, to zostawić tego starego w spokoju. Nigdy doń nie gadaj, cokolwiek by mówił. Oho, a co to on wykrzykuje? Posłuchajmy!

– Hej, wy, na maszcie! Wypatrujcie bystro! Wieloryby w pobliżu! Gdybyście ujrzeli białego, to ryczcie, aż wam płuca pękną!

– No i co myślisz, Fiask? Czy nie ma w tym odrobiny czegoś niesamowitego, hę? Biały wieloryb – zauważyłeś, człowieku? Uważaj, coś szczególnego wisi w powietrzu. Trzymaj się, Fiask. Ahab ma jakieś krwawe zamiary. Ale cicho, właśnie tu nadchodzi.

## ROZDZIAŁ XXXII

### CETOLOGIA

Już śmiało ruszyliśmy na głębinę; niebawem zagubimy się w jej bezkresnym, pustynnym ogromie. Zanim to się stanie, zanim omszały kadłub „Pequoda” popłynie bok w bok z okrytym mięczakami kadłubem Lewiatana, już na samym początku dobrze będzie zająć się sprawą, która jest niemal niezbędna dla pełnego zrozumienia i oceny co specjalniejszych, lewiatanicznych rewelacji i aluzji wszelkiego rodzaju, jakie dalej nastąpią.

Pragnąłbym ukazać wam coś w rodzaju ustystematyzowanej wystawy wielorybów we wszystkich możliwych odmianach. Wszelako niełatwe to zadanie. Usiłuję tu dać ni mniej, ni więcej, tylko klasyfikację składników chaosu. Posłuchajcie, co zapisały najlepsze na świecie autorytety w tej materii.

„Żadna dziedzina zoologii nie jest podobnie zawiła, jak ta, którą się zowie cetologia” – powiada kapitan Scoresby, A.D. 1820.

„Nie jest moim zamiarem, nawet gdyby to było w mej mocy, wdawać się w poszukiwania właściwej metody podziału waleni na grupy i rodziny. ...Między badaczami owego zwierzęcia (kaszalota) całkowity panuje zamęt” – mówi doktor Beale, A.D. 1839.

„Niezdolność do dalszego prowadzenia naszych poszukiwań w niezgłębionych wodach,” – „Nieprzenikniona zasłona zagrządzająca drogę naszej wiedzy o waleniach.” – „Łan usiany cierniami.” – „Wszystkie te niekompletne dane służą tylko temu, by dręczyć nas, przyrodników.”

Tak mówią o wielorybie: wielki Cuvier i John Hunter, i Lesson – te gwiazdy zoologii i anatomii. Choć jednak niewiele bywa prawdziwej wiedzy, przecie książek jest mnóstwo; to samo w pewnym stopniu odnosi się do cetologii, czyli nauki o wielorybach. Liczni są ludzie, mali i wielcy, dawni i nowi, z lądu i z morza, którzy obszernie czy krótko pisali o wielorybie. Zróbcie przegląd choćby kilku z nich: autorowie Biblii, Arystoteles, Pliniusz, Aldrovandi, sir Thomas Browne, Gesner, Ray, Linneusz, Rondelecjusz, Willoughby, Green, Artedi, Sibbald, Brisson, Marten, Lacèpede Bonneterre, Desmarest, baron Cuvier, Fryderyk Cuvier, John Hunter, Owen, Scoresby, Beale, Bennett, J. Ross Browne, autor *Miriam Coffin*, Olmstead i ksiądz T. Cheever. Ale z jakim ostatecznym ogólnym wynikiem wszyscy oni pisali – na to wskazują wyżej przytoczone wyjątki.

Z wymienionych na tej liście wielorybnych pisarzy jedynie ci, którzy następują po Owenie, w ogóle widzieli żywego wieloryba, a tylko jeden z nich był prawdziwym, zawodowym harpunnikiem i łowcą wielorybów, a mianowicie kapitan Scoresby. Jest on najprzedniejszym autorytetem, jaki istnieje w osobnym przedmiocie wala grenlandzkiego albo właściwego. Ale Scoresby nie wiedział nic i nic nie mówił o wielkim kaszalocie, w porównaniu z którym wal grenlandzki niemal nie jest godzien wzmianki. A należy tu powiedzieć, że wal grenlandzki to uzurpator na tronie mórza. Nie jest on nawet w żadnym wypadku największym z wielorybów. Jednakże dzięki

długotrwałemu. pierwszeństwu, jakie zyskały jego uroszczenia, oraz dzięki głębokiej niewiedzy, jaka jeszcze siedemdziesiąt lat temu otaczała naówczas bajecznego czy też całkowicie nie znanego kaszalota – która to niewiedza po dziś dzień dalej panuje wszędzie, z wyjątkiem kilku nielicznych naukowych zakątków czy niewielu portów wielorybicznych – dzięki temu właśnie uzurpacja owa stała się pod każdym względem zupełna. Odniesienie się do niemal wszystkich lewiatanicznych aluzji u wielkich poetów czasów minionych upewni was, że wal grenlandzki nie miał dla nich rywala i był w ich oczach monarchą mórz. Ale nadszedł już czas na nową proklamację. Jesteśmy na Charing Cross, słuchajcie, dobrzy ludzie! Wal grenlandzki z tronu jest złożony – wielki kaszalot ninie nam panuje!

Istnieją tylko dwie książki, które w ogóle pretendują do tego, aby ukazać nam żywego kaszalota i choćby w drobnej mierze osiągnąć ten cel. Są to książki Beale'a i Bennetta, którzy byli w swoim czasie felczerami na angielskich statkach wielorybicznych z Mórz Południowych; obaj to ludzie ściśli, na których można polegać. Oryginalne materiały dotyczące kaszalota, jakie można znaleźć w ich dziełach, są z konieczności szczupłe, jednakowoż wybornej jakości, choć w głównej mierze ograniczają się do naukowego opisu. Dotychczas jednakże kaszalot, czy to pod względem naukowym, czy poetyckim, nie osiągnął jeszcze pełni życia w żadnym piśmiennictwie. W znacznie wyższym stopniu, niż to ma miejsce z innymi poławianymi wielorybami, żywot jego jest dotąd prawie nie opisany.

Otóż różnorodne odmiany wielorybów wymagają jakiejś popularnej, zrozumiałej klasyfikacji, choćby na razie prostego jej zarysu, który później wypełnią we wszystkich jego działach następni badacze. Jako że nikt lepszy się nie zgłasza, by wziąć tę sprawę w swoje ręce, ja więc ofiarowuję swoje własne skromne usiłowania. Nie obiecuję niczego pełnego, każda bowiem rzecz ludzka, która jest rzekomo kompletna, musi niechybnie dla teje właśnie przyczyny być wadliwa. Nie roszczę sobie pretensji do drobiazgowego, anatomicznego opisu rozmaitych gatunków ani też – na tym miejscu przynajmniej – do jakichkolwiek szerszych opisów w ogóle. Celem moim tutaj jest po prostu zaprojektowanie szkicu systematyzacji cetologii. Jestem architektem, a nie budowniczym. Ciężkie to jednak zadanie; żaden zwykły urzędnik segregujący listy na poczcie nie potrafi mu sprostać. Straszliwa to rzecz szukać po omacku na dnie morza, wyciągać dłoń ku niepojętym fundamentom i kośćcowi świata, do samego jego łona. Kimże jestem, iż próbuję pochwycić na hak tego Lewiatana! Owe straszne szyderstwa u Hioba mogłyby mnie zastraszyć. „Zaliż on (Lewiatan) przymierze z tobą zawrze? Próżna to nadzieja!” Wszelako przepłynąłem przez biblioteki i żeglowałem po oceanach; miałem do czynienia z wielorybami tymi oto widzialnymi dłońmi; mam poważne zamiary i poprobuję. Należy ustalić kilka szczegółów wstępnych.

Po pierwsze: o niepewnym, nieustalonym stanie tej nauki, cetologii, już na samym progu świadczy fakt, że gdzieniegdzie jest jeszcze sprawą do dyskusji, czy wieloryb to ryba. Linneusz w swoim *Porządku przyrody* A.D. 1776 oświadcza: „Zatem oddzielam ryby od wielorybów.” Jednakże, o ile mi wiadomo, aż do roku 1850 rekiny i szprotki, sardynki i śledzie, wbrew temu wyraźnemu edyktowi Linneusza, ciągle jeszcze dzielą się z Lewiatanem władztwem tych samych mórz.

Linneusz w następujący sposób wylicza powody, dla których chętnie by wygnał wieloryby z wód: „Z uwagi na ich ciepłe, dwukomorowe serca, ich płuca, ruchome powieki, wklęsłe uszy, *penem intransentem feminam mammis lactantem*” i wreszcie „*ex lege naturae jure meritoque*”. Przedłożyłem to wszystko przyjaciółom moim z Nantucket, Symeonowi Macey i Karolowi Coffin, którzy byli moimi towarzyszami messy w czasie pewnej podróży, oni zaś wyrazili zgodny pogląd, że wysunięte tu racje są całkowicie niewystarczające. Karol nawet bezecnie napomknął, że to bajdy.

Należy wiedzieć, iż, niechając wszelkiej dysputy, stoję na poczciwym, staroświeckim stanowisku, że wieloryb jest rybą i odwołuję się do świątobliwego Jonasza o poparcie. Po załatwieniu się z tym fundamentalnym zagadnieniem, następnym punktem będzie rozważenie, pod jakimi względami wieloryb różni się wewnątrznie od innych ryb. Powyżej Linneusz podał wam już owe cechy. Są to pokrótce: płuca i ciepła krew, podczas gdy wszystkie inne ryby są płuc pozbawione i zimnokrwiste.

Następnie: w jaki sposób określimy wieloryba na podstawie jego widomych cech zewnętrznych tak, by go jasno i wyraźnie oznaczyć po wsze czasy? Krótko więc mówiąc jest on dmuchającą rybą z poziomym ogonem. Ot, i tu go macie całego. Jakkolwiek zwięzła, definicja ta jest wynikiem obszernych rozważań. Mors dmucha bardzo podobnie do wieloryba, nie jest jednak rybą, jako że to zwierzę zimnowodne. Ale ostatni człon tej definicji staje się tym bardziej przekonujący, jeśli go połączyć z pierwszym. Niemal każdy musiał zauważyć, że wszystkie ryby dobrze znane ludziom lądu mają ogon nie płaski, ale pionowy, idący z góry w dół, podczas gdy u ryb dmuchających ogon, choć podobnie ukształtowany, niezmiennie przyjmuje położenie horyzontalne.

Powyższą definicją wieloryba bynajmniej nie wyłączam z lewiatańskiego bractwa jakiegokolwiek morskiego stworzenia, dotychczas identyfikowanego z wielorybem przez najlepiej w tej sprawie poinformowanych nantucketańczyków, ani też z drugiej strony nie włączam doń żadnej ryby do tej pory uznawanej w sposób miarodajny za obcą. Stąd też i wszystkie pomniejsze dmuchające ryby o poziomym ogonie muszą być włączone do niniejszego zarysu cetologii. Teraz zaś kolej na wielki podział całej wielorybiej rzeszy.

Po pierwsze: w zależności od rozmiaru dzielę wieloryby na trzy podstawowe KSIĘGI (podzielone z kolei na Rozdziały), te zaś obejmują je wszystkie, tak wielkie jak i małe.

I. Wieloryb *In Folio*; II. Wieloryb *In Octavo*; III. Wieloryb *In Duodecimo*.

Jeśli idzie o typ *In Folio*, to przedstawiam tu Kaszalota, *In Octavo* – Orkę, *In Duodecimo* – Delfina.

IN FOLIO. Do tych zaliczam następujące rozdziały: – I. Kaszalot; II. Wieloryb Właściwy; III. Finwal; IV. Humbak; V. Rorkwal; VI. Płetwal Błękitny.

KSIĘGA I (*In Folio*), Rozdział I. (Kaszalot). – Ten wieloryb, wśród dawnych Anglików niejasno określany jako *Trumpa* albo *Physeter* lub też Łeb-Kowadło, to obecny *Cachalot* Francuzów, *Pottfisch* Niemców i *Macrocephalus* w języku Długich Słów. Jest on bez wątpienia największym mieszkańcem kuli ziemskiej, najpotężniejszym ze wszystkich wielorybów, jakie spotkać można, najbardziej majestatycznym z wyglądu i wreszcie bezwzględnie najwartościowszym handlowo, zważywszy, iż jest jedynym

stworzeniem, z którego otrzymuje się ową cenną substancję, olbrot. Będziemy się jeszcze w wielu innych miejscach rozwódzić nad wszystkimi jego osobliwościami. Teraz zajmę się głównie jego mianem w języku angielskim. Z filologicznego punktu widzenia jest ono absurdalne. Kilka stuleci temu, kiedy kaszalot był jeszcze niemal całkowicie nie znany w swojej właściwej istocie i kiedy jego olej otrzymywano tylko przypadkowo z wyrzuconych na brzeg ryb – w czasach owych uważano, jak się zdaje, że olbrot, czyli inaczej spermacet, pochodzi ze stworzenia identycznego ze znanym naówczas w Anglii pod nazwą Wala Grenlandzkiego albo Właściwego. Wyobrażano sobie również, że tenże spermacet jest ową życiodajną cieczą Wieloryba Grenlandzkiego, którą literalnie określają pierwsze dwie sylaby tego słowa. W owych czasach olbrot, czyli spermacet, uzyskiwano niesłychanie rzadko i używano go nie do oświetlenia, lecz jedynie jako maść lub lekarstwo. Można go było dostać wyłącznie u aptekarzy, tak jak obecnie kupuje się jedną uncję rabarbaru. Kiedy, jak sądzę, z biegiem czasu poznano już właściwą naturę spermacetu, jego pierwotna nazwa nadal utrzymana została przez kupców, niewątpliwie po to, by podwyższyć jego wartość przez pojęcie tak osobliwie znamienne dla jego rzadkości. I w ten sposób zapewne sama nazwa została nareszcie przeniesiona na wieloryba, od którego ów spermacet w rzeczywistości pochodził.

KSIĘGA I (*In Folio*), Rozdział II. (*Wieloryb Właściwy*). – Pod pewnym względem jest to najczycgodniejszy z Lewiatanów, jako że to on pierwszy był regularnie łowiony przez człowieka.

Dostarcza artykułu pospolicie znanego jako fiszbin oraz oleju specjalnie zwanego „tranem wielorybim”, który jest pośledniejszym przedmiotem handlu. Między poławiaczami oznacza się tego wieloryba bez wyboru następującymi tytułami: Wieloryb, Wal Grenlandzki, Wal Czarny, Wielki Wal, Wieloryb Prawdziwy, Wieloryb Właściwy. Dużo jest niejasności, jeśli idzie o tożsamość gatunku tak szczodroliwie chrzczonego. Czymże więc jest ów wieloryb, którego zaliczam do drugiej grupy moich *In Folio*? Jest to wielki *Mysticetus* przyrodników, Wal Grenlandzki angielskich wielorybników, *Baleine Ordinaire* poławiaczy francuskich, *Growlands Walfish* Szwedów. Jest to wieloryb, na którego przez dwa ostatnie stulecia z górą polowali na morzach arktycznych Holendrzy i Anglicy; wieloryb, którego rybacy amerykańscy z dawna ścigali po Oceanie Indyjskim, u brzegów Brazylii, opodal Wybrzeża Północno-Zachodniego i w wielu innych częściach świata, oznaczonych przez nich jako Wielorybnicze ' Tereny Łowieckie.

Niektórzy utrzymują, że dostrzegają różnicę między Wałem Grenlandzkim Anglików a Wielorybem Właściwym Amerykanów. Wszelako wszystkie główne cechy ich obu dokładnie się ze sobą zgadzają i nie przytoczono dotychczas ani jednego określonego faktu, na którym można by oprzeć jakieś radykalne rozróżnienie. To właśnie dzięki nie kończącym się podpodziałom, opartym, na jak najbardziej nieistotnych różnicach, niektóre gałęzie historii naturalnej stają się tak odpychająco zawile. Wieloryba Właściwego omówi się szerzej na innym miejscu, celem rzucenia niejakiego światła na Kaszalota.

KSIĘGA I (*In Folio*), Rozdział III. (*Finwal*) – Pod tym nagłówkiem umieszczam potwora, który pod rozmaitymi mianami: Finwala, Wielkodmucha, Długiego Jasia,

widwany bywał na niemal każdym morzu i jest zazwyczaj wielorybem, którego daleką fontannę tak często opisują pasażerowie przepływający Atlantyk na nowojorskich statkach pocztowych. Długością, da jakiej dochodzi, oraz swoimi fiszbinami Finwal zbliżony jest do Wieloryba Właściwego, tyle tylko, że mniej korpulentny w talii i nieco jaśniejszej barwy, zbliżony do oliwkowej. Jego ogromne wargi przedstawiają widok podobny do grubej liny utworzonej przez splecione, skośne zwoje olbrzymich fałd. Jego główny rys wyróżniający, płetwa, od której Finwal, czyli Płetwal bierze swoje imię, jest często bardzo rzucająca się w oczy. Płetwa ta ma około trzech czy czterech stóp długości, wyrasta pionowo z tylnej części grzbietu, jest kształtu trójkątnego, z bardzo ostrym, spiczastym końcem. Nawet jeśli nie widać żadnej innej części zwierzęcia, można czasami wyraźnie dostrzec tę samotną płetwę wystającą ponad powierzchnię wody. Kiedy morze jest umiarkowanie spokojne i lekko poznaczone kolistymi zmarszczkami, ta zaś płetwa podobna do iglicy zegara słonecznego sterczy w górę i rzuca cień na pomarszczoną powierzchnię, można sobie łącno wyobrazić, że otaczający ją wodny krąg przypomina nieco taki właśnie zegar wraz z iglicą i wyrytymi na nim falistymi liniami godzin. Na tym słonecznym zegarze Ahaza cień często się cofa. Finwal nie jest towarzyski. Zdaje się on być mizantropem wśród wielorybów, tak jak są mizantropi wśród ludzi. Bardzo jest nieśmiały, zawsze chadza samopas, niespodzianie wypływa na powierzchnię na najodleglejszych i najposępniejszych wodach; jego pojedyncza, wysoka fontanna wzbija się jak wyniosła mizantropijna wieżyca nad jałową równiną. Obdarzony tak zadziwiającą mocą i chyżością, że gdy płynie, może urągać wszelkiemu pościgowi ze strony człowieka, Lewiatan ów zdaje się być wygnanym, lecz nie pokonanym Kainem swojej rasy, noszącym jako piętno ową iglicę na grzbiecie. Z uwagi na to, że ma w paszczęce fiszbiny, Finwal bywa czasami zaliczany wraz z Wielorybem Właściwym do teoretycznego gatunku zwanego Fiszbinowcami, to znaczy wielorybami posiadającymi fiszbiny. Jak się zdaje, istnieje kilka odmian owych tak zwanych Fiszbinowców, z których jednak większość mało jest znana. Nazwami rybackimi dla niektórych rodzajów są: Wieloryby Szerokonose i Dziobate, Włóczniowate, Pękate, Dolnoszczękowce oraz Ryjowate.

W związku z tą nazwą Fiszbinowców jest niezmiernie ważne nadmienić, iż jakkolwiek taka nomenklatura może być bardzo dogodna przez to, że ułatwia określanie niektórych rodzajów wielorybów, przecie na próżno usiłowałoby się przeprowadzić wyraźną klasyfikację Lewiatanów opartą czy to na ich fiszbinach, czy garbie, czy płetwie, czyli też zębach, mimo że te znamienne części czy rysy nadają się oczywiście lepiej na podstawę dla prawidłowego systemu cetologii niż jakiegokolwiek inne poszczególne cielesne właściwości, które wieloryb wykazuje w swych rozmaitych odmianach. A więc? Fiszbiny, garb, płetwa grzbietowa i zęby: oto cechy szczególne, którymi są bez wyboru obdarzone wszystkie rodzaje wielorybów, niezależnie od ich budowy w innych, bardziej istotnych szczegółach. I tak na przykład Kaszalot oraz Humbak posiadają garby; ale też na tym kończy się podobieństwo. Również tenże Humbak oraz Wal Grenlandzki mają fiszbiny; ale i tutaj także kończy się podobieństwo. To samo odnosi się i do innych wyżej wspomnianych części. U rozmaitych odmian wielorybów tworzą one tak nieprawidłowe kombinacje, biorąc zaś każdego z nich z

osobna – tak nieprawidłowe elementy, że urągają najzupełniej wszelkiej ogólnej systematyzacji opartej na takiej podstawie. Na tej skale rozbił się każdy przyrodnik badający wieloryby.

Można jednak zapewne przypuszczać, że przynajmniej w częściach wewnętrznych wieloryba, w jego anatomii będziemy w stanie natrafić na podstawy właściwej klasyfikacji. Nie, bo cóż na przykład w anatomii Wala Grenlandzkiego jest bardziej uderzające od jego fiszbinów? A przecie widzieliśmy już, że na podstawie fiszbinów nie sposób prawidłowo sklasyfikować Wala Grenlandzkiego. Jeżeli zaś zejdziecie w trzewia różnych Lewiatanów, tedy nie znajdziecie tam cech odróżniających nawet w jednej setnej części tak wartościowych dla systematyka, jak owe cechy zewnętrzne, któreśmy już wyliczyli. Cóż więc pozostaje? Nic innego, jak tylko brać wieloryby jako całość, w całej ich szczodrej objętości i śmiało sortować je w ten sposób. To właśnie jest ten system bibliograficzny, który tu przyjęto; jest on także jedynym, mogącym w ogóle dać pomyślnie wyniki, ponieważ on jeden jest wykonalny. Mówmy więc dalej.

KSIEGA I (*In Folio*), Rozdział IV. (*Humbak*) – Tego wieloryba często się widuje u północnych wybrzeży Ameryki. Nierzadko go tam chwytano i holowano do portu. Ma na sobie ogromny toból, niby wędrowny przekupień; można go nazwać Wielorybem Słoniowatym albo Zamczystym. W każdym razie popularne jego przezwisko nie wyróżnia go w sposób wystarczający, jako że Kaszalot ma również garb, choć nieco mniejszy. Olej jego jest niezbyt wartościowy. Humbak posiada fiszbiny. Jest najfiglarniejszym lekkoduchem ze wszystkich wielorybów i zazwyczaj wzbija więcej wesołej piany i białych bryzgów wodnych niż którykolwiek z nich.

KSIEGA I (*In Folio*), R o z d z i a ł V. (*Rorkwal*) – O tym wielorybie niewiele wiadomo, prócz jego imienia. Widziałem go kiedyś w pewnej odległości od Przylądka Horn. Samotniczego usposobienia, unika tak łowców jak i filozofów. Choć nie jest tchórzem, nigdy jednak dotąd nie pokazał żadnej części swego cielska prócz grzbietu, który wznosi się długą, ostrą krawędzią. Niech sobie idzie. Niewiele więcej wiem o nim – ja czy ktokolwiek inny.

KSIEGA I (*In Folio*), Rozdział VI. (*Płetwal Błękitny*) – Jeszcze jeden samotny dżentelmen o brzuchu koloru siarki, niewątpliwie na skutek otarcia się o dach Tarbaru w czasie jednego ze swych głębszych nurkowań. Rzadko się go widuje; ja przynajmniej nie widziałem go nigdy poza dalekimi morzami południowymi, i to zawsze ze zbyt wielkiej odległości, by zbadać jego fizjonomię. Nigdy go się nie ściga; uciekłyby z całymi milami Im. Opowiadają o nim cuda. *Adieu*, Błękitny Płetwalu! Więcej nic pewnego nie umiem o tobie powiedzieć – nie potrafiłby tego uczynić nawet najstarszy nantucketańczyk.

Na tym się kończy KSIEGA I (*In Folio*) i zaczyna KSIEGA II (*In Octavo*).

IN OCTAVO. Księga ta obejmuje wieloryby średniej wielkości, spośród których możemy na razie wyliczyć: – I. Orkę; II. Rybę Czarną; III. Narwala; IV. Mordercę; V. Żarłacza.

KSIEGA II (*In Octavo*), Rozdział I. (*Orka*) – Choć o tej rybie, której dźwięczne, donośne oddychanie czy raczej dmuchanie dało mieszkańcom lądu temat do przysłowia, dobrze wiadomo, że jest mieszkanką głębin, jednak nie zalicza się jej na

ogół do wielorybów. Ale większość przyrodników uznała ją za wieloryba, zważywszy, że posiada wszelkie główne cechy właściwe Lewiatanowi. Jest umiarkowanego rozmiaru *In Octavo*, wahającego się od piętnastu do dwudziestu pięciu stóp długości, a także odpowiedniej objętości w talii. Pływa w stadach; nigdy się na nią regularnie nie poluje, choć posiada znaczne ilości oleju dość dobrego do oświetlenia. Niektórzy rybacy uważają, iż jej ukazanie się zwiastuje, że w pobliżu przebywa wielki kaszalot.

KSIEGA II (*In Octavo*), Rozdział II. (Ryba Czarna) – Podaję dla wszystkich tych ryb popularne nazwy rybackie, ponieważ są one na ogół najlepsze. Gdziekolwiek jakaś nazwa wyda się niejasna czy bez wyrazu, powiem o tym i zaproponuję inną. Czynię to i w tej chwili odnośnie tak zwanej Ryby Czarnej, jako że czerń jest regułą u wszystkich niemal wielorybów. Proszę więc, nazywajcie ją Wielorybem-Hieną. Jej żarłoczność jest dobrze znana, a z uwagi na to, że zewnętrzne kąty jej warg są wygięte do góry, nosi na obliczu wiecznotrwały, mefistofeliczny, szydarczy uśmiech. Wieloryb ten ma średnio od 16 do 18 stóp długości. Można go spotkać pod każdą niemal szerokością geograficzną. Gdy płynie, ma osobliwy zwyczaj ukazywania swej haczykowatej płetwy grzbietowej, która przypomina nieco rzymski nos. W braku korzystniejszego zajęcia łowcy kaszalotów chwytają czasem Wieloryba-Hienę, by uzupełnić zapas taniego oleju dla celów domowych – podobnie jak skromni gospodarze, pod nieobecność gości, kiedy są zupełnie sami, wypalają niewonny łój miast pachnącego wosku. Choć tran tych wielorybów jest bardzo rozcieńczony, niektóre mogą przecie dostarczyć powyżej trzydziestu galonów oleju.

KSIEGA II (*In Octavo*), Rozdział III. (Narwal, inaczej Wieloryb Nosal) – Inny przykład ciekawej nazwy wieloryba, którą mu nadano, jak sądzę, od osobliwego rogu, pierwotnie branego za spiczasty nos. Stworzenie to ma około szesnastu stóp długości, jego róg zaś osiąga przeciętnie pięć stóp, chociaż niektóre są dłuższe od dziesięciu a nawet dochodzą do piętnastu. Ściśle mówiąc, róg ten jest po prostu wydłużonym kłem wystającym ze szczęki w kierunku odchylonym nieco w dół od poziomego. Znajduje się on jednak tylko po lewej stronie, co ma ten zły efekt, iż nadaje jego właścicielowi wygląd trochę podobny do niezdarne go mańkuta. Trudno orzec, jaki właściwie cel ma ten kostny róg czy lanca. Nie wydaje się, żeby Narwal używał go jak szpikulca, którym włada Ryba-Miecz czy Płaszczka, chociaż marynarze mówili mi, że Narwal manipuluje nim jak grabiami przebierając po dnie morza w poszukiwaniu pokarmu. Karol Coffin powiadał, iż używa go on jako łamacza lodu; gdy bowiem Narwal wypływa na powierzchnię Morza Polarne go i znajduje ją pokrytą lodem, zadaje cios rogiem i przebija się na zewnątrz. Nie sposób jednak dowieść słuszności żadnego z owych przypuszczeń. Jeśli idzie o moje własne zdanie, to niezależnie od tego, w jaki sposób Narwal naprawdę używa tego swojego jednostronnego rogu, uważam, że byłby on z pewnością bardzo dlań dogodny jako nóż do przecinania stron przy czytaniu broszur. Słyszałem, że Narwala przezywano Wielorybem z Kłem, Wielorybem Rogatym, Wielorybem Jednorożcem. Jest on z pewnością ciekawym okazem jednorożca, jaki można zresztą odnaleźć niemal w każdej dziedzinie żywej przyrody. Z dzieł pewnych starych kronikarzy dowiedziałem się, że róg tegoż morskiego jednorożca był za dawnych czasów uważany za wspaniałe antidotum przeciwko truciznie i z tej przyczyny

preparowanie go przyniosło olbrzymie zyski. Destylowano go również na lotne sole trzeźwiące dla mdlejących dam, tak samo jak rogi jelenia przerabiane są na proszek amoniakowy. Pierwotnie uważano róg ten za ogromną osobliwość. Stare księgi mówią o powrocie sir Martina Frobishera z owej podróży, kiedy to królowa Elżbieta wdzięcznie mu skinęła swą upierścienioną dłonią z okna pałacu Greenwich, gdy jego dziarski okręt płynął Tamizą. *Kiedy sir Martin z owej wyprawy powrócił* – powiada stary tekst – *na kolana padłszy, Najjaśniejszej Pani olbrzymi a długi róg Narwala ofiarował, któren potem przez wiele czasu w zamku windsorskim zawieszon był.* Jeden z autorów irlandzkich utrzymuje, że również hrabia Leicester na klęczkach ofiarował jej królewskiej mości inny róg, pochodzący od zwierza lądowego z rodzaju jednorożców.

Narwał ma wygląd wielce malowniczy, podobny do leoparda; jest mlecznobiałej barwy, nakrapiany krągłymi i podłużnymi plamami czerni. Olej jego jest wyśmienity i delikatny, mało go jednakże, więc rzadko się na Narwala poluje. Najczęściej można go spotkać na morzach kręgu polarnego.

KSIEGA II (*In Octavo*), Rozdział IV. (*Morderca*) – O tym wielorybie niewiele właściwie wiadomo nantucketańczykowi, a nic zgoła zawodowym przyrodnikom. Z tego, co mogłem zauważyć z odległości, powiedziałbym, że jest on mniej więcej rozmiarów Orki. Bardzo jest dziki – coś w rodzaju ryby fidzijskiej. Czasami pochwyci za wargę ogromnego wieloryba *In Folio* i uwiesi się u niej jak pijawka, dopóki na śmierć nie zadręczy potężnej bestii. Na Mordercę nigdy się nie poluje..Nigdy też nie słyszałem, jakiego rodzaju jest jego olej. Można mieć zastrzeżenia co do miana nadanego temu wielorybowi, z tej przyczyny, iż jest ono niejasne. Albowiem mordercami jesteśmy wszyscy, na lądzie czy na morzu, z Bonapartami i rekinami włącznie.

KSIEGA II (*In Octavo*), Rozdział V. (*Żarłacz*) – Ten dżentelmen słynie ze swego ogona, którego *zażywa* jak kańczuga celem obicia wrogów. Dostaje się na grzbiet wieloryba *In Folio* i płynąc toruje sobie drogę dzięki temu, że chłoscze tamtego, tak jak niektórzy nauczyciele szkolni dają sobie radę na tym świecie przy pomocy podobnego procederu. O Żarłaczku jeszcze mniej wiadomo niż o Mordercy. Obaj są wyjęci spod prawa, nawet na nie znających praw morzach.

Na tym się kończy KSIEGA II (*In Octavo*) i rozpoczyna KSIEGA III (*In Duodecimo*).

IN DUODECIMO. Tu należą pomniejsze wieloryby. I. HuraDelfin. II. Delfin-Pirat. III. Delfin Błdogęby.

Tym, którym nie przydarzyło się specjalnie studiować przedmiotu, może się zapewne wydać dziwne, że ryby zazwyczaj nieprzekraczające czterech czy pięciu stóp długości mogą być zaszeregowane do WIELORYBÓW – która to nazwa w popularnym rozumieniu zawsze nasuwa myśl o ogromie. Jednakowoż stworzenia spisane przeze mnie powyżej jako *In Duodecimo* są niechybnie wielorybami w myśl mojej definicji wieloryba – tzn. ryby dmuchającej z poziomym ogonem.

KSIEGA III (*In Duodecimo*), Rozdział I. (*Hura-Delfin*) – Jest to Delfin Pospolity spotykany niemal na całej kuli ziemskiej. Miano to samo mu nadałem, ponieważ istnieje niejeden rodzaj delfinów i trzeba coś zrobić, żeby je rozróżnić. Nazywam go w ten sposób, gdyż ryby te zazwyczaj pływają wesolą czeredą, a na pełnym morzu wyskakują w niebo jak czapki wyrzucane z tłumy w dzień 4 lipca. Ukazanie się tych ryb bywa na

ogół witane z zachwytem przez marynarzy. Wynurzają się one w niezmiennie wyśmienitym humorze ze smaganych wichrem bałwanów od strony nawietrznej. To właśnie są tacy chłopcy, co to idą z prądem. Uważane są za dobry omen. Jeżeli na ich widok potraficie powstrzymać się od wiwatów, tedy Bóg z wami; nie macie w sobie ducha boskiej igraszki. Dobrze odżywiony, pulchny Hura-Delfin dostarczy wam jednego dobrego galonu przedniego oleju, a wyborna i delikatna-ciecz dobywana z jego szczęk ma niezwykłą wartość. Poszukiwana jest przez jubilerów i zegarmistrzów. Marynarze powlekają nią bursy. Mięso delfina jest smakowite, a jakże. Może nigdy nie przyszło wam do głowy, że delfin dmucha. W istocie fontanna jego jest tak mała, że nie od razu można ją rozeznąć. Ale przy następnej okazji przyjrzyjcie mu się dobrze, a ujrzycie samego wielkiego kaszalota w miniaturze.

KSIEGA III (*In Duodecimo*), Rozdział II. (*Delfin-Pirat*) – Istotnie pirat. Bardzo dziki. Spotyka się go chyba tylko na Pacyfiku. Jest nieco większy od Hura-Delfina, choć na ogół bardzo do niego podobny z budowy. Tylko go sprowokować, a dobierze się nawet do rekina. Po wielokroć ruszałem za nim w pogoń, alem nigdy jeszcze nie widział, żeby go pojmano.

KSIEGA III (*In Duodecimo*), Rozdział III. (*Delfin Bladogeby*) – Największa odmiana delfina; o ile wiadomo spotykany tylko na Pacyfiku. Jedyna nazwa angielska, jaką go dotychczas oznaczono: Delfin-Wieloryb, jest nazwą rybacką nadaną mu z uwagi na okoliczność, że spotyka się go głównie w sąsiedztwie wieloryba właściwego *In Folio*. Kształtem różni się do pewnego stopnia od Hura-Delfina, gdyż jest mniej zażywny i pękaty w talii; odznacza się w gruncie rzeczy całkiem zgrabną i nobliwą figurą. Nie posiada płetw na grzbiecie (jak większość innych delfinów), ma ładny ogon i sentymentalne, indyjskie oczy piwnego koloru. Szpeci go jednak jego blada gęba. Choć cały grzbiet aż po boczne płetwy ma barwy głębokiej czerni, jednakże linia graniczna, równie wyraźna jak ta, która biegnie wzdłuż kadłuba okrętu i zowie się „linią wodną”, znaczy go od dzioba do rufy oddzielając dwa jego kolory: czarny u góry i biały u dołu. Kolor biały obejmuje również część jego łba i cały pysk, co sprawia wrażenie, jakby ten delfin tylko co zemknął po jakiejś zbójeckiej wizycie w worku mąki. Wielce to szpetny widok! Olej tego zwierzęcia bardzo przypomina olej Delfina Pospolitego.

Systemat ten nie wykracza poza DUODECIMO, jako że delfin jest najmniejszym z wielorybów. Macie oto powyżej wszystkie znamienitsze Lewiatany. Istnieje jednak cała czereda nieokreślonych, na wpół bajecznych wielorybów, które, jako amerykański wielorybnik, znam wprawdzie ze słyszenia, ale nie osobiście. Wyliczę je z nazw, jakie im nadano na for kasztelach, bowiem taka lista może się okazać wartościowa dla przyszłych badaczy, którzy mogą kiedyś dokończyć tego, co ja tu ledwie rozpocząłem. I jeśli którykolwiek z następnych wielorybów zostanie kiedyś pochwycony i rozpoznany, może być zaraz wcielony do tego systemu, w zależności od swego rozmiaru *In Folio*, *In Octavo* czy *In Duodecimo*: Wieloryb Butelkonosy, Olbrotowiec, Łeb-jak-Pudding, Przyładowiec, Naczelnik, Wieloryb-Działo, Chudzielec, Wieloryb Miedziany, Wieloryb Słoniowaty, Góra Lodowa, Quog, Modry Wieloryb etc. Z miarodajnych źródeł islandzkich, holenderskich i staroangielskich można by zacytować jeszcze inne listy niepewnych wielorybów, które uszczęśliwiono wszelkiego rodzaju niezwykłymi

mianami. Pomijam jednak te nazwy, jako całkiem przestarzałe, i nie mogę się oprzeć podejrzeniu, iż są to jedynie puste dźwięki, bardzo lewiatańskie, nic jednak nie oznaczające.

I wreszcie: stwierdzono na początku, że ten systemat nie będzie od razu doskonały. Zapewne jasno postrzegacie, że słowa mego dotrzymałem. I oto pozostawiam swój systemat cetologiczny nie ukończony, podobnie jak wielką katedrę kolońską pozostawiono z dźwigiem ciągle jeszcze widniejącym na szczycie nie ukończonej wieży. Albowiem drobne budowle mogą wykończyć ich pierwotni architekci, lecz te wspaniałe, rzetelne – trud pokrycia ich sklepienia zawsze pozostawiają potomności. Niechaj Bóg mnie strzeże przed ukończeniem czegokolwiek! Cała ta książka to ledwie szkic – nie: szkic szkicu! O, Czasie, Siło, Gotówko i Cierpliwości!

## ROZDZIAŁ XXXIII

### SPECKSYNDER

Wydaje się, że wspominając o oficerach statku wielorybniczego można w tym miejscu, równie dobrze jak gdzie indziej, opisać pewną małą, lokalną osobliwość takiego okrętu, która wynika z istnienia harpunnicznej kategorii oficerów, nie znanej, rzecz jasna, w jakiegokolwiek innej flocie prócz wielorybniczej.

O tym, jak wielką wagę przywiązuje się do zawodu harpunnika, świadczy fakt, że pierwotnie, w dawnym rybołówstwie holenderskim, dwa i więcej wieków temu, dowodzenie żaglowcem wielorybniczym nie było w całości poruczone osobnikowi zwanemu obecnie kapitanem, ale podzielone między niego i oficera zwanego *Specksynderera*. Wyraz ten oznacza dosłownie Skrawacza Tłuszczu; lecz z biegiem czasu utarło się w drodze zwyczaju, że słowo to jest równoznaczne z Głównym Harpunnikiem. W owych czasach władza kapitana ograniczała się do nawigacji i ogólnego zarządzania statkiem, podczas gdy nad sprawami łowów oraz wszystkim, co z nimi związane, królował niepodzielnie Specksynder, czyli Główny Harpunnik. Ten dawny funkcjonariusz holenderski utrzymany został nadal w brytyjskim wielorybnictwie grenlandzkim pod zniekształconą nazwą *Speksioneera*, jednakże jego dawniejsze dostojeństwo zostało smutnie okrojone. Obecnie uważa się go po prostu za starszego harpunnika i, jako taki, jest on zaledwie jednym z niższych podwładnych kapitana. Niemniej jednak, zważywszy, że od tego, czy harpunnik dobrze się sprawia, zależy w dużej mierze powodzenie wyprawy wielorybniczej, i ponieważ w wielorybnictwie amerykańskim sprawuje on nie tylko doniosłe funkcje na łodzi, ale też w pewnych okolicznościach (nocne wachty na terenach łowieckich) należy doń również dowodzenie na pokładzie okrętu – dlatego podstawowe morskie zasady polityczne wymagają, żeby w zasadzie mieszkał osobno, nie z prostymi marynarzami, i był w jakiś sposób wyróżniany jako przełożony w ich zawodzie, mimo że zwykle traktują go oni poufale, jako towarzysko sobie równego.

Na morzu główną różnicę między oficerem a prostym marynarzem stanowi fakt, że pierwszy mieszka na tyle, drugi zaś na przodzie okrętu. Dlatego też, tak na statkach wielorybniczych, jak i na handlowych, oficerowie mają kwatery razem z kapitanem; również więc i na większości amerykańskich statków wielorybniczych harpunnicy umieszczani bywają w rufowej części żaglowca. Znaczy to, że jadają w kajucie kapitana oraz śpią w miejscu mającym pośrednio do niej dostęp.

Chociaż długi okres trwania wyprawy wielorybniczej na Morza Południowe (bezwzględnie najdłuższej ze wszystkich podróży teraz czy kiedykolwiek przedsięwziętych przez człowieka) oraz szczególne jej niebezpieczeństwo, jak również wspólnota interesów panująca wśród załogi, której wszyscy członkowie – wyżsi czy niżsi – otrzymują zyski w zależności nie od ustalonych płac, ale od wspólnego powodzenia oraz wspólnej czujności, odwagi i ciężkiej pracy – chociaż więc wszystkie te czynniki mogą w pewnych wypadkach powodować, że dyscyplina jest tam mniej surowa niż na ogół na statkach handlowych, jednak, niezależnie od tego, jak bardzo

wielorybicy sposobem współżycia mogą w niektórych prymitywnych okolicznościach przypominać starożytną rodzinę mezopotamską, przecie, na mostku kapitańskim przynajmniej, skrupulatnie przestrzegane formy rzadko doznają folgi, a już w żadnym wypadku nie bywają pomijane. Toteż na wielu nantucketańskich okrętach ujrzenie szypra paradującego po pomoście z tak wspaniałą wyniosłością, że równej nie znaleźć w żadnej marynarce wojennej; zaiste wymaga on także licznych zewnętrznych oznak hołdu, jak gdyby był obleczonej w cesarską purpurę, a nie wytarte sukno marynarskie.

A choć ze wszystkich ludzi na świecie posepny kapitan „Pe-quoda” najmniej był skłonny do podobnie płytkiego zarozumiałstwa, chociaż jedynym hołdem, jakiego kiedykolwiek wymagał, było bezwzględne, natychmiastowe posłuszeństwo, choć nie żądał od żadnego z marynarzy zdejmowania butów przed wstąpieniem na mostek kapitański i choć zdarzyło się, że z uwagi na szczególne okoliczności związane z wypadkami, które tu jeszcze zostaną opowiedziane, zwracał się do załogi niezwykle słowy – czy to z łaskawością, czy *in terrorem*, czy jeszcze inaczej – przecie nawet kapitan Ahab bynajmniej nie lekceważył zasadniczych form i obyczajów morskich.

Zapewne nie ujdzie to zresztą niczyjej uwagi, że owych form i obyczajów używał czasem jako maski, wykorzystując je przy sposobności dla innych, bardziej osobistych celów niż te, którym miały zasadniczo służyć. Dzięki tym formom pewna sułtańskość . jego usposobienia, która skądinąd pozostałaby w dużej mierze nie ujawniona, przeradzała się w nieodpartą dyktaturę. Albowiem jakakolwiek by była intelektualna wyższość człowieka, nigdy przecie nie może ona osiągnąć owej praktycznej, widomej przewagi nad innymi ludźmi bez pomocy jakowychś zewnętrznych sztuczek oraz obwarowań, zawsze mniej lub więcej niskich i małych. samych w sobie. To właśnie trzyma zawsze prawdziwych książąt z bożej łaski z dala od trybun tego świata, pozostawiając najwyższe zaszczyty, jakie pozory takie dać mogą, tym ludziom, którzy stają się sławni bardziej dzięki swej nieskończonej niższości od ukrytej garstki wybrańców Boskiego Bezwładu niż przez swą niewątpliwą wyższość nad niskim poziomem mas. Tak wielka siła kryje się w owych drobnych rzeczach, o ile otoczy je najwyższy polityczny zabobon, że w przypadku niektórych monarchów obdarzyły one potęgą nawet idiotów i durniów. Kiedy wszelako, jak na przykład w wypadku cara Mikołaja, obręcz korony geograficznego imperium okala mózg tyrana, natenczas plebejska rzesza gnę się w poniżeniu przed tak przemożną centralizacją potęgi. Nigdy też tragiczny dramaturg, który chciałby odmalować śmiertelną nieugiętość w całym rozmachu i niepowstrzymanym rozpędzie, nie zapomni w swoim dziele zamieścić o tym wzmianki tak przecie istotnej dla jego sztuki.

Ale Ahab, mój kapitan, nadal mi stoi przed oczami w całej swej nantucketańskiej zawziętości i surowości, a w tym epizodzie, dotyczącym cesarzy i monarchów, nie mogę ukrywać, że mam do czynienia tylko z takim jak on biednym, starym łowcą wielorybów; dlatego też wszelkie zewnętrzne, majestatyczne akcesoria i ozdoby są mi odmówione. O, Ahabie! Po to, co w tobie jest wielkie i wspaniałe, trzeba z konieczności sięgnąć do niebios i opuścić się w głębinę, a odmalować to w bezcielesnym przestworze!

## ROZDZIAŁ XXXIV

### STÓŁ W KAJUCIE

Jest południe i Klucha, steward, wytknąwszy z zejścia kajutowego bladą twarz do bochna chleba podobną, oznajmia swemu panu i władcy, że obiad podano. Ahab siedzi właśnie w łodzi zawieszanej u boku żaglowca od zawietrznej; dopiero co zakończył obserwacje słoneczne i obecnie, jak co dzień, milcząco oblicza szerokość geograficzną na przeznaczonej do tego celu gładkiej tabliczce w kształcie medalionu, umieszczonej na górnej części jego kościanej nogi. Z kompletnego zlekceważenia otrzymanej wiadomości można by wnosić, iż posepny Ahab nie dosłyszał swego służebnego. Lecz oto chwytając się za bezanwanty, jednym rzutem ciała opuszcza na pokład i oznajmiwszy równym, obojętnym głosem: – Obiad, panie Starbuck! – znika w kajucie.

Kiedy ucichł ostatni odgłos kroków Sułtana i Starbuck, pierwszy Emir, ma wszelkie powody przypuszczać, że zasiadł on już za stołem, wówczas ocknąwszy się z martwoty, przechadza się chwilę po pokładzie, zagląda z powagą do naktuza, mówi z niejakim zadowoleniem: – Obiad, panie Stubb! – po czym schodzi na dół. Drugi Emir marudzi chwilę przy olinowaniu, a następnie potrząsnąwszy lekko głównym brasem, by się przekonać, czy ta ważna lina jest w porządku, przejmuje z kolei to samo zadanie i krótko rzuciwszy: – Obiad, panie Fiask! – podąża śladem swych poprzedników.

Ale trzeci Emir widząc, że jest teraz całkiem samotny na mostku kapitańskim, najwidoczniej doznaje jakiegoś osobliwego odprężenia, gdyż posławszy na wsze strony przebiegłe spojrzenia i zrzuciwszy buty, puszcza się w jakiś rączy, choć milczący taniec tuż nad głową samego Padyszacha; następnie zaś zręcznym ruchem ciska swą czapkę na bezanmaszt miast półki i schodzi na dół chichocząc – przynajmniej dopóty, dopóki go można widzieć z pokładu; odwraca w ten sposób porządek wszelkich innych procesji, jako że zamyka pochód orkiestra. Jednak zanim na dole przestąpi próg kajuty, przystaje, przybiera zgoła odmienny wyraz twarzy i oto niezależny, wesoły, mały Fiask staje przed obliczem Króla Ahaba w charakterze Abiectusa, czyli niewolnika.

Nie najmniejszą z osobliwości zrodzonych przez niezwykłą sztuczność morskich obyczajów jest fakt, że podczas gdy na otwartym powietrzu pokładu niektórzy oficerowie w odpowiedzi na zaczepkę potrafią się zachować dość śmiało i wyzywająco wobec swego dowódcy, przecie można się założyć, że niech tylko ci sami oficerowie zejdą w następnej chwili na-codzienny obiad do kajuty tegoż dowódcy, zaraz poczną się odnosić w sposób nienaganny, żeby nie powiedzieć: przepraszający i pokorny, wobec przełożonego zasiadającego na głównym miejscu u stołu. Jest to wręcz dziwaczne, a czasami niebywale zabawne. Skąd pochodzi ta różnica? Trudne pytanie? Może i nie. Być Baltazarem, królem Babilonu, ale być nim nie wyniośle, a uprzejmie – w tym musi tkwić coś ze światowej wielkości. Jeśli zaś ktoś w prawdziwie królewskim, a mądrym duchu przewodniczy przy swym własnym stole biesiadnym, wokół którego zebrali się zaproszeni goście, wówczas niepodzielna moc i władza jego osobistego wpływu, jego królewskość przewyższa Baltazara, który nie należał przecie do największych. Kto choć raz jeden podejmował swoich przyjaciół, ten pokosztował, co to znaczy być Cezarem.

Jest w tym jakowaś magia iście carskiej władzy nad otoczeniem, której oprzeć się niepodobna. Otóż jeżeli do tych względów dodać jeszcze oficjalne zwierzchnictwo dowódcy okrętu – można stąd wywnioskować, co jest przyczyną owej osobliwości życia morskiego, o której była właśnie mowa.

Za swym stołem, wykładanym kością, Ahab przydykował jak niemy, grzywiasty lew morski na białej ławicy koralowej w otoczeniu wojowniczych, a jednak pełnych uszanowania lwiąt. Każdy z oficerów czekał, by go obsłużono według należytej kolejności. Wobec Ahaba zachowywali się jak małe dzieci, choć niepodobna było dostrzec najmniejszej arogancji w jego obejściu. Ich uważne oczy, jakby jedną kierowane myślą, utkwione były w nożu starego, gdy krajał stojące przed nim główne danie. Nie przypuszczam, żeby za jakąkolwiek cenę potrafili zbecześcić tę chwilę najmniejszą choćby uwagą, nawet na temat tak neutralny, jak pogoda. Me! Kiedy bowiem Ahab wyciągnął przed siebie nóż i widelec, między którymi tkwił płat wołowiny, dawał w ten sposób znak Starbuckowi, by podsunął talerz, oficer przyjmował mięso, jak gdyby otrzymywał jałmużnę, krajał je łagodnie, niecąc się płosząc, jeśli przypadkiem nóż zazgrzytał o talerz; przeżuwał je następnie bezdźwięcznie i połykał nie bez ostrożności. Albowiem na podobieństwo bankietu koronacyjnego we Frankfurcie, kiedy to cesarz niemiecki dostojnie biesiaduje z siedmioma elektorami Cesarstwa, owe posiłki w kajucie były jakoś ogromnie uroczyste, spożywane pośród straszliwej ciszy, chociaż Ahab nie wzbraniał przy stole rozmowy, sam tylko pozostawał niemy. Jakąż ulgą było dla dławiącego się Stubba, jeśli szczur wszczął nagły rwetes w komorze na dole! A biedny mały Fiask był najmłodszym synem, małym chłopaczkiem na tym nużącym rodzinnym przyjęciu. Jemu się dostawały kości solonego wołu, on by otrzymał nóżki kurczęcia. Bowiem dla Fiaska myśl, że mógłby sobie pozwolić na wybranie kaska, była równoznaczna z kradzieżą pierwszego stopnia. Bez wątpienia nie mógłby już stanąć z podniesionym czołem wśród przyzwoitych ludzi, gdyby sobie sam coś nabral na talerz, a przecie, rzecz dziwna, Ahab nigdy mu tego nie wzbraniał. I jeśli by Fiask tak postąpił, Ahab najprawdopodobniej nawet by nie zwrócił na to uwagi. A już nabrania sobie masła Fiask nie ryzykowałby w ogóle. Może sądził, że właściciele okrętu odmawiają mu go, z uwagi na to, że masło zaszkodzi jego czystej, słońcem nagrzaną cerze; może uważał, że w czasie podobnie długiej podróży, na tak bezrynkowych wodach masło jest na wagę złota i dlatego nie może być przeznaczone dla niego, podwładnego – jakkolwiek tam było, Fiask był, niestety, człowiekiem skazanym na życie bez masła!

Jeszcze jedno. Fiask był ostatnim, który schodził na obiad, ale pierwszym, który odeń wstawał. Zastanówcie się tylko! W ten sposób bowiem obiad Fiaska paskudnie się kurczył w czasie. Starbuck i Stubb byli pierwsi przed nim, a przecie korzystali również z przywileju marudzenia. Nawet jeżeli Stubb, który jest ledwie odrobinę wyższy rangą od Fiaska, ma przypadkiem słaby apetyt i rychło poczyna zdradzać zamiar ukończenia posiłku, Fiask musi już wstawać; tego dnia nie zje więcej niż trzy kaski – byłoby to bowiem wbrew uświęconym zwyczajom, żeby Stubb wyszedł na pokład przed Fiaskiem. Z tych to właśnie przyczyn Fiask przyznał się kiedyś w sekrecie, że od chwili, gdy podniesiony został do godności oficera, nie zaznał innego uczucia prócz mniejszego czy większego głodu. To bowiem, co jadał, nie tyle zaspokajało w nim głód, ile

utrzymywało głód ten w stanie nieśmiertelności. „Spokój i zadowolenie – myślał sobie Fiask – na zawsze odbieżyły od mego żołądka. Jestem oficerem; ale jakżebym pragnął po staremu zafasować na forkasztelu kawał wołowiny, jak to czyniłem, gdym był prostym majtkiem.” Oto owoce awansu, oto próżność chwały, oto obłąd życia! Poza tym, gdyby któryś z prostych marynarzy „Pequoda” miał jakowąś urazę do Fiaska jako swego przełożonego, to żeby w pełni nasycić się zemstą, wystarczyłoby mu w zupełności podejść na rufę w czasie obiadu i przez iluminator kajuty rzucić okiem na ogłupiałego i oniemiałego Fiaska, gdy siedział tak przed straszliwym Ahabem.

Otóż Ahab i jego trzech oficerowie tworzyli to, co by można nazwać pierwszym stołem w kajucie „Pequoda”. Po ich odejściu, które odbywało się w porządku odwrotnym do przybycia, błady steward oczyszczał serwetę z płótna żaglowego albo raczej pośpiesznie przywracał na niej jaki taki porządek. Wtedy zaś proszono na biesiadę trzech harpunników, którzy byli niejako spadkobiercami jej resztek. Z wyniosłej i potężnej kajuty czynili oni coś w rodzaju tymczasowego pokoju służbowego.

Osobliwy kontrast z ledwie dającym się znieść skrępowaniem i niewypowiedzianą, nieuchwytną tyranią, panującą przy stole kapitańskim, tworzyła owa beztroska swawola i swoboda, ta niemal opętana demokracja niższych stopniem harpunników. O ile ich przełożeni, oficerowie, zdawali się odczuwać obawę nawet przed skrzyknięciem zawiasów własnych szczęk, o tyle harpunnicy przeżuwali pokarm z takim gustem, że aż się rozlegało. Biesiadowali jak lordowie; napełniali sobie żołądki jak indyjskie statki ładujące korzenie przez dzień cały. Queequeg i Tasztego mieli apetyty tak niebywałe, że bladolicy steward, aby nadrobić spustoszenia poczynione przez poprzednich biesiadników, chętnie przynosił ogromny udziec solonego mięsa, pochodzący, jak się zdaje, z jakiegoś tęgiego wołu. Jeśli zaś steward nie wykonał tego dość żwawo, jeśli nie poruszał się w zwinnych podskokach, wtedy Tasztego miał niedźmielny zwyczaj przyspieszania owych czynności przez rzut widelcem niby harpunem w jego plecy. A raz Daggoo, który wpadł nagle w dobry humor, odświeżył pamięć stewarda porywając go z ziemi w ramiona i kładąc jego głowę na drewnianej desce do krajania chleba, podczas gdy Tasztego z nożem w ręce począł mu ostrzem zakreślać wokół czaszki krąg poprzedzający skalpowanie. Ten steward z twarzą jak bochenek, latorośl zbankrutowanego piekarza i szpitalnej pielęgniarki, był z natury wielce nerwowym i lęklwym człowiekiem. Tak więc zarówno na skutek stałego widoku mrocznego, starszego Ahaba, jak i stałych, burzliwych odwiedzin owych trzech dzikusów, życie jego przemieniło się w jedno nieprzerwane drżenie warg. Zazwyczaj po zaopatrzeniu harpunników we wszystko, czego żądali, wymykał się z ich szponów do małej przyległej spiżarni i z lękiem wyglądał na nich przez szpary w drzwiach, dopóki nie ukończyli posiłku.

Warto było widzieć, jak Queequeg siedział naprzeciw Tasztega wyszczerzając nań równy, zwarty szereg swych białych zębów; obok zaś Daggoo sadowił się na podłodze, gdyż ławka podniosłaby aż do desek niskiego pułapu jego głowę kosmatą jak pióropusz na katafalku. Za każdym ruchem olbrzymiego ciała Murzyna niska kajuta drżała w posadach, jak wówczas gdy słoń afrykańskie podróżuje okrętem w charakterze pasażera. Mimo to wszystko ogromny Negr był zadziwiająco wstrzemięźliwy, żeby nie

powiedzieć: wybredny. Zdawało się prawie niemożliwe, żeby tak stosunkowo małymi kaskami był w stanie utrzymać ową żywotność przenikającą na wskroś tak rozłożystą, wielkopańską i okazałą personę. Bez wątpienia, ów wspaniały dzikus sycił się niepowściągliwie i opijał obficie szczodrym żywiołem powietrza, wdychając przez rozszerzone nozdrza wzniosłe życie świata. Olbrzymów nie tworzy ani nie żywi chleb czy wołowina. Natomiast Queequeg miał okropny, barbarzyński zwyczaj mlaskania wargami przy jedzeniu – dźwięk dosyć paskudny – i to tak straszliwie, że drżący steward już niemal zerkał, czy na jego własnych, wychudłych ramionach nie pozostały jakieś ślady zębów. Gdy zaś usłyszał, że Tasztego woła nań, by się pokazał i pozbiarał kości, prostoduszny steward w napadzie drgawek omal nie tłukł naczyń rozwieszonych wokoło w spiżarni. Nie przyczyniały się też do uspokojenia biedaka ani brusy do ostrzenia lanc i innej broni, które harpunnicy nosili po kieszeniach, a na których przy obiedzie ostentacyjnie ostrzyli swe noże, ani zgrzytliwy hałas przy tym ostrzeniu wydawany. Jakże mógł zapomnieć, że takiemu Queequegowi za jego wyspiarskich czasów przydarzyły się z pewnością jakieś mordercze wybryki biesiadne. Niestety! Biedny chłopak! Ciężkie ma życie biały kelner obsługujący ludożerców! Nie serwetkę winien nosić na ramieniu, ale puklerz! Jednakże w odpowiednim czasie, ku wielkiej radości stewarda, trzech wojacy słonych wód wstawali od stołu i odchodzili, zaś w uszach łatwowiernego i rozfantazjowanego biedaka chrzęściły za każdym krokiem wszystkie ich wojownicze kości, niczym mauretańskie jatagany w pochwach.

Ale choć owi barbarzyńcy obiadowali w kajucie i zasadniczo tam mieszkali, jednak zważywszy, iż nie byli bynajmniej nieruchawi z natury, rzadko kiedy w niej przebywali z wyjątkiem pory posiłków oraz chwili przed udaniem się na spoczynek, kiedy to przechodzili przez kajutę do swoich własnych kwater.

Pod tym jednym względem Ahab nie zdawał się być wyjątkiem w stosunku do większości kapitanów wielorybnych, którzy, wszyscy razem wzięci, skłaniają się raczej do poglądu, że kajuta na okręcie z prawa do nich należy i że jedynie przez uprzejmość wpuszcza się tam w ogóle kogokolwiek innego. Tak więc po prawdzie właściwiej byłoby powiedzieć, że oficerowie i harpunnicy „Pequoda” mieszkali raczej poza kajutą niż w niej. Albowiem jeśli tam wchodzili, było to po trosze tak, jak kiedy drzwi od ulicy wchodzą do domu; na chwilę wnikają do wnętrza po to tylko, żeby się zań natychmiast wycofać, stale zaś przebywają na dworze. Niewiele też na tym tracili: w kajucie nie było koleżeństwa – towarzysko Ahab był niedostępny. Choć formalnie należał do świata chrześcijańskiego, był mu jednak całkowicie obcy. Żył na świecie tak, jak ostatni z szarych niedźwiedzi żyje w skolonizowanym Missouri. I podobnie jak ów stary Logan kniej, kiedy wiosna i lato przeminą, zagrzebie się w wydrążonym pniu drzewa i tam przeżywa zimę ssąc własne łapy, tak też i dusza Ahaba, w dobie surowej, burzliwej starości zamknięta w wydrążonym pniu jego ciała, żywiła się posępными łapami swojego przygnębienia!

## ROZDZIAŁ XXXV

### SZCZYT MASZTU

Zapanowała już przyjemniejsza pogoda, gdy po innych marynarzach przypadła i na mnie kolej objęcia posterunku w bocianim gnieździe.

Na większości amerykańskich statków wielorybnych maszty obsadza się jednocześnie z opuszczeniem przez żaglowiec portu, nawet jeśli przed dotarciem do właściwych łowisk ma on do przebycia piętnaście tysięcy mil albo więcej. A kiedy po trzycztero- czy pięcioletniej podróży statek zbliża się do domu całkiem próżny – aż do ostatniej buteleczki – maszty jego obsadzone są do ostatka; nie porzuca on ze szczętem nadziei upolowania jeszcze jednego wieloryba do chwili, gdy jego flagsztoki poczną sunąć między wieżycami portu.

Otóż zważywszy, że czynność czatowania na masztach tak na lądzie, jak i na morzu jest odwieczna i bardzo interesująca, niechże nam będzie wolno omówić ją tu nieco szerzej. Sądzę, że najdawniejszymi obserwatorami na masztach byli starożytni Egipcjanie, gdyż we wszystkich mych poszukiwaniach nie natrafiłem na nikogo od nich wcześniejszego. Choć bowiem ich przodkowie, budowniczywie Wieży Babel, musieli bez wątpienia żywić zamiar wzniesienia najwyższego masztu w całej Azji tudzież Afryfe, jednak ponieważ ten ich olbrzymi kamienny maszt (zanim jeszcze zwieńczono go szczytową gałką) został, można powiedzieć, zwalony za burtę straszliwym sztormem Boskiego gniewu, nie możemy udzielić budowniczym Wieży pierwszeństwa przed Egipcjanami. Natomiast twierdzenie, że Egipcjanie byli narodem czatowników na masztach, opiera się na powszechnie panującym wśród archeologów mniemaniu, że pierwsze piramidy zbudowane zostały dla celów astronomicznych. Teorię taką osobliwie potwierdza szczególne, schodowe ukształtowanie wszystkich czterech boków owych budowli; po tych to schodach tamtejsi astronomowie, ogromnie wysoko zadzierając nogi, zwykli byli wydostawać się na wierzchołek i stamtąd obwoływać nowe gwiazdy, podobnie jak posterunki na masztach nowoczesnego statku wydają okrzyk na widok żagla czy wieloryba, który się właśnie ukazał.

W świętym Szymonie Słupniku, sławnym chrześcijańskim eremiecie z dawnych czasów – który zbudował sobie na pustyni wysoką, kamienną kolumnę i przepędził na jej szczycie całą ostatnią część swego żywota wciągając na górę strawę z ziemi za pomocą liny – mamy wybitny przykład nieustraszonego czatownika, który nie dał się ruszyć ze swego miejsca ani mgłę, ani mrozom, deszczom, gradom czy śniegowi, ale do ostatka walecznie stawiając czoło wszystkim przeciwnościom, dosłownie zginął na posterunku.

Ze współczesnych obserwatorów mamy jedynie rzeszę nieożywioną; zwykłych ludzi z kamienia, żelaza czy brązu, którzy, chociaż potrafią przetrzymać najgorszą nawałnicę, nie posiadają jednak żadnych kwalifikacji, jeśli idzie o oznajmianie krzykiem, że spostrzegli coś niezwykłego. Na przykład taki Napoleon stoi sobie z założonymi rękami na szczycie kolumny Vendôme, na jakieś sto pięćdziesiąt stóp w powietrzu, nie dbając już teraz wcale o to, kto rządzi pokładem na dole: Ludwik Filip czy Ludwik Blanc, czy

sam Ludwik Diabeł. Wielki Waszyngton również stoi wysoko w górze, na swym wyniosłym grotmaszcie w Baltimore, a jego kolumna, na podobieństwo jednego ze słupów Herkulesa, znaczy ów punkt ludzkiej wielkości, poza który wyjdzie niewielu śmiertelnych. Także i admirał Nelson, na kabestanie ze spiżu, widnieje na swym maszcie wśród Trafalgar Square i nawet wówczas, gdy jest najzupełniej przesłonięty londyńskim dymem, ma się przekonanie, iż musi tam być ukryty bohater, jako że nie ma dymu bez ognia. Lecz ani wielki Waszyngton, ani Napoleon, ani Nelson nie odpowiedzą na żadne zawołanie z dołu, choćby ich nie wiedzieć jak gorąco wzywano, aby radami swymi dopomogli oszalałym pokładom, na które z góry spoglądają; nie odpowiedzą, mimo że, jak należy przypuszczać, duchy ich przenikają przez gęstą mgławicę przyszłości i potrafią rozeznaczyć, jakich to mielizn i jakich raf wystrzegać się należy.

Niewłaściwym mogłoby się zdawać łączenie pod jakimkolwiek względem czatowników lądowych z morskimi, ale że tak w istocie nie jest, tego jasno dowodzi pewien fakt, za który przyjmuje odpowiedzialność Obed Macy, jedyny historyk Nantucket. Otóż ten zacny Obed opowiada nam, że w zaraniu wielorybnictwa, zanim jeszcze okręty poczęły regularnie ruszać w pościg za zwierzyną, mieszkańcy owej wyspy ustawiali wzdłuż wybrzeża morskiego wysokie drągi, na które obserwatorzy wydostawali się po przybitych deszczułkach, trochę tak, jak drób wylazi na grzędę w kurniku. Kilka lat temu ten sam system przyjęli nowozelandzcy wielorybnicy z Zatoki, którzy rozpoznawszy zwierzynę dawali znać przygotowanym i obsadzonym przez ludzi łodziom, znajdującym się w pobliżu plaży. Zwyczaj ten jednak wyszedł już teraz z użycia, powróćmy więc do jedyne go właściwego posterunku na maszcie, a mianowicie do tego, który czuwa na morskim żaglowcu wielorybniczym.

Wszystkie trzy maszty są obsadzone od wschodu do zachodu słońca; marynarze mają na nich ustaloną kolejkę (podobnie jak przy sterze) i luzu ją jeden drugiego co dwie godziny. Służba na maszcie jest niezwykle przyjemna w niezmaconą podzwrotnikową pogodę: mało powiedzieć – dla człowieka skłonnego do marzeń i rozmyślań jest wręcz rozkoszna. Stoi się tam, sto stóp ponad cichym pokładem, sunąc po głębiny, jak gdyby maszty były gigantycznymi szczudłami, podczas gdy w dole i między naszymi stopami przepływają najogromniejsze morskie potwory, tak właśnie, jak ongiś okręty płynęły między stopami słynnego kolosa ze starożytnego Rodos. Człowiek tam stoi zagubiony wśród nieskończonych roztoczy morskich, w spokoju nie zakłóconym niczym prócz szumu fal. Odrętwiały okręt sunie leniwie, dmucha senny passat – wszystko pogrąża człowieka w rozmarzeniu. W tym podzwrotnikowym życiu wielorybniczym najczęściej otacza was jakaś wzniosła martwota; nie otrzymujecie żadnych wiadomości, nie czytacie gazet, nie pogrążają was w zbędnym podnieceniu nadzwyczajne wydania dzienników, które przynoszą wstrząsające relacje o różnych banałach, nie słyszycie o żadnych domowych kłopotach, bankructwach dłużników, spadku akcji; nigdy wam nie zakłóca spokoju myśl o tym, co będziecie jedli na obiad – bowiem wszystkie wasze posiłki na trzy lata i więcej są składnie załadowane w beczułki, a jadłospis pozostaje niezmienny.

Suma rozmaitych godzin, jakie się spędza na szczycie masztu jednego z owych

południowych żaglowców wielorybicznych w ciągu długiej, trzy- czy czteroletniej wyprawy, częstokroć by dała w wyniku kilka pełnych miesięcy. Należy też wielce ubolewać nad tym, że miejsce, któremu poświęca się tak znaczną część całości ludzkiego żywota, jest tak rozpaczliwie obrane ze wszystkiego, co by mogło przypominać przytulną mieszkalność lub też było zdolne zrodzić w człowieku uczucie wygodnej zaciszności, takiej, jaka się wiąże z łóżkiem, hamakiem, katafalkiem, budką wartownika, kazalnica, kareta czy jakimkolwiek z tych małych a przytulnych urządzeń, w których ludzie znajdują chwilowe odosobnienie. Najczęściej zwykłym punktem zaczepienia jest szczyt bramstengi, gdzie się stoi na dwóch cienkich, równoległych drążkach (niemal wyłącznie właściwych żaglowcom wielorybicznym) zwanych salingiem bramstengi. Początkujący, kolebany przez morze, czuje się tu mniej więcej równie przytulnie, jak gdyby stał na rogach byka. W zimna można oczywiście zabrać ze sobą na górę własny dom pod postacią płaszcz wachtowego, ale, właściwie mówiąc, najgrubszy płaszcz wachtowy nie jest bardziej domem niżli nagie ciało; albowiem jak dusza przyklejona jest do wnętrza swego cielesnego tabernakulum i nie może się w nim swobodnie poruszać ani go opuścić nie narażając się na zgubę (wzorem nieświadomego wędrowca przemierzającego w zimie Alpy), tak i płaszcz wachtowy jest nie tyle domem, co zwykłą osłoną, dodatkową skórą, która was okrywa. Nie można umieścić we własnym ciele półki ani komody; nie sposób też przemienić płaszcz wachtowy w wygodną izdebkę.

W związku z tym wszystkim należy wielce ubolewać, że maszty żaglowca, wielorybicznego z Mórza Południowych nie są zaopatrzone w te godne pozazdroszczenia małe namiociki czy ambony, zwane „bocianimi gniazdami”, które na okrętach polujących w pobliżu Grenlandii chronią obserwatorów od niełaskawej pogody mroźnych mórz. W miłej do czytania przy kominku relacji kapitana Sleeta, zatytułowanej *Wyprawa między góry lodowe – w poszukiwaniu wala grenlandzkiego, jako też dla ponownego odkrycia utraconych islandzkich kolonii w starej Grenlandii* – w tym wspaniałym tomie wszyscy, którzy stali na masztach, znajdą uroczo szczegółowe sprawozdanie o świeżo wówczas wynalezionym „bocianim gnieździe” na „Lodowcu”, które to miano nosił zacny okręt kapitana Sleeta. Kapitan nazwał je „bocianim gniazdem Sleeta” ku czci samego siebie, jako że był pierwszym jego wynalazcą i tym, który je opatentował. Wolny od wszelkiej fałszywej skromności, uważał, że jeśli nadajemy własne nazwisko swoim własnym dzieciom (ponieważ my, ojcowie, jesteśmy ich właściwymi wynalazcami i patentującymi), to również Winniśmy oznaczać naszym imieniem każdy inny aparat, jaki możemy spłodzić.

Z kształtu bocianie gniazdo Sleeta przypomina nieco dużą barylkę czy fajkę; jest jednak otwarte od góry i zaopatrzone w ruchomą osłonę boczną, która chroni głowę od wiatru podczas ostrej dmy. Ponieważ gniazdo to jest umieszczone na szczycie masztu, można się więc na nie wydostać przez małą klapę w dnie. Od strony rufy znajduje się tam wygodne siedzenie mające pod spodem szafeczkę na parasole, szaliki i płaszcze. Z przodu jest skórzana siatka, w której można umieścić tubę do mówienia, fajkę, lunetę oraz inne marynarskie przybory. Kapitan Sleeta opowiada, że kiedy sam we własnej osobie stawał na posterunku w tymże swoim bocianim gnieździe, zawsze miał pod ręką

strzelbę (również umieszczoną w siatce) wraz z różkiem prochu i nabojami w celu pukania do zabłąkanych narwali lub wędrownych morskich jednorożców, od których roją się tameczne wody; do ryb tych nie można bowiem skutecznie strzelać z pokładu, a to z uwagi na opór, jaki stawia woda – natomiast strzelanie do nich prosto z góry to rzecz zgoła inna. Dla kapitana Sleeta szczegółowy opis najdrobniejszych udogodnień jego bocianiego gniazda był, rzecz jasna, najmilszym zajęciem. Choć jednak tak się nad wieloma z tych rzeczy rozwodzi, chociaż częstuje nas wielce naukowym sprawozdaniem o swoich eksperymentach w tymże gnieździe, jak na przykład opisem małego kompasu, przechowywanego tam w celu przeciwdziałania błędom wynikającym z tego, co się zowie „przyciąganiem miejscowym” magnesów wszystkich busoli – które to błędy należy przypisać sąsiedztwu w płaszczyźnie poziomej żelaza w deskach okrętu (a w przypadku „Lodowca” może także faktowi, że między jego załogą znajdowało się tylu zbankrutowanych kowali) – choć więc, jak mówię, kapitan jest bardzo dyskretny i naukowo usposobiony w tej materii, jednakże, mimo wszystkich swoich uczonych „dewiacji busoli”, „obserwacji azymutu na kompasie” tudzież „przybliżonych odchyień”, wie on bardzo dobrze, że nie był na tyle pogrążony w głębokich, magnetycznych medytacjach, żeby od czasu do czasu nie odczuć przyciągania, jakie nań wywierała owa dobrze wypełniona buteleczka, tak miło wtulona tuż pod ręką w kącik jego bocianiego gniazda. Aczkolwiek na ogół wielce podziwiam, a nawet wielbię dzielnego, zacnego i uczonego kapitana, wszelako mam mu bardzo za złe, że tak ze szczeniem zlekceważył tę buteleczkę zważywszy, jak wierną musiała mu być przyjaciółką i pokrzepicielką wówczas, gdy w rękawicach na dłoniach i kapturze na głowie studiował matematykę wysoko, w tym ptasim gnieździe, o kilka stajń od bieguna.

Choć jednak my, łowcy południowi, nie bywamy na górze tak przytulnie zakwaterowani jak kapitan Sleet i jego grenlandzcy marynarze, przecie tę ujemną stronę w znacznej mierze równoważy krańcowo odmienna pogoda panująca na owych urzekających morzach, po których na ogół pływamy. Ja, na przykład, zazwyczaj bez pośpiechu wdrapywałem się na olinowanie, odpoczywając na złączu steng, aby sobie uciąć pogawędkę z Queequegiem czy kimkolwiek innym, kto się tam znalazł po służbie; następnie wchodziłem jeszcze nieco wyżej i niedbale przerzuciwszy nogę przez bramrę posyłałem wstępne spojrzenie na wodne rozłogi i dopiero wtedy wspinałem się do mego ostatecznego miejsca przeznaczenia.

Niech mi będzie wolno wyjawić tu otwarcie i szczerze się przyznać, że kiepsko pełniłem straż. W chwili gdy problem wszechświata kołatał się we mnie, gdy pozostałem sam na sam z sobą na tak zapładniającej myśli wysokości – czyliż mogłem sumiennie wykonywać swój obowiązek przestrzegania ustalonego na wszystkich wielorybnych żaglowcach nakazu: „Mieć oko na nawietrzną i krzyczeć za każdym razem” ?

Pozwólcie, bym was gorąco przestrzegł na tym miejscu, właściciele okrętów z Nantucket! Strzeżcie się przyjmowania do swego rzemiosła, wymagającego takiej czujności, jakiegokolwiek młodzieńca o ściągłej twarzy i zapadniętych oczach, skłonnego do niewczesnych rozmyślań, młodzieńca, który się zgłasza na okręt z

*Fedonem* miast Bowditcha w rękę. Strzeżcie się takiego, powtarzam; wasze wieloryby trzeba wypatrzyć, zanim się je ubije, a ten młody zapadłooki płatończyk zakreśli dziesięciokrotny szlak wokoło świata, a nie wzbogaci was o jedną kwartę olbrotu. Przestrogi te nie są bynajmniej niepotrzebne. W dzisiejszych czasach wielorybnictwo dostarcza przytułku wielu romantycznym, melancholijnym młodym ludziom, co zniechęceni do nękających trosk tej ziemi szukają wzruszeń w smole i tłuszczu wielorybim. Childe Harold nieraz wdrapuje się na maszt jakiegoś nieszczęsnego, zawiedzionego okrętu wielorybniczego i wybucha posępnymi słowy:

*Tocz się, tocz granatowy, wielki oceanie!  
Tysiące łowców tłuszczu próżno tutaj krążą!*

Bardzo często kapitanowie owych statków winią takich roztargnionych, młodych filozofów i czynią im wyrzuty, że nie czują dostatecznego „zainteresowania” dla wyprawy, robiąc ukryte aluzje, iż są oni tak beznadziejnie pozbawieni wszelkiej uczciwej ambicji, że w głębi duszy woleliby raczej nie oglądać wielorybów, niż się z nimi spotkać. Wszystko jednak na próżno; owi młodzi płatończycy mają świadomość, iż wzrok ich jest niedoskonały; są krótkowidzami – jakież więc pożytek z nadwerężania sobie nerwu wzrokowego? Lornetkę teatralną zostawili w domu.

„No cóż, ty małpoludzie? – powiedział pewien harpunnik do jednego z tych młodzieńców. – Już prawie trzy lata krążymy po morzu, a tyś jeszcze nie wypatrzył ani jednego wieloryba. Jak tylko wleziesz na górę, zaraz się okazuje, że wielorybów jest skąpo niczym zębów u kury.”

Może tak i jest – a może były ich całe stada na dalekim horyzoncie; wszelako stopiony rytm fal i myśli ukołysał tego roztargnionego młodzieńca wtrącając go w tak opiumową apatię, pełną czczych, nieświadomych marzeń, że na koniec zatracą on swoją osobowość, bierze mistyczny ocean rozciągnięty u swoich stóp za widomy obraz głębokiej, błękitnej, bezdennej duszy, przenikającej ludzkość i przyrodę, a każda dziwna, półwidzialna, nieuchwytna, piękna rzecz, która mu się wymyka, każda ledwie dostrzegalna, wznosząca się płetwa jakiegoś nierozpoznawalnego kształtu zdaje mu się być wcieleniem tych niepochwytanych myśli, co zaludniają duszę tylko dzięki temu, że stale przez nią przelatują. W tym zaczarowanym nastroju duch odpływa tam, skąd przybył; rozprasza się w czasie i przestrzeni tworząc nareszcie, na podobieństwo rozsianych, panteistycznych popiołów Cranmera, cząstkę każdego z wybrzeży, jak świat długi i szeroki.

Nie ma teraz w tobie innego życia, prócz tego rozkołysanego, którego ci udzieliło łagodne kolebanie okrętu, życia zapożyczonego przez ten okręt od' morza, a przez morze od niezbadanych przyprawów i odpływów Boga. Ale gdy tak zawisł nad tobą ów sen, owo marzenie, porusz tylko na cal dłońią czy stopą; wypuść uchwyt, którego się trzymasz, a już twoja osobowość powraca w przerażeniu. Nad kartejuszowskimi wirami się unosisz.. I może któregoś południa, w najcudowniejszą pogodę, wydawszy jeden na wpół zdławiony krzyk, przelecieś poprzez to przezrocze powietrze w wiosenne morze, by nigdy już więcej nie wypłynąć. Baczcie na to dobrze, panteiści!



## ROZDZIAŁ XXXVI

### MOSTEK KAPITAŃSKI

*(Wchodzi Ahab; potem wszyscy)*

W niedługi czas po wydarzeniu z fajką, pewnego poranka zaraz po śniadaniu, Ahab, jak to miał we zwyczaju, wyszedł na pokład po schodkach z kajuty. Większość kapitanów zwykle przechadza się tam o tej godzinie, podobnie jak ziemianie po tymże posiłku wychodzą na mały spacer do ogrodu.

Wkrótce dało się słyszeć miarowe stąpanie kościanej nogi Ahaba, gdy przemierzał tam i na powrót swój zwykły szlak po deskach, które tak się już wzwyczały do kroków kapitana, że wszędzie były poszczerbione, niby geologiczne skamienieliny, osobliwym piętnem jego chodu. Gdybyście zaś uważnie popatrzyli na poorane bruzdami i karbami jego czoło, to i tam dostrzeżlibyście jeszcze dziwniejsze ślady stóp – tropy jego jedynej, bezsennej, wiecznie kroczącej myśli. Ale tym razem owe bruzdy zdawały się głębsze, podobnie jak jego krok nerwowy pozostawił tego ranka wyraźniejsze ślady. Ahab tak bardzo był przepełniony jakąś swoją myślą, że za każdym jednostajnym nawrotem, jaki czynił to z grotmasztu, to u naktuza, można było niemal dostrzec, jak owa myśl zawraca w nim wraz z nim samym, jak kroczy, gdy on stąpa, opanowawszy go tak zupełnie, iż zdawała się niemal być wewnętrznym kształtem każdego zewnętrznego poruszenia.

– Widzisz go, Fiask? – szepnął Stubb. – Kurczę, które w nim siedzi, już dziobie w skorupę. Zaraz też i wyskoczy.

Mijały godziny; Ahab to zamykał się w kajucie, to znowu przemierzał pokład z tą samą napiętą żarliwością w twarzy.

Zbliżył się wieczór. Nagle Ahab zatrzymał się opodal burty, wetknął kościaną nogę w wywiercony tam otwór, chwycił się jedną ręką za wantę i rozkazał Starbuckowi, by wszystkich zgromadził na rufie.

Słucham, kapitanie? – wyrzekł oficer zdumiony rozkazem, rzadko albo nigdy nie wydawanym na pokładzie, z wyjątkiem jakiegoś nadzwyczajnego wypadku.

– Zebrać wszystkich na rufie – powtórzył Ahab. – Wy, tam, na masztach! Schodzić na dół!

Kiedy już zgromadziła się cała załoga spoglądając nań z zaciekawieniem, choć nie bez obawy malującej się na obliczach – kapitan bowiem wyglądał po trosze jak horyzont od nawietrznej, kiedy nadciąga burza – Ahab, rzuciwszy przez burtę szybkie spojrzenie, wbił wzrok w marynarzy i nagle ruszył z miejsca: podjął na nowo swą ociężałą przechadzkę po pokładzie, jak gdyby nie było koło niego żywej duszy. Kroczył dalej z opuszczoną głową i nasuniętym na oczy kapeluszem, niepomny na zdziwione szepty ludzi, aż wreszcie Stubb ostrożnie mruknął do Fiaska, że Ahab musiał ich wezwać tutaj, aby byli świadkami marszowych wyczynów. Nie trwało to jednak długo. Kapitan przystanął nagle i zawołał:

– Co robicie, jak zobaczycie wieloryba, chłopcy?

– Dajemy znać krzykiem! – zabrzmiała spontaniczna, chóralna odpowiedź

dziesiątków głosów.

– Dobrze! – huknął Ahab z dziką aprobatą w głosie, obserwując szczere podniecenie, w jakie z magnetyczną siłą pogrążyło ludzi jego nieoczekiwane pytanie.

– A co dalej?

– Spuszczamy łodzie i za nim!

– Jakie wasze hasło wtedy?

– Albo śmierć wielorybowi, albo łódź w drzazgi!

Za każdym okrzykiem twarz starego kapitana przybierała wyraz coraz dziwniejszej i zacieklejszej radości i zadowolenia; marynarze zaś poczuli spoglądać z ciekawością po sobie, jakby dziwując się, czemu tak ich wzburzyły podobnie bezsensowne na pozór pytania.

Zasłuchali się jednak znowu najgorliwiej, gdy Ahab, uczyniwszy pół obrotu na nodze tkwiącej w otworze, uchwycił się wysoko wanty, zacisnął na niej dłoń mocno, nieomal konwulsyjnie i przemówił do nich w te słowa:

– Wy wszyscy, którzyście stali na masztach, słyszeliście już przedtem, zem dawałrozkazy dotyczące białego wieloryba. Patrzcie! Widzicie tę hiszpańską uncję złota? – tu podniósł ku słońcu dużą, świecącą monetę. – To sztuka szesnastodolarowa, chłopcy. Widzicie ją? Panie Starbuck, podaj mi pan tamten młot.

Podczas gdy oficer ruszył po młot, Ahab począł bez słowa pocierać sztukę złota o poły surduta, jak gdyby chciał wzmocnić jej połysk. Nucił coś do siebie bez słów, wydając dźwięk tak przedziwnie zdławiony i niewyraźny, iż zdawał się być mechanicznym turkotem toczących się kół jego żywotności.

Odebrawszy narzędzie z rąk Starbucka, podszedł do grotmasztu trzymając w jednej ręce wzniesiony młot, drugą zaś ukazując wszystkim złoto; następnie donośnym głosem zawołał:

– Ktokolwiek z was wypatrzy mi białogłowego wieloryba z pomarszczonym czołem i krzywą szczęką, ktokolwiek z was wypatrzy białogłowego wieloryba z trzema dziurami przebitymi od sterbortu opodal ogona – uważajcie! – ktokolwiek z was wypatrzy takiego właśnie białego wieloryba, ten dostanie tę uncję złota, chłopcy!

– Hura! Hura! – ryknęli marynarze, którzy powiewając zydwestkami powitali okrzykiem chwilę przybijania złotej monety do masztu.

– Wieloryb jest biały, powtarzam – podjął znowu Ahab odrzucając młot. – Biały wieloryb. Wypatrujcie za nim ślepią; patrzcie bystro, gdzie się pokaże biała woda. Jeśli ujrzycie choć odrobinę piany, krzyczcie!

Przez cały ten czas Tasztego, Daggoo i Queequeg przysłuchiwali się z jeszcze żywszym zaciekawieniem i zdumieniem niż reszta, a na wzmiankę o pomarszczonym czołe i krzywej szczęce drgnęli, jakby każdy z osobna tknięty został jakimś szczególnym wspomnieniem.

– Kapitanie – ozwał się Tasztego – ów biały wieloryb to chyba ten sam, którego niektórzy nazywają Moby Dick.

– Moby Dick? – krzyknął Ahab. – Znasz więc białego wieloryba, Tasz?

– Czy on nie trzepie trochę dziwnie ogonem, zanim pójdzie pod wodę? – zapytał po namyśle Gay-Header.

– A czy wyrzuca taką dziwną fontannę – dorzucił Daggoo – bardzo puszystą nawet jak na kaszalota i ogromnie bystrą, tak, kapitanie?

– A mieć on jeden, dwa, trzy – o, dużo bardzo żelazo w jego skóra, kapitan? – zawołał Queequeg bezładnie. – Cały skręt w skręt, jak ten... ten – zająknął się szukając słowa i okręcając w kółko dłoń, jak gdyby odkorkowywał butelkę – jak ten, ten...

– Korkociąg! – wrzasnął Ahab. – Tak, Queequegu, harpuny tkwią w nim poskręcane i pokrzywione. Tak, Daggoo, wyrzuca on słup pary wielki jak snop pszenicy, biały jak stos naszej wełny nantucketańskiej po wielkiej dorocznej strzyży owiec. Tak, Tasztego, strzepuje on ogonem jak pęknięty kliwer w czasie szkwału. Do czarta! Ludzie, toście wy widzieli Moby Dicka! Moby Dick! Moby Dick!

– Kapitanie – ozwał się Starbuck, który wraz ze Stubbem i Fiaskiem przypatrywał się swemu przełożonemu ze wzrastającym zdumieniem, ale wreszcie tknięty snadź został myślą, rozjaśniającą mu nieco całą tajemnicę. – Kapitanie, i ja słyszałem o Moby Dicku, ale to chyba nie on zabrał panu nogę?

– Kto ci to powiedział? – huknął Ahab, a przystanąwszy ciągnął: – Tak, Starbuck, tak, mili moi, to Moby Dick urwał mi maszt, to Moby Dick dał mi ten martwy kikut, na którym teraz stoję. Tak, tak – zawołał ze straszliwym, donośnym, zwierzęcym łkaniem, podobnym do głosu ugodzonego w serce losia. – Tak, to ten przeklęty biały wieloryb mnie okaleczył i na zawsze uczynił ze mnie nieszczęsnego, zdechłego niedołęgę. – Wyrzucił w górę obie ręce i jak klątwę straszliwą wykrzyknął: – Zaprawdę, będę go ścigał poza Przylądek Dobrej Nadziei i wokół Hornu, i za norweski Malström, i między płomienie zatracenia, zanim go poniecham. I po to właśnie zaciągnęliście się na ten okręt! By ścigać tego białego wieloryba po obu stronach ziemi, po wszystkich krańcach świata, póki nie tryśnie czarną posoką i nie wypłynie brzuchem na wierzch! Cóż powiadacie, chłopcy? Weźmiecie się do tego? Wyglądacie mi na odważnych!

– Tak, tak! – zawrzasnęli harpunnicy i marynarze podbiegając bliżej do wzburzonego kapitana. – Bystro wypatrywać białego wieloryba! Ostra lanca na Moby Dicka!

– Niech wam Bóg da zdrowie – Ahab zdawał się pół-szlochać, pół-krzyczeć. – Niech wam Bóg da zdrowie, chłopaki. Stewardzie! Ściągnij dużą miarkę grogu. Ale skądże to taka wydłużona mina, panie Starbuck. Zali nie chcesz ścigać białego wieloryba? Alboż brak ci odwagi na Moby Dicka?

– Starczy mi odwagi na spotkanie z jego krzywą szczęką, nawet na spotkanie z paszczą samej śmierci, kapitanie, jeśli to wyniknie z rzemiosła, które uprawiamy, ale znalazłem się tu po to, by polować na wieloryby, a nie żeby dopełniać zemsty mego dowódcy. Ileż to baryłek oleju dostarczy ci twoja pomsta, nawet jeżeli ją wyrzesz, kapitanie? Niewiele ci ona przyniesie na naszym nantucketańskim rynku.

– Rynek nantucketański! Ba! Ale podejdź no bliżej, Starbuck, z tobą trzeba mówić prościej. Człowieku, gdyby pieniądz miał być miernikiem, zaś rachmistrze oszacowałyby całe to swoje wielkie biuro, czyli tę ziemię, opasując ją gwinejami po trzy na cal, to i tak, pozwól sobie powiedzieć, zemsta moja miałaby dla mnie znacznie większą wartość *tutaj!*

– Wali się w piersi – szepnął Stubb. – A to znowu na co? Wydaje mi się, że dźwięk

ten rozbrzmiewa potężnie, lecz pusto.

– Zemsta nad tępą bestią – zawołał Starbuck – która cię ugodziła po prostu przez najbardziej ślepy instynkt! Szaleństwo! Kapitanie Ahab, odczuwać wściekłość na niemy przedmiot to chyba bluźnierstwo.

– Posłuchaj więc dalej, człeczko małoduszny. Wszelkie widzialne przedmioty są jedynie papierowymi maskami. Ale w każdym wydarzeniu – w żywotnym akcie, w czynie niewątpliwym – jakowaś rzecz nie znana, a przecie rozumna ukazuje kształt swego oblicza spoza nierozumnej maski. Jeśli człek chce ugodzić, niech godzi poprzez maskę! Jakże to więzień może się na zewnątrz wydostać, jeśli nie przebiję się przez mur? Dla mnie ten biały wieloryb jest murem, co tkwi nade mną. Czasem już myślę, że nic poza nim nie ma. Ale i tego dość. Dręczy mnie, przytłacza mnie. Widzę w nim moc urągliwą, wspartą przez niedocieczoną złośliwość. Owa rzecz niepojęta jest właśnie tym, czego głównie nienawidzę: i czy biały wieloryb jest sługą, czyli też samym pryncypałem, wywrę na nim tę nienawiść. Nie gadaj mi o bluźnierstwie, człowieku. Uderzyłbym słońce, gdyby mnie znieważyło. Bo jeśli by mogło to uczynić, tedy i ja mógłbym, zrobić swoje, jako że zawsze istnieje tu coś w rodzaju sprawiedliwej gry, ponieważ zawiść panuje nad wszystkim stworzeniem. Ale nawet ta gra sprawiedliwa nie jest mi panią, człowieku. Któż jest nade mną? Prawda nie zna granic. Odwróć swe oczy! Bardziej nieznośnym niżli spojrzenie wroga jest wzrok głupca! O, właśnie; czerwieniejesz i bledniesz; płomień mój roztopił cię w żar gniewu. Ale posłuchaj, Starbuck; co się powie w gorącości, to nie ma znaczenia. Bywają ludzie, których gorące słowa niewielką są zniewagą. Nie chciałem cię rozsierdzić. Zapomnij o tym. Popatrz! Spójrz na naszych ludzi, na te pogańskie policzki, śniade i cętkowane – te żywe, oddychające obrazy malowane słońcem. Te pogańskie pantery na nic nie baczą, niczego nie czczą, a żyją nie szukając, nie dając żadnych racji dla płomiennego życia, które w nich krąży. Załoga, człowiecze, załoga! Czyż nie jest ona po stronie Ahaba w tej sprawie wieloryba? Spójrz na Stubba! Śmieje się! A tamten Chilijczyk! Aż parska na samą myśl o tym. Nie możesz się ostać, Starbuck, jak jedyne, samotne, skołatane drzewko wśród powszechnego huraganu. A o cóż tu idzie? Zastanów się. Trzeba tylko pomóc upolować rybę. Nie dziwota to dla Starbucka. Cóż więcej? Najlepsza lanca z całego Nantucket nie cofnie się chyba przed jednymi nędznymi, łowami, w chwili gdy każdy prosty majtek chwyci za brus? Ach, ogarnia cię zmieszanie – widzę to! Porywa cię nurt! Przemów, przemów, przecie!

Tak, a więc milczenie twoje mówi za ciebie! (*na stronie*) Coś tchnęło przez moje rozdęte nozdrza, a on przejął to w swe płuca. Już Starbuck jest mój. Nie może mi teraz stawić oporu, nie uciekając się do buntu.

– Boże, miej mnie w swojej opiece i nas wszystkich! – szepnął z cicha Starbuck.

Ale w swej radości z zaczarowanego, milczącego przyzwolenia oficera Ahab nie dosłyszał tego wieszczego wezwania ani cichego śmiechu, jaki doleciał z ładowni, ani „wróźbnego drżenia wiatru pośród lin, ani głuchego plaśnięcia żagli o maszty, gdy na chwilę zapadły się ich łona. Bo oto znowu spuszczone oczy Starbucka zapłonęły upartym życiem, ucichł podziemny chichot, wiatr począł dąć na nowo, żagle się wypełniły, statek wznosił się i opadał jak przedtem. Ach wy, upomnienia i przestrogi!

Czemuż nie pozostajecie, gdyście już przybyły? Choć raczej jesteście przepowiedniami niż przestrogami, o cienie! Nie tyle nawet przepowiedniami z zewnątrz, ile sprawdzaniem się rzeczy, które już uprzednio stawały się we wnętrzu duszy. Albowiem choćby niewiele było spraw wewnętrznych, które by na nas przymus wywierały, jednak najgłębsze potrzeby naszego jestestwa pchają nas ciągle naprzód.

– Miarka! Miarka! – zakrzyknął Ahab.

Podano mu napełniony po brzegi dzban cynowy; obrócił się ku harpunnikom i kazał im chwycić oręż. Następnie uszykował ich przed sobą nie opodal kabestanu, z harpunami w dłoniach, podczas gdy trzech oficerowie stanęli u jego boku dzierżąc lance, a reszta załogi utworzyła wokół nich krąg. Ahab stał chwilę, badawczo się wpatrując w każdego ze swych ludzi. Ich dzikie oczy spotkały się z jego oczami, podobnie jak krwią nabiegłe źrenice stepowych wilków spotykają się z okiem przywódcy, nim skoczy on na ich czele tropem bawołu – niestety, jednak po to tylko, by wpaść w ukryte sidła Indianina.

– Napij się i podaj dalej! – zawołał Ahab wręczając ciężki, napełniony dzban najbliższemu z marynarzy. – Teraz pije tylko załoga. Niech dzban krąży, niech krąży! Krótko pociągajcie, a łykajcie długo, chłopcy; to pali jak kopyto szatana. Właśnie, właśnie – wyborne idzie. Wśrubowuje się w was, wgrzyza się w oko, kasa jak wąż. Dobra! Dzban niemal wysączony. Tamtędy poszedł, a tędy przychodzi. Dajcie go mnie – już pusty! Ludzie, jesteście jak przemijające lata. Tyle szczodrego życia przelało się w was i znikło. Napełnij znowu dzban, stewardzie!

Słuchajcie teraz, junacy. Otom was uszykował wokół kabestanu. Wy zaś, oficerowie, stańcie tu obok mnie na skrzydle z lancami, a wy, harpunnicy, tam, z waszymi grotami. Wy zaś, krzepy majtkowie, otoczcie mnie, abym mógł wskrzesić szlachetny obyczaj moich ojców – rybaków, którzy mnie poprzedzili. Ludzie, zobaczycie – co to, chłopcze? Jużeś powrócił? Zły szeląg szybciej nie wraca... Podaj mi dzban. Otóż i znowu przelewa ci się to naczynie, jakbyś był sługą świętego Wita... Precz, dreszczu!

Zbliźcie się, oficerowie. Skrzyżujcie przede mną wasze lance! Dobrze! A ja niech dotknę ich ośrodka. – Z tymi słowy pochwycił wyciągniętą ręką trzy pochylone, rozchodzące się drzewce w środkowym punkcie skrzyżowania i nagle nerwowo je szarpnął, przez cały czas w napięciu przesuwając wzrok ze Starbucka na Stubba, a z niego na Fiaska. Zdawało się, że jakąś niewiadomą, wewnętrzną wolą chce w nich zapalić to samo płomienne wzburzenie, które nagromadzone było w butelce lejdejskiej jego własnej, magnetycznej żywotności. Trzej oficerowie aż się skulili pod jego wszechmocnym, upartym i mistycznym wejrzeniem. Stubb i Fiask odwrócili głowy; Starbuck spuścił swe uczciwe oczy.

– Daremnie! – zawołał Ahab. – Ale może to i lepiej. Bowiem gdybyście wszyscy trzech choć raz jeden przyjęli w siebie pełen ładunek mojej mocy, wtedy może mój własny elektryczny prąd wygasłby we mnie. A może zabiłby was na miejscu. Może być też, że go wam nie potrzeba. Opuśćcie lance! A teraz, oficerowie, mianuję was trzema podczaszymi tych moich trzech pogańskich kuzynów – owych trzech najgodniejszych szlachciców i panów, moich walecznych harpunników. Gardzicie tym zadaniem? Wtedy gdy sam wielki papież umywa stopy żebrakom używając swej tiary miast

dzbana? O, moi mili kardynałowie! Własna wasza łaskawość skłoni was do tego. Nie rozkazuję wam; sami tego pragniecie. Przetnijcie rzemienie, harpunnicy, i wyciągnijcie drzewce!

W milczeniu usłuchawszy rozkazu, trzech harpunnicy stali teraz z odczepionymi żelźcami harpunów, długości około trzech stóp, wyciągając je ku Ahabowi, zadziiorami do góry.

– Nie draśnijcie mnie tą ostrą stalą! Przekręćcie groty, weźcie je z drugiej strony! Cóż to, nie wiecie, gdzie mają koniec jak pucharek? Unieście w górę tuleje! O, właśnie. A teraz wy, podczaszowie, podejdźcie. Weźcie żelźca, trzymajcie, gdy je będę napelniał!

– Następnie, z wolna przechodząc od jednego oficera do drugiego, począł napelniać po brzeg tuleje ognistym płynem z dzbana.

– A teraz stawajcie – trzech na trzech. Wręczcie im mordercze roztruchany! Wręczcie je wy, którzyście się stali członkami nierozzerwalnej ligi. Ha, Starbuck! Oto i czyn dopełniony! Słońce, które udzieli mu swego zatwierdzenia, już czeka, by na nas spłynąć. Pijcie, harpunnicy! Pijcie i przysięgajcie, wy, którzy jesteście załogą na dziobie śmiercionośnej łodzi! Śmierć Moby Diekowi! Niech sam Bóg ściga nas wszystkich, jeśli nie zaszczujemy Moby Dicka na śmierć!

Podnieśli w górę długie, kolczaste, stalowe puchary i w takt krzyków i złorzeczeń na białego wieloryba jednocześnie je wychylili z bulgotem. Starbuck zbladł, odwrócił się i zadrzał. Raz jeszcze – i ostatni – na nowo napelniony dzban obiegl załogę, którą ogarnęło zapamiętanie. Wreszcie Ahab skinął wolną ręką i wszyscy się rozproszyli, on zaś powrócił do swojej kajuty.

## ROZDZIAŁ XXXVII

### ZACHÓD SŁOŃCA

*(Kajuta; Ahab siedzi samotny u okien rufowych i wygląda na morze)*

Pozostawiani za sobą białą, mętną warstwą; blade wody, jeszcze bledsze oblicza, gdziekolwiek popłynę. Zazdrosne bałwany wzdymają się z boków, by szlak mój pochłonąć; niech tam – ale pierwszej przejdę.

– Tam, u wiecznie pełnych krawędzi puchara, ciepłe fale rumieniają się jak wino. Żółte czoło pograża się w błękicie. Ten nurek – słońce, z wolna zanurzając się od czasu południa, teraz idzie na dno, a dusza moja w górę się wznosi! Nuży ją nieskończona wyniosłość. Czyliżby korona, którą noszę; za ciężką mi była, owa Żelazna Korona Lombardii? A przecie polśniewa niejednym klejnotem. Ja, jej nosiciel, nie dojrzę jej dalekich błysków, czuję tylko niejasno, że ją mam na sobie, a to oślepia i oszalał. Jest ona z żelaza – to bowiem – nie ze złota. I jest pęknięta – to czuję: krawędź wyszczerbiona orze mi czoło, mój mózg zdaje się bić o twarde metal. Tak, czaszka ma być stalowa. Taka, co nie potrzebuje hełmu nawet w najbardziej mózgowój walce!

Sucha gorączka na moim czole? O, był czas, kiedy wschód słońca szlachetnie mnie pobudzał, a zachód koił. Już teraz tak nie jest. To cudne światło mnie nie oświeca. Wszelkie piękno staje mi się udręką, skoro nigdy nie potrafię nim się cieszyć. Obdarzony wysokim rozeznaniem, pozbawiony jestem niskiej mocy radości. Jam przeklęty, najprzewrotniej i najzłośliwiej – przeklęty wespół raju! Dobranoc – dobranoc (*Skinąwszy dłoń odchodzi od okna*).

– Nie tak ciężkie to było zadanie. Myślałem, że znajdę choć jednego opornego, ale moje kółko zębate pasuje do wszystkich ich różnorodnych trybów i wszystkie się obracają. Czy też, jeśli wolicie, stają wszyscy przede mną jak szereg kopczyków prochu, ja zaś jestem dla nich lontem. Ale, o doło! Aby innych podpalić, lont sam spłonąć musi! Pragnąłem tego, na com się ważył, a czego zapragnąłem, to spełnię. Uważają mnie za szaleńca – Starbuck tak myśli. Ale ja jestem demonem, jestem szaleństwem oszalałym! Tym dzikim szaleństwem, co uspokaja się tylko po to, żeby móc pojąć samo siebie. Proroctwo brzmiało, że członki moje będą rozszarpane – i proszę: oto straciłem nogę. Teraz ja prorokuję, że rozszarpie ciało tego, kto mnie rozszarpał. Będę więc prorokiem i wykonawcą w jednej osobie, to znaczy czymś więcej, niż kiedykolwiek byliście wy, wy wielcy bogowie. Drwię z was i szydę, wy, gracze w krykieta, wy, pięściarze, wy, głusi Burke'owie i ślepi Bendigowie! Nie powiem wam, tak jak uczniacy mawiają do starszych od siebie prześladowców: „Weź sobie kogoś swojego własnego wzrostu, a mnie nie bij!” Nie, wyście mnie powalili, lecz otom powstał znowu. Wyście zaś zbiegli i ukryli się. Wychodźcie ze swego schronienia! Nie mam długiej strzelby, by was dosięgnąć. Pójdźcie, pozdrawia was Ahab! Pójdźcie i popróbcie, czy potraficie mi umknąć. Umknąć? Nie możecie tego uczynić, bobyście musieli umykać przed sobą. Tu was mam! Umknąć mi? Ścieżka do mego wytkniętego celu wyłożona jest żelaznymi szynami, po których dusza moja pomknie bez odchylenia. Poprzez niezgłębione

rozpadliny, przez zbójeckie górskie ostępy, popod łożyskami potoków mknę  
nieomylnie! Nic mi nie jest przeszkodą, nic nie jest skrzywieniem na żelaznej drodze!

## ROZDZIAŁ XXXVIII

### ZMIERZCH

*(U grotmasztu; Starbuck stoi oparty on plecami)*

Dusza moja znalazła więcej niż równą sobie – jest pokonana – i to przez szaleńca! Cóż to za ból nieznośny widzieć, że zdrowe zmysły musiały złożyć broń na takim polu walki! Ale wwiercił się we mnie głęboko i wysadził w powietrze cały mój rozsądek. Sądzę, że pojmuję jego nikczemny cel, a przecie czuję, że muszę mu dopomóc. Czy chcę, czy nie chcę, jakaś rzecz nienazwana związała mnie z nim i pociąga za sobą liną, na którą nie mam noża. Straszliwy człek! „Któż jest nade mną!” – wykrzykuje. Tak! Byłby demokratą wobec wszystkich tych, co są wyżej od niego, ale patrzcie tylko, jak rządzi tymi, co się niżej znajdują! O, jasno postrzegam nędzne swoje zadanie: słuchać z buntem w duszy, a co gorsza, nienawidzić z nutką litości! Albowiem w oczach jego wyczytałem jakieś ponure cierpienie, które by mnie strawiło, gdybym go sam doświadczał. Ale jest nadzieja. Czas robi swoje. Nienawistny wieloryb może swobodnie pływać po całym krągłym, wodnym świecie, jak maleńka złota rybka po szklanej kuli swojego akwarium. Bóg może pokrzyżować zamiary Ahaba, które są Niebu zniewagą. Rzekłbym sobie: w górę serce! – gdyby nie to, że ciężkie ono jak ołów. Ale zegar mój stanął. Nie mam klucza, by znowu podnieść serce, które jest jego wszechrządzącą wagą.

*(Wybuch wrzawy biesiadnej z forkasztelu)*

– O, Boże! Płynąć z tak barbarzyńską załogą, po której ledwie znać, że zrodziła się z matki człowieczej! Pomiot, który wydało gdzieś rekinowe morze! Biały wieloryb jest im Gorgoną. Posłuchajmy. Cóż to za orgia piekielna! Odgłos jej dolatuje od dziobu. A zważcie tylko, co za cisza niezmacona na rufie! Myślę, że to jest obraz życia. Przedemną radosny, bojowy, roześmiany dziób pruje roziskrzony wesoły morze, ale tylko po to, by ciągnąć za sobą mrocznego Ahaba, który gnębi się w swej rufowej kajucie zbudowanej ponad martwą wodą wartu, ścigany przez wilcze pochłusty. Na wskroś mnie przenika to przeciągłe wycie! Spokój, hulacy, zaciągnijcie wachtę! O, życie! Oto nadeszła taka godzina, gdy dusza legła zmiażdżona, przytwierdzona do świadomości – jak dziki, bezpański stwór szukający żeru... O, życie! Oto teraz poczułem drżącą w tobie potworność! Ale ona mną nie jest! Istnieje poza mną, ja zaś mając w sobie łagodne poczucie człowieczeństwa, próbuję jeszcze zwalczyć cię, ty ponury upiorze przyszłości! Stójcie przy mnie, podtrzymujcie mnie, umacniajcie, o dobre moce!

## ROZDZIAŁ XXXIX

### PIERWSZA WACHTA NOCNA NA MASZCIE

*(Stubb sam; naprawia bras)*

Ha, ha, ha, ha! Hem — trzeba odchrząknąć! Myślałem o tym w kółko od tamtej pory i to: „Ha, ha” jest ostateczną konkluzją. Czemu tak? Bo śmiech jest najmądrzejszą, najłatwiejszą odpowiedzią na wszystko, co niesamowite; i niech się stanie, co chce, zawsze przecie zostaje jedna pociecha, a tą niezawodną pociechą jest myśl, że wszystko tak było przeznaczone. Nie dosłyszałem całej tej jego gadaniny ze Starbuckiem, ale w moim skromnym mniemaniu Starbuck wyglądał wtedy po trosze tak jak ja owego wieczoru. Ale też go splantował nasz Wielki Mogoł! Połapałem się w tym: wiedziałem, o co idzie; gdybym posiadał ten dar, mógłbym to snadnie wyprorokować — kiedym bowiem tylko rzucił okiem na jego łeb, jużem to odczuł. No cóż, Stubb, mądry Stubb — taki mam tytuł — cóż stąd, Stubb? Oto i padlina. Nie mam pojęcia, co się może przydarzyć, ale niech będzie, co chce, ja przyjmę to z uśmiechem. Jakieś krotocwilne lichy czai się we wszystkich okropnościach! Weszło mi! Hop, la, la! Cóż tam teraz porabia w domu moja słodka, soczysta brzoskwinka? Czy wypłakuje sobie oczy? Raczej wydaje przyjęcie na cześć nowo przybyłych harpunników, wesółą jak bandera fregaty — a ja też jestem wesóły! Hop, la, la! Och!

Napijemy się dzisiaj z sercem ochoczym Do miłości, radości bez miary, Z sercem rześkim, jak rześko pieni się trunek, Zanim usta wypróżnią puchary.

— Pyszna zwrotka! Któż to woła? Pan Starbuck? Już idę! *(na stronie)* Jest moim przełożonym, ale o ile się nie myłę, ma także i swoich. Tak jest, już kończę — idę!

## ROZDZIAŁ XL

### PÓŁNOC, FORKASZTEL

*(Harpunnicy i marynarze)*

*(Fokżagiel idzie w górę odślaniając marynarzy z wachty, stojących, wałęsających się, podpartych i leżących w najrozmaitszych pozach. Wszyscy śpiewają chórem)*

Żegnajcie mi, hiszpańskie donny! Żegnajcie mi, Hiszpanii damy! Kapitan nasz rozkazał...

#### PIERWSZY MARYNARZ Z NANTUCKET

Hej, chłopaki, nie roztkliwiajcie się! To źle robi na trawienie! Weźcie sobie wzmacniający środek! No, razem! *(Śpiewa, a za nim wszyscy)*

*Kapitan nasz stał na pokładzie,  
Przyglądał się mieliznom,  
Czy gdzie w lunecie wieloryby  
Fontanną nie wybryzną.*

*Dajże, chłopcy, hej, do łodzi!  
Będziemy bestię solić!  
Musimy zdobyć dziś jednego!  
Uwaga, hej, powoli!*

*Wesoło, moi chłopcy, pewnie, celnie, śmiało  
Rzucajcie harpun ostry w wieloryba ciało!*

#### GŁOS OFICERA Z MOSTKU KAPITAŃSKIEGO

Wy tam, na forkasztelu! Zadzwoń osiem razy!

#### DRUGI MARYNARZ Z NANTUCKET

Dość, chór! Ociem razy zadzwonić, słyszałeś, dzwonniku? Uderz w dzwon osiem razy, ty, Pip, czarnuchu jeden! Ja zawezwę wachtę. Mam gębę w sam raz do tego – gębę jak beka. O, tak! *(wtyka głowę w otwór luku)* Wachta, ahoy! Dzwonią osiem razy! Wyłazić!

#### MARYNARZ HOLENDERSKI

Ale dziś chrapią, bracie; noc na to jak ula! To ma do siebie wino naszego starego Mogoła; jednych równie oszałamia, jak drugich podnieca. My śpiewamy, a oni śpią – ale! – leżą tam jak kłody. Zabierz się do nich! Masz, weź tę miedzianą pompę i huknij przez nią. Każ im przestać śnić o dziewuchach. Powiedz, że już czas zmartwychwstania; niech dadzą ostatniego całusa i na sąd! O, to to! Tak trzeba! Tobie się gardło nie pposowało od amsterdamskiego masła!

#### MARYNARZ FRANCUSKI

Cyt, chłopcy! Zatańczmy sobie jeszcze ze dwa dżigi, zanim zarzucimy kotwicę pod kołdrą. Co wy na to? Już nadchodzi zmiana. Wszyscy na nogi! Pip, słuchajże, mały! Dalej, wal w bębenek!

pip

*(markotny i, śpiący)*

Nie wiem, gdzie się podział.

#### MARYNARZ FRANCUSKI

Więc wal się po brzuchu i strzyż uszami. Chłopcy, dżiga, powiadam! Niech nam będzie wesoło, hura! Bodaj was, nie chcecie tańczyć? Stawajcie gęsiego i w galop, a z przytupem! Dalej go! Noga, noga!

#### MARYNARZ ISLANDZKI

Kiepska tu u was posadzka, brachu; na mój gust zbyt się ugina. Ja przywykłem do podłóg lodowych. Przykro mi, że was oblewam zimną wodą, ale cóż począć?

#### MARYNARZ MALTAŃSKI

I ja też; gdzie macie dziewczęta? Tylko wariat może się wziąć prawą ręką za lewą i powiedzieć sobie: jak się masz! Tancerek! Ja muszę mieć tancerki!

#### MARYNARZ SYCYLIJSKI

A tak! Dziewczęta i trochę murawy – a wtedy poskaczę z wami; ba, nawet się przemienię w konika polnego!

#### MARYNARZ Z LONG ISLAND

No no, mruki, dość nas tu jeszcze! Kujcie żelazo, póki gorące, to wam powiadam. Wkrótce już wszystkie nogi poskłada się do spichrza. A, oto nadchodzi muzyka; no, teraz!

#### MARYNARZ Z AZORÓW *(ukazuje się we włazie i rzuca na górę bębenek)*

Masz, Pip, a tu są uchwyty od kołowrota. Wyłaż! No, chłopcy!

*(Niektórzy tańczą w takt bębena; inni schodzą pod pokład, pozostali śpią lub leżą wśród zwojów lin. Rozlegają się liczne przekleństwa)*

#### MARYNARZ Z AZORÓW *(tańcząc)*

Hejże, Pip! dzwonniku! Bij go, rznij go, tnij go, ryj go! Hej, chłopaku, niech iskry lecą; niech ci brzękadła od bębena poodpadają!

pip

Brzękadła, powiadacie? Właśnie drugie odlatuje – już odpadło, tak wałę!

#### MARYNARZ CHIŃSKI

Więc brzękaj zębami i wal dalej – zrób z siebie pagodę!

MARYNARZ FRANCUSKI

Hejże ha! Trzymaj obręcz, Pip, żebyśmy mogli przeskoczyć! Pękajcie, żagle!

TASZTEGO *(spokojnie paląc fajkę)*

I to jest biały człowiek; i on to nazywa zabawą! Ha, szkoda na to mojego potu.

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN

Ciekaw jestem, czy te wesołe chłopaki zastanowiły się, na czym tańczą. „Zatańczę na twoim grobie” – to przecie najgorsze złorzeczenie dziewczek nocnych, którym wiatr wieje w oczy na rogach ulic. O, Chryste! Pomyśleć o tych zielono omszałych okrętach na dnie i o zielonych czerepach załóg! No cóż, świat ten jest, zdaje się, piłką, jak twierdzą uczeni, więc całkiem to słuszne, by na nim jak piłka poskakać. Tańczcie dalej, chłopaki, młodzieńcze przecie. Ja też niegdyś byłem młody.

TRZECI MARYNARZ Z NANTUCKET

Alem się spracował, uff! To gorsze niż pchać się za wielorybami w czasie sztilu! Daj nam pociągnąć z fajki, Tasz.

*(Przestają tańczyć i zbierają się w grupy. Tymczasem niebo ciemnieje – zrywa się wiatr)*

MARYNARZ Z INDII WSCHODNICH

Na Brahme, chłopcy! Wkrótce trzeba będzie zwinąć żagle. Wezbrany Ganges z nieba rodem nadchodzi z wiatrem! Ukazałeś swe czarne czoło, o, Sziwo!

MARYNARZ MALTAŃSKI *(leży i potrząsa czapką)*

To fale o śnieżnych czapkach tańczą teraz dżiga. Wkrótce potrząsną grzywami. Ach, gdyby tak wszystkie fale były dziewczętami, dopieroż bym chętnie utonął i pohulał z nimi dalej! Nie ma na ziemi nic słodsze – samo niebo się temu nie równa – nad szybkie przelotne spojrzenie na te gorące, w tańcu wezbrane piersi, kiedy ramiona kryją, jak altana, dojrzałe, pełne grona!

MARYNARZ SYCYLIJSKI *(wyciąga się)*

Nie mów mi o tym! Słuchaj, chłopie – te splątane, gibkie ciała – giętkie ruchy – lękliwe, trzepoczące! Muskają się usta, serca, uda! Nieprzerwanie stykają się i rozchodzą... A zważ, że ich nie dosięgniesz, gdyż inaczej przyszedłby przesył. Co, poganinie? *(trąca go łokciem)*

MARYNARZ Z TAHITI *(leży na macie)*

Bądź pozdrowiona, święta nagości naszych tanecznie – HiwaHiwa! Ach, tajemnicza Tahiti o palmach wysokich! Spoczywam jeszcze na twojej macie, ale miękka ziemia spod niej się wymknęła! Widziałem, jak cię pleciono w puszczy, mato moja! Zielona byłaś

tego pierwszego dnia, gdym cię stamtąd przyniósł; a oto teraz leżysz zdarta i zeschnięta. O, biada – ani ty, ani ja nie możemy znieść tej zmiany! Alboż to możliwe, skoro nas przeniesiono pod to niebo? Czyliż słyszę huk potoków z ostrych szczytów Pirohitee spadających po skałach i zatapiających wioski? Dma! Dma! Trzeba unieść grzbiet i wyjść jej na spotkanie!

*(zrywa się na równe nogi)*

MARYNARZ PORTUGALSKI

Jakże to morze toczy się i łomocze o kadłub! Zabierać się do refowania żagli, kochasie! Wichry właśnie krzyżują miecze; zaraz na nas kupą uderzą.

MARYNARZ DUŃSKI

Trzeszcz, trzeszcz, stary okręcie! Póki trzeszczysz, poty zdzierzysz! Pięknie! Ten nasz oficer twardo się trzyma. Nie ma on większego stracha, niżli wyspiarski fort na Kattegacie wzniesiony tam, by chłostać Bałtyk gromowymi działami, na których sól morską osiada!

CZWARTY MARYNARZ Z NANTUCKET

Takie ma już rozkazy, pamiętajcie o tym. Słyszałem, jak stary Ahab przykazywał mu, że zawsze winien ubić szkwał, coś tak jak się rozbija trąbę powietrzną strzałem z pistoletu – strzelić okrętem prosto w środek!

MARYNARZ ANGIELSKI

Do licha! Ale ten stary to byczy jegomość! Musimy mu upolować jego wieloryba!

WSZYSCY

Tak! Tak!

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN

Jakże drżą te trzy sosny! Sosna to drzewo, któremu żyć najtrudniej, jeśli się je przeniesie na inną glebę, a tu nie ma żadnej prócz gliny tej przeklętej załogi. Spokojnie, sternicy, spokojnie! W taką pogodę dzielne serca pękają na lądzie, a kadłuby okrętów trzaskają na morzu. Nasz kapitan nosi na sobie swoje znamię, a popatrzcie, chłopcy: na niebie inne się pokazuje – piorunowe, widzicie, zaś wokół czern jak smoła!

DAGGOO

Cóż stąd! Kto się lęka czerni, ten lęka się mnie! Jam z niej zrobiony!

MARYNARZ HISZPAŃSKI *(na stronie)*

Chce mnie rozdrażnić. Ach! Żre stara niechęć *(podchodzi bliżej)* Tak, harpunniku, rasa twoja jest niewątpliwie ciemną stroną rodzaju ludzkiego. I to ciemną jak szatan. Bez urazy.

DAGGOO (*ponuro*)

Bez urazy.

MARYNARZ Z ST. JAGO

Ten Hiszpan jest szalony albo się spił. Ale to nie może być, chyba żeby w tym jednym przypadku woda ognista starego Mogóła działała z niejakim opóźnieniem.

PIĄTY MARYNARZ Z NANTUCKET

Cóżem to widział? Błyskawicę? Tak.

MARYNARZ HISZPAŃSKI

Nie, to Daggoo pokazał zęby.

DAGGOO (*rzuca się ku niemu*)

Połknij swoje własne, ty kukło! Biała skóra, biała wątroba!

MARYNARZ HISZPAŃSKI (*rusza na niego*)

Chętnie ci nóż wsadzę! Duże cielsko, mały rozum!

WSZYSCY

Bójka! Bójka! Bójka!

TASZTEGO (*zaciąga się*)

Burda na dole, burda w górze – bogowie i ludzie to na równi awanturnicy! Uff!

MARYNARZ Z BELFASTU

Bójka! Bójka, do czarta! Najświętsza Panienko, bójka! I ja z wami!

MARYNARZ ANGIELSKI

*Fair play!* Wytrącić nóż Hiszpanowi! Utworzyć koło, zrobić miejsce do walki!

STARY MARYNARZ Z WYSPY MAN

Już gotowe. Tam – ten kolisty horyzont. Na tym boisku Kain ugodził Abła. Piękne dzieło, sprawiedliwe! Nie? Czemuś więc, Panie, stworzył to boisko?

GŁOS OFICERA Z MOSTKA KAPITAŃSKIEGO

Do lin! Zwinąć bramzagle! Refować topsle!

WSZYSCY

Szkwał! Szkwał! Do dzieła, wesółki! (*rozbiegają się*)

PIP (*skulony pod bratrzpilem*)

Wesółki? Niech. Bóg ma takich w swojej opiece! Trach! Poszła lina od kliwru! Bęc,

brzdęk! Boże! Dajże nura dalej, Pip, bo leci bombramreja! To gorzej, niż być w lesie wśród zawiei w ostatni dzień roku! Komu by się teraz chciało łązić na kasztany? A oni leżą tam przecie i przeklinają wszyscy, a ja tu siedzę. Piękne mają perspektywy! Już są na drodze do nieba. Trzymajcie się! Do pioruna, co za szkwał! Ale te chłopcy są jeszcze gorsze – to takie białe szkwały. Białe szkwały? Biały wieloryb, brr, brr! Słyszałem tu ich pogwarki, a ten biały wieloryb – brr! Gadali o nim teraz – dopiero tego wieczoru – aż się cały trzęsę jak mój bębenek. Ten stary wąż kazał im zaprzysiąc, że go pochwyca! O, ty wielki biały Boże, któryś jest tam w górze, gdzieś w tej ciemności, zmiłuj się nad małym czarnym chłopcem, który tu siedzi na dole; zachowaj go od wszystkich ludzi, co nie mają trzewi, żeby czuć lęk!

## ROZDZIAŁ XLI

### MOBY DICK

Ja, Izmael, należałem do tej załogi; i moje krzyki wzbijały się w górę wraz z ich krzykami, moja przysięga stopiła się z ich przysięgą, a krzyczałem donośniej i przysięgałem z większym zapamiętaniem i zawziętością od innych, bo lęk miałem w duszy. Tkwiło we mnie jakieś nieokielznane, tajemne współczucie; zdawało się, że nienasycona żądza zemsty Ahaba owładnęła i mną. Chciwym uchem słuchałem opowieści o morderczym potworze, któremu ja i wszyscy inni poprzysięgliśmy gwałt i pomstę.

Już od jakiegoś czasu, choć tylko z przerwami, ów samotny, pojedynczy biały wieloryb nawiedzał te dzikie morza uczęszczane głównie przez łowców kaszalotów. Nie wszyscy oni jednak wiedzieli o jego istnieniu; stosunkowo niewielu oglądało go z pełną świadomością, znikoma zaś w istocie była liczba tych, którzy jak dotąd wydali mu z rozmysłu właściwą walkę. Takie bowiem czynniki, jak wielka ilość statków wielorybnych, bezładne ich rozproszenie po całym wodnym obszarze, fakt, że wiele z tych statków zapędzało się w swych awanturnych poszukiwaniach aż po tak odludne szerokości geograficzne, że w ciągu całej dwunastomiesięcznej lub dłuższej podróży rzadko kiedy albo wcale nie miały okazji napotkania choćby jednego wieścionośnego żagla jakiegokolwiek rodzaju; dalej niezwykła długotrwałość każdej poszczególnej wyprawy, nieregularne pory wypływania z macierzystego portu – to wszystko wraz z innymi jeszcze, pośrednimi i bezpośrednimi okolicznościami, przez długi czas przeszkadzało rozprzestrzenieniu się wśród całej flotylli wielorybnej, jak świat długi i szeroki, szczegółowych wiadomości określających dokładniej Moby Dicka. Nie sposób było wątpić, że kilka statków doniosło o napotkaniu w takim a takim czasie, na takim a takim południku, kaszalota niepospolitego ogromu i złośliwości, który wyrządziwszy wielkie szkody napastnikom, umknął im bez śladu; w mniemaniu niektórych godziło się przypuszczać, że ów właśnie wieloryb musiał być nikim innym, jak Moby Dickiem. Ponieważ jednak w wielorybnictwie zaznaczyły się ostatnio przeróżne i wcale nierzadkie przykłady wielkiej drapieżności, przebiegłości i złośliwości atakowanego potwora, więc ci, którzy przypadkowo i nieświadomie stanęli do walki z Moby Dickiem, byli zapewne skłonni przypisywać postrach, jaki szerzył, raczej niebezpieczeństwu łowów na kaszaloty w ogóle niż temu poszczególnemu wielorybowi. W ten sposób traktowano dotychczas owo katastrofalne spotkanie Ahaba z kaszalotem.

Jeśli zaś idzie o tych, którzy zasłyszawszy uprzednio o białym wielorybie, przypadkowo nań natrafili, to z początku niemal każdy spuszczał za nim łódź równie śmiało i nieustraszenie jak za każdym innym wielorybem tegoż gatunku. Ale po jakimś czasie stwierdzono, że z owych ataków wynikają takie nieszczęścia – nie ograniczające się do wykręconych napiętków i kostek, połamanych kończyn czy też jątrzących amputacji, ale fatalne do najwyższego stopnia fatalności – że te powtarzające się, zgubne, odstręczające wieści, gromadząc i piętrząc okropność wokół Moby Dicka, w

wielkiej mierze wstrząsnęły męstwem licznych dzielnych łowców, do których w końcu dotarła historia białego wieloryba.

Dzikie pogłoski wszelkiego rodzaju przyczyniły się też niezawodnie do wyolbrzymienia prawdziwych dziejów owych śmiertelnych spotkań i otoczenia ich jeszcze większą potwornością. Albowiem bajeczne wieści nie tylko wyrastają w sposób naturalny z żywego ciała wszelkich zdumiewających i straszliwych wydarzeń – podobnie jak obalone drzewo obrasta grzybami – ale też, w życiu morskim znacznie bardziej niż na lądzie stałym, mnożą się najdziksze pogłoski, gdziekolwiek tylko znajdują jakiś odpowiedni fakt rzeczywisty, którego by się mogły uczepić. I tak jak morze przewyższa w tej mierze ląd stały, podobnie i wielorybnictwo, jeśli idzie o cudowność i straszliwość wieści, jakie tu czasami krążą, góruje nad wszelką inną odmianą życia morskiego. Mianowicie wielorybnicy na ogół nie tylko nie są wolni od ciemnoty i zabobonu dziedzicznie właściwego wszystkim marynarzom, ale też wchodzą w najbardziej bezpośrednią styczność ze wszystkim, co w morzu jest najpotworniej zdumiewające; nie tylko stają oko w oko z jego największymi cudownościami, ale także pierś w pierś podejmują z nimi walkę. Wielorybnik samotny na wodach tak odległych, że choćby się przepłynęło tysiąc mil i minęło tysiąc wybrzeży, nie sposób dotrzeć do jakiegokolwiek rzeźbionego kominka ani niczego, co by było gościnne pod tą częścią słońca; wielorybnik trudniąc się w takich zakątkach świata podobnym rzemiosłem, otoczony jest mocami, które sprzyjają poczęciu w jego fantazji niejednego ważkiego płodu.

Nic więc dziwnego, że ciągle potężniąc przez sam fakt przemierzania najdzikszych wodnych obszarów, raz puszczona wieść o białym wielorybie wchłonęła nareszcie w siebie wszelkie niezdrowe pogłoski, na wpeł uformowane, embrionalne aluzje o nadprzyrodzonych mocach, które to rzeczy w końcu nadały Moby Dickowi nową, straszliwość, nie wywodzącą się już z niczego, co widomie istnieje. W wielu wypadkach rodził on takie przerażenie, iż spośród tych, którzy wyłącznie z owych wieści powzięli wiadomość o białym wielorybie, tylko nieliczni łowcy mieli ochotę stawić czoło niebezpieczeństwu, jakimi zagrażała jego paszczyka. Działy tu jednak także i inne, donioślejsze czynniki praktyczne. Nawet i dziś jeszcze nie wygasł w umysłach wszystkich wielorybników pierwotny groźny urok kaszalota, przeraźliwie wyróżniającego się spośród wszelkich innych odmian Lewiatana. Po dziś dzień znajdują się między łowcami tacy, co choć dość odważni i przemyślni, gdy przyjdzie wydać bitwę walowi grenlandzkiemu albo właściwemu, zapewne by odmówili – czy to z racji zawodowego niedoświadczenia, niedostatecznej umiejętności czy z braku śmiałości – podjęcia rozgrywki z kaszalotem. W każdym razie są wielorybnicy – szczególnie wśród narodów uprawiających te łowy nie pod amerykańską flagą – którzy nigdy nie potykali się z kaszalotem i których wiedza o Lewiatanie ograniczona jest wyłącznie do nieszlachetnego potwora z dawna ściganego na północy. Zasiadłszy na pokrywach luków jak wokół kominka, ludzie ci chętnie przysłuchują się z dziecinnyim zainteresowaniem i grozą dzikim, niesamowitym opowieściom o łowach południowych. Nigdzie więc najwyższa straszliwość olbrzymiego kaszalota nie znajdzie pełniejszego odczucia i zrozumienia niż *v.a* pokładzie tych statków, które go ścigają. tak

gdyby wypróbowana obecnie rzeczywistość jego potęgi

rzuciła nań swój cień już za dawnych, legendarnych czasów – mamy niektórych pisarzy przyrodników, co jak Olassen i Povelson stwierdzają, że kaszalot jest nie tylko postrachem wszelkiego innego morskiego stworzenia, ale też odznacza się tak niewiarygodną drapieżnością, iż stale jest spragniony ludzkiej krwi. Te i tym podobne poglądy nie zanikły nawet i w tak późnej epoce, jak czasy Cuviera. Mianowicie w swej *Historii naturalnej* sam baron utrzymuje, że na widok kaszalota wszystkie ryby (z rekinami włącznie) „zdjęte są najwyższym przerażeniem” oraz że „często w pośpiechu ucieczki rozbijają się o skały z taką gwałtownością, iż śmierć natychmiast następuje”. Toteż jakkolwiek powszechne doświadczenia wielorybnicze mogą prostować podobne relacje, jednak zabobonna wiara w całą ich okropność, włącznie z tą krwiożerczą wzmianką u Povelsona, odżywa w umysłach łowców w związku z różnymi kolejami ich rzemiosła.

Pod wrażeniem wieści i wróżb dotyczących Moby Dicka niemało rybaków wspominało w związku z nim dawniejsze czasy połowów kaszalotów, kiedy to doświadczonych łowców wielorybów częstokroć trudno było nakłonić, aby stawiali czoło niebezpieczeństwu tego nowego, zuchwałego rodzaju wojny. Łowcy ci mianowicie zaklinali się, że choć na inne Lewiatany można polować z nadzieją powodzenia, jednak ścigać i godzić lancą w takie zjawisko jak kaszalot nie jest w mocy człowieka śmiertelnego. Że ważyć się na to, znaczyłoby nieuchronnie i szybko pograć się w wieczność. Istnieją pewne wartościowe dokumenty, z których można zaczerpnąć wiadomości na ten temat.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy mimo to gotowi byli ruszyć w pościg za Moby Dickiem; a jeszcze większa liczba takich, którzy zasłyszawszy coś o nim przypadkowo i niejasno, bez dokładnych szczegółów dotyczących jakiejś określonej katastrofy i bez żadnych zabobonnych dodatków, mieli dość odwagi, by nie uchodzić z pola walki.

Jednym z niezwykłych wyobrażeń, o których mówiono, że się koniec końców związały z białym wielorybem w umysłach ludzi skłonnych do przesądów, było niesamowite przekonanie, że Moby Dick jest wszechobecny, że go rzeczywiście spotykano w przeciwległych stronach świata o jednym i tym samym czasie.

Jakkolwiek tacy ludzie musieli być wielce łatwowierni, przekonanie to nie było całkowicie pozbawione wątpliwości, zaprawionego przesądem pozoru prawdopodobieństwa. Albowiem jak tajemnice prądów morskich nie zostały nigdy wyświetlone nawet przez najbardziej uczone badania, tak też i tajemne obyczaje kaszalota, w chwili gdy znajdzie się pod powierzchnią wód, pozostają w znacznej mierze nieznane jego prześladowcom i od czasu do czasu rodzą najosobliwsze i najbardziej sprzeczne domysły; zwłaszcza co do sekretnych sposobów, jakich zwierzę używa, by, zanurzony na znaczną głębokość, przenieść się z tak olbrzymią szybkością w najbardziej oddalone miejsca.

Jest rzeczą dobrze znaną zarówno amerykańskim, jak angielskim wielorybnikom, a opartą na miarodajnej relacji spisanej przed laty przez Scoresby'ego, że na dalekiej północy Oceanu Spokojnego upolowano wieloryby, w których ciałach znaleziono zadziory harpunów rzuconych na morzach grenlandzkich. Trudno też zaprzeczyć, iż w

niektórych z tych przypadków stwierdzono, że przeciąg czasu dzielący takie dwa ataki nie przekraczał kilku dni. Stąd wniosek, który wyciągają pewni wielorybnicy, iż szlak północno-zachodni, tak długo będący problemem dla człowieka, nigdy nie stanowił zagrożenia dla wieloryba. Tak więc w rzeczywistych, żywych doświadczeniach żywych ludzi, dziwom opowiadanych w dawnych czasach o górze Strello znajdującej się w głębi lądu w Portugalii (mówiono, iż w pobliżu jej wierzchołka istnieje jezioro, na którego powierzchnię wypływają wraki okrętów) lub jeszcze dziwniejszej historii źródła Aretuzy opodal Syrakuz (którego wody, jak sądzono, przenikają tam z Ziemi Świętej podziemnym korytarzem) – owym bajecznym opowieściom niemal w zupełności dorównały rzeczywiste przeżycia wielorybnika.

Trudno więc się dziwić, że zmuszeni do poufałego obcowania z podobnymi fenomenami oraz świadomi tego, że po wielokrotnych, nieustraszonych atakach biały wieloryb uchodził przecież z życiem, niektórzy z wielorybników, pogrążywszy się jeszcze bardziej w zabobonie, oświadczali, iż Moby Dick jest nie tylko wszechobecny, ale i nieśmiertelny (jako że nieśmiertelność jest po prostu wszechobecnością w czasie); że choćby w bokach jego tkwiły całe gaje oszczepów, on jednak odpłynie bez szwanku; że choćby nawet kiedyś sprawiono, by trysnął gęstą posoką, widok taki byłby tylko upiornym mamidłem, gdyż nieskazitelna fontanna wieloryba dałaby się znowu ujrzeć wśród nieskrwawionych odmetów o setki mil od owego miejsca.

Ale nawet odarta z tych cech nadprzyrodzonych sama doczesna budowa oraz bezsporny charakter potwora wystarczały, by pobudzić imaginację z niezwykłą siłą. Mianowicie wyróżniał go spośród innych kaszalotów nie tyle jego niepospolity ogrom, co – jak to już na innym miejscu wspomniano – osobliwe, śnieżne, pomarszczone czoło tudzież wysoki, piramidalny biały garb. Były to najwybitniejsze rysy Moby Dicka, cechy, po których nawet na niezmiernych, nie oznaczonych na mapie morzach mogli go z daleka rozpoznać ci, co się z nim już zaznajomili.

Resztę cielska miał tak pręgowaną, nakrapianą i jak marmur znaczoną tą samą całunową barwą, że na koniec pozyskał wyróżniające miano białego wieloryba, miano, które całkowicie uzasadniał przejmujący widok, kiedy w samo południe sunął poprzez szafirowe morze pozostawiając za sobą mleczny szlak obfitej piany, wszystek mieniący się złocistymi lśnieniami.

Jednakże nie tyle jego niezwykła wielkość czy szczególna barwa, czy nawet zniekształcona dolna szczęka nadawała temu wielorybowi przyrodzoną straszliwość, co owa bezprzykładna, przemyślana złośliwość, którą według dokładnych relacji stale i ustawicznie wykazywał w swoich atakach. Jego zdradzieckie odwroty wzniecały może nawet większe przerażenie niż cokolwiek innego. Mianowicie wiadomo o nim było, że w ucieczce, płynąc przed swymi tryumfującymi prześladowcami i wykazując wszelkie widome objawy popłochu, niejednokrotnie nagle zawracał i rzuciwszy się na nich albo roztrzaskiwał im łodzie w drzazgi, albo też ścigał przerażonych ludzi aż do statku.

W pogoni za nim wydarzyło się już dotychczas kilka fatalnych wypadków. Aczkolwiek jednak podobne klęski, choć mało się o nich mówi na lądzie, nie są bynajmniej niezwykle w wielorybnictwie, przecie białego wieloryba w większości przypadków cechowała tak piekielna premedytacja w okrucieństwie, że każdą ranę czy

śmierć, jaką spowodował, trudno było uważać za zadaną przez moc nierozumną.

Osądzicie więc, do jakiego stopnia płomiennej, obłądnej furii doprowadzone były umysły co zacieklej szych łowców, kiedy pośród odłamków roztrzaskanych łodzi, wśród tonących szczątków rozdartych towarzyszy, wypływali z białej piany okrutnego gniewu wieloryba na rozpaczliwe pogodne światło słoneczne, które zsyłało na nich swój uśmiech jak w dzień zaręczyn czy urodzin. Niegdyś pewien kapitan widząc wokół siebie trzy łodzie roztrzaskane przez wieloryba a ludzi i wiosła wirujące pośród odmętów, porwał nóż z dzioba rozbitej łodzi i rzucił się ku wielorybowi, jak zapaśnik z Arkansas na swojego wroga, usiłując na oślep osiągnąć sześciocalowym ostrzem życia ukrytego w wielorybie na sążeń głęboko. Kapitanem tym był Ahab. I wtedy to, zagarnawszy nagle pod nim swą sierpowatą dolną szczęką, Moby Dick skosił nogę Ahaba jak żeniec żdźbła trawy na łące. Żaden Turek w turbanie, żaden najemnik wenecki czy malajski nie potrafiłby go porazić z bardziej widomą przewrotnością. Trudno więc było wątpić, że od czasu owego tak fatalnego spotkania Ahab żywił dziką żądzą zemsty nad wielorybem, tym zacieklejszą, że z właściwą sobie obłądną chorobliwością utożsamiał na koniec ze swym wrogiem nie tylko całą swoją cielesną niedolę, ale też wszystkie umysłowe i duchowe rozpacz. Biały wieloryb płynął przed nim jak myśl prześladowcza będąca wcieleniem wszystkich owych złych mocy, które zżerają niektórych ludzi głębokich, dopóki nie pozostawią ich przy życiu z połową płuc i serca. Owej nieuchwytniej, złej siły, która istniała od początku, o której nawet nowocześni chrześcijanie mniemają, iż panowaniem swoim obejmuje pół świata, której pod postacią posągu szatana starodawni oficy Wschodu cześć oddawali – siły tej Ahab nie czcił na klęczkach jak oni, ale przenosząc w szale jej ideę na znienawidzonego białego wieloryba, miotał się na nią, okaleczony. Wszystko, co najbardziej dręczy i doprowadza do szaleństwa, wszystko, co wstrząsa posadami rzeczy, wszelka prawda z utajonym w niej złem, wszystko, od czego pękają mięśnie i drętwieje mózg, wszelkie przewrotne demonizmy żywota i myśli, wszystko zło – były dla opętanego Ahaba widomie uosobione i dostępne dla jego ciosu w Moby Dicku. Na garbie białego wieloryba spiętrzył sumę wszystkiej powszechnej złości i nienawiści odczuwanej przez rodzaj ludzki od czasów Adama, a potem, jak gdyby własna jego pierś była kartaczownicą, rzucił we wroga pocisk swego gorejącego serca. Nie jest prawdopodobne, żeby ta monomania powstała w nim natychmiast, dokładnie w chwili jego cielesnego okaleczenia. Wówczas gdy rzucił się na potwora z nożem w rękę, dał po prostu upust nagłej, namiętnej, fizycznej wściekłości, a kiedy otrzymał cios, który go rozszarpał, najprawdopodobniej odczuł tylko dręczące rozdarcie ciała, ale nic ponad to. Kiedy natomiast zmuszony po owym starciu do zawrócenia z drogi leżał przez długie dni, tygodnie i miesiące wyciągnięty na hamaku pospołu ze swą udręką, płynąc wśród zimy wokół posępnego, dzikiego patagońskiego przylądka – wtedy to jego poszarpane ciało i rozrębana dusza poczęły krwawić w siebie nawzajem, i tak przenikając jedno w drugie, uczyniły zeń szaleńca. Że to dopiero wtedy, w czasie powrotnej podróży po owej walce, opanowała go ostatecznie myśl prześladowcza – wydaje się niemal pewne na podstawie faktu, iż w drodze od czasu do czasu dostawał napadów szału i choć pozbawiony nogi, miał przecie w swej egipskiej piersi tyle ukrytej

siły witalnej, spotęgowanej jeszcze przez szaleństwo, że jego oficerowie zmuszeni byli wiązać go krzepko wtedy właśnie, gdy tak płynął szaleńcem ogarnięty. Odziany w kaftan bezpieczeństwa kołysał się na swym hamaku w takt wściekłych kolebań nawałnic. Kiedy zaś dotarliśmy w znośniejsze regiony okręt rozwinął wszystkie żagle i sunął poprzez pogodne zwrotniki, a według wszelkich pozorów można było mniemać, iż delirium Ahaba pozostało gdzieś w tyle wraz z chwiejbami Przylądka Horn, nawet wtedy gdy wyszedł ze swej ciemnej nory na błogosławione światło i powietrze, gdy ukazał stanowcze, opanowane, choć blade oblicze i począł znowu wydawać spokojne rozkazy, a oficerowie dziękowali już Bogu, że odbiegał go ów obłąd okrutny – nawet wtedy szaleństwo Ahaba trwało utajone w głębi jego jestestwa. Obłąd ludzki bywa czasami przebiegły i jak kot podstępny. Kiedy już sądzicie, że zniknął, on tylko może się przeobrazić w jakąś jeszcze bardziej utajoną formę. Całkowity obłąd, jaki ogarnął Ahaba, nie ustąpił, ale pogłębił się i przyczął, niby nieokiełznany Hudson, owa szlachetna rzeka północy, kiedy przepływa spiętrzona, ale bezdena, poprzez górskie gardziele. Jednakże podobnie jak przez zdławienie tej manii prześladowczej Ahab nie uronił ani cząstki swego potężnego szaleństwa, tak też i w owym potężnym szaleństwie nie stracił ani krzty swego wielkiego przyrodzonego rozumu. Ta niegdyś żywa siła stała się obecnie żywym narzędziem. Jeżeli podobna, żeby ostała się tak szumna przenośnia, to powiedziec by można, iż szczególne szaleństwo Ahaba szturmowało jego ogólny rozsądek, zdobywało go, by następnie skierować cały skoncentrowany ogień jego dział na swój własny, obłądny cel; tak że Ahab, jak najdalej od utracenia swej siły, skupiał na tej jedynej sprawie po tysiackroć więcej mocy, niż to kiedykolwiek dotychczas przy zdrowych zmysłach uczynił w jakimś rozsądnym celu.

To już wiele, lecz większa, mroczniejsza, głębsza część duszy Ahaba pozostaje nie wyjawiona. Próżno jednak uprzystępniać rzeczy najgłębsze, a każda prawda jest głęboka. Schodząc daleko w dół z samego środka owego wieżowego Hotel de Cluny, w którym się teraz znajdujemy, opuśćmy go bez względu na to, jak wielki jest i wspaniały – pójdźmy, o szlachetne i smutne dusze, ku owym rozległym salom rzymskich Termów, gdzie głęboko popod fantastycznymi basztami wzniesionymi na skorupie człowieczego świata tkwią korzenie jego wielkości, wszystka jego omszała, straszliwa treść – jak starożytna rzeźba zagrzebana pod ziemią na strzaskanym tronie! Tak to wielcy bogowie szydzą z owego uwięzionego króla o tronie strzaskanym, on zaś na kształt kariatydy trwa cierpliwie, podtrzymując swym martwym czołem spiętrzone architrawy wieków. Zejdźcie tam, dumne, smutne dusze! Zapytajcie owego dumnego, smutnego monarchy! Oto konterfekt rodzinny! Zaiste, on właśnie począł was, młodzi królewscy wygnańcy, i tylko ten wasz ponury praszczur przekaże wam odwieczną, państwową tajemnicę.

Owóż w głębi serca Ahab miał tego przebłyski, a mianowicie myślał: wszystkie środki, jakich używam, są zdrowe, zaś pobudki moje i cel – szalone. Pozbawiony jednak mocy zniweczenia, odmienienia czy uniknięcia tego faktu, wiedział również, że od dawna taił go przed ludźmi; czynił to właściwie i nadal. Jednakże owo tajenie było jedynie uchwytnie dla jego postrzegania, nie zaś zależne od zdecydowanej woli. Niemniej udawało mu się ukrywać to tak dobrze, że kiedy swą kościaną nogą stąpnął

wreszcie na ląd, nikomu z nantucketańczyków nie przyszło nawet do głowy, że Ahab doświadcza czegoś więcej poza naturalną, dopiekającą do żywego boleścią z powodu okrutnego wypadku, jaki mu się przydarzył.

Relację o niewątpliwym napadzie szału, jakiemu uległ na morzu, także ogólnie przypisano pokrewnym przyczynom, jak również i całą późniejszą posepność, która zawsze od tej pory, aż po dzień odpłynięcia na „Pequodzie” w obecną podróż, osiadała w zadumie na czole kapitana. Nie jest też pozbawione prawdopodobieństwa, że wyrachowani mieszkańcy owej przezornej wyspy nie tylko byli jak najdalsi od powątpiewania, ze względu na tak ponure objawy, o zdatności Ahaba do następnej wyprawy wielorybniczej, ale skłonni byli żywić przekonanie, że z tych właśnie przyczyn stał się tym bardziej zawzięty i tym więcej miał danych, by poprowadzić pościg tak wściekły i dziki, jakim są krwawe łowy na wieloryby. Zżerany wewnętrznie, okaleczony cielesnie, z tkwiącym w nim nieubłaganym żądłem jakowejś nieuleczalnej myśli, człowiek taki, jeśliby się trafił, byłby chyba najodpowiedniejszy do rzucenia żelaza i podniesienia lancy na najstraszliwszą z bestii. Gdyby zaś sądzono, że z jakiegokolwiek powodu stał się fizycznie niezdolny do takiego dzieła, zawsze jednak uważano by go za najodpowiedniejszego do zagrzewania krzykiem swych podwładnych w czasie natarcia. Jakkolwiek tam było, pewne jest, że Ahab, zamknąwszy w sobie na wszystkie rygle i spusty obłądną tajemnicę swej niesłabnącej furii, wyruszył z rozmysłem na obecną wyprawę mając jeden jedyne, wszystko pochłaniający cel – pościg za białym wielorybem. Gdyby któremuś z jego dawnych znajomków z łądu przyszło choć na chwilę do głowy, co się naówczas kryło w Ahabie, jakżeby rychło ich przerażone, a cnotliwe dusze wyrwały okręt z rąk tak szatańskiego człowieka! Ich myśli biegły ku zyskownym wyprawom, z których profit można obliczyć w dolarach z mennicy. On pożywał zuchwałej, nieokiełznanej, nadprzyrodzonej pomsty.

Tak więc ów siwowłosy, bezbożny kapitan z przekleństwem ścigał po świecie hiobowego wieloryba na czele załogi składającej się ze zbieraniny renegatów, rozbitków i ludożerców, moralnie osłabionych przez nieporadność prostej, pozbawionej oparcia cnoty czy prawości Starbucka, niezwruszoną pogodę, obojętność i lekkomyślność Stubba oraz wszechogarniającą przeciętność Fiaska. Taka załoga, z takimi oficerami, zdawała się być specjalnie dobrana i skompletowana przez jakąś piekielną fatalność, żeby dopomóc Ahabowi w jego monomaniackiej zemście. Jak się to stało, że ludzie ci dali tak szczodry odzew na furię kapitana, jaki zły czar dusze ich opętał, że chwilami nienawiść Ahaba zdawała się być również i ich nienawiścią, a biały wieloryb równie ich jak i jego nieubłaganym wrogiem – jak do tego doszło, czym stał się dla nich biały potwór, czemu w nieświadomym pojęciu tych ludzi, jakimś mglistym nieodgadnionym sposobem wydał się on wielkim, sunącym demonem mórza życia – wyjaśnić to wszystko, znaczyłoby wnikać głębiej, niż to uczynić może Izmael. Czyliż ktoś potrafi rozpoznać po ciągle przesuwającym się stłumionym odgłosie kilofa, dokąd wiedzie sztolnia pracującego w każdym z nas podziemnego górnika? Któż nie odczuwa nieprzewycięzonego trudu ramienia? Jakież czółno holowane przez wojenną fregatę potrafi ustać w miejscu? Jeśli o mnie idzie, to dałem się ponieść chwili i okolicznościom, ale choć cały pałałem pragnieniem spotkania wieloryba, nie mogłem w nim dojrzeć

niczego prócz śmiertelnego zła.

## ROZDZIAŁ XLII

### BIAŁOŚĆ WIELORYBA

Wspomniano już, czym biały wieloryb był dla Ahaba; natomiast jak dotąd nie powiedziano, czym niekiedy stawał się on dla mnie.

Oprócz owych bardziej oczywistych rozważań na temat Moby Dicka, które tylko chwilami obudzić mogły w czyjejs duszy pewne zaniepokojenie, istniała jeszcze inna myśl albo raczej związana z nim niejasna i niewymowna groza, która czasem swoim natężeniem przeważała całkowicie nad wszystkim innym. Była ona wszelako tak tajemnicza i niemożliwa do odmalowania słowami, że nieomal tracę nadzieję ujęcia jej w jakąś zrozumianą formę. Tym, co najbardziej mnie przerażało, była białość owego wieloryba. Jakże jednak mogę się spodziewać, że potrafię to tutaj wytłumaczyć! A przecie wytłumaczyć to muszę tak czy owak, gdyż inaczej wszystkie te rozdziały pójdą na marne.

W wielu zwykłych, naturalnych przedmiotach białość podnosi i uświetnia ich krasę, niejako udzielając im jakowychś szczególnych własnych zalet – dotyczy to na przykład marmurów, kamelii i pereł; różne ludy w ten czy inny sposób uznały, że barwa ta odznacza się pewnym monarszym dostojnictwem; nawet wspaniali, barbarzyńscy królowie Pegu umieścili tytuł „Władcy Białych Słoni” przed wszystkimi innymi, górnołotnymi atrybutami swej władzy; współcześni królowie Syjamu rozwinęli tego samego śnieżnobiałego czworonoga na swym królewskim sztandarze; na fladze hanowerskiej widnieje jedynie sylwetka śnieżnego rumaka; wielkie imperium Austrii, cesarowy spadkobierca przepotężnej Komy, przyjęło jako kolor monarszy tę samą cesarską barwę. Prócz tego biel zawsze oznaczała radość, jako że u Rzymian białym kamieniem znaczyło się dzień wesóły; w innych doczesnych czuciach i symbolach kolor ten stał się godłem wielu wzruszających i szlachetnych spraw – niewinności oblubienic czy dobrotliwości starców. U czerwonoskórych Ameryki nadanie białej opaski *wampum* było oznaką najwyższego zaszczytu; w licznych krajach białość symbolizuje majestat sprawiedliwości w gronostajach sędziów i przyczynia się do codziennej wspaniałości królów i królowych, których pojazdy ciągnięte są przez mlecznobiałe rumaki. Nawet w najwyższych misteriach najdosjniejszych religii biel uczyniona została symbolem boskiej nieskazitelności i mocy; perscy czciciele ognia uważali biały pióropusz płomienia za coś, co mieli najświętszego na ołtarzu; w mitologii greckiej sam wielki Zeus wcielił się w śnieżnobiałego byka; dla szlachetnych Irokezów czyniona w środku zimy ofiara z poświęconego Białego Psa była bezwzględnie najświętszą ceremonią całej ich religii, ile że owo niepokalane, wierne zwierzę uważali za najczystszygo posłańca, jakiego mogli wyprawić do Wielkiego Ducha z dorocznymi zapewnieniami o swej wierności. Bezpośrednio z łacińskiego wyrazu, który oznacza „biały”, wszyscy kapłani chrześcijańscy wzięli nazwę jednej z części swych szat sakralnych, a mianowicie alby, czyli tuniki noszonej pod ornatem; wpośród uroczystych ceremonii rzymskiej wiary biel szczególnie jest używana przy obchodzeniu uroczystości Męki Pańskiej; w wizji św. Jana białe suknie dane są zbawionym, a dwudziestu czterech starców staje przybranych

w biel przed wielkim białym tronem, na którym zasiada Najwyższy, jako śnieg biały. A jednak mimo wszelkich nagromadzonych powyżej skojarzeń ze wszystkim, co słodkie, godne i wzniosłe, jakaś rzecz nieuchwytna kryje się w samym rdzeniu istoty owej barwy, coś, co wznieca w duszy więcej lęku niż owa czerwień, która przeraża we krwi.

To właśnie ta nieuchwytna cecha powoduje, że myśl o białości, jeśli jej odjąć wszelkie łagodniejsze skojarzenia i powiązać ją z jakimkolwiek przedmiotem strasznym samym w sobie, potęguje ową straszliwość do ostatnich granic. Weźcie na przykład białego niedźwiedzia podbiegunowego albo białego podzwrotnikowego rekina; cóż, jeśli nie ich gładka, śnieżna białość, czyni z nich owe nadprzyrodzone potwory? To owa biel upiorna nadaje łagodność tak ohydną, bardziej nawet obmierzłą niż straszną, niemej drapieżności ich wyglądu, tak iż żaden najzacieklejszy tygrys w swej heraldycznej sukni nie potrafi podobnie zachwiać męstwem, jak białoszaty niedźwiedź czy rekin.

Pomyślcie o albatrosie; skądże się biorą te obłoki nadprzyrodzonego podziwu i bladego lęku, w które spowita owa biała zjawą żegluję w wyobraźni wszystkich ludzi? To nie Coleridge był pierwszym, który rzucił ten czar, ale wielka, niepochlebca wybranka Boga – Natura.

Najsłynniejszą spośród naszych zachodnich kronik i indiańskich tradycji jest legenda o Białym Kumaku Prerii, wspaniałym, mlecznobiałym koniu o wielkich oczach, małej głowie i szerokiej piersi, odznaczającym się godnością tysiąca monarchów w swym wyniosłym i dumnym stąpaniu. Był on obieralnym Kserksesem olbrzymich stad dzikich koni, których pastwiska ograniczone były naówczas jedynie przez Góry Skaliste i Alleghańskie. Na czele swych hord płomiennych przebiegał te obszary w kierunku zachodnim, podobny owej wybranej gwiazdzie, która każdego wieczoru przewodzi zastępom światła. Połyskliwa kaskada jego grzywy, wygięta kometa jego ogona przystrajały go bardziej olśniewająco niż złote i srebrne hafty. Najwspanialsza, archanielska to była zjawą owego nieugiętego świata Zachodu, która w oczach starych traperów i myśliwców wskrzeszała chwałę tamtych pradawnych czasów, kiedy to Adam stąpał po ziemi majestatyczny jak bóstwo, szerokopierśny i nieulekły jak ten rumak mocarny. Czy koń ów kroczył między swymi adiutantami i marszałkami w straży przedniej niezliczonych kohort, które nie kończąc się rzeką zalały stepy wielkie jak Ohio, czy też wśród kręgu swoich poddanych, jak okiem sięgnąć skubiących trawę na horyzoncie, dokonywał w galopie ich przeglądu z rozgrzanymi nozdrzami czerwieniejącymi poprzez jego chłodną mleczność – w jakiegokolwiek się ukazał postaci, zawsze był dla najmężniejszych nawet Indian przedmiotem kornej czci i lęku. Z tego, co mówi legenda o tym koniu szlachetnym, nie sposób wątpić, że właśnie głównie jego uduchowiona biel nadawała mu boskość i że ta boskość miała w sobie coś, co nakazywało cześć, ale też jednocześnie przejmowało jakąś niewypowiedzianą bojaźnią.

Również i pod zgołą innymi postaciami natura nie omieszkała wpisać między swe najmniej uchwytnie, a jednak złośliwe czynniki tego najwyższego atrybutu grozy. Żelaznoręki duch Mórz Południowych nazwany został od swego śnieżnego oblicza Białym Szkwałem. Także i w niektórych przykładach historycznych sztuka ludzkiej złości nie pominęła tak potężnego sprzymierzeńca. Jak okrutnie spotęgowane jest wrażenie owego fragmentu z Proissarta, kiedy zamaskowani swoim śnieżnym

symbolem owi straceńcy – Białe Kaptury z Gandawy – mordują starostę na placu targowym!

Również w innych rzeczach ogólne dziedziczne doświadczenie rasy ludzkiej nie omieszkało dać świadectwa nadnaturalności owej barwy. Nie sposób wątpić, że jedyną widomą cechą człowieka nieżywego, która przeraża najbardziej, jest okrywająca go marmurowa bladość, jakby bladość ta była zarówno oznaką lęku na tamtym świecie jak i doczesnego przerażenia tu, na ziemi. Z tej to bladości umarłych zapożyczamy znamienne barwę całunu, w który ich spowijamy. Nawet w naszych zabobonach nie omieszkaliśmy zarzucić tego samego śnieżnego płaszcza na upiory; wszelkie widma unoszą się bowiem w mlecznobiałej mgle. Zaiste, skoro ogarnia nas ów lęk, dodajmy jeszcze, iż nawet sam król straszliwości, uosobiony przez ewangelistę, dosiada bladego rumaka.

Dlatego też, choćby w innym nastroju człowiek do woli nadawał symbol białości wszystkiemu, cokolwiek jest wielkie i nadobne, nikt przecie nie może zaprzeczyć, że kolor ów w swym najgłębszym, idealnym znaczeniu wywołuje w duszy szczególne zjawiska.

Choć jednak sprawa ta została już bezspornie ustalona, jakże może ją wytłumaczyć człowiek śmiertelny? Zanalizowanie jej wydaje się niemożliwe. Czy zatem możemy, przez zacytowanie pewnych przykładów, z których wynika, że ta cecha białości (choć w danej chwili całkowicie albo w znacznej mierze pozbawiona wszelkich bezpośrednich skojarzeń mogących jej nadać coś przerażającego) działa na nas tym samym, choć nieco zmienionym urokiem – czy możemy mieć nadzieję, że w ten sposób natrafimy na jakiś przypadkowy trop, który nas doprowadzi do ukrytej, a poszukiwanej przez nas przyczyny?

Popróbujmy. Wszelako w podobnej materii subtelność odwołuje się do subtelności; bez wyobraźni nikt nie jest w stanie podążać za innymi w owe regiony. I choć bez wątpienia przynajmniej niektóre z fantastycznych wyobrażeń, jakie tu mamy przedstawić, były udziałem wielu ludzi, jednakże może naówczas tylko nieliczni zdawali sobie z nich w pełni sprawę i dlatego mogą nie być w stanie przypomnieć ich sobie obecnie.

Czemuż to dla człowieka o samorodnej fantazji, który przypadkiem jest słabo obeznany ze szczególnym charakterem owego dnia, samo wspomnienie Zielonych świątek nasuwa wyobraźni długie, posępne, milczące procesje pielgrzymów, kroczących z wolna ze spuszczoneymi głowami okrytymi kapturem barwy świeżego śniegu? Dlaczego dla nieoczytanego, niezepsutego protestanta ze środkowych stanów Ameryki przypadkowa wzmianka o Białym Zakonniku czy Białej Mniszce wywołuje w duszy obraz takiego właśnie bezokiego posągu? A co sprawia – oprócz tradycji zamczyska królów, i wojowników, której to tradycji brak by było dostatecznej po temu mocy – co sprawia, że londyńska Biała Baszta przemawia o tyle silniej do wyobraźni nieobytego w świecie Amerykanina niż owe inne wyniosłe budowle, jej sąsiadki: Baszta Boczna, czy nawet Krwawa? A te jeszcze wynioslejsze baszty, Białe Góry z New Hampshire? Czemu w pewnym nastroju na sam dźwięk ich nazwy spływa na duszę owa gigantyczna groza, podczas gdy myśl o Błękitnych Turniach z Wirginii pełna jest

łagodnego, uperlonego rosą, dalekiego rozmarzenia? Albo dlaczego, bez względu na długość i szerokość geograficzną, nazwa Morza Białego wywiera na fantazję wpływ tak widmowy, podczas gdy miano: Morze Żółte kołysze nas doczesnymi myślami o spędzanych na falach długich, łagodnych popołudniach połyskliwych jak laka, po których następuje najjaskrawszy, a jednak senny zachód słońca? Albo też, żeby wybrać przykład całkiem nieistotny, przemawiający wyłącznie do fantazji, czemu to, gdy się czyta stare baśnie Europy środkowej, ów „wysoki biały człowiek” z borów Harcu, którego niezmienna bladość sunie przez zieleni kniej – czemu owo widmo straszniejsze jest od wszystkich wrzaskliwych skrzatów z gór Blocksburg?

A Lima? Toć przecie nie wspomnienie jej katedroburczych trzęsień ziemi ani groza jej rozszalałych mórz, ani bezławość oschłego nieba, z którego nigdy nie spada deszcz – nie widok rozległego pola jej wałących się wieżyc, rozbitych sklepień i pochowanych krzyżów (podobnych do przekrzywionych rej zakotwiczonej flotylli), nie podmiejskie aleje domków, których ściany leżą jedne na drugich jak rozsypana talia kart – nie tylko te wszystkie rzeczy czynią z nie znającej lęz Limy najdziwniejsze, najsmutniejsze miasto, jakie oglądać można. Albowiem Lima przywdziała biały welon i w tej bieli jej nieszczęścia tkwi groza najwyższa. Stara jak Pizzaro, białość owa utrzymuje ruiny miasta w stanie wiecznej świeżości, nie dopuszcza wesolej zieleni zupełnego rozpadu, rozpościera nad potrzaskanymi murami obronnymi drętwą bladość paraliżu, który sam stanowi o swoim kalectwie.

Wiem, że w rozumieniu ogółu owo zjawisko białości nie jest uznawane za najglówniejszy czynnik potęgujący straszliwość rzeczy i tak już przerażających; dla umysłu pozbawionego imaginacji nie ma nic okropnego w takich zjawiskach, których groza polega dla kogo innego wyłącznie na tym jednym fenomenie – szczególnie jeśli przejawia się on pod postacią w jakikolwiek sposób zbliżoną do milczenia albo powszechności. Za pomocą przykładów, jakie niżej podaję, da się może wyjaśnić, co rozumiem przez te dwa stwierdzenia.

Po pierwsze: jeśli marynarz zbliżający się do wybrzeży obcego lądu dosłyszcy nocą ryk fal uderzających o skały, zaraz poczyna bacznie się rozglądać i doświadcza akurat tyle obawy, ile trzeba, aby wyostrzyć wszystkie jego zmysły; ale niech tylko .wywołany z hamaku w dokładnie takich samych okolicznościach ujrzy, iż jego okręt sunie o północy przez morze o tak mlecznej białości jakby z dookolnych cyplów lądu podpływały zewsząd czeredy kudłatych białych niedźwiedzi – natenczas marynarz ów odczuje niemy, zabobonny strach; całunowe widmo zbiegających wód staje się dlań równie okropne jak prawdziwy upiór; daremnie ołów sondy upewnia go, że jeszcze tu zgruntować nie sposób; serce i ster nie mogą dłużej zdzierżyć – człowiek ów nie spocznie, póki znowu nie ujrzy pod sobą błękitnej toni. Wszelako gdzież znajdzie się taki marynarz, który wam powie: „Panie, to nie tyle strach przed ukrytymi rafami, co lęk przed tą ohydłą białością tak mnie wzburzył.”

Po drugie: dla tubylca, Indianina z Peru, stały widok Andów okrytych czaprakiem śniegu nie ma w sobie nic przerażającego, z wyjątkiem może zwyczajnych wyobrażeń o wieczystej, zamarzłej pustce, jaka panuje na tak olbrzymich wysokościach oraz naturalnych myśli o tym, jak strasznie byłoby zagubić się wśród tej nieludzkiej

samotności. Coś bardzo podobnego dzieje się z mieszkańcem kniej zachodu, który ze stosunkową obojętnością spogląda na nieprzemierzoną prerię okrytą nawianym śniegiem, bez śladu drzewa czy gałązki, która by przełamała niewzruszone zakłęcie bieli. Inaczej się rzecz ma z żeglarzem oglądającym scenię mórz Antarktydy, gdzie czasem, dzięki jakowejś szatańskiej magii potęg mrozu i powietrza, widzi on, drżący półrozbitek, nie tęczę mówiącą o nadziei i pocieszeniu w niedoli, ale coś, co się wydaje bezbrzeżnym cmentarzyskiem chichoczącym doń swymi smukłymi pomnikami i potrzaskanymi krzyżami z lodu.

Powiecie jednak może, iż ten śnieżnobiały rozdział o białości jest tylko białą flagą, którą wywieszono nad słabą duszą; ulegasz hipochondrii, Izmaelu.

A wytłumaczcie mi, dlaczego to młody, krzepki źrebiec zrodzony gdzieś wśród cichej doliny Vermontu, żyjący z dala od wszelkich zwierząt drapieżnych, ledwie w najśnieźniejszy dzień potrząsnąć za nim świeżo ściągniętą skórą bawołu – tak że jej nawet nie może ujrzeć, a tylko czuje jej dziki, zwierzęcy odór – czemu źrebiec ów drgnie, parsknie i z rozszerzoną żrenicą pocnie bić w ziemię kopytami w szaleństwie przestachu? Nie tkwią w nim żadne wspomnienia o ciosach rogów dzikich bestii wśród jego zielonych, północnych pól macierzystych, tak że owa woń dziwna, którą czuje, nie może mu przypominać niczego, co by się kojarzyło z poznanym dawniej niebezpieczeństwem; cóż bowiem on, źrebiec nowoangielski, może wiedzieć o czarnych bizonach dalekiego Oregonu?

Nic – ale oto tutaj widzicie nawet w niemym zwierzęciu obraz instynktownej wiedzy o demonizmie świata. Choć oddalony o tysiące mil od Oregonu, przecie kiedy zwietrzy ów dziki odór, stają mu przed oczami szarpiące i bodące stada bizonów – równie żywo, jak opuszczonemu dzikiemu koniowi stepowemu, którego może w tej samej chwili w pył wtratówały.

Tak też i stłumione pochłusty mlecznego morza, zimny szelest nawisów lodowych, posępne przewalanie się po stepach miecionego wiatrem śniegu – to wszystko dla mnie, Izmaelu, jest tym samym, co potrząśnięcie skórą bawołu dla przerażonego źrebca.

Chociaż nikt nie wie, gdzie się znajdują te rzeczy nie nazwane, o których mówi nam ów znak tajemny, jednak dla mnie, podobnie jak dla tego konia, pewne jest, że gdzieś one istnieć muszą. Mimo że w wielu ze swych postaci ten widzialny świat zdaje się być stworzony w miłości, jednakże strefy niewidzialne poczęte zostały w lęku.

Ale jeszcześmy nie rozwiązali zagadki czarodziejstwa białości; jeszcześmy się nie dowiedzieli, czemu pociąga ona duszę z taką siłą – a co dziwniejsze i bardziej niezwykle – dlaczego, jak widzieliśmy, jest ona najbardziej znaczącym symbolem rzeczy ducha, zaiste samą szatą bóstwa chrześcijan, a jednocześnie może być najpotężniejszym czynnikiem we wszystkim, co najbardziej ród ludzki przeraża.

Czy jest tak dlatego, że przez swą nieskończoność ukazuje ona zarys bezdennej pustki i ogromu wszechświata i w ten sposób zadaje nam cios w plecy myślą o unicestwieniu, kiedy spoglądamy na białe głębiny Mlecznej Drogi? Czy dlatego, że białość w samej swej istocie jest nie tyle barwą, co widomym brakiem barwy, a jednocześnie konkretem wszelkich barw – czy to z tej przyczyny w rozległym krajobrazie śniegów tkwi tak milcząca, a pełna znaczenia pustka – bezbarwny,

wielokolorowy ateizm, przed którym się wzdragamy? Kiedy zaś rozważymy tę inną teorię filozofów natury, mówiącą, iż wszystkie inne ziemskie kolory – wszelkie imponujące czy śliczne ozdoby – słodkie odcienie nieba i boru o zachodzie, pozłocisty aksamit motyli, motyle policzki młodych dziewcząt – że wszystkie one są jeno subtelnym oszustwem, nie przyrodzonym materii, a tylko położonym na nią z zewnątrz, tak że cała ubóstwiana natura maluje się zupełnie jak nierządnicą, której powaby nie pokrywają niczego prócz wewnętrznego truchła; kiedy pójdziemy dalej jeszcze i rozważymy, że ów mistyczny kosmetyk, który wytwarza wszelką barwę w przyrodzie – wielki pierwiastek światła – pozostaje sam w sobie na wieki biały lub bezbarwny i że działając bezpośrednio na materię dotknąłby wszelkich przedmiotów, nawet róż i tulipanów, swą własną, martwą barwą – zważywszy to wszystko, widzimy, iż bezwładny wszechświat leży przed nami na podobieństwo człowieka trędowatego. Jak uparci podróżni, co w Laponii nie chcą nałożyć na oczy kolorowych i wszystko barwiących szkieł, tak nieszczęsny, któremu brak wiary, wpatruje się aż do ślepoty w wszechpotężny, biały całun, który spowija wszystko, co widać wokoło. A wszelkich tych rzeczy symbolem był wieloryb-albinos. Czyż więc dziwicie się zacieklej pogoni?

## ROZDZIAŁ XLIII

### SŁUCHAJCIE!

– Cyt! Słyszałeś ten szelest, Cabaco?

Było to w czasie środkowej wachty – księżyc świecił pięknie; marynarze stali sznurem ciągnącym się od jednej z beczek ze słodką wodą na śródkręciu aż do wielkiej kadzi przy burcie rufowej. W ten sposób podawali sobie kolejno wiadra, aby napęlić każdą. Jako że większość ich znajdowała się w uświęconym obrębie mostka kapitańskiego, pilnie więc baczyli, by nie gadać ani nie szurać nogami. Wiadra przechodziły z rąk do rąk w najgłębszej ciszy, którą od czasu do czasu przerywał tylko trzepot żagla i równy szum nieprzerwanie sunącego w przód kilu.

Właśnie wpośród tej ciszy Archy, jeden z marynarzy, zajmujący w szeregu miejsce opodal luku rufowego, szepnął swojemu sąsiadowi, metysowi, powyższe słowa.

– Cyt! Słyszałeś ten szelest, Cabaco?

– Bierżże wiadro, Archy! O jaki szelest ci idzie?

– O, znowu! Tam pod pokrywą luku... nie słyszałeś? Kaszlnięcie... to brzmiało całkiem jak kaszel.

– Do diabła z kaszlem! Dawaj to powracające wiadro!

– Znowu! Tak jest! A teraz to zupełnie tak, jakby kilku śpiących przewracało się z boku na bok!

– *Caramba!* Dajże już spokój, kamracie! To te trzy rozmoczone suchary, któreś zjadł na wieczerzę, kołaczą ci się po brzuchu – nic innego. Uważaj na wiadro!

– Gadaj sobie, co chcesz, bracie, a ja mam dobre uszy.

– O, tak! To ty przecie jesteś tym, co na pełnym morzu, o pięćdziesiąt mil od Nantucket dosłyszał brzęk drutów starej kwakierki! Ty to potrafisz!

– Śmieję się zdrów. Zobaczymy, co się okaże. Słuchaj mnie, Cabaco – tam, w tylnej ładowni, siedzi ktoś, kogo się jeszcze nie widziało na pokładzie, a podejrzewam, że nasz Stary Mogoł wie o tym coś niecoś. Słyszałem, jak któregoś dnia w czasie wachty porannej Stubb gadał Flaskowi, iż coś w tym guście wisi w powietrzu.

– Tss... wiadro!

## ROZDZIAŁ XLIV

### MAPA

Gdybyście byli zeszli do kajuty za kapitanem Ahabem po szkwale, który się rozpętał owej nocy, kiedy to kapitan w sposób tak niesamowity obwieścił załodze o swoich zamiarach, ujrzelibyście, iż Ahab podszedł do szafki znajdującej się na belce poprzecznej, dobył stamtąd duży, zwinięty rulon pożółkłych map morskich i rozłożył je na stole przyśrubowanym do podłogi. Następnie widielibyście, jak zasiadł przy nim, pilnie studiował różnorodne kreski i barwy, jakie napotykało tam jego oko, i powolnymi, ale pewnymi ruchami ołówka kreślił dodatkowe linie poprzez przestrzenie, które dotąd były puste. Od czasu do czasu zaglądał do ' leżącego opodal stosu starych dzienników okrętowych, gdzie zanotowane były pory roku oraz miejsca, w których złowiono albo widziano kaszaloty w czasie rozmaitych wypraw przedsięwziętych poprzednio przez różne okręty.

Podczas gdy był tym zajęty, ciężka cynowa lampa, zawieszona na łańcuchu nad jego głową, ustawicznie kołysała się wraz z ruchem statku, nieprzerwanie rzucając ruchome blaski i smugi na zmarszczone czoło kapitana, aż się niemal zdało, że podczas gdy on sam wyznaczał linie i kursy na pomarszczonych mapach, jakiś niewidzialny ołówek również kreślił linie i kursy na głęboko żłobionej mapie jego czoła.

Ale nie tylko tej nocy Ahab w samotności swej kajuty tak ślęczał nad mapami. Dobywał ich niemal co noc; niemal co noc wycierał jakieś znaki ołówkowe, a na ich miejsce pojawiały się inne. Ahab bowiem rozłożywszy przed sobą mapy wszystkich czterech oceanów przebijał się przez labirynt prądów i wirów, aby tym pewniej wprowadzić w czyn myśl prześladowczą swojej duszy.

Otóż komuś, kto nie zaznajomił się w całej pełni z obyczajami Lewiatanów, takie poszukiwanie jednego samotnego stworzenia po bezgranicznych oceanach tej planety może się wydać absurdalnie beznadziejnym przedsięwzięciem. Nie wydawało się nim jednak Ahabowi, znającemu kierunki wszystkich prądów i przyływów; w ten sposób bowiem potrafił obliczyć przesuwanie się żyjatek, którymi żywi się kaszalot, a przywodząc sobie na pamięć regularne, ustalone pory roku, w których najlepiej jest nam polować w różnych stronach świata, mógł dojść do rozsądnych wniosków zbliżonych niemal do pewności, co do najodpowiedniejszego dnia, w którym należy się znaleźć na tym a tym terenie, aby odszukać swoją ofiarę.

Okresowość odwiedzania przez kaszalota danych wód jest bowiem faktem tak bezspornym, iż wielu łowców uważa, że gdyby tylko zwierza ściśle obserwować i śledzić po całym świecie, gdyby starannie zestawili dzienniki okrętowe z jednej wyprawy całej wielorybniczej flotylli, wówczas okazałoby się, że wędrówki kaszalota są równie niezmiennie jak wędrówki ławic śledzi czy. stad jaskółek. Z tej racji czyniono próby sporządzenia starannie opracowanych map wędrówek kaszalota.

Prócz tego, kaszaloty przenosząc się z jednego żerowiska na drugie, kierowane jakimś nieomylnym instynktem – albo powiedzmy raczej: tajemnymi informacjami udzielonymi im przez bóstwo – najczęściej płyną wzdłuż tak zwanych „żył”,

wybierając sobie drogę według danej linii na oceanie z tak niechybną dokładnością, że nigdy żaden okręt, opierając się na jakiegokolwiek mapie, nie szedł po swoim kursie z jedną dziesiątą równie cudownej precyzji. Chociaż w owych przypadkach kierunek obrany przez każdego poszczególnego wieloryba jest prosty jak przykładnica mierniczego i chociaż jego linia posuwania się jest ściśle ograniczona do własnego, nieuniknionego, prostego warty, to jednak owa rzekoma „żyła”, po której wówczas podobno płynie, obejmuje na ogół kilka mil szerokości (mniej więcej – wzięwszy pod uwagę, że żyła powinna kurczyć się i rozszerzać), nigdy jednak nie przekracza pola widzenia z masztu żaglowca wielorybniczego, który ostrożnie sunie przez tę zaklętą strefę. Z tego wynika, że w odpowiedniej porze roku można z dużą pewnością poszukiwać wędrujących wielorybów wzdłuż takiego szlaku i w obrębie takiej szerokości.

Dlatego to Ahab mógł mieć nadzieję, że spotka swą ofiarę nie tylko w ustalonym czasie na dobrze znanych poszczególnych żerowiskach, ale krążąc po rozległych obszarach wodnych między tymi terenami, mógł swoją sztuką tak sobie wyznaczyć miejsce i czas na swej drodze, iż nawet tam nie był całkowicie pozbawiony możliwości spotkania.

Istniała pewna okoliczność, która na pierwszy rzut oka zdawała się wikłać jego obłądny, a jednak metodyczny plan. W rzeczywistości jednak tak chyba nie było. Choć towarzyskie kaszaloty mają swoje regularne pory odwiedzania poszczególnych terenów, jednakże na ogół nie można stąd wnosić, że stada, które nawiedziły w tym roku taką a taką szerokość czy długość geograficzną, okażą się, powiedzmy, identycznie tymi samymi, co te, które spotkało się tamże w poprzednim sezonie, mimo że istnieją poszczególne niewątpliwe przypadki, kiedy przekonujemy się, że tak było w istocie. To samo spostrzeżenie, tyle tylko, że w nieco mniejszym zakresie, odnosi się na ogół również do samotników i pustelników spośród dojrzałych, starych kaszalotów. Toteż choć Moby Dicka widziano w roku ubiegłym, przypuśćmy, na terenach Oceanu Indyjskiego zwanych Seychelle czy też w Zatoce Wulkanów u wybrzeży Japonii, nie wynika stąd jeszcze, że gdyby „Pe-quod” odwiedził obydwie te miejsca któregoś z następnych lat o tej samej porze, musiałby wówczas niechybnie go tam napotkać. To samo dotyczy także i innych terenów żeru, na których czasami się pokazywał. Wszystkie one jednak były dlań widocznie przypadkowymi popasami, oberżami na oceanie, że się tak wyrażę, a nie miejscem dłuższego pobytu.

Mówiąc więc wyżej o szansach, jakie miał Ahab na osiągnięcie swego celu, wspomniano jedynie o jakichś ubocznych, przypuszczalnych, nadzwyczajnych możliwościach, które mógł mieć, zanimby dotarł do ustalonego miejsca, o ustalonym czasie, kiedy to wszelkie możliwości stają się prawdopodobieństwem, a jak marzył Ahab, każda możliwość – niemal pewnością. Ten właśnie ustalony czas i miejsce były połączone w jednym fachowym zdaniu: „Sezon Łowiecki na Równiku”. Tam bowiem, o danej porze, przez kilka kolejnych lat rozpoznawano co pewien czas Moby Dicka, który zatrzymywał się chwilę na owych wodach, kiedy słońce w swym dorocznym obiegu przystawało na przewidziany moment przy którymś ze znaków zodiaku. Tam to odbywała się większość śmiertelnych spotkań z białym wielorybem, tam fale sławiły

jego czyny, tam również *byto* owo miejsce tragiczne, w którym obłąkany kapitan znalazł straszną przyczynę swojej zemsty. Ale w ostrożnej przemyślności i niezmordowanej czujności, z jaką pchnął swą posępną duszę w ten nieubłagany pościg, Ahab nie pozwoliłby sobie wiązać wszystkich nadziei z tym jednym zasadniczym faktem, o którym wyżej była mowa, jakkolwiekby on nadziejom tym schlebiał, a spędzając sen z powiek ślubowanie nie pozwalało mu tak ukoić poszukiwania, jakie by mógł tymczasem przedsięwziąć.

Otóż „Pequod” wypłynął z Nantucket na samym początku Sezonu Łowieckiego na Równiku. Dowódca żadną miarą nie mógł przebyć długiej drogi na południe, opłynąć Przylądka Horn i. po przemierzeniu sześćdziesięciu stopni szerokości geograficznej dotrzeć na czas do równikowych obszarów Pacyfiku, by tamże łowy rozpocząć. Dlatego musiał czekać na następny kolejny sezon. Jednakże przedwczesna pora wyruszenia „Pequoda” została, być może, prawidłowo wybrana przez Ahaba właśnie z uwagi na te wszystkie czynniki. Mianowicie miał przed sobą pusty okres trzystu sześćdziesięciu pięciu dni i nocy; odstęp czasu, który – zamiast go niecierpliwie przeczekiwać na lądzie – poświęciłby łowom, w razie gdyby przypadkiem biały wieloryb, spędzając wakacje na morzach bardzo oddalonych od swoich okresowych żerowisk, miał wynurzyć swe pomarszczone czoło gdzieś niedaleko Zatoki Perskiej albo w Zatoce Bengalskiej czy też na Morzach Chińskich lub na jakichkolwiek innych wodach nawiedzanych przez jego plemię. Tak więc mussony, wiatry z pampasów, wichry północno-zachodnie, harmattany czy passaty – wszelkie wiatry z wyjątkiem lewentyńskich i samumu – mogły zapędzić Moby Dicka na kręty, zygzakowaty szlak, który „Pequod” zakreślał dokoła świata.

Ale nawet gdybyśmy się z tym wszystkim zgodzili, to jednak, zastanowiwszy się rozsądnie i spokojnie, czyż nie uznamy za wręcz szaloną myśl, że pojedynczy, samotny wieloryb, nawet jeżeli go się spotka na szerokim, bezmiernym oceanie, mógłby być rozpoznany przez łowcę – tak jakby ktoś chciał rozpoznać białobrodęgo mułkę wśród tłumnych ulic Konstantynopola! I owszem; rzecz ta jest możliwa. Albowiem nie sposób było pomylić się widząc osobliwy, śnieżnobiały łeb Moby Dicka i jego śnieżnobiały garb. „Czyż nie zakarbowalem sobie tego wieloryba – mrucał pod nosem Ahab, gdy poślęczawszy nad mapami długo w noc, powracał do swych rojeń – czyż nie zakarbowalem go sobie, miałżeby mi się wymknąć? Jego szerokie płetwy podziurawione są, poznaczone jak ucho zabłąkanej owcy!” I wtedy oszalały umysł kapitana zaczynał pędzić w pogoń bez tchu, aż przychodziło nań utrudzenie i zasłabnięcie myśli; wówczas Ahab próbował odzyskać siły na otwartym powietrzu pokładu. O, Boże! Jakież tortury udręki przechodzi ten, którego zżera jedyne, nienasycone pragnienie zemsty! Sypia z zaciśniętymi pięściami, a budzi się z krwawymi pazurami wbitymi we własne dłonie.

Często gnały Ahaba z hamaku wyczerpujące, nieznośne żywe zwidy nocne, które, pochwywszy jego myśli snute za dnia, niosły je dalej wśród opętania, wirując bez przerwy w rozpalonym mózgu, aż samo pulsowanie w nim życia stawało się nieznośną udręką. Kiedy zaś, jak to się czasami zdarzało, owa męka duszna wyważała jego jestestwo z posad, aż rozwierała się w nim jakby otchłań, z której wystrzelały

pióropusze płomieni i błyskawice, a potępione duchy dawały mu znak, by się z nimi połączył, kiedy to wewnętrzne piekło ziało pod jego stopami, wówczas przez wszystkie okryty prznikał krzyk dziki i Ahab z gorejącymi oczyma wypadał ze swej kajuty, jak gdyby wyskakiwał z łoża, które ogarnął płomień. Rzeczy te jednak, miały być niepowściągalnymi przejawami jakiejś ukrytej słabości czy lęku przed własną decyzją, były najoczywistszymi znamionami napięcia jego siły. W takich razach szalony Ahab, przewidujący, niezaspokojony i uparty w swej pogoni za wielorybem, ten Ahab, który legł na hamaku, nie był tą samą siłą, która kazała mu zerwać się zeń na powrót w przerażeniu.

Siłą tą był odwieczny, żywy pierwiastek jego duszy, który oderwany na chwilę przez sen od rozumującego umysłu, używającego go kiedy indziej jako zewnętrznego narzędzia i sługi, szukał odruchowo ucieczki od palącej bliskości obłądzenia, z którym w danej chwili przestawał tworzyć jedność. Wszelako zważywszy, że myśl nie może istnieć bez powiązania z duszą, w wypadku Ahaba musiało dziać się tak, iż skoro człowiek ten podporządkował wszystkie swe myśli i wyobrażenia jednemu najwyższemu celowi, ten cel dzięki prostemu uporowi woli stawał się wbrew bogom i szatanom czymś w rodzaju samozwańczego, od niczego niezależnego bytu. Cel ten mógł wieść dalej swe ponure życie, mógł płonąć, podczas gdy ogólna żywotność człowieka, z którą był złączony, zdjeta przerażeniem uciekała od tego nieproszonego, nieprawego płodu. Dlatego też udręczony duch, promieniejący z oczu tego kogoś, kto zdawał się być Ahabem, w chwili gdy ów wypadał z kajuty, był w tym momencie pustką, bezkształtną, somnambuliczną istotą, promieniem światła, żywego, oczywiście, ale światła, które nic nie umiało ubarwić, było przeto pustką samą w sobie. Niechaj Bóg ma cię w swej pieczy, kapitanie; myśli twoje stworzyły w tobie istotę żywą – zaś na sercu tego, kogo myśl napięta czyni Prometeuszem, żeruje po wsze czasy sęp, a sęp ten jest tą właśnie istotą, którą on sam *w* sobie tworzy.

## ROZDZIAŁ XLV

### AFFIDAVIT

Poprzedni rozdział w swej pierwszej części należy do najważniejszych z całego tomu, jeśli idzie o to wszystko, co w książce niniejszej jest opowieścią, a także ponieważ pośrednio mówi o kilku wielce interesujących i osobliwych szczegółach dotyczących obyczajów kaszalotów. Jednakże główny temat tego rozdziału wymaga, żeby go dalej i dokładniej rozwinąć, a to w tym celu, by umożliwić właściwe jego zrozumienie i, co więcej, przewyciężyć wszelkie niedowierzanie co do rzetelnej prawdziwości głównych punktów całej sprawy, wzbudzone w niektórych umysłach przez głęboką nieznamość tematu.

Nie dbam o to, by wykonać tę część mego zadania w sposób metodyczny; zadowolnię się jedynie wywołaniem żądanego wrażenia przez oderwane cytowanie faktów znanych mi jako wielorybnikowi z praktyki albo ze źródeł pewnych; z tych zaś cytaty, jak sądzę, wniosę, do którego dążę, sam wypłynię w sposób naturalny.

Po pierwsze: ja osobiście znam trzy przypadki, kiedy wieloryb zbiegł bez śladu z wbitym harpunem, a po pewnym odstępie czasu (trzyletnim, w jednym z przypadków) ugodzony został tą samą ręką i ubity, a wtedy wydobyto z cielska owe dwa żeleźca, oba znaczone tą samą osobistą cyfrą. W przypadku, kiedy to trzy lata – a jak sądzę, nawet nieco więcej – upłynęły między dwoma rzutami harpunów, człowiek, który je cisnął, wyruszył statkiem handlowym na wyprawę do Afryki, tam wysiadł na ląd, przyłączył się do ekspedycji odkrywczej, przeniknął głęboko do wnętrza kraju, gdzie przez okres niemal dwóch lat podróżował, nieraz narażony na niebezpieczeństwo ze strony węzów, dzikich krajowców, tygrysów, trujących wyziewów oraz na wszystkie inne zwykłe przygody związane z wędrówką w sercu nieznanymi krainami. Tymczasem wieloryb, którego ugodził, musiał również odbywać swoje podróże; niewątpliwie po trzykroć opłynął kulę ziemską ocierając się o wszystkie wybrzeża Afryki, ale jednak na próżno. Ten sam człowiek i ten sam wieloryb znowu-natknęli się na siebie, a wtenczas jeden pokonał drugiego. Jak powiadam, sam znałem trzy podobne przypadki, to znaczy w dwóch z nich widziałem, jak ugodzono wieloryba, a po drugim ataku wydobyto z nieżywej ryby oba żelaza z wyrzezanymi na nich odnośnymi znakami. W tamtym trzyletnim wypadku tak się przydarzyło, że znajdowałem się w łodzi oba razy – za pierwszym i za ostatnim, a tym drugim razem wyraźnie rozpoznałem pod okiem wieloryba szczególnego rodzaju wielkie znamię, które zauważyłem przed trzema laty. Mówię tu o trzech latach, ale jestem niemal pewny, że trwało to dłużej. Oto więc trzy przykłady, o których prawdziwości osobiście się przekonałem; słyszałem jednak o wielu innych od osób, co do których prawdomówności w danej materii nie ma powodu wysuwać jakichkolwiek zarzutów.

Po wtóre: poławiaczom kaszalotów dobrze to wiadomo, jakkolwiek nieświadomi są tego ludzie żyjący na lądzie, że istnieje kilka pamiętnych historycznych przykładów, iż danego wieloryba powszechnie na oceanie rozpoznawano w znacznych odstępach czasu oraz w odległych od siebie miejscach. Przyczyną faktu, że go sobie w ten sposób

zakonotowano, nie były wyłącznie i w pierwszym rzędzie jakieś jego fizyczne właściwości, odmienne niż u innych wielorybów, jakkolwiek bowiem osobliwy może być w tej mierze który bądź z nich, rychło kładzie się koniec owym osobliwościom przez ucieczkę go i przetopienie na osobliwie wartościowy olej. Nie; przyczyna była tu następująca: na skutek zgubnych doświadczeń połowów otaczał takiego wieloryba straszliwy urok niebezpieczeństwa, podobnie jak Rinalda Rinaldini, tak że większość rybaków, rozpoznawszy go, zadowalała się po prostu dotknięciem dłonią swych zydwestek, kiedy go wypatrzyli z wolna sunącego mimo przez toń morską; nie usiłowali natomiast nawiązywać z nim bardziej poufalej znajomości. Podobnie i na łodzi niektórzy hołysze, znając przypadkowo popędliwego, a możnego człeka, spotkawszy go na ulicy składają mu z dala nie natrętny ukłon, gdyby bowiem narzucali się owemu znajomemu, mogliby krótko i wężłowato oberwać szturchańca za zbytnią dufność w siebie.

Ale każdy z tych słynnych wielorybów nie tylko się cieszył ogromną indywidualną sławą – mało powiedzieć: rozgłosem sięgającym jak ocean długi i szeroki; nie tylko był słynny za życia, a teraz, po zgonie, zyskał nieśmiertelność w historiach opowiadanych o nim na forkaście, ale jeszcze dopuszczony został do wszelkich praw, przywilejów i zaszczytów związanych z wielkim imieniem – miał bowiem imię równie potężne jak Cezar czy Kambyzes. Czyż nie tak to było, o Timor Tomie, ty przesławny Lewiatanie o ciele znaczonego bliznami jak góra lodowa, któryś tak długo czatował we wschodnich cieśninach tegoż imienia, ty, którego fontannę częstokroć oberwowano z palmowych plaż Ombaju? Czy nie tak było, Jacku Nowozelandzki, ty postrachu wszystkich żeglarzy, którzy krzyżowali swe szlaki w pobliżu Tattoo Lant? Czy nie podobnie działo się z tobą, o Morquanie, królu Japonii, którego wydmuch wyniosły przybierał czasem, jak powiadają, pozór śnieżnobiałego krzyża widnego na tle nieba? Czy nie tak było, Don Miguelu, wielorybie chilijski, znaczone jak stary zółw tajemniczymi hieroglifami na grzbiecie! Oto, mówiąc prostymi słowy, cztery wieloryby równie dobrze znane badaczom cetologii jak Mariusz czy Sulla uczynom klasykom.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jacka Nowozelandzkiego czy Don Miguela, które kilkakrotnie poczyniły ogromne spustoszenie wśród łodzi należących do rozmaitych okrętów, poczęto poszukiwać, systematycznie tropić, ścigać i na koniec oba wieloryby zginęły z ręki dzielnych kapitanów, którzy podnieśli kotwicę mając na widoku ten właśnie cel, podobnie jak za dawnych czasów kapitan Butler przedzierając się przez puszcę Narragansett żywił zamiar pojmania owego słynnego, okrutnego krajowca Annawona, czołowego bojownika Filipa, króla Indian.

Nie wiem, gdzie mógłbym znaleźć lepsze miejsce niż tutaj, żeby wspomnieć o kilku innych rzeczach, które wydają mi się dużej wagi, jako że w drukowanej formie utwierdzić mogą pod każdym względem wiarygodność całej historii białego wieloryba, a w szczególności samej katastrofy. Chodzi tu bowiem o jeden z tych zniechęcających przypadków, kiedy to prawda wymaga w całej pełni równego uzasadnienia, jak błąd. Ludzie lądu odznaczają się mianowicie taką nieświadomością niektórych najoczywistszych, najbardziej namacalnych cudów świata, że bez jakiejś wzmianki o prostych faktach, historycznych czy innych, dotyczących wielorybnictwa, mogliby się

naigrawać z Moby Dicka jako z potwornej bajki, a co jeszcze gorsze i obrzydliwsze, uważać go za ohydną, nieznośną alegorię.

Po pierwsze: mimo że większość ludzi posiada jakieś mgliste przebłytki pojęcia o niebezpieczeństwach wielkiego rybołówstwa; przecie nie mają oni niczego w rodzaju ustalonego, żywego wyobrażenia o tychże niebezpieczeństwach oraz o częstotliwości, z jaką się ponawiają. Jedną z przyczyn jest tu, być może, fakt, że ani jedna na pięćdziesiąt rzeczywistych katastrof oraz gwałtownych zgonów w czasie połowów nie staje się w kraju przedmiotem publicznej wzmianki, bez względu na to, jak przemijająca i rychło zapomniana miałaby być taka wzmianka. Alboż sądzicie, że imię owego nieszczęśnika, który może w tej właśnie chwili oplatany liną wielorybniczą u wybrzeży Nowej Gwinei ciągniony jest na dno morza przez nurkującego Lewiatana – alboż sądzicie, że imię tego nieszczęśnika ukaże się w nekrologach gazet, które będziecie jutro czytać przy śniadaniu? Nie, ponieważ poczta kursuje bardzo nieregularnie między tym miejscem a Nową Gwineą. I po prawdzie, czyście też kiedykolwiek słyszeli coś, co by można nazwać rzetelnymi wiadomościami bezpośrednio czy pośrednio nadesłanymi z Nowej Gwinei? A przecieź oświadczam wam, że w czasie jednej tylko podróży, jaką odbyłem po Pacyfiku, przeprowadziliśmy rozmowy między innymi także i z trzydziestoma różnymi statkami, z których każdemu wieloryb zabił człowieka, niektórym z nich kilku ludzi, trzy zaś straciły po pełnej załodze łodzi. Na miłość boską, oszczędzajcie lamp i świeczek! Nie wypalacie ani galona oleju, który by nie kosztował przynajmniej jednej kropli ludzkiej krwi.

Po drugie: ludzie na lądzie mają jakieś nieokreślone pojęcie, że wieloryb jest ogromnym stworzeniem o ogromnej sile; zawsze jednak stwierdzałem, że kiedym opowiadał o jakichś określonych przykładach owego podwójnego ogromu, oni znacząco wieszowali mi mojej krotkochwilności, podczas gdy klnę się na mą duszę, że nie bardziej mi wówczas powstała w głowie krotkochwilność niż Mojżeszowi, kiedy spisywał historię plag egipskich.

Na szczęście jednak ten szczególny punkt, do którego tu zmierzam, da się ustalić na podstawie świadectwa całkowicie niezależnego od mojego własnego. Rzecz sprowadza się do tego: w niektórych razach kaszalot jest dość silny, świadomy i przemyślnie złośliwy, aby z bezpośrednim rozmysłem roztrzaskać, całkowicie zniszczyć i zatopić spory statek; a co więcej, zdarzało się już, że kaszalot to czynił.

Po pierwsze: w roku 1820 statek „Essex” z Nantucket krążył pod dowództwem kapitana Pollarda po Oceanie Spokojnym. Pewnego dnia dojrzano fontanny wydechów, spuszczone łodzie i rzucono się w pogoń za stadem kaszalotów. W ciągu krótkiego czasu zraniono już kilka wielorybów, kiedy nagle bardzo duży kaszalot wymknął się łodziom, wyrwał ze stada i puścił prosto na statek. Grzmotnąwszy czołem w kadłub wybił w nim taką dziurę, że w ciągu „mniej niż dziesięciu minut” statek osiadł i przewrócił się na bok. Od tej pory nie ujrano już z niego ani jednej ocalałej deski. Po najsroźszych przejściach część załogi dotarła na łodziach do lądu. Powróciwszy na koniec do domu, kapitan Pollard raz jeszcze wyruszył na Pacyfik jako dowódca innego statku, ale i tym razem bogowie rozbili go na niewiadomych rafach i odmętach; po raz drugi utracił ze szczętem statek i bezzwłocznie odżegnał się od morza, nigdy go już

więcej nie kusił. W chwili obecnej kapitan Pollard przebywa w Nantucket. Widziałem się z Owenem Chace, który był pierwszym oficerem „Essexu” podczas tej tragedii, przeczytałem jego prostą i wierną relację, rozmawiałem z jego synem, a wszystko to o kilka mil od miejsca katastrofy.

Po drugie: w roku 1807 statek „Union” również zaginął bez wieści niedaleko Azorów, w następstwie podobnego ataku; jednakże dotąd nie udało mi się natrafić na autentyczne szczegóły owej katastrofy, mimo że od czasu do czasu słyszałem przypadkowe na ten temat wzmianki z ust poławiaczy wielorybów.

Po trzecie: zdarzyło się jakieś osiemnaście czy dwadzieścia lat temu, że komodor J., naówczas dowodzący amerykańskim słupem wojennym pierwszej klasy, wieczerzał z grupą kapitanów wielorybniczych na pokładzie statku nantucketańskiego stojącego w porcie Oahu na Hawajach. Kiedy rozmowa zeszła na wieloryby, komodor uważał za stosowne wyrazić swój sceptycyzm co do zdumiewającej siły przypisywanej im przez obecnych zawodowców. Zaprzeczył na przykład w sposób nie uznający sprzeciwu, żeby jakikolwiek wieloryb był zdolny tak ugodzić jego krzepki siup, by spowodować przecieknięcie choćby naparstka wody. Pięknie; ale coś tu jeszcze nastąpi. Otóż w kilka tygodni później komodor wyruszył na tym niepokonanym okręcie do Valparaiso. Zatrzymany został jednak w drodze przez postawnego kaszalota, który poprosił go o kilka chwil rozmowy w sprawie poufnej. Sprawa ta polegała na wymierzeniu okrętowi komodora takiego szturchańca, że dowódca uruchomiwszy wszystkie pompy podążył prościutko do najbliższego portu, by tam położyć okręt na bok i naprawić go. Nie jestem przesądny, ale uważam owo spotkanie komodora z wielorybem za opatrnościowe. Zaliż Szawel z Tarsu nie został nawrócony z niewiary przez podobny strach? Powiadam wam: kaszalot nie znosi bzdur.

Odeślę was teraz do *Podróży* Langsdorffa w pewnej sprawie z tym związanej, szczególnie interesującej dla piszącego te słowa. Jak wam to zapewne wiadomo, Langsdorff był przydzielony do słynnej ekspedycji odkrywczej rosyjskiego admirała Krusensterna, na początku obecnego stulecia. Kapitan Langsdorff tak rozpoczyna swój rozdział siedemnasty:

*Dnia trzynastego maja okręt nasz gotów był do podróży i nazajutrz znaleźliśmy się na pełnym morzu, w drodze do Ochocka. Pogoda była bardzo piękna i czysta, wszelako zimno tak nieznośne, iż zmuszeni byliśmy zatrzymać na sobie futra. Przez kilka dni mieliśmy bardzo słaby wiatr; dopiero dziewiętnastego zerwał się od północno-zachodu ostry sztorm. Niepospolicie ogromny wieloryb, którego cielsko większe było od samego okrętu, spoczywał niemal na powierzchni wody, - nikt jednak ze znajdujących się na pokładzie nie zauważył go aż do chwili, kiedy okręt płynący pod wszystkimi żaglami już niemal nań najechał, tak iż niepodobna było zapobiec zderzeniu. Znaleźliśmy się przez to w najbardziej bezpośrednim niebezpieczeństwie, ponieważ ów zwierz gigantyczny, wyprostowawczy kark, uniósł okręt na co najmniej trzy stopy ponad wodę. Maszty zachybotwały się, żagle zupełnie opadły, my zaś, którzyśmy byli na dole, wyskoczyliśmy niezwłocznie na pokład w przekonaniu, że zderzyliśmy się z jakąś skałą; miast tego ujrzeliśmy potwora odpyływającego z najwyższą powagą i dostojeństwem. Kapitan D'Wolf natychmiast puścił w ruch pompy, by sprawdzić, czy okręt nie doznał jakichś szkód od uderzenia, ale przekonaliśmy się, że na szczęście wyszedł zupełnie bez szwanku.*

Owóż ten kapitan D'Wolf, o którym tu mowa jako o dowódcy wspomnianego statku, pochodzi z Nowej Anglii i po długim, pełnym niezwykłych przygód żywocie kapitana okrętu przebywa obecnie w wiosce Dorchester niedaleko Bostonu. Mam zaszczyt być jego siostrzeńcem. Wypytywałem go szczegółowo o ten fragment z Langsdorffa. Potwierdził każde słowo. Jednakże statek nie był bynajmniej wielki; był to żaglowiec rosyjski zbudowany na wybrzeżu Syberii i zakupiony przez mojego wuja po sprzedaniu przezeń statku, na którym przypląnął z kraju.

W owej na wskroś męskiej księdze starodawnych przygód, tak, przy tym pełnej szczerych dziwów – w podróży Lionela Wafer, jednego ze starych kompanionów Dampiera – znalazłem pewien szczegół spisany w sposób tak podobny do tego, który przed chwilą cytowałem z Langsdorffa, że nie mogę się powstrzymać od zamieszczenia go tutaj jako potwierdzającego przykładu, na wypadek gdyby takowy okazał się potrzebny.

Lionel, jak się okazuje, był w drodze do „John Ferdinando”, jak nazywa obecne Juan Fernandez.

*Właśnie gdy tam płynęliśmy – powiada – około godziny czwartej nad ranem, w chwili gdy znajdowaliśmy się o jakieś kilkaset mil od lądu amerykańskiego, statek nasz doznał okrutnego wstrząsu, który w takiej konsternacji ludzi naszych pogrążył, że ledwie się potrafili rozeznaczyć, gdzie są i co myśleć należy; każdy wszelako począł się na śmierć gotować. A i po prawdzie wstrząs był tak nagły i gwałtowny, żeśmy już pewność mieli, iż okręt z rafą się zderzył; aliści kiedy ośłupienie nieco przeminęło, zarzuciliśmy sondę i popróbowaliśmy zgruntować, jednakże na dno nie natrafiono. Raptowność wstrząsu sprawiła, że działa podskoczyły na łóżach, a kilku ludzi wyleciało z hamaków. Kapitan Davis, który leżał z głową wspartą o działą, wyrzucony został z kabiny!*

Dalej Lionel przypisuje ten wstrząs trzęsieniu ziemi i usiłuje uzasadnić to przypuszczenie stwierdzając, że istotnie wielkie trzęsienie ziemi w tymże mniej więcej czasie wyrządziło ogromne szkody na lądzie hiszpańskim. Nie dziwiłbym się jednakże, gdyby to uderzenie w mroku tak wczesnej porannej godziny spowodowane zostało mimo wszystko przez niewidzialnego wieloryba, który grzmotnął w kadłub pionowo od spodu.

Mógłbym jeszcze wyliczyć szereg dalszych, znanych mi stąd czy zowąd przykładów olbrzymiej mocy, a czasem i złośliwości kaszalota. Wiadomo, że zdarzały się przypadki, kiedy nie tylko zapędzał atakujące łodzie z powrotem do statku, ale też ścigał i sam statek, przez długi czas nie zważając na wszystkie lance miotane z pokładu. Angielski żaglowiec „Pusie Hali” mógłby coś na ten temat powiedzieć; jeśli zaś idzie o siłę kaszalota, pozwólcie sobie oświadczyć, że bywały przypadki, kiedy w czasie ciszy morskiej liny, przytwierdzone do harpunów wbitych w pędzącego wieloryba, przeciągano na statek i tamże przymocowywano, a wieloryb holował po wodzie ogromny kadłub, zupełnie jak koń ciągnący wóz. Prócz tego często można zaobserwować, że jeśli już ugodzonemu kaszalotowi da się czas zebrać siły, wtedy

działa najczęściej nie ze ślełą furją, ale z upartym, rozmyślnym zamiarem zniweczenia swych prześladowców; nie jest zaś pozbawiony wymownych wskazówek co do jego charakteru fakt, iż kiedy zwierza zaatakować, częstokroć otwiera paszczę i zatrzymuje ją w tym straszliwym rozwarciu przez kilka minut. Muszę się jednak zadowolić jeszcze jednym i ostatnim przykładem; przykładem godnym uwagi i wielce znaczącym, na podstawie którego nie omieszkacie się przekonać, że najbardziej zdumiewające wydarzenie w tej książce nie tylko potwierdzone przez oczywiste fakty z czasów obecnych, ale że owe cuda (jak wszelkie cuda) są po prostu powtórzeniem tego, co działo się przed wiekami; tak więc po raz milionowy mówimy „amen” za Salomonem. Zaprawdę, nie ma nic nowego pod słońcem.

W szóstym stuleciu po Chrystusie, za czasów, kiedy to Justynian był cesarzem, a Belizariusz wodzem, żył w Konstantynopolu pewien urzędnik sądowy imieniem Prokop. Jak to wielu ludziom wiadomo, spisał on historię swojej epoki, dzieło pod każdym względem niepospolitej wartości. Był zawsze uważany przez osoby najbardziej miarodajne za historyka niezwykle godnego zaufania, tudzież wolnego od przesady – z wyjątkiem kilku szczegółów które w żadnej mierze nie tyczą się sprawy, o jakiej mamy tu zaraz wspomnieć.

Owóż w tej swojej historii Prokop nadmienia, że w okresie jego prefektury w Konstantynopolu pojmano na sąsiedniej Propontydzie, czyli morzu Marmara, olbrzymiego potwora morskiego, który w ciągu lat z górą pięćdziesięciu co pewien czas niszczył na owych wodach okręty. Niełatwo zaprzeczyć faktowi w ten sposób zanotowanemu w tak rzeczowej historii; nie ma też żadnego powodu, żeby to czynić. Nie wspomniano tam, do jakiego dokładnie gatunku potworów ów należał. Ale jako że rozbijał okręty, a także i z innych przyczyn, musiał być wielorybem; ja zaś jestem wielce skłonny przypuszczać, iż chodziło tu o kaszalota, a zaraz powiem, dlaczego. Przez długi czas wyobrażałem sobie, że kaszalot nie był nigdy znany na Morzu Śródziemnym oraz na głębokich wodach z nim się łączących. Nawet i teraz pewien jestem, że te morza nie są, a i zapewne w tym stanie rzeczy nigdy być nie mogą miejscem, które by kaszalot pospolicie w stadach nawiedzał. Wszelako dalsze badania dostarczyły mi ostatnio dowodów, że w czasach współczesnych zdarzały się odosobnione przypadki obecności kaszalota na Morzu Śródziemnym. Wiadomo mi z dobrych źródeł, że niejaki komodor Davis z marynarki brytyjskiej odnalazł szkielet kaszalota na wybrzeżu Barbarii. A zważywszy, że okręt wojenny łącznie przepływa przez Dardanele, więc i kaszalot mógł tą samą drogą przedostać się z Morza Śródziemnego na Propontydę.

O ile mogłem się dowiedzieć, nie sposób znaleźć na Propontydzie owej szczególnej substancji zwanej *briem*, a będącej karmą wieloryba właściwego. Mam jednak wszelkie powody przypuszczać, że pożywienie kaszalota – mięczaki i mątwą – czai się na dnie owego morza, jako że na powierzchni spotykano duże – choć bynajmniej nie największe – stworzenia tego właśnie rodzaju. Jeżeli więc zestawicie owe wiadomości w sposób należyty i zastanowicie się nad nimi przez chwilę, to stwierdzicie jasno, że według wszelkiego prawdopodobieństwa potworem morskim Prokopa, który to potwór przez pół wieku rozbijał okręty cesarza rzymskiego, musiał najprawdopodobniej być kaszalot.

## ROZDZIAŁ XLVI

### PRZYPUSZCZENIA

Choć trawiony gorejącym płomieniem swojej pasji Ahab we wszystkich myślach i czynach miał stale na widoku ostateczne pokonanie Moby Dicka; chociaż zdawało się, że jest gotów poświęcić wszelkie doczesne sprawy tej jednej namiętności – niemniej jednak musiał być z natury i wskutek długiego przyzwyczajenia zbyt przesiąknięty obyczajami zażartych wielorybników, żeby całkowicie porzucić myśl o jednoczesnym kierowaniu właściwą wyprawą. Jeśli zaś nawet rzecz się miała inaczej, to nie brakło mu innych pobudek wywierających nań znacznie większy wpływ. Może byłoby zbytnią przesadą twierdzić – nawet biorąc pod uwagę jego manię prześladowczą – że mściwość Ahaba wobec białego wieloryba mogła się rozciągnąć do pewnego stopnia na wszystkie kaszaloty i że im więcej ubił tych potworów, tym bardziej mnożył możliwości, iż każdy następny wieloryb, jakiego napotka, może się okazać tym znenawidzonym, którego ścigał. Jeżeli by jednak nawet wykluczyć podobną hipotezę, zawsze pozostawały inne dodatkowe względy, które, choć nie tak ściśle związane z gwałtownością jego naczelnej pasji, nie były bynajmniej niezdolne do kierowania jego krokami.

Aby osiągnąć swój cel, Ahab musiał używać narzędzi; a ze wszystkich narzędzi używanych pod słońcem, najbardziej skłonni do psucia się są ludzie. Ahab wiedział na przykład, że jakkolwiek magiczna była pod pewnymi względami jego władza nad Starbuckiem, nie panował jednak całkowicie nad duchem tego człowieka, tak jak zwyczajna fizyczna wyższość nie pociąga jeszcze za sobą umysłowego władztwa; bowiem dla kogoś na wskroś uduchowionego rozum pozostaje z duchem ledwie w jakimś rodzaju cielesnego pokrewieństwa. Dopóki Ahab skierowywał swój magnes na mózg Starbucka, dopóty ciało Starbucka i jego ujarzmiona wola należały do Ahaba; a jednak kapitan wiedział, że mimo wszystko pierwszy oficer żywi w duchu wstręt do tej pogoni i gdyby tylko mógł, z radością by się z niej wyłączył, a może ją nawet udaremnił. Mogło się zdarzyć, że upłynąłby długi okres czasu, zanimby ujrzano białego wieloryba. W ciągu tego długiego okresu Starbuck zawsze by był skłonny na nowo popaść w otwarty bunt przeciw władztwu kapitana, chyba żeby podziałał nań jakiś normalny, roztropny uboczny wpływ. Mało tego; wyrafinowane szaleństwo Ahaba związane z Moby Dickiem nigdzie nie objawiało się znamiennej niż w najwyższej logice i przebiegłości w przewidywaniu faktu, że pościg winien na razie być w pewnym sensie pozbawiony owej niesamowitej, fantastycznej szatańskości, jaka go z natury rzeczy cechowała; że należy usunąć na drugi, mroczny plan wszystką straszliwość owej wyprawy (bowiem tylko nieliczni odznaczają się odwagą mogącą zdzierżyć przedłużające się rozmyślania, którym nie folguje czyn); że jego oficerowie i marynarze, trwając na długich wachtach nocnych, muszą mieć jakiś bliższy temat do rozważań niż Moby Dick. Bo choć dzika załoga przyjęła tak żarliwie i namiętnie obwieszczenie o celu poszukiwań, przecie wszyscy marynarze są mniej lub więcej kapryśni i nieobliczalni – żyją wśród zmiennej pogody i wdychają jej niestałość, jeśli zaś chce się ich zachować dla

jakiegoś odległego i niepewnego celu, to choćby on w końcu obiecywał nie wiedzieć ile przeżyć i pasji, trzeba koniecznie i przede wszystkim dać im tymczasem jakieś zainteresowanie i zajęcie, które by ich utrzymało w zdrowym napięciu przed ostatecznym wysiłkiem.

Ahab nie zapominał też i o innej rzeczy. W chwilach silnych przeżyć ród ludzki gardzi wszelkimi niskimi względami; chwile takie są jednak przelotne. Ahab uważał, że trwałym, podstawowym stanem pospolitego człeka jest niskość pobudek. Choćby się przyjęło, że biały wieloryb w całej pełni rozpała serca tej mojej dzikiej załogi, a igrając z jej dzikością wzbudza w niej nawet niejaką szlachetną błędnyrycerskość, to jednak jeżeli ludzie ci z samego zamięłowania wszczynają pogoń za Moby Dickiem, muszą także otrzymać strawę dla swych bardziej pospolitych powszednich apetytów. Przecie nawet wzniosli i ryccerscy krzyżowcy z dawnych czasów nie zadowalali się przebyciem dwóch tysięcy mil, by walczyć o Grób Pański, ale po drodze dopuszczali się włamań, drobnych kradzieży kieszonkowych oraz zdobywali inne przygodne pobożne korzyści. Gdyby im kazano ściśle się trzymać tylko ostatecznego romantycznego celu – wówczas wielu z nich odwróciłoby się odeń z obrzydzeniem. „Nie pozabawię tych ludzi – myślał sobie Ahab – wszelkiej nadziei na pieniądze, tak: pieniądze. Mogą obecnie gardzić kasą; ale niech tylko minie kilka miesięcy bez żadnych na nią widoków, a już ta sama drzemiąca w ich pragnieniach kasa nagle się zbuntuje i rychło zakasuje Ahaba.”

Nie brakło też i innych, z ostrożności poczętych pobudek, bliżej związanych z osobą Ahaba. Był on obecnie całkiem świadom, że skoro już wyjawiał – prawdopodobnie pod wpływem impulsu i może – nieco przedwcześnie – główną, choć osobistą, przyczynę wyprawy „Pequoda”, czyniąc to otworzył pośrednio drogę oskarżeniu o przywłaszczenie sobie władzy, na które to oskarżenie nie było odpowiedzi. Załoga, jeśliby taka była jej wola i jeśliby była po temu zdolna, mogła teraz zupełnie bezkarnie, tak pod względem moralnym jak i prawnym, odmówić mu wszelkiego dalszego posłuszeństwa, a nawet gwałtem wydrzeć z jego rąk władzę. Ahab musiał oczywiście jak najpilniej baczyć, aby się ustrzec przed najmniejszym zarzutem uzurpacji oraz przed możliwymi konsekwencjami jego potajemnego rozpowszechniania. Obrona mogła tu polegać tylko na własnym, przemożnym mózgu, sercu i dłoni, wspartych baczną uwagą, ściśle obliczającą najdrobniejsze nawet wpływy atmosferyczne, jakim załoga mogła ulegać.

Z tych wszystkich więc przyczyn oraz z innych jeszcze, zbyt może zawiłych, aby je tu wyluszczać, Ahab jasno dostrzegał, że musi w znacznym stopniu okazać się nadal wiernym właściwemu, nominalnemu celowi wyprawy „Pequoda”<sup>1</sup>, przestrzegać wszelkich przyjętych obyczajów, i nie tylko to, ale jeszcze przymusić się do okazywania swego dobrze znanego, namiętnego zapału do rzemiosła wielorybniczego w ogólności.

Jakkolwiek tam było, głos jego dawał się teraz często słyszeć, gdy kapitan nawoływał posterunki na wszystkich trzech masztach, napominając je, aby bystro wypatrywały i nie omieszkały meldować nawet o delfinie. Czujność ta niedługo pozostała bez nagrody.

## ROZDZIAŁ XLVII

### WYRABIACZ MAT

Było pochmurne, duszne popołudnie; marynarze leniwie wałęsali się po pokładach albo bezmyślnie spoglądali na ołowiane wody. Queequeg i ja spokojnie zabraliśmy się do wyplatania tak zwanej „maty mieczowej”, która miała być dodatkowo przytwierdzona do naszej łodzi. Wszystko wokoło było tak ciche i przytłumione, a jednak zapowiadające jakoweś wydarzenia, a w powietrzu wisiał spokój tak zakłęty, że każdy milczący marynarz zdawał się roztopiać w swym własnym, niewidzialnym jestestwie.

Byłem pomocnikiem czy paziem Queequega przy tej pracy nad matą. Kiedy przewlekałem tam i na powrót wąż linki między długimi włóknami osnowy, używając własnej dłoni miast czółenka, Queequeg zaś, stojąc bokiem, od czasu do czasu wsuwał swój ciężki dębowy „miecz” pomiędzy włókna i spoglądając leniwie na wodę, niedbale i od niechcienia przeciągał każde z nich na swoje miejsce — jak powiadam, nad całym statkiem i morzem panowało wówczas tak dziwne rozmarzenie, przerywane tylko tępym, przelotnym szelestem „miecza”, że zdało się, iż oto są Krosna Czasu, a ja jestem czółenkiem mechanicznie tkającym i tkającym Przeznaczenie. Leżały tu oto nitki osnowy poddane tylko jednej, stale powracającej, niezmiennej wibracji, ta zaś wibracja była ledwie tyle silna, by pozwolić na skrzyżowanie i przemieszanie innych nici z tamtymi. Osnowa zdawała się być Koniecznością i pomyślałem sobie, że oto własną ręką przesuwam właśnie czółenka i przez ten niezmienny nici przeplatam własny los. Natomiast „miecz” Queequega, obojętny, impulsywny, czasem trafiający w wąż ukośnie czy krzywo, raz krzepko, raz słabło, jak się przydarzyło — przez samą tę różnicę końcowego ciosu, powodując odpowiedni kontrast w ostatecznym wyglądzie gotowej tkaniny — ów miecz dzikiego, pomyślałem, miecz ostatecznie kształtujący i formujący tak wąż jak i osnowę, ów swobodny, nieczuły miecz musi być Trafem. Tak, traf, wolna wola i konieczność — bynajmniej ze sobą nie sprzeczne — wszystkie one współdziałają przeplatając się wzajemnie. Prosta osnowa konieczności, nie dająca się odchylić od swego ostatecznego kierunku — choć każda jej kolejna wibracja do tego tylko zmierza — wolna wola, dość wolna, by przesuwać swe czółenka między danymi niciami, i traf, choć powściągnięty w swych igraszkach przez proste linie konieczności, z boku zaś kierowany w swych ruchach przez wolną wolę, choć tak rządzony przez nie obie, sam także z kolei władzę przejmuje i zadaje ostatni, kształtujący cios wydarzeniom.

Właśnie byliśmy zajęci owym tkaniem, kiedy nagle drgnąłem na dźwięk tak dziwny, przeciągły, melodyjnie dziki i nieziemski, że kłębek wolnej woli wypadł mi z ręki i przystanąłem ze wzrokiem wzniesionym ku obłokom, z których głos ten opadał jak na skrzydłach. Wysoko w górze, na salingu, stał ów szalony GayHeader, Tasztego. Ciało jego było namiętnie wychylone do przodu, ręka wyciągnięta jak różdżka; z krótkimi przerwami wyrzucał z siebie nagły krzyk. Ten sam dźwięk, rzecz jasna, można było zapewne w tejże chwili słyszeć na wszystkich morzach, dolatujący z setek marsów

wielorybicznych zawieszonych wysoko w powietrzu; z nielicznych jednak płuc ów stary, znany okrzyk wydobyć tak przedziwny ton jak z płuc Indianina Tasztego.

Kiedy tak unosił się nad nami, na wóół zawieszony w powietrzu, patrząc dziko i z napięciem w stronę horyzontu, można było pomyśleć, że to jakiś prorok czy wieszczek oglądający cienie Przeznaczeń i dzikimi krzykami oznajmiający o ich nadejściu.

– Tam dmucha! Tam! Tam! Tam! Dmucha! Dmucha!

– Gdzie?

– Po zawietrznej, ze dwie mile stąd. Całe stado! Natychmiast uczyniło się wielkie poruszenie.

Kaszalot dmucha tak, jak tyka zegarek – z tą samą niechybną i pewną regularnością. Po tym wielorybnicy odróżniają tę rybę od innych pokrewnych plemion.

– O, ogon! – zabrzmiał krzyk Tasztego i wieloryby zniknęły.

– Steward! Prędko! – zawołał Ahab. – Godzina! Godzina! Grubas popędził na dół, rzucił okiem na zegar i zameldował

Ahabowi czas co do minuty.

Teraz statek wyprowadzono z wiatru; począł więc łagodnie sunąć przed siebie. Ponieważ Tasztego doniósł, że wieloryby poszły pod wodę kierując się na zawietrzną, spodziewaliśmy się, że je z pewnością ponownie ujrzymy wprost przed dziobem. Tym razem bowiem owa szczególna przebiegłość, jaką czasem wykazuje kaszalot, kiedy to zanurzywszy się z łbem skierowanym w jedną stronę, potrafi jednak, ukryty pod wodą, zrobić młynka i chyżo popłynąć w przeciwnym kierunku – ten jego podstęp nie mógł w tej chwili mieć zastosowania, ponieważ nie było powodu przypuszczać, żeby ryba dostrzeżona przez Tasztega była czymkolwiek spłoszona, czy nawet w ogóle zdawała sobie sprawę, że znajdujemy się w pobliżu. Jeden z ludzi wybranych do pełnienia straży na pokładzie – to znaczy nie przydzielonych do łodzi – zluzował już Indianina na szczycie grotmasztu. Majtkowie stojący na topach fok- i bezanmasztu zeszli na dół, bębny lin umieszczono na swoich miejscach, wysunięto dźwigi, przebrasowano grotreję i wszystkie trzy łodzie zakolebały się nad wodną tonią jak trzy kępki nadmorskich traw ponad urwistym brzegiem. Zawieszeni w nich poza burtą statku marynarze uchwycili się poręczy jedną ręką, stopy zaś w oczekiwaniu wsparli o krawędzie łodzi. Podobnie wygląda długi szereg marynarzy okrętu wojennego gotowych do skoku na pokład wrażej korwety.

W tejże jednak krytycznej chwili dał się słyszeć nagły okrzyk, który oderwał wszystkie oczy od wieloryba. Każdy drgnął i wbił wzrok w ponurego Ahaba, który ukazał się otoczony pięcioma mrocznymi zjawami, co zdawały się świeżo uformowane z powietrza.

## ROZDZIAŁ XLVIII

### PIERWSZE ŁOWY

Zjawy te – gdyż takimi się nam naówczas wydały – uwijały się po drugiej stronie pokładu, z bezszelestną chyżością rozwiązując takielunek i pasy przytrzymujące szalupę tamże zawieszoną. Łódź ową zawsze uważano za jedną z zapasowych, chociaż formalnie nazywała się kapitańską, ponieważ wisiała od sterbortu przy mostku kapitańskim. Postać, która stanęła teraz u jej dziobu, była rosła i smągła, a spomiędzy jej warg koloru stali sterczał złowrogo jeden biały ząb. Człowieka tego żalobnie przyoblekał wymięty chiński kaftan z czarnej bawełny oraz szerokie czarne hajdawery z tego samego materiału. Tę hebanowość dziwacznie koronował połyskliwy, biały, pleciony turban z warkocza żywych włosów owiniętych zwojami wokoło głowy. Towarzysze tej figury, mniej śniadzi na twarzy, odznaczali się ową żywą, tygrysio-żółtą cerą, właściwą pewnym krajowcom z Manili – rasie słynącej z jakiegoś nieuchwytnego demonizmu, a uważanej przez poniekórych poczciwych białych marynarzy za działających na morzu płatnych szpiegów tudzież tajnych konfidentów szatana, ich władcy, którego gabinet znajduje się ponoć gdzie indziej.

Podczas gdy pogrążona w zdumieniu załoga spoglądała jeszcze na tych nieznanym, Ahab zakrzyknął do przewodniczącego im mężczyzny w białym turbanie:

– Wszystko gotowe, Fedallahu?

– Gotowe – syknął ów w odpowiedzi.

– Więc spuszczać łodzie, słyszycie? – zawołał kapitan poprzez pokład. – Spuszczać tam łodzie, powiadam!

Głos jego tak był grzmiący, że mimo osłupienia ludzie przesadzili burte; krążki zawirowały w blokach i trzy szalupy z płaszczykiem opadły na wodę, a marynarze, zwinnie bez namysłu, z tą śmiałością nie znaną w jakimkolwiek innym zawodzie, poczęli zeskakiwać niby kozice wzdłuż sunącego kadłuba statku do łodzi miotanych w dole falami.

Ledwie, odbili od boku żaglowca, kiedy zza rufy wypłynęła czwarta łódź przybywająca od nawietrznej; u wiosel siedziało pięciu nieznanym, Ahab zaś wyprostowany w tyle łodzi donośnym głosem nawoływał Starbucka, Stubba i Fiaska, by rozjechali się szeroko celem ogarnięcia większej przestrzeni wody. Ale załogi pozostałych szalup znowu przywarły wzrokiem do smągłego Fedallaha i jego towarzyszy, nie słuchając rozkazu.

– Kapitanie? – ozwał się Starbuck.

– Rozjechać się! – krzyknął Ahab. – Wiosłować, wszystkie cztery łodzie! A ty, Fiask, wal bardziej na zawietrzną!

– Tak jest, kapitanie! – wesoło zawołał mały Fiask zagarniając swym olbrzymim wiosłem sterowym. – Do wiosel! – krzyknął swej załodze. – Tam! Tam! Znowu! Dmucha prosto przed nami, chłopcy! Wiosłować!

– Nie zwracaj uwagi na tamtych żółtych chłopców, Archy.

– O, mniejsza o nich! – odrzekł Archy. – Wiedziałem już dawniej o tym wszystkim. Alboż ich nie słyszałem w komorze? Alboż nie gadałem o nich temu oto Cabaco? No i cóż ty na to, Cabaco? Oni jadą na gapę, panie Fiask.

– Pchajcie, pchajcie dobrze, serduszka moje złote! Wiosłujcie, dzieci! Wiosłujcie, malutcy moi! – westchnął powolnym, uspokajającym szeptem Stubb do swej załogi, spośród której paru marynarzy zdradzało jeszcze oznaki niepokoju. – Czemuż to nie łamiecie sobie grzbietów, chłopcy? Na co się gapicie? Na tych tam, w owej łodzi? Phi! To po prostu pięciu nowych towarzyszy, którzy przybyli, żeby nam dopomóc – wszystko jedno skąd – im nas więcej, tym weselej! Wiosłujcie, wiosłujcie, mniejsza o siarkę piekielną – diabły to całkiem poczciwe chłopaki. Właśnie, właśnie, teraz dobrze! O, taki ruch wiosła wart jest tysiąc funtów! Takim można wziąć pierwszą nagrodę! Niech żyje złoty puchar olbrotu, junacy moi! Po trzykroćniech żyje, chłopcy, serduszka kochane! Spokojnie, spokojnie, nie spieszcie się – nie spieszcie! Czemuście to jeszcze wiosła nie połamali, nicponie? Gryźcie, brytany! Tak, tak, właśnie, spokojnie, spokojnie! Dobrze teraz, dobrze, długie a mocne ruchy. Wiosłować tam, wiosłować! Niechże was diabli porwą, łajdaki, oberwańcy – posnęliście czy co? Dość chrapania, śpiochy, ruszajcie się! Wiosłujcie, słyszycie? Wiosłujcie – co, nie możecie? Wiosłujcie, nie chce wam się. Czemu się nie ruszacie, do stu fur beczek? Dalej go, połamcie sobie gnaty, wiosłujcie, aż wam ślepia wyleżą! Patrzajcie! – Tu wyrwał ostry nóż zza pasa. – Każdy taki syn niech dobędzie noża i wiosłuje trzymając go w zębach. O, właśnie, właśnie. Teraz wam idzie, teraz to do czegoś podobne, pieszczoszki moje. Dalej go, dalej go, kochani!

Przytoczono tu obszernie orację Stubba do załogi, ponieważ miał on osobliwy sposób przemawiania do swych ludzi w ogóle, a już w szczególności, kiedy chodziło o wpojenie im katechizmu wiosłowania. Nie należy jednak wnosić z tej próbki jego kaznodziejstwa, że kiedykolwiek popadał w prawdziwą pasję na swoje owieczki. Nie działo się tak bynajmniej i na tym polegała jego główna osobliwość. Mógł mówić swej załodze najstraszniejsze rzeczy tonem bądącym tak dziwną mieszaniną dowcipu i furii – przy czym furia wydawała się być obliczona jedynie na to, żeby stanowić przyprawę dowcipu – iż żaden wiosłarz nie mógł służyć tak niesamowitych inwokacji nie biorąc się do wiosła tak, jakby życie jego od tego zawisło, a jednak wiosłując dla samej przyjemności, jaką mu to dawało. Prócz tego Stubb przez cały czas wyglądał tak swobodnie i niedbale, tak od niechcienia manewrował swym wiosłem sterowym, a wypatrywał tak zapamiętale – czasem z otwartymi ustami – że sam widok takiego rozdziawionego dowódcy prostą siłą kontrastu działał na załogę jak zaklęcie. I wreszcie Stubb należał do tego dziwnego gatunku dowcipnisiów, których krotchwilność jest czasem tak szczególnie dwuznaczna, że wszyscy podwładni mają się dobrze na baczności, gdy przyjdzie wykonywać jego rozkazy.

Na znak dany przez Ahaba Starbuck płynął teraz ukośnie w stronę dziobu łodzi Stubba i kiedy na mniej więcej minutę obie szalupy znalazły się blisko siebie, Stubb zawołał na oficera:

– Panie Starbuck! Ahoy tam, łódź od bakbortu! Proszę na słówko!

– Halo! – odrzucił Starbuck, który nie obrócił się ani na cal, nadal z całą powagą, choć szeptem przynaglał swą załogę odwróciwszy od Stubba kamienną twarz.

– Co pan sądzisz o tych żółtych chłopach?

– Przeszmuglowano ich jakoś na pokład, zanim statek odpłynął. Mocniej, mocniej, chłopaki – zwrócił się szeptem do załogi, a następnie znowu rzekł głośno: – Smutna sprawa, panie Stubb! (Spokojnie, spokojnie, chłopcy!) Ale mniejsza z tym, wyjdzie to na lepsze. Niech pańska załoga dobrze macha wiosłami, cokolwiek się stanie. (Nuże, chłopcy, dalej!) Całe kadzie olbrotu przed nami, panie Stubb. (Mocniej, chłopaki!) Olbrot, o olbrot tu idzie! To przynajmniej jest naszym obowiązkiem. Obowiązkiem, a wraz i korzyścią!

– No tak, no tak, takem sobie i myślał – monologował Stubb, gdy łodzie oddaliły się od siebie. – Od razu mi to przyszło do głowy, ledwom ich zobaczył na oczy. Tak, i po to właśnie laził on tak często do tylnej ładowni, co od dawna już podejrzewał steward. Tam oni byli ukryci. Na dnie tego wszystkiego tkwi biały wieloryb. No cóż, niech będzie co chce! Nie ma rady. Dobra! Wiosłować, ludzie! Na dziś to jeszcze nie biały wieloryb! Wiosłować!

Pojawienie się tych niesamowitych nieznanym w podobnie krytycznym momencie, jak spuszczenie łodzi z pokładu, wzbudziło nie bez racji coś w rodzaju zabobonnego zdumienia w niektórych członkach załogi, choć w pewnej mierze przygotowało ich do tego wydarzenia fantastyczne odkrycie Archy'ego, które już przedtem rozeszło się między ludźmi, jakkolwiek w gruncie rzeczy nie dawano mu wiary. Stąpiło ono ostrze ich zdziwienia, tak że z uwagi na to oraz na pewny siebie sposób, w jaki Stubb tłumaczył pojawienie się nieznanym, ludzie porzucili na razie wszelkie zabobonne domysły. Mimo to jednak cała sprawa pozostawiała wiele miejsca na wszelakie niezwykle domniemanie co do właściwej roli, jaką od początku odgrywał mroczny Ahab w całej tej materii. Jeśli o mnie idzie, to w milczeniu wspominałem widziane uprzednio tajemnicze cienie, które owego mglistego nantucketańskiego poranka sunęły na pokład „Pequoda”, jak również enigmatyczne półsłówka tajemniczego Eliasza.

Tymczasem Ahab, będąc poza zasięgiem słuchu swoich oficerów, wysunął się najdalej na nawietrzną i nadal płynął na czele, co dowodziło, jak wspaniałą posiadał załogę. Te jego tygrysiopodobne istoty zdawały się być ze stali i fiszbinu; jak pięć młotów kowalskich unosiły się i opadały regularnymi uderzeniami mocy, która coraz to popychała łódź po wodzie, niby kocioł na parowcu płynącym po Missisipi. Jeśli idzie o Fedallaha, który, jak widziano, siedział przy wiosle harpunnika, to odrzucił on precz swój czarny kaftan ukazując obnażoną pierś, a cała wystająca nad burtę część jego korpusu wyraźnie się odcinała na tle pofalowanego horyzontu wód; u drugiego końca łodzi Ahab wyrzuciwszy za siebie w powietrze jedną rękę niczym szermierz, by snadź zachować równowagę, spokojnie manewrował wiosłem sterowym tak, jak to po tysiącokrotnie czynił w podobnych okazjach, zanim poszarpał go biały wieloryb. Nagle ujrano, iż wyciągnięte ramię wykonało dziwaczny gest i zatrzymało się bez ruchu, podczas gdy wszystkie pięć' wiosła uniosło się jednocześnie pionowo do góry. Łódź i załoga stanęły nieruchomo na morzu. Natychmiast trzy łodzie rozproszone w tyle zatrzymały się na swej drodze. Wieloryby po jednym zanurzyły swe cielska w błękitną toń, nie dając dzięki temu żadnych z dala widocznych oznak ruchu; jedynie Ahab,

znajdując się bliżej, mógł to obserwować.

– Niech każdy patrzy po wiosle! – krzyknął Starbuck. – Ty, Queequeg, wstań!

Zwinnie wskoczywszy na trójkątną skrzynkę wystającą na dziobie łodzi, dziki stanął wyprostowany, w napięciu spoglądając żarliwym wzrokiem ku miejscu, gdzie po raz ostatni widziano zwierzynę. Natomiast na samym tyle łodzi, gdzie także znajdowała się trójkątna platformka na jednym poziomie z wierzchnią krawędzią burt, można było dojrzeć Starbucka, jak ze spokojem i zręcznością balansował w miarę podrzutów szarpiących jego łupiną i milcząco spoglądał w ogromne, błękitne oko morza.

Niezbyt daleko szalupa Fiaska również spoczywała na wodzie w niezmaconym spokoju; jej dowódca wylazł śmiało na czubek „pachołka”, czyli czegoś z rodzaju tęgiego słupa przymocowanego do kilu i wznoszącego się na jakieś dwie stopy ponad poziom platformy rufowej. Wokół niego okręca się zwoje liny od harpuna. Wierzchołek jego nie jest większy od ludzkiej dłoni i Fiask stojąc na takiej podstawie zdawał się być uczepiony u stengi jakiegoś okrętu, który zatonął aż po gałki masztów. Ale mały „King-Post” był niewielki *P* niski, a jednocześnie pełen ogromnych i wysokich ambicji, tak że ów pachołkowy punkt widzenia żadną miarą go nie zadowalał.

– Nie widzę dalej niż trzy fale. Podnieś tam który wiosło, to na nie wleżę.

Na to Daggoo trzymając się burt obiema rękami, aby zachować równowagę, przesunął się szybko na tył łodzi, a następnie wyprostowawszy swą postać, zaofiarował mu własne wyniosłe ramiona jako piedestał.

– Równie to dobry maszt jak każdy inny. Wejdzie pan?

– A jakże, i dziękuję ci bardzo, zacny chłopie, tylko wolałbym, żebyś był o pięćdziesiąt stóp wyższy.

Wówczas gigantyczny Negr zaparł się krzepko nogami o dwie przeciwległe deski łodzi, pochylił się nieco, podstawił swą płaską dłoń pod stopę Fiaska, a następnie umieściwszy sobie jego rękę na kudłatym łbie i poprawiwszy, by oficer podskoczył, gdy on go będzie podrzucał, jednym zręcznym ruchem usadowił małego człowieka zdrowo i cało na swych ramionach. I oto Fiask stanął tam, a wzniesione ramię Daggoo dostarczyło mu przedpiersia, na którym mógł się wesprzeć i zachować równowagę.

Dla nowicjusza osobliwy jest zawsze widok owej zdumiewającej wprawy i nieświadomej zręczności, z jaką wielorybnik potrafi zachować prostą postawę na swej łodzi, nawet jeżeli nią miotają najbardziej nieokiełznane, złośliwe i zbeltane morza. Jeszcze dziwniejsze jest widzieć go w takich okolicznościach zawrotnie uczepionego na samym czubku pachołka. Ale najciekawszy był widok małego Fiaska stojącego na olbrzymim Daggoo; bowiem wspaniały Murzyn utrzymując się w równowadze z chłodną, obojętną, swobodną i bezwiedną a barbarzyńską majestatycznością harmonijnie przechylał swoje przepyszne ciało za każdym kolebaniem morza. Na jego szerokich barach jasnowłosa Fiask zdawał się być płatkami śniegu. Rumak wyglądał wspanialej od jeźdźca. Chociaż niezwykle żywy, hałaśliwy, pyszny mały Fiask od czasu do czasu aż tupał z niecierpliwości, jednak nie zdołał wycisnąć ani jednego dodatkowego westchnienia z okazałej piersi Murzyna. Podobnie widziałem, jak Namietność i Próżność depcą żywą, wielkoduszną ziemię, a przecie nie zmienia ona z tej przyczyny ani biegu swych spraw, ani też pór roku.

Tymczasem Stubb, trzeci, oficer, nie zdradzał trosk tak dalekosiężnych. Wieloryby mogły całkiem zwyczajnie zanurzyć się na dłużej, a nie chwilowo znurkować z prostego przestachu; gdyby tak było, Stubb, jak to miał w zwyczaju w podobnych przypadkach, postanowił pocieszać się przez ten beczynny odstęp czasu swoją fajką. Wydobył ją zza wstażki kapelusza, gdzie zawsze tkwiła ukośnie zatknięta, na kształt pióra. Nabił ją i wtłocz tytoń do środka czubkiem dużego palca, ale ledwo potarł zapalną o swą chropowatą dłoń, gdy jego harpunnik Tasztego, który stał wyprostowany, z oczami utkwionymi jak dwie nieruchome gwiazdy w zawietrzną, nagle opadł błyskawicznie na ławkę wykrzykując z frenetycznym pośpiechem:

– Siadać, siadać wszyscy i wiosłować! Tam, tam są!

Szczur ładowy nie byłby w owej chwili nic dostrzegł; ani wieloryba, ani nawet śladu jakiegokolwiek śledzia – nic, krom odrobiny zbełtanej zielonawobiałej wody oraz unoszących się nad nią rzadkich, rozproszonych wydmuchów pary, które rozpylały się na wietrze jak mglista wodna kurzawa owiewająca rozchlustane białe bałwany. Powietrze dookoła raptem zawibrowało i zadrgało, jak wtedy gdy unosi się ponad silnie nagrzanymi płytami żelaza. Pod tą sfalowaną i skłębioną atmosferą, a także i pod cienką warstwą wody, płynęły wieloryby. Zdawało się, że owe słupki pary, jaką wydmuchiwały, dojrzane jeszcze zanim spostrzeżono jakiegokolwiek inne oznaki, to zwiastujący ich przybycie kurierzy i lotni gońcy.

Wszystkie cztery łodzie rzuciły się teraz w zacieklą pogoń za tym jedynym punktem zmaconej wody i powietrza. Niełatwo jednak było go doścignąć; mknął dalej i dalej jak wodna kipiela niesiona w dół przez bystry potok spadający z gór.

– Ciągnijcie, ciągnijcie, chłopaczki – ozwał się Starbuck najcichszym, choć najbardziej napiętym i skupionym z szeptów; przenikliwe, nieruchome spojrzenie oczu oficera, wbite wprost przed siebie poza dziób szalupy, zdawało się niemal być dwiema widzialnymi igłami nieomylnych kompasów. Niewiele jednak gadał do swej załogi, ta zaś nie odzywała się wcale. Ciszę panującą na łodzi przesywał raptownie od czasu do czasu tylko któryś z jego osobliwych szeptów, to ostry od komendy, to znów miękki od prośby.

Jakże odmiennie zachowywał się mały, hałaśliwy „King-Post”!

– Wrzeszczcie, mówcie coś, kochasie! Ryczcie, a wiosłujcie, draby! Wepchnijcie mi łódź na ich czarne grzbiety. Zróbcie to dla mnie, a zapiszę wam moją zagrodę na Martha's Vineyard, z żoną i dziećmi włącznie. Trop w trop! Trop w trop! O, Boże, Boże, przecież chyba mi się do cna zmać we łbie! Patrzcie! Patrzcie na tę pianą! – Tak wykrzykując zerwał z głowy kapelusz i zdeptał go nogami, a następnie podniósł i cisnął daleko w morze; wreszcie począł miotać się i przykucać na rufie łodzi jak znarowiony źrebiec na prerii.

– Popatrzcie tylko na tego chłopca – wycodził filozoficznie Stubb, który płynął za nim w niewielkiej odległości, trzymając mechanicznie w zębach nie zapaloną, krótką fajkę. – Ten Fiask ma bzika. Bzika? Tak, dostał bzika – to właściwe słowo – i to kompletnego. No, wesoło, wesoło, moi drodzy! Na wieczór jest pudding, wiecie? Musi więc być wesoło. Ciągnijcie, dzieciaczki, ciągnijcie, niemowlaki! Ale po co, u diabła, tak się śpieszycie? Łagodnie, łagodnie, a spokojnie, chłopcy. Tylko wiosłować i

nie przestawać, nic więcej. Połamcie sobie karki i przegryźcie na pół te noże, co je macie w zębach — ot i wszystko. Spokojnie, czemuż się przejmujecie. Niech wam pękną płuca i wątroba!

Co natomiast mówił nieprzenikniony Ahab do swojej tygryskiej załogi — o tym lepiej tu zamilczeć, jako że żyjecie pod błogosławionym słońcem kraju Ewangelii. Jedynie rekiny niewierne - wśród mórz zuchwałych mogą nakłonić ucha na słowa, które wymawiał, kiedy z huraganem na czole, oczami płonącymi czerwienią mordy i wargami okrytymi pianą mknął za swą ofiarą.

Tymczasem wszystkie łodzie rwały naprzód. Ciągłe powtarzane wyraźne aluzje Fiaska do „tego wieloryba”, jak nazywał urojonego potwora, który według jego słów nieprzerwanie zagrażał dziobowi szalupy swoim ogonem — aluzje te chwilami stawały się tak żywe i jaskrawe, że pod ich wpływem ten i ów z jego ludzi rzucał przez ramię przerażone spojrzenie. To jednak było wbrew wszelkim prawidłom, jako że wioślarze winni patrzeć prosto przed siebie tudzież wsadzić sobie kij w kark; obyczaj bowiem orzeka, iż w tych krytycznych chwilach nie wolno im mieć żadnych innych organów prócz uszu i żadnych kończyn prócz ramion.

Widok to był godny dojmującego podziwu i pełen grozy! Olbrzymie bełty wszechpotężnego morza, rozkolebany, głuchy ryk fal przelewających się wzdłuż ośmiu burt na podobieństwo gigantycznych kul toczących się po bezmiernej kręgielni; krótki, napięty spazm łodzi, gdy na jedną chwilę zawisła na ostrej jak nóż krawędzi którejś z bardziej stromych fal, co niemal już zdawała się zagrażać łupinie rozcięciem na dwoje; nagle, głębokie runięcie w wodne wąwozy i rozpadliny; zaciekły wysilek wydzwigania się na wierzchołek najbliższej wyniosłości; ześlizgiwanie się po jego przeciwnym zboczu na łeb, na szyję niczym sankami — to wszystko, wraz z okrzykami dowódców i harpunników, dyszeniem dygocących wioślarzy, wspaniałym widokiem białego jak kość słoniowa „Pequoda” mknącego z rozwiniętymi żaglami śladem swych łodzi na podobieństwo rozwścieczonej kwoki sunącej za swą wrzeszczącą gromadką — wszystko to było wstrząsające. Ani niedoświadczony rekrut, który, wyrwany z objęć małżonki, maszeruje w gorączkowy żar pierwszej swojej bitwy, ani duch zmarłego człowieka, napotykający na tamtym świecie pierwszego nieznanego upiora, nie może odczuwać dziwniejszych i silniejszych emocji niż ten, kto po raz pierwszy wtargnął w zaczarowany, spieniony krąg ściganego kaszalota.

Rozpłasnana biała woda, skłębiona przez pościg, stawała się teraz coraz bardziej widoczna dzięki wzrastającemu mrokowi brunatnych cieni, jakie na morze rzucały chmury. Fontanny pary nie mieszały się już ze sobą, ale pędziły na wsze strony — na lewo i prawo; snadź wieloryby rozdzielały teraz swoje szlaki. Łodzie rozproszyły się bardziej; Starbuck gonił trzy wieloryby, które mknęły wprost na zawietrzną. Rozwinęliśmy żagiel i pędziliśmy z coraz to wzmagającym się wiatrem; szalupa tak wściekle rwała poprzez wodę, że od zawietrznej ledwo nadążano robić wiosłami z dostateczną szybkością, by zapobiec wyrwaniu ich z dulek.

Wkrótce wpadliśmy w gęstniejącą, szeroką zasłonę mgły; nie można było dojrzeć ni łodzi, ni statku.

— Wiosłujcie, ludzie — mruknął Starbuck naciągając dalej do tyłu płótno żagla. —

Jeszcze czas ubić rybę, zanim szkwał nadejdzie. O, znowu piana! Nuże! Walmy!

Zaraz potem dwa okrzyki, następujące szybko po sobie na lewo i prawo od nas, dały nam znać, że inne łodzie są tuż; ledwie jednak krzyki te usłyszano, Starbuck wyrzucił z siebie szybki jak błyskawica, przenikliwy szept: — Wstań! — i Queequeg z harpunem w ręku zerwał się na równe nogi.

Choć żaden z wioślarzy nie był zwrócony twarzą ku śmiertelnemu niebezpieczeństwu, które znalazło się teraz tak blisko przed łodzią, jednak skierowawszy oczy na napięte oblicze siedzącego na rufie oficera, poznali, że groźna chwila nadeszła; dosłyszeli również potężne, chluszczące odgłosy, jak gdyby pięćdziesiąt słoni tarzało się w legowiskach. Łódź tymczasem rwała poprzez mgłę, fale zaś kłębiły się i syczały wokół jak wzniesione łby rozwścieczonych węzów.

— To jego garb! Tu, tu! Daj mu! — szepnął Starbuck.

Krótki, świszczący dźwięk runął z szalupy; było to żelazo wyrzucone przez Queequega. Teraz w jeden wstrząs stopiło się niewidzialne pchnięcie od tyłu oraz uderzenie dziobem jakby o jakąś rafę; żagiel zapadł się i trzasnął, tuż obok wystrzelił strumień gorącej pary, coś przetoczyło się i przewaliło pod nami na podobieństwo trzęsienia ziemi. Cała załoga bez tchu w piersiach ciśnięta została na łeb, na szyję w białą gęstą pianę szkwału. Wszystko skłębiło się razem: szkwał, wieloryb i harpun, potwór umknął, ledwie draśnięty żelazem.

Choć wodą do cna zalana, łódź nie poniosła jednak niemal żadnego szwanku. Płynąc wokół niej pochwytiliśmy unoszące się na wodzie wiosła i wrzuciwszy je przez burzę, wwaliliśmy się na swoje miejsca. Przykucnęliśmy tam po kolana w wodzie, która pokrywała każdą deskę i szpantę, tak że patrząc z góry, mieliśmy wrażenie, iż z dna oceanu wyrosła pod nami koralowa barka.

Wicher przeszedł w wycie; bałwany zderzały się ze sobą tarczami, szkwał ryczał, rozszczepiał się i traskał wokół nas jak biały pożar prerii, na której płonęliśmy ogniem nie strawieni, nieśmiertelni w paszczęce śmierci. Daremnie wzywaliśmy krzykiem inne łodzie; z równym skutkiem można by nawoływać przez komin rozżarzone węgle w płonącym palenisku, co wzywać szalupy wśród tej nawałnicy. Tymczasem pędzące tumany, bryzgi i mgła ciemniały od mroku zapadającej nocy; nie sposób było dojrzeć ni śladu statku. Wezbrane morze udaremniło wszelkie próby opróżnienia łodzi z wody. Wiosła stały się bezużyteczne jako środek napędowy; pełniły teraz tylko funkcje ratownicze. Odciąwszy rzemienie nieprzemakalnej baryłki z zapalkami, Starbuck po wielu daremnych wysiłkach zdołał zaświecić latarnię i przytwierdziwszy ją do kawałka żerdzi podał Queequegowi niby chorążemu porzuconych nadziei. Ten siadł więc wznosząc ową idiotyczną świeczkę w samym sercu wszechwładnego opuszczenia. Tkwił tam znak i symbol człowieka pozbawionego wiary, beznadziejnie podtrzymującego nadzieję wpośród rozpacz.

Mokrzy; złani wodą i dygocący z zimna, nie mając już żadnych widoków na pojawienie się statku czy łodzi, podnieśliśmy oczy, gdy przyszedł brzask. Mgła nadal rozciągała się ponad morzem, pusta latarnia leżała strzaskana na dnie szalupy. Nagle Queequeg zerwał się przykładając złożoną dłoń do ucha. Usłyszeliśmy słabe skrzypienie jakby lin i rej, dotąd zagłuszone nawałnicą. Odgłos zbliżał się coraz

bardziej; gęsta mgła rozwarła się przed olbrzymim, niewyraźnym kształtem. Przerażeni skoczyliśmy wszyscy w morze, gdy wreszcie zamajaczył nad nami statek sunący prosto na nas z odległości nie większej niż jego długość.

Unosząc się na falach ujrzelśmy opuszczoną łódź, jak przez chwilę miotła się i przewalała pod dziobem żaglowca na podobieństwo drzazgi rzuconej w otchłań wodospadu, po czym olbrzymi kadłub przetoczył się nad nią i zniknęła nam z oczu do chwili, gdy wypłynęła kotłując się za rufą. Znowu popłynęliśmy po nią, rzuciły nas o jej kadłub bałwany, aż wreszcie wyłowieni zostaliśmy i szczęśliwie wciągnięci na pokład „Pequoda”. Okazało się, że inne łodzie, zanim przybliżył się szkwał, porzuciły pogoń i powróciły na czas do statku. „Pequod” uznał nas za straconych, krążył jeszcze wszelako,- na wypadek gdyby miał natrafić na jakiś znak naszej zagłady – wiosło czy drzewce lancy.

## ROZDZIAŁ XLIX

### HIENA

Bywają pewne osobliwe momenty i okazje w tej dziwnej, zawilej sprawie, którą nazywamy życiem, kiedy to człowiek bierze cały ten wszechświat za jeden ogromny dobry żart, choć bardzo niejasno rozeznaje jego dowcip i więcej niż podejrzewa, że kawał ów zrobiono nie czym innym kosztem, jak jego własnym. Jednakowoż nic go nie zniechęca i nic nie wydaje się warte dyskusji. Przełyka on wszelkie wydarzenia, wszystkie przesady, wierzenia i przekonania, wszelkie rzeczy ciężkie, widzialne czy niewidzialne, bez względu na to, jak by były chropawe – niczym struś o potężnym żołądku, pochłaniający kule i skałki od karabinów. Jeśli zaś idzie o drobne trudności i troski, perspektywy nagłych klęsk, zagrożenie ciała czy życia, to one wszystkie, wraz z samą śmiercią zdają mu się być jedynie kpiarskimi, pocziwymi szturchańcami, wesołymi kułakami wymierzonymi w bok przez niewidzialnego i nieznanego starego żartownisia. Ta dziwaczna odmiana kapryśnego nastroju, o jakiej tu mówią, przychodzi na człowieka tylko w dobie jakiejś nadzwyczajnej turbacji; nawiedza go wówczas właśnie, kiedy jest w nastroju poważnym, tak że to, co ledwie przed chwilą mogło mu się wydawać rzeczą niezwykle doniosłą, teraz przybiera pozór zwyczajnego żartu. Nie ma nic lepszego od niebezpieczeństw wielorybnictwa dla wyhodowania w człowieku tego gatunku beztroskiej, jowialnej, desperackiej filozofii i z nią to właśnie patrzyłem teraz na całą wyprawę „Pequoda” i na jej cel – ogromnego białego wieloryba.

– Queequegu – odezwałem się, kiedy wciągnięty jako ostatni na pokład otrząsałem się w swojej kurcie, by strzepnąć z siebie wodę.. – Queequegu, mój zacny przyjacielu, czy tego rodzaju rzeczy często się zdarzają? – Niezbyt przejęty, choć przemoczony do nitki tak jak i ja, dał mi do zrozumienia, że w istocie podobne rzeczy zdarzają się często.

– Panie Stubb – zwróciłem się do owego znakomitego osobnika, który zapięty w nieprzemakalną kurtę spokojnie teraz pykał na deszczu z fajeczki. – Panie Stubb, zdaje mi się, że słyszałem z pańskich ust, iż nasz pierwszy oficer, pan Starbuck, jest bezwzględnie najostrożniejszym i najuważniejszym ze wszystkich wielorybników, jakich pan kiedykolwiek spotkałeś. Przypuszczam zatem, że płynięcie z rozwiniętym żaglem w czasie mgły i szkwału prosto na gnającego wieloryba jest szczytem wielorybniczej roztropności?

– Pewnie. Ja osobiście spuszczałem łódź za wielorybem z przeciekającego statku, w czasie burzy za Przylądkiem Horn.

– Panie Fiask – rzekłem zwracając się do małego „KingPosta”, który stał w pobliżu – jesteś pan doświadczony w tej mierze, ja zaś nie. Może zechcesz mi pan powiedzieć, czy jest niezmiennym prawem tego rybołówstwa, żeby wioślarz wylaamywał sobie grzbiet pchając się plecami w paszczę śmierci?

– Nie mógłbyś tego krócej ująć? – odparł Fiask. – Oczywiście, takie jest prawo. Chciałbym widzieć załogę łodzi odgarniającą wodę za wielorybem twarzą do przodu. Ha, ha! Dopieroż by wieloryb zezem na nich patrzył, no!

Miałem tu więc rozsądne oświadczenie trzech bezstronnych świadków na temat całej

wyprawy. Zważywszy przeto, że szkwały tudzież wywracanie się w wodę dnem do góry oraz wynikające stąd biwaki na głębini są najpospolitszymi rzeczami w tego rodzaju życiu; zważywszy, że w najbardziej krytycznym momencie natarcia na wieloryba winienem złożyć swoje życie w ręce tego, kto steruje szalupą – częstokroć osobnika, który w tej właśnie chwili, na skutek wrodzonej porywczności, niemal rozwała dno łodzi swoim opętanym tupaniem – zważywszy, że ową właśnie katastrofę naszej własnej łodzi należy głównie przypisać faktowi, iż Starbuck gonił za swoim wielorybem niemal w samą paszczę szkwału, oraz zważywszy, że mimo to Starbuck służył z wielkiej ostrożności w czasie łowów; zważywszy, że ja właśnie należałem do łodzi tego niepospolicie ostrożnego Starbucka, i na koniec zważywszy, że zostałem uwikłany w tak szatański pościg za białym wielorybem – pomyślałem, że lepiej będzie zejść na dół i sporządzić krótki szkic własnego testamentu.

– Queequegu – powiedziałem. – Chodź no ze mną. Będiesz moim doradcą prawnym, wykonawcą testamentu oraz legatariuszem.

Może się to wydać dziwne, że ze wszystkich ludzi właśnie marynarze klecą ostatnie wole i testamenty; nie ma wszelako na świecie osobników bardziej lubiących się w tego rodzaju rozrywce. To już po raz czwarty w moim życiu morskim robiłem tę samą rzecz. Kiedy tym razem ceremonia została zakończona, poczułem, że mi znacznie lżej; kamień spadł mi z serca. Prócz tego, wszystkie dnie, jakie bym teraz przeżył, będą równie cenne, jak te, które przeżywał Łazarz po wskrzeszeniu, stanowiąc dodatkowy czysty zysk tylu i tylu miesięcy czy też tygodni, zależnie od tego, jak się zdarzy. Przeżyłem samego siebie; śmierć moja i pogrzeb zamknięte były w mojej skrzyni. Rozejrzałem się wokoło spokojnie i z zadowoleniem jak cichy duch o czystym sumieniu, zasiadający za kratami przytulnego grobu rodzinnego. „No więc – pomyślałem sobie bezwiednie zakasując rękawy od kaftana – trzeba przygotować się na chłodny i opanowany skok w śmierć i unicestwienie, a niech to wszyscy diabli!”

## ROZDZIAŁ I

### ZAŁOGA I ŁÓDŹ AHABA. FEDALLAH

– Kto by to pomyślał, Fiask! – zawołał Stubb. – Gdybym tak ja miał jedną nogę, nie znalazłbyś mnie w łodzi, chyba po to, żebym zaszpurował dziurę drewnianym paluchem. Wspaniały jest ten stary!

– Bynajmniej nie uważam, żeby w tym było coś tak bardzo dziwnego – odparł Fiask. – Gdyby miał nogę odciętą u biodra, a, toby było co innego. To by go obezwładniało. Ale ma przecie jedną całą nogę i niezłą część drugiej, sam wiesz.

– Wcale tego nie wiem, mój mały. Jeszcze nigdy nie widział, żeby klękał.

Między ludźmi świadomymi spraw wielorybnych często się dyskutuje, czy słuszne jest, by kapitan narażał swoje życie na rzeczywiste niebezpieczeństwa pogoni, zważywszy, jak zasadnicze ma ono znaczenie dla powodzenia wyprawy. Tak właśnie wojownicy Tamerlana nieraz ze łzami w oczach rozprawiali nad tym, czy bezcenne życie wodza winno być poniesione w gąszcz bitwy.

Jeśli jednak idzie o Ahaba, to zagadnienie owo przybierało zgoła inne oblicze. Zważywszy, nawet człowiek o dwóch nogach jest jedynie bardzo ułomną istotą w chwili wszelkiego niebezpieczeństwa, zważywszy, że pościg za wielorybem odbywa się zawsze wśród wielkich i niezwykłych trudności, że właściwie każdy poszczególny moment przynosi jakieś niebezpieczeństwo – czy jest w tych warunkach roztropne, by jakikolwiek kaleka wsiadał do łodzi w czasie łowów? Na ogół współwłaściciele „Pequoda” musieli wyraźnie uważać, że nie. Ahab dobrze wiedział, że jego przyjaciele w kraju nie przywiązałyby wagi do tego, czy zajmie on miejsce w łodzi podczas stosunkowo nieszkodliwych przygód polowania po to, żeby być bliżej rozgrywających się wydarzeń i móc osobiście wydawać rozkazy. Wiedział jednak równie dobrze, że właścicielom „Pe-quoda” nigdy w głowie nie powstał tak wspaniałomyślny pomysł, żeby naprawdę przydzielić mu łódź jako rzeczywistemu dowódcy w czasie łowów – a już zwłaszcza, żeby go wyposażyć w pięciu dodatkowych ludzi jako załogę tejże łodzi. Dlatego to nie poprosił ich o tę załogę ani też w żadnej formie nie napomknął o swoich pragnieniach w tej mierze. Poczynił jednak pewne własne, prywatne kroki w owej sprawie. Aż do chwili rozpowszechnienia się wieści o odkryciu Cabaka marynarze nie bardzo się tego domyślali. Oczywiście, wiele zainteresowania i ciekawości wzbudziły w swoim czasie takie fakty jak to, że kiedy odpłynięto nieco od portu, a cała załoga ukończyła już zwykle zajęcia związane z przygotowywaniem szalup wielorybnych do służby, widywano od czasu do czasu Ahaba sporządzającego własnymi rękami dulki dla łodzi, którą uważano za jedną z zapasowych, a nawet pieczołowicie strugającego małe drewniane haczyki, które umieszcza się nad wyżłobieniem na dziobie w chwili, gdy lina od harpuna z łodzi wylatuje. Zaobserwowano u niego to wszystko, a zwłaszcza troskliwość, z jaką kazał umieścić w szalupie dodatkowe dno, jak gdyby po to, by lepiej mogła wytrzymać ostry nacisk jego kościanej nogi; nie uszła też uwagi staranność, jaką wykazywał, jeśli idzie o dokładne dopasowanie deski udowej, czyli „listwy niezdarów”, jak ją czasem nazywają, to znaczy poziomego drewna w dziobie łodzi, służącego do

wspierania o nie kolana przy ciskaniu harpunem lub godzenia lancą w wieloryba; zauważono, jak często stawał w owej łodzi, umieściwszy swoje jedyne kolano w półkolistym zagłębieniu deski, i ciesielskim dłutem wyźlbiał ją nieco w jednym miejscu, a wygładzał w drugim. Niemal wszyscy przypuszczali jednak, że ta szczególna staranność przygotowań Ahaba musi mieć jedynie na celu ostateczny pościg za Moby Dickiem, kapitan bowiem wyjawiał już naówczas swój zamiar osobistego upolowania owego zabójczego potwora. Takowe domniemania nie dopuszczały jednak w żadnym razie najmniejszych podejrzeń co do załogi, jaka miała być do owej łodzi przydzielona.

Obecnie resztki zdumienia wywołanego przez podwładne kapitanowi upiory rychło się rozwiały, jako że na statku wielorybniczym wszelkie dziwy szybko bledną. Poza tym owych nawodnych banitów, jakimi są wielorybnicze żaglowce, zaludniają od czasu do czasu tak niepojęte wyrzutki przedziwnych nacji, przybyłe z niewiadomych zakątków i nor tej ziemi, a same statki częstokroć zbierają tak osobliwych rozbitków, których znajdują na pełnym morzu podrzucanych przez fale na deskach, szczątkach okrętów, wiosłach, łodziach wielorybniczych, czółnach, rozbitych dżonkach japońskich i na czym tam jeszcze – że sam Belzebub mógłby wdrapać się po kadłubie i zejść do kajuty na pogawędkę z kapitanem nie budząc bynajmniej niepokonanego podniecenia na forkaasztelu.

Jakkolwiek tam było, pewne jest przecie, że podczas gdy podwładne fantomy rychło znalazły sobie miejsce wśród załogi, choć nadal zachowywały swą odrębność, to jednak ów Fedallah w turbanie z włosów pozostał do końca nieprzeniknioną tajemnicą. Skąd przybył na tak obyczajny świat jak nasz, co za niepojęte więzy łączyły go – jak się rychło okazało – z osobliwymi losami Ahaba i to tak dalece, że miał na kapitana jakiś nieokreślony wpływ – Bóg wie, może nawet nad nim władzę – tego wszystkiego nikt nie mógł odgadnąć, ale też nie sposób było zachować obojętność w stosunku do Fedallaha. Był on istotą, jaką cywilizowani, spokojni ludzie w umiarkowanych strefach widują jedynie w snach, a i to niewyraźnie; istotą, której podobne od czasu do czasu snują się wśród nie znających zmian społeczności azjatyckich, zwłaszcza na orientalnych wyspach, położonych na wschód od kontynentu – w owych odosobnionych, pradawnych, niezmiennych krainach, które nawet w tych nowożytnych czasach nadal zachowują wiele z duchowej pierwotności przedwiecznych pokoleń tej ziemi, kiedy to pamięć o pierwszym człowieku była jeszcze żywym wspomnieniem, a wszyscy jego , potomkowie nie wiedząc, skąd pochodził, spoglądali jeden na drugiego jak prawdziwe widma, zapytując słońca i księżyca o przyczynę i cel swojego stworzenia; kiedy to, jak mówi Genesis, aniołowie doprawdy obcowali z córkami człowieczymi, a według słów niekanonicznych rabinów, szatani również oddawali się doczesnym miłostkom.

## ROZDZIAŁ LI

### FONTANNA-WIDMO

Mijały dni i tygodnie; biały „Pequod” z wolna popychany wiatrem przesunął się łagodnie poprzez cztery odrębne tereny łowieckie: w pobliżu Azorów, koło Przylądka Zielonego, po tak zwanym Plata, czyli opodal ujścia Rio de la Plata oraz przez Carrol Ground, nie oznaczony na mapie obszar wodny położony na południe od Sw. Heleny.

Pewnej cichej księżycowej nocy, kiedyśmy właśnie sunęli po tych ostatnich wodach, kiedy fale toczyły się wokoło jak srebrzyste zwoje, a w ich łagodnej, rozlewnej kipieli było jakieś srebrne milczenie, choć nie samotność – takiej to cichej nocy, daleko przed białymi bryzgami u dziobu, dostrzeżono srebrzystą fontannę. Zapalona promieniami księżycyca wyglądała niebiańsko; zdała się być jakowymś pierzastym i połyskliwym bożkiem powstającym z morza. Pierwszy okrzyknął ją Fedallah. Miał on bowiem we zwyczaju wdrapywać się owych księżycowych nocy na top grotmasztu i stamtąd wypatrywać tak skwapliwie, jak gdyby to był dzień. A przecie choć nocą można było dostrzec całe stada wielorybów, ani jeden na stu wielorybników nie zaryzykowałby pogoni. Możecie więc sobie wyobrazić, z jaką emocją marynarze spoglądali na tego starego człowieka Wschodu, uczepionego tam w górze o tak niezwyklej godzinie; turban jego i księżyc stały się towarzyszami na nieboskłonie. Kiedy wszelako przez kilka kolejnych nocy spędził tam pewien ustalony czas nie wydawszy ni dźwięku, kiedy po owym milczeniu usłyszano jego niesamowity głos oznajmujący srebrzystą, księżycową fontannę – każdy leżący marynarz zerwał się na równe nogi, jak gdyby jakiś uskrzydłony duch spłynął na olinowanie i rzucał zew załodze śmiertelników: – Tam dmucha! – Nie zadrzeliby mocniej, gdyby nawet zabrzmiały trąby na Sąd Ostateczny, a przecie nie odczuwali lęku; raczej przyjemność. Choć bowiem godzina była niezwykła, jednak krzyk takie wywarł wrażenie, tak dziko był podniecający, że niemal każdy na statku instynktownie zapragnął spuszczenia łodzi.

Przemierzywszy pokład szybkimi, gwałtownymi kroki, Ahab nakazał rozwinąć bramzagle, bombramzagle oraz wszystkie tak zwane „wrony”. Najlepszy marynarz na statku otrzymał rozkaz ujęcia steru. Wówczas, z posterunkami na każdym maszcie, „Pequod” rozpiął wszystkie żagle i pomknął z wiatrem. Kiedy przedziwna, wydźwigająca wzwyż siła bryzy dmuchającej od rufy wydeła tyle żagli, zdało się, że lekki, unoszący się pod stopami pokład jest niby powietrze. Statek skoczył przed siebie, jak gdyby borykały się w nim dwie przeciwne moce – jedna nakazująca mu wznieść się prosto do nieba, druga zaś – sunąć ukośnie ku jakiemuś horyzontalnemu celowi. Gdybyście zaś śledzili tej nocy oblicze Ahaba, przyszłoby wam na myśl, że i w nim także dwie różne rzeczy wiodą ze sobą walkę. Podczas gdy krok jego jedynej żywej nogi rozlegał się żywym echem po pokładzie, każdy stuk tej drugiej, umarłej, był jak. trzask wieka trumny. Ten stary człek stąpał po życiu i śmierci. Ale choć statek pędził tak chyżo, choć wszystkie oczy miotały na kształt strzał żarliwe spojrzenia, jednak srebrzystego tryśnięcia nie ujrano już tej nocy. Każdy marynarz przysięgał się, że widział je raz tylko, nie więcej.

Zapomniano już niemal o owej nocnej fontannie, kiedy oto w kilka dni później oznajmiono ją znowu o tej samej cichej godzinie; znowu ją wszyscy ujrzeli i znowu zniknęła, jakby jej nigdy nie było, właśnie w chwili, gdy rozwijano żagle, by ją doścignąć. I tak sobie z nami poczyniała noc po nocy, aż wreszcie, jeśli zwracano na nią uwagę, to chyba tylko po to, żeby się jej dziwować. Owa samotna fontanna, tryskająca tajemniczo w jasną poświatę księżyca lub gwiazd, znikająca znowu na całą dobę czy dwie albo trzy, a jednak najwyraźniej za każdym następnym razem posuwająca się coraz dalej i dalej w naszej awangardzie, zdawała się wabić nas nieustannie.

Toteż nie brakło marynarzy, którzy pod wpływem odwiecznych przesądów, właściwych ich plemieniu, a także pewnej nadnaturalności, jaka pod wieloma względami cechowała „Pequoda”, zaklinali się, że kiedykolwiek i gdziekolwiek dojrzy się ów niepochwytny słup pary, bez względu na to, w jak różnym czasie i pod jak odmienną szerokością i długością geograficzną – zawsze wyrzuca go jeden i ten sam wieloryb, a jest nim Moby Dick. Przez pewien czas panowało również uczucie niesamowitego lęku przed owym wymykającym się zjawiskiem, co jakby wciągało nas zdradziecko dalej i dalej w tym celu, żeby potwór mógł wreszcie obrócić się na nas i rozszarpać na najodleglejszych i najdzikszych morzach.

Te chwilowe obawy, tak niejasne, choć tak straszliwe, czerpały moc przedziwną z kontrastującej z nimi łagodności pogody, w której ci i owi upatrywali szatańskie zakłęcie czyhające pod jej błękitną słodyczą, gdyśmy całymi dniami przemierzali morza tak senne, samotniczo spokojne, że cały przestwór, wzdrygając się przed naszym mściwym dziełem, zdawał się usuwać z siebie wszelkie życie na szlaku naszego dziobu-urny.

Wreszcie jednak, kiedy obróciliśmy się na wschód, zadęły wokoło wichry od Przylądka i poczęliśmy się wznosić i opadać na długich zmaconych falach, które tam się toczą. Gdy „Pequod” o białozębnych burtach ostro się skłonił wichrowi i w szaleństwie począł bóść ciemne odmęty, kiedy jak ulewa opilków srebra runęły przez burty bryzgi pian – wówczas odbiegła precz cała ta pustka i posępna martwota, a na jej miejsce zjawiły się obrazy jeszcze straszliwsze.

Przed samym dziobem dziwne kształty miotały się tam i sam w wodzie, a tuż za rufą leciały tajemnicze kormorany. I co ranka można było ujrzeć szeregi tych ptaków uczepionych u naszych sztagów; mimo żeśmy na nie hukali, przywierały na długi czas do lin, jak gdyby sądząc, że nasz żaglowiec jest jakowymś opustoszałym statkiem błędzącym po morzu i skazanym na opuszczenie, a przeto wyborną grzędą dla ich bezdomnej rzeszy. Wzdymało się czarne morze i kolebało niezmordowanie, jak gdyby jego potężne' przyływy i odpływy były sumieniem; jakby wielką duszę świata dręczyły wyrzuty za grzech i cierpienie, które tak długo rodziła.

Przylądkiem Dobrej Nadziei ciebie nazywają? Raczej Przylądkiem Udręczeń – Cape Tormentoto, jak brzmiała twoja stara nazwa! Długo zwodzeni przez perfidną ciszę, która nas dotychczas nie opuszczała, znaleźliśmy się ciśnięci na to udręczone morze, gdzie dusze potępione zamieniane zostają w ryby czy ptaki i skazane na wieczne pływanie bez nadziei zawinięcia do przystani lub też na przemierzanie czarnego przestworu pozbawionego horyzontu. Mimo to można było od czasu do czasu dostrzec

samotny słup pary wodnej, spokojny, śnieżnobiały i niezmienny, zawsze kierujący ku niebu swoją pierzastą fontannę, ustawicznie dający nam znaki, by za nim podążać.

Podczas tej nawałnicy żywiołów Ahab, choć sprawował teraz niemal nieprzerwanie komendę na schlustanym, niebezpiecznym pokładzie, zachowywał ponurą rezerwę i rzadziej niż kiedykolwiek zwracał się do swych oficerów. Jeśli w tak burzliwym czasie wszystko na pokładzie i w górze jest już zabezpieczone, nie pozostaje nic innego, jak tylko biernie oczekiwać końca sztormu. Kapitan i jego załoga stają się wówczas właśnie fatalistami. Tak więc i Ahab, wetknąwszy kościaną nogę w przeznaczony na to otwór, krzepko uchwyciwszy się want jedną ręką, potrafił stać całymi godzinami, wypatrując wprost ku nawietrznej, podczas gdy od czasu do czasu jakaś zawierucha śniegu czy mokrych krup już prawie zwierzała mu lodem powieki. Tymczasem załoga, spędzona z przedniej części statku przez groźne bałwany, które z hukiem przewalały się przez dziób, stała szeregiem wzdłuż burt śródkręcia; aby się lepiej zabezpieczyć przed szorującymi falami, każdy marynarz opasał się rodzajem pętli przytwierdzonej od relingów i kołysał się w niej jak w poluźnionym pasie. Niewiele mówiono i milczący żaglowiec, jakby obsadzony malowanymi marynarzami z wosku, dzień po dniu sunął poprzez bystre szaleństwo i igraszki szatańskich fal.

Nocą panowała ta sama niemota ludzi w obliczu ryku oceanu; w milczeniu wsuwali się w pętle marynarze, bez słowa Ahab stawiał czoło wichrowi. Nawet gdy strudzona przyroda zdawała się żądać spoczynku, on go nie szukał w swym hamaku. Starbuck nigdy nie mógł zapomnieć widoku starego, gdy zszedłszy któreś nocy do kajuty, by sprawdzić barometr, zastał kapitana wyprostowanego, siedzącego z zamkniętymi oczami na swym krześle przyśrubowanym do podłogi, podczas gdy deszcz i topniejący śnieg nawałnicy, z której niedawno wrócił, ciągle jeszcze powoli skapywały z nie zdjętego kapelusza i kurty. Obok, na stole, leżała nie rozwinięta jedna z tych map przyływów i prądów morskich, o której wyżej była mowa. Latarnia kołysała się w twardo zaciśniętej dłoni kapitana. Choć ciało było wyprostowane, głowa opadła mu do tyłu, tak że zawarte oczy skierowane były w stronę „gadudy” kołyszącego się u belki pułapu.

„Straszliwy kapitanie! — pomyślał wzdrygnąwszy się Starbuck — śpisz w czasie tego sztormu, a przecie uparcie wypatrujesz swego celu!”

## ROZDZIAŁ LII

### „ALBATROS”

Na południowy wschód od Przylądka, poza dalekimi Krozetami, dobrym terenem dla łowców wielorybów właściwych, zamajaczył przed nami statek; był to „Goney” (albatros). Gdy z wolna zbliżał się do nas, mogłem ze swej wyniosłej grzędy na topie fokmasztu dobrze się przypatrzeć temu widokowi tak interesującemu dla nowicjusza w dalekomorskim rybołówstwie – statkowi wielorybniczemu na morzu, statkowi, który już dawno temu opuścił swój kraj.

Jak gdyby fale były malarzami, „Goney” pobielał niby szkielet morsa wywleczony na brzeg. Upiorna ta zjawa była po bokach znaczone długimi smugami czerwonej rdzy, a wszystkie reje, maszty i liny przypominały gęste konary drzew omszałe od szronu. Rozwinięte miał tylko dolne żagle. Przedziwny był widok długobrodych marynarzy stojących na jego trzech masztach. Zdawało się, że owi ludzie są przybrani w skóry zwierząt, tak bardzo podarte i połatane było ich odzienie, które przetrzymało niemal cztery lata podróży. Stojąc na żelaznych obręczach przybitych do masztów kołysali się i chwiali ponad bezdenną głębiną. Kiedy żaglowiec wolno przesuwiał się blisko rufy „Pequoda”, nas sześciu zawieszonych w powietrzu znalazło się tak blisko siebie, że niemal mogliśmy przeskoczyć z masztów jednego statku na maszty drugiego; jednakże ci smętni rybacy wprawdzie rzucali nam życzliwe spojrzenia, gdyśmy się mijali, ale nie wyrzekli ani słowa, choć z dołu rozbrzmiało pozdrowienie z mostku kapitańskiego.

– Statek, ahoy! Widzieliście białego wieloryba?

Ale kiedy kapitan „Goneya”, przechylony przez zbielałą burtę, właśnie podnosił do ust tubę, ta wypadła mu z rąk w morze, a ponieważ zerwał się znowu porywisty wiatr, próżne były wysiłki żeglarza, by dać się nam słyszeć bez jej pomocy. Tymczasem statek jego ciągle zwiększał odległość, jaka nas dzieliła. Marynarze „Pequoda” na różne milczące sposoby dawali po sobie poznać, że nie uszedł ich uwagi ów złowrótny wypadek, jaki się wydarzył, ledwie po raz pierwszy wspomniano innemu statkowi o białym wielorybie. Ahab tymczasem zatrzymał się chwilę; zdawało się, że chętnie by spuścił łódź, by wejść na pokład „Goneya”, gdyby mu tego nie wzbraniał groźny wicher. Poznawszy już z samego wyglądu, że osobliwy statek pochodzi z Nantucket i że niebawem do kraju powróci, Ahab, korzystając z tego, że wiatr dął od niego ku tamtemu, porwał znowu za tubę i donośnym głosem zakrzyknął:

– Ahoy, tam! Tu „Pequod” idący dookoła świata! Powiedzcie, żeby wszystkie listy adresowano w przyszłości na Ocean Spokojny! A jeśli nie wrócę do domu od dziś za trzy lata, niech adresują do...

W tym momencie szlaki obu żaglowców już się przecięły i natychmiast ławice drobnych, niewinnych rybek, które od kilku dni spokojnie płynęły u naszego boku, w myśl swego osobliwego zwyczaju mignęły precz, aż się zdało, że płetwy dygocą im z przerażenia, i ustawiły się u dziobu i rufy „Goneya”. Mimo to Ahab w trakcie swych ciągłych podróży musiał nieraz zaobserwować podobne zjawisko, przecież dla człowieka opanowanego manią prześladowczą najdrobniejsze błahostki brzemienne

bywają w nieobliczalne znaczenie.

– Odpływacie ode mnie, co? – szepnął spoglądając w wodę. Niewiele mówiły te słowa, ale w głosie brzmiało więcej głębokiego, bezradnego smutku, niż go stary obłąkaniec kiedykolwiek dotąd po sobie pokazał. Obrócił się jednak ku sternikowi, który dotychczas utrzymywał statek na wietrze, by zmniejszyć jego szybkość, i zakrzyknął swym dawnym, lwim głosem: Ster na burtę! Dalej naokoło świata!

Naokoło świata! Jest coś w tych słowach, co może wzbudzić uczucie dumy; wszelako dokądże wiedzie taka podróż? Wiedzie ona poprzez niezliczone niebezpieczeństwa właśnie do tego samego punktu, z któregośmy wyruszyli; tam gdzie ci, których w bezpieczeństwie pozostawiliśmy za sobą, byli i tak przez cały czas pierwsi przed nami.

Gdyby ten świat był nieskończoną równiną, po której żeglując ku wschodowi moglibyśmy stale docierać do nowych miejsc lub też odkrywać widoki rozkoszniejsze i dziwniejsze od wszystkich Cyklad czy Wysp Salomona – wówczas podróż taka pełna by była obietnic. Ale w pogoni za owymi tajemnicami, które nam się śnią, w dręczącym pościgu za upiornym demonem, który w tej czy innej dobie płynie przed każdym sercem człowieczym, goniąc tak po tym naszym krągłym globie, można się albo dostać w jałowe labirynty, albo zatonać po drodze.

## ROZDZIAŁ LIII

### GAM

Rzekomą przyczyną, dla której Ahab nie udał się na pokład spotkanego przez nas statku, był fakt, że wiatr i morze zwiastowały sztorm. Ale nawet gdyby tak nie było, Ahab nie uczyniłby tego, co zresztą można było wnosić z jego późniejszego zachowania się w podobnych okazjach – jeśli przy powitaniu otrzymał, odpowiedź przeczącą na zadane przez siebie pytanie. Jak się bowiem wreszcie okazało, nie dbało obcowanie choćby przez pięć minut z jakimś nieznanym kapitanem, chyba że ten mógł mu udzielić tej czy innej informacji, której poszukiwaniem Ahab był pochłonięty. Wszystko to jednak mogłoby tu być niewłaściwie ocenione, gdyby się nie rzekło słowa o szczególnych obyczajach statków wielorybnych w wypadku spotkania się na obcych morzach, a w szczególności na wspólnym terenie łowieckim.

Jeżeli dwaj nieznajomi, którzy się mijają na Sosnowym Ugorze w stanie Nowy Jork lub też na podobnie pustynnej równinie Salisbury w Anglii, spotkawszy się przypadkiem wśród tak niegościnniej dzicy, za nic w świecie nie pominą wzajemnego ukłonu oraz zatrzymania się w celu wymiany nowin, a może nawet zasiądą na chwilę, by wypocząć pospołu – to o ileż jest naturalniejsze, że na nieprzemierzonych Sosnowych Ugorach i równinach salisburyjskich morza dwa statki wielorybne natrafiwszy na siebie u krańców świata, poza samotnymi Wyspami Fanninga czy dalekim King's Mills, nie tylko w takich okolicznościach wymienią pozdrowienia, ale wejdą w jeszcze bliższy, bardziej przyjazny i bezpośredni kontakt. Tym bardziej zaś oczywiście się to wydaje, jeśli idzie o statki pochodzące z tego samego portu, których kapitanowie, oficerowie oraz niektórzy marynarze znają się osobiście i przeto mają do obgadania wiele domowych, drogich sercu spraw.

Statek, który w świat wyrusza, ma zapewne na pokładzie listy dla tego, co już z dawna jest w kraju nieobecny; w każdym razie może mu z pewnością przekazać gazety datowane o rok czy dwa później niż ostatnia, jaka się znalazła w jego zbrukanych i wyświechtanych palcami dokumentach. W zamian za to otrzyma on najświeższe wiadomości z terenów łowieckich, na jakie się udaje – rzecz posiadająca dlań najwyższą wagę. A w pewnym stopniu wszystko to odnosi się także i do statków wielorybnych krzyżujących swe szlaki na tym samym terenie, choćby oba równie dawno temu kraj swój opuściły, jeden z nich bowiem mógł otrzymać listy przekazane przez jakiś trzeci statek znajdujący się już teraz daleko, niektóre zaś z tych listów mogą być przeznaczone dla ludzi płynących na właśnie napotkanym żaglowcu. Prócz tego można wymienić wiadomości wielorybne i przeprowadzić miłą pogawędkę. Statki takie spotykają się bowiem nie tylko z całą sympatią marynarzy, ale również mają do czynienia ze szczególnymi, pokrewnymi zainteresowaniami wynikającymi ze wspólnego rzemiosła i wspólnie dzielonych prywatności i niebezpieczeństw.

Różnica kraju macierzystego nie stanowi tu żadnej istotnej przeszkody, przynajmniej o ile obie strony mówią jednym językiem, jak to się dzieje w przypadku Amerykanów czy Anglików. Chociaż znowu z uwagi na niewielką liczbę angielskich statków

wielorybicznych spotkania takie niezbyt się często zdarzają, a o ile do nich dochodzi, to łącznie wkrada się tu pewien brak swobody; gdyż jeśli idzie o Anglika, to raczej zachowuje on rezerwę, a taki Janke nie gustuje w czymś podobnym u kogokolwiek poza samym sobą. Prócz tego wielorybnicy angielscy czasem przybierają pozę jakiejś metropolitalnej wyższości w stosunku do amerykańskich, uważając długiego, chudego nantucketańczyka wraz z jego niezrozumiałymi prowincjonalizmami za coś w rodzaju morskiego wieśniaka. Trudno by jednak orzec, na czym w istocie polega owa wyższość wielorybnika angielskiego, zważywszy, że Jankesi zabijają łącznie więcej wielorybów w ciągu jednego dnia niż wszyscy Anglicy razem wzięci w ciągu lat dziesięciu.. Jest to jednak nieszkodliwa, drobna słabostka angielskich poławiaczy, którą nantucketańczyk niezbyt sobie bierze do serca; najprawdopodobniej dlatego, iż sam ma niejedną słabostkę.

Tak więc widzimy, że ze wszystkich poszczególnych statków żeglujących po morzach, wielorybiczne mają najwięcej powodów, żeby ze sobą obcować, co też i czynią. Natomiast niektóre statki handlowe krzyżujące swe szlaki na środku Atlantyku, często przejdą obok siebie bez jednego choćby słowa pozdrowienia, mijając się jak para elegantów na Broadwayu, a może też w tym czasie dają upust wzajemnym wymyślnym, krytycznym uwagom na temat swego olinowania. Jeśli idzie o okręty wojenne, to o ile się przypadkiem na morzu spotkają, muszą najpierw odprawić taki korowód niemądrych pokłonów, szastań i opuszczają bander, że nie sposób w tym wszystkim dostrzec jakiejś prawdziwej, serdecznej życzliwości i miłości braterskiej. Co się tyczy spotkania statków wiozących niewolników, no to te śpieszą się tak nadzwyczajnie, że uciekają od siebie, jak się da najrychlej. Zaś co do piratów, to o ile się zdarzy, że spotkają się z sobą te ich skrzyżowane puszczale, wówczas pierwszy okrzyk brzmi: „Ile czaszek?” – tak jak wielorybnicy wołają: „Ile baryłek?” A gdy już otrzymają odpowiedź na to pytanie, piraci sterują precz od siebie, albowiem z obu stron spotykają się tu piekielne łotry, nie lubią więc zbyt przyglądać się swym łotrowskim podobiznom.

Popatrzcie jednak tylko na zbożnego, uczciwego, prostego, gościnnego, towarzyskiego, beztroskiego wielorybnika! Cóż czyni statek wielorybiczny, jeśli spotka swego kompana w jakąś przyzwoitą pogodę? Odprawia z nim *gam*, rzecz tak zupełnie nie znaną wszystkim innym marynarzom, że w ogóle nigdy nie słyszeli tego słowa; a jeśliby je przypadkiem zasłyszeli, to tylko uśmiechną się drwiąco i powtórzą jakieś dowcipy o „dmuchaczach” i „pitraszeniu oleju” czystym podobne piękne wykrzykniki. Trudno by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to wszyscy marynarze floty handlowej i wojennej, jak również wszyscy piraci oraz marynarze ze statków niewolniczych żywią takie lekceważenie do statku wielorybicznego. Chciałbym wiedzieć, czy w przypadku takich, powiedzmy, piratów, zawód ich ma w sobie coś szczególnie chwalebego. Czasem w istocie kończy się on niepospolitym wywyższeniem, ale tylko na szubienicy. A gdy człowiek zostanie w tak osobliwy sposób wywyższony, to brak mu odpowiednich podstaw na tak znacznej wysokości. Stąd wniosek, że jeśli pirat chępli się swoją ogromną wyższością nad wielorybnikiem, to brak mu solidnej podstawy, na której by się mógł oprzeć.

Ale cóż to takiego jest ów *gam*? Moglibyście sobie zetrzeć palec wskazujący wodząc nim tam i sam po szpaltach słowników, a nigdy na ów wyraz nie natraficie. Dr Johnson nigdy nie osiągnął takiej erudycji; wyrazu tego nie zawiera również i arka Noego Webstera. Niemniej jednak to właśnie wyraziste słowo od lat wielu jest w stałym użyciu u jakichś piętnastu tysięcy rodowitych Jankesów. Wymaga ono z pewnością definicji i winno zostać włączone do leksykonu. Z uwagi na to pozwólcie mi je określić w sposób uczony.

*GAM* – rzeczownik – *towarzyskie spotkanie, zasadniczo na terenie łowieckim, dwóch (albo więcej) statków wielorybnych, w czasie którego po wymianie powitań składają sobie wzajemnie wizyty załogi szalup; obaj kapitanowie pozostają przez ten czas na pokładzie jednego ze statków, zaś obaj pierwsi oficerowie na pokładzie drugiego.*

Istnieje jeszcze jeden drobiazg odnoszący się do *gamowania*, o którym nie wolno tu zapominać. Wszelkie profesje mają swoje własne, drobne osobliwości; dotyczy to również i wielorybnictwa. Na okręcie pirackim czy wojennym, czy też przewożącym niewolników, jeżeli wiezie się dokądkolwiek kapitana w jego łodzi, to zawsze zasiada on w tyle, na wygodnym siedzeniu, czasem wymoszczonym poduszkami, i często osobiście steruje za pomocą ładniutkiego, małego ozdobnego rumpla przybranego wesołymi wstążkami i sznureczkami. Natomiast szalupa wielorybiczna nie ma na rufie siedzenia ni żadnej tego rodzaju sofy; nie ma też i rumpla. Źle by się działo, gdyby kapitanów wielorybnych turlano po morzu na rolkach, niczym cierpiących na podagrę dostojników miejskich w fotelach dla kalek. Co zaś się tyczy rumpla, to łódź wielorybiczna nie dopuszcza podobnej zniewieściałości i dlatego właśnie, ponieważ przy *gamie* pełna załoga szalupy musi opuścić statek, a wśród niej znajduje się sternik albo harpunnik, on to wówczas kieruje łodzią, a kapitan, nie mając miejsca siedzącego, odwożony jest na wizytę w postawie stojącej niby sosna. Często też można zauważyć, iż świadom faktu, że skierowane są nań wszystkie oczy całego widzialnego świata, spoglądające z burt obu statków, ów stojący kapitan zdaje sobie jasno sprawę z wagi, jaką dlań ma zachowanie własnej godności przez utrzymanie się na nogach. Nie jest to bynajmniej sprawa prosta, ponieważ z tyłu ogromne, sterzące wiosło sterowe wali go od czasu do czasu w krzyże, podczas gdy drugie wiosło odwzajemnia się poszturchiwaniem w kolana od przodu. Kapitan jest więc w ten sposób zaklinowany od przodu i tyłu i może poruszać się tylko na boki stojąc na rozkraczonych nogach; jednakże raptowny, gwałtowny wstrząs łodzi może go bardzo łatwo obalić, jako że długość fundamentów jest niczym bez ich odpowiedniej szerokości. Utwórzcie tylko kąt rozwartą z dwóch palików, a nie potraficie ich utrzymać w pozycji stojącej. Prócz tego nie uchodziłoby nigdy temu rozkraczonemu kapitanowi, wystawionemu wprost na spojrzenia utkwionych w niego oczu świata, nie uchodziłoby mu nigdy, powtarzam, pokazać, że pomaga sobie choć krzyżę w zachowaniu równowagi przytrzymując się ręką czego bądź; zaiste, na znak pełnego, sprężystego panowania nad sobą trzyma on zazwyczaj ręce w kieszeniach spodni; być może jednak, iż z uwagi na to, że dłonie ma na ogół bardzo wielkie i ciężkie, wkłada je tam jako balast. Mimo to zdarzały się wypadki, poświadczane jako autentyczne, że w niezwykle krytycznej chwili, powiedzmy w czasie nagłego szkwału, kapitan chwycił się czupryny najbliższego

wioślarka i trzymał się jej jak rzep psiego ogona.

## ROZDZIAŁ LIV

### HISTORIA „TOWN-HO”

*(Tak jak ją opowiedziano w Złotej Gospodzie)*

Przylądek Dobrej Nadziei i całe wodne obszary wokół niego bardzo przypominają jakieś znane skrzyżowanie wielkich gościńców, na którym spotyka się więcej podróżnych niż gdziekolwiek indziej.

Niedługo po rozmowie z „Goneyem” natrafiliśmy na inny dążący do domu statek wielorybiczny, a mianowicie „Town-Ho”, Załoga jego składała się niemal wyłącznie z Polinezyjczyków. W czasie krótkiego *gamu*, jaki nastąpił, statek udzielił nam ważnych wiadomości o Moby Dicku. U niektórych niebywale się wzmoгло ogólne zainteresowanie białym wielorybem, a to dzięki pewnej okoliczności z dziejów „Town-Ho”, która w jakiś mroczny sposób łączyła z wielorybem zdumiewający, odwrócony objaw jednego z tak zwanych sądów bożych, jakie podobno czasami dosięgają niektórych ludzi. Ta ostatnia okoliczność, tworząca wraz z towarzyszącymi jej dodatkami to, co można by nazwać tajemną częścią tragedii, którą tu mamy opowiedzieć, nigdy nie dotarła do uszu kapitana Ahaba ani jego oficerów. Ta bowiem tajemna część historii była nie znana samemu kapitanowi „Town-Ho”. Stanowiła ona prywatną własność trzech skonfederowanych białych marynarzy tego statku, z których jeden przekazał ją podobno Tasztegowi zaklinając go na wszystkie świętości, by zachował sekret. Ale następnej nocy Tasztego poczał gadać przez sen i wyjawiał w ten sposób tak znaczną część tajemnicy, że kiedy go zbudzono, nie mógł już ukryć reszty. Niemniej jednak rzecz ta wywarła tak potężny wpływ na tych marynarzy „Pequoda”, którzy się w pełni z nią zaznajomili, ci zaś kierowali się w tej sprawie tak osobliwą, powiedzmy, delikatnością, iż zachowali między sobą tajemnicę, która nigdy nie przesiąknęła poza grotmaszt „Pequoda”. Przejdę teraz do trwałego uwiecznienia tej historii, we właściwych miejscach przeplatając wszelako ową mroczną nicią tę formę, w jakiej całą historię opowiedziano publicznie na pokładzie „Pequoda”.

Dla własnej przyjemności zachowam tutaj styl, jakim niegdyś, w wilię pewnego święta, opowiedziałem ją w Limie kilku moim hiszpańskim przyjaciółom, którzy rozsiedli się wokoło pałac cygara na krytej grubo złożoną dachówką werandzie Złotej Gospody. Z tych wytwornych kawalerów dwaj młodzieńcy, don Pedro i don Sebastian, żyli ze mną na bliższej stopie; stąd też i pytania, jakie od czasu do czasu wtrącali, uzyskując na nie wówczas należyta odpowiedź.

„Na jakieś dwa lata przed powzięciem przeze mnie pierwszej wiadomości o wypadkach, które właśnie zamierzam wam, panowie, opowiedzieć, «Town-Ho», statek wielorybiczny z Nantucket, krążył po tym waszym Pacyfiku ledwie o kilka dni drogi na wschód od ścian tej tu poczciwej Złotej Gospody. Znajdował się gdzieś na północ od równika. Pewnego ranka, gdy codziennym zwyczajem uruchomiono pompy, zauważono, że statek nabiera więcej wody do komór niż zwykle. Sądzono, że przebiła go ryba-miecz, panowie. Ale kapitan dla jakichś niezwykłych przyczyn uważał, że w

owych stronach czeka go niebywale szczęście i dlatego wielce był niechętny myśli o ich opuszczeniu; ponieważ zaś nie uważano wcale tego przecieku za niebezpieczny, choć po prawdzie nie sposób było odnaleźć otwór, mimo że przeszukano komory tak głęboko, jak tylko się dało przy raczej wzburzonym morzu – statek krążył więc dalej, a marynarze pracowali przy pompach ze znacznymi przerwami. Oczekiwane szczęście nie nadeszło jednak; mijały dni i nie tylko nadal nie wykryto, skąd pochodziło przeciekanie, ale jeszcze wzrosło ono wyraźnie – i to do tego stopnia, że nieco już zaniepokojony kapitan rozwinąwszy wszystkie żagle wypatrywał pośród wysp najbliższego portu, aby tam przyciągnąć swój statek i uszkodzenie naprawić.

Aczkolwiek statek miał przed sobą dość długą podróż, kapitan bynajmniej się nie obawiał, że mu zatonie po drodze, jeżeli tylko będzie sprzyjało najzwyczajniejsze szczęście; pompy miał bowiem znakomite, a jego trzydziestu sześciu ludzi, zmieniając się przy nich od czasu do czasu, mogło z łatwością usuwać wodę, nawet gdyby otwór był jeszcze dwukrotnie większy. W istocie, zważywszy, że w ciągu prawie całej podróży towarzyszyły mu wielce pomyślne wiatry, -«Town-Ho»- byłby niemal z pewnością dotarł do portu całkiem bezpiecznie i bez najmniejszej katastrofy, gdyby nie brutalna przemoc pierwszego oficera, vineyardczyka Radneya, oraz sprowokowana przezeń zaciekle zemsta owego Straceńca Steelkilta, mieszkańca pojezierza z Buffalo.”

– Mieszkaniec pojezierza! Buffalo! Powiedz pan, proszę, co to jest mieszkaniec pojezierza tudzież gdzie leży Buffalo? – zapytał don Sebastian podnosząc się na swojej bujającej macie z trawy.

„Na wschodnim brzegu naszego jeziora Erie, don Sebastianie: ale błagam pana o cierpliwość – może jeszcze niebawem usłyszysz coś więcej na ten temat. Otóż, panowie, w samym sercu naszej Ameryki, zamkniętym zewsząd przez ląd, człowiek ów wychował się na brygach o czworokątnych żeglach, na trójmasztowcach niemal równie dużych i krzepkich jak którykolwiek z tych, co płyną z waszego starego Callao do dalekiej Manili; wychowały go owe dzikie, korsarskie przeżycia, które się powszechnie wiążą z pełnym oceanem. Albowiem ów połączony zespół tych naszych słodkich mórz – Erie i Ontario, Jeziora Hurońskiego, Górnego i Michiganu – ma isticie oceaniczny ogrom, wiele najszlachetniejszych cech oceanu oraz podobną różnorodność pobrzeżnych ras i klimatów. Na jeziorach tych istnieją całe archipelagi romantycznych wysp, zupełnie jak na wodach polinezyjskich; na znacznej części ich obszarów pobrzeżnych zamieszkują dwa wielkie odmienne narody, podobnie jak na wybrzeżach Atlantyku. Przez te jeziora wiedzie długa droga wodna do licznych naszych osiedli rozsypanych wokół ich brzegów a zamieszkałych przez kolonistów ze wschodu; tu i ówdzie spoglądają na nie surowo baterie, a z urwistej, kozicy godnej skarpy – działa wyniosłego frontu Mackinaw.

Słyszały te jeziora gwałtowne grzmoty nawodnych zwycięstw; czasami oddawały swe plaże dzikim barbarzyńcom, których czerwono pomalowane oblicza gorzały w skórzanych wigwamach; całymi milami obrzeżone są prastarym, dziewiczym borem, w którym śmigle sosny stoją niby zwarte szeregi królów na gotyckich tablicach genealogicznych; też same knieje kryją w sobie dzikie, isticie afrykańskie, drapieżne bestie oraz jedwabiste zwierzęta, których futra, wywożone za granicę, dostarczają szat

tatarskim carom. W taflach tych wód przeglądamy się brukowane ulice takich stolic jak Buffalo i Cleveland, a także wioski Winnebagów; pływa tam zarówno statek handlowy o pełnym ożaglowaniu, jak uzbrojony krążownik państwowy, parowiec lub czółno z buczyny; miecie po nich. borealny wiatr łamiący maszty – równie okrutny jak którykolwiek z tych, które chłostają słoną falą; jeziora te wiedzą, co to rozbicie okrętu, albowiem z dala od lądu, choć wewnątrz niego, zatopiły już nocą niejedną żaglowiec wraz z całą wrzeszczącą załogą. Tak więc, panowie, acz ów Steelkilt był człowiekiem lądu, przecie zrodził się na dzikim oceanie i przez ten dziki ocean wychowany został; był zatem nie mniej zuchwałym marynarzem od innych. Radney zaś, mimo że w dzieciństwie legiwał na samotnej nantucketańskiej plaży, aby się pieścić swym ojczystym morzem, a w późniejszym życiu przez długi czas przemierzał nasz surowy Atlantyk i wasz zadumany Pacyfik, był jednak równie mściwy i zadzierzysty jak ów marynarz z kniej, świeżo przybyły z krainy kordelasów o rękojeściach z rogu. A przecie ów nantucketańczyk był człowiekiem o pewnych poczciwych cechach, tamten zaś z pojezierza – marynarzem, który, choć diabeł wcielony, mógł być przez długi czas trzymany w posłuszeństwie i nie wadzić nikomu – gdyby go traktowano z nieugiętą stanowczością, miarkowaną jedynie przez tę zwykłą przyzwoitość, co w innym uznaje człowieka i jest dobrym prawem najędzniejszego z niewolników. W każdym razie takim się dotąd okazywał; jednakże Radney był z góry skazany i tknięty obłędem, Steelkilt zaś – no, ale sami usłyszycie, panowie.

Nie później niż w dwa, najdalej trzy dni od chwili, gdy «Town-Ho» obrócił dziób w stronę owego wyspiarskiego portu, zauważono, iż przeciek znowu wzrasta, ale tylko o tyle, że wymagało to godziny czy więcej codziennej pracy przy pompach. Trzeba panom wiedzieć, że na oceanie tak statecznym i ucywilizowanym, jak na przykład nasz Atlantyk, niektórzy szyprowie nie uznają pompowania przez całą drogę, chociaż gdyby przypadkiem którejś sennej nocy oficer pełniący służbę na pokładzie zapomniał o swoich obowiązkach w tej mierze, najprawdopodobniej ani on sam, ani jego towarzysze już nigdy by sobie o nich nie przypomnieli, a to z tej przyczyny, że cała załoga poszłaby łagodnie na dno.-Także i na odludnych, dzikich morzach daleko na zachód od was, panowie, nie jest bynajmniej czymś niezwykłym, jeżeli marynarze zgodnym chórem szcękają rękojeściami pomp nawet przez czas dość długiej podróży, zwłaszcza o ile szlak wiedzie wzdłuż jako tako dostępnego wybrzeża lub też, jeśli istnieje możliwość dotarcia do jakiegoś innego rozsądnego schronienia. Dopiero kiedy przeciekający statek znajdzie się w którejś prawdziwie odległej części owych wód, w takich regionach, gdzie ani śladu lądu – wtedy kapitan zaczyna odczuwać pewien niepokój.

Coś zupełnie podobnego wydarzyło się z «Town-Ho» gdy więc znowu stwierdzono, że woda przecieka coraz bardziej, kilku ludzi, z załogi okazało niejaki frasunek, szczególnie zaś Radney, pierwszy oficer. Rozkazał na nowo naciągnąć szkoty, dobrze napiąć górne żagle i starannie nastawić je do wiatru. Owóż ten Radney był, jak się zdaje, równie mało tchórzliwy i tak samo nieskłonny do jakichś nerwowych obaw o własną osobę jak pierwszy lepszy nieulekły i nierozumny zwierz lądowy czy morski, jakiego możecie sobie wyimaginać. Dlatego też, kiedy począł zdradzać taką troskę o bezpieczeństwo statku, niektórzy z marynarzy uznali, iż dzieje się to tylko ze względu

na fakt, że jest on jego współ- ' właścicielem. I kiedy owego wieczoru pracowano przy pompach, niemało chytrych dowcipów krążyło na ten temat między ludźmi, których stopy coraz to zalewała czysta jak górskie źródółko, pluszcząca woda, co wyrzucona z pomp, szorowała poprzez pokład i wylewała się równomiernie chluśnięciami przez szpejgaty od zawietrznej.

Otóż, jak to panom dobrze wiadomo, nie jest rzadkością na tym naszym konwencjonalnym świecie – wodnym czy też lądowym – że kiedy ktoś przewodzący innym ludziom stwierdzi, iż jeden z nich góruje nad nim w sposób oczywisty wspaniałą męską urodą – wówczas w tym przełożonym natychmiast się rodzi niezwykła niechęć i rozgoryczenie wobec tego podwładnego; gdyby się tylko nadarzyła sposobność, chętnie by obalił i starł na proch tę dumną wieżę przemieniając ją w garść pyłu. Nie wiem, proszę panów, czy słuszne jest to moje przypuszczenie, ale w każdym razie Steerkilt był roslým, szlachetnym stworzeniem o rzymskiej głowie i bujnej brodzie, złocistej jak chwasty kapy okrywającej parsającego rumaka waszego ostatniego wicekróla. Miał taki rozum, serce i duszę, że mógłby dzięki nim stać się Karolem Wielkim, gdyby się był urodził jako syn ojca tego monarchy. Natomiast pierwszy oficer, Radney, był szpetny jak muł i równie twardy, uparty a złośliwy. Nie kochał Steerkilta i Steerkilt o tym wiedział.

Kiedy Steerkilt wraz z resztą towarzyszy mozolił się przy pompach, spostrzegł, że zbliża się ku niemu oficer; udał jednak, że go nie dostrzega, i nadal bez obawy sypał wesołymi docinkami.

– Tak, tak, chłopaki, tego tu przecieka. Podstaw tam który bańkę, to pokosztujemy. Na Boga, warto to butelkować! Wiecie co, cały udział starego Radneya będzie zmarnowany! Najlepiej by zrobił, żeby odciął-swoją kawał statku i poholował go do domu. Faktem jest, chłopaki, że ryba-miecz tylko zaczęła tę robotę, później wróciła znowu z całą bandą cieśli okrętowych: rybpił, ryb-pilników i czego tam jeszcze, a teraz ta czereda ciężko pracuje nad przecinaniem i rąbaniem dna. Zdaje się, że jeszcze poprawiają swoje dzieło. Gdyby stary Rad był tutaj teraz, tobym mu powiedział, żeby skoczył przez burtę i rozpedził je. Mógłbym mu rzec, iż diablo sobie poczynają z jego własnością. Ale to prosta, poczciwa dusza, ten Radney, no, a przystojny! Chłopcy, mówią, że resztę swego majątku wpakował w zwierciadła. Ciekawym, czy ofiarowałby takiemu biwakowi jak ja odlew swego nosa!

– Do kata! Czemu pompa stoi?! – wrzasnął Radney udając, że nie dosłyszał słów marynarza. – Brać się do niej, a żywo!

– Rozkaz! – odparł Steerkilt wesoły jak szczygiełek. – Żywo, chłopcy, żywo teraz! – I maszyna zawarczała jak pięćdziesiąt pomp strażackich; marynarze odrzucili precz czapki i niebawem dało się słyszeć owo szczególne dyszenie znamionujące najwyższe napięcie ludzkich sił żywotnych.

Odszedłszy wreszcie od pompy wraz z resztą swojego zespołu Steerkilt udał się zziąjany na dziób i tam zasiadł na bratszpilu; twarz miał pokraśnioną, rozognioną, oczy krwią nabiegłe i ocierał obfity pot z czoła. Nie mam pojęcia, panowie, co za przekorny diabeł opętał Radneya, że teraz właśnie zaczął człowieka, który był w tak rozpaczliwym stanie fizycznym; tak się jednak stało. Przemierzawszy pokład swym

nieznośnie irytującym krokiem, oficer rozkazał Steelkiltowi wziąć miotłę i zamieść deski, jak również usunąć przy pomocy szufli pewne cuchnące pozostałości po wypuszczeniu na swobodę jakiegoś wieprza.

Otóż, proszę panów, zmiatanie pokładów na morzu jest częścią zajęć gospodarczych, których się regularnie dogląda co wieczora w każdej dobie z wyjątkiem szalejącej burzy; znane są wypadki zmiatania pokładów statków, które właśnie szły na dno. Taka to jest, panowie, niezłomność morskich obyczajów tudzież instynktowne rozmiłowanie marynarzy w schludności; są między nimi tacy, co niechętnie by zatnęli nie umywszy sobie wprzód twarzy. Jednakże na wszystkich statkach te sprawy miotłowe są w myśl przepisów domeną chłopców okrętowych, o ile takowi się na pokładzie znajdują. Prócz tego, na «Town-Ho» podzielono silniejszych ludzi na grupy, które się kolejno zmieniały u pomp, a Steelkilt, jako najatletyczniejszy z marynarzy, bywał regularnie mianowany przywódcą jednej z grup i przeto powinien był być zwolniony od wszelkich błahych zajęć nie związanych z prawdziwie marynarskimi obowiązkami, ponieważ stosowano to do jego kolegów. Wspominam tu o takich szczegółach, ażebyście panowie mogli dokładnie pojąć, jak się rzeczy miały między owymi dwoma ludźmi.

Ale nie dość na tym. Było niemal oczywiste, że rozkaz o szufli miał ubóść i znieważać Steelkilta dokładnie tak samo, jak gdyby Radney napluł mu w twarz. Ktokolwiek pływał jako majtek na statku wielorybniczym, łatwo to zrozumie, a w chwili gdy oficer ów rozkaz wydawał, Steelkilt w całej pełni pojmował to wszystko i zapewne coś więcej jeszcze. Kiedy jednak siedział przez chwilę bez ruchu, patrząc spokojnie w złe oczy Radneya, dojrzał nagromadzone w nich całe stosy beczek prochu oraz lont cicho żarzący się ku nim. Instynktownie to wyczuł i wówczas owa szczególna pobłażliwość i niechęć do pobudzania jeszcze głębszej pasji w i tak już gniewnej istocie – niechęć, którą najczęściej odczuwają, o ile w ogóle bywa odczuwana, ludzie prawdziwie dzielni, choćby nawet ich coś zabolalo – owo nieokreślone, nieuchwytnie uczucie spłynęło na Steelkilta.

Dlatego też zwykłym głosem, tylko nieco przerywanym przez fizyczne wyczerpanie, jakiemu chwilowo ulegał, odparł, że zmiatanie pokładu nie jest jego rzeczą i że tego nie uczyni. Następnie, nic zgoła nie wspominając o szufli, wskazał Radneyowi trzech chłopców, którzy zazwyczaj zmiatali, a jako że nie byli zatrudnieni przy pompach, niemal nic przez dzień cały nie mieli do roboty. Na to Radney odpowiedział przekleństwem i w sposób najkategoryczniejszy i najobraźliwszy powtórzył swój bezwarunkowy rozkaz, a jednocześnie, porwawszy z pobliskiej beczki młot bednarski, podniósł go i ruszył na siedzącego nadal marynarza.

Rozgrzanemu i podnieconemu gorączkową pracą przy pompach, mokremu od potu Steelkiltowi, mimo całej jego nieopisanej pobłażliwości, trudno było znieść to zachowanie oficera. Jednak dławiąc jeszcze w sobie pożar, jaki go ogarniał, trwał w milczeniu, jakby uparcie przyrośnięty do swego miejsca, aż na koniec rozwścieczony Radney potrząsnął młotem o kilka cali od jego twarzy, z furią nakazując mu, by wykonał rozkaz.

Steelkilt wstał, z wolna cofnął się za windę kotwiczną, wciąż ścigany przez

dzierżącego ów groźny młot oficera, i spokojnie powtórzył, że nie ma zamiaru go usłuchać. Widząc jednakże, iż pobłażliwość nie daje najmniejszych wyników, ostrzegł tego lekkomyślnego i nieroztropnego człowieka straszliwym, nieopisanym a znaczącym gestem zacisniętej pięści; wszystko jednak na próżno. I tak tych dwóch obeszło powoli bratszpil; wreszcie Steelkilt, uznając, że okazał tyle wyrozumiałości, na ile się mógł zdobyć, postanowił nie cofać się więcej, przystanął na klapie luku i ozwał się do oficera w te słowa:

– Panie Radney, ja pana nie usłucham. Zabierz pan ten młot albo bacz na siebie. – Ale oficer, jakby idąc za swym przeznaczeniem, postąpił jeszcze bliżej do miejsca, w którym bez ruchu tkwił Steelkilt, i potrząsnął ciężkim młotem ledwie o cal od jego zębów, zarazem rzucając mu nową wiązką nieznośnych złorzeczeń. Steelkilt nie cofnął się ani o tysięczną część cala, ale pchnąwszy tamtego w oczy niezłomnym puginałem swego spojrzenia, zacisnął prawą pięść, z wolna ją przeniósł za siebie i oświadczył swemu prześladowcy, że jeśli młot choć muśnie jego policzek, on, Steelkilt, zamorduje przeciwnika. Ale, proszę panów, ów głupiec był naznaczony na rzeź bogów. Natychmiast młot dotknął policzka i w następnej chwili dolna szczęka oficera wtłoczona została od ciosu w jego czaszkę, on zaś runął na pokład tryskając juchą jak wieloryb.

Zanim wrzask doleciał do rufy, Steelkilt szarpał już za jeden ze sztagów wiodących wysoko w górę, ku miejscu, gdzie dwaj z jego kamratów stali na masztach. Obaj byli kanałowcami.”

– Kanałowcami! – zawołał don Pedro. – Widzieliśmy w naszych portach siła statków wielorybicznych, aleśmy nigdy nie słyszeli o tych waszych kanałowcach. Wybacz mi pan, kim i czym są oni?

– Kanałowcy, don Pedro, są to przewoźnicy, którzy pływają po naszym wielkim Kanale Erie. Musiał pan o nim słyszeć.

– Nie, *señor*, tu, w tym nudnym, gorącym, gnuśnym i prastarym kraju, niewiele nam wiadomo o waszej jędrnej Północy.

– Czy tak? A zatem, don Pedro, bądź pan łaskaw napełnić mi szklanke. Wasza *chicha* jest wyśmienita. Zanim zacznę opowiadać dalej, wyjaśnię wam, kim są nasi kanałowcy, tego rodzaju informacja bowiem może rzucić uboczne światło na moją opowieść.

„Na długości trzystu sześćdziesięciu mil, poprzez całą szerokość stanu Nowy Jork, poprzez liczne i ludne miasta oraz kwitnące wioski, wskroś długich, posępnych, niezamieszkałych moczarów i bujnych, uprawnych pól nie mających sobie równych w urodzaju, obok pokojów bilardowych i gospod, przez zaklęte puszcze, na rzymskich łukach rzuconych ponad indiańskimi rzekami, na słońcu czy w cieniu, wśród serc radosnych czy zgębionych – przez całą tę niezwykle różnorodną scenerię owych wspaniałych dziedzin Mohawków, a w szczególności obok szeregu śnieżnobiałych kaplic, których wieżyce stoją tam jak kamienie milowe – przepływa jeden nieprzerwany strumień życia iście po wenecku zepsutego, często nie uznającego żadnych praw. Oto zaiste prawdziwe Aszanti, panowie; tam żyją poganie; tam ich zawsze znajdziecie na podorędziu – pod długimi cieniami i w opiekuńczym zaciszu kościołów. Bowiem przez jakąś osobliwą fatalność, podobnie jak wasi stołeczni korsarze

gromadzą się najczęściej wokół przybytków sprawiedliwości, tak i grzeszników najwięcej bywa w najbardziej uświęconych miejscach.”

– Czy to nie mnich tam przechodzi? – zapytał z żartobliwym niepokojem don Pedro wyglądając na zatłoczoną piazzę.

– Na szczęście dla naszego przyjaciela z północy, inkwizycja Królowej Izabeli zanika już w Limie – zaśmiał się don Sebastian. – Mów pan dalej, *señor*.

– Chwileczkę! Przepraszam! – zawołał ktoś z obecnych. – W imieniu nas wszystkich, mieszkańców Limy, pragnę tylko oświadczyć wam, panie marynarzu, że bynajmniej nie uszła naszej uwagi pańska delikatność wyrażająca się w tym, żeś nie podstawił naszej Limy w miejsce dalekiej Wenecji przy owym porównaniu na temat zepsucia. O, nie kłaniaj się pan i nie udawaj zdziwienia. Znasz wszakże przysłowie krążące po całym tym wybrzeżu: „Zepsuty jak Lima” ! Ono tylko potwierdza to, co pan mówiłeś. Kościoły tu liczniejsze niż stoły bilardowe i stale otwarte – a jednak: „Zepsuty jak Lima” ! To samo z Wenecją: byłem tam, w owym świętym mieście błogosławionego ewangelisty, św. Marka! Święty Dominiku, oczyść je! Podaj mi pan swą szklanę. Dzięki, napelniam ją znowu – a teraz mów pan dalej.

„Kanałowiec, panowie, gdybyście chcieli dać bujny obraz jego rzemiosła, mógłby być wspaniałym bohaterem dramatycznym, tak ogromnym i malowniczym odznacza się zepsuciem. Całymi dniami, na podobieństwo Marka Antoniusza, unosi się gnuśnie na falach swego obrzeżonego zieloną murawą, ukwieconego Nilu, jawnie igrając ze swoją różanolicą Kleopatrami i grzejąc morelowe uda na rozświetlonym pokładzie. Ale cała ta zniewieściałość znika na lądzie. Strój rozbójniczy, który kanałowiec tak dumnie obnosi – zdobny w wesołe wstążki kapelusz z opuszczonym rondem – to jeden z jego zasadniczych rysów. Człowiek ów jest postrachem roześmianych niewiniątek z wiosek, przez które przepływa, a jego smagłych lic i śmiałego, zadzierzystego kroku często unikają i w miastach. Niegdyś jeden z nich oddał mi cenne usługi, gdy się włóczyłem po kanale, i za to serdeczne mu dzięki. Nie chciałbym być niewdzięczny, ale często jedną z głównych cech, które wiele wynagrodzić mogą w gwałtowniku, jest to, że tak samo nie pożaluje ramienia, by dopomóc biednemu nieznanemu w kłopotcie, jak i po to, żeby ograbić bogacza. Krótko mówiąc, panowie, jedno dobitnie wskazuje, jak bardzo dzikie jest owo życie na kanale; a mianowicie fakt, że nasze też dzikie rzemiosło wielorybnicze przejęło tak wielu jego najzdolniejszych absolwentów, zaś rzadko która rasa człowiecza, z wyjątkiem ludzi z Sydney, otoczona jest podobną nieufnością naszych kapitanów wielorybniczych. Nie zmniejsza także osobliwości całej sprawy to, że dla wielu tysięcy naszych wiejskich chłopców i młodzieńców, którzy przyszli na świat wzdłuż jego brzegów, nowicjat na Wielkim Kanale stanowi jedynie przejście od spokojnych żniw na chrześcijańskim, żytym łanie do zuchwałego orania wód najbardziej barbarzyńskich mórz.”

– Rozumiem! Rozumiem! – wykrzyknął gwałtownie don Pedro rozlewając *chichą* na swój srebrzysty żabot. – Nie potrzeba wojażować! Świat to jedna Lima. Myślałem, że waszej umiarkowanej Północy pokolenia ludzkie zimne są i świątobliwe jak góry! Ale słuchajmy dalej.

„Zatrzymałem się, panowie, na tym, jak Steelkilt szarpnął za sztąg. Ledwie to uczynił,

a już go otoczyli trzej młodszy oficerowie oraz czterej harpunnicy i pospołu obalili na pokład. Ale zsunąwszy się po linach, jak niszczące komety, obaj kanałowcy skoczyli w ciżbę usiłując wywlec z niej swego towarzysza w stronę forkasztelu. Inni marynarze przyszli im z pomocą, wskutek czego srogie powstało zamieszanie; natomiast waleczny kapitan, omijając niebezpieczeństwo, to przyskakiwał, to się cofał z oszczepem w dłoni i nawoływał oficerów, aby obili tego ohydneho łotra i powlekli go na mostek kapitański. Od czasu do czasu podbiegał tuż do przewalającego się ludzkiego kłębowiska i wsuwając w środek oszczep usiłował ugodzić nim przedmiot swojej nienawiści. Ale nikt nie mógł dać rady Steelkiltowi i jego straceńcom, którym udało się dotrzeć na pokład forkasztelu, gdzie pośpiesznie przetoczyli trzy czy cztery wielkie beczki ustawiając je w jednej linii z kabestanem i niby morscy paryżanie zamknęli się za barykadą.

– Wyłazić stamtąd, wy, piraci! – ryknął kapitan, grożąc im trzymanymi w obu dłoniach pistoletami, które mu właśnie przyniósł steward. – Wyłazić, zbójce!

Steelkilt wskoczył na barykadę i kroczył po niej tam i z powrotem urągając wszelkiemu niebezpieczeństwu, jakim mu zagrażały pistolety: dał też kapitanowi wyraźnie do zrozumienia, że jego, Steelkilta, śmierć byłaby sygnałem do morderczego buntu całej załogi. Lękając się w głębi serca, że może się to okazać aż nazbyt prawdziwe, kapitan pohamował nieco swój zapał, nakazał jednak rebeliantom, by natychmiast powrócili do swych zajęć.

– Czy przyrzekasz pan, że nas nie dotkniesz, jeśli to uczynimy? – zapytał przywódca.

– Dalej go! Nuże! Nie daję żadnych obietnic! Do roboty! Chcecie zatopić statek objijając się w takim czasie? Dalej go! – tu znowu podniósł pistolet.

– Zatopić statek? – krzyknął Steelkilt. – A niech tonie! Żaden z nas nie zabierze się do pacy, jeśli pan nie poprzysięgniesz, iż nie podniesiesz na nas nawet jednego włókna liny. Co wy na to, chłopcy? – zwrócił się do swych kamratów. Zaciekle wiwaty były mu odpowiedzią.

Steelkilt począł teraz patrolować po barykadzie, ciągle mając oko na kapitana i wyrzucając z siebie takie mniej więcej zdania: – To nie nasza wina. Myśmy tego nie chcieli, powiedziałem mu, żeby zabrał ten młot. Toż to dzieciństwo, mógł mnie już przedtem poznać. Mówiłem mu, żeby nie drażnił byka. Zdaje się, że sobie przetrącił palec o tę jego przeklętą szczękę. Czy te tasaki są tam na forkasztelu, chłopcy? Pamiętajcie o tamtych hanszpugach, kochani. Przebóg, kapitanie, miej pan wzgląd na siebie. Rzeknij słowo, nie bądź głupcem – zapomnij pan o wszystkim. Myśmy gotowi wziąć się do roboty. Potraktuj nas pan przyzwoicie, a wszystko będzie dobrze, tylko nie dajcie się chlostać!

– Zabierajcie się do pracy! Nie daję żadnych obietnic. Do roboty, powtarzam!

– Słuchaj pan! – krzyknął Steelkilt wyciągając ku niemu ramię. – Jest tu nas kilku (a i ja do nich należę), co zaciągnęli się tylko na tę wyprawę. Otóż widzi pan, możemy, jak to panu dobrze wiadomo, zażądać zwolnienia, gdy tylko się spuści kotwice. Nie chcemy więc burdy – nic na niej nie zyskamy. Pragniemy zachować się spokojnie i gotowiśmy do pracy, tylko nie dajcie się chlostać.

– Brać się do roboty! – huknął kapitan.

Steelkilt rozglądał się przez chwilę, po czym rzekł: – Powiem panu coś, kapitanie. Miast pana zabijać i iść na szubienicę za tak paskudnego łajdaka, nie podniesiemy na pana ręki, jeśli pan nas nie zaatakuje. Ale nie tkniemy się niczego, dopóki pan nie przyrzeknie, że nie będziemy chłostani.

– A więc na dół, do for kasztelu! Potrzymam was tam, dopóki wam się nie odechce. Na dół!

– Zejdziemy? – krzyknął przywódca do swoich ludzi. Większość była temu przeciwna, ale na koniec, okazując mu posłuszeństwo, zeszli przed nim do swej ciemnej nory niknąc z pomrukiem niby niedźwiedzie w jaskini.

Kiedy odkryta głowa Steelkilta zrównała się z poziomem desek pokładu, kapitan przeskoczył przez barykadę wraz ze swą czeredą i szybko opuściwszy klapę zejścia przycisnął ją dłońmi, głośno wołając na stewarda, by mu przyniósł ciężką mosiężną kłódkę zamykającą schodnię kajutową. Następnie uchylił nieco klapy, wszeptał coś w szczelinę, zamknął otwór i przekręcił klucz za dziesięcioma ludźmi, pozostawiając na pokładzie mniej więcej dwudziestu, którzy dotychczas' byli neutralni

Przez całą noc wszyscy oficerowie pełnili jak najczujniej wartę na przodzie i na tyle statku, a w szczególności około wjazdu forkasztelowego oraz przy przednim luku ładowni; obawiano się bowiem, że buntownicy mogą wychynąć przez ten ostatni po wyłamaniu grodzi pod pokładem. Wszelako godziny ciemności upłynęły w spokoju; ci marynarze, co pozostali na stanowiskach, mozolili się ciężko przy pompach, których złowrogi brzęk i łoskot rozlegał się od czasu do czasu na statku, wśród owej posępnej nocy.

O wschodzie słońca kapitan udał się na dziób i zakołatawszy w deski pokładu wezwał więźniów do pracy; ci jednakże z krzykiem odmówili. Wówczas spuszczone im wodę do picia i wrzucono za nią kilka garści sucharów, po czym kapitan zamknął klapę na klucz, włożył go do kieszeni i powrócił na swój mostek. Przez trzy dni powtarzało się to po dwa razy na dobę, ale czwartego ranka, gdy jak zazwyczaj wezwano uwięzionych do roboty, usłyszano jakiś niewyraźny rumor, a następnie odgłosy bójki, i nagle czterech ludzi wyrwało się z forkasztelu oświadczając, że są gotowi do pracy. Smrodliwa duchota, głodowe racje, a i być może, jakieś obawy przed ostateczną karą skłoniły ich do bezwarunkowej kapitulacji. Tym ośmielony kapitan powtórzył reszcie swoje żądania, ale Steelkilt wrzasnął na niego z dołu, dając mu groźnie do zrozumienia, by skończył ze swym bredzeniem i zabierał się, skąd przyszedł. Piątego ranka trzech dalsi buntownicy wyrwali się na powietrze z objęć, które rozpaczliwie usiłowały zatrzymać ich na dole. Pozostało tylko trzech.

– No cóż, nie lepiej iść do roboty? – zapytał kapitan z okrutnym szyderstwem.

– Zamknij nas pan na powrót! – odkrzyknął Steelkilt.

– A, proszę bardzo! – odparł kapitan i klucz zazgrzytał w kłódce.

Wówczas to, proszę panów, Steelkilt – rozwścieczony odstępstwem siedmiu niedawnych towarzyszy, dotknięty do żywego szyderczym głosem, którym się doń zwrócono, doprowadzony do szaleństwa długim pogrzebaniem w miejscu mrocznym jak same trzewia rozpaczy – zaproponował obu kanałowcom, którzy dotychczas

najwyraźniej we wszystkim się z nim zgadzali, żeby wyskoczyć z tej nory przy następnym wezwaniu i uzbroiwszy się w ostre tasaki (długie, półkoliste, ciężkie narzędzia z rękojeściami u każdego końca) runąć jak szaleńcy od bukszprytu aż po burtę rufową i, jeśli się to da osiągnąć przez jakoweś szaleństwo rozpaczy – opanować statek. Oświadczył, że co do niego, to postąpi tak sam, czy tamci się doń przyłączą, czy nie. Ta noc będzie ostatnią, jaką spędzi w tej norze Projekt nie napotkał jednak sprzeciwu ze strony jego dwóch towarzyszy; zaklęli się, że są na to gotowi równie jak na jakiegokolwiek inne szaleństwo; krótko mówiąc na wszystko z wyjątkiem kapitulacji.

Co więcej, każdy z nich nalegał, żeby być pierwszym, który wyskoczy na pokład, gdy chwila po temu nadejdzie. Takiemu projektowi wszakże zaciekle się sprzeciwił ich przywódca zachowując owo pierwszeństwo dla siebie, zwłaszcza że obaj jego kamracy nie chcieli sobie nawzajem ustąpić w tej mierze, a obaj na raz nie mogli być pierwsi, ponieważ na drabinie mieścił się tylko jeden człowiek. I tu właśnie, panowie, wyjdzie na jaw nikczemna gra tych niegodziwców.

Słyszając o tym szalonym projekcie swojego przywódcy każdy z nich z osobna powziął snadź w duszy ten sam oszukańczy pomysł, a mianowicie: być tym, który najwcześniej wypadnie na pokład, ażeby stać się pierwszym z trzech, choć ostatnim z dziesięciu, którzy się poddali, i w ten sposób zapewnić sobie choćby tę niewielką szansę przebaczenia, na jaką można podobnym postępkim zasłużyć. Kiedy jednak Steelkilt oznajmił o swoim postanowieniu przewodzenia im aż do ostatka, obaj w jakiś sposób, przez tajemną alchemię łotrostwa, zmieszali razem swoje dotąd tajone oszustwa; gdy ich przywódca zapadł w drzemkę, otworzyli sobie wzajem dusze w trzech zdaniach, związali śpiącego sznurami, zakneblowali go powrozem i o północy poczęli wołać kapitana.

Sądząc, że zanosi się na mord i węsząc w ciemnościach za krwią, kapitan wraz ze wszystkimi zbrojnymi oficerami i harpunnikami rzucił się do forkaasztelu. W ciągu kilku minut otworzono właz, a miotający się herszt ze związanymi rękami i nogami wyciągnięty został na powietrze przez swych przewrotnych sprzymierzeńców, którzy natychmiast poczęli sobie przypisywać zasługę pojmania człowieka, co w pełni już dojrzał do morderstwa. Wszystkich jednak chwycono za kark i powleczono przez pokład jak zarżnięte bydłeta, po czym zawieszono ich przy sobie na olinowaniu bezanmasztu na podobieństwo trzech ćwierci mięsiwa; tam też przetrwali do rana. – Niech was kaci! – pokrzykiwał kapitan przechadzając się przed nimi tam i z powrotem. – Nawet sępy by was nie tknęły, łajdaki!

O wschodzie słońca zebrał całą załogę i oddzieliwszy tych, co się zbuntowali, od tych, którzy w buncie udziału nie wzięli, oświadczył pierwszym, że już był postanowił wszystkich ich wychłostać – pewien był w ogóle, że to uczyni – tak postąpić powinien – wymaga tego sprawiedliwość – ale na razie, zważywszy, że w porę się poddali, zadowolni się w stosunku do nich naganą, której też im w myśl tego udzielił w dosadnych słowach.

– Ale co do was, ścierwa – zwrócił się do trzech ludzi zawieszonych u olinowania – to zamierzam was posiekać do kotła! – Tu porwał linę i z całej mocy zaczął nią walić po plecach obu zdrajców, aż wreszcie przestali krzyżeć i martwo zwiesili na bok

głowy, podobnie jak dwaj ukrzyżowani łotrowie na obrazach.

– Rękę sobie na was wywichniąłem – zawołał wreszcie – ale dość jeszcze liny na ciebie zostało, mójże ty zawadiako, coś nie chciał się poddać! Wyjąć mu ten knebel z pyska. Posłuchajmy, co też może powiedzieć na swoją obronę.

Wyczerpanemu buntownikowi drżały przez chwilę zdrętwiałe szczęki, następnie z bólem poruszył wkoło głową i syknął: – Powiem tyle – zapamiętaj to sobie dobrze – że jeśli mnie wychłostasz, to cię ubiję!

– Tak powiadasz? A więc popatrz, jak mnie przestraszyłeś – tu kapitan zamachnął się nań liną.

– Lepiej nie... – zasyczał marynarz.

– Owszem, muszę! – i znowu zamierzył się liną do ciosu. Wówczas Steelkilt wyszeptał coś, czego nikt nie usłyszał prócz

kapitana, który ku osłupieniu całej załogi szarpnął się w tył, przemierzył dwa czy trzy razy pokład szybkim krokiem i nagle odrzuciwszy precz linę powiedział:

– Ja tego nie zrobię – niech idzie – odciąć go, słyszycie? Ale gdy młodszy oficerowie spieszyli już, aby rozkaz wykonać,

powstrzymał, ich bladą twarz z obandażowaną głową – pierwszy oficer Radney. Od czasu otrzymania ciosu leżał na swej koi, ale tego ranka, usłyszawszy tumult na pokładzie wypełznął stamtąd i do tej chwili przyglądał się całej scenie. Usta jego były w takim stanie, że ledwie mógł mówić; wybełkotał jednak coś w tym, że ma chęć i czuje się na siłach uczynić to, na co nie ważył się kapitan; porwał linę i podszedł do swego obezwładnionego wroga.

– Tchórze! – syknął Steelkilt.

– Owszem, jestem tchórzem, ale ty przyjmij to ode mnie! – Oficer właśnie miał już uderzyć, kiedy drugie syknięcie powstrzymało jego wzniesione ramię. Zatrzymał się, ale już w następnej chwili uczynił to, co zapowiedział, mimo groźby Steelkilta, jakkolwiek ona była. Następnie odcięto wszystkich trzech, załoga powróciła do pracy i pompy ozwały się jak przedtem wprawione w ruch przez posępnych marynarzy.

Tuż po zapadnięciu zmierzchu, kiedy jedna z wacht powróciła już na dół, usłyszano wrzaski na forkasztelu i obaj zdrajcy drżąc ze strachu przypadli do drzwi kajuty mówiąc, że nie śmiały przebywać wraz z załogą. Ani prośby, ani szturchańce, ani kopniaki nie mogły ich odpędzić, więc na własne błagania umieszczeni zostali dla bezpieczeństwa na dnie statku. Jednakże u reszty załogi nie wystąpiły już żadne oznaki buntu. Wprost przeciwnie, wydawało się, że głównie na perswazję Steelkilta postanowili zachować najzupełniejszy spokój, słuchać do ostatka wszelkich rozkazów, a gdy statek dobije do portu, opuścić go jak jeden mąż. Ale by sobie zapewnić jak najrychlejsze zakończenie podróży, wszyscy zgodzili się na jeszcze jedno – a mianowicie, żeby nie meldować o wielorybach w wypadku, gdyby je dojrzano. Bowiem mimo przecieku i wszelkich innych niebezpieczeństw »Town-Ho« nadal utrzymywał posterunki na masztach, kapitan zaś równą miał ochotę spuszczać za rybą szalupę jak tego dnia, gdy jego statek po raz pierwszy dotarł do terenów łowieckich; a Radney, pierwszy oficer, był tak samo gotów zamienić koję na łódź i mimo bandaży na ustach zadławić na śmierć żywotną gardziel wieloryba.

Ale choć Steerkilt nakłonił marynarzy do przyjęcia tak biernego sposobu postępowania, nie zdradził przecie (przynajmniej do chwili, gdy już było po wszystkim) planów własnej, osobistej zemsty na człowieku, który go uraził aż do głębi serca. Należał do wachty Radneya, ten zaś obłąkaniec, jak gdyby wychodząc na spotkanie swojej zagładzie, już po owej ostatniej scenie nalegał wbrew wyraźnym radom kapitana, by objąć nocą dowództwo swojej wachty. Na tym fakcie tudzież na kilku innych okolicznościach Steerkilt systematycznie budował plan swojej zemsty.

Radney miał w nocy niemarynarski zwyczaj siadania na nadburciu mostku kapitańskiego i opierania ręki o krawędź łodzi tamże zawieszanej nieco powyżej kadłuba statku. Wiadomo było dobrze, że czasem drzemał w tej pozycji. Między łodzią a statkiem istniała dość znaczna szczelina, w dole zaś było morze. Steerkilt obliczył sobie czas i wykalkulował, że jego następna kolejka przy sterze przypadnie około drugiej nad ranem, trzeciego dnia od chwili, gdy został zdradzony. Wolny czas zużywał na wielce staranne splatanie czegoś w czasie wachty pod pokładem.

– Co ty tam robisz? – zapytał go jakiś marynarz.

– Jak ci się zdaje? Co ci to przypomina?

– Wygląda jak powróśło do worka, ale wydaje mi się trochę dziwne.

– Tak, trochę dziwaczne – odparł Steerkilt trzymając je przed sobą w wyciągniętej ręce – ale myślę, że się nada. Kolego, brak mi szpagatu, masz go tam trochę?

Nie było jednak szpagatu na forkaasztelu.

– Więc muszęgo wziąć od starego Radneya – Steerkilt wstał, aby się udać na tył okrętu.

– Nie zamierzasz chyba prosić *jego*? – ozwał się jakiś marynarz.

– Czemuż by nie? Myślisz, że nie zrobi mi tej grzeczności, jeśli na koniec ma to się jemu przysłużyć? – Udał się do oficera, popatrzył nań spokojnie i poprosił o nieco szpagatu dla naprawienia hamaka. Otrzymał to, o co prosił, i więcej nie widziano ani szpagatu, ani powroza; wszelako następnej nocy, w chwili gdy Steerkilt upychał na hamaku swą kurtę marynarską miast poduszki, z kieszeni omal mu nie wypadła żelazna kula ciasno spowita w sznurkową siatkę. W dwadzieścia cztery godziny później nadeszła nocna kolejka Steerkilta u steru, w bliskości człowieka, który skłonny był drzemać nad grobem wiecznie otwartym dla marynarza; nadeszła owa godzina fatalna i w wyobraźni Steerkilta, z góry sprawę przesądzającej, oficer leżał już ze zmiażdżonym czołem, rozciągnięty i sztywny jak trup.

Ale, moi panowie, głupiec uratował niedoszłego mordercę od krwawego czynu, jaki ten planował. A mimo to uzyskał on całkowitą pomstę, sam nie będąc mścicielem. Zdało się bowiem, że przez jakąś tajemną fatalność same Nieba wystąpiły, by przejąć z jego rąk potępione dzieło, którego zamierzał dokonać.

Między brzaskiem a wschodem słońca drugiego dnia, właśnie kiedy szorowano pokłady, jakiś głupawy marynarz z Teneryfy wciągając wodę przy grotwantach nagle wykrzyknął:

– Tam się kłębi, tam się kłębi! Jezu, co za wieloryb! – Był to Moby Dick.”

– Moby Dick! – wykrzyknął don Sebastian. – Na świętego Dominika! Czyż wieloryby miewają chrzestne imiona, panie marynarzu? Kogóż to zowiesz Moby

Dickiem?

– Bardzo białego i sławnego, zabójczego, a nieśmiertelnego potwora, don Sebastianie – ale to by była zbyt już długa historia.

– Jak to, jak to? – zawołali wszyscy młodzi Hiszpanie cisnąc się do mnie.

– Nie, panowie, nie, nie! Nie mogę teraz tego wyłuszczać. Dajcie mi nieco więcej powietrza, panowie!

– *Chicha! Chicha!* – zawołał don Pedro. – Nasz krzepki przyjaciel wygląda, jakby zasłabł. Napełnijcie mu jego próżny kielich!

– Nie trzeba, panowie, jeszcze chwila, a będę mówił dalej.

„Otóż ów człowiek z Teneryfy, ujrawszy tak raptownie śnieżnego wieloryba w odległości pięćdziesięciu jardów od statku, zapomniał o umowie zawartej między załogą i w nagłym podnieceniu, instynktownie, mimowolnie zakrzyknął na widok potwora, którego już od niejakiego czasu widziano z trzech milczących masztów. Teraz szal ogarnął wszystkich. – Białe wieloryb! Białe wieloryb! – wrzeszczał kapitan, wrzeszczeli oficerowie i harpunnicy, którzy, nie zastraszeni przerażającymi pogłoskami, pałali ochotą upolowania tak sławnej i cennej ryby; natomiast uparta załoga klnąc, spoglądała spode łba na straszliwe piękno olbrzymiej, mlecznej masy, która w świetle poziomych promieni słońca przesuwiała się, polśniewając jak żywy opal, na tle błękitu porannego morza. Panowie, osobliwa fatalność przenika cały bieg owych wypadków, jak gdyby zaiste były one obmyślane jeszcze, zanim sam świat znalazł się na mapie. Buntownik zwykle zajmował stanowisko na dziobie łodzi Radneya, a kiedy ryba była już ugodzona harpunem, miał obowiązek siedzieć tuż przy oficerze i podczas gdy ten stawał z laną na dziobie, on napinał albo poluzniał linę, zależnie od słów komendy. Co więcej, gdy teraz spuszczone już wszystkie cztery łodzie, oficer popłynął na przedzie, a nikt zacieklej nie ryczał z zachwytu niż Steelkilt wyęzający wszystkie siły przy wiosle. Po zjadłej pogoni ich harpunnik ugodził wieloryba i Radney z laną w rękę wyskoczył na dziób. W łodzi był on podobno „zawsze niebywale zaciekły. Teraz krzyczał poprzez bandażę, by najechać na sam grzbiet wieloryba. Z wielką ochotą jego przedni wiosłarz holował go bliżej i bliżej przez oślepiające bryzgi pian, w których stapiały się w jedno obie białości, aż nagle szalupa uderzyła jakby o jakąś podwodną rafę i przechyliwszy się wyrzuciła w toń stojącego oficera. W chwili gdy upadł na śliski grzbiet wieloryba, łódź powróciła do właściwego położenia i odrzucona została przez rozkołysane fale, Radney zaś ciśnięty w morze po drugiej stronie cielska potwora. Wynurzył się pośród kipieli i na moment ujrano go niewyraźnie, niby poprzez zasłonę, jak rozpaczliwie usiłował usunąć się z oczu Moby Dicka. Ale wieloryb zakręcił się w nagłym wirze, porwał płynącego człowieka w paszczę i rzuciwszy się wraz z nim wysoko w górę, znurkował na łeb i zniknął pod wodą.

Tymczasem Steelkilt na pierwsze uderzenie w dno łodzi rozluźnił linę, aby odsunąć się od wiru; spokojnie patrzył na to, co się działo, zajęty własnymi myślami. Ale raptowne, straszliwe szarpnięcie w dół kazało mu szybko dobyć noża. Przeciął nim linę; wieloryb był teraz wolny. W niejakiej odległości Moby Dick wynurzył się znowu ze strzępami czerwonej, wełnianej koszuli Radneya wplątanymi między kły, które go unicestwiły. Wszystkie cztery łodzie znowu rozpoczęły pogoń, ale wieloryb wymknął

im się i wreszcie zniknął całkowicie.

Po pewnym czasie »Town-Ho« dopłynął do portu – dzikiego, samotnego miejsca, gdzie nie zamieszkiwała żadna cywilizowana istota. Tam, pod przewodem Steelkilta, wszyscy prości majtkowie, z wyjątkiem pięciu czy sześciu, roztropnie zdezerterowali między palmy, a w końcu, jak się okazało, porwali duże, podwójne czółno bojowe krajowców i pożeglowali do jakiejś innej przystani.

Ponieważ załoga uszczuplona została do garstki ludzi, kapitan odwołał się do mieszkańców wyspy o pomoc w mozolnym dziele położenia statku na bok w celu usunięcia przecieku. Ale ta drobna grupka białych zmuszona była do tak niezmordowanego baczenia w dzień i w nocy na swych niebezpiecznych sprzymierzeńców, praca zaś była tak niesłychanie uciążliwa, że Medy żaglowiec był już gotów ruszać na morze, okazało się, iż marynarze są do tego stopnia osłabieni, że kapitan nie ośmielał się płynąć z nimi na tak ciężkim statku. Po naradzie z oficerami zakotwiczył go dalej od lądu, jak tylko się dało, nabił i wytoczył na dziób oba swoje działa, rozłożył na rufie muszkiety i ostrzegłszy krajowców, by nie zbliżali się do statku, jeśli im życie miłe, zabrał ze sobą jednego z ludzi i wciągnąwszy żagiel na maszt najlepszej ze swych łodzi wielorybicznych, posterował prosto z wiatrem w kierunku odległej o pięćset mil Tahiti; ażeby zebrać posiłki dla załogi.

Czwartego dnia podróży ujrzeni spore czółno, które najwidoczniej przybiło do płaskiej wysepki koralowej. Kapitan oddał się odeń, ale tubylcza łódź ruszyła za nimi i oto wkrótce głos Steelkilta wezwał go, by się zatrzymał, gdyż w przeciwnym razie pośle go pod wodę. Kapitan dobył pistoletu. Steelkilt, wsparłszy stopy na dziobach dwu łączonych czółen bojowych, wyśmiał go i wyszydził upewniając, że jeśli pistolet choćby szczęknę zamkiem, on pogrzebie kapitana wśród pian i odmętów.

– Czego ode mnie chcesz? – zawołał kapitan.

– Dokąd pan płynie? I po co? – zapytał Steelkilt. – Tylko bez łgarstw.

– Płynę na Tahiti po ludzi.

– Dobrze. Pozwól mi pan wejść na chwilę do twej łodzi. Przybywam w pokojowych zamiarach. – Z tymi słowy wyskoczył z czółna, podpłynął do łodzi i wdrapawszy się przez burtę, stanął twarz w twarz z kapitanem.

– Złóż pan ręce na krzyż, głowa do tyłu. A teraz powtarzaj za mną: Gdy tylko Steelkilt mnie opuści, przysięgam, że wciągnę łódź na tamtą wysepkę, gdzie pozostanę przez sześć dni. Jeślibym tego nie uczynił, niechaj mnie grom ugodzi!

– Pyszny uczeń – zaśmiał się następnie Steelkilt. – *Adios señor!* – I skoczywszy w morze odpłynął do swoich kamratów.

Obserwował łódź, dopóki nie wjechała jak się patrzy na brzeg i póki jej nie wciągnięto aż do korzeni palm kokosowych, po czym ruszył dalej w drogę i po pewnym czasie przybył na Tahiti, która była także i jego miejscem przeznaczenia. Tam mu się poszczęściło: dwa statki miały odejść do Francji i los tak zrządził, że zabrakło im akurat tej liczby ludzi, jakiej Steelkilt przewodził. Zaciągnęli się i w ten sposób na dobre umknęli swemu dawnemu kapitanowi, na wypadek gdyby ten w ogóle zamierzał ich oddać w ręce sprawiedliwości.

W jakieś dziesięć dni po wyruszeniu statków francuskich przybyła na Tahiti łódź

wielorybnicza i kapitan zmuszony został do wzięcia na służbę kilku spośród bardziej cywilizowanych krajowców, którzy byli nieco obznajmieni z morzem. Nająwszy mały tubylczy szkuner, powrócił wraz z nimi do swego statku i znalazłszy tam „wszystko w porządku, na nowo podjął swoje wędrówki.

Nikt nie wie, proszę panów, gdzie obecnie przebywa Steelkilt, ale na wyspie Nantucket wdowa po Radneyu ciągle wygląda na morze, które nie chce wydać swoich zmarłych; ustawicznie widzi w snach straszliwego białego wieloryba, co zamordował jej męża.”

– Czy pan skończył? – zapytał spokojnie don Sebastian.

– Tak jest.

– A więc zaklinam pana, powiedz mi, czy zgodnie z twoim najgłębszym przekonaniem historia ta jest rzeczywiście w swej treści prawdziwa? To przecie tak niesłychanie zdumiewające? Czy pan się o niej dowiedział z niewątpliwego źródła? Zechciej mi wybaczyć, jeśli jestem zbyt natrętny.

– Wybacz i nam wszystkim, panie marynarzu, gdyż wszyscy przyłączamy się do pytania don Sebastiana! – zakrzyknęło całe towarzystwo z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

– Panowie, czy znajdzie się w Złotej Gospodzie egzemplarz Pisma świętego?

– Nie – odparł don Sebastian – ale znam zacnego kapłana, który mieszka w pobliżu i szybko mi go dostarczy. Już po nie idę, wszelako czyś się pan dobrze namyślił? To może się stać zbyt poważne.

– Czy byłby pan tak łaskaw, żeby przyprzewodzić ze sobą także i księdza?

– Choć w Limie nie ma już teraz *auto-da-fé*, przecie lękam się, iż nasz przyjaciel marynarz narazi się arcybiskupowi – rzekł jeden z obecnych do drugiego. – Wycofajmy się nieco z tego księżycowego światła. Nie sądzę, żeby to wszystko było niezbędne.

– Wybacz mi pan, że cię gonię, don Sebastianie, ale czy mógłbym prosić, żebyś specjalnie wybrał Ewangelię największego rozmiaru, jaki znajdziesz?

– Oto ksiądz, przynosi ze sobą Ewangelię – powiedział z powagą don Sebastian powracając w towarzystwie rosłego i dostojnego męża.

– Pozwólcie, że zdejmę kapelusz. A teraz, wielobny kapłanie, podejdź bliżej do światła i trzymaj przede mną Pismo święte, tak abym mógł go dotknąć.

– Tak mi dopomóż Bóg: na honor mój przysięgam, że historia, którą wam, panowie, opowiedziałem, jest w swej treści i głównych zarysach prawdziwa. Wiem to z pewnością. Wydarzyła się na tej naszej kuli ziemskiej. Sam stąpałem po pokładzie tego statku. Znałem jego załogę. Widziałem się i rozmawiałem ze Steelkiltem już po śmierci Radneya.

## ROZDZIAŁ LV

### O POTWORNYCH WIZERUNKACH WIELORYBÓW

Niebawem namaluję wam, najlepiej jak to się tylko da uczynić bez użycia płótna,- coś w rodzaju prawdziwej postaci wieloryba, w jakiej on się rzeczywiście objawia oku łowcy, kiedy całą swą potężną masą przycumowany jest do boku statku wielorybniczego, tak że można snadnie stąpnąć na jego grzbiet. Dlatego też warto by może było uprzednio poświęcić nieco uwagi owym osobliwym, fantastycznym jego wizerunkom, jakie po dziś dzień dufnie nadużywają dobrej wiary ludzi lądu. Czas już wyprowadzić świat z błędu w tej mierze udowadniając, że podobne obrazy wieloryba są całkowicie fałszywe.

Być może, iż pierwotnego źródła wszystkich owych malarskich bałamuctw doszukać się można wśród najstarszych rzeźb hinduskich, egipskich czy greckich. Albowiem od tych czasów pomysłowych, lecz pozbawionych skrupułów, kiedy to na marmurowych płytach świątyń, na piedestałach pomników, na tarczach, medalionach, pucharach i monetach wyobrażano delfina w łuskowej zbroi, niczym Saladyna, tudzież w hełmie na głowie na podobieństwo św. Jerzego – od owych czasów zawsze coś z tego rodzaju fantazji pokutowało nie tylko w najbardziej popularnych wizerunkach wieloryba, ale też i w licznych naukowych jego wyobrażeniach.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa najstarszy z istniejących konterfektów, który ma rzekomo przedstawiać wieloryba, można znaleźć w słynnej pagodzie-pieczarze Elefanty, w Indiach. Bramini utrzymują, że pośród nieprzeliczonych rzeźb owej odwiecznej pagody niemal wszystkie zawody i rzemiosła, każde możliwe zajęcie ludzkie wyobrażano już na całe stulecia wcześniej, nim którekolwiek z nich istotnie stało się rzeczywistością. Nic więc dziwnego, że i nasza szlachetna profesja wielorybnicza została tam w pewnej mierze proroczo przedstawiona. Ów hinduski wieloryb, o którym była mowa, znajduje się tamże na osobnej części ściany, gdzie wyobrażone jest wcielenie Wisznu w postaci Lewiatana, co się uczenie zowie Matse Avatar. Ale chociaż owa rzeźba wyobraża półczłowieka i półwieloryba ukazując tylko ogon tego ostatniego, przecie nawet ten jego niewielki fragment jest zupełnie źle przedstawiony. Bardziej przypomina zwężający się ogon węża anacondy niż szerokie pletwy majestatycznego wielorybiego ogona.

Idźcie też do starych galerii i popatrzcie na portret tej ryby pędzla wielkiego chrześcijańskiego malarza; i temu nie lepiej się powiodło niż przedpotopowemu Hindusowi. Jest to obraz Guida przedstawiający Perseusza, który wybawia Andromedę z mocy morskiego potwora, czyli wieloryba. Skądże to Guido wziął model tak przedziwnego stworzenia? A Hogarthowi też się ani na jotę lepiej nie udało, kiedy malował tę samą scenę w swoim „Perseuszu walczącym”. Olbrzymi korpus tego hogarthowskiego potwora unosi się na powierzchni morza nie zanurzony ani na cal w wodzie. Ma on na grzbiecie coś w rodzaju czapraka, a rozwartą, pełną kłów paszczkę, w którą chlustają bałwany, można by wziąć za Bramę Zdrajców prowadzącą od Tamizy wodą do wnętrza Tower. Dalej mamy prodromusowe wieloryby starego Szkota,

Sibbalda, tudzież wieloryba Jonasza, tak jak go przedstawiają ryciny w starych Bibliach i drzeworyty w dawnych modlitewnikach. Cóż o nich można powiedzieć? Jeśli zaś idzie o introligatorskiego wieloryba oplecionego jak winna latorośl wokół trzonu spuszczonej kotwicy – tak jak go się widuje tłoczonego i pozłacanego na grzbietach i okładkach wielu książek, zarówno starych, jak nowych – to mamy tu wielce malowniczy, lecz czysto baśniowy stwór naśladowujący, jak sądzę, podobne figury na antycznych wazach. Choć powszechnie nazywa się go delfinem, ja jednak określe tę introligatorską rybę jako próbę pokazania wieloryba, taki tu bowiem był zamiar, kiedy ów pomysł zastosowano po raz pierwszy. Uczynił to pewien dawny włoski wydawca gdzieś około XV wieku, w dobie odrodzenia nauk, i od owych czasów aż po stosunkowo niedawny okres mniemano, że delfiny są odmianą Lewiatana.

Na winietach oraz innych ozdobach pewnych staroświeckich ksiąg spotkacie czasami wielce ciekawe motywy wielorybie, gdzie wszelkiego rodzaju fontanny, *jets d'eau*, gorące i zimne źródła jak w Saratoga czy Baden-Baden tryskają pieniście z jego niewyczerpanego mózgowia. Na karcie tytułowej pierwszej edycji *Postępu nauk* znajdziecie kilka osobliwych wielorybów.

Ale pozostawmy te niezawodowe próby i rzućmy okiem na takie obrazy Lewiatana, które uchodzą za trzeźwe, naukowe rysunki wykonane przez ludzi znających się na rzeczy. W starym zbiorze podróży Harrisa jest kilka sztychów przedstawiających wieloryby, a zaczerpniętych z jakiejś holenderskiej księgi podróżniczej A.D. 1671, zatytułowanej *Wyprawa Wielorybnicza do Szpicbergu na Okręcie „Jonasz w Wielorybie”* (Mistrz Peter Peterson z Frieslandu). Na jednym z owych sztychów wyobrażono wieloryby leżące wśród wysp lodowych na kształt ogromnych, zbitych z kłoców tratw, i białe niedźwiedzie biegające po ich żywych grzbietach. Na innej rycinie popołniono olbrzymią pomyłkę przedstawiając wieloryba z pionowym ogonem.

Dalej mamy też imponujący wolumen *in quarto*, napisany przez niejakiego Colnetta, kapitana fregaty w angielskiej marynarce wojennej, zatytułowany: *Wyprawa wokół Przylądka Horn na Morza Południowe dla rozszerzenia połowów kaszalotów*. W książce tej znajduje się rysunek mający być „wizerunkiem Physetera, czyli Kaszalota, odrysowanym w skali z ryby u wybrzeży Meksyku w sierpniu roku 1793 ubitej i na pokład wciągniętej”. Nie wątpię, że kapitan kazał sporządzić ten wiarygodny wizerunek na beneficjum swoich marynarzy. Żeby wspomnieć o tylko jednym jego szczególe, niech mi będzie wolno powiedzieć, iż wieloryb ma tam oko, które przymierzone według załączonej skali do dorosłego kaszalota, przypominałoby jakieś okno wykuszowe mniej więcej pięciu stóp długości. Ach, dzielny kapitanie, czemu jeszcześ nie dodał nam Jonasza wyglądającego przez to oko!

Najsumienniejsze kompilacje z historii naturalnej sporządzane dla dobra młodocianych też nie są wolne od tych samych okropnych błędów. Spójrzcie tylko na popularne dzieło Goldsmitha: *Natura ożywiona*. W skróconym wydaniu londyńskim z 1807 roku znajdują się sztychy przedstawiające rzekomego „wieloryba” i „narwala”. Nie chcę się wydać nieeleganckim, ale ten paskudny wieloryb ogromnie przypomina amputowaną maciorę, a co do narwala, to jeden rzut oka wystarczy, żeby człeka wprawić w zdumienie, iż w dziewiętnastym wieku można jakimkolwiek inteligentnym

uczniom podsuwać podobnego hipogryfa jako coś prawdziwego.

A znów w 1825 roku wielki przyrodnik, Bernard Germain, hrabia de Lacépède, opublikował naukowe, usystematyzowane dzieło o wielorybach, w którym jest kilka wizerunków rozmaitych odmian Lewiatana. Nie tylko są one wszystkie błędne, ale co się tyczy *Mysticetusa*, czyli wala grenlandzkiego (to znaczy właściwego), nawet Scoresby, człowiek o długoletnim doświadczeniu, jeśli idzie o ten gatunek, twierdzi, iż owa podobizna nie ma odpowiednika w naturze.

Ale uwieńczenie wszystkich tych błędów i omyłek miało przypaść w udziale uczonemu Fryderykowi Cuvier, bratu słynnego barona. W roku 1836 opublikował on *Historię naturalną wielorybów*, w której podaje coś, co nazywa wizerunkiem kaszalota. Zanim pokażecie ów obrazek któremukolwiek z nantucketańczyków, lepiej zapewnijcie sobie pośpieszny odwrót z Nantucket. Jednym słowem, kaszalot Fryderyka Cuvier nie jest kaszalotem, ale plackiem. Oczywiście, autor nigdy nie skorzystał z możliwości odbycia wyprawy wielorybniczej (tacy ludzie rzadko to czynili), nie sposób zaś domyślić się, skąd zaczerpnął wzór do tego obrazu. Może stamtąd, skąd i Desmarste, jego uczonego poprzednik na tym samym polu, wziął jeden ze swych poronionych autentyków, a mianowicie z jakiegoś chińskiego rysunku. A że Chińczyki mają dryg do ołówka, o tym pouczają nas liczne osobliwe filizanki i spodeczki.

Cóż natomiast powiedzieć o wielorybach malowanych na szyldach ulicznych wiszących ponad sklepami handlarzy oleju? Są to przeważnie wieloryby a la Ryszard III, o garbach dromaderów i wielce dzikie; spożywają na śniadanie trzy czy cztery placki z marynarzy, to znaczy łodzie wielorybnicze pełne ludzi; bezkształtne cielska tych potworów przewalają się w morzu krwi i błękitnej farby.

Ale te różnorakie błędy w przedstawianiu wieloryba nie są, bądź co bądź, tak bardzo zadziwiające. Zważcie tylko! Większość tych naukowych rysunków sporządzona została na podstawie obserwacji wyciągniętej na brzeg ryby; są one zatem mniej więcej równie dokładne, jak podobizna rozbitego okrętu z przetrąconym grzbietem mająca wiernie odtworzyć to szlachetne stworzenie w całej nienaruszonej chwale kadłuba i rej. Wprawdzie słonie pozowały do swoich portretów w całej postaci, jednakże żywy Lewiatan nigdy dotąd nie uniósł się nadobnie na falach po to, by namalowano jego konterfekt. Żywego wieloryba w całym majestacie i godności można ujrzeć na morzu jedynie wśród niezgruntowanych odmętów, albowiem kiedy płynie, jego potężne cielsko kryje się przed wzrokiem niby spuszczonej na wodę wojenny okręt liniowy; jest więc rzeczą po wsze czasy niemożliwą dla człowieka śmiertelnego wydobyć go z tego żywiołu i wywindować w powietrze z zachowaniem wszystkich potężnych skłębień i pofałdowań jego ciała. Nie mówiąc już o wysoce oczywistej różnicy kształtów między młodym oseskiem wielorybim a w pełni wyrosniętym, platońskim Lewiatanem, przecie nawet jeśli któryś z tych młodziaków wyciągnięty zostanie na pokład, ciało ma tak niesamowicie wężowe, gibkie i zmienne, że sam diabeł nie umiałby pochwycić jego dokładnego zarysu.

Można by sobie jednak wyobrazić, że z nagiego szkieletu wyholowanego na brzeg wieloryba da się wyciągnąć dokładne wnioski co do jego właściwego kształtu. Bynajmniej. Jest mianowicie jedną z większych osobliwości tego Lewiatana, że szkielet

daje bardzo słabe pojęcie o jego ogólnej postaci. Chociaż szkielet Jeremiarza Benthama zawieszony miast kandelabru w biblio' tece jednego z wykonawców jego testamentu daje niejaki pojęcie o masywnym, utylitariańskim starszym panu wraz ze wszystkimi innymi głównymi cechami jego osobowości, to jednak nie sposób domyślić się niczego podobnego z jakichkolwiek kości wieloryba. W istocie, jak mówi wielki Hunter, sam szkielet wieloryba pozostaje w takim stosunku do pełnych, obfitych kształtów zwierzęcia, jak owad do larwy, która tak pięknie go zaokrąglą. Tę osobliwość w sposób uderzający wykazuje głowa wieloryba, jak to jeszcze zostanie nadmienione w jednej z części niniejszej książki. Przejawia się to również bardzo ciekawie w bocznej płetwie, której kościec niemal dokładnie odpowiada kościom ręki ludzkiej minus duży palec. Płetwa ta ma cztery prawidłowe kości palcowe: wskazującą, środkową, serdeczną i małą. Wszystkie one jednak są na stałe osadzone wewnątrz cielesnej powłoki podobnie jak palce ludzkie tkwiące w jakimś sztucznym okryciu. „Jakkolwiek ostro czasem sobie z nami wieloryb poczyna — powiedział któregoś dnia wesoły Stubb — nie sposób przecie twierdzić, że obchodzi się z nami bez rękawiczek.”

Ze wszystkich tych przyczyn, z jakiego punktu widzenia by na to nie spojrzeć, musi się dojść do konkluzji, że wielki Lewiatan jest tą jedyną istotą na świecie, która musi po wsze czasy pozostać nie namalowana. Prawda, że jeden portret może być o wiele lepiej utrafiiony od drugiego, ale żaden nie może utrafić z jakimś oardzo znacznym stopniem dokładności. Nie ma więc żadnego na świecie sposobu przekonania się, jak właściwie wygląda naprawdę wieloryb. Jedyna droga, którą można osiągnąć choćby jakie takie pojęcie o jego żywych kształtach, to samemu ruszyć na wieloryby; ale w ten sposób człowiek naraża się na niemałe niebezpieczeństwo, że zostanie przez nie rozbity i na wiek wieków zatopiony. Dlatego to wydaje mi się, że lepiej nie bądźcie zbyt wymagający w waszej ciekawości co do tego Lewiatana.

## ROZDZIAŁ LVI

### O MNIEJ BŁĘDNYCH WIZERUNKACH WIELORYBÓW TUDZIEŻ O WIERNYCH OBRAZACH SCEN WIELORYBNICZYCH

W związku z potwornymi wizerunkami wielorybów mam silną pokusę, by tu omówić jeszcze potworniejsze o nich opowieści, które można znaleźć w pewnych książkach, tak dawnych jak i nowoczesnych, a w szczególności u Pliniusza, Purchassa, Hackluyta, Harrisa, Cuviera etc. Ale przejdę nad tym do porządku.

Wiadomo mi tylko o czterech szkicach opublikowanych na temat wielkiego kaszalota, których autorami są: Colnett, Huggins, Fryderyk Cuvier i Beale. W poprzednim rozdziale wspomniano już o Colnetcie i Cuvierze. Praca Hugginsa jest od nich o wiele lepsza, ale Beale jest bezwzględnie najlepszy. Wszystkie jego rysunki, przedstawiające tego wieloryba, są dobre z wyjątkiem środkowego z trzech kaszalotów wyobrażonych w różnych pozycjach na początku drugiego rozdziału. Karta tytułowa, która przedstawia łodzie atakujące kaszalota, choć bez wątplenia obliczona na wywołanie uprzejmego sceptycyzmu w niektórych bywalcach salonów, jest w ogólnym efekcie wspaniale dokładna i pełna życia. Niektóre rysunki kaszalotów u J. Ross Browne'a są dość poprawne w linii, ale okropnie sztychowane. To jednakże nie jest już jego wina.

Najlepsze szkice wala właściwego znajdują się u Scoresby'ego, są jednak rysowane w zbyt małej skali, żeby wywrzeć pożądane wrażenie. Zamieszcza on ledwie jedną scenę wielorybniczą, co jest ogromnym brakiem, ponieważ tylko z takich obrazków, jeśli są w ogóle dobrze wykonane, można powziąć coś zbliżonego do właściwego pojęcia o żywym wielorybie, tak jak go widują jego żywi łowcy.

Ale ogólnie biorąc, bezwarunkowo najświetniejszymi, jakie można znaleźć – choć w pewnych szczegółach nie nazbyt dokładnymi – wizerunkami wielorybów i scen wielorybniczych są dwa duże sztychy francuskie, dobrej roboty, wykonane z obrazów niejakiego Garnery. Jeden z nich przedstawia atak na kaszalota, drugi na wieloryba właściwego. Na pierwszym sztychu ukazany jest w, całym majestacie swej mocy wspaniały kaszalot, który właśnie wynurzył się pod łodzią z głębin oceanu i wynosi na grzbiecie wysoko w powietrze straszliwe szczątki potrzaskanych desek. Przód łodzi zachował się częściowo i chwieje się na grzbiecie potwora, a na dziobie widzicie wioślarza, jak przystanął tam na jedno nieuchwytne mgnienie oka, i na w pół przesłonięty wściekłym, kipiącym wydmuchem potwora, właśnie usiłuje zeskoczyć, niczym w przepaść. Cała akcja jest tu oddana znakomicie i wiernie. Do połowy opróżniony bęben linowy unosi się na spienionych falach; drzewce rozrzuconych harpunów sterczą z nich ukośnie; głowy pływających marynarzy widnieją tu i ówdzie wokół wieloryba, na twarzach maluje się różnorodny wyraz przerażenia, a z mrocznej, burzliwej dali sunie wprost na to wszystko statek. Można by znaleźć poważne błędy w anatomicznych szczegółach wieloryba, ale pomińmy to, bowiem za żadne skarby nie potrafiłbym narysować równie dobrego.

Na drugim sztychu łódź wyobrażona jest w chwili, gdy sunie wzdłuż oblepionego

ślimakami kadłuba ogromnego pływającego wieloryba właściwego, który pławi w morzu swe czarne, wodorostami okryte cielsko, podobne jakiejś omszałej turni z gór patagońskich. Jego wydmuchy są proste, bujne i czarne jak sadze; po tak obfitym dymie z komina można by wnosić, że na dole, w ogromnych jelitach musi się warzyć przednia wieczerza. Ptactwo morskie dziobie drobne kraby, skorupiaki tudzież inne morskie cukierki i łakocie, jakie wieloryb właściwy czasem nosi na swym zapowietrzonym grzbiecie. A grubowargi Lewiatan przez cały ten czas pędzi wskroś odmętów zostawiając na swym szlaku całe tony wzburzonych, białych pian, co powoduje, że wątła łódź kolebie się wśród bałwanów jak czółno, które się dostało w pobliże kół oceanicznego parowca. W ten sposób przedni plan obrazu jest jednym rozszalałym ruchem; natomiast z tyłu, przez wspaniałą artystyczny kontrast wyobrażono spokojne morze, obwisłe, nie usztywnione żagle bezsilnego statku i bezwładną masę ubitego wieloryba, tej zdobytej fortecy z flagą zwycięstwa zatkniętą w otwór wydmuchowy.

Nie wiem, kim był czy jest ów malarz Garnery. Ale głowę daję, że albo był z praktyki dobrze obznajmiony z przedmiotem, albo też wspaniałe go wyuczył jakiś doświadczony wielorybnik. Francuzi są jedyni do odmalowywania akcji. Przejrzyjcie wszystkie malowidła Europy, a gdzież to na płótnie znajdziecie taką galerię bujnego, tchnącego życiem ruchu, jak w owej sali tryumfalnej w Wersalu, kędy widz przebija się bez ładu i składu przez kolejne wielkie bitwy francuskie, kędy każdy miecz zdaje się być błyskiem północnej zorzy, a zbrojni królowie i cesarze jeden po drugim przebiegają mimo, niczym szarżujące, koronowane centaury? Owe obrazy morskich bitew pędzła Garnery'ego nie są zaiste niegodne miejsca w tejże galerii.

Przyrodzona zdolność Francuzów do chwytania malowniczości rzeczy zdaje się szczególnie objawiać w ich obrazach i sztychach na tematy wielorybiczne. Nie posiadając ani dziesiątej części doświadczenia Anglików w tym rzemiośle, zaś ani jednej tysiącznej doświadczenia Amerykanów, dostarczyli przecie obu tym narodom jedynych skończonych rysunków, zdolnych w ogóle dać pojęcie o prawdziwym duchu tych łowów. W większości wypadków rysownicy angielscy i amerykańscy kontentują się najzupełniej ukazaniem mechanicznego zarysu rzeczy, jak na przykład nic nie mówiącego profilu wieloryba, co, jeśli idzie o malowniczość efektu, jest mniej więcej równoznaczne z naszkicowaniem profilu piramidy. Nawet Scoresby, wielorybnik cieszący się zasłużoną sławą, podawszy nam sztywny portret wala grenlandzkiego w całej postaci oraz trzy czy cztery delikatne miniatury narwali i delfinów, częstuje nas serią klasycznych rycin przedstawiających haki łodziowe, tasaki i kotwice, tudzież z mikroskopową dokładnością jakiegoś Leuwenhoecka przedkłada spojrzeniom dygocącego świata dziewięćdziesiąt sześć facsimile powiększonych arktycznych kryształów śniegu. Nie zamierzam uwłaczać temu znamienitemu podróżnikowi (czczę go jako weterana), ale w sprawie tak doniosłej było z pewnością przeoczeniem, że nie zaopatrzył się dla każdego kryształu w zaprzysiężone świadectwo sporządzone w obecności jakiegoś grenlandzkiego sędziego pokoju. Oprócz tych doskonałych sztychów Garnery'ego istnieją dwie inne godne uwagi ryciny francuskie wykonane przez kogoś, kto się podpisuje „H- Durand”. Jedna z nich, mimo że niecałkowicie odpowiada naszemu obecnemu tematowi, zasługuje przecie na wzmiankę z innych względów. Jest

to spokojna scena rozgrywająca się o południu na wyspach Pacyfiku; francuski statek wielorybiczny, zakotwiczony wśród ciszy morskiej u wybrzeża, leniwie załadowuje na pokład słodką wodę, a poluzowane jego żagle, zarówno jak i długie liście palm stojących w głębi, zwisają w bezwietrznym powietrzu. Efekt jest bardzo piękny, jeśli się zważy, że rycina przedstawia zuchwałych rybaków w czasie jednego z nielicznych momentów iście orientального spoczynku. Drugi sztych, to zupełnie co innego; statek na pełnym morzu, w samym sercu lewiatańskiego życia, z wielorybem wzdłuż kadłuba (przedstawiony w trakcie oprawiania zdobyczy) przycumowany jest do potwora jak do nabrzeża, a w głębi jedna z łodzi, odpływając pośpiesznie, od tej sceny pełnej ożywienia, rusza w pogoń za wielorybami. Harpuny i lance leżą gotowe do użytku, trzech wioślarzy właśnie ustawia maszt w otworze, a od nagłego rozkołobania bałwanów wątła łupina sterczy niemal pionowo z wody, niby koń stający dęba. Ze statku, spod kotłów, w których przetapiany jest tłuszcz wielorybi, wznosi się dym jak przed wioską pełną kuźni, a po stronie nawietrznej gromadzą się czarne, zwiastujące szkwał i deszcz chmury, jakby przynaglające rozgorączkowanych marynarzy do pośpiechu.

## ROZDZIAŁ LVII

### O WIELORYBACH MALOWANYCH: O WYKONYWANYCH Z ZĘBÓW, Z DRZEWA, Z BLACHY, Z KAMIENIA; O WIELORYBACH W GÓRACH I W GWIAZDACH

Na Tower-Hill, w miejscu gdzie się schodzi do doków londyńskich, widzieliście, być może, kalekiego żebraka („kotwicę”, jak mówią marynarze) trzymającego przed sobą deskę, na której wymalowana jest tragiczna scena przedstawiająca moment, kiedy utracił nogę. Widnieją tam trzy wieloryby i trzy łodzie, z których jedną (zawierającą zapewne brakującą nogę w pierwotnej całości) miażdżą właśnie szczęki najbliższego wieloryba. O każdej porze w ciągu ostatnich lat dziesięciu ów człowiek, jak mi mówiono, trzymał tę tablicę i wystawiał ten kikut na spojrzenia niedowierzającej publiczności. Ale oto nadszedł czas usprawiedliwienia biedaka. Jego trzy wieloryby są najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek wystawiono na widok publiczny, przynajmniej w Wapping, kikut zaś jest równie niewątpliwy jak kikuty drzew, które możecie znaleźć na karczowiskach zachodu. Ale choć ten biedny wielorybnik stale tkwić musi na owej okaleczonej nodze, nigdy przecie nie wygłasza przemówień agitacyjnych, lecz stoi żałośliwie, ze spuszczoneymi oczami, kontemplując własne kalectwo.

Wokół całego Pacyfiku, jak również w Nantucket, w Nowym Bedfordzie i w Sag Harbour, wszędzie natrafić można na ogromnie żywe wizerunki wielorybów i scen wielorybniczych wyryte przez samych poławiaczy na zębach kaszalotów, na fiszbinach damskich gorsetów oraz na innych podobnych artykułach skrimszanderskiej roboty – jak wielorybnicy nazywają liczne drobne, a pomysłowe przedmioty, które wymyślnie rzeźbią w owym surowcu podczas wolnych godzin na oceanie. Niektórzy z nich mają niewielkie puzderka przyborów przypominających narzędzia dentystyczne, specjalnie do tejże roboty przeznaczonych. Na ogół jednak pracują wyłącznie przy pomocy kozików i tym niemal wszechmocnym narzędziem marynarza potrafią wykonać, co wam się żywnie podoba, z dziedziny żeglarskiej fantazji.

Długie wygnanie poza świat chrześcijański i cywilizację nieuchronnie przywraca człowieka do stanu, jaki mu Bóg przeznaczył, to jest do tego, co się zowie dzikością. Prawdziwy łowca wielorybów jest równie dziki jak jakiś Irokez. Ja sam jestem dzikusiem, który winny jest wiernopoddaństwo jedynie Królowi Ludożerców; a jednak w każdej chwili gotów jestem zbuntować się przeciw niemu.

Otóż jedną z osobliwych cech charakterystycznych dzikiego w zaciszu domowym jest jego zadziwiająca cierpliwość i pracowitość. Starodawna hawajska maczuga bojowa czy wiosło, w całym bogactwie i wymyślności roboty snycerskiej, to równie wielkie osiągnięcie ludzkiej wytrwałości jak łaciński ieksykon, albowiem ową precudną zawilość drewnianej koronki osiągnięto przy pomocy zaledwie ułamka morskiej muszli czy też zęba rekina; a kosztowało to cierpliwe lata cierpliwej pracy.

Z białym dzikusiem-marynarzem dzieje się podobnie jak z dzikusiem hawajskim. Z tą samą cudowną cierpliwością, takim samym pojedynczym zębem rekina, a mianowicie swoim skromnym kozikiem, wykona on wam rzeźbę w kości, może nie tak doskonałej

roboty, ale równie pokrytą labiryntem rysunków jak tarcza owego greckiego dzikusa, Achillesa; równie tchnącą barbarzyńskim duchem i pełną sugestywności jak sztychy owego znakomitego, starodawnego germańskiego dzikusa, Albrechta Dürera.

Na forkasztelach amerykańskich statków wielorybicznych można często spotkać wieloryby drewniane, czyli profile wielorybów wycięte z małych, ciemnych płytek szlachetnego drzewa z Mórza Południowych. Niektóre są wykonane z dużą drobiazgowością.

W starych domach wiejskich o spadzistych dachach można czasem oglądać mosiężne wieloryby uwieszone za ogon jako kołatki u drzwi od strony gościńca. Jeśli odźwierny jest śpiochem, wówczas najlepszy bywa taki wieloryb o łbie jak kowadło. Wszelako te kołaczące wieloryby rzadko są godne uwagi, gdy chodzi o dokładność wykonania. Na wieżycach poniektórych staroświeckich kościołów można oglądać wieloryby blaszane umieszczone tam w charakterze kurków wskazujących kierunek wiatru; znajdują się one jednak tak wysoko, a oprócz tego noszą przecie tak wyraźne piętno: „Nie dotykać”, że nie sposób zbadać ich z bliska, aby rozstrzygnąć o ich wartości.

W kościastych, poszarpanych regionach tej ziemi, gdzie u stóp wysokich, splekanych turni spoczywają masy skalne rozrzucone po równinie w fantastycznych ugrupowaniach, często odkryjecie jak gdyby wizerunki skamieniałych kształtów Lewiatana, częściowo zanurzone w trawie, która w wietrzny dzień rozbija się o nie falami rozkołysanej zieleni.

A znowu w krajach górzystych, kędy podróżnika ustawicznie otaczają amfiteatralne wyniosłości, można tu i ówdzie, z jakiegoś dogodnego punktu widzenia, ujrzeć przelotnie profile wielorybów odcinające się wśród pofalowanych górskich grani. Ale aby widoki te zobaczyć, trzeba być rzetelnym wielorybnikiem; nie dość na tym: o ile się chce znów do takiego widoku powrócić, należy dla pewności pomierzyć dokładnie przecięcie długości i szerokości geograficznej punktu, z którego się pierwotnie patrzyło, gdyż te obserwacje górskie bywają tak przypadkowe, że ów poprzedni, dokładny punkt wymagać *może* pracowitego odszukiwania na nowo, podobnie jak Wyspy Salomona, które ciągle pozostają nieznane, choć niegdyś stąpał po nich Mendanya o wysokiej kryzie, zaś stary Figuera je opisywał.

A kiedy temat ów całkowicie was pochłonie, niechybnie wypatrzyście na wygwieżdżonym niebie ogromne wieloryby wraz ze ścigającymi je łodziami, podobnie jak narody Wschodu, z dawna przepełnione myślami o wojnie, widziały pośród obłoków wojska zwarte w bitwie. Tak to na północy, wokoło bieguna, ścigałem Lewiatana podążając za ruchem świetlnych punkcików, które uprzednio mi go nakreśliły. A pod rozjarzonym niebem Antarktydy wsiadłem na Argo-Navis i przyłączyłem się do pogoni za gwiazdym Cetusem hen, poza najdalszy punkt Hydrusa czy Latającej Ryby.

Gdybym miał kotwicę fregaty miast wędzidla, a pęki harpunów jako ostrogi, chętnie bym dosiadł tego wieloryba i ruszył w skok na najwyższe nieba, żeby zobaczyć, czy owe baśniowe dziedziny wraz z ich niezliczonymi namiotami doprawdy zaległy obozem poza zasięgiem mojego śmiertelnego wzroku!

**KONIEC TOMU I**

**2 tom**

## ROZDZIAŁ LVIII

### BRIT

Żeglując na północo-wschód od Krozetów natrafiliśmy na obszerne łąny *britu*, drobnej, żółtej substancji, którą się głównie żywi wieloryb właściwy. Dziesiątkami i dziesiątkami mil *brit* falował wokoło nas, tak iż się zdało, że płyniemy wskroś nieprzemierzonych pól dostajej, złocistej pszenicy.

Drugiego dnia spostrzeżono liczne wieloryby właściwe, które, bezpieczne od ataku ze strony takiego kaszalotowca jak „Pe-quod”, leniwie płynęły z rozwartymi szczękami poprzez *brit*, który przywarłszy do frędzlowatych włókien owej zadziwiającej weneckiej żaluzji, jaką mają w paszczach, w ten sposób oddzielany był od wody wyciekającej przez wargi.

Niby poranni kosiarze, co idąc ramię w ramię, z wolna a krzepko prowadzą kosy poprzez długą, wilgotną trawę łąk podmokłych, potwory owe płynęły wydając dziwny, trawiasty, tnący dźwięk i pozostawiając za sobą na żółtym morzu nie kończące się ścieżki błękitu.<sup>1</sup>

Ale to tylko dźwięk wydawany przez wieloryby przy oddzielaniu *britu* od wody przywodził na pamięć kosiarzy. Widziane z masztów, szczególnie gdy się zatrzymały i przez chwilę trwały bez ruchu, ich ogromne czarne kształty bardziej niż cokolwiek innego przypominały martwe zwały skał. I jak na wielkich obszarach łowieckich Indii cudzoziemiec czasem minie z pewnej odległości leżące na równinie słońce nie wiedząc nawet, że to one, i biorąc je za nagie, poczerńiałe wyniosłości gruntu, tak samo dzieje się często i z tym, kto po raz pierwszy ogląda tę odmianę morskich Lewiatanów. A nawet gdy się je wreszcie rozpozna, ich potworny ogrom sprawia, iż bardzo trudno jest naprawdę uwierzyć, że wszystkie części tak olbrzymio rozrośniętych cielsk może przenikać to samo życie, które krąży w psie czy koniu.

W istocie trudno i pod innym względem patrzeć na wszelkie stwory głębin z tym samym uczuciem, z jakim się spogląda na zwierzę lądowe. Choć bowiem niektórzy dawni przyrodnicy utrzymywali, że wszystkie zwierzęta z lądu mają swe odpowiedniki na morzu, choć patrząc z pewnej perspektywy można to uznać za prawdę, przecie jeśli przejdziemy do szczegółów, to czyż na przykład ocean daje nam rybę, która usposobieniem odpowiadałaby mądrości psa? Jedyne tylko o przeklętym rekinie można by powiedzieć, że w pewnej mierze odznacza się jakąkolwiek do niego analogią.

Choć jednak na ogół ludzie lądu traktują mieszkańców mórz z uczuciem niewymownej nieufności i odrazy; choć wiemy, iż morze jest odwieczną *terra incognita* – tak że Kolumb żeglował ponad niezliczonymi nieznanymi światy po to, by na

---

<sup>1</sup> Ta część morza znana wśród wielorybników pod nazwą „Ławic Brazylijskich” nie dlatego nosi to miano – tak jak Ławice Nowofundlandzkie – że znajdują się tam płycizny czy łachy, ale ponieważ jej szczególny wygląd, przypominający łąkę, spowodowany jest przez ogromne połacie *britu* stale pływającego w owych stronach, gdzie też często poluje się na wieloryba właściwego. (Przyp. aut.)

powierzchni odkryć ten swój jeden świat zachodu; mimo że bezwarunkowo najokropniejsze z doczesnych klęsk od niepamiętnych czasów spadały bez wyboru na dziesiątki i setki tych, co ruszyli na morze; mimo że jedna chwila zastanowienia pouczy nas, iż po wiek wieków, aż do dnia sądnego, morze będzie człowiekiem ponieważ i mordowało go, ścierając na proch najokazalszą, najtęższą fregatę, jaką on zbudować potrafi (choćby w swej dziecinności chełpił się wiedzą i zręcznością, te zaś jeszcze miały nawet wzrosnąć w jakiejś łaskawej przyszłości) – mimo to wszystko, dzięki ustawicznemu powtarzaniu się owych doświadczeń, człowiek zatracił poczucie całej straszliwości, jaką się odwiecznie z morzem łączy.

Pierwsza łódź, o jakiej czytamy, unosiła się na oceanie, który z iście portugalską dokładnością zalał świat cały, nie pozostawiając na nim nawet wdowy. Ten sam ocean i dziś toczy swe fale; ten sam ocean zniszczył zeszłego roku okręty. Tak, głupi śmiertelniku; potop Noego jeszcze nie opadł – pokrywa dotąd dwie trzecie tej pięknej ziemi.

Jakaż różnica między morzem a ziemią sprawia, że to, co na jednym z nich jest cudem, nie jest cudem na drugim? Hebrajczycy zdjęci byli nadprzyrodzonym lękiem, gdy pod stopami Koracha i jego towarzyszy rozstąpiła się żywa ziemia i pochłonęła ich na wieki; a przecie w nowszych czasach słońce ni razu nie zajdzie bez tego, by żywe morze nie pochłonęło dokładnie w ten sam sposób okrętów i załóg.

Ale morze jest tak wrogiem nie tylko obcemu dlań człowiekowi; wrogiem jest także i własnemu potomstwu; okrutniejsze od owego perskiego gospodarza, co pomordował własnych gości, nie oszczędza istot, które samo spłodziło. Jak dzika tygrysica, miotająca się w dżungli, traktuje własne szczenięta, tak i morze ciska o skały najpotężniejsze wieloryby i tam je pozostawia obok strzaskanych szczątków okrętów. Żadne miłosierdzie, żadna moc nim nie włada, prócz własnej. Bezpański ocean zalewa nasz glob dysząc i chrapiąc jak oszalały rumak bojowy, co utracił jeźdźca.

Zważcie tajemniczość morza; najstraszniejsze jego istoty suną pod wodą, najczęściej niewidziane i zdradziecko ukryte pod nadobnymi odcieniami lazuru. Zważcie szatańską okazałość i urodę wielu z najokrutniejszych morskich plemion, jak choćby cudnie upiękzone kształty rozlicznych odmian rekinów. Zważcie jeszcze powszechny kanibalizm morza, którego wszystkie stworzenia żerują na sobie wzajemnie, prowadząc wieczystą wojnę od początku świata.

Rozważcie to wszystko, a następnie spójrzcie na zieloną, łagodną i potulną ziemię; porównajcie ją z morzem – czyliż nie znajdujecie dziwnej analogii do czegoś w was samych? Albowiem podobnie jak ów straszliwy ocean opływał ład kwitnący, tak i w duszy człowieka istnieje jedno wyspiarskie Tahiti, pełne pokoju i radości, otoczone jednak przez wszystkie potworności na wpół nie znanego życia. Niechaj Bóg was strzeże! Nie odpływajcie od tej wyspy, bo przenigdy nie będziecie zdolni powrócić!

## ROZDZIAŁ LIX

### MĄTWA

Z wolna brnąc poprzez łąki *britu*, „Pequod” kierował się nadal na północo-wschód, w stronę wyspy Jawy; lekki powiew popychał jego kil i wśród panującego wokół spokoju trzy wyniosłe, spiczaste maszty chyliły się łagodnie przed senną bryzą niby trzy ciche palmy stojące na równinie. I nadal od czasu do czasu można było wśród srebrzystej nocy dostrzec samotną, wabiącą fontannę.

Jednakże pewnego przezroczyściego, błękitnego ranka, kiedy na morzu zaległ niemal nadnaturalny spokój, choć bynajmniej nie połączony z jakąś martwą ciszą, kiedy długo polerowana słoneczna przesieka na wodzie wydawała się złocistym palcem złożonym na niej i nakazującym milczenie, kiedy gładkie fale szeptały do siebie, cichutko sunąc naprzód – wśród głębokiego milczenia całego widzialnego świata Daggoo dojrzał z grotmasztu dziwną zjawę.

W oddali podniosła się leniwie wielka, biała masa, a unosząc się coraz wyżej i wyżej i odcinając od lazuru wód, na koniec zajaśniała przed naszym dziobem niby śnieżna lawina, co świeżo się z gór obsunęła. Lśniła tak przez chwilę, po czym z wolna opadła i znikła. Następnie wynurzyła się znowu i błyszczała w ciszy. Nie wydawała się być wielorybem: „Może to jednak Moby Dick?” – pomyślał Daggoo. I znowu zanurzyła się zjawą, lecz kiedy ukazała się raz jeszcze, Murzyn, ostrym jak sztylet głosem, który otrząsnął wszystkich z senności, ryknął:

– Tam! Tam znowu! Tam wyskakuje! Prosto przed nami! Biały wieloryb, biały wieloryb!

Na to marynarze rzucili się do noków rej, jak pszczoły zlatujące się w czas wyroju na gałęzie. W palącym słońcu Ahab stanął z obnażoną głową na bukszprycie i wysunąwszy jedną rękę daleko za siebie, gotów dać znak sternikowi, słał żarliwie spojrzenia w stronę, którą wskazywało z wysokości wyciągnięte bez ruchu ramię Daggoo.

Czy to wymykająca się nam ciągle pojedyncza, samotna fontanna tak stopniowo podziała na Ahaba, że teraz gotów był łączyć wszelką myśl o ciszy i spokoju z pierwszym widokiem ściganego przez siebie wieloryba, czy też oszukały go własne pragnienia – dość, że ledwo wyraźnie dojrzał białą masę, a już z pośpiechem i zajadłością dał rozkaz spuszczenia szalup.

Rychło wszystkie cztery znalazły się na wodzie; łódź Ahaba płynęła na czele i wraz z innymi szybko mknęła ku ofierze. Ta wkrótce pogrzyżła się w toni, lecz oto w chwili, gdyśmy z podniesionymi wiosłami oczekiwali jego ponownego wypłynięcia, znowu wynurzyła się z wolna na powierzchnię w tym samym miejscu, gdzie przedtem zniknęła. Na chwilę zapomniawszy niemal zupełnie o Moby Dicku patrzyliśmy teraz na najbardziej zdumiewające zjawisko, jakie dotychczas objawiły ludziom tajemnicze morza. Ogromna, mięsista masa, na całe sążnie długa i szeroka, połyskliwego kremowego koloru, unosiła się na powierzchni wody, a niezliczone, długie ramiona, rozchodzące się promieniście od środka, zjawyły się i kłębiły niby gniazdo żmij, jakby na oślep usiłując pochwycić każdy nieszczęsny przedmiot, który by się znalazł w ich

zasięgu. Nie miała żadnego widocznego oblicza czy głowy, żadnego w ogóle znaku czucia czy instynktu; kłębiła się tylko na falach niby nieziemska, bezkształtna, przypadkowa zjawa życia.

Kiedy z cichym bulgotem znowu powoli zniknęła, Starbuck jeszcze się wpatrując w wody zbełtane na miejscu, gdzie się zanurzyła, wykrzyknął dziko:

– Już bym raczej wolał ujrzeć Moby Dicka i walczyć z nim, niż zobaczyć ciebie, biały upiórze!

– Co to było? – zapytał Fiask.

– Wielka, żywa mątwą, o której powiadają, że mało jest takich statków wielorybicznych, co ujrzawszy ją powracają później do portu, by o niej opowiedzieć.

Ahab wszelako nic się nie odezwał; zawrócił łódź i odpłynął z powrotem do statku, a reszta podążyła za nim w podobnym milczeniu.

Jakiegokolwiek zabobony wiążą łowcy kaszalotów z ukazaniem się owego stworzenia, jedno jest pewne: ujrzenie go to rzecz tak bardzo niezwykła, iż sam ten fakt w wielkiej mierze przyoblekł je w złowieszczość. Tak rzadko się ową mątwę widuje, że choć każdy bez wyjątku stwierdza, że jest ona największym ożywionym stworem na oceanie, przecie bardzo nieliczni mają choćby mgliste pojęcie o jej właściwej naturze i kształcie, a mimo to uważają, że stanowi jedyną karmę kaszalota. Albowiem inne odmiany wielorybów szukają pożywienia na powierzchni wody i człowiek może je oglądać w trakcie żerowania, kaszalot zaś czerpie pokarm z nie znanych stref głębiny i można jedynie wyciągać pewne wnioski, z czego właściwie pokarm ów się składa. Czasem się zdarza, że kaszalot napierany z bliska wyrzuca z gardzieli coś, co uważane jest za odgryzione ramiona mątwy, przy czym niektóre z nich, w ten sposób ujawnione oczom ludzkim, przekraczają dwadzieścia i trzydzieści stóp długości. Są tacy, co wyobrażają sobie, że potwór, do którego ramiona owe należały, zazwyczaj czepia się nimi dna oceanu, i że kaszalot w przeciwieństwie do innych gatunków wielorybów wyposażony jest w zęby po to, by mątwę atakować i rozszarpać.

Wydaje się, że istnieją pewne podstawy do przypuszczeń, iż wielki Kraken biskupa Pontoppidana może się koniec końców okazać mątwą. Sposób, w jaki go biskup opisuje, kolejne wynurzenie się i znikanie pod wodą oraz kilka innych szczegółów, o jakich opowiada – wszystko się zgadza. Jednakże należy bardzo pomniejszyć ów niewiarygodny ogrom, jaki mu biskup przydaje.

Niektórzy przyrodnicy zasłyszawszy coś niecoś o tajemniczym stworzeniu, tu przez nas omawianym, zaliczają je do rzędu mięczaków, do których w istocie zdaje się z uwagi na pewne zewnętrzne cechy przynależeć, ale tylko jako Anak owego plemienia.

## ROZDZIAŁ LX

### LINA

W związku ze sceną wielorybniczą, która tu niebawem zostanie opisana, jak również dla lepszego zrozumienia wszelkich podobnych scen przedstawionych gdzie indziej, muszę pomówić o magicznej, a czasem straszliwej linie wielorybniczej.

Lina pierwotnie używana przy tych łowach sporządzona była z najprzedniejszych konopi i lekko skropiona smołą, nie zaś nasycona nią, jak się to dzieje ze zwykłymi linami. Chociaż bowiem smoła stosowana w zwykły sposób czyni konopie bardziej giętkimi w rękach powroźnika, jak również sprawia, że sama lina staje się wygodniejsza dla marynarza w codziennym użyciu na statku, jednakże zwykła ilość smoły nie tylko zbyt by usztywniła linę wielorybniczą, która musi być ciasno zwijana, ale też – jak się zaczyna przekonywać większość marynarzy – smoła w ogóle bynajmniej nie zwiększa trwałości czy mocy liny, choćby dodawała jej zwartości i połysku.

W ostatnich czasach w wielorybnictwie amerykańskim powrozy z Manili niemal całkowicie wyparły konopie, jako materiał do sporządzania lin wielorybniczych, choć bowiem nie tak trwałe, są jednak mocniejsze i o wiele miększe tudzież elastyczniejsze, a dodam też (jako że we wszystkich rzeczach istnieje estetyka), że są o wiele ładniejsze i bardziej przystoją łodzi niż konopne. Konopie to tak jakby mroczny, ciemny człowiek, coś w rodzaju Indianina; natomiast powróż manilski przypomina złotowłosego Czerkiesa.

Lina wielorybniczą ma tylko dwie trzecie cala grubości. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się wam tak mocna, jak jest w rzeczywistości. Przy próbach każde z jej pięćdziesięciu włókien wytrzyma ciężar stu dwudziestu funtów, tak że cała lina utrzymać może blisko trzy tony. Pospolita lina wielorybniczą mierzy coś ponad dwieście sążni długości. Jest spiralnie zwinięta w bębnie umieszczonym na rufie łodzi, jednak nie jak węzownica aparatu destylacyjnego, ale w ten sposób, że tworzy okrągłą, do sera podobną bryłę gęsto ułożonych „kółek”, czyli warstw koncentrycznych spirali bez żadnego wydrążenia z wyjątkiem „rdzenia”, czyli wąziutkiego, pionowego kanału uformowanego na osi tego sera. Układanie liny w bębnie odbywa się z najwyższą starannością, ponieważ najmniejsze zaplątanie czy supeł na linie, w chwili gdy wylatuje z łodzi, niechybnie wyszarpię czyjeś ramię, nogę czy nawet całego człowieka. Niektórzy harpunnicy trawią na tym zajęciu całe przedpołudnie, wciągając linę wysoko na maszt, a następnie przepuszczając ją przez blok na dół do bębna tak, żeby w trakcie zwijania była wolna od wszelkich możliwych zahaczeń czy poplątań.

Na łodziach angielskich używa się dwóch bębnow miast jednego, przy czym ta sama lina zwinięta jest naprzód w jednym, a później w drugim z nich. Ma to pewną dobrą stronę, ponieważ owe bliźniacze bębny są niewielkie i przeto dają się łatwiej umieścić w łodzi nie przeciążając jej zbyt, podczas gdy bęben amerykański, mający niemal trzy stopy średnicy oraz proporcjonalną głębokość, stanowi raczej masywny ładunek dla szalupy, której deski mają ledwie pół cala grubości; dno łodzi wielorybniczej jest bowiem podobne do cienkiej warstwy lodu, która wytrzyma dość znaczny ciężar, jeśli

go rozłożyć, natomiast nie uniesie ciężaru skupionego w jednym punkcie. Kiedy na amerykański bęben linowy zarzuci się pokrowiec z malowanego płótna, wówczas łódź wygląda, jakby wiozła jakiś ogromny tort weselny w podarku dla wielorybów.

Oba końce liny są widoczne; dolny tworzy oczko, czyli pętlicę, idzie od dna bębna do gry po jego ściance i zwisa przez krawędź całkiem swobodnie. Takie urządzenie jest konieczne z dwóch względów. Po pierwsze, aby ułatwić doczepienie dodatkowej liny z sąsiedniej szalupy na wypadek, gdyby ugodzony wieloryb znurkował tak głęboko, iż mogłoby to zagrażać wyciągnięciem całej liny, która z drugiego końca przytwierdzona jest do harpuna. W takich wypadkach łodzie podają sobie oczywiście wieloryba z rąk do rąk, niby kufel piwa, gdyż pierwsza łódź krąży stale w pobliżu, by udzielić pomocy swej towarzysze. Po wtóre, urządzenie takie jest niezbędne dla samego bezpieczeństwa, gdyby bowiem dolny koniec liny był w jakikolwiek sposób przymocowany do łodzi, a wieloryb po wbiciu harpuna wyciągnął linę aż do końca niemal w jednej błyskawicznej chwili, jak to się czasem zdarza, wówczas pewnie by na tym nie poprzestał, ale niechybnie pociągnął skazaną na zagładę łódź w głębinę morza, a w takim przypadku żaden herold miejski nigdy by już jej nie odnalazł.

Zanim spuści się szalupę w celu rozpoczęcia łowów, wyciąga się z bębna górny koniec liny na rufę i owinąwszy wokół pachółka prowadzi z powrotem na dziób przez całą długość łodzi, układając linę w poprzek rękojeści wiosła, tak że w czasie wiosłowania trąca ona napiętki każdego z marynarzy, przechodząc między siedzącymi na przemian przy obu burtach; następnie trafia w wybite blachą ołowianą korytko, umieszczone na samym skraju dziobu, gdzie drewniany kołek czy hak wielkości zwykłej szpulki zapobiega wyślizgnięciu się liny z szalupy. Z korytka lina zwisa nad dziobem jak niewielki feston, po czym zawraca do wnętrza łodzi, gdzie ułożona jest na skrzynce u dzioba w zwoje długości dziesięciu do dwudziestu sążni (zwa się one liną skrzynkową). Następnie idzie dalej wzdłuż burty, nieco do tyłu i tam jest przytwierdzona do „sznura krótkiego”, czyli linki, która już bezpośrednio łączy się z harpunem; przedtem jednak sznur krótki przechodzi przez rozmaite misteria, zbyt nudne, by je tu wyszczególniać.

Tak więc lina wielorybnicza oplata całą łódź swymi skomplikowanymi zwojami, wijąc się i skręcając niemal we wszystkich kierunkach. Każdy wiosłarz wplątany jest w jej niebezpieczne sekrety, tak że w bojaźliwych oczach szczura lądowego marynarze zdają się przypominać indyjskich kuglarzy, którzy wesoło przyodzabiają swoje ciało festonami z najbardziej śmiercionośnych węzłów. Toteż żaden syn kobiety śmiertelnej, który by zasiadł po raz pierwszy pośrodku owych konopnych zawilosci, nie może nie pomyśleć, wyciskając z siebie siódmy pot nad wiosłem, że każdej niewiadomej chwili harpun może być rzucony, po czym wszystkie te okropne skręty wprawione zostaną w ruch jak pierścieniowate błyskawice; wówczas przelatuje po nim dreszcz, od którego sam szpik jego kości trzęsie się jak galareta. A jednak przyzwyczajenie — rzecz osobliwa! — czegoż nie potrafi ono dokonać? Na waszych mahoniowych fotelach nie słyszeliście nigdy weselszych conceptów, uciesznieszych dowcipów, lepszych żartów i błyskotliwszych odpowiedzi niż na tej półcalowej, cedrowej desce łodzi wielorybniczej, nieledwie pod stryczkiem kata; można powiedzieć, iż na podobieństwo owych sześciu

mieszczan z Calais, którzy stanęli przed obliczem króla Edwarda, sześciu marynarzy tworzących załogę wali prosto w paszczę śmierci ze stryczkiem zawieszonym na szyi.

Może wystarczy wam teraz krótka chwila zastanowienia, żeby pojąć, skąd się biorą owe częste katastrofy wielorybnicze – z których tylko nieliczne bywają przypadkowo notowane – kiedy ten czy ów zostanie porwany z łodzi przez linę i ginie. Bowiem znajdować się w łodzi wówczas, gdy lina z niej wylatuje, to po trosze tak, jak siedzieć wśród świstu maszyny parowej w pełnym ruchu, kiedy to ociera się o was każdy jej rozkołysany wał, ramię czy koło. Gorzej nawet, gdyż nie sposób siedzieć nieruchomo w samym sercu owej grozy, ponieważ łódź huśta się jak kołyska, wy zaś rzucani jesteście bez najmniejszego ostrzeżenia w tę i tamtą stronę i tylko przez jakąś samoczynną zdolność utrzymywania się na miejscu oraz jednoczesność woli i działania możecie uniknąć tego, by nie stać się Mazepą i nie uciec tam, gdzie samo wszystkowiedzące słońce nigdy was nie wypatrzy. I jeszcze jedno: podobnie jak głęboka cisza, widomie poprzedzając i zwiastując burzę, jest może jeszcze straszniejsza od samej burzy – albowiem cisza to tylko okładka i koperta burzy – i zawiera ją w sobie tak samo, jak pozornie nieszkodliwa strzelba zawiera zgubny proch, kulę i eksplozję – tak też wdzięczny spokój liny, gdy cicho owija się wokół wioślarzy, zanim zostanie puszczone we właściwy ruch, jest czymś, co ma w sobie więcej rzetelnej straszliwości niż jakikolwiek inny aspekt tej niebezpiecznej sprawy. Lecz po cóż mówić dalej? Wszyscy ludzie żyją owinięci linami wielorybniczymi. Wszyscy śmiertelni rodzą się ze stryczkami na szyi, ale dopiero kiedy nagle ich porwie bystra pętla śmierci, zdają sobie sprawę z milczących, utajonych, wiecznie obecnych niebezpieczeństw życia. Jeżeli zaś jesteś filozofem, to choćbyś siedział w szalupie wielorybniczej, nie odczujesz w głębi serca ani krzyzny więcej lęku, niż siedząc o wieczorze przed kominkiem, z pogrzebaczem miast harpuna pod ręką.

## ROZDZIAŁ LXI

### STUBB ZABIJA WIELORYBA

O ile dla Starbucka ukazanie się mątwy było złowróżebne, to dla Queequega miało ono zupełnie inne znaczenie.

– Kiedy wy oglądać tego „ątwą” – powiedział dziki ostrząc harpun na dziobie szalupy zawieszanej u boku żaglowca – wtedy wy szybko widzieć kaszalot.

Dzień następny był niezwykle cichy i parny, a załoga „Pequo-da”, nie mając nic szczególnego do roboty, nie mogła się oprzeć krótkiej drzemce, do której skłaniało opustoszałe morze. Albowiem owa część Oceanu Indyjskiego, przez którą wówczas żeglowaliśmy, nie jest tym, co wielorybnicy nazywają „żywym terenem”, to znaczy mniej się tam widuje delfinów, ryb latających oraz innych żwawych mieszkańców bardziej ożywionych wód niż przy ujściu Rio de la Plata albo opodal wybrzeży Peru.

Mnie wypadło z kolei wejść na szczyt fokmasztu; oparłszy ramiona o połuźnione wanty kołysałem się leniwie tam i sam w powietrzu, które zdawało się zaczarowane. Żadnym wysiłkiem woli nie mogłem się temu przeciwstawić; w tym rozmarzeniu straciłem wszelką świadomość, aż nareszcie dusza moja niejako uszła z ciała, choć ono nadal się kołysało, podobnie jak wahadło chwieje się jeszcze długo potem, gdy siła, która je w ruch wprawiła, została mu odjęta.

Nim przyszło na mnie ostateczne zapamiętanie, zauważyłem jeszcze, że marynarze stojący na grot- i bezanmaszcie są już senni. Na koniec więc wszyscy trzej martwo kołysaliśmy się na masztach, a każdemu naszemu chybotnięciu odpowiadało w dole kiwnięcie się drzemiącego sternika. Falom również kiwały się gnuśne grzywy, a ponad ekstazą szerokiego morza wschód kiwał zachodowi, a słońce z góry wszystkiemu.

Nagle jakby pęcherzyki poczęły mi pękać pod przymkniętymi powiekami, ręce moje zacisnęły się na wantach jak imadła; jakaś niewidzialna, łaskawa moc ocaliła mnie – drgnąwszy powróciłem znów do życia. Oto tuż obok statku, od zawietrznej, nie dalej niż o czterdzieści sążni pławił się w wodzie gigantyczny kaszalot niczym wywrócony dnem do góry kadłub fregaty; jego rozłożysty, połyskliwy grzbiet etiopskiej barwy lśnił w promieniach słonecznych jak zwierciadło. Leniwie się kołysząc w rozpadlinach fal i od czasu do czasu wyrzucając z siebie spokojnie słup pary wielorybów ów wyglądał jak korpulentny mieszczanin palący fajkę w ciepłe popołudnie. Ale fajka ta, biedny wielorybie, miała być twą ostatnią. Jakby tknięty różdżką czarodziejską, senny statek i każdy na nim śpioch raptownie drgnął i ocknął się, a ze wszech stron kilkadziesiąt głosów wzniosło jednocześnie zwykły w tych razach okrzyk, podczas gdy ogromna ryba z wolna i regularnie wyrzucała w powietrze fontannę połyskliwej morskiej wody.

– Spuszczać szalupy! Steruj ostro na wiatr! – ryknął Ahab i wykonując własny rozkaz, zakręcił kołem sterowym, nim sternik zdążył poruszyć szprychami.

Nagle okrzyki załogi musiały zaniepokoić wieloryba, zanim bowiem spuszczone łodzie, obrócił się majestatycznie i odplłynął ku zawietrznej, wszelako z tak niewzruszonym spokojem i tak nieznacznie mącąc przy tym wodę, iż Ahab, uważając, że bądź co bądź nie jest on może jeszcze spłoszony, wydał rozkaz, żeby nie używać w

ogóle wiosła i żeby nikt się nie odzywał inaczej jak szeptem. Przysiadłszy więc na burtach łodzi niby Indianie z Ontario, chyżo, lecz bezgłośnie wiosłowaliśmy krótkimi łopatkami, jako że cisza morska nie pozwalała rozwinąć bezszelestnych żagli. Po chwili, gdyśmy tak za nim sunęli, potwór wyrzucił ogon na czterdzieści stóp pionowo w górę, po czym zniknął nam z oczu jak zapadająca się wieża.

– Ogon! – zakrzyknęli wszyscy, po którym to oznajmieniu Stubb niezwłocznie wydobył zapałki i zapalił fajkę, jako że chwila wytchnienia była teraz zapewniona. Gdy upłynął już czas zanurzenia pod wodą, wieloryb znowu wychynął, a ponieważ znalazł się teraz przed łodzią Stubba, i to znacznie bliżej niej niż którejkolwiek innej – Stubb liczył na zaszczyt upolowania go. Stało się już oczywiste, że wieloryb wreszcie zauważył swoich przeciwników. Ostrożność i zachowywanie ciszy nie było więc dłużej potrzebne. Odrzucono łopatki i rozgłośnie puszczono w ruch wiosła. Ciągłe pykając z fajeczki Stubb wesoło zagrzewał swą załogę do ataku.

Tak, w rybie istotnie zaszła ogromna zmiana. Zdając sobie jasno sprawę z niebezpieczeństwa, płynęła z podniesionym łbem, który ukośnie sterczał ponad wzbijane przez potwora wściekle bryzgi.<sup>2</sup>

– Na niego, ludzie, na niego! Ale nie spieszcie się, macie dość czasu – tylko pchajcie jak sto piorunów, ot i wszystko! – wołał Stubb wydmuchując przy tym kłęby dymu. – Za nim! Pchnij tam długo a mocno wiosłem, Tasztego. Dalej, Tasz, mój chłopcze, dalej wy wszyscy – tylko spokojnie, spokojnie – powoli, powoli za nim jak sama smutna kostucha i wesołe biesy – żeby aż umarli z grobów powstawali, chłopaki! Za nim!

– Wuu-huu! Wa-hiii! – wrzasnął w odpowiedzi Tasztego wyrzucając w niebo jakiś ostry krzyk bojowy, a każdym z wiosłarzy w wytężającej wszystkie siły łodzi niespodzianie szarpnęło potężne uderzenie wiosła, którym zaciekły Indianin pchnął naprzód szalupę.

Ale dzikim okrzykiem Tasztega odpowiedziały inne, równie dzikie. – Kii-hii! Kii-hiii! – ryknął Daggoo miotając się nad wiosłem w przód i w tył, niby tygrys po klatce.

– Ka-la! Kuu-luu! – zawył Queequeg cmokając ustami jakby po przełknięciu potężnego kęsa befsztyka. I tak wiosłami i krzykiem łodzie pruły morze. Tymczasem Stubb, utrzymując się ciągle w awangardzie, nadal zagrzewał swych ludzi do ataku, bez przerwy, puszczając z ust kłęby dymu. Wiosłowali ze wszystkich sił jak straceńcy, aż wreszcie rozległ się oczekiwany krzyk:

– Wstawaj, Tasztego! Daj mu! – Harpun został rzucony. – Do tyłu!

Ludzie zaparli się wiosłami, cofając łódź; w tej samej chwili coś gorącego i świszczącego poczęło sunąć po kiściach ich dłoni. Była to magiczna lina. Na moment

---

<sup>2</sup> Na innym miejscu wyjaśnione zostanie, z jak lekkiej substancji składa się całe wewnętrzne olbrzymiego łba kaszalota. Choć pozornie najmasywniejszy, łeb ten jest bezwarunkowo najlżejszą częścią jego ciała. Dlatego też kaszalot z łatwością unosi go w powietrze i niezmiennie czyni to wówczas, gdy płynie z największą szybkością. Prócz tego górna przednia część jego łba jest tak szeroka, a kształt wodotnącej części dolnej tak bardzo się zwęża, iż można powiedzieć, że gdy kaszalot uniesie ukośnie głowę, wówczas przeobraża się z niezdarnej, płaskodziobej galioty w ostro podciętą nowojorską łódź pilota. (Przyp. aut.)

przedtem Stubb szybko owinął ją jeszcze po dwakroć wokół pacholka, skąd, ze względu na zwiększoną teraz szybkość odwijania się liny, wzbił się błękitny, konopny pył i zmieszał ze spokojnym dymkiem z fajki oficera. Lina, odkręcając się ze słupka coraz dalej i dalej, sunęła rozparzona przez obie dłonie Stubba, z których przypadkiem spadły ochraniacze, czyli kwadraty pikowanego płótna czasem nakładane w takich razach. Było to coś w rodzaju trzymania dłońmi za brzeszczot ostrego obosiecznego miecza, który wróg przez cały czas usiłuje wyrwać nam z rąk.

– Zwilżyć linę! Zwilżyć linę! – krzyknął Stubb siedzącemu przy bębnie linowym wiosłarzowi, na co ten zerwał z głowy kapelusz i zaczerpnąwszy nim wody morskiej chlusnął do środka bębna.<sup>3</sup> Lina odwinęła się jeszcze trochę i wreszcie zatrzymała w miejscu. Łódź pomknęła teraz przez wzburzone wody, jak rekin płynący co sił w płetwach. Stubb i Tasztego zamienili się miejscami na dziobie i rufie, co wśród wściekłego kołysania było wielce chybotliwym przedsięwzięciem.

Patrząc na rozedrganą linę, biegnącą wzdłuż całej górnej części łodzi i napiętą teraz mocniej od struny harfowej, można było pomyśleć, że szalupa ma dwa kile – jeden prujący wodę, a drugi powietrze – gdy tak mknęła przez te obydwie przeciwne żywioły. U dzioba śmigła nieustanna kaskada; nieprzerwany skłębiony wir znaczył wart za rufą; najdrobniejszy ruch wewnątrz łodzi, choćby uczyniony małym palcem, sprawiał, że drgając i trzeszcząc nurzała w morzu przechyloną spazmatycznie krawędź burty. I tak gnali dalej; każdy marynarz przywarł ze wszystkich sił do swego miejsca, by nie dać się wyrzucić w pianę, a rosła postać Tasztega aż się zginała we dwoje u wiosła sterowego, aby utrzymać równowagę. Zdało się, że przelecieli już całe Atlantyki i Pacyfiki, gdy wreszcie wieloryb zwolnił nieco biegu.

– Ciągnij! Ciągnij! – ryknął Stubb do marynarza na dziobie, a wszyscy ludzie obróciwszy się twarzą ku wielorybowi poczęli przyciągać ku niemu łódź, którą on sam nadal jeszcze holował. Wkrótce jednak zrównano się bok w bok ze zwierzem, a Stubb, krzepko wparłszy kolano w wycięcie na desce u dzioba, począł miotać grot za grotem w mknącego kaszalota. Na komendę oficera łódź to się wycofywała ze straszliwych pochłustów wzbijanych przez zwierza, to znów zbliżała się dla zadania następnego ciosu.

Czerwone strumienie poczęły teraz spływać po bokach potwora jak potoki z gór. Jego udręczone cielsko nie pławiło się już w morskiej wodzie, ale we krwi, która całymi sążniami burzyła się i kipiała na jego szlaku. Ukośne promienie słońca igrały na owej szkarłatnej sadzawce wśród morza, rzucając odbłask na twarze ludzi, które płonęły jak lica czerwonoskórych. Przez cały ten czas wydmuch za wydmuchem białej pary wystrzelał z nozdrzy wieloryba, a z ust rozgorączkowanego dowódcy szalupy dobywał się kłęb za kłębem dymu; po każdym ciosie Stubb z powrotem holował skrzywioną

---

<sup>3</sup> Aby wykazać niezbędność tego czynu, można tu stwierdzić, że dawniej w rybołówstwie holenderskim używano wiechcia dla skrapiania wodą pędzącej liny. Na wielu statkach przygotowuje się w tym celu drewniany czerpak. Najodpowiedniejszy jest jednak kapelusz. (Przyp. aut.)

lancę (za pomocą przytwierdzonej do niej linki), prostował ją kilkoma szybkimi uderzeniami o burtę, po czym znów ciskał w wieloryba.

– Przyciągaj! Przyciągaj! – krzyknął marynarzowi na dziobie, właśnie gdy słabnący wieloryb ustał nieco w swojej furii. – Przyciągaj! Całkiem blisko! – Łódź zrównała się z bokiem zwierzęcia. Wychyliwszy się daleko przez dziób Stubb z wolną wwiercił w cielsko ryby swą długą, ostrą lancę i zatrzymał ją tam, okręcając i okręcając starannie, jak gdyby usiłował ostrożnie wymacać jakiś złoty zegarek, który ryba połknąć mogła i który obawiał się uszkodzić przed wydobyciem. Ale tym złotym zegarkiem, którego szukał, było życie pulsujące we wnętrzu wieloryba. I oto w nie ugodził; otrząsnąwszy się bowiem z odrętwienia potwór przeszedł w ów nieopisany stan, zwany „wybuchem”, począł się okropnie miotać we własnej krwi, przesłonił go nieprzenikniony, oszalały, kipiący pył wodny, tak że zagrożona szalupa cofnęła się natychmiast i wiele musiała sobie zadać trudu, aby na oślep przebić się z tego obłądnego półmroku na jasne światło dnia.

Lecz teraz „wybuch” zaczął słabnąć i wieloryb raz jeszcze się ukazał; przewalał się z boku na bok, spazmatycznie rozchyłał i zwierał nozdrza ostrym, świszczącym rozpaczliwym oddechem. Na koniec raz za razem trysnęła z nich w przerażone powietrze czerwona, gęsta posoka, niby purpurowy moszcz czerwonego wina, a spadłszy na nieruchome cielsko wieloryba, spłynęła strumykami w morze. Serce kaszalota pękło.

– Nie żyje, panie Stubb – ozwał się Daggoo.

– Tak, obie fajki wypalone! – Wyjąwszy własną z ust, Stubb wytrząsnął popiół na wodę, po czym przez chwilę stał spoglądając w zamyśleniu na ogromne cielsko, które przemienił w truchło.

## ROZDZIAŁ LXII

### RZUT

Słówko na temat jednego z wydarzeń w poprzednim rozdziale: W myśl niezmiennego zwyczaju przyjętego w czasie łowów, łódź wielorybnicza odpływa od statku mając na pokładzie jako tymczasowego sternika swego dowódcę, czyli tego, który zabija wieloryba; dalej zaś harpunnika, czyli tego, który zwierza przytrzymuje, a zasiada u przedniego wiosła znanego pod nazwą wiosła harpunniczego. Otóż potrzeba krzepkiego, śmigłego ramienia, by cisnąć w rybę pierwszy grot, albowiem często się zdarza, że przy tak zwanym długim rzucie trzeba cisnąć ciężkie żelazo na odległość dwudziestu albo trzydziestu stóp. Jednakże, jakkolwiek długi i wyczerpujący może być ów pościg, zadaniem harpunnika jest wiosłować niezmordowanie przez cały czas; winien on zaiste dać reszcie marynarzy przykład nadludzkiej energii nie tylko przez wręcz niewiarygodną pracę przy wiosle, ale i przez donośne i dziarskie okrzyki. A co to znaczy krzyczeć, ile tchu w piersiach, w chwili gdy wszystkie mięśnie naprężone są do ostatka i na wpół zerwane – to wiedzieć może tylko ten, kto sam popróbował. Ja osobiście nie potrafię wrzeszczeć z całego serca, a jednocześnie pracować z zapamiętaniem. Wśród takiej wrzawy i napięcia, zmordowany harpunnik, obrócony plecami do ryby, słyszy raptem podniecający krzyk: „Wstawaj i daj mu!” Teraz winien odłożyć i zabezpieczyć wiosło, uczynić pół obrotu, porwać harpun przygotowany na widelkach u burty i przy użyciu tych niewielu sił, jakie mu jeszcze pozostały, spróbować cisnąć go w wieloryba. Nic więc dziwnego, że w całej flocie wielorybniczej razem wziętej, na pięćdziesiąt dobrych okazji do rzutu harpunem, nie wiem, czy pięć uwieńczonych jest powodzeniem; nic dziwnego, że obrzuca się wściekłymi przekleństwami i degraduje tylu nieszczęsnych harpunników; nic dziwnego, że niektórym z nich pękają w łodzi naczynia krwionośne; nic dziwnego, że bywają statki wielorybnicze, które wracają po czteroletniej nieobecności z czterema baryłkami oleju; nic dziwnego, że wielu właścicieli statków uważa wielorybnictwo za interes przynoszący tylko straty – boć powodzenie wyprawy zależy od harpunnika, a jeśli mu się wyciska ostatni dech z piersi, to jakże się można spodziewać, że go w sobie znajdzie wtedy, gdy jest mu najbardziej potrzebny! Co więcej, nawet jeżeli rzut się udał, to w następnej krytycznej chwili, a mianowicie kiedy wieloryb zaczyna pędzić, dowódca szalupy i harpunnik również zaczynają biegać z przodu na tył, narażając bezpośrednio siebie samych oraz całą załogę. Wtedy to właśnie zamieniają się miejscami i dowódca, czyli pierwszy oficer tego małego stateczku, zajmuje swoje właściwe stanowisko na dziobie łodzi.

Otóż nie dbam o to, czy ktoś jest przeciwnego zdania, ale stwierdzam, że to wszystko jest zarówno niemądre, jak i niepotrzebne. Dowódca powinien stać na dziobie od początku do końca; winien rzucać zarówno harpunem jak i laną, natomiast nie powinno się w ogóle wymagać odeń wiosłowania, wyjąwszy okoliczności całkiem oczywiste dla każdego rybaka. Wiem, że czasami pociągnęłoby to za sobą niewielką utratę szybkości, wszelako długie doświadczenie, zebrane na przeróżnych statkach

wielorybnych należących do niejednego narodu, przekonało mnie, że ogromna większość niepowodzeń łowieckich spowodowana została nie tyle przez chyżość wieloryba, co przez uprzednio opisane wyczerpanie harpunnika.

Aby zapewnić jak największą skuteczność rzutu, harpunnicy tego świata powinni wstawiać doń wypoczęci, a nie uznojeni.

## ROZDZIAŁ LXIII

### WIDEŁKI

Z pnia wyrastają konary, a z nich gałązki. Tak samo wyrastają rozdziały z płodnego tematu. Wspomniane na jednej z poprzednich stron widełki zasługują na osobną wzmiankę. Jest to rozwidlony drążek szczególnego kształtu, około dwóch stóp długości, osadzony pionowo w prawej burcie szalupy koło dziobu, a stanowiący podpórki dla drzewca harpuna, którego nagi, kolczasty grot ukośnie wystaje poza dziób. W ten sposób broń jest gotowa do natychmiastowego użycia, a harpunnik porywa ją z tego miejsca równie łatwo jak traper chwytający za strzelbę wiszącą na ścianie. Jest przyjęte mieć na widełkach dwa harpuny; wówczas nazywają się one pierwszym i drugim żelazem.

Otóż każdy z tych harpunów połączony jest z liną własnym sznurem, a to w tym celu, żeby, o ile to możliwe, cisnąć je oba, jeden natychmiast po drugim, w tego samego wieloryba; jeśli bowiem jeden wysunąłby się z ciała uciekającej ryby, wówczas drugi może ją przytrzymać. Jest to podwojenie szans. Zdarza się jednak bardzo często, że z uwagi na natychmiastowy, gwałtowny, konwulsyjny pęd wieloryba po otrzymaniu pierwszego żelaza, harpunnik, choćby ruszał się jak błyskawica, nie może ugodzić go drugim grotom. Niemniej jednak, zważywszy, że drugie żelazo jest i tak połączone z liną, która już z łodzi wylatuje, broń ta musi w każdym razie zostać na wszelki wypadek wyrzucona jakkolwiek i gdziekolwiek się da, gdyż inaczej całej załodze groziłoby straszliwe niebezpieczeństwo. W takich więc razach ciska się ów harpun w wodę, na co pozwalają w większości wypadków dodatkowe zwoje liny skrzynkowej (o której wspomniano w poprzednich rozdziałach). Wszakże ten czyn krytyczny nie zawsze pozostaje bez najsmutniejszych i najfatalniejszych skutków.

Co więcej, trzeba wam wiedzieć, że kiedy wyrzuci się za burtę to drugie żelazo, staje się ono od tej chwili swobodnie latającym, ostrobrzegim postrachem, swawolnie brykającym wokół łodzi i wieloryba; wplątuje się w liny lub też je przecina, czyniąc na wsze strony srogie zamieszanie. Na ogół nie jest możliwe unieruchomić je znowu, dopóki wieloryb nie zostanie pokonany i nie zamieni się w trupa.

Pomyślcie sobie teraz, jak to musi wyglądać w przypadku, kiedy cztery szalupy potykają się z jednym niepospolicie silnym, energicznym i mądrym wielorybem; kiedy to dzięki tym jego cechom oraz tysiącnym równoczesnym wydarzeniom, właściwym tak zuchwałemu przedsięwzięciu, osiem czy dziesięć luźnych harpunów może się plątać wokół niego. Każda bowiem szalupa jest oczywiście wyposażona w kilka harpunów, które można przyczepić do liny w wypadku, gdy pierwszy został rzucony na próżne i niepodobna go było odzyskać. Wszystkie te szczegóły są tutaj wiernie opisane, ponieważ bez wątpienia wyjaśnić mogą kilka niezwykle ważnych, jakkolwiek powikłanych fragmentów scen, które poniżej odmalujemy.

## ROZDZIAŁ LXIV

### WIECZERZA STUBBA

Wieloryb Stubba został ubity w pewnej odległości od statku. Na morzu panowała cisza, więc sformowawszy tandem z naszych trzech łodzi, zaczęliśmy powoli holować zdobycz do „Pequoda”. A kiedyśmy tak w osiemnastu ludzi o trzydziestu sześciu ramionach i stu osiemdziesięciu palcach u rąk i nóg z wolna mozolili się godzina po godzinie nad tym bezwładnym, ociążalym truchłem zanurzonym w morzu, ono zaś, jeśli się w ogóle dawało poruszyć z miejsca, to tylko ze znacznymi przerwami – wówczas właśnie mieliśmy najlepszy dowód, jak ogromna jest masa, którą ciągniemy. Albowiem na wielkim kanale Hang-Ho – czy jak go tam nazywają – w Chinach czterech albo pięciu kulisów, krocząc po ścieżce nadbrzeżnej, uciągnie dobrze obciążoną dżonkę z szybkością mili na godzinę; ta jednak potężna nawa, którą myśmy holowali, wlokła się, jak gdyby ją po brzegi wyładowano ołowiem.

Zapadł mrok, ale trzy światła zawieszane u góry olinowania grotmasztu „Pequoda” wskazywały nam drogę; wreszcie, podpłynawszy bliżej, ujrzeliśmy Ahaba, który wywieszał przez burtę jedną z kilku dodatkowych latarni. Przez chwilę obejmował martwym spojrzeniem unoszącego się na falach wieloryba, następnie wydał zwykłe rozkazy, aby go zabezpieczyć na noc, po czym, wręczywszy latarnię któremuś z marynarzy, zszedł do kajuty i nie pokazał się aż do rana.

Choć kapitan Ahab kierując pogonią za tym wielorybem wykazał, że tak powiem, swą zwykłą aktywność, przecie wydało się, że teraz, kiedy zwierzę było już nieżywe, jakieś niezadowolenie, zniecierpliwienie czy desperacja trawi go od wewnątrz, jak gdyby widok tego trupa przypominał mu, iż przecie trzeba ubić Moby Dicka i że choćby przywleczono do statku tysiąc innych wielorybów, nie posunęłoby to ani na jotę naprzód tej jego wielkiej, maniackiej sprawy.

Niebawem z odgłosów, jakie rozległy się na pokładach „Pequoda”, można było wnosić, że cała załoga czyni przygotowania do zarzucenia kotwicy na głębinie, oto bowiem słychać, jak przez pokład wleczone są ciężkie łańcuchy, które następnie ze szczękiem wylatują przez otwory w burtach. Ale to nie statek, a owo olbrzymie cielsko ma być przycumowane tymi brzęczącymi ogniwami. Wieloryb spoczywa teraz uczepony za łeb do rufy, a za ogon do dzioba; jego czarny kadłub znajduje się tuż obok kadłuba statku i tak obydwie – statek i wieloryb – oglądane poprzez mrok nocy, co w górze przesłania maszty i olinowanie, zdają się być dwoma olbrzymimi wołami w zaprzęgu, z których jeden położył się, drugi zaś pozostał na nogach.<sup>4</sup>

---

<sup>4</sup> Można w tym miejscu wspomnieć o pewnym szczególe. Najpewniejszym i najmocniejszym sposobem przycumowania wieloryba 'do boku statku jest przywiązanie go za ogon; ponieważ zaś ta część ciała z uwagi na swą większą jędrność jest stosunkowo cięższa od jakiegokolwiek innej (wyjąwszy płetwy boczne), więc też na skutek zachowanej nawet po śmierci giętkości opada w dół, pod powierzchnię wody; z łodzi niepodobna zatem dosięgnąć ogona ręką, by pod nim przełożyć łańcuch. Ale i na tę trudność znaleziono pomysłowy sposób; przygotowuje się małą, mocną linkę z drewnianym pływakiem na jednym końcu, a ciężarkiem pośrodku, podczas gdy

O ile ponury Ahab zapadł teraz całkiem w martwość – przynajmniej takim się wydał na pokładzie – to Stubb, drugi oficer, promieniał zwycięstwem zdradzając nadzwyczajne, choć pełne pogody podniecenie. Był tak niezwykle ożywiony, że stateczny Starbuck, jego oficjalny zwierzchnik, spokojnie złożył na ten czas w jego ręce wyłączne kierowanie biegiem spraw. Niebawem wyszła na jaw w sposób szczególnie jedna z drobnych, dodatkowych przyczyn całego tego ożywienia Stubba. Był on mianowicie smakoszem i dosyć niepowściągliwie upodobał sobie wieloryba jako ogromnie smakowity kąsek dla swego podniebienia.

– Befszyk! Befszyk, zanim pójde spać! Hej, Daggoo! Wyłaż za burtę i wytnij kawał mięsa od ogona!

Należy wiedzieć, że choć owi dzicy łowcy na ogół nie stosują podstawowej maksymy wojskowej i nie zmuszają wroga, żeby pokrywał bieżące wydatki wojenne (przynajmniej dopóki nie zrealizują zysków z całej wyprawy), to jednak zdarzają się od czasu do czasu nantucketańscy, którzy szczerze zasmakowali właśnie we wskazanej przez Stubba części kaszalota, obejmującej zwięzające się zakończenie jego ciała.

Okolo północy befszyk był już wykrajany i usmażony; przy świetle dwóch latarni olbrotowych Stubb stanął u kabestanu do swej kaszalotowej wieczerzy, jak gdyby wierzch tegoż kabestanu był kredensem. Ale Stubb nie był jedynym biesiadnikiem spożywającym owej nocy mięso wielorybie. Łącząc swoje mlaskanie z cmokaniem oficera, całe tysiące rekinów roily się wokoło martwego Lewiatana i rozgłośnie ucztowały na jego tłustości. Nielicznych marynarzy śpiących na dole w swych kojach nieraz budziło ze snu ostre strzepnięcie ogona rekina o kadłub statku, w odległości ledwie kilku cali od ich serc. Wyjrzawszy przez burtę, można było zobaczyć bestie (tak jak je uprzednio słyszano) klębiące się w ponurej, czarnej toni; przewróciwszy się na grzbiet wyrwały z cielska wieloryba ogromne, kuliste kawały mięsa wielkości ludzkiej głowy. Ten właśnie wyczyn rekina wydaje się niemal cudowny. Pytanie, w jaki sposób rekiny potrafią wyciąć z tak pozornie trudnej do napoczęcia powierzchni podobnie symetryczne kaski, pozostanie częścią zagadkowości wszechrzeczy. Ślad, który w ten sposób pozostawiają na ciele wieloryba, można najlepiej przyrównać do wydrążenia uczynionego przez cieślę przy wywiercaniu otworu na śrubę.

Wśród dymem osnutej potworności i diabelstwa bitwy morskiej można ujrzeć rekiny z utęsknieniem spoglądające w górę ku pokładom okrętów, niczym głodne psy, otaczające stół, na którym kraje się czerwone mięsiwo, i gotowe do skoku na każdego z zabitych, który im spadnie. Podczas gdy na samym stole-pokładzie waleczni rzeźnicy ludożerczo krają jeden drugiemu żywe mięso za pomocą noży pozłacanych i zdobnych w chwasty – również i rekiny swymi paszczami lśniącymi od klejnotów swarliwie rozrywają pod stołem mięsiwo już martwe. Gdybyśmy nawet odwrócili rzecz całą, to i tak pozostałaby ona w istocie tym, czym jest, to znaczy paskudnie rekinową sprawą ze

---

drugi koniec przymocowany jest do statku. Dzięki zręcznym manewrom pływak wynurza się po drugiej stronie ciała wieloryba, tak że opasawszy go w ten sposób można już z łatwością przewlec pod nim przyczepiony do linki łańcuch: gdy zaś się tego dokona, oplata się ten ostatni wokoło najwęższej części ogona, w punkcie, w którym przechodzi on w szerokie płaty płetwy ogonowej. (Przyp. aut.)

strony wszystkich uczestników. A jednak choć rekiny są niezmiennie hajdukami wszelkich przepływających Atlantyck statków z niewolnikami i systematycznie kłusują u boku tych żaglowców, żeby być pod ręką na wypadek, gdyby zaszła potrzeba odniesienia gdzieś jakiejś paczki czy też wyprawienia przyzwoitego pogrzebu jakiemuś zmarłemu niewolnikowi; chociaż można przytoczyć jeden lub drugi podobny przykład ustalonego czasu, miejsca i okazji, przy, jakiej rekiny wielce społecznie się gromadzą i biesiadują z ogromną wesołością – przecie niepodobna sobie wyobrazić pory i sposobności, przy której napotkałoby się je w tak nieprzeliczonej liczbie czy też w lepszym i jowialniejszym usposobieniu niż wokół ubitego kaszalota, przycumowanego nocą, na morzu, do statku wielorybniczego. Jeśliście nigdy nie oglądali tego widoku, to powstrzymajcie się z rozstrzygnięciem, czy właściwe jest oddawanie czci szatanowi tudzież czy jest stosowne zjednywać sobie diabła.

Na razie jednak Stubb nie zwracał uwagi na odgłosy uczyty, która odbywała się tak blisko niego, podobnie jak i rekiny nie baczyły na cmokanie jego epikurejskich warg.

– Kucharzu! Kucharzu! Gdzież jest ten stary kucharz? – zawołał nareszcie oficer, szerzej rozkraczając nogi, jak gdyby chciał stworzyć jeszcze solidniejszy fundament dla swojej kolacji, a równocześnie wbijając w mięsiwo widelec, tak jakby godził w nie lancą.  
– Kucharzu! Hej, kucharzu! Sterujże tutaj!

Stary Murzyn, niezbyt uradowany faktem, że go uprzednio wyciągnięto z ciepłego hamaka o tak niestosownej porze, lał utykając ze swej kambuzy; jak wielu starych Negrów miał bowiem nieco nadwerężone rzepki kolanowe, których nie pielęgnował z równą starannością jak inne rodzaje rzepy. Stary Kudłacz, jak go nazywano, nadszedł więc kuśtykając i powłócząc nogami; idąc dopomagał sobie szczypcami, które były niezdarnie sporządzone z naprostowanych żelaznych obręczy. Przywłókszy się, stary Murzyn przystanął na komendę po przeciwległej stronie kredensu Stubba i wsparłszy obie złożone dłonie na swej dwunożnej lasce, jeszcze bardziej pochylił pałakowaty grzbiet i przekreślił nieco na bok głowę, aby nadstawić tego ucha, którym lepiej słyszał.

– Kucharzu – ozwał się Stubb podnosząc szybko do ust dość czerwony kąsek. – Czy nie uważasz, że ten befsztyk jest nieco przesmażony? Zbytńoś go rozbił, toteż jest za miękki. Czyż nie powtarzam zawsze, że befsztyk z wieloryba, żeby był dobry, musi być twardy? Weź choćby te rekiny za burtą. Nie widzisz, że wołą mięso twarde i niedosmażone? Cóż one za rwetes wyprawiają! Kucharzu, idźże, pogadaj z nimi. Powiedz, że owszem, mogą się częstować obyczajnie i powściągliwie, ale muszą zachować spokój. Niech mnie piorun spali, jeżeli słyszę własny głos! Nuże, kucharzu, idź z moim poleceniem. Bierz tę latarnię! – Tu Stubb chwycił stojącą opodal. – Idź już i wygłoś im kazanie!

Stary Kudłacz z ponurym wejrzeniem wziął podaną mu latarnię i pokuśtykał przez pokład do burty; następnie jedną ręką opuścił światło nieco ku wodzie, żeby lepiej widzieć swoją trzódkę, drugą zaś począł uroczyście potrząsać szczypcami i wychylony daleko przez burtę przemówił do rekinów mrukliwym głosem, podczas gdy Stubb, podsunąwszy się cicho z tyłu, podsłuchiwał każde słowo.

– Najmilsi moi: oto dostałem rozkaz, żeby wam rzec, że musicie skończyć z tym piegielnym hałasem. Słyszycie? Przestańcie z tym przeklętym cmokaniem! Massa Stubb

powiada, że możecie sobie napęłnić brzuch aż do gardzieli, ale, na Boga, musicie przerwać ten rwetes, niechże to wszyscy diabli!

– Kucharzu – wtrącił Stubb, nagle uderzając go dłonią po ramieniu. – Kucharzu! Cóż to, u pioruna! Nie powinienesz tak kląć w czasie kazania! To nie jest sposób nawracania grzeszników!

– Jak? No to gadaj ban do nich sam – odparł Murzyn ponuro, zabierając się do odejścia.

– Nie, kucharzu; mów, mów dalej.

– No więc, ukochani moi...

– Dobra! – wykrzyknął Stubb z pochwałą w głosie. – Przymilaj im się, a nuż ci się uda! – I Kudłacz począł mówić dalej:

– Choć wszystkie jesteście rekiny, a więc z natury srodze drapieżne, jednak powiadam wam, najmilsi, że takowa drapieżność – przestańcie, u czorta, trzepać ogonem! Jag macie mnie słyszeć, jeżeli podnosicie tam taki diabelski rwetes?

– Kucharzu! – zawołał Stubb chwytając go za kołnierz. – Nie pozwolę na to przeklinanie. Gadaj do nich wytwornie!

I znów Murzyn podjął kazanie.

– Nie potępiam was zbyt za waszą drapieżność, najmilsi moi. To wasza natura i nic się na to nie poradzi, ale idzie o to, żeby kierować tą złą naturą. Pewnie, żeście rekiny, ale jeżeli będziecie kierować tym rekinem, co w was siedzi, to będziecie anioły, bo każdym anioł to nic innego, jak rekin dobrze prowadzony. Słuchajcie, bracia, popróbujcie tylko zachowywać się grzecznie i częstujcie się tym wielorybem. Mówię wam, nie wrywajcie tłuszczu z gęby sąsiadowi. Czy jeden rekin nie ma równie dobrego prawa do tego wieloryba, jag drugi? A, na Boga, właściwie żaden z was nie ma do niego prawa, bo on należy do kogoś innego. Wiem, że jeden z was ma bardzo dużą gębę, większą niż inni, ale przecie – duże gęby czasem miewają mały żołądek, więc duża gęba jeźd nie po to, żeby nią jeść, ale żeby odgryźć trochę tłuszczu dla małych reginów, co nie mogą się do niego dobrać i poczęstować.

– Wybornie, stary Kudłacz! – zawołał Stubb. – Oto duch chrześcijański! Gadaj dalej.

– Nie warto mówić dalej, te piegielne łajdagi będą sobie wszystko wydzierać i prać się nawzajem, Massa Stubb. Nie słuchają ani słowa. Nie warto prawić gazania tagim przegłędym żarłogom, dopógi sobie brzucha nie napęlnią, a brzuch mają bez dna, zaś giedy je napęlnią, to wtedy też was nie wysłuchają, bo idą na dno morza spać na koralach i nigdy a nigdy nic już nie mogą usłyszeć.

– Na mą duszę, jestem mniej więcej tego samego zdania. Daj im więc błogosławieństwo, Kudłacz, ja zaś wracam do kolacji.

Po tych słowach Kudłacz wzniósł ponad rybią ciżbę obie ręce i piskliwym głosem zawołał:

– Przegięte owieczki moje! A róbcie tam sobie najpiegielniejszy rwetes, jagi wam się spodoba. Napęlniajcie sobie te przegłęde brzucha, aż wam pęgną, a żebyście zdechli!

– Słuchaj no, kucharzu – rzekł Stubb zabierając się na nowo do kolacji przy kabestanie. – Stań tam, gdzieś przedtem stał, tu, naprzeciw mnie, i uważaj dobrze.

- Uważam – odparł Kudłacz, znowu się opierając na szczypcach.
- A więc – powiedział Stubb nabierając sobie tymczasem kawałek mięsa – pomówię teraz znowu na temat tego befsztyka. Powiedz mi przede wszystkim, ile masz lat?
- Co to ma wspólnego z befsztygiem? – zapytał zrzędnie stary Murzyn.
- Spokój! Ile masz lat, kucharzu?
- Podobno koło dziewięćdziesiąt – odmruknął ponuro.
- Więc żyłeś na tym świecie bez mała sto lat i jeszcze nie umiesz usmażyć befsztyka z wieloryba? – tu szybko wepchnął w usta nowy kęs zaraz po ostatnich słowach, tak że wydał się on być dalszym ciągiem pytania. – A gdzieś się rodził?
- Zaraz za lukiem od ładowni na promie, co chodzi po Roanoko.
- Urodziłeś się na promie! A to rzecz osobliwa! Ale ja chcę wiedzieć, w jakim kraju?
- Nie mówiłem, że nad Roanoko? – odkrzyknął Murzyn ostro.
- Nie, nie mówiłeś. Ale zaraz ci powiem, do czego zmierzam, kucharzu. Musisz wrócić do domu i urodzić się po raz wtóry, bo jeszcze nie wiesz, jak się smaży befsztyk z wieloryba.
- Niech mnie diabli, jeżeli usmażę jeszcze jeden – warknął gniewnie stary, zabierając się do odejścia.
- Wróć się, kucharzu, dawaj te szczypce – a teraz weź ten kawałek befsztyka i powiedz mi, czy sądzisz, że jest on usmażony jak należy? Weźże go, mówię! – Tu wyciągnął szczypce. – Weź go i pokosztuj.
- Stary Murzyn skosztował i lekko mlasnąwszy zeszlými wargami mruknął: – Najlepiej usmażony befsztyk, jakiegom kiedykolwiek próbował: soczysty, bardzo soczysty.
- Kucharzu – powiedział Stubb prostując się znowu. – Zali należysz do Kościoła?
- Przechodziłem kiedyś goło jednego na Gap-Hornie – odparł ponuro starzec.
- Więc raz jeden w życiu przechodziłeś koło świętego kościoła na Kap-Hornie i tam bez wątpienia słyszałeś, jak świętobliwy kapłan zwracał się do słuchaczy jako do swych umiłowanych bliźnich, nieprawdaż? A jednak przychodzisz tu i gadasz mi takie ohydne łgarstwa, jak przed chwilą, co? – Rzekł Stubb. – Gdzież ty zamierzasz pójść?
- Do łóżka, i to zaraz – mruknął tamten znowu się odwracając.
- Stój! Z powrotem! Pytam, gdzie zamierzasz pójść po śmierci! To straszne pytanie. A twoja odpowiedź?
- Kiedy stary czarny człowiek umrze – odparł z wolna Murzyn przybierając zgoła inny wyraz twarzy i postawę – to on sam nie pójdzie nigdzie, ale przyjdzie jagiś błogosławiony anioł i zabierze go.
- Zabierze go? A to jak? Powozem, w czwórce koni, tak jak Eliasza? I dokąd to, proszę?
- Tam – odparł Kudłacz wznosząc nad głowę szczypce prosto w górę i trzymając je tak wielce uroczyście.
- A zatem myślisz iść po śmierci na szczyt tego naszego grotmasztu? A nie wiesz, że im wyżej się wlezie, tym jest zimniej? Na szczyt grotmasztu, co?
- Wcale tego nie gadał – odrzekł Kudłacz znowu pochmurniejąc.

– Powiedziałeś, że tam, nieprawdaż? Więc sam popatrz, gdzie wskazują twoje szczypcy. A może chcesz się dostać do nieba pełzając poprzez „psią dziurę”? Ale nic z tego, kucharzu, nie dostaniesz się tam, chyba że pójdziesz zwykłą drogą, po olinowaniu. Delikatna to sprawa, a przecie trzeba tak zrobić, bo inaczej nie da rady. Ale nikt z nas nie jest jeszcze w niebie. Opuść szczypcy i słuchaj, co ci rozkażę. Słyszycie mnie? Weź w jedną rękę kapelusz, a drugą połóż sobie na sercu, kiedy ci wydają rozkazy. Co? Tam masz serce? To żołądek! Wyżej, wyżej! O, właśnie – teraz dobrze. Trzymaj tam rękę i uważaj.

– Uważam – rzekł stary Negr trzymając obie ręce tak jak tego żądano i daremnie przekręcając posiwiałą głowę, jak gdyby po to, żeby jednocześnie wysunąć naprzód oba uszy.

– A więc widzisz, kucharzu, ten oto twój befsztyk był tak niedobry, że go sprzątnąłem sprzed oczu najszybciej jak mogłem. Widzisz to przecie? Zatem na przyszłość powiem ci, co trzeba robić, żeby nie zepsuć befsztyka przez zbytne przesmażenie, kiedy będziesz przygotowywał następny na ten mój prywatny stół, czyli kabestan. Trzymaj mięso w jednej ręce, a drugą pokaż mu rozżarzony węgiel. To uczyniwszy, podaj na stół, słyszysz? Natomiast jutro, kiedy będziemy rozcinali rybę, pamiętaj być pod ręką, żeby zabrać czubki jej płetw, które masz marynować. A koniec ogona zapekluj. No, teraz możesz już odejść.

Ale ledwo Kudłacz uczynił trzy kroki, znów go przywołano z powrotem.

– Kucharzu, zrób mi jutro wieczorem, w czasie środkowej wachty, kotlety na kolację. Słyszałeś? Więc steruj stąd. Halo! Stój! Ukłoń się, zanim odejdziesz. Dość tego kiwania. Pulpety z wieloryba na śniadanie – nie zapomnij!

– A na Boga, żeby go był zjadł ten wieloryb, zamiast żeby on zjadł wieloryba. Niech mnie licho, jeżeli z niego nie większy Regin niż sam Massa Regin we własnej osobie – mruczał stary kuśtykając pod pokład. Z tym to roztropnym wykrzyknikiem udał się na swój hamak.

## ROZDZIAŁ LXV

### WIELORYB JAKO DANIE

Fakt, że człek śmiertelny może się żywić stworzeniem, które mu dostarcza pożywienia dla lampy, i że, jak Stubb, może je zjadać, że tak powiem, przy jego własnym świetle – wydaje się tak dziwaczny, że z konieczności trzeba się nieco wgłębić w jego historię oraz filozofię.

Jest rzeczą znaną, że trzy wieki temu język wieloryba właściwego uważano we Francji za wielki przysmak i że był on tam w ogromnej cenie. A także za czasów Henryka VIII pewien kucharz dworski otrzymał piękną nagrodę za to, że wymyślił znakomity sos do pieczonego delfina, który, jak sobie przypominacie, jest też odmianą wieloryba. Po dziś dzień zresztą uważa się delfiny za wyśmienite jedzenie. Z ich mięsa robi się pulpety mniej więcej wielkości kuli bilardowej, które, jeśli są dobrze przyprawione korzeniami, można wziąć za pulpety z żółwia czy cielęciny. Mnisi z Dunfermilne ongiś ogromnie w nich gustowali. Mieli nawet szczególny przywilej na delfiny nadany przez koronę.

Faktem jest, że wieloryb – przynajmniej wśród poławiaczy – byłby powszechnie uważany za danie szlachetne, gdyby go nie było tak dużo; jeżeli jednak przychodzi nam zasiąść do pasztetu o długości nie ledwie stu stóp, to odbiera nam to apetyt. Obecnie tylko ludzie pozbawieni wszelkich uprzedzeń, jak Stubb, spożywają smażone wieloryby. Natomiast Eskimosi nie są tak wybredni. Wszystkim nam wiadomo, że żywią się wielorybami oraz że mają stare i rzadkie roczniki wystanego, pierwszorzędnego tranu wielorybiego. Zogranda, jeden z ich najsłynniejszych doktorów, zalecał dla dzieci skrawki tłuszczu wielorybiego jako niezwykle soczyste i odżywcze. To zaś przypomina mi, że pewni Anglicy, których dawno temu pozostawił przypadkiem w Grenlandii statek wielorybiczny, przez kilka miesięcy żywili się wyłącznie spleśniałymi kawałkami wielorybów, które pozostały na brzegu po wytopieniu tłuszczu. Wśród wielorybników holenderskich te kawałki nazywają się „naleśnikami”, do których są w istocie wielce podobne, ponieważ odznaczają się brązową barwą oraz kruchością, pachną zaś po trosze jak świeże naleśniki czy pierogi gospodyń ze starego Amsterdamu. Wyglądają tak apetycznie, że nawet najbardziej wstrzeźliwy cudzoziemiec nie potrafi na ich widok utrzymać rąk przy sobie.

Tym jednak, co jeszcze bardziej obniża wartość wieloryba jako cywilizowanej potrawy, jest jego niezwykła tłustość. Jest on bowiem wielkim, premiowanym wołem mórza, zbyt tłustym, żeby mieć delikatny smak. Spójrzcie tylko na jego garb; byłby on równie wyśmienitym daniem jak garb bawołu uważany za wyszukaną potrawę, gdyby nie to, że jest jedną zbitą piramidą tłuszczu. Ale sam olbrot jakże jest delikatny i bielutki; niczym przezroczysty, pół galaretowaty miąższ trzymiesięcznego orzecha kokosowego – a przecie zbyt tłusty, żeby zastąpić masło. Niemniej jednak liczni wielorybnicy mają zwyczaj mieszania go z inną substancją i zajadania w ten sposób. Jest rzeczą zwykłą, że marynarze w czasie długich wacht nocnych przy wytapianiu tłuszczu zanurzają

suchary okrętowe w olbrzymich kadziach oleju i potem przez chwilę je przysmażają. Niejedną pyszną wieczerzę spożyłem w ten sposób.

Jeśli idzie o małego kaszalota, to mózg jego jest uważany za wyborną potrawę. Pudło czaszki rozrąbuje się toporem i wydobywszy stamtąd dwa pulchne, białawe płaty mózgowe (wyglądające zupełnie jak dwa duże puddingi) miesza się z mąką i gotuje z nich wyśmienitą papkę, w smaku przypominającą nieco głowę cielęcą, która przez pewnych epikurejczyków wysoko jest ceniona; każdy zaś wie, iż niektóre młode dandysy spośród epikurejczyków, stale się żywiąc cielęcym mózdzkiem, stopniowo dorabiają się własnego mózdzku, to zaś na koniec pozwala im odróżnić głowę cielęcą od własnej, co w istocie wymaga niepospolitej zdolności rozeznania. Z tej przyczyny taki młodzian, mając przed sobą na talerzu inteligentnie wyglądającą głowę cielęcą, przedstawia jeden z najsmętniejszych widoków, jakie ujrzeć można. Głowa spogląda nań po trosze z wyrzutem, jak gdyby chciała powiedzieć: *Et tu Brute!*

Być może, iż nie tylko owa nadmierna tłustość wieloryba sprawia, że ludzie lądu zdają się uważać jedzenie go za coś obrzydliwego; możliwe, iż powodują to w pewnej mierze względy, o których wyżej była mowa; to znaczy, że człowiek zjada tu świeżo zamordowane stworzenie morskie, a co więcej, zjada je przy jego własnym świetle. Ale bez wątpienia pierwszy człowiek, który kiedykolwiek zabił wołu, uważany był za mordercę; może go nawet powieszono, a już z pewnością wisiałby, gdyby był sądzony przez woły – i niewątpliwie zasługiwałby na to, jeśli jakkolwiek morderca na ową karę zasługuje. Idźcie na targ mięsny w sobotę wieczorem i popatrzcie na tłumy żywych dwunogów przyglądające się długim szeregom czworonogów martwych. Czyliż ten widok nie przypomina po trosze kanibali? Kanibali? A któż nie jest kanibalem? Powiadam wam, że w Dniu Sądu łagodniej potraktowany będzie ów Fidżijczyk, który nasolił u siebie w piwnicy chuderlawego misjonarza na wypadek głodu, niżli ty, cywilizowany i oświecony smakoszu, który przybijasz gęsi do podłogi i pochłaniasz ich napęczniałe wątróbki w twoim *patee de foie gras*.

Ale Stubb spożywa wieloryba przy jego własnym świetle, nieprawdaż? To zaś jest dorzucaniem zniewagi do krzywdy, czyż nie tak? Popatrz więc na rączkę swego noża, mój ty cywilizowany i oświecony smakoszu zajadający ten rostbef; z czegoż jest ona sporządzona? Z czegoż, jeśli nie z kości rodzzonego brata tegoż właśnie wołu, którego spożywasz? A czymże dłubiesz sobie w zębach po pożarciu tłustej gąski? Piórem tegoż ptaka. A jakimże piórem podpisywał oficjalne okólniki sekretarz Towarzystwa dla Tępienia Okrucieństwa Wobec Gąsiorów? Dopiero w ostatnich miesiącach Towarzystwo to uchwaliło rezolucję, żeby nie popierać innych piór prócz stalowych.

## ROZDZIAŁ LXVI

### MASAKRA REKINÓW

W wielorybnictwie południowym, kiedy upolowany kaszalot po długich, ciężkich trudach przyciągnięty zostanie późną nocą do statku, nie ma – przynajmniej na ogół – zwyczaju przystępować od razu do wycinania tłuszczu. Przedsięwzięcie to bowiem jest niesłychanie mozolne, niezbyt szybko można się z nim uporać, a wymaga ono udziału całej załogi. Dlatego też powszechny obyczaj mówi, że należy zwinąć wszystkie żagle, położyć ster na zawietrzną, a następnie posłać wszystkich na dół, do hamaków, aż do świtu; z tym wszelako zastrzeżeniem, że do tego czasu musi się pełnić wachty kotwiczne – to znaczy, że co godzina dwóch marynarzy wychodzić musi kolejno na pokład, by się przekonać, czy wszystko w porządku.

Ale czasami, szczególnie na Oceanie Spokojnym koło równika, plan taki nie zdałby się na nic, gdyż wokół przycumowanego cielska zbierają się tam tak nieprzeliczone zastępy rekinów, że gdyby je pozostawić, powiedzmy, na sześć godzin z rzędu, rankiem ujrzałoby się niewiele więcej niż szkielet. Jednakże w innych częściach oceanu, gdzie owych ryb nie spotyka się w takiej obfitości, można czasami znacznie pohamować ich zadziwiającą żarłoczność przez energiczne poszturchiwanie ostrymi łopatkami wielorybniczymi, który to proceder niekiedy zdaje się jednak tylko pobudzać bestie do tym większej aktywności. W obecnym wypadku jednak z rekinami „Pequoda” stało się inaczej, choć oczywiście każdy, kto nie przywykł do podobnego widoku, mógłby owej nocy pomyśleć, wychyliwszy się przez burtę, że całe morze wokoło jest jednym wielkim serem, a rekiny kłębiącymi się w nim liskami.

Niemniej jednak, gdy Stubb po zakończeniu wieczerzy zaciągnął wachtę kotwiczną, a Queequeg i jeden z marynarzy z forkaasztelu weszli na pokład, wśród rekinów zapanowało niemałe poruszenie. Obaj marynarze wywiesili bowiem niezwłocznie przez burtę pomosty, na których stojąc wycina się tłuszcz wieloryba, i opuściwszy trzy latarnie, które rzuciły długie smugi światła na zbeltane wody, rozpoczęli nieprzerwane mordowanie rekinów za pomocą ciosów długich łopatek wielorybnicznych<sup>5</sup>, wbijali ostrą stal głęboko w czaszki ryb, będące podobno jedyną ich wrażliwą częścią. Ale wśród kłębowiska pian wzbijanych przez stłoczone, walczące hordy, oszczepnicy nie zawsze mogli trafić w cel; to zaś powodowało nowe objawy niewiarygodnej drapieżności wroga. Rekiny wściekle kłapały paszczami i chwytaly nie tylko wyprute wnętrzości swoich towarzyszy, ale zwijając się w krąg jak giętkie łuki, gryzły własne trzewia, aż na koniec wydało się, że owe trzewia łykane są ustawicznie przez tę samą paszczę po to,

---

<sup>5</sup> Łopatka wielorybnicza, używana do rozcinania zwierza, sporządzona jest z najprzedniejszej stali; ma wielkość mniej więcej rozłożonej dłoni ludzkiej, a ogólnym kształtem odpowiada narzędziu ogrodniczemu, od którego bierze swoją nazwę; tyle tylko, że jej brzegi są całkowicie płaskie, a górny koniec znacznie węższy od dolnego. Broń ta utrzymywana jest zawsze w stanie najwyższej ostrości, a w trakcie używania przeciąga się ją od czasu do czasu po brusie, zupełnie jak brzytwę. Rękojeść stanowi obsadzony w tulejce sztywny drąg od dwudziestu do trzydziestu stóp długości. (Przyp. aut.)

by po drugiej stronie wypływać przez ziejącą ranę. To jeszcze nie wszystko. Nie było bezpiecznie mieć do czynienia ze zwłokami czy duchami owych stworów. Coś z przyrodzonej im, a może panteistycznej witalności zdawało się nadal kryć w ich kościach i ścięgnach, gdy już uszło to, co nazwać można indywidualnym życiem. Zabity i wywindowany na pokład dla swej skóry, jeden z tych potworów omal nie odgryzł ręki biednemu Queequegowi, gdy ten spróbował zatrzasać martwe wieko jego morderczej paszczyki.

– Queequeg nie dbać, jaki bóg stworzyć jego, tego rekina – powiedział dziki, z bólem podnosząc i opuszczając rękę – czy bóg Fidżi, czy bóg Nantucket. Ale ten bóg, co zrobić rekin, musi być przeklęty mechanik.

## ROZDZIAŁ LXVII

### WYCINANIE TŁUSZCZU

Działo się to w sobotni wieczór, ale co za niedziela po nim nastąpiła! Wszyscy wielorybnicy są *ex officio* zwolennikami łamania przepisów dotyczących świętej niedzieli. Jasny „Pequod” przemienił się w coś, co przypomniało jatkę, w której każdy marynarz był rzeźnikiem. Rzekłbyś, iż ofiarowujemy bogom mórz dziesięć tysięcy czerwonych wołów.

W pierwszym rzędzie wywindowano na szczyt grotmasztu i mocno uwiązano do dolnego złącza steng – najpewniejszego miejsca nad pokładem statku – ową olbrzymią kiść winogron, czyli potężny osprzęt służący do oprawiania wieloryba, a składający się, prócz innych ciężkich części, z pęku zazwyczaj malowanych na zielono bloków, których żaden pojedynczy człowiek nie mógłby dźwignąć. Koniec liny, przypominającej holowniczą, przewleczony przez wszystkie te zawilości, poprowadzono następnie do kabestanu, a olbrzymi dolny blok talii zawieszono ponad wielorybem; do bloku tego przyczepiono potężny hak ważący około stu funtów. Teraz z pomostu, wywieszzonego za burtę żaglowca, obaj oficerowie, Starbuck i Stubb, zbrojni w długie łopatki, poczęli wycinać w ciele wieloryba tuż ponad bliższą z dwóch bocznych płetw otwór, w który miano zatknąć hak. Co uczyniwszy, zrobiono wokół otworu szerokie półkoliste nacięcie, założono hak, po czym większa część załogi przystąpiła zwartym szykiem do obracania kabestanu, w takt jakowejś dzikiej, chóralnej pieśni. Natychmiast cały statek przechylił się na bok, a każdy w nim sworzeń drgnął jak ćwiek w ścianie starego domostwa, kiedy mróz ściśnie; żaglowiec zadrżał, wstrząsnął się i skinął niebu przerażonymi masztami. Coraz bardziej i bardziej kładł się na wieloryba, każdemu mozolnemu dźwignięciu kabestanu odpowiadało pomocne pchnięcie fal; aż na koniec usłyszano szybki, raptowny trzask, z potężnym pochlustem statek szarpnął się w górę i w tył od wieloryba, a hak ukazał się w tryumfie, pociągając za sobą coraz wyżej oderwany już, półkolisty koniec pierwszego płata tłuszczu. Otóż zważywszy, że tłuszcz okrywa wieloryba dokładnie tak samo jak skórka pomarańcze, obdiera się go więc spiralnie, tak właśnie jak się czasem obiera tenże owoc. Kabestan, ciągnąc nieustannie, sprawia, że wieloryb ustawicznie obraca się w wodzie, a owo pasmo tłuszczu odwija się zeń równomiernie wzdłuż linii nazywanej „szalem”, jednocześnie nacinanej łopatkami oficerów – Starbucka i Stubba; przez cały ten czas, równie szybko jak się odwija, a właściwie przez sam ten fakt odwijania się, pas tłuszczu wciągany jest coraz wyżej i wyżej, dopóki jego górny koniec nie dotknie topu masztu. Wówczas ludzie u kołowrotu przestają go obracać i przez chwilę olbrzymia, ociekająca krwią masa kołysze się w lewo i w prawo, jak gdyby zawisła u nieboskłonu, wszyscy obecni zaś muszą dobrze uważać, żeby uskoczyć w porę, gdyż może ona snadnie dać kuksańca w ucho i wyrzucić człowieka na łeb za burtę.

Jeden z obecnych harpunników podchodzi teraz z długim, ostrym orężem, zwanym mieczem wielorybniczym, i uchwyciwszy sposobny moment, zręcznie wycina spory otwór w dolnej części rozkołysanej masy. W otwór ten zakłada się z kolei inny wielki

hak, aby unieruchomić masę tłuszczu i przygotować się do tego, co ma teraz nastąpić. Wówczas ów znamienity rębacz, uprzedziwszy wszystkich, by się cofnęli, raz jeszcze wykonuje uczony atak na ową masę i kilkoma skośnymi, wściekłymi cięciami rozdziela ją na dwoje; i podczas gdy krótsza, dolna część jest jeszcze nieruchoma, długi, górny płat, zwany „kołdrą”, zwisa już swobodnie i jest gotów do spuszczenia. Teraz ludzie z kabestanu podejmują na nowo śpiew i podczas gdy jeden blok obdziera i winduje w górę następne pasmo tłuszczu, drugi zostaje z wolna połużniony i oto przez główny luk ładowni, znajdujący się tuż pod nim, pierwszy płat opuszcza się do nie umeblowanego salonu, zwanego komorą tłuszczową. W półmroku owego apartamentu różne zręczne dłonie zwijają długą „kołdrę”, jak gdyby była wielkim, żywym kłębowskiem węzów. I tak postępuje praca; oba haki jednocześnie to idą w górę, to się opuszczają; wieloryb i kabestan ciągną, marynarze śpiewają, jegomościę z komory tłuszczowej zwijają, oficerowie nacinają, statek trzeszczy, a wszyscy klną od czasu do czasu, ażeby rozładować powszechne napięcie.

## ROZDZIAŁ LXVIII

### KOŁDRA

Poświęciłem sporo uwagi przedmiotowi, o którym niemało się dyskutuje, a mianowicie skórze wieloryba. Na morzu prowadziłem na ten temat spory z doświadczonymi wielorybnikami, a na lądzie z uczonymi naturalistami. Moja pierwotna opinia pozostaje bez zmiany, ale jest to jedynie opinia.

Gdzie się znajduje i czym jest skóra wieloryba – oto zagadnienie. Wicie już, co to jest tłuszcz. Ma on coś z konsystencji zbitej, drobno włóknistej wołowiny, ale jest twardszy, bardziej elastyczny i zwarty; grubość jego sięga od ośmiu czy dziesięciu do dwunastu lub piętnastu cali.

Owóż jakkolwiek niedorzeczne wyda się zrazu twierdzenie, że skóra jakiegoś stworzenia posiada tego rodzaju konsystencję i grubość, to jednak nie ma w gruncie rzeczy argumentów przemawiających przeciwko takiemu przypuszczeniu, ponieważ nie sposób zdjąć z ciała wieloryba jakąkolwiek inną zwartą pokrywą, prócz tego właśnie tłuszczu, a czymże, jeśli nie skórą, może być zewnętrzna powłoka okrywająca dane zwierzę, o ile posiada ona należyłą zwartość? Prawda, że z jeszcze nie tkniętego cielska ubitego wieloryba można ręką zdrapać niesłychanie cienką i przezroczystą substancję, nieco przypominającą najcieńsze płytki żelatyny, tyle tylko, że niemal równie giętką i miękką jak atlas – oczywiście zanim się ją wysuszy, ponieważ wówczas nie tylko kurczy się i grubieje, ale też staje się raczej twarda i krucha. Posiadam kilka takich ususzonych kawałków, których używam jako zakładek do mych książek wielorybnych. Jak już wspomniałem, są one przezroczyste i czasami, położywszy je na zadrukowanej stronie, bawiłem się urojeniami, iż mają pewne właściwości powiększające. W każdym razie przyjemnie jest czytać o wielorybach, że tak powiem, przez ich własne okulary. Ale zmierzam tutaj do tego, co następuje: niepodobna uważać tej nieskończenie cienkiej, żelatynowatej substancji za skórę wieloryba, mimo że, jak przyznaję, okrywa ona całe jego ciało; już raczej przyjąć należy, iż jest to, powiedzmy, jakiś naskórek skóry, byłoby bowiem po prostu śmieszne twierdzić, że właściwa skóra przepotężnego wieloryba jest cieńsza i miększa od skórki nowo narodzonego dziecięcia. Ale dość już o tym.

Przyjąwszy, iż tłuszcz jest skórą wieloryba, należy wziąć pod uwagę, że ponieważ ta skóra – jak to się dzieje w wypadkach bardzo dużego kaszalota – dostarcza stu baryłek oleju, a ów olej po wytopieniu stanowi pod względem ilości czy raczej wagi ledwie trzy czwarte substancji całej powłoki – to można stąd powziąć niejaki wyobrażenie o ogromie tej żywej masy, jeśli zaledwie część jej skóry dostarcza podobnego jeziora cieczy. Licząc po dziesięć baryłek na tonę, macie dziesięć ton wagi netto z ledwie trzech czwartych całej skóry wieloryba.

Zwierzchnia powłoka kaszalota, widoczna za życia, jest nie najmniejszym z dziwów, w jakie on obfituje. Niemal zawsze, zwartym gąszczem, krzyżują się na niej po wielokroć ukośne, niezliczone linie, podobne do tych, jakie się widuje na najprzedniejszych włoskich miedziorytach. Jednakże te linie nie wydają się być

wyciśnięte na wyżej wspomnianej żelatynowatej substancji, ale jakby tylko przez nią widocznie; rzekłbyś, są one wyryte na samym ciele kaszalota. I to jeszcze nie wszystko. W niektórych przypadkach owe linearne znaki stanowią dla bystrego, uważnego oka, podobnie jak na prawdziwym miedziorycie, zaledwie podstawę zgoła innych delineacji. Te zaś są hieroglificzne; to znaczy, o ile owe tajemnicze znaki na ścianach piramid nazywacie hieroglifami, tedy jest to właściwe słowo i w tym wypadku. Zachowawszy dobrze w pamięci obraz hieroglifów na jednym w szczególności kaszalocie, wielce byłem uderzony widokiem ryciny przedstawiającej stare litery indiańskie wykute na słynnych hieroglificznych urwiskach u brzegów Górnego Missisipi. Jak owe tajemnicze skały, tak i wieloryb z tajemnymi znaki pozostaje nie do odcyfrowania.

Ta wzmianka o skałach indiańskich przypomina mi coś jeszcze. Prócz innych fenomenów, jakimi się odznacza zewnętrzny widok kaszalota, nierzadko na jego grzbiecie, a zwłaszcza na bokach, owe regularne linie bywają w znacznej części zatarte przez rozliczne, ostre szramy zgoła nieregularnego, przypadkowego kształtu. Powiedziałbym, że owe skały na wybrzeżach Nowej Anglii, które, jak to sobie wyobraża Agassiz, noszą ślady gwałtownych zderzeń z olbrzymimi górami lodowymi, bardzo przypominają pod tym względem kaszalota. Wydaje mi się również, że tego rodzaju szramy na cieles wieloryba pochodzą prawdopodobnie ze starcia z innymi wielorybami; mogłem je bowiem najczęściej zauważyć na dużych, wyrosniętych bykach owego gatunku.

Jeszcze parę słów na temat tej skóry czy tłuszczu wieloryba.

Powiedziano już, że zdejmuje się ją z niego długimi płatami, które noszą nazwę „kołder”. Jak większość terminów morskich, i ten także jest bardzo szczęśliwie dobrany i znaczący. Albowiem wieloryb jest w istocie owinięty w tłuszcz, niczym w prawdziwą kołdrę czy koc; albo jeszcze lepiej w indiańskie *poncho*, zarzucone przez głowę i opadające wzdłuż całego ciała. To właśnie z uwagi na owo przytulne okrycie wieloryb może czuć się wygodnie w każdą pogodę, na każdym morzu, o każdym czasie czy porze roku. Cóż by się stało z takim, powiedzmy, walem grenlandzkim, gdyby na owych lodowatych, dreszczem przejmujących morzach Północy nie był zaopatrzony w tak ciepłutki surduty? Co prawda, w tych hiperborejskich wodach znajdują się także inne ryby, które są niesłychanie żwawe, ale należy zauważyć, że chodzi tu o ryby zimnokrwiste i pozbawione płuc; sam ich brzuch jest już chłodnią, a istoty te grzeją się pod bokiem gór lodowych, podobnie jak podróżny, który zimową porą rozkoszuje się ogniem w gospodzie — natomiast wieloryb, tak samo jak człowiek, ma płuca i ciepłą krew. Zamroźcie mu krew, a zemrze. Jakimże więc cudem jest — dopóki się tego nie wytłumaczy — iż ów ogromny potwór, dla którego ciepło cielesne jest równie niezbędne jak dla człowieka, czuje się jak w domu, zanurzony po same wargi w owych wodach arktycznych, kędy marynarzy, którzy wypadli za burtę, znajduje się czasem po miesiącach zamarzniętych w pozycji pionowej wewnątrz pól lodowych, na podobieństwo much tkwiących w kawałkach bursztynu. Ale, co jeszcze bardziej zadziwiające, dowiedziono na podstawie doświadczeń, że krew polarnego wieloryba jest cieplejsza od krwi Murzyna z Borneo w czas lata.

Tak mi się zdaje, że tu oto widzimy zalety silnej indywidualnej żywotności, rzadkie zalety grubych ścian, rzadkie zalety wewnętrznej przestrzenności. O, człowiecze! Podziwiaj wieloryba i wzoruj się na nim! I ty także pozostań ciepły pośród lodów. I ty także żyj na tym świecie, nie należąc do niego. Pozostań chłodny na równiku; utrzymaj swą krew w stanie ciekłym na biegunie. Jak wielka kopuła Św. Piotra i jak ten olbrzymi wieloryb, zachowaj, o człowieku, swą własną temperaturę o każdej porze roku!

Ale jakże to łatwo i jak beznadziejnie jest uczyć tych spraw wspaniałych! Jak niewiele budowli przykrytych jest kopułą na wzór Św. Piotra! Jak niewiele stworzeń odznacza się ogromem wieloryba!

## ROZDZIAŁ LXIX

### POGRZEB

Wciągać łańcuchy! Spuścić ścierwo za rufę! Ogromne haki spełniły już swą powinność. Oblupany biały korpus wieloryba z odciętym łbem połyskuje niby marmurowy sarkofag; choć zmienił barwę, nie utracił w sposób widoczny nic ze swego ogromu. Jest nadal kolosalny. Z wolna oddala się unoszony na wodzie, którą wokoło tłuką i rozbryzgują nienasycone rekiny; w górze rozdziera powietrze wrzask stad drapieżnych ptaków, których dzioby wbijają się w wieloryba niczym zdradzieckie sztylety. Olbrzymi, biały, bezgłowy upiór unosi się coraz dalej i dalej od statku, a za każdym łokciem, jaki przepływa, całe akry rekinów i sześcienne akry ptactwa wzmagają morderczą wrzawę. Ów ohydny widok można godzinami obserwować z nieledwie stojącego w miejscu żeglowca. Pod bezchmurnym, łagodnie lazurowym niebem, na pięknym licu rozkosznego morza owiniętym wesołymi bryzami, unosi się ciągle owa masa śmierci, dopóki nie zginie w nieskończonej dali.

Jakże żałosny i urągliwy to pogrzeb! Morskie sępy, wszystkie w należytej żalobie, powietrzne rekiny, skrupulatnie obleczone w czerń lub cętki. Tak mi się widzi, że za życia tylko nieliczne z nich poczęstowałyby czymkolwiek wieloryba, gdyby tego przypadkiem potrzebował, ale na jego stypie jakże żarliwie szarpią go pazurami! O, ta straszliwa sępowość świata! Nawet najpotężniejszy z wielorybów nie jest od niej wolny.

Na tym jeszcze nie koniec. Choć ciało jest zbezczeszczone, żyje przecie mściwy duch i unosi się nad nim, niecąc przerażenie. Niegroźnego trupa wieloryba wypatrzy czasem z oddali jakiś lekliwy okręt wojenny lub głupawy statek odkrywczy, kiedy odległość przesłania wprawdzie roje ptactwa, ale jednak pozwala widzieć białą masę unoszącą się w świetle słonecznym i białe bryzgi piętrzących się na niej fal; wówczas to niezwłocznie ów nieszkodliwy trup zapisany zostanie drżącymi palcami w dzienniku okrętowym: „*W tych stronach mielizny, skały i rafy. Mieście się na baczności!*” I być może przez całe lata od tej pory statki unikać będą owego miejsca, przeskakując przez nie podobnie jak głupie owce skaczą ponad pustką, ponieważ na początku ich przywódca przeskoczył nad trzymanym w tym miejscu kijem. Oto macie prawo precedensów; oto pożyteczność tradycji; oto historia upartego trwania starych wierzeń, co nigdy nie wspierały się na ziemi, a teraz nawet nie unoszą się w powietrzu! Oto ortodoksja!

I jak za życia ciało potężnego wieloryba było może prawdziwym postrachem jego wrogów, tak w śmierci duch jego staje się bezsilną grozą dla świata.

Czy wierzysz w duchy, przyjacielu? Są jeszcze inne duchy niż upiór z Cock-Lane, a wierzą w nie ludzie o wiele głębsi od doktora Johnsona.

## ROZDZIAŁ LXX

### SFINKS

Nie należałoby pominąć wzmianki o tym, że przed odarciem z tłuszczu cielska Lewiatana najpierw ucina mu się głowę. Otóż ścięcie kaszalota jest naukowym wyczynem anatomicznym, którym doświadczeni chirurdzy wielorybi wcale się chlubią, i to nie bez racji.

Zważcie, że wieloryb nie ma niczego, co by można właściwie nazwać szyją; wprost przeciwnie, właśnie miejsce, w którym jego łeb i ciało zdają się łączyć ze sobą, jest najgrubszą jego częścią. Pamiętajcie także, iż chirurg operować tu musi od góry, oddzielony od przedmiotu swoich zabiegów dystansem jakichś ośmiu czy dziesięciu stóp, oraz że tenże przedmiot jest niemal ukryty w mętnym, rozkołysanym, a często wzburzonym i rozchluśtanym morzu. Miejcie też na uwadze, że w tych niesprzyjających okolicznościach ów chirurg winien dokonać cięcia przenikającego w ciało na głębokość wielu stóp, i że tym podziemnym sposobem, nie mając możliwości zajrzenia choć raz jeden do wnętrza ustawicznie zwierającego się przecięcia, jakie uczynił, musi zręcznie omijać wszystkie przyległe, zakazane części i dokładnie oddzielić kręgosłup w krytycznym punkcie, tuż przy miejscu, w którym wchodzi on w czaszkę. Czyż więc nie dziwicie się chępliwości Stubba, który żądał ledwie dziesięciu minut dla odcięcia łba kaszalotowi?

Oddzieliwszy łeb od ciała puszcza się go za rufę i tam przytrzymuje za pomocą liny, dopóki korpus nie zostanie odarty z tłuszczu. Potem zaś, o ile głowa należy do niewielkiego wieloryba, winduje się ją na pokład, aby się nią spokojnie zająć. Jest to jednak niemożliwe, jeśli się ma do czynienia z rozrośniętym Lewiatanem, ile że głowa kaszalota równa się niemal jednej trzeciej wszystkiej jego masy, toteż całkowite zawieszenie w powietrzu podobnego ciężaru – nawet u olbrzymich bloków statku – byłoby równie niemożliwe, jak próba zważenia holenderskiej stodoły na wadze jubilerskiej.

Gdy już obdarto tłuszcz z naszego wieloryba i odcięto mu głowę, wywindowano ją mniej więcej do połowy z wody po kadłubie statku i zawieszono w ten sposób, by w znacznej mierze unosiła się jeszcze na swym macierzystym żywiole. I tak oto, gdy umęczony statek chylił się ostro nad nią, ciągniony w dół przez olbrzymi ciężar uczepony u dolnego złącza steng, a każda reja sterczała od tej strony nad falami niby ramię dźwigu – ów ociekający krwią łeb zawisł u boku „Pequoda” jak głowa olbrzyma Holofernesa u paska Judyty.

Gdy zakończono tę pracę, było już południe i marynarze zeszli na dół, aby zjeść obiad. Cisza zaległa na niedawno tak gwarnym, a teraz opustoszałym pokładzie. Ciężki, miedziany spokój, niby wielki, żółty kwiat lotosu, coraz bardziej i bardziej rozwijał ponad morzem bezgłośnie, niezmierzone płatki.

Minęła niedługa chwila i oto w tę ciszę wkroczył ze swej kajuty samotny Ahab. Przeszedł się parę razy po mostku kapitańskim, przystanął, by wyrzec przez burzę, a następnie zbliżył się z wolna do grotwanta, wziął długą łopatką Stubba, która tam

jeszcze stała po odcięciu głowy wieloryba, wbił ją w dolną część zawieszanej masy, umieścił sobie pod pachą drugi koniec drzewca niby kulę i wsparł się na nim utkwivszy w tę głowę uważne spojrzenie.

Była to głowa czarna i nieprzenikniona; wisząc tam wpośród tak napiętej ciszy zdawała się być sfinksem na pustyni.

– Przemów, olbrzymia i czcigodna głowo – szepnął Ahab – co choć niezgodna w brodę, przecie tu i ówdzie nosisz osędzielizną mchów. Przemów, głowo potężna, i powierz nam tajemnicę, która jest w tobie. Ze wszystkich nurków, ty nurkowałeś najgłębiej. Ta głowa, na którą teraz śle swoje światło słońce wyniosłe, poruszała się wśród posad tego światła. Tam, gdzie rdzewieją nie znane imiona i floty, gdzie gniją nie wypowiedziane nadzieje i kotwice, gdzie w morderczej komorze tej naszej fregaty-ziemi spoczywa balast kości milionów topielców, tam, w owej strasznej krainie wód, był twój dom rodzinny. Byłaś w miejscach, do których nigdy nie dotarł żaden nurek. Spałaś u boku niejednego żeglarza, tam gdzie bezsenne matki chętnie by spoczęły za cenę własnego życia. Widziałas złączonych uściskiem kochanków, jak skakali z płonącego statku i z sercem na sercu niknęli pod tryumfującymi falami, wierni sobie wzajemnie, gdy zdało się, że Nieba ich zdradziły. Widziałas zamordowanego oficera, o północy wyrzuconego z pokładu przez piratów. Godzinami opadał w jeszcze głębszą noc nienasyconej paszczęki, a mordercy jego żeglowali dalej, nietknięci, podczas gdy chybkie błyskawice oświetlały widniejący opodal statek, co byłby poniósł prawego małżonka w wyciągnięte, stęsknione ramiona. O, głowo! Widziałas dość, by pękły od tego planety, Abraham zaś utracił wiarę – a przecie nie chcesz przemówić ni sylaby!

– Żagiel, ho! – zakrzyknął tryumfalny głos ze szczytu grotmasztu.

– Tak? A, to wieść pocieszająca! – zawołał Ahab, nagle się prostując, podczas gdy piorunowe chmury pierzchały z jego czoła. – Ten gromki okrzyk wśród tak śmiertelnej ciszy mógłby zmiękczyć człowieka. Gdzież ten żagiel?

– Trzy rumby od sterbortu, kapitanie. Niesie nam swoją bryzę!

– Coraz lepiej, człowiecze. Oby św. Paweł szedł teraz tą drogą i przyniósł podmuch wiatru mojej bezwietrzności! O, Naturo, o, duszo ludzka! Jakże niewysłowione bywają łączące was analogie! Najmniejszy atom nie drgnie, nie zazna życia w materii, który by nic miał przemysłnego odpowiednika w ludzkiej duszy!

## ROZDZIAŁ LXXI

### HISTORIA „JEROBOAMA”

Statek i wiatr mknęły zgodnie, ale wiatr nadleciał szybciej niż żaglowiec i wkrótce „Pequod” począł się kołysać.

Przez szkła można było coraz wyraźniej rozpoznać po szalupach i obsadzonych masztach, że to statek wielorybiczny. Jednakże ponieważ był tak daleko po nawietrznej i tak szybko mknął mimo, najwidoczniej kierując się na jakieś inne tereny łowieckie, „Pequod” nie mógł mieć nadziei, że go doścignie. Wywieszono więc sygnał, by się przekonać, jaka zostanie udzielona odpowiedź.

Należy tu nadmienić, że podobnie jak okręty wojenne, wszystkie statki amerykańskiej floty wielorybicznej mają własne sygnały, które są zebrane w książkach wraz z dołączonymi do nich nazwami danych statków, a każdy kapitan jest w książkę taką zaopatrzony. W ten sposób dowódcy żaglowców wielorybicznych mogą na oceanie rozpoznać się nawzajem z łatwością, i to nawet ze znacznej odległości.

Na sygnał „Pequoda” odpowiedział wreszcie nieznamy statek wywieszając swój własny; okazało się wtedy, że jest to „Jeroboam” z Nantucket. Zbrasował reje, zbliżył się, ustawił od zawietrznej równoległe do „Pequoda” i spuścił szalupę. Ta wkrótce podpłynęła, ale właśnie gdy na rozkaz Starbucka zrzucano drabinę na przyjęcie odwiedzającego nas kapitana, ów zamachał ręką z rufy swojej łodzi, by dać znać, że tego rodzaju kroki są całkowicie zbyteczne. Okazało się, że na pokładzie „Jeroboama” panuje złośliwa epidemia i że Mayhew, jego kapitan, obawia się zarazić załogę „Pequoda”. Choć bowiem sam kapitan i ludzie z jego łodzi nie byli dotychczas chorobą dotknięci, choć statek jego znajdował się o pół strzelania z karabinu, a między nimi kolebało się przeczyste morze i przelatował świeży powiew – przecie, sumiennie się trzymając roztropnych zasad lądowej kwarantanny, kapitan stanowczo odmówił wejścia w bezpośredni kontakt z „Pequodem”.

To jednak bynajmniej nie uniemożliwiło nawiązania rozmowy. Szalupa „Jeroboama”, zachowując odległość kilku jardów od statku, potrafiła uderzając od czasu do czasu wiosłami utrzymać się równo z „Pequodem”, który z przyciśniętymi do masztów żaglami ciężko pruć wodę (bowiem naówczas wiatr od przodu dał już dość silnie), choć chwilami chluśnięcie jakiejś większej fali wypychało szalupę nieco naprzód; zaraz jednak zręcznie przywracano ją do właściwego położenia. Pominąwszy więc takie momenty oraz inne podobne zakłócenia zdarzające się od czasu do czasu, obie strony podtrzymywały rozmowę, chwilami jednak nie bez innych jeszcze przeszkód zgoła odmiennej natury.

Przy jednym z wiosła łodzi „Jeroboama” siedział człowiek o wyglądzie dziwnym nawet w warunkach dzikiego życia wielorybicznego, gdzie wszelka całość składa się z indywidualnych osobliwości. Był to niski, krępy, dość młody mężczyzna o bujnej, żółtej czuprynie i twarzy nakrapianej piegami. Okrywał go długopóły, spłowiały surdut orzechowej barwy i przedziwnego kroju; przydługie rękawy podwinięte były nad napiętkami. Głęboki, nieruchomy, fanatyczny obłęd wyzierał z oczu tego człowieka.

Ledwie ujrzano tę figurę, Stubb zakrzyknął: – To on, to on! Ten sam po miejsku ubrany błazen, o którym gadali nam ludzie z „Town-Ho” ! – Stubb miał na myśli dziwną historię, jaką niedawno opowiadano nam o „Jeroboamie” i pewnym człowieku z jego załogi, kiedy to nawiązaliśmy rozmowę z „Town-Ho”. Według owej relacji i tego, o czym się później dowiedzieliśmy, pajac ten najwyraźniej pozyskał przedziwny wpływ na niemal całą załogę „Jeroboama”. Historia jego była następująca:

Wychowywał się początkowo wśród zwariowanego Stowarzyszenia Shakerów w Neskyeuna, gdzie uchodził za wielkiego proroka; podczas ich opętanych, potajemnych zebrań po kilkakroć zstępował z nieba za pomocą kłapy w suficie, oznajmiając rychłe otwarcie siódmej flaszki noszonej w kieszeni od kamizelki, która to flaszka jednak, miast zawierać proch strzelniczy, była podobno napełniona laudanum. Nawiedzony osobliwym apostołskim kaprysem, opuścił Neskyeuna i udał się do Nantucket, gdzie z ową chytrą włąściwą obłądowi przedzierzgnął się zewnątrz w spokojnego, rozsądnego człowieka i zaoferował swe usługi jako nowicjusz kandydujący do wzięcia udziału w wielorybniczej wyprawie „Jeroboama”. Przyjęto go, ale za ledwie stracono lądu z oczu, a już jego szaleństwo buchnęło świeżym strumieniem. Oznajmił, że jest Archaniołem Gabrielem, i rozkazał, by kapitan wyskoczył za burtę. Ogłosił manifest, w którym oświadczył, iż jest zbawicielem wysp morza i wikariuszem generalnym całej Oceanii. Niezachwiana powaga, z jaką to wszystko oznajmiał, tajemna, zuchwała gra jego bezsennej podnieconej fantazji i wszystkie nadnaturalne straszliwości prawdziwego obłądzenia otoczyły pospół owego Gabriela w umysłach większości ciemnych marynarzy jakąś atmosferą świętości. Co więcej, lękano się go. Ponieważ jednak z praktycznego punktu widzenia taki człowiek był na statku niezbyt użyteczny, jako że pracował tylko wtedy, kiedy mu się podobało, więc też kapitan-niedowiarek chętnie by się go był pozbył; wszelako archanioł powziąwszy wiadomość, iż kapitan ma zamiar wysadzić go na ląd w pierwszym lepszym porcie, niezwłocznie pootwieriał wszystkie swoje flaszki i pieczęcie utrzymując, że statek wraz z całą załogą skazany będzie na bezwzględne zatracenie w wypadku, gdyby ów zamiar w czyn wprowadzono. Pracował tak usilnie nad swoimi zwolennikami spośród załogi, iż na koniec udali się jak jeden mąż do kapitana i oświadczyli mu, że jeżeli Gabriel wydalony zostanie ze statku, ani jeden z nich nie pozostanie na pokładzie. Kapitan zmuszony był więc porzucić swój plan. Nie pozwolono też na jakiegokolwiek maltretowanie szaleńca, bez względu na to, co by powiedział czy uczynił, tak że wreszcie doszło do tego, iż Gabriel mógł na statku robić, co mu się żywnie podobało. W wyniku tego wszystkiego archanioł nie liczył się niemal wcale z kapitanem ani z oficerami, a ponieważ wybuchła epidemia, poczynął sobie jeszcze zuchwalej niż kiedykolwiek, twierdząc, że owa plaga, jak ją nazywał, wynikła wyłącznie na jego rozkaz i że nie ustanie, dopóki tak mu się nie spodoba. Marynarze, przeważnie prostaczkowie, otaczali go czołobitnością, a niektórzy wręcz płaszczyli się przed nim; czasem na jego rozkaz składali mu osobiste hołdy niczym Bogu. Podobne rzeczy mogą się zdawać niewiarygodne, a jednak, choć tak zdumiewające, zdarzyły się przecie naprawdę. Historia fanatyków jest uderzająca nie tyle przez bezmierne samooszustwo fanatyka, co przez jego niezmierną moc

oszukiwania i opętania tak wielu innych ludzi. Czas już jednakże powrócić do „Pequoda”.

– Nie boję się twojej epidemii, człowieku – powiedział znad burty Ahab do kapitana Mayhew, stojącego w tyle łodzi. – Wejź na pokład.

Ale wówczas Gabriel zerwał się na równe nogi.

– Pomyśl, pomyśl o febrze, żółtej i okrutnej! Strzeż się straszliwej plagi!

– Gabrielu, Gabrielu! – zawołał kapitan Mayhew. – Albo musisz... – lecz w tej chwili gwałtowna fala pchnęła łódź daleko w przód, a syk wody zagłuszył słowa.

– Czy widzieliście białego wieloryba? – zapytał Ahab, gdy szalupa podsunęła się z powrotem.

– Pomnij, pomnij na swą łódź strzaskaną i zatopioną! Strzeż się straszliwego ogona!

– Powiadam ci raz jeszcze, Gabrielu, że... – ale znowu łódź rzuciła się do przodu, jakby ją ciągnęły złe duchy. Na kilka chwil zapadło milczenie, podczas gdy przetaczały się kolejno huczące fale, które przez jeden z kaprysów morza popychały szalupę, miast nią kołysać. Tymczasem wisząca głowa kaszalota kolebała się bardzo gwałtownie, a Gabriel, jak zauważono, spoglądał na nią z większym niepokojem, niżby się tego należało spodziewać po jego archanielskiej naturze.

Po owej przerwie kapitan Mayhew począł opowiadać ponurą historię dotyczącą Moby Dicka, wszelako nie bez częstych przerw, tak ze strony Gabriela – za każdym razem, gdy wymieniano jego imię – jak również i rozszalałego morza, które zdawało się być z nim w zмовie.

Okazało się, że niedługo po tym, gdy „Jeroboam” opuścił kraj rodzinny, załoga statku podczas spotkania z innym żaglowcem wielorybniczym dowiedziała się w sposób niezbity o istnieniu Moby Dicka oraz o spustoszeniach, jakie poczynił. Chciwie chłonec te wieści Gabriel uroczyście przestrzegł kapitana przed atakiem na białego wieloryba w wypadku, gdyby napotkał potwora; w swym obłądnym bełkocie ogłosił Moby Dicka ni mniej, ni więcej tylko wcieleniem bóstwa Shakerów, którym Pismo Święte zostało objawione. Kiedy jednakże w jakiś rok czy dwa później rzeczywiście ujrzano z masztów Moby Dicka, Macey, pierwszy oficer, zapalał chęcią zmierzania się z wielorybem; mimo wszelkich prorocत्व i przestróg archanioła udało mu się namówić pięciu ludzi, by wyruszyli łodzią pospołu – zwłaszcza że sam kapitan bynajmniej mu tego nie wzbraniał. Macey popłynął więc z owymi ludźmi i po długim, utrudzającym wiosłowaniu oraz wielu niebezpiecznych, nieudanych atakach powiodło mu się wreszcie ulokować w ciele wieloryba jeden harpun. Tymczasem Gabriel wylazł na szczyt najwyższej stengi głównego masztu i potrzęsając ręką opętańczym gestem, miotał prorocत्व o rychłej zagładzie, jaka czeka tych, co świętokradczo napadli na jego bożyszcze. I kiedy oficer Macey, stojąc na dziobie łodzi, z całą nieopamiętaną zajadłością, właściwą ludziom jego zawodu, ryczał dziko na wieloryba i usiłował znaleźć sposobny moment do ciosu lancą – podniosła się z morza ogromna, biała zjawia, nagłym, zamiatającym ruchem wypierając na chwilę dech z piersi wiosłarzem. W następnym momencie nieszczęsny oficer, pełen tak wścieklej żywotności, wyrzucony został w powietrze i zakreśliwszy długi łuk runął w morze o jakieś pięćdziesiąt jardów od szalupy. Ani jedna jej drzazga nie doznała szwanku, żadnemu wiosłarzowi włos nie

spadł z głowy, ale oficer zaginął na wieki. Należy tu dodać nawiasem, że przy połowach kaszalotów ten rodzaj fatalnych wypadków zdarza się może niemal równie często, jak którykolwiek inny. Czasami nikt nie ponosi szkody prócz człowieka, który zostaje w ten sposób unicestwiony; jeszcze - częściej urywany bywa dziób łodzi lub odbita deska udowa, na której wspiera się dowódca, i wtedy leci ona w wodę wraz z jego ciałem. Ale najdziwniejszy bywa taki przypadek, który nieraz się już wydarzył, kiedy po wyłowieniu ciała niepodobna znaleźć na nim jednego choćby śladu obrażeń; człowiek jednakże jest martwy.

Całą katastrofę, łącznie ze spadającym w morze ciałem Maceya, wyraźnie widziano ze statku. Wzniósłszy przeszywający okrzyk: – Flaszka! Flaszka! – Gabriel odwołał przerażoną załogę od dalszej pogoni za wielorybem. Ów straszliwy wypadek jeszcze pomnożył wpływ archaniola na ludzi, ponieważ jego łatwowierni wyznawcy uwierzyli, iż go przepowiedział wyraźnie, miast wygłaszać tylko ogólne proroctwo, co każdy był w stanie uczynić, i w ten sposób utrafił w samo sedno, choć tyle rzeczy mogło się przecie wydarzyć. Stał się nieopisanym postrachem na statku.

Gdy Mayhew zakończył swą opowieść, Ahab zadał mu kilka takich pytań, że kapitan nie mógł się powstrzymać, żeby go nie zagadnąć, czy zamierza zapolować na białego wieloryba, w razie gdyby się nadarzyła po temu okazja. Na to Ahab odparł: – A jakże! – Natychmiast Gabriel znowu zerwał się na równe nogi i patrząc nań błyszczącym wzrokiem wskazał w dół palcem i wykrzyknął:

– Pamiętaj, pamiętaj o bluźniercy! Martwy on tam, w dole! Strzeż się śmierci bluźniercy!

Ahab odwrócił się obojętnie i powiedział do Mayhewa:

– Kapitanie, właśnie przypomniałem sobie o worku z pocztą, który wiozę. Jeśli się nie mylę, jest tam list do jednego z waszych oficerów. Starbuck, zajrzyj no do worka!

Każdy żaglowiec wielorybniczy zabiera pokaźną ilość listów dla różnych statków; doręczenie tych listów osobom, do których są adresowane, zależy jedynie od możliwości spotkania ich na wszystkich czterech oceanach. Dzięki temu większość listów nigdy nie dociera do celu, wiele zaś otrzymuje się dopiero, kiedy osiągną wiek dwóch, trzech albo więcej lat.

Wkrótce Starbuck powrócił z listem w rękę. Papier był srodze wymiętoszony, wilgotny i pokryty matową, cętkowaną, zieloną pleśnią, jako że przechowywano go w ciemnej szafeczce kajuty. Gońcem doręczającym list taki mogłaby snadnie być sama Śmierć.

– Nie możesz przeczytać? – zawołał Ahab. – Dajże go mnie, człowieku. Istotnie, to jakieś niewyraźne gryzmoły. Cóż to? – gdy Ahab przyglądał się listowi, Starbuck wziął długie drzewce od łopatk wielorybniczej i nożem zrobił na jego końcu małe nacięcie, aby zatknąć w nie list i tym sposobem podać go na łódź, tak aby nie musiała się do statku przybliżyć. Tymczasem Ahab trzymając list szeptał:

– „Pan Har” .., tak, „Pan Harry” (niepewna ręka kobieca – założyłbym się, że to żona) – tak, „Pan Harry Macey, statek »Jeroboam«,” – no, to przecie do Maceya, a on nie żyje!

– Biedaczysko, biedaczysko – i to od żony! – westchnął Mayhew. – Ale dajcie mi ten list.

– Nie, zachowaj go sobie! – krzyknął Gabriel Ahabowi. – Sam rychło pójdziesz jego śladem.

– Niech cię zaraza zdusi! – ryknął Ahab. – Kapitanie Mayhew, przybliź się teraz i odbierz ten list. – Wziął na powrót fatalne pismo z rąk Starbucka, wetknął je w nacięcie na drzewcu i wyciągnął ku łodzi. Ale właśnie wiosłarze w oczekiwaniu przestali wiosłować i szalupa odsunęła się nieco ku rufie „Pequoda”, tak że list jak gdyby pod wpływem czarów znalazł się nagle na wprost chciwej dłoni Gabriela. Ów porwał go natychmiast, chwycił nóż znajdujący się w łodzi, nadział nań list i cisnął z powrotem na statek. Nóż upadł u stóp Ahaba. Wówczas Gabriel wrzasnął na swoich towarzyszy, by się wzięli do wiosła, i w ten sposób buntownicza łódź chyżo odsunęła się od „Pequoda”.

Kiedy po owym wydarzeniu marynarze powrócili do pracy nad skórą wieloryba, snuli wiele dziwnych domysłów w związku z tą niesamowitą sprawą.

## ROZDZIAŁ LXXII

### MAŁPIA LINA

Podczas całego tego rozgardiaszu przy cięciu i oprawianiu wieloryba załoga musi się wiele nabiegać tam i z powrotem. To tu kogoś potrzeba, to ówdzie kogoś wołają. Nie sposób ustać w miejscu, gdyż w jednym i tym samym czasie wszędzie wszystko musi być zrobione. Podobnie dzieje się i z tym, kto usiłuje opisać tę scenę. Musimy zatem cofnąć się nieco. Wspominałem już, że po dobraniu się do grzbietu wieloryba, umieszczono ów hak tłuszczowy w otworze uprzednio wykrajonym łopatkami oficerów. Ale jakże to tak niezdarna i ciężka masa, jak ten hak, dała się w ów otwór założyć? Uczynił to mój osobisty przyjaciel, Queequeg, którego obowiązkiem, jako harpunnika, było zstąpić w tym specjalnie celu na grzbiet potwora. W wielu jednakże przypadkach okoliczności wymagają, żeby harpunnik pozostał na wielorybie, dopóki nie zakończy się całej operacji krajania i obdzierania cielska z tłuszczu. Należy tu zauważyć, że wieloryb pozostaje niemal w całości pod wodą, z wyjątkiem tylko tych części, na których się pracuje. I tak oto tam w dole, ów biedny harpunnik, jakieś dziesięć stóp poniżej poziomu pokładu, kotłuje się na poły w wodzie, na poły na wielorybie, a olbrzymia masa obraca się pod nim niby młyn pedałow. Przy omawianej okazji Queequeg figurował w kostiumie szkockim – a mianowicie w koszuli i w skarpetkach – w którym, przynajmniej moim zdaniem, wyglądał nader korzystnie; a jak się to zaraz okaże, nikt nie miał lepszej ode mnie sposobności, aby go obserwować.

Ponieważ byłem dziobowym wiosłarzem dzikiego, to znaczy tym, który zasiada w jego łodzi przy wiosle dziobowym (drugim od przodu), było więc moim miłym obowiązkiem pomagać mu przy owym mozolnym gramoleniu się po grzbiecie martwego wieloryba. Widywaliście włoskich katarzyniarzy dzierżących na długim sznurze tańczącą małpę. Tak właśnie ze stromej burty żaglowca trzymałem Queequega w dole, na wodzie, za pomocą liny, w technicznym języku wielorybniczym zwanej „małpią liną”, a przytwierdzonej do mocnego kawała płótna, którym dziki był opasany.

Komicznie niebezpieczna to była sprawa dla nas obu. Zanim bowiem przejdziemy dalej, trzeba tu powiedzieć, że małpia lina była zamocowana na obu końcach: jednym u szerokiego, płóciennego pasa Queequega, a drugim u mojego wąskiego rzemienia. Tak więc chwilowo byliśmy ze sobą złączeni na złą czy dobrą dolę; i gdyby biedny Queequeg miał pójść na zawsze pod wodę, zarówno zwyczaj jak i honor wymagałby, żebym miał przecinać linę, dał się jej pociągnąć śladem towarzysza. W ten sposób łączyła nas wydłużona syjamska więź. Queequeg był moim własnym, nieodłącznym bratem bliźnim, ja zaś nie mogłem w żaden sposób pozbyć się niebezpiecznych obowiązków, jakie na mnie nakładały owe konopne więzy.

Tak dobitnie i metafizycznie wyobraziłem sobie wtedy swoją sytuację, że gdy z powagą śledził ruchy Queequega, zdało mi się, iż wyraźnie dostrzegam, jak osobowość moja wtapia się w towarzystwo akcyjne złożone z dwóch istot; jak moja wolna wola otrzymuje śmiertelną ranę, gdyż omyłka czy nieszczęśliwy przypadek drugiego może niezasłużenie pogrążyć mnie, Bogu ducha winnego, w otchłań nieszczęścia i śmierci.

Dlatego też pojąłem, że mam tu do czynienia z rodzajem bezkrólewia u Opatrzności, albowiem jej równo odmierzona sprawiedliwość nigdy by nie usankcjonowała tak grubej niesłuszności. Zastanawiając się zaś jeszcze dalej – i od czasu do czasu podrywając Queequega ze szczeliny pomiędzy wielorybem a statkiem, który groził mu zmiążdżeniem – zastanawiając się więc dalej, postrzegłem, że ta moja sytuacja była dokładnie sytuacją, w jakiej się znajduje każdy śmiertelnik, co żyje i oddycha; tyle tylko, że w większości przypadków owe syjamskie więzy *łączą* go w ten czy inny sposób z całą masą innych śmiertelników. Jeżeli zbankrutuje twój bankier – załamujesz się; jeśli twój aptekarz przez pomyłkę prześle ci w pigułkach truciznę – umierasz. Co prawda, powiecie, być może, iż przez zachowanie niesłychanych ostrożności można uniknąć tych oraz niezliczonych innych złych kolei życia. Ale choć obchodziłem się z liną Queequega najostrożniej, jak umiałem, przecie on czasem szarpnął nią tak, że mało brakowało, a wypadłbym za burtę. Nie mogłem też żadną miarą zapomnieć, że choćbym nie wiedzieć co robił, mogłem panować tylko nad jednym końcem owej liny.<sup>6</sup>

Wspomniałem już, że często podrywałem biednego Queequega ze szczeliny między bokiem statku a wielorybem, w którą od czasu do czasu wpadał na skutek ustawicznego kołysania się i chwiania ich obu. Zmiążdżenie nie było jednak jedynym niebezpieczeństwem, jakie mu zagrażało. Nie zastraszone masakrą, dokonaną na nich w nocy, rekiny – od nowa i jeszcze silniej zwabione krwią, która dotychczas zatrzymana w ciele, poczęła znowu zeń wypływać – wściekle roiły się dokoła niczym pszczoły w ulu.

I oto właśnie wpośród owych rekinów stał Queequeg, często odpychając je obsuwającą się nogą. Rzecz owa byłaby wręcz nie do wiary, gdyby nie to, że wszystkożerny zazwyczaj rekin, zwabiony taką zdobyczą jak ubity wieloryb, rzadko kiedy tknie wówczas człowieka.

Nie należy jednak wątpić, że skoro rekiny tak drapieżnie sobie poczynają, jest oczywiście rzeczą roztropną mieć na nie pilne baczenie. Toteż prócz małpiej liny, za pomocą której od czasu do czasu wrywałem biedaka ze zbyt bezpośredniej bliskości paszczy jakiegoś szczególnie zażartego rekina – Queequeg był wyposażony w jeszcze inną ochronę. Tasztego i Daggoo, stojąc na jednym z pomostów wywieszonych przez burtę, ustawicznie wymachiwali nad głową dzikiego ostrymi łopatkami wielorybniczymi, którymi mordowali tyle rekinów, ile zdołali dosięgnąć. Ta czynność była oczywiście całkiem bezinteresowna i z życzliwości płynąca. Chcieli jak najlepiej dla Queequega, to przyznają; lecz w gorliwym pośpiechu, by mu dopomóc, oraz z uwagi na fakt, że tak jego, jak i rekiny czasem na poły zalewała zmieszana z krwią woda – te ich niebaczne łopatki chwilami bliższe były odcięcia nogi niż ogona. Ale Queequeg, biedaczysko, wyteżając wszystkie swoje siły i dysząc tam nad owym wielkim żelaznym hakiem, tylko modlił się zapewne do swojego Jodża i składał życie w ręce bogów.

---

<sup>6</sup> Małpia lina znajduje się na wszystkich statkach wielorybniczych, ale tylko na „Pequodzie” małpa i opiekun byli ze sobą związani. To ulepszenie pierwotnego zwyczaju wprowadzone zostało nie, przez kogo innego, jak przez Stubba, aby zapewnić narażonemu na niebezpieczeństwo harpunnikowi najpewniejszą gwarancję wierności i czujności ze strony dzierżącego małpią linę towarzysza. (Przyp. aut.)

„Cóż, cóż, drogi kolego i bliźniaku – myślałem sobie to przyciągając, to popuszczając linę za każdym wzdęciem fal – cóż to wszystko ma za znaczenie? Czyliż nie jesteś cennym obrazem każdego z nas na tym wielorybniczym świecie? Ów bezdenny ocean, wpośród którego dyszysz – to Życie; rekiny – to twoi wrogowie; te łopatki – to przyjaciele, a między rekinami i łopatkami w jakimże paskudnym znajdujesz się położeniu, w jakim niebezpieczeństwie, o, biedny chłopaku!”

Ale odwagi! Czeka cię coś radosnego, Queequegu. Bo oto gdy z posiniałymi wargami i krwią nabiegłą żrenicą zmordowany dziki nareszcie wdrapuje się po łańcuchach i cały ociekający wodą, dygocąc mimo woli, przełazi orzez burzę, podchodzi doń steward i z życzliwym, pocieszającym spojrzeniem podaje mu – co? Trochę grzanego koniaku? Nie, podaje mu – o, bogowie! – kubek ciepłej wody z imbirem!

– Imbir? Czy tu pachnie imbirem? – zapytał podejrzliwie Stubb podchodząc bliżej. – Tak, to musi być imbir. – Z tymi słowy zajrzał do jeszcze nie tkniętego kubka. Następnie przystanął na chwilę, jakby z niedowierzaniem, i ruszył spokojnie w stronę zdumionego stewarda mówiąc powoli: – Imbir? Imbir? A bądźże pan tak łaskaw powiedz mi, panie Kluczo, na czym polegają zalety imbiru? Też dopiero! To takiego używasz paliwa, by rozniecić ogień w tym dygocącym kanibalu? Imbir! Czymże on jest, u diabła – węglem? – smolnymi szczapami? – zapalkami? – hubką? – prochem strzelniczym? Czymże u diabła jest imbir, że ofiarowujesz ten kubek naszemu biednemu Queequegowi?

– W tym tkwi jakieś łajdackie Towarzystwo Trzeźwości – dorzucił nagle, zbliżając się do Starbucka, który właśnie nadszedł od dziobu. – Popatrz pan na ten kubek i powąchaj, proszę. – Następnie obserwując minę oficera dodał: – Panie Starbuck, steward miał czelność podać ten kalomel czy inny środek przeczyszczający Queequegowi, który w tej chwili zlał z wieloryba. Czyż steward to aptekarz? A chciałbym też zapytać, czy tymi oto kroplami ma zamiar tchnąć na powrót życie w człowieka na poły utopionego?

– Sądzę, że nie – odparł Starbuck. – To przecie paskudztwo.

– Tak, tak, stewardzie! – zawołał Stubb. – Nauczmy cię truc harpunnika! Zabieraj stąd te swoje aptekarskie środki. chcesz nas potruć, co? Masz nasze polisy ubezpieczeniowe i zamierzasz nas wymordować, by schować pieniądze do kieszeni?

– To nie ja! – krzyknął steward. – To ciocia Charity przyniosła imbir na statek i przykazała mi, żebym nigdy nie dawał harpunnikom wódki, tylko ten puchar imbiru, jak go nazywała.

– Puchar imbiru! Masz, masz, ty łotrze! Zabieraj to, ganiaj do szafki i przynieś coś lepszego. Myślę, że nie robię nic złego. Starbuck? Wszak rozkaz kapitana brzmi: „grog dla harpunnika na wielorybie”.

– Dość – odparł Starbuck. – Tylko go już więcej nie bij, bo...

– O, nigdy nie robię krzywdy, gdy uderzam, chyba wielorybowi albo czemuś w tym guście – zresztą ten chłop to chytry lis. Co pan chciałeś powiedzieć?

– Tylko to, żebyś zeszedł z nim razem i sam wziął, czego chcesz.

Gdy Stubb ukazał się znowu, niósł w jednej ręce ciemną butlę, a w drugiej coś w rodzaju puszki od herbaty. Pierwsza zawierała mocny alkohol i wręczona została Queequegowi, druga była darem ciotki Charity i tę wspaniałomyślnie ofiarowano falam.

## ROZDZIAŁ LXXIII

### STUBB I FIASK UBIJAJĄ WIELORYBA WŁAŚCIWEGO, A NASTĘPNIE GWARZĄ NAD NIM

Należy pamiętać, że przez cały czas wisi u boku „Pequoda” olbrzymia głowa kaszalota. Musimy ją tam jednak pozostawić czas jakiś, dopóki nie znajdziemy okazji, by się nią zająć. Na razie są inne pilne sprawy i wszystko, co możemy dla tej głowy uczynić, to prosić Niebiosa, żeby bloki wytrzymały.

Otóż w czasie poprzedniej nocy i przedpołudnia „Pequod” stopniowo przesunął się na obszary morskie dające rozproszonymi tu i ówdzie plamami żółtego brytu pewną rękojmię bliskości wielorybów właściwych – odmiany Lewiatana, o której prawie nikt nie przypuszczał, że może się gdzieś kryć w pobliżu o tym właśnie czasie. A choć na ogół wszyscy marynarze gardzili polowaniem na te stworzenia niższego rzędu i choć „Pequod” bynajmniej nie miał za zadanie poszukiwać ich, choć minęliśmy wiele tych zwierząt w pobliżu Krozetów nie spuszczać łodzi – przecie teraz, kiedy już do boku statku przycumowano kaszalota i odcięto mu głowę, oznajmiono ku zdumieniu wszystkich, że należy tego dnia upolować wieloryba właściwego, jeśli się po temu nadarzy sposobność.

Niedługo trzeba było na nią czekać. Po zawietrznej ujrzano wysokie fontanny i dwie szalupy – Stubba i Fiaska – puściły się w pogoń. Wiosłowały coraz dalej i dalej, aż wreszcie niemal znikły z oczu ludziom stojącym na masztach. Nagle jednak dostrzeżono w oddali ogromne kłęby pian i wkrótce przyszła z góry wiadomość, że jedna albo obie łodzie musiały trafić wieloryba. Minęła chwila i oto je wyraźnie rozpoznaliśmy ciągnione przezeń wprost w kierunku statku. Potwór tak blisko dotarł do kadłuba, iż zrazu się zdało, że ma jakoweś złe zamiary, ale nagle, o kilkanaście łokci od burty, zanurzył się w wirze pod wodę, i całkiem zniknął nam z oczu, jak gdyby dając nurka popod kil.

– Ciąć! Ciąć linę! – krzyknęto ze statku, gdyż przez chwilę wydawało się, iż ciągnione łodzie roztrzaska mordercze uderzenie o kadłub żaglowca. Ponieważ jednak wieloryb nie nurkował zbyt szybko, a łodzie miały jeszcze w bębnach zapas liny, wyrzucono więc znaczną jej ilość wiosłując jednocześnie z całej mocy aby wyminąć statek. Przez kilka minut sytuacja była niezwykle krytyczna, ponieważ ludzie ustawicznie połużniali napiętą linę ciągnącą ich w jednym kierunku, jednocześnie wiosłując w przeciwnym, i te dwie sprzeczne siły groziły im pociągnięciem w dół. Chcieli jednak zyskać ledwie kilka stóp. I nie ustawiali, póki tego nie osiągnęli, a wówczas na statku poczuliśmy natymiasz nagłe drżenie przebiegające jak błyskawica wzdłuż kilu, gdy napięta lina, przeszorowawszy po dnie „Pequoda”, z trzaskiem wystrzeliła w górę przed dziobem, cała rozedrgana, śmigając bryzgami wody, tak że krople spadły na fale niby odłamki szkła; wieloryb zaś wynurzył się również po drugiej stronie i znowu łodzie mogły mknąć swobodnie. Ale umęczony zwierz zmniejszył szybkość i na oślep, zmieniawszy kierunek, opłynął rufę „Pequoda” ciągnąc za sobą obie szalupy, tak że zakreśliły pełne koło.

Tymczasem łodzie przyciągały liny coraz bardziej, aż wreszcie, znalazłszy się tuż przy obu bokach zwierza, Stubb i Flask poczęli węń na zmianę miotać lancę po lancy; i tak bitwa toczyła się wokoło „Pequoda”, a niezliczone rekiny, które przedtem pływały przy cielsku ubitego kaszalota, rzuciły się na świeżo rozlaną krew, chciwie ją chlepcząc za każdym ponownym chluśnięciem, niczym spragnieni Izraelici u źródła niespodzianie tryskającego z rozszczepionej skały.

Wreszcie słup pary, wyrzucany przez wieloryba, zgęstniał i zwierz, rzygając posoką, straszliwym dźwignięciem przewrócił się na grzbiet – martwy.

Podczas gdy obaj dowódcy zajęli się przytwierdzeniem lin do ogona oraz czynili jeszcze inne przygotowania, ażeby poholować masę, wynikła między nimi następująca rozmowa:

– Ciekawym, co stary chce zrobić z tą bryłą paskudnego łaju? – rzekł Stubb, nie bez odrazy myśląc o tym, że musi mieć do czynienia z tak nikczemną odmianą Lewiatana.

– Co chce? – odrzekł Fiask zwijając jakąś zbędną linę na dziobie łodzi. – Czyś pan nigdy nie słyszał, Stubb, że statek, który choć raz ma głowę kaszalota zawieszoną u sterbortu, a jednocześnie głowę wieloryba właściwego u bakbortu, nigdy potem nie może zatonać?

– A czemuż to?

– Nie mam pojęcia, ale słyszałem, jak to gadał ten azjatycki upiór, Fedallah. A zdaje się, że jemu wszystko wiadomo o czarach żeglarskich. Tylko czasem mi się widzi, że on tak zaczaruje statek, iż w końcu nic dobrego z tego nie wyjdzie. Wcale, a wcale nie lubię tego chłopca, Stubb. Czyś kiedy zauważył, że ten jego kieł wygląda, jakby go wyrzeźbiono w kształt łba węża?

– Do diabła z nim! W ogóle nigdy na niego nie patrzę, ale jeżeli mi się nawinie okazja w ciemną noc, kiedy on stanie tuż przy burcie, a opodal nie będzie nikogo, to słuchaj mnie pan, Fiask – tu wskazał na morze czyniąc zarazem osobliwy ruch obiema rękami – tak zrobię! Fiask, uważam, że ten Fedallah to diabeł w przebraniu. Alboż wierzysz w tę niestworzoną historię o przeszmuglowaniu go na statek? Powiadam ci, to sam diabeł. Jeżeli nie widzisz jego ogona, to tylko dlatego, że go sobie gdzieś utyka i chowa. Pewnie go nosi zwinięty w kieszeni. Do kata! Teraz sobie przypominam, że mu zawsze potrzeba pakuł do wypychania pustych nosów od butów!

– Sypia w butach, prawda? Nie ma hamaka, a widywałem go, jak nocą leżał na zwoju lin.

– Oczywiście, a to właśnie przez ten jego przeklęty ogon. On go, widzisz, wpuszcza w to próżne miejsce pośrodku zwoju.

– Po co stary tyle z nim przestaje?

– Ubija z nim jakiś targ alb interes.

– Interes? Jaki?

– Otóż, widzisz, stary jest okrutnie zażarty na tego białego wieloryba, a ten tu diabeł chce go nabrać i zmusić do przefrymowania srebrnego zegarka albo własnej duszy, albo czegoś podobnego w zamian za odstąpienie Moby Dicka.

– Ech, Stubb, bajesz pan! Jakże Fedallah mógłby to uczynić?

– Nie wiem, Fiask, ale szatan to ciekawy chłop i kawał łotra, mówię ci. Przecież gadają, że kiedyś wlaźł na okręt flagowy machając ogonem diabła swobodnie, a po pańsku, i zapytał, czy stary admirał jest w domu. Otóż był w domu i spytał diabła, czego by chciał. Diabeł, trzasnąwszy kopytami, staje i powiada: „Chcę Jana”. „A to na co?” – pyta go stary. „Co ci do tego? – diabeł na to rozeźlony. – Potrzebuję go”. „Weź go sobie” – rzekł admirał i, na Boga, Fiask, jeżeli diabeł nie zadał owemu Janowi cholery azjatyckiej, zanim się ten obejrzał, to niech zjem tego wieloryba za jednym zamachem. Ale patrzaj no pan, czyś przypadkiem nie gotów? Więc płynmy dalej i przyciągnijmy wieloryba do statku.

– Zdaje mi się, że przypominam sobie jakąś podobną historię – powiedział Fiask, kiedy obie łodzie z wolna posuwały się ze swym ciężarem w stronę żaglowca – tylko nie pamiętam skąd.

– Z opowieści o trzech Hiszpanach. Z przygód tych trzech krwiożerczych żołdaków. Tam ją pan czytał, Fiask? Myślę, że tak.

– Nie, nigdy takiej książki nie widział na oczy, chociaż o niej słyszałem. Ale powiedz no mi pan, czy myślisz, że tamten diabeł, o którym dopiero co mówiłeś, to ten sam, co teraz, twoim zdaniem, przebywa na „Pequodzie” ?

– Alboż jestem tym samym człowiekiem, który dopomógł ci ubić tego oto wieloryba? Alboż diabeł nie żyje wiecznie? Słyszał kto, żeby diabeł umarł? Czyś pan kiedykolwiek widział, żeby jakiś pleban nosił żałobę po szatanie? A jeżeli diabeł ma klucz do kajuty admirała, to czy sądzisz, że nie potrafi wpełznąć przez iluminator? Powiedźże pan sam, Fiask!

– W jakim wieku może być ten Fedallah?

– Widzisz pan ten grotmaszt? – Tu Stubb wskazał na statek. – No więc to jest jedynek. A teraz weź wszystkie obręcze z ładowni „Pequoda” i ustaw je rzędem koło tego masztu jako zera. Otóż nawet to nie odpowiadałoby ani w części latom Fedallaha. Wszyscy bednarze na całym świecie nie zebraliby dość obręczy, aby ustawić dosyć zer.

– No, ale widzisz pan, Stubb, myślę, żeś się dopiero co odrobinę przechwalał, kiedyś mówił, że zamierzasz wrzucić Fedallaha w morze, gdyby się nadarzyła sposobność. Przecież jeżeli jest już tak stary, jak pokazują wszystkie te pańskie obręcze, i jeżeli ma żyć wiecznie, to na cóż by się zdało wywalać go za burtę – sam pan powiedz?

– Przynajmniej bym go porządnie skąpał.

– Przecie wylezie z powrotem.

– To go znowu w wodę – i tak ciągle.

– A przypuśćmy, że mu przyjdzie do głowy skąpać pana – a tak, i utopić – cóż wtedy?

– Chciałbym to widzieć. Niechby tylko spróbował, to bym mu tak pięknie podbił ślepią, że przez długi czas nie ośmieliłby się pokazać gęby w kajucie admirała, nie mówiąc już o urlopie na dole, gdzie przemieszkuje, ani też o górnych pokładach, gdzie się tak często wałęsa. Do kata z diabłem, Fiask! Więc pan przypuszcza, że go się boję? A któż to go się boi, prócz starego admirała, co nie śmiał chwycić go i zakuć w łańcuszki, jak na to zasługiwał, ale pozwolił mu porywać ludzi i jeszcze na dobitkę podpisał z nim pakt, że mu usmaży wszystkich tych, których porwie? To mi dopiero szef!

– Myślisz pan, że Fedallah chce porwać kapitana Ahaba?

– Czy tak myślę? Sam się niebawem przekonasz, Fiask. Ale teraz będę miał pilne na niego oko i jeżeli zobacze coś bardziej podejrzanego, to go po prostu chwycę za kark i powiem: „Słuchaj no, Belzebubie, tego nie zrobisz!” A jak mi się zacznie stawiać, to, na Boga, wyciągnę mu ten ogon z kieszeni, przyczepię do kabestanu i tak okręce, i wyszarpię, że mu się oderwie u zadka – a wówczas, kiedy zobaczy, że go w tak osobliwy sposób skurtyzowano, to da drapaką nie mając nawet tej nędznej satysfakcji, aby wziąć ogon pod siebie.

– A cóż pan zrobisz z ogonem, Stubb?

– Co zrobię z ogonem? Sprzedam go jako bicz na woły, kiedy wrócimy do domu – a cóż by innego?

– Czy rzeczywiście myślisz pan to, co mówisz i co mówiłeś przez cały ten czas Stubb?

– Myślę, nie myślę, a oto jesteśmy przy statku.

Z „Pequoda” krzyknęto łodziom, żeby przyholowały wieloryba od bakbortu, gdzie przygotowano łańcuchy oraz inny sprzęt potrzebny do przycumowania zwierza.

– A nie mówiłem panu? – rzekł Fiask. – Tak, niebawem ujrzysz łeb tego wieloryba zawieszony obok głowy kaszalota.

Rychło sprawdzili się słowa Fiaska. O ile dotąd „Pequod” pochylał się silnie pod ciężarem głowy kaszalota, o tyle teraz, przez przeciwwagę, odzyskał pionową pozycję, chociaż, możecie mi wierzyć, ogromnie był przeciążony. Tak właśnie, jeśli u jednego boku zawieszicie sobie głowę Locke'a, to przechylicie się na tę stronę. Ale zawieście tylko u drugiego głowę Kanta, a zaraz odzyskacie równowagę, choćby kosztem ciężkiego mozołu. Tak to niektóre umysłowości wiecznie rozmieszczają balast na swym statku. O, głupcy! Wyrzucie za burtę wszystkie te gromowe głowy, a wówczas pożeglujecie prosto i swobodnie.

Przed oprawieniem cielska wieloryba właściwego, przyciągniętego do boku statku, odbywają się zazwyczaj te same wstępne czynności, co w wypadku kaszalota; tyle tylko, że temu ostatniemu odrąbuje się głowę w całości, a wielorybowi właściwemu odcina osobno wargi oraz język i wciąga je na pokład wraz z całą dobrze znaną czarną kością, połączoną z tak zwanym ciemieniem. Tym razem nie uczyniono niczego podobnego. Cielska obu wielorybów pozostawiono za rufą, a obwieszony głowami statek niemało przypominał muła objuczonego parą zbyt ciężkich sakw.

Tymczasem Fedallah spokojnie spoglądał na głowę wieloryba właściwego, od czasu do czasu przenosząc wzrok z głębokich jej fałd na linie własnej dłoni. Ahab zaś stanął przypadkiem w ten sposób, że ów pars znajdował się w jego cieniu; toteż, o ile Fedallah sam w ogóle cień jakiś posiadał, to zapewne wtapiał się on tylko w cień Ahaba i wydłużał go. Między pracującą zażarcie załogą krążyły najprzedziwniejsze domysły co do wszystkich tych faktów.

## ROZDZIAŁ LXXIV

### GŁOWA KASZALOTA – WIDOK KONTRASTOWY

Otóż i mamy dwa wielkie wieloryby uradzające twarz w twarz ze sobą; pójdźmy za ich przykładem i uczynmy to samo.

Z wielkiego szeregu Lewiatanów *In Folio*, kaszalot i wieloryb właściwy są bezwzględnie najwybitniejsze. Jedyne to wieloryby, na jakie człowiek regularnie poluje. Dla nantucketańczyka stanowią one dwa przeciwieństwa wszystkich znanych odmian wieloryba. Zważywszy, że zewnętrzne między nimi różnice dają się głównie zaobserwować w ich głowach, zważywszy, że głowa każdego z nich wisi w tej chwili u boku „Pequoda” i że możemy swobodnie krążyć od jednej do drugiej, po prostu przechodząc przez pokład – gdzież, chciałbym wiedzieć, znajdziecie lepszą niż tutaj sposobność studiowania cetologii praktycznej?

Po pierwsze uderza nas ogólny kontrast między tymi głowami. Obie są bez wątpienia bardzo masywne, ale w głowie kaszalota jest jakaś matematyczna symetria, której niestety brak głowie wieloryba właściwego. Głowa kaszalota ma więcej charakteru. Gdy się jej przyglądać, to mimo woli trzeba kaszalotowi przyznać ogromną wyższość pod względem przenikającego go dostojeństwa. W obecnym przypadku dostojeństwo to jeszcze bardziej podnosi popielata barwa wierzchu jego łba, znamionująca podeszły wiek tudzież wielkie doświadczenie. Krótko mówiąc, jest on takim wielorybem, jakiego poławiacze technicznie nazywają „siwogłowym”.

Zwróćmy teraz uwagę na to, czym owe głowy najmniej się między sobą różnią – a mianowicie na dwa najważniejsze organy: oko i ucho. Otóż jeżeli pilnie poszukacie, to na koniec ujrzycie daleko w tyle i z boku głowy bardzo nisko, opodal kąta warg obu wielorybów bezrzęse oko, które można by wziąć za oko młodego żrebaka, tak bardzo jest nieproporcjonalne do wielkości głowy.

Owóż jasne jest, że z uwagi na to osobliwe boczne osadzenie oczu u wieloryba, nigdy nie może on widzieć przedmiotu znajdującego się dokładnie na wprost, tak samo jak tego, który jest za nim. Jednym słowem położenie oczu wieloryba odpowiada położeniu uszu człowieka, a możecie sobie wyobrazić, jak byście się czuli, gdybyście mieli bokiem oglądać przedmioty za pomocą uszu. Stwierdzilibyście, że macie pole widzenia obejmujące ledwie około trzydziestu stopni do przodu i tyluż stopni do tyłu linii od linii biegnącej prostopadle w bok od waszego ciała. Gdyby w biały dzień wasz najzaciętszy wróg następował na was prosto od przodu i z podniesionym sztyletem, nie byłibyście go w stanie dostrzec, tak samo jak wówczas, gdyby się podkładał z tyłu. Jednym słowem mielibyście, że się tak wyrażę, dwa tyły, ale też jednocześnie i dwa przody (boczne przody), po czymże bowiem odróżnia się przód człowieka, jeśli nie po jego oczach?

Co więcej, podczas gdy u większości zwierząt, jakie mi się w tej chwili na myśl nasuwają, oczy są tak osadzone, że w sposób niedostrzegalny stapiają ze sobą swoją zdolność widzenia i w mózgu wywołują jeden a nie dwa obrazy – to szczególne rozmieszczenie oczu wieloryba, skutecznie przedzielonych wieloma stopami

sześciennymi masywnej głowy, która się piętrzy między nimi niczym potężna góra przedzielająca dwa jeziora w dolinach, musi oczywiście całkowicie rozdzielać wrażenia, jakie przekazuje każdy z tych niezależnych od siebie organów. Dlatego też wieloryb musi widzieć jeden osobny obraz z tej strony, a drugi osobny obraz z tamtej, wszystko zaś, co znajduje się między nimi, stanowi dlań zapewne głęboki mrok i nicość. O człowieku można zaiste powiedzieć, że wygląda na świat z budki wartowniczej o dwóch połączonych szczelinach miast okna. Natomiast u wieloryba obie te szczeliny są rozmieszczone z osobna, tworząc wprawdzie dwa odrębne okna, ale jednak ogromnie upośledzając widzenie. Tę osobliwość oczu wieloryba należy zawsze mieć na uwadze w czasie połowu; winien o niej również pamiętać czytelnik przy niektórych następnych scenach.

Można by wysunąć ciekawy i zagadkowy problem dotyczący tych spraw wzroku u Lewiatana. Muszę się jednak zadowolić tylko wzmianką o nim. Jak długo oczy człowieka są otwarte przy świetle, akt widzenia jest mimowolny; to znaczy człowiek musi wówczas, choćby nie chciał, mechanicznie widzieć wszelkie znajdujące się przed nim przedmioty. Niemniej jednak doświadczenie pouczy każdego, że choć może od razu ogarnąć spojrzeniem przeróżne przedmioty, jednak nie jest w stanie obejrzeć uważnie i dokładnie jakichkolwiek dwóch rzeczy w jednej i tej samej chwili – bez względu na to, czy są duże, czy małe, czy spoczywają tuż obok siebie i dotykają się wzajemnie. Ale jeśli z kolei rozdzielicie te dwa przedmioty i otoczycie każdy z nich kręgiem głębokiej ciemności, wówczas aby zobaczyć któryś z nich, tak żeby w umyśle powstał jego obraz, trzeba na ów moment całkowicie wyłączyć ten drugi ze świadomości. Jakże więc dzieje się to u wieloryba? Faktem jest, że jego oczy muszą, każde z osobna, działać jednocześnie, ale czyżby mózg jego był o tyle bardziej pojętny, kojarzący i subtelny od ludzkiego, żeby pozwolić mu na uważne pooglądanie w tej samej chwili dwóch osobnych widoków, z których jeden znajduje się po jednej jego stronie, a drugi po wprost przeciwnej? Jeśli wieloryb jest do tego zdolny, to rzecz owa jest w nim równie zadziwiająca, jak gdyby człowiek był w stanie jednocześnie dowodzić dwóch różnych twierdzeń Euklidesa. Po dokładniejszym wnikięciu w tę sprawę okaże się, że w takim porównaniu nie ma nic niedorzecznego.

Może to tylko być czcze przywidzenie, ale zawsze mi się wydawało, iż niesłychana niepewność ruchów, jaką zdradzają niektóre wieloryby, gdy je osaczają trzy czy cztery łodzie, oraz lęklivość i skłonność do nagłych popłochów, tak w owych razach u wielorybów pospolita, wynika pośrednio z bezradnej niemocy woli, w którą muszą pogrążyć zwierzęta ich dwie osobne i diametralnie przeciwstawne zdolności widzenia.

Ale ucho wieloryba jest zupełnie tak samo ciekawe jak oko. Jeżeli jesteście całkiem z tą rasą nieobeznani, to moglibyście godzinami obszukiwać obie głowy i nie wykryć tego organu. Ucho nie ma w ogóle żadnej zewnętrznej muszli, a w sam otwór ledwie by można wetknąć gęsie pióro, tak zdumiewająco jest małe. Znajduje się ono nieco z tyłu za okiem. Należy zauważyć następującą doniosłą różnicę między uchem kaszalota i wieloryba właściwego: podczas gdy u pierwszego posiada ono zewnętrzny otwór, u drugiego jest całkowicie i równo powleczone błoną, tak że nie sposób je dostrzec od zewnątrz.

Czyż to nie osobliwe, że tak potężna istota jak wieloryb ogląda świat przez oko tak małe i słyszy huk grzmotu uchem mniejszym od ucha zająca? Ale gdyby oczy jego były tak ogromne jak soczewka wielkiego teleskopu Herschla, a uszy przestronne jak portyki katedr, czyż wydłużyłoby to jego wzrok lub wyostrzyło słuch? Bynajmniej. Po cóż więc usiłujecie „rozszerzać” swój umysł? Wysubtelniajcie go.

A teraz, za pomocą wszelkich lewarów czy maszyn parowych, jakie mamy pod ręką, przewróćmy głowę kaszalota w ten sposób, żeby jej dół znalazł się w górze, a następnie wydostańmy się na szczyt po drabinie i zajrzyjmy w paszczkę. Gdyby nie to, że ciało jest teraz zupełnie oddzielone od głowy, moglibyśmy zejść z latarnią w ręku do owej wielkiej Pieczary Mamutowej z Kentucky – jego brzucha. Ale uchwycmy się tego otokła i obejrzyjmy miejsce, w którym się znajdujemy. Jakaż to prawdziwie piękna i schludna paszczka! Od podłogi do sufitu wybita czy raczej wytapetowana połyskliwą białą błoną, lśniącą niczym atlasy oblubienicy.

A wyjdźcie teraz i spojrzycie na tę potężną dolną szczękę, która przypomina długie a wąskie wieko olbrzymiej tabakierki z zawiasem u końca miast u szerszego boku. Jeśli ją podważymy tak wysoko, by znalazła się nad naszą głową ukazując szeregi zębów, wówczas wyda nam się straszliwą kratą forteczną; a niestety stała się nią w istocie dla niejednego biednego rybaka, na którego owe ostrokoły spadły z przeszywającą mocą. A jeszcze okropniejszy to widok, gdy na całe sążnie zanurzony pod powierzchnią morza jakiś markotny wieloryb unosi się w wodzie, z olbrzymią szczęką, długości niemal piętnastu stóp, zwisającą w dół pod prostym kątem do jego ciała i do złudzenia przypominającą bukszpryt żaglowca. Wieloryb ten nie jest martwy, a jedynie przygnębiony, może zniechęcony czy też ogarnięty hipochondrią, a tak osowiały, że zawiasy jego szczęki puściły zostawiając go w tak niezdarnej posturze na hańbę całego jego plemienia, które z pewnością marzy, by go nawiedził szczękościsk.

W większości przypadków ową dolną szczękę – którą artysta doświadczony w tym zawodzie łatwo z zawias wyważy – odejmuje się i wciąga na pokład, a to w celu wyrwania zębów i zaopatrzenia się w zapas owej twardej, białej kości wielorybiej, z której rybacy wykonują wszelkiego rodzaju osobliwości, włącznie z laskami, kijkami do parasoli oraz rączkami do szpicrut.

Po długim, mozolnym windowaniu wciąga się szczękę na pokład niby kotwicę, a gdy nadejdzie odpowiednia po temu chwila – w jakieś kilka dni po ukończeniu innych prac – Queequeg, Dago i Tasztego, jako wytrawni dentyści, zabierają się do wyrwania zębów. Ostrą łopatką wielorybniczą Queequeg nacina dziąsła, następnie szczękę przywiązuje się do pierścieni, a spuściwszy blok z góry, wyciąga z niej zęby, podobnie jak woły z Michigan wywlekają pnie starych dębów z dzikich leśnych kniej. Na ogół bywa wszystkiego razem czterdzieści dwa zęby; u starych wielorybów są one silnie starte, ale ani zepsute, ani plombowane według naszego sztucznego obyczaju. Następnie szczękę piłuje się na płyty, te zaś układa w stos, niczym dźwigary przy budowie domu.

## ROZDZIAŁ LXXV

### GŁOWA WIELORYBA WŁAŚCIWEGO – WIDOK KONTRASTOWY

Przejdźmy teraz na drugą stronę pokładu i dobrze a długo przyjrzyjmy się głowie wieloryba właściwego.

O ile z ogólnego kształtu głowę szlachetnego kaszalota można porównać do rzymskiego rydwanu bojowego (szczególnie z frontu, gdzie jest tak szeroko zaokrąglona), to biorąc z grubsza, głowę wala właściwego cechuje raczej niezbyt wytworne podobieństwo do gigantycznego trzewika o kwadratowym nosie. Dwieście lat temu pewien podróżnik holenderski przyrównał jej kształt do szewskiego kopyta. A w tymże kopycie czy trzewiku mogłaby się wygodnie pomieścić owa staruszka z dziecinniej bajki wraz z całym swym rojnym potomstwem.

Kiedy się jednak podchodzi bliżej do tej głowy olbrzymiej, zaczyna ona przybierać coraz to inny wygląd, zależnie od punktu, z którego patrzymy. Jeżeli się stanie na jej wierzchołku i spojrzy na dwa otwory nozdrzowe w kształcie liter f, można wziąć całą głowę za olbrzymią basetlę, a te tryskawki za otwory w jej pudle. Jeśli zaś znowu skierować spojrzenie na ową dziwną, czubatą, grzebieniowatą narośl na czubku masy – to coś zielonego, usianego skorupiakami, co Grenlandczycy nazywają „koroną”, a łowcy południowi „czepcem” wieloryba właściwego – jeśli skierować oczy wyłącznie na to, wówczas można wziąć ową głowę za pień jakiegoś olbrzymiego dębu z ptasim gniazdem uwitym w rozwidleniu konarów. Tak czy owak, kiedy się ogląda żywe kraby gnieźdzące się na owym czepcu, myśl tana niemal z pewnością musi przyjść do głowy, chyba że waszą fantazję przyciągnął techniczny termin „korona”, również mu nadawany. W tym razie będzie bardzo interesujące pomyśleć, że ów potężny potwór został koronowanym królem mórz, dla którego w sposób tak przedziwny sporządzono ów zielony diadem. Wszelako, jeśli ten wieloryb jest królem, to ma zbyt markotną minę, ażeby podnieść świetność swojego diademu. Spójrzcie na tę obwisłą dolną wargę! Jakież w niej jest przepotężne nadąsanie i odęcie! Nadąsanie i odęcie, które, mierzone miarą ciesielską, ma około dwudziestu stóp długości i pięciu głębokości; nadąsanie i odęcie, które dostarczy wam z pięćset albo więcej galonów oleju.

Jakaż to szkoda, że ten nieszczęsny wieloryb ma zajęczką wargę! Szczelina w niej jest szeroka mniej więcej na stopę. Prawdopodobnie jego matka musiała w ważnym momencie życia przepływać opodal wybrzeży peruwiańskich rozszczepionych przez trzęsienie ziemi. Przez ową wargę niby przez śliski próg dostajemy się do paszczy. Daję słowo, gdybym był w Mackinaw, wziąłbym ją za wnętrze indiańskiego wigwamu. Wielki Boże! To więc jest owa droga, którą przebył Jonasz! Dach znajduje się na jakieś dwanaście stóp wysoko i spada pod dość ostrym kątem, jak gdyby pośrodku podpierał go drąg namiotu, a w żebrowanych, łukowatych i kosmatych ściankach ukazują się nam zadziwiające, nieomal pionowe listewki fiszbinów, o kształcie tureckich bułatów, po trzysta mniej więcej z każdej strony. Zwisając z górnej części głowy, czyli od ciemienia, tworzą one te weneckie żaluzje, o których przelotnie na innym miejscu wspomniano. Kości owe obrzeżone są frędzlą włochatych włókien, przez które wieloryb wyciska

wodę zatrzymując w ich gęstwie małe rybki, kiedy w czas żeru płynie z otwartą paszczą poprzez morza *britu*. Na żaluzjach kostnych, według naturalnego porządku znajdujących się pośrodku, bywają różne osobliwe znaki, kręte linie, wklęsłości i krawędzie, po których pewni wielorybnicy obliczają wiek zwierzęcia, podobnie jak poznaje się wiek dębu po jego krągłych słojach. Chociaż pewności tego kryterium udowodnić nie sposób, jednak przez analogię ma ono posmak prawdopodobieństwa. W każdym razie, o ile je przyjmujemy, musimy przyznać wielorybowi wiek o wiele sędziwszy, niżby się to na pierwszy rzut oka mogło wydać właściwe.

W dawnych czasach panowały, zdaje się, najosobliwsze wyobrażenia o tych żaluzjach. Pewien podróżnik u Purchasa nazywa je dziwaczными „bokobrodami” wewnątrz paszczy wieloryba<sup>7</sup>; inny – „świńską szczecina”, a znów trzeci starszy pan u Hackluyta używa następujących wytwornych słów: „Po każdej stronie górnej części jego mordy rośnie około dwustu pięćdziesięciu płetw, które z obu stron wyginają się łukowato ponad językiem”.

Każdemu wiadomo, że te właśnie „świńskie szczeciny”, „płetwy”, „bokobrody”, „żaluzje”, czy jak się komu podoba, dostarczają damom gorsetów oraz innych usztywniających urządzeń. Ale pod tym względem popyt od dawna się zmniejsza. To za czasów królowej Anny fiszbin osiągnął pełnię chwały, wtedy bowiem krynolina była jak najbardziej w modzie. A wzorem owych starodawnych dam, co krzątały się wesoło, choć można powiedzieć, w paszczy wieloryba – i my dzisiaj, w czas ulewy, z podobnym brakiem zastanowienia uciekamy dla bezpieczeństwa pod te same szczęki, jako że parasol jest przecie namiotem rozpiętym na tychże kościach.

Ale teraz zapomnijcie na chwilę o żaluzjach czy wąsach i stojąc w paszczy wieloryba właściwego rozejrzyjcie się ponownie wokoło. Czyż widząc te wszystkie tak metodycznie rozmieszczone kolumnady z kości nie można pomyśleć, że znajdujemy się wewnątrz wielkich organów z Haarlem i spoglądamy na tysiąc ich piszczalek? Miast dywanu przed organami mamy kobierzec z najdelikatniejszej tureckiej wełny – język, który jest jakby przyklejony do podłogi paszczy. Bardzo tłusty i miękki, ma skłonność do rwania się na kawałki, kiedy go wciągać na pokład. Mamy przed sobą ten właśnie język i na oko powiedziałbym, że to sześciobeczkowiec, to znaczy, że tyle mniej więcej dostarczy nam oleju.

Jeszcze przedtem musieliście jasno dostrzec prawdziwość faktu, od którego zacząłem – a mianowicie, że kaszalot i wieloryb właściwy mają głowy nieomal całkowicie odmienne. Reasumując więc: w głowie wieloryba właściwego nie ma tego wielkiego źródła olbrotu, w ogóle żadnych zębów ani długiego, smukłego dzioba dolnej szczęki tak jak u kaszalota. Kaszalot zaś nie posiada wcale żaluzji kostnych ani olbrzymiej dolnej wargi i ledwie że ma jakiś tam język. A znowu wieloryb właściwy ma dwie zewnętrzne tryskawki wydechowe, kaszalot zaś tylko jedną.

---

<sup>7</sup> To nam przypomina, że wieloryb właściwy rzeczywiście ma coś w rodzaju bokobrodów albo raczej wąsów składających się z kilku białych włosów rozrzuconych na górnej części zewnętrznego końca dolnej szczęki. Czasami owe kępki włosów nadają nieco zbójceki wyraz jego skądinąd tak dostojnemu obliczu. (Przyp. aut.)

Spójrzcie więc po raz ostatni na te czcigodne, nieprzeniknione głowy, póki jeszcze razem spoczywają; jedna z nich bowiem niebawem pogrzeży się, zapomniana, w morzu, a druga niedługo będzie czekać, by pójść w jej ślady.

Czy potraficie uchwycić wyraz tego kaszalota? To ten sam, który miał w chwili śmierci tylko kilka długich fałd na czole, które jakby się wygładziło. Sądzę, że to jego czoło szerokie jest pełne jakiegoś spokoju prerii, zrodzonego z przemyślanej obojętności wobec śmierci. Zauważcie natomiast wyraz drugiej głowy. Przyjrzyjcie się tej zdumiewającej dolnej wardze, przypadkiem przyciśniętej do boku statku tak, że mocno ogarnia szczękę; czy cała ta głowa nie zdaje się mówić o ogromnej, rzeczywistej śmiałości w stawianiu czoła śmierci? Uważam, że ten wieloryb właściwy był stoikiem, a kaszalot platończykiem, który w ostatnich latach mógł się zajmować Spinozą.

## ROZDZIAŁ LXXVI

### TARAN

Zanim rozstaniemy się chwilowo z głową kaszalota, chciałbym, żebyście, po prostu jako rozsądni fizjologowie, zwrócili szczególną uwagę na to, jak ona wygląda od przodu w całym swym skupionym spokoju. Pragnąłbym, żebyście obejrzel ją teraz wyłącznie w celu wyrobienia sobie jakiegoś nieprzesadnego, rozumnego poglądu o tkwiącej w niej taranowej sile. Punkt to niezmiernie istotny, bo albo musicie sami rozstrzygnąć to zagadnienie w sposób zadowalający, albo też na zawsze pozostaniecie niedowiarkami co do jednego z może najstraszliwszych, choć niemniej prawdziwych wydarzeń, jakie gdziekolwiek można znaleźć w kronikach historii.

Zaobserwowaliście, że gdy kaszalot płynie w zwykłej pozycji, przód jego głowy tworzy linię niemal prostopadłą do powierzchni wody; zauważyliście, że dolna część tego przodu jest wyraźnie cofnięta, tak iż zapewnia ochronę długiemu łożysku podniebienia, w które wchodzi do belki podobna dolna szczęka; zauważyliście, że paszcza znajduje się całkowicie pod spodem głowy, zupełnie tak samo jak gdyby wasze własne usta umieszczone były pod brodą. Co więcej, zaobserwowaliście, że kaszalot nie ma zewnętrznego nosa, a te nozdrza, jakie posiada – jego tryskawka – znajdują się na szczycie głowy; że oczy i uszy osadzone są po bokach, niemal na jednej trzeciej długości całego ciała licząc od przodu. Dlatego też musieliście już spostrzec, że przód łba kaszalota jest nieczułą, ślepą ścianą bez jednego organu czy jakiegokolwiek wrażliwego miejsca. A dalej powinniście teraz zważyć, że tylko w najwyższej, cofniętej, przedniej części głowy istnieją jakiegokolwiek ślady kości, zaś dopiero około dwudziestu stóp od czoła natrafić można na pełny rozwój czaszki. Tak więc cała ta olbrzymia bezkostna masa jest jakby jednym tamponem. No a wreszcie jej zawartość, jak to wkrótce wyjawimy, obejmuje również najdelikatniejszy olej; jeszcze się dowiecie o naturze substancji, która ową pozorną zniewieściałość taką otacza osłoną. Na którymś miejscu opisałem wam już, jak to tłuszcz okrywa ciało wieloryba niby skórka pomarańczę. To samo dotyczy i głowy; z tą tylko różnicą, że na niej ta pokrywa, choć nie tak gruba, ma bezkostną twardość, której nikt nie jest w stanie ocenić, jeżeli jej sam nie dotknie. Najbardziej spiczasty harpun, najostrzejsza lanca ciśnięta najmocniejszym ludzkim ramieniem bezsilnie od niej odskakuje. To zupełnie tak jak gdyby czoło kaszalota było wyłożone kopytami końskimi. Nie sądzę, żeby w nim było jakieś czucie.

Zastanówcie się nad jeszcze jedną rzeczą. Cóż robią marynarze, kiedy dwa duże, wyładowane statki z Indii przypadkiem stłoczą się i napierają na siebie w dokach? Nie zawieszają między nimi, w punkcie, w którym mają się zetknąć, po prostu jakiejś twardej substancji, jak żelazo czy drzewo. Nie; trzymają w tym miejscu duży, krągły tampon z pakul i korka, okryty najgrubszą i najtwardszą wołową skórą. Tampon ten dzielnie i bez szwanku wytrzymuje ciśnienie, które strzaskałoby wszelkie dębowe hanszpugi czy żelazne sztaby. To samo przez się dostatecznie ilustruje oczywisty fakt, do którego zmierzam. A w dodatku nasunęła mi się taka hipoteza: zważywszy, że zwykle ryby posiadają tak zwany pęcherz pływacki mogący się rozciągać i kurczyć

zależnie od woli, kaszalot zaś, o ile mi wiadomo, nie ma podobnych urządzeń; zważywszy również niewytłumaczony skądinąd sposób opuszczania przezeń głowy całkiem pod powierzchnię, to znów płynięcia z łbem wysoko z wody wydzwigniętym; zważywszy nieskazitelną elastyczność pokrywy oraz jedyne w swoim rodzaju wnętrze jego głowy – nasuwa mi się, jak mówię, hipoteza, że owe tajemnicze, komórkowe plastry miodu, które się w niej znajdują, mogą mieć jakiś dotychczas nie znany i nie podejrzewany związek z otaczającym powietrzem, polegający na zdolności atmosferycznego kurczenia się i rozszerzania. Jeżeli tak jest, to wyobraźcie sobie nieodpartość owej mocy, do której się przyczynia najbardziej nieuchwytny i niszczący ze wszystkich żywiołów.

Otóż uważajcie tylko. Popychając niechybnie przed sobą ową nieczułą, niewycięzoną, nienaruszalną ścianę, zamykającą tyle wewnętrznej lekkości, płynie za tym wszystkim masa potężnego życia, którą odpowiednio pomierzyć można tylko tak, jak sąg drzewa – na łokcie; masa wszystka posłuszna jednej woli, niczym najdrobniejszy z owadów. Tak więc, kiedy wam później będę szczegółowo wyliczał wszystkie osobliwości i skupienia mocy utajone wszędzie w owym tak bujnym potworze, kiedy ukażę wam niektóre z pomniejszych czynów, jakich dokonuje, ufam, iż porzucicie wszelkie nieoświecone niedowiarstwo i będziecie gotowi przyznać, że gdyby kaszalot utworował sobie przejście przez przesmyk Darien czy zmieszał Atlantyk z Pacyfikiem, nie podnieślibyście ze zdziwienia nawet jednego włoska waszych brwi. Bo jeśli nie uznacie potęgi wieloryba, to będziecie jedynie zaściankowcami i sentymentalistami w Prawdzie. Ale czysta Prawda to rzecz, na którą natrafić mogą tylko salamandrowe olbrzymy; jakże więc słabe są szanse dla zaściankowców! Cóż to się przywodziło słabowitemu młodzieńcowi, który uniósł zasłonę straszliwej bogini w Lais?

## ROZDZIAŁ LXXVII

### WIELKA BECZKA HEIDELBERSKA

Teraz kolej na opróżnienie „pudła”. Ale żeby to właściwie zrozumieć, winniście dowiedzieć się coś niecoś o ciekawej strukturze wewnętrznej rzeczy, o którą chodzi.

Przyjąwszy, że głowa kaszalota jest jednolitego, podłużnego kształtu, można w płaszczyźnie pochyłej podzielić ją skośnie na dwa kliny<sup>8</sup>, z których dolnym będzie budowa kostna tworząca czaszkę i szczęki, górnym zaś – gęsta masa całkowicie wolna od kości. Jej szeroka przednia część stanowi widoczne, rozłożyste, pionowe czoło wieloryba. Podzielcie teraz ten górny klin poziomo pośrodku czoła, a otrzymacie dwie niemal równe części, które przedtem dzieliła w sposób naturalny wewnętrzna ścianka gęstej substancji ścięgnowej.

Dolna z tych pod-części, zwana płatem, jest jednym olbrzymim, oleistym plastrzem miodu, który na całej przestrzeni składa się z dziesięciu tysięcy napełnionych olejem komórek utworzonych przez wzajemne krzyżowanie się na wasze strony twardych, elastycznych białych włókien. Część górna, znana pod nazwą pudła, może być uważana za wielką „heidelberską beczkę” kaszalota. I podobnie jak tamta słynna beczka ma na przodzie tajemnicze wyrycia, tak i ogromne, pofałdowane czoło kaszalota tworzy niezliczone, przedziwne wzory, niby emblematyczne ozdoby jego niesamowitej beczki. Co więcej, jak tamta heidelberska zawsze napełniona była najprzedniejszym winem z dolin nadreńskich, również i beczka kaszalota zawiera najkosztowniejszy z jego oleistych trunków – a mianowicie wysoko ceniony olbrot w absolutnie czystej, przejrzystej i wonnej postaci. Owej drogocennej substancji w stanie nieskażonym nie sposób znaleźć w jakiegokolwiek innej części ciała wieloryba. Choć za jego życia substancja ta jest doskonale płynna, to jednak jeśli ją po śmierci ryby wystawić na działanie powietrza, rychło zaczyna krzepnąć wypuszczając piękne, krystaliczne igiełki, niby pierwszy delikatny lód, właśnie tworzący się na wodzie. Pudło dużego kaszalota dostarcza zazwyczaj około pięciuset galonów olbrotu, choć na skutek nieuniknionych okoliczności znaczna jego część bywa rozlana, wycieka, skapuje lub też w jakiś inny sposób zostaje bezpowrotnie stracona podczas delikatnych zabiegów, polegających ma tym, by łapać, co się da.

Nie wiem, jakim przepyszny i kosztownym materiałem wybita była wewnątrz beczka heidelberska, ale w swym najwyższym bogactwie z pewnością nie mógł on się równać z jedwabistą, perłową błoną, przypominającą podbicie wspaniałej delii, a tworzącą wewnętrzną powierzchnię pudła kaszalota.

Widzieliśmy już, że heidelberska beczka kaszalota obejmuje całą długość górnej części głowy, a ponieważ – jak to gdzie indziej wyłuszczone – głowa stanowi jedną trzecią całej długości zwierza, przeto określając tę ostatnią na osiemdziesiąt stóp u

---

<sup>8</sup> W tym wypadku klin nie jest terminem euklidesowskim. Należy on w tej formie do czystej matematyki morskiej. Nie słyszałem dotychczas, żeby go definiowano. Taki klin, o jakim tu mówię, to bryła różniąca się od zwykłego klina tym, że jej ostry koniec uformowany jest przez strome ścięcie z jednego boku, miast jednoczesnego zwężania się ich obu. (Przyp. aut.)

dobrze rozrośniętego kaszalota, otrzymamy głębokość beczki wynoszącą przeszło dwadzieścia sześć stóp, kiedy się głowę pionowo przywiesi u boku statku.

Przy odcinaniu głowy kaszalota narzędzie operatora przenika w bezpośrednią bliskość miejsca, w którym następnie otwiera się dostęp do magazynu obrotu; dlatego też trzeba zachować niezwykłą ostrożność, gdyż w przeciwnym razie niebaczny, niewłaściwy cios naruszy sanktuarium i zmarnuje jego beczenną zawartość. To właśnie ten koniec głowy, z którego ją odcięto, wyciąga się wreszcie z wody i utrzymuje w tej pozycji za pomocą olbrzymich bloków, których konopne liny tworzą nieprzeniknioną gęstwinę.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, przyjrzyjcie się teraz, proszę, owej zdumiewającej – a w tym szczególnym przypadku omal że fatalnej – operacji odszpuntowania wielkiej heidelberskiej beczki kaszalota.

## ROZDZIAŁ LXXVIII

### CYSTERNA I WIADRA

Zwinny jak kot Tasztego wdrapuje się na górę i nie zmieniając wyprostowanej postawy biegnie prosto po zawieszanej tam grotrei aż do jej części sterczącej wprost ponad wywindowaną beczką. Zabrał ze sobą lekki sprzęt zwany „żurawiem”, składającym się tylko z dwóch linek biegnących poprzez jednokrążkowy blok. Przymocowawszy go tak, żeby zwisał u noku rei, Tasztego huśta jednym końcem liny, dopóki któryś z marynarzy na pokładzie nie schwyci go i nie przytrzyma mocno. Teraz po drugiej części liny, chwytając ją kolejno dłońmi coraz niżej, Indianin opuszcza się przez powietrze i zręcznie ląduje na czubku głowy kaszalota. Tam – ciągle jeszcze wysoko wzniesiony ponad resztą załogi, do której żywo pokrzykuje – wydaje się być jakimś tureckim muezzinem wzywającym ze szczytu wieży zacnych ludzi na modlitwę. Podano mu na górę ostrą łopatkę z krótką rękojeścią i teraz pilnie poszukuje właściwego miejsca, aby rozpocząć włamywanie się do beczki. Poczyna sobie przy tym z wielką ostrożnością, niczym poszukiwacz skarbów ostukujący w jakimś starym domostwie ściany, by znaleźć miejsce, w którym zamurowano złoto. Kiedy ukończył już owe ostrożne poszukiwania, do jednego końca liny przytwierdzone zostaje tęgie wiadro okute żelazem, podobne do wiadra studziennego, drugi zaś koniec naciągnięty ponad pokładem przytrzymywany jest przez kilka zwawych dłoni. One właśnie windują teraz wiadro tak, by Indianin mógł go dosięgnąć, podczas gdy ktoś inny podaje mu bardzo długi drąg. Tasztego wsuwa go do wewnątrz wiadra i prowadzi je w dół, do środka beczki, póki w niej zupełnie nie zniknie; po czym, na znak dany przez Indianina marynarzom trzymającym linę, wiadro ukazuje się znowu całe spienione niby ceber dójki pełen świeżego mleka. Napełnione naczynie, ostrożnie opuszczane z wysokości, chwytają wyznaczone po temu ręce i szybko wylewają zawartość do ogromnej kadzi. Następnie znowu idzie ono w górę i odbywa tę samą drogę, dopóki głęboka cysterna nie zostanie opróżniona. Pod koniec Tasztego musi wpychać długi drąg coraz mocniej i mocniej, coraz głębiej i głębiej w beczkę, póki nie schowa się w niej jakieś dwadzieścia stóp drzewca.

Załoga „Pequoda” pracowała już tak przez czas jakiś i kilka kadzi napełniono wonnym olbrotem, kiedy ni stąd, ni zowąd wydarzył się osobliwy wypadek. Czy to ów dziki Indianin, Tasztego, był tak nieroztropny i niebaczny, że trzymając się jedną ręką lin od ogromnych bloków, na których wisiała głowa, wpuścił je na chwilę; czy miejsce, w jakim stał, było tak zdradzieckie i oślizgłe; czy sam Zły zapragnął, żeby się tak stało, nie dając po temu żadnych osobistych racji – jak do tego doszło, nie sposób teraz dociec, ale oto nagle, gdy osiemdziesiąty czy dziewięćdziesiąty kubeł wynurzył się z chlupotem – Boże mój! – biedny Tasztego niby bliźniacze powrotne wiadro u prawdziwej studni spadł głową naprzód do wnętrza owej wielkiej heidelberskiej beczki i z okropnym, oleistym bulgotem zniknął nam z oczu!

– Człowiek za burtą! – ryknął Daggoo, który wśród powszechnej konsternacji pierwszy odzyskał przytomność umysłu. – Spuścić tu wiadro! – Uchwycił się dłonią

liny i aby umocnić swój śliski punkt oparcia na „żurawiu”, wetknął w wiadro jedną nogę i pozwolił marynarzom wywindować się wysoko na szczyt głowy, nieledwie zanim Tasztego dosięgną wewnątrz jej dna. Tymczasem powstało straszne zamieszanie. Ludzie wyglądając przez burtę ujrzeni, iż dotąd martwa głowa drga i kołuje się tuż pod powierzchnią morza, jak gdyby ją ogarnęła jakaś przemożna myśl; był to jednak tylko nieszczęsny Indianin, który przez swe zmagania nieświadomie pokazywał, w jak groźną głębinę się zapadł.

W tejże chwili, gdy Daggoo na szczycie głowy rozplątywał linę, która gdzieś zaczepiła się o wielkie bloki – usłyszano ostry trzask i ku niewymownemu przerażeniu wszystkich obecnych jeden z dwóch ogromnych haków, na którym głowa była uciepiona, wydarł się z niej i olbrzymia masa, drgając potężnie, zwiśla bokiem, aż statek zatoczył się jak pijany i zatrząsł, jakby weń ugodziła góra lodowa. Jedyny pozostały hak, który utrzymywał teraz cały ciężar, mógł w każdej chwili puścić, co byłoby prawdopodobniejsze, że głowa gwałtownie się poruszał.

– Złaź, złaź! – ryczeli marynarze do Daggoo, ale Murzyn uciepiony jedną ręką u ciężkich bloków, tak że zawisłby w powietrzu, nawet gdyby głowa spadła, uwolnił zaplątaną linę i wepchnął wiadro w zapadniętą studnię, żeby pogrzebany harpunnik mógł je uchwycić i w ten sposób dać się wyciągnąć na wierzch.

– Na litość boską, człowieku! – krzyknął Stubb. – Co ty wyrabiasz? Ładujesz nabój do lufy czy co? Stój! Nic nie pomożesz waląc mu na łeb okute wiadro! Stój, mówię ci!

– Uciekaj od bloków! – ryknął jakiś głos niby trzask wybuchającej rakiety.

Niemal w tej samej chwili olbrzymia masa runęła z piorunowym hukiem w morze, niczym Skala Stołowa opadająca w wirowisko Niagary. Nagle odciążony statek odchylił się gwałtownie w tył, ukazując lśniące blachy miedziane okrywające dół kadłuba, a wszyscy zatrzymali dech w piersiach, gdy poprzez gęstą kurzawę pian niewyraźnie dojrzano uciepionego u rozchwianych bloków Daggoo, kołyszącego się to ponad wodą, to nad głowami marynarzy, podczas gdy nieszczęsny, żywcem pogrzebany Tasztego osuwał się nieuchronnie na dno morza! Zaledwie jednak opadła oślepiająca mgławica, ujrano na jedno mgnienie oka nagą postać, która z mieczem wielorybniczym w dłoni przelatywała nad burtą. W następnym momencie rozgłośny plusk oznajmił, że mój dzielny Queequeg skoczył na pomoc. Zwartą cizbą rzucono się do burty; wszystkie oczy śledziły każdą bańkę na wodzie; chwila mijała za chwilą, a tonącego i nurka nie było ni śladu. Kilka ludzi skoczyło teraz do szalupy i odbiło nieco od statku.

– Ha! ha! – krzyknął nagle Daggoo ze swej wiszącej grzędy, która już przestała się kołysać. Wychyliliśmy się mocniej przez burtę i ujraliśmy rękę wytkniętą prosto z błękitnej toni; widok to był równie niezwykły, jak ramię wysunięte z trawy porastającej mogiłę.

– Obaj! Obaj! Są obaj! – ryknął znowu radośnie Daggoo i wkrótce ujrano Queequega śmiało odgarniającego wodę jedną ręką, drugą zaś dzierżącego długie włosy Indianina. Wciągnięto ich na czekającą już łódź i szybko przewieziono na pokład, ale Tasztego długo nie mógł odzyskać przytomności, a i Queequeg nie wyglądał zbyt rześko.

Jakże dokonał on tego szlachetnego dzieła ratunku? Otóż nurkując za powoli opadającą głową, zadał ostrym mieczem kilka ukośnych cięć w pobliżu jej dna, aby wyrąbać tam dużą dziurę; następnie, odrzuciwszy broń, wpełznął w głąb i ku górze swoje długie ramię w ów otwór i wywlókł za głowę biednego Taztega. Utrzymywał, że za pierwszym razem natrafił na nogę; wszelako wiedząc dobrze, iż nie jest to tak, jak być powinno, i może nastreczyć wiele kłopotu, wpełznął tę nogę z powrotem i zręcznym przrzutem przekręcił Indianina, tak że za następną próbą wydostał go starym, dobrym sposobem – głową naprzód. A ta druga, wielka głowa sprawiała się tymczasem nie gorzej, niż można się było spodziewać.

Tak więc dzięki odwadze oraz wielkiej biegłości Queequega w położnictwie przeprowadzono pomyślnie oswobodzenie albo raczej poród Taztega, i to pośród najbardziej niesprzyjających i pozornie beznadziejnych okoliczności, co jest lekcją, której żadną miarą zapomnieć nie wolno. Położnictwa winno się uczyć tak samo, jak fechtunku i boksu, jazdy konnej i wiosłowania.

Wiem, że ta osobliwa przygoda Gay-Headera z całą pewnością wyda się niewiarygodna niektórym ludziom z lądu, choć przecie oni sami zapewne widzieli albo słyszeli, że ktoś na ładzie wpadł do cysterny; jest to wypadek, który zdarza się nierzadko i z uzasadnieniem o wiele mniejszym niż ten, zwłaszcza jeśli się zważy niezwykłą śliskość krawędzi owej studni kaszalota.

Ale a nuż mnie ktoś mądrze zagadnie, jak to było możliwe? Sądziłszy, że utworzona z komórek, przesycona tłuszczem głowa kaszalota jest najlżejszą, najbardziej korkowatą jego częścią; a przecie każesz jej tonąć w żywiole o znacznie większym ciężarze właściwym. Tu cię mamy! Bynajmniej – to ja mam was, albowiem w chwili gdy biedny Taztego zleciał do pudła, było ono prawie całkowicie opróżnione ze swej lżejszej zawartości; pozostały już niemal tylko zbite, ścięgnowate ściany studni, utworzone, jak już powiedziałem, z wielce spoistej, kowanej substancji, o wiele cięższej od wody morskiej, w której każdy ich kawał tonie prawie jak ołów. Wszelako tendencji do zbyt szybkiego tonięcia przeciwdziałał fizycznie w tym wypadku fakt, że inne części głowy nie były jeszcze od niej oddzielone, wskutek czego opadała rzeczywiście bardzo powoli i statecznie, dając Quee-quegowi wyborną sposobność dokonania, można powiedzieć, w ruchu, zręcznych zabiegów położniczych. Tak, był to w istocie ruchomy poród.

Gdyby zaś Taztego zginął wewnątrz tej głowy, byłaby to śmierć wielce wspaniała; udusiłby się w najbielszym, najczystszy, wonnym olbrocie; spocząłby w trumnie, na katafalku i w grobowcu sekretnej, wewnętrznej komnaty, *sanctum sanctorum* wieloryba. Można łącznie przypomnieć tylko jeden słodszy zgon – rozkoszną śmierć pewnego pszczelarza z Ohio, który w dziupli drzewa znalazł tak niebywały zapas miodu, że przechyliwszy się za daleko, wleciał weń i zmarł zabalsamowany. Jak wam się zdaje, iluż to ludzi wpadło w ten sposób w miodową głowę Platona i tam zginęło pośrodku słodkości?

## ROZDZIAŁ LXXIX

### PRERIA

Zbadanie linii na obliczu tego Lewiatana czy też obmacanie guzów jego głowy – oto zadanie, którego nie podjął się dotąd żaden fizjonomista ani frenolog. Tego rodzaju przedsięwzięcie wydaje się równie obiecujące, jak dla Lavatera przestudiowanie zmarszczek na skale gibraltarskiej czy dla Galia włożenie po drabinie celem manipulowania około kopuły Panteonu. A jednak w swoim słynnym dziele Lavater nie tylko traktuje o twarzach ludzkich, ale też pilnie studiuje oblicza koni, ptaków, wężów i ryb, rozwodząc się szczegółowo nad dającymi się na nich odróżnić zmianami wyrazu. Również i Gall oraz jego uczeń, Spurzheim, nie omieszkali dorzucić kilku uwag o frenologicznych cechach innych stworzeń niż człowiek. Dlatego też, choć słabe mam kwalifikacje na pioniera w stosowaniu do wieloryba owych dwóch pseudonauk, przecie uczynię taką próbę. Próbuję bowiem wszystkiego, a osiągam to, co potrafię.

Pod względem fizjonomistycznym kaszalot jest anomalią. Nie ma właściwego nosa. A ponieważ nos jest centralnym i najbardziej widocznym z rysów, ponieważ najdobitniej zmienia i koniec końców przesądza o ich łącznej ekspresji, przeto zdawałoby się, że całkowity brak tego zewnętrznego dodatku musi w znacznym stopniu wpływać na wyraz oblicza wieloryba. Jak bowiem w układzie krajobrazu za jego niemal niezbędne wykończenie uważa się jakąś wieżycę, kopułę, pomnik czy basztę, tak też i żadna twarz nie może być fizjonomistycznie harmonijna bez wyniosłego motywu dzwonnicy nosa. Odbijcie nos marmurowemu Jowiszowi Fidiasza, a jakaż smutna resztką pozostanie! Niemniej jednak Lewiatan jest tak potężnych rozmiarów, proporcje jego są tak okazałe, że ten sam brak, który byłby ohydny w posągu Jowisza, w nim nie jest bynajmniej skazą. Przeciwnie, dodaje mu jeszcze wspaniałości. Nos u wieloryba byłby impertynencją. Gdy odbywając swoją fizjonomistyczną podróż opływacie czółnem ową głowę olbrzymią, waszym szlachetnym wyobrażeniom o wielorybie nigdy nie uwłacza refleksja, że ma on nos, za który można by go pociągnąć. Jest to myśl natrętna, która często narzuca się uparcie nawet wówczas, kiedy oglądamy najpotężniejszą królewską kukłę zasiadającą na tronie.

Pod pewnymi względami może najbardziej imponujący fizjonomistycznie aspekt kaszalota to widok jego głowy prosto od frontu. Jest on wręcz wzniosły.

Piękne ludzkie czoło pogrążone w zadumie przypomina wschodnią część nieba zasępioną o brzasku. Wśród spokoju pastwiska pofałdowane czoło byka ma w sobie nutę wielkości. Czoło słonia, pchającego ciężkie działo poprzez górskie przesmyki, jest majestatyczne. Ludzkie czy też zwierzęce, to czoło tajemnicze jest niby wielka złota pieczęć, którą cesarze niemieccy przykładali na swoich dekretach. Znaczy ona: „Boże, uczyniono dnia dzisiejszego ręką moją.” Ale u większości stworzeń, zaiste i u samego człowieka, czoło bardzo często jest ledwie pasemkiem alpskiej krainy leżącym wzdłuż linii śniegów. Nieliczne są takie czoła, jak Szekspira czy Melanchtona, które wynoszą się tak wysoko, a zstępują tak nisko, że same oczy są niby czyste, odwieczne, spokojne jeziora górskie, a powyżej nich, w zmarszczkach na czole można, zda się, wytropić

rogate myśli, schodzące tam do wodopoju, podobnie jak łowcy górscy tropią po śniegu jelenia. Ale u wielkiego kaszalota owa wysoka, potężna i boska godność, właściwa czołu, jest tak ogromnie zwiększona, że kiedy na nią patrzeć wprost, wyczuwa się bóstwo i straszliwe moce o wiele silniej niż oglądając jakikolwiek inny przedmiot w żywej przyrodzie. Nie widzi się bowiem właściwie żadnego poszczególnego punktu; ani jeden wyraźny rys nam się nie ujawnia; nie ma tam nosa ni oczu, ni uszu czy warg, nie ma twarzy, bo też kaszalot jej nie posiada; nic, prócz tego jednego szerokiego firmamentu czoła, pofałdowanego zagadkami, niemo grożącego zatrąta łodziom i statkom, i ludziom. Z profilu nie maleje owo czoło zadziwiające, chociaż od tej strony jego potęga już nas tak nie przytłacza. Z profilu wyraźnie dostrzegacie owo poziome, półsierpowate zagłębienie pośrodku czoła, które Lavater uważa u człowieka za znamię geniuszu.

Ale jakże to? Geniusz u kaszalota? Czyż kaszalot kiedykolwiek napisał książkę, wygłosił przemówienie? Nie, jego wielki geniusz objawia się w tym, że kaszalot nie czyni nic szczególnego, by dowieść jego istnienia. Co więcej, objawia się on w jego piramidowym milczeniu. To zaś nasuwa mi myśl, że gdyby wielki kaszalot był znany młodemu światu Wschodu, zapewne owe dziecinne zabobonne umysły uczyniłyby go bóstwem. Ubóstwiają tam krokodyla z Nilu, ponieważ nie posiada języka, kaszalot zaś również go nie ma, a przynajmniej jest on tak niezwykle mały, że nie może wysuwać się na zewnątrz. Gdyby jakikolwiek wysoce kulturalny, poetyczny naród chciał kiedyś przywrócić radosnych, majowych bogów z czasów starożytnych do przyrodzonych im praw, gdyby ich znowu chciał żywcem intronizować na samotne już teraz niebiosy, na wzgórze obecnie opustoszałe — wówczas, bądźcie tego pewni, wyniesion na wysoki tron jowiszowy, królować tam będzie wielki kaszalot.

Champollion odcyfrował kręte granitowe hieroglify. Ale nie ma Champolliona, który by odcyfrował Egipt twarzy każdego człowieka i każdej istoty. Fizjonomistyka, jak wszelka inna ludzka wiedza, to jedynie przemijająca bajka. Skoro więc sir William Jones, który czytał w trzydziestu językach, nie umiał wyczytać w twarzy najprostszego wieśniaka głębszej, subtelniejszej treści, to jakże nieuczony Izmael może mieć nadzieję odczytać ów straszliwy chaldejski język czoła kaszalota? Ja tylko przedkładam to czoło wam. Odczytajcie je, jeżeli potraficie.

## ROZDZIAŁ LXXX

### MAKÓWKA

O ile, fizjonomistycznie rzecz biorąc, kaszalot jest sfinksem, to frenologowi mózg jego wyda się owym geometrycznym kołem, którego kwadratury dokonać nie sposób.

U zwierza w pełni wyrośniętego czaszka mierzy co najmniej dwadzieścia stóp długości. Odejmycie dolną szczękę, a czaszka, widziana z boku, będzie przypominała lekko pochyły hebel stolarski, spoczywający całą długością na poziomej płaszczyźnie. Ale za życia – jakieśmy to gdzie indziej widzieli – ten pochyły hebel jest kanciasto dopełniony do kształtu niemal prostokątnego przez leżącą na nim olbrzymią masę płata i olbrotu. U góry czaszka tworzy krater, w którym osadza się odpowiednia część masy, a pod długim dnem tego krateru – w innym wydrążeniu rzadko przekraczającym dziesięć cali długości i tyleż głębokości – spoczywa mała garstka mózgu owego potwora. Za życia zwierza mózg znajduje się w odległości co najmniej dwudziestu stóp od zewnętrznej strony czoła, ukryty jest za jego obszernymi bastionami niby centralna cytadela pośród rozległych fortyfikacji Quebeku. Utajony jest w nim, niczym najcenniejsza szkatułka, do tego stopnia, że znałem wielorybników, którzy stanowczo przeczyli, żeby kaszalot posiadał jakikolwiek inny mózg prócz owego uchwytnego pozoru mózgu, jakim są sześciennie łokcie jego magazynu olbrotu. Skłębiony w przedziwne fałdy, skręty i zwoje, wydaje się w ich pojęciu bardziej odpowiadać wyobrażeniu o całej potędze zwierza i dlatego uważają tę tajemniczą część za siedlisko jego mądrości.

Jasne jest więc, że z frenologicznego punktu widzenia głowa tego Lewiatana w nienaruszonym, żywym stanie naturalnym jest czymś całkowicie zwodniczym. Nie sposób wówczas dostrzec ani wyczuć w niej jakichkolwiek śladów prawdziwego mózgu. Wieloryb, jak wszystkie rzeczy potężne, nosi dla świata fałszywe oblicze.

Jeżeli wyładujecie z czaszki kaszalota stopy olbrotu i popatrzyście na nią od tyłu, czyli od wyższego końca, wówczas uderzy was jej podobieństwo do czaszki ludzkiej oglądanej w tym samym położeniu i z tego samego punktu widzenia. W istocie, położcie tę czaszkę tak odwróconą (i zmniejszoną do proporcji człowieka) wśród czaszek ludzkich, a mimo woli pomiesza się ona wam z nimi; zauważywszy zagłębienia na jednej części jej wierzchołka, powiecie słowami frenologa: „Ten człowiek nie ma poczucia własnej godności ani szacunku dla samego siebie”. I przez te dwie negacje, jeśli je rozważyć łącznie z pozytywnym faktem niesłychanego ogromu i siły kaszalota, najlepiej można sobie utworzyć najprawdziwszą, choć nie nazbyt wesołą koncepcję tego, czym jest wszechpotężna moc.

O ile jednak z rozmiarów właściwego mózgu kaszalota wnosicie, że go niepodobna należycie zbadać, to powiem wam co innego. Jeśli obejrzyście uważnie kręgosłup niemal każdego czworonoga, zauważycie uderzające podobieństwo jego kręgów do nanizanego na sznurek naszyjnika ze skarłowaciałych czaszek, jako że wszystkie kręgi odznaczają się szczątkowym podobieństwem do właściwej czaszki. To pomysł niemiecki, że kręgi są bezwzględnie niedorozwiniętymi czaszkami. Zdaje się jednak, że

Niemcy nie byli pierwszymi, którzy zauważyli owo ciekawe zew nętrzne podobieństwo. Wskazał mi je niegdyś pewien mój cudzoziemski przyjaciel na przykładzie szkieletu zabitego przez siebie wroga, którego kręgami wykładał, niby płaskorzeźbą, spiczasty dziób swojego czółna. Otóż uważam, że frenologowie popełnili poważne przeoczenie, nie posuwając swych badań od mózgowia wzdłuż stosu pacierzowego. Sądzę bowiem, że wiele cech charakteru człowieka odzwierciedla się w jego kręgosłupie. Już bym raczej wolał badać wasz stos pacierzowy, niż waszą czaszkę, bez względu na to, kim jesteście. Cienka belka kręgosłupa nigdy jeszcze nie podtrzymywała szlachetnej i silnej duszy. Cieszę się moim kręgosłupem jako krzepkim i zuchwałym drzewcem sztandaru, który na wpół rozwijam przed światem.

Zastosujcie tę kręgosłupową gałąź frenologii do kaszalota. Jama jego czaszki łączy się z pierwszym kręgiem szyjnym, zaś w owym kręgu kanał rdzeniowy mierzy u dołu dziesięć cali średnicy, a osiem wysokości, mając kształt trójkąta z podstawą zwróconą ku dołowi. Przechodząc przez pozostałe kręgi kanał zwęża się wprawdzie, ale na znacznej długości zachowuje jeszcze duży przekrój. Otóż ów kanał jest oczywiście wypełniony niemal tą samą co mózg, dziwnie włóknistą substancją – rdzeniem pacierzowym – i łączy się bezpośrednio z mózgiem. Co więcej, na długości wielu stóp po wydostaniu się z jamy mózgowej kanał rdzeniowy zachowuje niezmnieszony obwód, niemal równy obwodowi mózgu. Czyż więc w tym stanie rzeczy byłoby nierozsądne pomierzyć i zbadać frenologicznie kręgosłup kaszalota? W tym bowiem świetle zdumiewająca stosunkowa drobność jego właściwego mózgu jest więcej niż powetowana przez zdumiewającą stosunkową wielkość jego rdzenia pacierzowego.

Niech jednak ten pomysł podziała jak może na frenologów; ja tylko przyjmę na chwilę teorię kręgosłupową w związku z garbem kaszalota. Ów garb dostojny, jeśli się nie mylę, wznosi się ponad jednym z większych kręgów i z tego względu jest dlań do pewnego stopnia jakby wypukłą zewnętrzną pokrywą. Z uwagi na jego tak uwarunkowane położenie nazwałbym więc ten wyniosły garb organem stanowczości i nieposkromienia u kaszalota. A że ów wielki potwór jest nieposkromiony, o tym będziecie się jeszcze mogli przekonać.

## ROZDZIAŁ LXXXI

### „PEQUOD” SPOTYKA „DZIEWICĘ”

Los zrządził, że pewnego dnia spotkaliśmy statek „Jungfrau” z Bremy, płynący pod dowództwem kapitana Dericka De Deer.

Dwa niegdyś największe narody wielorybnieze świata, Holendrzy i Niemcy, zaliczają się dziś do najpośledniejszych; jednak tu i ówdzie można jeszcze na odległych częściach Pacyfiku spotkać od czasu do czasu ich banderę.

Z jakiejś przyczyny „Jungfrau” bardzo widać pragnęła złożyć nam swoje uszanowanie. Już na pewnej odległości od „Pe-quoda” zatrzymała się i opuściła szalupę, która poniosła w naszą stronę kapitana niecierpliwie stojącego na dziobie miast na rufie.

– Cóż on trzyma w ręce? – zawołał Starbuck wskazując jakiś przedmiot, którym Niemiec wywijał. – Niemożliwe! Zbiornik od lampy!

– Gdzie tam! – odparł Stubb. – Nie, nie, panie Starbuck, to dzbanek od kawy. Ten szwab przyjeżdża nagotować nam jej trochę. Widzisz pan tę wielką blaszankę koło niego? To gotowana woda. Zacny chłop z tego Niemca!

– A idźże pan! – zawołał Fiask. – To zbiornik od lampy i blaszanka po oleju. Skończył mu się olej i dlatego przebywa po prośbie.

Choć może się to wydać osobliwe, żeby statek tłuszczowy pożyczał tłuszczu na terenie wielorybniczym, i jakkolwiek fakt ten potwierdza stare przysłowie, że szewc bez butów chodzi, przecie czasami rzecz taka istotnie się zdarza, a w tym przypadku kapitan Derick De Deer, jak to oświadczył Fiask, wiozł niewątpliwie zbiornik od lampy.

Gdy wszedł na pokład, Ahab obcesowo go zagadnął, nie bacząc wcale na to, co tamten trzyma w ręku; jednakże Niemiec łamanym językiem rychło dał dowód całkowitego braku wiadomości o białym wielorybie i natychmiast skierował rozmowę na swój zbiornik i blaszankę, czyniąc kilka uwag o tym, jak się musi przewracać nocą na hamaku w głębokich ciemnościach, ponieważ wyszła mu już ostatnia kropla oleju z Bremy, a nie ułowił dotąd nawet latającej ryby, która by uzupełniła te braki. Zakończył dając do zrozumienia, że jego statek jest rzeczywiście tym, co w rybołówstwie nazywa się fachowo statkiem czystym (to znaczy próżnym) dobrze zasługującym na swą nazwę „Jungfrau”, czyli „Dziewicy”.

Uzyskawszy, czego mu było potrzeba, Derick odpłynął; jednak nie zdążył jeszcze dotrzeć do swego statku, gdy z masztów obu żaglowców spostrzeżono niemal równocześnie kaszaloty. Derick tak zajadle pragnął coś upolować, że nie zatrzymawszy się nawet, by oddać na pokład zbiornik i blaszankę, zakręcił łodzią i ruszył za lewiatańskimi zbiornikami do lamp.

Ponieważ zwierzyna ukazała się od zawietrznej, Derick wraz z trzema innymi łodziami niemieckimi, które szybko za nim podążyły, znacznie wyprzedził szalupy „Pequoda”. Wielorybów było osiem, czyli przeciętne stado. Świadome niebezpieczeństwa szły z wiatrem jeden obok drugiego z ogromną szybkością, ocierając

się o siebie bokami niby konie w zaprzęgu. Pozostawiały w tyle ogromny, szeroki wart, jakby ktoś nieprzerwanie odwijał na morzu wielki, szeroki zwój pergaminu.

Pośrodku owego bystrego warty, na wiele sążni w tyle, płynął olbrzymi, garbaty, stary byk, który wnosząc ze stosunkowo wolnego tempa oraz niezwykłych, żółtawych zeskorupień, jakie go pokrywały, musiał chyba cierpieć na żółtaczkę czy jakąś inną chorobę. Wydawało się wątpliwe, żeby ten wieloryb należał już przedtem do stada, bowiem takie czcigodne Lewiatany nie mają zwyczaju żyć towarzysko. Niemniej trzymał się warty tamtych wielorybów, choć wzburzona po ich przejściu woda musiała opóźnić jego pochód, gdyż białe piany i fale wokół szerokiej paszczy bryzgały podobnie jak wówczas, gdy dwa przeciwne prądy natykają się na siebie. Jego fontanna była krótka, ociężała i mozolna; wzbijała się jakby zdławionym wytryskiem i opadała poszarpana na strzępy, po czym wielorybem miotały jakoweś dziwne, podziemne wstrząsy, znajdujące snadź ujście u drugiego, ukrytego końca jego cielska, jako że woda kotłowała się za nim gwałtownie.

– Kto tam ma trochę opium? – zapytał Stubb. – Obawiam się, że boli go brzuch. O Boże! Pomyślcie tylko: mieć pół akra bólu brzucha! Przeciwnie wiatry hulają w nim, chłopcy. To pierwszy zły wiatr wiejący z rufy, o jakim słyszałem. Ale patrzajcie: czyż kiedykolwiek wieloryb zbaczał tak z kursu? Ani chybi, musiał zgubić rumpel.

Jak przeładowany statek handlowy, mknący ku wybrzeżom Hindustanu z pokładem pełnym wystraszonych koni, przewala się, nurza, kołysze i pławi po drodze, tak i ten stary wieloryb dźwigał swe sędziwe cielsko, a od czasu do czasu, przewracając się niezdarnie na bok, ukazywał przyczynę krętości szlaku, jaki kreślił, a mianowicie nienaturalny kikut swej prawobocznej płetwy. Trudno by orzec, czy ją postradał w walce, czy też się bez niej urodził.

– Zaczekaj nieco, stary, już ja ci dam temblak na tę ranną rękę! – zawołał okrutny Fiask wskazując leżącą obok linę od harpuna.

– Uważaj pan, żeby sobie z niej nie zrobił procy na was! – odkrzyknął Starbuck. – Pchajmy się, bo Niemiec go weźmie.

Jednym wiedzione zamiarem wszystkie współzawodniczące ze sobą szalupy skierowały się ku tej jednej rybie, ponieważ była nie tylko największa, i przez to najcenniejsza, ale też znajdowała się najbliżej, a co więcej, inne wieloryby płynęły z tak ogromną chyżością, że na razie niemal urągały pościgowi. Łodzie „Pequo-da” przemknęły już obok trzech szalup niemieckich spuszczonej na statku, ale łódź Dericka nadal prowadziła pościg ze względu na znaczną przewagę, jaką zyskała na początku, choć z każdą chwilą zbliżali się do niej cudzoziemscy rywale. Jediną rzeczą, jakiej się lękali, była możliwość, że Derick, znajdujący się tak blisko celu, będzie mógł rzucić swoje żelazo, zanim go dościgną i miną. On natomiast był widać zupełnie pewny, że tak się stanie w istocie, i od czasu do czasu potrząsał szyderczo zbiornikiem od lampy w stronę pozostałych łodzi.

– A gruboskórny, niewdzięczny pies! – krzyknął Starbuck. – Szydzi sobie ze mnie i urąga tą samą puszką żebraczą, którą mu napełniłem pięć minut temu! – A po chwili dorzucił swym zwykłym, pełnym napięcia szeptem: – Wiosłować, charty! Za nim!

– Coś wam powiem, chłopcy! – zawołał Stubb do swej załogi. – Religia moja zabrania wpadać we wściekłość, ale chętnie bym pożarł tego parszywego szwaba! Wiosłujcież przecie! Czyż. pozwolicie, żeby ten łajdak was pobił? Lubicie wódkę? Więc garniec wódki dla najlepszego wioslarza! Nuże, dlaczego żadnemu jeszcze żyły nie pękły? Któryż tam zrzucił kotwicę z tej szalupy – przecież się na cal nie ruszamy, stoimy w miejscu! Patrzcie tylko, na dnie łodzi trawa już porasta – przebóg, maszt tu zaczyna kiełkować! Tak to na nic, chłopcy! Patrzcie na tego szwaba. Krótko mówiąc, pluniecie ogniem, czy nie?

– Spójrzcie, jak się za nim mydli woda! – wrzeszczał Fiask podskakując w łodzi. – Co za garb! Najedźcież na tego byka! Leży jak kłoda! O, chłopcy, walcie naprzód – placki i małże na kolację – pieczone ślimaki i racuchy – ho, skaczcie za nim – to stubeczkowiec – nie puszczać go teraz – nie, nie! Widzicie Niemca? Zaróbcie sobie na pudding, chłopaki! Cóż to za beczka, co za mokradło! Lubicie olbrot? Tam go płynie za trzy tysiące dolarów, ludzie! Bank! Cały bank! Bank angielski! Och, dalej, dalej, dalej! A cóż to znowu robi ten szwab?

W tej chwili Derick cisnął właśnie zbiornik i blaszankę w stronę nadpływających łodzi, być może w podwójnym celu: opóźnienia pogoni rywali, a jednocześnie zapobiegliwszego przyspieszenia własnej, dzięki chwilowemu pchnięciu od rufy.

– A, grubiański holenderski śledź! – krzyknął Stubb. – Pchajcie się teraz, ludzie, jak sto tysięcy okrętów liniowych pełnych rudych szatanów! Co byś powiedział, Tasztego? Potrafisz połamać sobie kręgosłup na dwadzieścia dwa kawałki dla honoru starego Gay-Head? Co na to powiesz?

– Powiem: wiosłować jak sto piorunów! – odkrzyknął Indianin.

Trzy szalupy „Pequoda”, równie wściekle podjudzone szyderstwami Niemca, poczęły się teraz formować niemal w jeden rząd i w tym szyku natychmiast się do niego zbliżyły. Trzej oficerowie stanęli dumnie we wspaniałej, swobodnej, rycerskiej postawie dowódcy, który zbliża się do swej ofiary; od czasu do czasu rzucali za siebie tylnemu wiosłarzowi radosny okrzyk: – Tam teraz sunie! Hura, wiwat jesionowe wiosła! Precz ze szwabem! Przejechać po nim!

Derick zyskał jednak z początku tak zdecydowaną przewagę, że mimo całej ich dzielności zostałby zwycięzcą w tym wyścigu, gdyby nie spadła nań sprawiedliwa kara pod postacią kraba, który uczeplił się pióra jego środkowego wiosła. Gdy niezdarne drągał, który nim władał, próbował uwolnić jesionową deskę, na skutek czego łódź Dericka omal się nie wywróciła, sam zaś kapitan grzmiał na swych ludzi okropną uniesiony wściekłością – nadeszła dla Starbucka, Stubba i Fiaska odpowiednia chwila. Z krzykiem rzucili się naprzód i zakosem zrównali z szalupą Niemca. W następnym momencie wszystkie cztery łodzie znalazły się na przekątnej wartu wieloryba, tuż za płynącym zwierzem; po obu ich stronach rozbryzgiwały się pienne bałwany, które ten za sobą zostawiał.

Był to widok straszliwy, żaloszny i obłądny. Wieloryb płynął teraz z podniesioną głową wyrzucając przed siebie wydmuchy ustawicznymi, udręczonymi tryśnięciami, zaś jedna nieszczęsna płetwa waliła go po boku w męce przerażenia. Zbaczał to w jedną, to znowu w drugą stronę, uciekając niepewnie, a za każdym rozbitym przez siebie

bałwanem zapadał się spazmatycznie w morzu lub też przewracając na bok wznosił ku niebu swą jedyną ruchomą płetwę. Podobnie widziałem ptaka z podciętymi skrzydłami, kreślącego w powietrzu przerażone, łamane koła w daremnym usiłowaniu wymknięcia się pirackim sokołom. Ale ptak ma głos i żalosnymi krzykami oznajmia o swoim lęku, natomiast strach tej olbrzymiej, niemej bestii był w niej zakłęty i zakuty w łańcuchy; nie wydawała żadnego głosu, prócz zdławionego oddechu przez nozdrza i to właśnie sprawiało, że widok jej był tak przejmująco żalospny, choć niebawym ogrom zwierzęcia, jego zębata paszcza i wszechpotężny ogon wystarczały przecie, by przerazić najsilniejszego człowieka, który by się nad nim litował.

Widząc teraz, że dość będzie kilku chwil, aby łodzie „Pequoda” uzyskały przewagę, Derick, nie chcąc być pozbawionym zdobyczy, postanowił, zanim ostatnia szansa pierzchnie na zawsze, zaryzykować rzut, który wydawał mu się niepospolicie długi.

Ale ledwie jego harpunnik wstał do ciosu, wszystkie trzy tygrysy – Queequeg, Tasztego i Daggoo – instynktownie zerwały się na nogi i stojąc skośnym szeregiem jednocześnie wycelowały groty; ciśnięte ponad głowę harpunnika niemieckiego ich trzy nantucketańskie żelaza wbiły się w wieloryba. Buchnęła oslepiająca mgła pian i bryzgów wodnych. W pierwszej furii skoku rzucającego się łbem naprzód zwierza trzy łodzie odtrąciły na bok szalupę niemiecką z taką siłą, że i Derick, i jego osłupiały harpunnik wypadli za burtę, a trzech rywale minęli ich w pędzie.

– Nie bójcie się, pludraki! – krzyknął Stubb rzucając na nich przelotne spojrzenie, w chwili gdy śmigał obok. – Zaraz was wyłowią... W porządku... Widziałem w tyle kilka rekinów – takie psy św. Bernarda, wiecie, co to ratują podróżników w opresji. Hura! Tak trzeba wiosłować! Każda łódź niby promień słońca! Hura! Lecimy jak trzy cynowe puszkę uwiązane do ogona wściekłego kuguara! To tak, jakby ktoś zaprzął na równinie słońca do kariolki – dopieroż to szprychy kół latają, jak się tak do niego ucześcić. A można też i wypaść, gdy się najedzie na kamień. Hura! Tak właśnie czuje się marynarz, gdy idzie do Davy Jonesa – leci w dół po nieskończonej pochylni! Hura! Ten wieloryb pędzi jak z pocztą!

Ale ucieczka wieloryba nie trwała już długo. Sapał nagle i znurkował burzliwie. Trzy liny chrobocząc poczęły się odwijać z pacholek z taką siłą, że żłobiły w nich głębokie bruzdy; harpunnicy lękali się, żeby owo szybkie nurkowanie rychło nie wyczerpało zapasu lin, toteż używając całej swej zręczności i siły, po kilkakroć chwyтали dymiące zwoje liny, aby ją przytrzymać, aż wreszcie dzięki pionowemu ciągnięciu w dół za wybite blachą ołowianą korytka dziobowe, z których owe trzy liny biegły już prosto w wodę, nadburcia u dziobów zanurzyły się niemal całkowicie, natomiast trzy rufy podniosły wysoko w górę. Ponieważ wieloryb wkrótce przestał się dalej zagłębiać, łodzie pozostały przez jakiś czas w tej pozycji, mimo że położenie było dość ryzykowne; obawiano się jednak wypuszczać więcej lin. Ale choć zdarzało się, że szalupy bywały w ten sposób wciągnięte w głębinę i ginęły, jednakże właśnie owo „przytrzymywanie”, jak je nazywają, owo zawieszenie żywego ciała wieloryba na ostrych zadziórach harpuna często tak dręczy Lewiatana, iż zmusza go do ponownego wypłynięcia na spotkanie ostrej lancy wroga. Natomiast nie mówiąc już o niebezpieczeństwach, jakie to nastęca, wątpić należy, czy ten system jest zawsze najlepszy; można bowiem nie bez racji

przypuszczać, że im dłużej rażony wieloryb pozostanie pod wodą, tym bardziej go to wyczerpie.

Z uwagi bowiem na olbrzymią jego powierzchnię – niemal 2000 stóp kwadratowych u rozrośniętego kaszalota – ciśnienie wody jest ogromne. Wszystkim nam wiadomo, pod jakim zdumiewającym ciężarem atmosferycznym sami się znajdujemy, nawet tu, na ziemi, na powietrzu; jakie więc ogromne jest brzemie wieloryba, noszącego na grzbiecie słup dwustu sążni oceanu! Musi się on równać co najmniej ciśnieniu pięćdziesięciu atmosfer. Pewien wielorybnik obliczył, że odpowiada to ciężarowi dwudziestu liniowców wojennych ze wszystkimi działami, zapasami i całą załogą.

Gdy trzy szalupy spoczywały tak na łagodnie kołyszącym się morzu zaglądając w jego wieczyście błękitne południe, gdy żaden jęk czy jakikolwiek krzyk, ba, nawet żadna zmarszczka lub bańka powietrza nie dobywała się z głębin – któryż z ludzi lądu pomyślałby, że pod całą tą ciszą i spokojem najpotężniejszy potwór mórz wije się i skręca w męczarni! U dziobów łodzi nie było widać więcej, jak osiem cali pionowo w dół biegnącej liny. Czyż to do wiary, żeby na trzech tak wątłych niciach zawieszony był olbrzymi Lewiatan, niby potężne wahadło ośmiodniowego perpendykułu? Zawieszony? I u czego? U trzech kawałków desek. Czyliż to ta sama istota, o której ongiś tak tryumfalnie powiedziano: „Zali możesz skórę jego kolczastymi najeżyć groty, a głowę jego dzidami? Miecz onego, który się nań targnie, zdzierzyć nie może, ni włócznia, oszczep, czyli też kolczuga; żelazo słomką mu jest; przed strzałą nie pierzchnie, a spisy za ciernie uważa; śmieje się, gdy włócznią nad nim potrząsają!” To ta istota? Onże to? O, nie spełniają się słowa proroków! Albowiem mając siłę tysiąca ud w swym ogonie, Lewiatan zemknął, by schronić głowę popod góry morza i ukryć się przed lancami „Pequoda” !

W ukośnie padających, popołudniowych promieniach słońca, cienie, które trzy łodzie rzucały w głąb wód, były zapewne dość długie i szerokie, by okryć pół armii Kserksesa. Któż potrafi powiedzieć, jak bardzo musiały przerażać ранnego wieloryba takie olbrzymie zjawy migające mu ponad głową!

– Uwaga, chłopcy, rusza się! – zawołał Starbuck, gdy nagle trzy liny zawibrowały w wodzie, wyraźnie przenosząc w górę, ku ludziom, niby magnetycznymi drutami, drgawki zmagającego się na śmierć i życie wieloryba, tak że każdy wioślarz wyczuł je na swojej ławce. W następnej chwili łodzie, w znacznej mierze uwolnione od ciągnięcia w dół za dzioby, szarpnęły się nagle ku górze, niby kra lodowa, kiedy przepłoszyć z niej w morze zbite stadko białych niedźwiedzi.

– Wybierać linę! Wybierać linę! – znowu zakrzyknął Starbuck. – Wypływa!

Liny jeszcze przed chwilą tak napięte, że nie sposób by było podciągnąć je choćby na dłoń, poczęto teraz odrzucać na tył łodzi długimi, szybkimi zwojami, z których ociekała woda, i wkrótce wieloryb wynurzył się o dwie długości statku od łowców.

Ruchy jego wyraźnie zdradzały najwyższe wyczerpanie. U większości zwierząt lądowych istnieją w licznych żyłach pewnego rodzaju zawory czy śluzy, dzięki którym w wypadku zranienia odpływ krwi zostaje w różnych kierunkach do pewnego stopnia zamknięty bez zwłoki. Inaczej rzecz się ma z wielorybem, gdyż jedną z jego właściwości

jest to, że posiada całkowicie bez zastawkową budowę naczyń krwionośnych, toteż jego system tętniczy, przebity nawet tak niewielkim ostrzem jak harpun, rozpoczyna się natychmiast śmiertelnie opróżniać; jeżeli zaś potęguje to jeszcze nadzwyczajne ciśnienie wody na znacznej głębokości pod powierzchnią, wówczas można powiedzieć, że życie wylewa się ze zwierzęcia nieustannym strumieniem. Jednakże ilość krwi jest w nim tak ogromna, a wewnętrzne jej źródła tak odległe i liczne, że wieloryb może w ten sposób krwawić i krwawić przez znaczny okres czasu niby rzeka, co płynie wśród suszy, biorąc swój początek u źródła ukrytego wśród dalekich, niewidocznych gór. Nawet i teraz, kiedy szalupy sunęły na wieloryba, niebezpiecznie się zbliżając do rozchwianego ogona, za każdym ciosem lancy posoka bluzgała równomiernie z nowej rany nie ustając ani na chwilę, podczas gdy naturalny otwór wydechowy na głowie tylko z przerwami, choć bardzo krótkimi, wyrzucał z siebie przerażone tryśnięcia. Z tego otworu nie dobywała się jeszcze krew, jako że nie ugodzono dotąd żadnej żywotnej części wieloryba. Jego życie, jak się to znacząco nazywa, było jeszcze nie tknięte.

Ponieważ teraz łodzie ciasniej otoczyły wieloryba, można było dokładnie widzieć całą górną część jego ciała, która zazwyczaj znajduje się w znacznej mierze pod wodą. Ujrzano jego oczy, a raczej miejsca, gdzie były. Podobnie jak dziuple obalonych najwspanialszych dębów porasta dziwna, bezkształtna masa, tak też i z miejsc, w których niegdyś znajdowały się oczy wieloryba, sterczały teraz ośleple pęcherze, straszliwe i litość budzące. Ale tutaj litości nie było. Mimo sędziwego wieku, mimo swej jednej ręki i niewidzących oczu, musiał zemrzeć śmiercią i zamordowany zostać po to, by oświetlać wesołe zaręczyny tudzież inne ludzkie uciechy, a także iluminować dostojne kościoły, w których głosi się bezwarunkowy obowiązek nie czynienia krzywdy komukolwiek przez kogokolwiek. Ciągłe się pławiąc we własnej krwi ukazał wreszcie część widniejącego nisko na jego boku, dziwnie odbarwionego wybrzuszenia czy wypukłości, rozmiarów sporego worka.

– Ładne miejsce! – zawołał Fiask. – Niechże go tam raz ukłuję!

– Stój! – krzyknął Starbuck. – Już nie potrzeba!

Ale humanitarny Starbuck spóźnił się. W chwili ciosu bluznęła ropa z okrutnej rany, a wieloryb, ogarnięty męką nie do zniesienia, począł tryskać gęstą juchą i we wścieklej furii rzucił się na oślep ku szalupom opryskując je i ich tryumfujące załogi kaskadami posoki. Przewrócił łódź Fiaska i roztrzaskał jej dziób. Było to jego przedśmiertne uderzenie. Albowiem tak go już wówczas wyczerpała utrata krwi, że bezwładnie odsunął się od rozbitej przez siebie łodzi, przewalił dysząc na bok, bezsilnie zamachał kikutem płetwy, po czym powoli przetoczył się niby zanikający świat, ukazał białe tajniki swego brzucha, opadł jak kłoda i skonał. Ostatni jego wydmuch był niezmiernie żaloszny. Podobnie jak wtedy, gdy niewidzialne ręce stopniowo zamykają dopływ wody bijącej z jakiejś potężnej fontanny, a rozpylony jej słup, z na wespół zdławionym, melancholijnym bulgotem zniża się i zniża ku ziemi – tak właśnie trysnął ostatni, długi, zamierający wydmuch wieloryba.

Wkrótce potem, gdy łodzie oczekiwały na przybycie statku, ciało zaczęło zdradzać skłonność do zatonięcia wraz ze swymi wszystkimi nie splądrowanymi jeszcze skarbami. Natychmiast z rozkazu Starbucka przymocowano doń w różnych miejscach

liny, tak że niebawem każda z szalup stała się boją, a zanurzony wieloryb zawisł u lin na kilka cali pod nimi. Dzięki wielce ostrożnym manewrom dociągnięto go do boku statku, kiedy ten nadpłynął, i tam mocno przytwierdzono najtęższymi łańcuchami; było bowiem jasne, że cielsko, o ile się go sztucznie nie przytrzyma, natychmiast pójdzie na dno.

Zdarzyło się, że nieledwie za pierwszym rozcięciem wieloryba przy pomocy łopatką znaleziono u dołu owej przedtem opisanej wypukłości wrośnięty w ciało cały harpun zżarty przez rdzę. Ponieważ jednak w ciałach upolowanych wielorybów często się znajduje ułamki harpunów, a mięso wokoło nich jest całkowicie zagojone i żadna wypukłość nie zdradza miejsca, w którym tkwią, dlatego też w tym wypadku musiała z pewnością istnieć jakaś inna, nie znana przyczyna, która tłumaczyła owo zropienie. Ale jeszcze ciekawszy był fakt, że niedaleko od zagrzebanego w wielorybie harpuna znaleziono kamienny grot od włóczni, wokół którego mięso było już najzupełniej jędrne. Któż mógł cisnąć ową włócznię kamienną? I kiedy? Może rzucił ją jakiś Indianin z północo-zachodu na długi przed odkryciem Ameryki?

Trudno powiedzieć, jakie jeszcze cuda można było wyszperać w tym olbrzymim gabinecie osobliwości. Musiano bowiem raptownie przerwać dalsze poszukiwania, ponieważ statek ciągniony był na bok w morze z niebywałą siłą, a to z tej racji, że tendencja ciała do zatonięcia wzrastała w sposób ogromny. Jednakowoż Starbuck, który kierował akcją, nie puszczał go do ostatka a tak nieustępliwie, że wreszcie statek obaliłby się na bok, gdyby nadal jeszcze dzierżył cielsko w objęciach. Toteż gdy dano rozkaz, by się odeń uwolnić, nacisk na noki rej, do których przytwierdzono łańcuchy i liny, był już tak niewzruszony, iż nie sposób było zrzucić te ostatnie. Tymczasem wszystko na „Pequodzie” przyjęło ukośne położenie. Przejście na drugą stronę pokładu równało się włożeniu na stromy, spadzisty dach domu. Statek stękał i dyszał. Nienaturalne wywichnięcie wysadziło z miejsc wiele kościanych ozdób jego burt i kajut. Na próżno poznoszono hanzpugi i sztaby, żeby podważyć nimi niewzruszalne łańcuchy i zrzucić je z noków; wieloryb bowiem opadł już tak nisko, że nie można było dosięgnąć drugich końców lin, znajdujących się pod wodą. Wydawało się, że ciężar tonącej masy wzrasta z każdą chwilą o całe tony i że statek zaraz się przewróci.

— Wytrzymaj, wytrzymaj! — wrzeszczał Starbuck do trupa. — Nie spiesz się tak piekielnie z tonięciem! Do pioruna, ludzie, musimy coś zrobić, bo wszystko przepadnie. Nie ma co tam podwahać, dajcie pokój z tymi hanzpugami. Niech któryś leci po książkę do modlitwy i kozik i niech przecina te wielkie łańcuchy!

— Kozik? Tak, tak! — zwołał Queequeg i porwawszy ciężki topór ciesielski wysunął się przez otwór w burcie i począł rąbać największe łańcuchy dzwoniąc stalą o żelazo. Ledwie jednak zadał kilka ciosów, od których trysnęły iskry, a już olbrzymi ciężar dokonał reszty. Ze straszliwym trzaskiem puściły wszystkie więzy; statek wyprostował się, a martwe cielsko wieloryba zniknęło pod wodą.

Otóż takie nieuniknione zatonięcie świeżo ubitego kaszalota zdarza się od czasu do czasu i jest rzeczą wielce interesującą. Żaden poławiacz nie potrafił dotąd należycie tego wytłumaczyć. Zazwyczaj ubity kaszalot unosi się na wodzie z ogromną lekkością, bok zaś jego lub brzuch znacznie wystaje ponad powierzchnię. Gdyby jedynymi

wielorybami, jakie w ten sposób toną, były tylko stare, chuderlawe, przygnębione osobniki o zmniejszonej podściółce tłuszczowej, a kościach ciężkich i zreumatyzowanych, można by nie bez racji utrzymywać, że takie tonięcie spowodowane bywa przez niezwykle ciężar właściwy zapadającej się ryby, czego przyczyną jest brak owej lekkiej substancji. Tak jednak nie jest. Albowiem młode wieloryby cieszące się najlepszym zdrowiem, przepelnione szlachetnymi aspiracjami, przedwcześnie zgasły z gorącym rumieńcem życia w samej jego wiosnie, obficie pokryte sadłem – nawet te muskularne, bujne junaki idą czasami na dno.

Należy jednak nadmienić, że kaszalot jest o wiele mniej skłonny do podobnych wypadków niż jakikolwiek inny gatunek wieloryba. Na jednego kaszalota, jakiemu się to przydarzy, idzie na dno dwadzieścia wielorybów właściwych. Bez wątpienia taką różnicę należy w niemałym stopniu przypisać większej liczbie kości u wieloryba właściwego; same jego weneckie żaluzje ważą niekiedy ponad tonę. Od tego obciążenia kaszalot jest całkowicie wolny. Bywają jednak przypadki, że po upływie wielu godzin lub też kilku dni wieloryb wynurza się ponownie, jeszcze lżejszy niż za życia. Przyczyna tego jest oczywista. Powstają w nim gazy, rozdyma się do olbrzymich rozmiarów i staje czymś w rodzaju zwierzęcego balonu. Wówczas nawet wojenny okręt liniowy ledwie by go potrafił utrzymać pod sobą. Kiedy podczas połowów przybrzeżnych, na płycznach wśród zatok Nowej Zelandii, wieloryb właściwy zaczyna zdradzać skłonność do zatonięcia, przyczepia się doń boje z wielką ilością lin, tak że jeśli ciało pójdzie na dno, łowcy wiedzą, gdzie go szukać, gdy się ponownie wynurzy.

Niedługo po zatonięciu kaszalota, z masztów „Pequoda” doleciał krzyk oznajmiający, że „Jungfrau” znowu spuszcza szalupy, mimo że jedyna dostrzegalna fontanna wyrzucana była przez finwala należącego do gatunku wielorybów, które nie sposób ułoić z racji niewiarygodnej szybkości. Jednakże wydmuch finwala tak bardzo przypomina fontannę kaszalota, że często biorą go za nią niedoświadczeni rybacy. Na skutek tego Derick wraz z całą swoją czeredą wdał się teraz w dziarską pogoń za ową niedościgłą bestią. „Dziewica” rozwinąwszy wszystkie żagle gnała za swymi czterema młodymi łodziami i tak zniknęły nam z oczu daleko po zawietrznej, nie ustając w swym śmiałym i ufnyim pościgu.

O, wiele jest finwali i wielu Dericków, przyjacielu!

## ROZDZIAŁ LXXXII

### SZCZYTNOŚĆ I CHWAŁA WIELORYBNICTWA

Bywają takie przedsięwzięcia, w których właściwą metodą jest staranny bezład. Im bardziej się zagłębiam w zagadnienie wielorybnictwa, posuwając badania aż do samych jego źródeł, tym większe wywiera na mnie wrażenie ogromna szczytność i starodawność owego rzemiosła; w szczególności, gdy widzę, że tylu wielkich półbogów, herosów i proroków wszelkiego autoramentu w ten czy inny sposób okryło je dostojnością, odczuwam uniesienie na myśl, że ja sam, lubo niski rangą, do tak herbowej należę konfraterni.

Waleczny Perseusz, syn Jowiszowy, był pierwszym wielorybnikiem, i trzeba stwierdzić ku wieczystej chwale naszego zawodu, że pierwszy wieloryb, zaatakowany przez nasze bractwo, nie został ubity z jakowyś niskich pobudek. Były to czasy rycerskie naszego rzemiosła, kiedy chwytałyśmy za broń, by nieść pomoc uciśnionym, a nie po to, żeby napełniać ludziom zbiorniki do lamp. Każdy zna piękną historię Perseusza i Andromedy; każdy wie, jak to nadobną Andromedę, córkę królewską, przywiązano do skały na morskim wybrzeżu i właśnie w chwili, gdy miał ją porwać Lewiatan, wystąpił nieustraszony Perseusz, książę wielorybników, ubił harpunem potwora, oswobodził dziewicę i pojął ją za żonę. Był to wspaniały, artystyczny wyczyn, jakiego rzadko dokonują najlepsi harpunnicy naszych czasów, gdyż ów Lewiatan zabity został od pierwszego ciosu. I niechaj nikt nie powątpiewa w prawdziwość owej przedwiecznej historii, albowiem w starożytnej Joppie, obecnie Jaffie, na wybrzeżu syryjskim, przez wiele wieków stał w jednej z pogańskich świątyń olbrzymi szkielet wieloryba, o którym tamtejsze legendy oraz wszyscy mieszkańcy utrzymywali, że jest kośćcem tego samego potwora, którego zabił Perseusz. Kiedy Rzymianie zdobyli Joppę, szkielet ów poniesiono w triumfie do Italii. Rzeczą najosobliwszą, najważniejszą i wiele dającą do myślenia w całej tej historii wydaje się być fakt, że to właśnie z Joppy wypłynął na morze Jonasz.

Pokrewną przygodzie Perseusza i Andromedy – a nawet, jak sądzą niektórzy, z niej się pośrednio wywodząca, jest słynna historia św. Jerzego i smoka, który to smok, jak twierdzą, był wielorybem, ponieważ w licznych dawnych kronikach przedziwnie plątano wieloryby ze smokami i często występują one jeden w miejsce drugiego. „Jesteś jako lew wód, jako smok morza” – mówił Ezechiel mając tu najwyraźniej na myśli wieloryba; a i w istocie niektóre wersje Biblii tego właśnie używają słowa. Poza tym, ujęłoby wiele chwały samemu czynowi, gdyby św. Jerzy potykał się tylko z pełzającym gadem lądowym, miast podejmować walkę z wielkim potworem głębin. Pierwszy lepszy potrafił ubić węża, ale tylko taki Perseusz, taki św. Jerzy czy Coffin mają dosyć ducha, by śmiało natrzeć na wieloryba.

Niech nas nie zwodzą nowoczesne malowidła przedstawiające tę scenę, bo choć zwierza, z którym się potyka dzielny wielorybnik starożytny, wyobrażono mgliście pod postacią jakowegoś gryfa, choć walka odmalowana jest na lądzie, a sam święty dosiada rumaka, przecie zważywszy wielką ignorancję owych czasów, kiedy to prawdziwy

kształt wieloryba był artystom nie znany, a także zważywszy, że, jak w przypadku Perseusza, wieloryb św. Jerzego mógł wypełznąć z morza na brzeg, oraz że zwierzę, którego święty dosiada, mogło po prostu być sporą foką czy koniem morskim – z uwagi na to wszystko, nie będzie chyba całkiem sprzeczne ze świętą legendą i najdawniejszymi przedstawieniami tej sceny, jeśli się uzna, że tak zwany smok to nic innego, tylko sam wielki Lewiatan. W istocie, jeżeli tę samą historię zestawić ze ścisłą i nagą prawdą, wówczas stanie się z nią to samo, co z owym rybem, zwierzęciem i ptasim bóstwem Filistynów, imieniem Dagon, któremu, gdy go postawiono przed arką Izraela, odpadła końska głowa i obie dłonie, a pozostał jedynie kikut jego rybiej części. Tak więc jeden z naszego szlachetnego grona, również wielorybnik, jest opiekuńczym stróżem Anglii, a my, harpunnicy nantucketańscy, mamy dobre prawo zaciągnąć się do najdosłowniejszego zakonu św. Jerzego. I dlatego niechaj kawalerowie tego czcigodnego stowarzyszenia (z których żaden, ośmielę się twierdzić, nie miał do czynienia z wielorybem w przeciwieństwie do swego wielkiego patrona) nigdy nie spoglądają ze wzgardą na nantucketańczyka, ponieważ nawet w naszych wełnianych kurtach i usmolonych spodniach mamy o wiele lepszy tytuł do orderu św. Jerzego niż oni.

Długo miałem wątpliwości, czy należy przyjąć między nas Herkulesa, czy też nie, choć bowiem według mitologii greckiej ów starożytny Crockett i Kit Carson – ten krzepki sprawca wesołych, dobrych uczynków – został połknięty i wyrzucony przez wieloryba, jednakże można się spierać, czy ściśle biorąc czyni to zeń wielorybnik. Nigdzie nie powiedziano, żeby kiedykolwiek rzeczywiście ugodził harpunem rybę – chyba że od wewnątrz. Niemniej jednak można go poczytywać za coś w rodzaju wielorybnika mimo woli, jako że w każdym razie wieloryb go pochwycił, nawet jeżeli on nie pochwycił wieloryba. Żądam zaliczenia go do naszego klanu.

Jednakże najwybitniejsze przeciwne autorytety uważają, że owa grecka historia Herkulesa i wieloryba wywodzi się z jeszcze dawniejszej hebrajskiej historii Jonasza i wieloryba oraz vice versa; z pewnością obie są bardzo do siebie podobne. Jeśli więc żądam półboga, to czemuż nie miałbym zażądać proroka?

Atoli sami herosi, święci, półbogi i prorocy nie tworzą jeszcze pełnego rejestru naszego zakonu. Należy mianować wielkiego mistrza, bowiem na podobieństwo starożytnych królów szukamy źródeł naszego bractwa ni mniej, ni więcej tylko między samymi wielkimi bogami. Trzeba tu teraz powtórzyć za Księgami Szastra ową przedziwną wschodnią historię straszliwego Wisznu, jednej z trzech osób bóstwa Hindusów, historię, która daje nam owego boskiego Wisznu za pana naszego – Wisznu, który pierwszym ze swych dziesięciu ziemskich wcieleń po wiek wieków wyróżnił i uświęcił wieloryba. Kiedy Brahma, czyli bóg bogów – mówią Szastra – postanowił na nowo stworzyć świat po jednym z jego okresowych rozpadów, spłodził Wisznu, który miał doglądać tego dzieła; wszelako Wedy, czyli księgi tajemne, których odczytanie wydawało się niezbędne dla Wisznu przed rozpoczęciem dzieła stworzenia i które musiały przeto zawierać coś w rodzaju praktycznych wskazówek dla młodych architektów, spoczywały na dnie wód. Wobec tego Wisznu wcielił się w wieloryba i, zanurzwszy się aż do najdalszych głębin, uratował święte wolumina. Czyż zatem ów

Wisznu nie był wielorybnikiem – podobnie jak człowiek, który dosiada konia, zowie się kawalerzystą?

Perseusz, św. Jerzy, Herkules, Jonasz i Wisznu! Oto macie listę członków! Któryż klub poza wielorybnicznym może się taką poszczycić?

## ROZDZIAŁ LXXXIII

### JONASZ Z HISTORYCZNEGO PUNKTU WIDZENIA

W poprzednim rozdziale wspomniano o historycznej opowieści o Jonaszu i wielorybie. Otóż niektórzy nantucketańczycy odnoszą się raczej nieufnie do owej historycznej opowieści. Ale przecie byli tacy sceptyczni Grecy i Rzymianie, którzy w odróżnieniu od ortodoksyjnych pogan swej epoki również wątpili w historię Herkulesa i wieloryba oraz Ariona i delfina, a mimo to ich wątpliwości nie uczyniły owych tradycji ani na jotę mniej prawdziwymi.

Główna przyczyna, dla której pewien stary wielorybnik z Sag-Harbour podawał w wątpliwość ową historię hebrajską, była następująca: posiadał on mianowicie jedną z tych osobliwych, staroświeckich Biblii, ozdobionych ciekawymi nienaukowymi rycinami, z których jedna przedstawiała jonaszowego wieloryba z dwiema fontannami tryskającymi ze łba; otóż ta osobliwość cechuje tylko pewien rodzaj Lewiatana (wieloryba właściwego oraz inne podobne odmiany), o którym poławiacze ułożyli powiedzenie, że „udławiłby się bułką za pensa”, tak wąski ma przełyk. Ale na to mamy w pogotowiu przewidującą odpowiedź Jebba. „Nie potrzebujemy – powiada biskup – uważać, że Jonasz był pogrzebany w brzuchu wieloryba, ale że chwilowo umieszczony został w którejś części jego paszczęki.” I to się wydaje dość rozsądne u tego zacnego biskupa. Bo przecież istotnie paszcza wieloryba właściwego pomieściłaby kilka stolików do wista, a wszyscy gracze mogliby się rozsiąść wygodnie. Może też Jonasz usadowił się w jakimś wypróchniałym zębie; chociaż znów z drugiej strony nie trzeba zapominać, że wieloryb właściwy jest bezzębny.

Inną przyczyną, jaką „Sag-Harbour” (taki mu nadano przydomek) uzasadniał swój brak wiary w historię proroka, było coś, co niejasno dotyczyło uwięzionego w wielorybie ciała tego ostatniego i soków trawiennych zwierzęcia. Ale i to zastrzeżenie upada, jako że pewien egegeta niemiecki przypuszcza, iż Jonasz musiał znaleźć schronienie w pływającym ciele *martwego* wieloryba – podobnie jak żołnierze francuscy podczas kampanii rosyjskiej przemieniali zabite konie w namioty i wpełzali do środka. Poza tym inni komentatorzy z kontynentu odgadli, że kiedy Jonasza wyrzucono za burtę statku płynącego z Joppy, on niezwłocznie umknął na znajdujący się w pobliżu okręt, który miał na dziobie wyrzeźbionego wieloryba. Ja zaś dodałbym jeszcze, że może nosił nazwę „Wieloryb”, podobnie jak dzisiaj chrzci się niektóre statki imieniem „Rekin”, „Mewa” czy „Orzeł”. Nie zbrakło również uczonych egegetów, którzy zawyrokowali, iż wieloryb wspomniany w księdze jonaszowej oznaczał tylko jakiś przyrząd ratunkowy – worek nadymany powietrzem – i ku niemu popłynął zagrożony prorok, w ten sposób ratując się od wodnej zagłady. Tak więc wydaje się, że biedny „Sag-Harbour” jest ze szczętem zakasowany. Istniała jednak jeszcze jedna przyczyna jego braku wiary. Jeżeli dobrze pamiętam, była ona następująca: Jonasz został połknięty przez wieloryba na Morzu Śródziemnym i po trzech dniach wyrzucony gdzieś o trzy dni drogi od Niniwy, miasta leżącego nad Tygrysem, o wiele dalej niż trzy dni podróży od najbliższego punktu wybrzeża śródziemnomorskiego. Jakże się to stało?

Czy zatem wieloryb nie miał innego sposobu, żeby wysadzić proroka na ląd w tak niewielkiej odległości od Niniwy? I owszem. Mógł go ponieść drogą okólną przez Przylądek Dobrej Nadziei. Ale pomijając już, że trzeba by przebyć Morze Śródziemne na całej długości a dalej Zatokę Perską i Morze Czerwone, tego rodzaju supozycja musiałaby zakładać kompletne opłynięcie całej Afryki w ciągu trzech dni, nie mówiąc już o tym, że wody Tygrysu w pobliżu Niniwy są zbyt płytkie, by mógł na nie wpłynąć jakikolwiek wieloryb. Ponadto ów pomysł, jakoby Jonasz miał dotrzeć do Przylądka Dobrej Nadziei w tak wczesnej epoce, odebrałby zaszczyt odkrycia tego wielkiego cypla Bartłomiejowi Diazowi, jego słynnemu odkrywcy, i w ten sposób zadałby kłam nowoczesnej historii.

Ale te wszystkie niemądre argumenty starego „Sag-Harboura” wykazały tylko jego głupie chętnie się swym rozumem – rzecz tym bardziej naganna, jeśli się zważy, że miał bardzo mało wiedzy poza tą, którą przejął od słońca i morza. Twierdzę, że to tylko wskazuje na jego głupią, bezecną pychę tudzież wstrętny, szatański bunt przeciwko wielebnemu duchowieństwu. Albowiem tę właśnie myśl, że Jonasz udał się do Niniwy *via* Przylądek Dobrej Nadziei, wysunął pewien portugalski kapłan katolicki, jako rzecz widomie sam cud potęgującą. Tak też i było. Prócz tego, wysoce oświeceni Turcy po dziś dzień święcie wierzą w historyczną opowieść o Jonaszu. A jakieś trzy wieki temu pewien wędrowiec angielski w *Podróżach* starego Harrisa opowiadał o meczecie tureckim wybudowanym ku czci Jonasza, w którym to meczecie znajdowała się cudowna lampa płonąca bez oliwy.

## ROZDZIAŁ LXXXIV

### KOZIOŁKOWANIE

Aby pojazdy toczyły się lekko i wartko, oliwi się ich osie; dla bardzo podobnych powodów niektórzy wielorybnicy dokonują analogicznej operacji na swojej łodzi, a mianowicie smarują jej dno. Niepodobna wątpić, iż tego rodzaju metoda nie może wyrządzić szkody; może natomiast przynieść korzyść nie do pogardzenia, jeśli się zważy, że olej i woda są sobie wrogie, że olej jest rzeczą śliską, a celem, jaki tu przyświeca, jest sprawić, by szalupa dzielnie się ślizgała. Queequeg ogromnie wierzył w smarowanie łodzi i któregoś ranka, niedługo po zniknięciu niemieckiego statku „Jungfrau”, zadał sobie większy niż zazwyczaj trud przy tej czynności; wpłynął pod dno łodzi wiszącej u burty i wcierał tłuszcz, jak gdyby pilnie usiłował wywołać porost włosów na łysym jej kilu. Zdawał się działać pod wpływem jakiegoś szczególnego przecucia. Nie omieszkały potwierdzić go wypadki.

Okolo południa dostrzeżono wieloryby, ale gdy tylko statek ruszył w ich kierunku, skręciły i pierchły z niezwykłym pośpiechem; była to równie bezładna ucieczka, jak wówczas gdy barki Kleopatry umykały z Actium.

Mimo to jednak szalupy ruszyły w pogoń, a Stubb płynął na przedzie. Dzięki ogromnym wysiłkom udało się Tasztegowi wbić jedno żelazo, ale rażony wieloryb, nie nurkując wcale, nadal ze wzmożoną chyżością umykał w kierunku poziomym. Takie nieprzerwane ciągnięcie za wbite żelazo musi je nieuchronnie prędzej czy później wyrwać z ciała. Stało się nieodzowne albo skłuć lancą pędzącego zwierza, albo też pogodzić się z jego utratą. Nie sposób jednak było doholować szalupę do jego boku, tak szybko i zajadle płynął. Cóż więc pozostawało?

Ze wszystkich zadziwiających sposobów i sztuczek, kuglarstw i niepoliczonych wymyślności, do jakich tak często zmuszany bywa stary, doświadczony wielorybnik, żadna nie przewyższa wspaniałego manewru lancą, zwanego koziołkowaniem. Ani rapier, ani szabla nie mogą się poszczycić niczym podobnym spośród wszystkich właściwych im założeń. Jest ono niezbędne tylko w stosunku do uparcie uciekającego wieloryba; zasadniczą jego istotą i cechą jest zdumiewająca odległość, na jaką długa lanca zostaje celnie rzucona z gwałtownie rozkołysanej i miotanej łodzi, mknącej w najwyższym pędzie. Cała ta włócznia z drzewcem i grotem włącznie liczy około dziesięciu czy dwunastu stóp długości; drzewce jest o wiele cieńsze niż u harpuna, a także sporządzone z lżejszego materiału – z sośniny. Zaopatrzona jest w cienką linę znacznej długości zwaną „osnową”, za pomocą której można lancę przyciągnąć z powrotem po rzucie.

Ale zanim przejdziemy dalej, trzeba tu nadmienić, że chociaż harpun można przekoziółkować w taki sam sposób jak lancę, to jednak rzadko do tego dochodzi, a jeśli nawet się to czyni, jeszcze rzadziej osiąga się powodzenie, z uwagi na większy ciężar i mniejszą długość harpuna w porównaniu z lancą, co jest w efekcie poważną przeszkodą. Dlatego też na ogół trzeba najpierw przytrzymać wieloryba, zanim jakiegokolwiek koziołkowanie wejdzie w rachubę.

Przyjrzyjcie się Stubowi. Oto człowiek, który z uwagi na swój pogodny, zdecydowany spokój i opanowanie w najsroźszej opresji ma szczególne dane, by celować w koziołkowaniu. Przypatrzcie mu się: stoi na podrzucanym przez fale dziobie pędzącej szalupy; o czterdzieści stóp przed nim płynie ciągnący go wieloryb spowity w wełniaste piany. Stubb lekko manipuluje długą lancą i rzuciwszy po niej okiem dwa czy trzy razy, by sprawdzić, czy jest bezwzględnie prosta, pogwizdując zbiera w jedną rękę zwój „osnowy”, aby zatrzymać w garści jej wolny koniec, resztę zaś puści swobodnie. Następnie dzierżąc lancę na wprost środka pasa, wymierza ją w wieloryba, bierze go na cel, z wolna opuszcza w rękę drugi koniec drzewca, w ten sposób unosząc w górę grot, dopóki broń nie stanie dobrze zbalansowana na jego dłoni, stercząc na piętnaście stóp w powietrzu. Przypomina poniekąd kuglarza, który żongluje długim drążkiem utrzymywanym na brodzie. W następnej chwili wyrzucona nagłą, niepojętą siłą błyszcząca stal wspaniałym, wyniosłym łukiem przemierza pienistą odległość i oto drga już w żywotnym punkcie ciała wieloryba. Miast tryskać perlistą wodą, chlusta on teraz czerwoną posoką.

– A to mu wybiło szpunt! – krzyknął Stubb. – Dziś jest nieśmiertelny Czwarty Lipca. Dziś wszystkie fontanny muszą tryskać winem! A, żeby to tak było stare whisky orleańskie czy stare Ohio, czy też niewysłowione stare Monongahela! Wtedy, Tasztego, kazałbym ci nadstawić dzban pod tę fontannę i wszyscy byśmy wkoło popili! Tak, naprawdę, moi drodzy, uwarzylibyśmy sobie przedniego ponczu w jego trykawce i z tej żywej wazy żłopalibyśmy żywy trunek.

Raz po raz powtarza się zręczny cios w takt owych żartobliwych słów, a lanca powraca do swego pana niczym chart umiejętnie trzymany na smyczy. Umęczonego wieloryba ogarnia atak szału, rozluźnia się linę holującą, a oszczepnik siada na rufie, zaplata ręce na piersiach i w milczeniu przygląda się śmierci potwora.

## ROZDZIAŁ LXXXV

### FONTANNA

To, że przez lat sześć tysięcy – a nikt nie wie, przez ile milionów wieków przedtem – wielkie wieloryby tryskały po wszystkich morzach skrapiając i opylając ogrody głębin niby konewki czy rozpylacze; że od kilku stuleci tysiące poławiaczy zbliżało się tuż do wielorybiej fontanny śledząc owe krople i tryśnięcia – że to wszystko było, a jednak do tej jeszcze minuty (piętnaście i ćwierć minuty po pierwszej w południe, dnia dzisiejszego, szesnastego grudnia, A.D. 1851) nadal pozostaje problemem, czy owe fontanny są w gruncie rzeczy naprawdę wodą, czy też niczym innym jak parą – to rzecz z pewnością godna uwagi.

Wejrzyjmy zatem w tę sprawę tudzież w niektóre interesujące czynniki z nią związane. Każdemu wiadomo, że dzięki szczególnej zdolności swoich skrzeli, upłetwione plemiona na ogół oddychają powietrzem, które jest zawsze zmieszane z żywiołem, w jakim pływają; i dlatego śledź czy dorsz mógłby żyć sto lat, nie wytykając ni razu głowy nad powierzchnię. Natomiast wieloryb, który ze względu na swoistą wewnętrzną budowę wyposażony jest, tak jak człowiek, w regularne płuca, może żyć tylko wdychając samo powietrze na otwartej przestrzeni. Stąd konieczność składania przezeń od czasu do czasu wizyty światu na górze. Nie może on jednak żadną miarą oddychać przez paszczę, która w zwykłym położeniu jest u kaszalota zanurzona co najmniej na osiem stóp pod powierzchnią wody, a co więcej, jego przewód oddechowy nie ma połączenia z paszczką. Nie; oddycha on tylko przez swoją tryskawkę, ta zaś znajduje się na czubku głowy.

Nie sądzę, żebym zblądził, jeżeli powiem, że u każdego stworzenia oddychanie jest funkcją niezbędną dla życia, ile że pobiera z powietrza jakiś pierwiastek, który następnie, zetknąwszy się z krwią, udziela jej swojej ożywczej siły; może używam tylko trochę zbędnych naukowych wyrażań. Jeżeli to przyjąć za słuszne, wówczas wyniknie stąd, że gdyby całą krew człowieka można było nasycić powietrzem za jednym oddechem, człowiek ów mógłby sobie wtedy opieczętować nozdrza i nie zaczerpnąć następnego tchu przez długi okres czasu. To znaczy, żyłby wówczas bez oddychania. Mimo że jest to na pozór anomalią, przecie tak właśnie rzecz się ma z wielorybem, który systematycznie przeżywa od czasu do czasu pełną godzinę lub więcej (jeśli przebywa na dnie) bez jednego oddechu, nie wciągając w ogóle nawet cząsteczki powietrza; pamiętajcie bowiem, że nie posiada on skrzeli. Jakże się to dzieje? Między żebrami oraz po każdej stronie kręgosłupa ma on niezwykle, powikłany labirynt kreteński naczyń przypominających makaron, które to naczynia, kiedy wieloryb opuszcza powierzchnię, całe nabrzmiewają od utlenionej krwi. W ten sposób przez godzinę czy więcej, na tysiąc sążni zagłębiony w morzu, nosi w sobie dodatkowy zapas żywotności, zupełnie tak samo jak wielbłąd, co przemierzając bezwodną pustynię niesie w swych czterech dodatkowych żołądkach nadzwyczajny zapas napoju na przyszły użytek. Anatomiczny fakt istnienia owego labiryntu jest bezsporny, a że oparte na nim przypuszczenia są rozsądne i prawdziwe, to wydaje mi się tym bardziej przekonywające, kiedy wspomnę

nie dający się inaczej wytłumaczyć upór Lewiatana, żeby powyrzucać z *siebie wydmuchy*, jak to określają rybacy. Mam na myśli, co następuje. Jeśli go nie molestować, gdy wynurzy się na powierzchnię, kaszalot pozostanie na niej przez czas dokładnie taki sam jak za każdym innym razem, kiedy wypływa nie napastowany przez nikogo. Powiedzmy, że pozostaje tak jedenaście minut i tryska siedemdziesiąt razy, to znaczy robi siedemdziesiąt oddechów; z całą pewnością, kiedykolwiek się znowu wynurzy, zaczerpnie te swoje siedemdziesiąt oddechów co do joty. Aliści jeżeli po nabraniu kilku oddechów zostanie spłoszony, tak że zanurkuje, wówczas zawsze wypłynie ponownie, by uzupełnić zwykły zapas powietrza. I dopiero po tych siedemdziesięciu oddechach pójdzie ostatecznie pod wodę, aby tam przebyć swój zwykły odstęp czasu.

Zauważcie jednak, że u różnych osobników okresy te bywają rozmaite, ale u każdego poszczególnego są do siebie podobne. A więc czemu by wieloryb miał się tak upierać, żeby wyrzucić z siebie wydmuchy, jeżeli nie po to, aby napełnić swój rezerwuar powietrza przed zanurkowaniem na dobre? Jakże to oczywiste, że owa konieczność wynurzania się wystawia go na wszystkie fatalne hazardy łowów! Albowiem płynąc na tysiąc sążni poniżej światła słonecznego ów olbrzymi Lewiatan nie mógłby zostać pochwycony żadnym hakiem czy siecią. Nie tyle zatem twoja zręczność, o, łowco, co wielkie konieczności trąbią ci zwycięstwo!

U człowieka oddychanie trwa bez przestanku, ponieważ jeden oddech wystarcza tylko na dwie czy trzy pulsacje; toteż czymkolwiek innym człowiek by się zajął, we śnie czy na jawie, oddychać musi, bo inaczej zemrze. Natomiast kaszalot oddycha tylko mniej więcej przez jedną siódmą swojego żywota, czyli tak jak gdyby w same niedziele.

Mówiono już, że wieloryb oddycha jedynie przez swoją tryskawkę; gdyby można jeszcze było zgodzić z prawdą dodać, iż jego wydmuchy zmieszane są z wodą, mielibyśmy, moim zdaniem, przyczynę faktu, że jego powonienie wydaje się być w zaniku; jedyną bowiem rzeczą, jaka u wieloryba odpowiada w ogóle nosowi, jest ta właśnie tryskawka; ponieważ zaś tak bardzo na nią cisną dwa żywioły, trudno się spodziewać, żeby miał zdolność wąchania. Ale z uwagi na tajemnicę wydmuchu – nie wiadomo, czy to woda, czy para – nie osiągnięto dotychczas absolutnej pewności w tej mierze. Pewnym jest jednak, że kaszalot nie posiada właściwych narządów powonienia. Ale i na cóż mu one? W morzu nie ma róż ani fiołków, ani wody kolońskiej.

Następnie, ponieważ jego tchawica ma ujście wyłącznie w rurze kanału tryskawki, a ten długi kanał – wzorem wielkiego Kanału Erie – zaopatrzony jest w rodzaj śluz (otwierających się i zamykających) dla zatrzymywania na dole powietrza oraz niedopuszczania od góry wody – dlatego wieloryb nie posiada głosu, chyba żebyście go znieważyli twierdząc, iż kiedy tak dziwnie bulgocze, to mówi przez nos. Ale też co ma wieloryb do powiedzenia? Rzadko kiedy znałem jakąś istotę głęboką, która by miała coś do powiedzenia temu światu, chyba że była zmuszona bełkotać cokolwiek bądź, aby zarobić na chleb. O, jakież to szczęście, że świat jest tak doskonałym słuchaczem!

Otóż ten kanał tryskawki kaszalota, którego głównym przeznaczeniem jest dostarczenie powietrza, kanał leżący poziomo na długości kilku stóp, nieco z boku tuż pod górną powierzchnią głowy – ów kanał osobliwy ogromnie przypomina rurę gazową ułożoną w mieście z jednego boku ulicy. Ale znów nasuwa się pytanie, czy owa

rura gazowa jest również rurą wodociągową; innymi słowy czy fontanna wyrzucana przez kaszalota jest tylko parą wydechu, czy też ów wydech zmieszany jest z wodą nabieraną w paszczę i wydalaną przez tryskawkę. Pewne jest, że paszcza łączy się pośrednio z kanałem tryskawki; niepodobna jednak dowieść, że ma to na celu wyrzucanie wody przez tę ostatnią. Największa bowiem potrzeba czegoś podobnego powstaje chyba wtedy, gdy podczas żerowania kaszalot nabierze przypadkiem wody w paszczę. Ale pożywienie kaszalota znajduje się głęboko pod powierzchnią, a tam nie może on tryskać, nawet gdyby chciał. Prócz tego, o ile go będziecie ściśle obserwowali sprawdzając czas według zegarka, spostrzeżecie, iż jeśli kaszalota nie napastować, to okresy wyrzucania przezeń fontanny mają niechybnie ten sam rytm, co zwykle odstępy między jednym oddechem a drugim.

Ale po co zamęczać kogoś wszystkimi tymi wywodami? Wypowiedzże się pan! Widziałeś, jak wieloryb tryska, stwierdź więc, czym jest owa fontanna; zaliż nie potrafisz odróżnić wody od powietrza? Drogi panie, nie tak to łatwo ustalać rzeczy proste na tym świecie. Zawsze się przekonywałem, że właśnie te proste sprawy najbardziej są powikłane. Jeśli zaś idzie o fontanną wieloryba, to można by nieledwie stać pośród niej, a jeszcze nie być pewnym, czy ona jest w istocie.

Jej trzon kryje się w śnieżnym, perlistym tumanie, który go spowija, a jakże można stwierdzić z pewnością, czy spada zeń woda, jeżeli człowiek zawsze wtedy dopiero znajdzie się dość blisko wieloryba, by się móc dobrze przypatrzeć jego wydmuchowi, kiedy potwór miota się okrutnie, a woda chlusta wokół kaskadami. Jeżeli zaś w takiej chwili sądzicie, że istotnie dostrzegacie cząsteczki wody w wydmuchu, to skąd możecie wiedzieć, czy nie jest to po prostu skroplona para; albo skąd możecie wiedzieć, czy to nie te same krople, co z wierzchu usadowiły się w szczelinie tryskawki, która ma ujście w zagłębieniu na szczycie głowy? Albowiem nawet wówczas, gdy o południu spokojnie płynie przez morze w czas ciszy, z wyniosłym garbem osuszonym przez słońce niczym garb dromadera na pustyni – nawet wtedy wieloryb nosi na głowie mały basen wody, podobnie jak pod gorejącym słońcem czasem znajdziecie zagłębienie w skale, kroplami deszczu napełnione.

Toteż nie jest bynajmniej roztropne, by łowca zdradzał nadmierne zainteresowanie właściwą naturą wydmuchu wielorybiego. Nic mu nie przyjdzie z wpatrywania się czy wtykania weń twarzy. Nie sposób podejść z dzbanem do tej fontanny, napełnić go i zabrać ze sobą. Bo nawet, kiedy się choćby przelotnie zetkniecie z zewnętrznymi drobinami oparu wydmuchu – co często się zdarza – skóra będzie was piekła gorączkowo, tak żrące jest to, co jej dotknęło. A znam kogoś, komu, gdy wszedł w jeszcze bliższy kontakt z fontanną – nie wiem, czy w celach naukowych, czy też w jakichś innych – skóra zeszała z policzka i ręki. Toteż wśród wielorybników uważa się, iż wydmuch jest trujący; usiłują więc go unikać. Jeszcze jedno: słyszałem, jak mówiono – i raczej w to nie wątpię – że jeśli fontanna tryśnie komuś prosto w oczy, to człowiek ów oślepnie. Wydaje mi się więc, że najmądrzejszą rzeczą, jaką badacz może uczynić, to zostawić tę morderczą fontanną w spokoju.

Możemy jednak wysuwać hipotezy, nawet jeżeli niepodobna ich dowieść i potwierdzić. Moją hipotezą jest, że fontanna to nic innego jak opar. Oprócz innych racji,

do konkluzji tej skłania mnie wzgląd na ogromne dostojenstwo i wznioslość wlaściwą kaszalotowi; nie uważam go za żadne pospolite, płytke stworzenie, ponieważ jest faktem bezspornym, że go się nigdy nie znajduje na płycznach czy też w pobliżu wybrzeży, jak to czasami bywa ze wszystkimi innymi wielorybami. Kaszalot jest zarówno ważki, jak i głęboki. Jestem zaś przeświadczony, że z głów wszystkich wielkich i głębokich myślicieli, jak Platon, Pyrrhon, Szatan, Jowisz, Dante i tak dalej, zawsze dobywa się półwidzialny opar, w chwili gdy snują głębokie rozmyślenia. Układając kiedyś mały traktat o wieczności, przez ciekawość ustawiłem przed sobą zwierciadło i oto niebawem dostrzegłem odbite w nim dziwne, pogmatwane skłębienia i sfalowania powietrza ponad własną głową. Dodatkowym argumentem dla powyższej supozycji wydaje się stała wilgotność moich włosów, kiedy w sierpniowe popołudnie, po sześciu filiżankach gorącej herbaty, siedziałem pogrążony w głębokich rozmyśleniach u siebie, na poddaszu krytym cienkimi gontami.

A jak wspaniale podnosi to nasze mniemanie o potężnym, mglistym potworze, kiedy oglądamy go uroczyście płynącego poprzez spokojne morze tropikalne; gdy nad jego olbrzymią, łagodną głową zwisa baldachim pary zrodzonej z nieprzekazywalnej kontemplacji, ów opar zaś – co czasami ujrzeć można – uświetnia tęcza, jak gdyby same nieba położyły pieczęć na jego rozmyśleniach. Albowiem, widzicie, tęcze nie nawiedzają czystego powietrza; opromieniają tylko parę. Tak poprzez wszystkie gęste tumany mglistych wątpliwości mojego umysłu wystrzelają od czasu do czasu boskie intuicje, zapalając moją mgłę niebiańskim promieniem. I za to Bogu niech będą dzięki, gdyż wszyscy mają wątpliwości, wielu zaprzecza, ale czy tak, czy owak, tylko nieliczni miewają jednocześnie przeczucia. Wątpliwości co do wszystkich spraw ziemskich, a przeczucie niektórych spraw niebieskich – oto połączenie, które nie czyni z człowieka ani wierzącego, ani niedowiarka, ale kogoś, kto na obu jednakim okiem spogląda.

## ROZDZIAŁ LXXXVI

### OGON

Inni poeci wyśpiewali pochwałą słodkich oczu antylopy i cudnych piór ptaka, co nigdy ziemi nie tyka; ja, mniej od nich niebiański, opiewać będę ogon.

Licząc, że ogon największego kaszalota zaczyna się od punktu korpusu, w którym ten zwięza się mniej więcej do obwodu człowieka, otrzymamy co najmniej pięćdziesiąt stóp kwadratowych samej tylko górnej jego powierzchni. Zwarty, krągły trzon nasady rozszerza się w dwa szerokie, mocne, płaskie płaty, czyli płetwy ogonowe, które stopniowo cienieją, aż wreszcie nie mają więcej nad cal grubości. U rozwidlenia, czyli w punkcie styku, obie te płetwy z lekka na siebie zachodzą, a następnie rozwierają się na boki niby skrzydła, pozostawiając w środku szerokie, puste miejsce. W żadnej istocie żyjącej esowate linie nie zostały wykreślone cudowniej niż w półksiężycowych krawędziach owych płetw. U całkowicie wyrosniętego wieloryba ogon w pełni rozwoju znacznie przekracza dwadzieścia stóp rozpiętości.

Cała ta część ciała wydaje się być zbitym, tkankowym pokładem spoistych ścięgien, ale rozetnijcie ją, a przekonacie się, że jest złożona z trzech odrębnych warstw; górnej, środkowej i dolnej. Włókna górnej i dolnej warstwy są długie i poziome; środkowej zaś bardzo krótkie i krzyżujące się pomiędzy obiema zewnętrznymi warstwami. Owa troista struktura, nie mniej od innych czynników, przydaje mocy ogonowi. Badaczowi starych murów rzymskich ta środkowa warstwa dostarczy ciekawej paraleli do cienkiego pokładu cegiełek, które zawsze znajdujemy na przemian z kamieniami w owych wspaniałych zabytkach antyku i które niewątpliwie bardzo się przyczyniły do wielkiej mocy ich roboty murarskiej.

Ale jak gdyby nie dość było tej olbrzymiej siły, umiejscowionej w ścięgnistym ogonie, całe ciało Lewiatana oplecione jest osnową i wątkiem mięśniowym włókien i pasemek, które przechodząc po obu stronach łędźwi wpadają w płetwy, niepostrzeżenie się z nimi stapiają i wiele przydają im siły, tak że wszystka niezmierna moc całego wieloryba zdaje się zbiegać w ogonie i koncentrować w tym jednym punkcie. Gdyby materię mogło spotkać unicestwienie, ta siła właśnie mogłaby go dokonać.

Ale owa zdumiewająca moc w niczym nie upośledza pełnej wdzięku gibkości ruchów ogona; z dziecięcą swobodą faluje on dzięki tytanimowi mocy. Wprost przeciwnie, z niej właśnie ruchy czerpią swe najstraszliwsze piękno. Prawdziwa siła nigdy nic nie ujmuje krasie czy też harmonii, owszem, często ją jeszcze pomnaża; i we wszystkim, co imponujące i piękne, siła ma wiele wspólnego z wywieranym urokiem. Odejmijcie napięte mięśnie, co zda się chcą wyprysnąć z marmuru statuy Herkulesa, a piękno jej przepadnie. Gdy wierny Eckerman uniósł płócienne prześcieradło, okrywające nagie zwłoki Goethego, zdumiał go masywny tors tego człowieka, przypominający jakowyś rzymski łuk tryumfalny. A zważcie, jaką krzepkość nadaje Michał Anioł nawet Bogu Ojcu, kiedy Go w ludzkiej maluje postaci. Bez względu zaś na to, jak wiele boskiej miłości Syna ukazują miękkie, płynne, hermafrodytyczne obrazy włoskie, w których znakomicie Jego wyobrażenie ucieleśniono, są one przecie obrane ze

wszelkiej muskularności, nie mówiąc nic o jakiegokolwiek sile, prócz tej negatywnej, niewieściej mocy poddania i wytrwania, która dla każdego, komu jest dana, stanowi o szczególnych cnotach praktycznych Jego nauki.

Taka jest niepojęta elastyczność organu, o którym tu mowa, że czy nim owładnie igraszka, powaga, czy gniew, w jakimkolwiek by był nastroju, jego gibkie ruchy niezmiennie nacechowane są wdziękiem. W tym nie potrafi go przewyższyć żadne ramię czarodziejki.

Pięć wielkich ruchów jest ogonowi właściwych. Pierwszy, gdy jest używany jako płetwa dla posuwania się naprzód; drugi – gdy działa jako maczuga w bitwie: trzeci – to zamiatanie; czwarty – strzepnięcie; piąty – wyrzucanie w górę.

Pierwszy: ze względu na położenie poziome, ogon Lewiatana działa w sposób odmienny od ogonów wszystkich innych stworzeń morskich. Nigdy się nie wije. Wicie się jest u człowieka czy u ryby oznaką niższości. Dla wieloryba ogon jest jedynym środkiem napędowym. Zagięty krągło do przodu, popod ciało, a następnie raptownie rozprostowany do tyłu, w ten właśnie sposób nadaje wściekłe płynącemu potworowi ów szczególny ruch skoku czy rzutu. Boczne płetwy służą mu jedynie do sterowania.

Drugi: jest dość znamienne, że kaszalot walczy za pomocą łba oraz szczęki tylko z innym kaszalotem, w konfliktach z człowiekiem używa głównie, i to z pogardą, swojego ogona. Gdy godzi w szalupę, wówczas szybko zagina nad nią ogon i zadaje cios samym odrzutem. Jeśli jest on wymierzony bez przeszkód, przez powietrze, a zwłaszcza jeśli spadnie na swój cel, wówczas jest po prostu nieodparty. Żadne żebra, człowieka czy łodzi, zdzierżyć go nie zdołają. Jedyny ratunek, to mu umknąć; gdy natomiast cios zadany zostanie z boku, poprzez oporną wodę, wtedy częściowo dzięki znacznej lekkości łodzi wielorybicznej tudzież elastyczności materiału, z którego jest sporządzona, najpoważniejszym skutkiem będzie zazwyczaj pęknięta szpanta albo wybita jedna czy dwie deski – coś w rodzaju sójki w bok. Owe podwodne, boczne uderzenia tak często otrzymuje się przy połowach, że uważane są za dziecinną igraszkę. Ktoś zrzuci kurtę i dziura już jest zatkana.

Trzeci: nie potrafię tego dowieść, ale wydaje mi się, że u wieloryba zmysł dotyku skoncentrowany jest w ogonie; bowiem w tym względzie odznacza się on delikatnością, której dorównuje tylko wrażliwość trąby słonia. Owa delikatność przejawia się głównie w funkcji zamiatania nim, kiedy to wieloryb z dziewiczą łagodnością, miękko a powoli porusza z boku na bok olbrzymim ogonem po powierzchni morza; a jeśli natrafi choćby na wąs żeglarza, biada temu żeglarzowi razem z jego wąsami. Jakaż jest czułość w owym wstępnym dotknięciu! Gdyby ten ogon miał jakąkolwiek chwytność, zaraz by mi na myśl przywiódł słonia Darmonodesa, co odwiedzał targi kwiatowe i z niskim ukłonem ofiarowywał bukiety dziewczynom, po czym pieścił ich kibić. Z wielu względów szkoda, że wieloryb nie posiada w ogonie owej chwytności; słyszałem bowiem o jeszcze innym słoniu, który, raniony w walce, zagiął trąbę i wyciągnął grot z ciała.

Czwarty: jeśli się podkradniecie nie zauważeni do wieloryba wśród urojonego bezpieczeństwa odludnych mórz, ujrzenie, jak w chwili odprężenia od swego niebywale korpulentnego dostojęstwa igra niczym mały kotek w oceanie, jak gdyby ten był kominkiem. Ale nawet w zabawie widzicie jego potęgę. Wyrzuca wysoko w górę

szerokie płaty ogona, po czym wali nim o powierzchnię wody, aż grzmiący odgłos milami się niesie. Można by niemal pomyśleć, że to dano ognia z potężnej armaty; a gdybyście zauważyli lekki kłęb pary wznoszący się z tryskawki na drugim końcu ciała, pomyślelibyście pewnie, że to dymek u zapału.

Piąty: ponieważ w zwykłym położeniu, kiedy Lewiatan unosi się na wodzie, ogon znajduje się znacznie poniżej poziomu jego grzbietu, jest więc zupełnie ukryty pod powierzchnią morza. Kiedy natomiast zwierzę ma znurkować w głębinę, cały ogon wraz z co najmniej trzydziestu stopami ciała wyrzucony zostaje pionowo w górę i tak trwa drgając przez chwilę, aż wreszcie zapada się prosto w dół i znika nam z oczu. Wyjąwszy wzniosły wyskok – który będzie gdzie indziej opisany – to wyrzucenie w górę ogona wielorybiego jest może najwspanialszym widokiem, jaki oglądać można w całej ożywionej przyrodzie. Ów ogon gigantyczny zdaje się spazmatycznie wydzierać z bezdennej głębinie ku najwyższemu niebu. Podobnie w snach widywałem majestatycznego Szatana, jak wyciągał udręczone, kolosalne szpony z płomienistego Bałtyku piekieł. Ale gdy się ogląda takowe sceny, wszystko zależy od tego, w jakim jesteście nastroju: jeżeli w dantejskim, ukążą się wam czarty; jeśli w izajaszowym – to archańskowie. Stojąc kiedyś na maszcie mojego żaglowca, o wschodzie słońca, co szkarłatem okrył niebiosy i morze, ujrzałem w owej stronie duże stado wielorybów, które kierując się ku słońcu, przez chwilę razem potrzęsało wyrzuconymi w górę ogonami. Wydało mi się wówczas, że tak wspaniałego przykładu adoracji bogów nie oglądano nigdy, nawet w Persji, ojczyźnie czcicieli ognia. Wzorem więc Ptolemeusza Filopatra, który świadczył na rzecz słonia afrykańskiego, ja uczyniłem to wówczas na rzecz wieloryba ogłaszając go najpobożniejszym ze wszystkich stworzeń. Albowiem według króla Juby bojowe słonie czasów starożytnych częstokroć pozdrawiały poranek trąbami wzniesionymi pośród najgłębszej ciszy.

Przypadkowe porównanie w tym rozdziale wieloryba ze słoniem, jeśli idzie o pewne aspekty ogona pierwszego i trąby drugiego, nie powinno zmierzać do postawienia na jednym poziomie obu tych przeciwstawnych organów, a tym mniej stworzeń, do których każdy z nich należy. Albowiem jak najpotężniejszy słoń jest ledwie foksterierem wobec Lewiatana, tak i jego trąba w porównaniu z ogonem tego ostatniego jest tylko łodygą lilii. Najsroźsze uderzenie trąby słoniowej byłoby jak figlarne klepięcie wachlarzem w zestawieniu z przepotężnym grzmotnięciem i łomotem ciężkiego ogona kaszalota, który nieraz wyrzucał w powietrze jedną po drugiej całe szalupy wraz z wiosłami i ludźmi, zupełnie jak kuglarz hinduski wyrzuca w górę swoje piłki.<sup>9</sup>

Im bardziej rozmyślałam nad tym potężnym ogonem, tym więcej ubolewam nad swoją niezdolnością opisania go. Czasami miewa on gesty, które byłyby wprawdzie ozdobą ręki ludzkiej, u niego jednak są całkiem nie wytłumaczone. W dużym stadzie owe gesty tajemnicze tak bywają niezwykle, że słyszałam, jak niektórzy łowcy twierdzili,

---

<sup>9</sup> Choć wszelkie porównywanie ogólnej masy wieloryba i słonia jest niedorzeczne, ile że w tym względzie słoń pozostaje do wieloryba w takim samym stosunku, jak piesek do słonia, jednakże nie brak tu pewnych punktów ciekawej analogii; do nich zaś należy fontanna. Dobrze to wiadomo, że słoń, często zaczerpnawszy trąbą wody czy też pyłu, unosi ją w górę i zawartość strumieniem wyrzuca. (Przyp. aut.)

iż są pokrewne znakom i symbolom masońskim, oraz że tym sposobem wieloryb rozumnie gada ze światem. Nie brak też i innych ruchów całego ciała wieloryba, które są pełne dziwności i niepojęte nawet dla najbardziej doświadczonego poławiacza. Choćbym więc nie wiedzieć jak badał tego wieloryba, nie przeniknę dalej niż na głębokości skóry; nie znam go i znać nigdy nie będę. Ale skoro nie znam nawet jego ogona, jakże tu pojąć jego głowę? A tym bardziej jak zrozumieć jego oblicze, skoro go wcale nie ma? „Z drugiej mnie ujrzysz strony, ogon mój obaczysz – zdaje się on mówić – ale twarzy mojej oglądać nie będziesz.” Nie mogę jednak na dobre rozeznaczyć w jego tylnych częściach; a cokolwiek by mówił o swoim obliczu, ja raz jeszcze powtarzam, że go wcale nie ma.

## ROZDZIAŁ LXXXVII

### WIELKA ARMADA

Długi i wąski półwysep Malakka, rozciągający się ku południowemu wschodowi od terytoriów Burmy, stanowi najbardziej na południe wysunięty punkt całej Azji. Za nim ciągłą linią rozłożyły się długie wyspy: Sumatra, Jawa, Bali i Timor, które wraz z wieloma innymi tworzą ogromny pomost czy wał, podłużnie łączący Azję z Australią i oddzielający puste obszary Oceanu Indyjskiego od gęsto rozsianych archipelagów wschodnich. Ów wał poprzebijany jest kilkoma furtami dla wygody okrętów i wielorybów; najbardziej z nich widoczne są cieśniny Sundajska i Malakka. Statki, idące do Chin z zachodu, wypływają na Morze Chińskie głównie przez Cieśninę Sundajską.

Owa wąska cieśnina oddziela Sumatrę od Jawy i gdy się zatrzymać pośrodku tego rozległego wału wysp wspartych o stromy, zielony cypel, który żeglarzom jest znany pod nazwą Głowy Jawy, spostrzeże się niemałe podobieństwo do centralnej bramy, otwierającej się na jakieś potężne, murami opasane imperium; a jeśli zważyć niewyczerpane bogactwo korzeni i jedwabi, złota, klejnotów i kości słoniowej, w jakie obfituje tysiąc wysp owego orientального morza, uznać należy za wielce znamienne zrządzenie natury, że podobne skarby, dzięki samemu ukształtowaniu terenu, mają przynajmniej pozór, choćby nieistotny, jakiejś ochrony przed nazbyt zachłannym światem Zachodu. Brzegi Cieśniny Sundajskiej nie są wyposażone w owe przemożne fortece, co strzegą wejść na Morze Śródziemne, na Bałtyk i Propontydę. W przeciwieństwie do Duńczyków owi ludzie Wschodu nie wymagają unizonego hołdu opuszczonych żagli od nieskończonej procesji idących z wiatrem okrętów, które wiekami całymi, nocą i dniem, przechodziły między Sumatrą i Jawą, naładowane najcenniejszymi towarami Wschodu, Ale choć odrzucają niedbale podobny ceremoniał, przecie bynajmniej nie wyrzekają się prawa do solidniejszej daniny.

Od niepamiętnych czasów pirackie *proa* Malajów czyhające pośród cienistych zatok i wysepek Sumatry wypadały na statki żeglujące poprzez cieśniny, zaciekle domagając się haraczu pod groźą nastawionych włóczni. Choć dzięki wielokrotnym, krwawym karom, jakie im wymierzyły europejskie krążowniki, zuchwalstwo owych korsarzy zostało w ostatnich latach nieco okiełznane, przecież po dziś dzień słyszymy od czasu do czasu o angielskich czy amerykańskich statkach, które na tych wodach bezlitośnie napadnięte i splądrowane zostały.

Pchany pomyślnym, mocnym wiatrem „Pequod” zbliżał się właśnie do owych cieśnin; jakoż zamiarem Ahaba było przepłynąć przez nie na Morze Jawajskie, a stamtąd kierując się ku północy, przez wody, o których wiedziano, że nawiedza je tu i ówdzie kaszalot, podsunąć się do wysp filipińskich i dotrzeć do dalekiego wybrzeża Japonii, tak aby zdążyć na tamtejszy wielki sezon łowiecki. W ten sposób krążący „Pequod” przemierzyłby niemal wszystkie znane łowiska kaszalotowe świata przed spłynięciem na równik na Pacyfiku; Ahab, choćby się wprawdzie zawiódł w swych poszukiwaniach, liczył stanowczo, że tam wyda walkę Moby Dickowi, na owym morzu, które, jak to było

wiadomo, potwór najczęściej odwiedzał, oraz w takiej porze, w której najpewniej można go się było tam spodziewać.

Ale jakże to? Czyż w tych ogólnych poszukiwaniach Ahab w ogóle nie przybija do lądu? Czy jego załoga pije powietrze? Z pewnością zatrzymają się gdzieś dla nabrania wody. Nie. Od dawien dawna słońce obiega swą arenę po płomienistym kolisku, nie potrzebując żadnego pożywienia prócz tego, które jest w nim samym. Podobnie i Ahab. Zakonotujcie sobie jedno o żaglowcu wielorybniczym. Podczas gdy inne okręty załadowane są cudzym towarem, który należy przewieźć do obcych przystani, ów obieżyświat, statek wielorybniczy, nie wiezie żadnej ładugi oprócz samego siebie, załogi, jej broni i zapasów. W obszernej komorze ma zabutelkowaną całą zawartość jeziora. Jego balast to rzeczy niezbędne, a nie żaden bezużyteczny ołów czy żelastwo. Niesie w sobie wodę na całe lata. Czystą, wyborną wodę ze starego Nantucket, którą nawet po trzech latach wyprawy nantucketańczyk na Pacyfiku przenosi nad ową słonawą ciecz z peruwiańskich czy indyjskich potoków ledwie wczoraj beczkami na tratwach przywiezioną. Dlatego to, o ile inne okręty płynąc z Nowego Jorku do Chin i z powrotem, zawijają do dwudziestu portów, statek wielorybniczy może przez cały ten czas nie oglądać ani szczypty ziemi, a jego załoga nie widzi nikogo prócz takich jak ona sama, pływających żeglarzy. Toteż gdybyście wtedy przynieśli tym ludziom nowinę, że nastąpił nowy potop, oni odrzekliby tylko: „No cóż, chłopcy, mamy arkę!”

Jako że wiele kaszalotów upolowano u zachodnich wybrzeży Jawy, w bezpośrednim sąsiedztwie Cieśniny Sundajskiej, a co więcej, ponieważ większość dookolnych terenów rybacy powszechnie uznają za wyśmienite miejsce połowów, więc też gdy „Pequod” zbliżał się coraz bardziej i bardziej do Głowy Jawy, często nawoływano posterunki na masztach upominając je, by zachowywały najwyższą czujność. Ale choć wkrótce po sterborcie zamajaczyły zielone od plam, nadbrzeżne urwiska i zachwyconymi nozdrzami wyczuwaliśmy w powietrzu zapach świeżego cynamonu, przecie nie zoczono ani jednej fontanny. Już niemal rezygnując ze wszelkiej myśli o natknięciu się w tych stronach na zwierzynę, statek już niemal wpływał w cieśninę, gdy z góry doleciał znany, radosny okrzyk i niebawem widowisko szczególnie wspaniałe ukazało się naszym oczom.

Trzeba tu jednak na wstępie zaznaczyć, że dzięki niezmordowanej energii, z jaką w ostatnich czasach poluje się na nie po wszystkich czterech oceanach, kaszaloty, miast pływać w niewielkich, osobnych gromadkach, jak to niemal zawsze za dawnych czasów bywało, teraz często są spotykane w ogromnych stadach, czasem obejmujących tak wielką ich mnogość, iż mogłoby się niemal wydawać, że rozliczne nacje tych zwierząt poprzysięgły sobie uroczysty sojusz i pakt wzajemnej pomocy i obrony. Owemu skupianiu się kaszalotów w tak olbrzymie karawany należy może przypisać okoliczność, że nawet na najlepszych terenach łowieckich można niekiedy pływać tygodniami i miesiącami całymi, nie napotkawszy ani jednej fontanny, po czym ni stąd, ni zowąd powita was taka ich ilość, że wydaje się ona iść w tysiące.

Przed nami po lewej i prawej stronie, w odległości jakichś dwóch czy trzech mil, tworząc ogromne półkole obejmujące pół horyzontu, nieprzerwany łańcuch wydmuchów wielorybich igrał i perlił się w południowym powietrzu. Odmienne od

prostych, pionowych, bliźniaczych fontann wieloryba właściwego, które rozwidlając się u góry opadają dwiema odroślami niby odłupane, obwisłe gałęzie wierzby, pojedynczy, pochylony do przodu wydmuch kaszalota tworzy gęsty, skłębiony kierz białego oparu, stale się wzbijający i opadający z wiatrem.

Widziane z pokładu „Pequoda”, w chwili gdy statek wznosił się na którymś z wysokich wzgórz morza, owe zastępy rozpylonych wydmuchów, z których każdy z osobna kłębił się w powietrzu, wyglądały wskroś spowijającego wszystko błękitnawego tumanu niby tysiąc wesołych kominów jakiejś gęsto zaludnionej metropolii, kiedy ją zoczy z pagórka jeździec w balsamiczny, jesienny poranek.

Jak maszerujące armie, zbliżając się do zdradzieckiego wąwozu wśród gór, przyśpieszają kroku, ile że pragną z całego serca mieć już owo groźne przejście poza sobą i znowu rozwinąć się stosunkowo bezpiecznie na równinie – tak i owa olbrzymia flota wielorybia zdawała się pośpieszać przez cieśninę, stopniowo ściągając skrzydła półkola i płynąc dalej w jednym zwartym, choć nadal półksiężycowym szyku.

Rozwinąwszy wszystkie żagle, „Pequod” parł za nimi; na dziobach szalup, jeszcze zawieszonych u boku statku, harpunnicy potrząsali orężem wznosząc rozgłośnie, radosne okrzyki. Nie mieli wątpliwości, że jeśli tylko wiatr się utrzyma, ogromne stado wielorybów pędzone przez Cieśninę Sundajską rozwinie się na wschodnich morzach jedynie po to, ażeby być świadkiem klęski niejednego ze swych członków. A któż mógł wiedzieć, czy wśród tak gromadnej karawany nie płynie chwilowo sam Moby Dick niby święty biały słoń w koronacyjnej procesji Syjamu! Toteż mknęliśmy dalej pod wszystkimi żaglami, pędząc przed sobą owe Lewiatany, kiedy nagle dosłyszano głos Tasztego donośnie zwracający naszą uwagę na coś, co znajdowało się w naszym kilwaterze.

Ujrzeliśmy za sobą inny półksiężyc, odpowiadający temu, który płynął w awangardzie. Tworzyły go osobne, białe mgielki, zrywające się i opadające na kształt wydmuchów wielorybich; tyle tylko, że nie wzbijały się i nie spadały tak całkowicie, ale unosiły się stale w powietrzu, nie znikając ostatecznie. Ahab skierował w tę stronę perspektywę, po czym obrócił się szybko na nodze tkwiącej w otworze i zawołał:

– Jazda na górę, wciągać „żurawie” i wiadra do zwilżania żagli! Malaje za nami!

Jak gdyby nazbyt długo czaili się za przyładkiem, czekając, by „Pequod” na dobre już wpłynął w cieśninę, owi łotrowscy Azjaci ścigali nas teraz zaciekle, chcąc nadrobić zbyt ostrożną zwłokę. Ale jako że chybki „Pequod” mknąc z mocnym wiatrem sam trwał w zażartej pogoni, było to bardzo ładnie ze strony owych śniadych filantropów, że dopomagali mu przyśpieszyć jego własny pościg, odgrywając w ten sposób po prostu rolę szpicruty i ostrogi. Zdawało się, że to samo musiał sobie wyobrażać Ahab, gdy z lunetą pod pachą przemierzał tam i z powrotem pokład i zawracając u dzioba oglądał potwory, które ścigał, a z rufy patrzył na krwiożerczych piratów, co ścigali jego. Kiedy zaś spojrzął na zielone ściany wodnego wąwozu, przez który statek naówczas przepływał, gdy uprzytomnił sobie, że przez tę samą bramę on ściga i sam jest ścigany na śmierć i życie – nie dość na tym: gdy pojawił, że horda bezecnych, dzikich piratów, nieludzkich, bezbożnych piekielników, po diabelsku obrzuca go przekleństwami – kiedy wszystkie te myśli przebiegły mu przez mózg, czoło Ahaba okryło się chmurą i

pofałdowało niby czarny żwir wybrzeża, które nadgryza jakiś burzliwy przepływ, nie mogąc go jednak poruszyć z miejsca.

Wszelako podobne myśli trapiły tylko bardzo niewielu spośród junackiej załogi; toteż gdy „Pequod”, pozostawiając piratów coraz bardziej za rufą, na koniec przemknął opodal jaskrawozielonego Cypla Kakadu po stronie Sumatry, wynurzając się wreszcie na rozlane za nim szerokie wody, wówczas harpunnicy bardziej chyba boleli nad tym, że chyże wieloryby oddaliły się od statku, niż się cieszyli, że statek tak zwycięsko oddalił się od Malajów. Płynięto jednak dalej śladem wielorybów i wreszcie wydało się, że szybkość ich maleje; statek począł się do nich stopniowo przybliżać, a że wiatr właśnie zamierał, dano rozkaz zajęcia miejsc w szalupach. Jednakże ledwie stado, zapewne wiedzione jakimś zadziwiającym instynktem kaszalota, wyczuło, iż gonią je trzy łodzie – choć jak dotychczas o milę oddalone – a już zebrało się znowu i uszykowane w zwarte szeregi i bataliony, tak że wszystkie wydmuchy wyglądały niby roziskrzony rzędy nastawionych bagnetów, ruszyło naprzód ze zdwojoną szybkością.

Rozebrani do bielizny porwaliśmy za wiosła i po kilku godzinach mozołu już niemal byliśmy skłonni zaniechać pogoni, kiedy między wielorybami zakotłowało się nagle, co było oznaką, że stado chce się zatrzymać i najdobitniej zwiastowało, że wreszcie potwory znalazły się pod wpływem owego przedziwnego bezwładu i niezdecydowania, o którym rybacy, gdy to spostrzegą, mówią, że wieloryb „zbnikował”. Zwarte, bojowe kolumny, płynące dotąd szybko i równo, rozpadły się teraz w jedną niezmierną ciżbę; zdawało się, że wieloryby oszalały z przerażenia, podobnie jak owe indyjskie słonie króla Porusa podczas bitwy z Aleksandrem. Rozpuszczone na wsze strony w wielkie, nieregularne kręgi, płynąc bez celu to tu, to tam, wyraźnie zdradzały swymi krótkimi, gęstymi wydmuchami lęk, jaki je opętał. Jeszcze osobliwiej dawały go po sobie poznać te z nich, co jakby kompletnie sparaliżowane, bezradnie unosiły się na morzu niczym zalane wodą, ogołoczone z masztów okręty. Gdyby te Lewiatany były zwykłym stadem pospolitych owiec ściganym po pastwisku przez trzy zajadłe wilki, nie mogłyby chyba przejawiać tak niebywałego przestachu. Ale owa lęklivość bywa czasami właściwa niemal wszystkim zwierzętom stadnym. Chociaż skupiają się w dziesiątki tysięcy, zachodnie bawoły o lwich grzywach zmykają czasem przed samotnym jeźdźcem. A patrzcie, jak to ludzkie istoty spędzone w owczarni widowni teatralnej, na najmniejszy alarm pożarowy rzucają się na złamanie karku ku wyjściu, tłocząc się, deptając, cisnąc i bez litości wzajemnie na śmierć się tratując. Lepiej więc pohamujcie wszelkie zdumienie nad dziwnie „zbnikowanymi” wielorybami, które widzimy przed sobą, nie masz bowiem na tej ziemi szaleństwa bestii, którego by nie przewyższył nieskończenie obłęd człowieka.

Mimo że, jako się rzekło, liczne wieloryby były w gwałtownym ruchu, należy przecie zauważyć, iż stado jako całość ani nie posuwało się naprzód, ani nie cofało, ale w całości pozostawało na miejscu. Jak to się zazwyczaj czyni w tych przypadkach, łodzie od razu się rozproszyły i każda ruszyła ku jakiemuś samotnemu wielorybowi na skraju stada. W ciągu mniej więcej trzech minut rzucony został harpun Queenquega i trafiona ryba cisnęła nam w twarz oślepiające bryzgi, po czym jak błyskawica pomknęła wraz z nami prosto w sam środek stada. Choć taki manewr wieloryba, ugodzonego w

podobnych okolicznościach, nie jest bynajmniej bez precedensu i w gruncie rzeczy można go się niemal zawsze mniej lub więcej spodziewać, przecie stanowi jedną z najniebezpieczniejszych przygód łowieckich. Albowiem gdy chyży potwór wciąga was głębiej i głębiej w oszalałe stado, żegnacie się z przytomnym życiem, istniejąc tylko w obłądnym zamięcie serca.

Gdy oślepli i głuchy wieloryb gnał naprzód, jakby chcąc przez samą szybkość pozbyć się żelaznej pijawki uczeplonej u jego ciała, gdyśmy tak rozdzielali morze białą szramą pian, w pędzie swym zewsząd zagrożeni przez opętane bestie miotające się tam i sam wokoło, nasza osaczona łódź przypominała okręt, na który w czas burzy napierają wyspy lodowe, on zaś usiłuje się przemknąć przez ich zawile kanały i przesmyki nie wiedząc, w której chwili zamknięty i strzaskany zostanie.

Ale Queequeg, nie zastraszony ni odrobinę, sterował dzielnie naszą łodzią, to odsuwając się od potwora, który zagradzał nam drogę, to znów odpychając innego, którego olbrzymi ogon zawisł nad nami; a przez cały ten czas Starbuck stał na dziobie z laną w rękę, przepędzając z drogi wszelkie wieloryby, jakich mógł dosięgnąć krótkimi ciosami, gdyż na długie nie starczało czasu. A i wioślarze też się nie lenili, choć byli teraz całkowicie wolni od swoich zwykłych obowiązków. Zajmowali się głównie częścią głosową całej sprawy. „Z drogi, komodorze!” – wrzeszczał jeden z nich do wielkiego dromadera, który raptem wynurzył się na powierzchnię i przez chwilę zagrażał nam zalaniem wodą. „W dół ten ogon!” – wołał drugi do innego wieloryba, który tuż u naszej burty niby to spokojnie się chłodził swą wachlarzowatą kończyną.

Wszystkie szalupy wielorybnicze mają pewne ciekawe przyrządy, pierwotnie wymyślone przez Indian nantucketańskich, a zwane kolcami. Dwa grube bloki drewna, równych rozmiarów, spaja się mocno ze sobą, tak żeby ich słoje krzyżowały się prostopadle; następnie pośrodku przyczepia się dosyć długą linę, która zakończona jest pętlą, żeby każdej chwili móc ją przytroczyć do harpuna. Urządzenia tego używa się głównie wśród „zbzikowanych” wielorybów, naówczas bowiem jest ich więcej wokoło nas, niżbyście mogli upolować za jednym zamachem. A przecie kaszalotów nie spotyka się codziennie; trzeba więc ubić ich tyle, ile się da, póki czas. Ponieważ zaś niepodobna zabić wszystkich od razu, musi się więc je zbarczyć, aby następnie pozabijać bez pośpiechu. Dlatego to w takich razach stosuje się ów kloc.

Łódź nasza wyposażona była w trzy takie sztuki. Pierwsza i druga została pomyślnie wyrzucona i ujrzeliśmy, jak wieloryby umykają niezdarnie, spętane olbrzymim, ciągnącym je w bok ciężarem kłoca. Były obezwładnione niby złoczyńcy, którym uwiązano u nogi żelazną kulę na łańcuchu. Jednakże za trzecim razem, w chwili gdy wyrzucano za burtę niezgrabny, drewniany kloc, zaczepił on o jedną z ławek szalupy, wyrwał ją od razu i poniósł z sobą, a wioślarz opadł na dno łodzi w momencie, gdy wysunęło się spod niego siedzenie. Poprzez okaleczone deski wdarła się z obu stron woda, jednakże zatkaliśmy otwory bielizną, co chwilowo powstrzymało przeciekanie.

Byłoby prawie niepodobieństwem rzucić tak obciążone harpuny, gdyby nie to, że w miarę jak się posuwaliśmy w głąb stada, znacznie malała szybkość naszego wieloryba; a nadto im bardziej oddalaliśmy się od obwołu całej cizby, tym wyraźniej zdawał się

ustępować ów okropny nieład. Tak że gdy na koniec szarpany przez wieloryba harpun wysunął mu się z ciała, a holujący nas potwór znurkował bokiem i zniknął, my, pociągnięci rozpędem jego ostatniego szarpnięcia, wśliznęliśmy się między dwa wieloryby w samym sercu stada, zupełnie jakbyśmy spłynęli z jakiegoś górskiego potoku na spokojne jezioro w dolinie. Tutaj burze ryczące w wąwozach między zewnętrznymi wielorybami dawały się tylko słyszeć, ale już ich nie odczuwano. Na tej środkowej przestrzeni morze miało ową równą, jedwabistą powierzchnię, noszącą nazwę flauty, a wywołaną przez delikatną ciecz, jaką wyrzuca wieloryb, gdy jest w spokojniejszym nastroju. Tak, znajdowaliśmy się oto pośród owego zakłętego spokoju, który, jak powiadają, kryje się w jądrze każdego rozruchu. A w niewyraźnej dali widzieliśmy kotłowisko zewnętrznych koncentrycznych kręgów oraz kolejne stadka wielorybów po osiem lub dziesięć sztuk, szparko krążących w kółko, jedno za drugim niby rozliczne pary koni na arenie; i to tak blisko siebie, że jakiś tytaniczny jeździec cyrkowy mógłby snadnie stanąć okrakiem ponad środkowymi i w ten sposób objechać koło na ich grzbietach. Z uwagi na zbitą ciżbę odpoczywających wielorybów, bezpośrednio otaczających zewsząd zamkniętą oś stada, nie mieliśmy żadnej w ogóle możliwości ucieczki. Musieliśmy wypatrywać jakiegoś wyłomu w żywym murze, co nas otaczał, a wpuścił jedynie po to, żeby nas zamknąć w swym wnętrzu. Utrzymując się na środku owego jeziorka, byliśmy od czasu do czasu odwiedzani przez małe, łagodne krowy i cielęta wielorybie – kobiety i dzieci owych burzliwych zastępów.

Owóz włącznie z widniejącymi tu i ówdzie szerokimi odstępami między jednym kręgiem krążącym na zewnątrz a drugim, a także wraz z pustymi miejscami dzielącymi stadka w każdym z owych kół, całkowita przestrzeń ogarnięta w tej chwili przez roje wielorybów musiała obejmować przynajmniej dwie czy trzy mile kwadratowe. W każdym razie – choć podobny sprawdzian dokonany w owym momencie był zapewne zwodniczy – nawet z naszej niskiej szalupy mogliśmy wypatrzyć fontanny tryskające niemal na samym skraju horyzontu. Wspominam o tej okoliczności, ponieważ czy to krowy i cielęta rozmyślnie zamknięto w tej wewnętrznej zagrodzie, czy ogromna rozległość stada nie pozwoliła im dotąd poznać właściwej przyczyny zatrzymania – czy też, kto wie, dlatego, że były tak młode, niezepsute i pod każdym względem niewinne i niedoświadczone – dość że te pomniejszych wieloryby, od czasu do czasu przybywające ze skraju jeziorka z wizytą do naszej uspokojonej łodzi, wykazywały zdumiewający brak strachu tudzież pewność siebie czy też jakby czarem okiełznany lęk, na którego widok niepodobna było oprzeć się zdumieniu. Podpływały zewsząd, obwąchując nas niby domowe psy, zbliżały się do samych burt i dotykały ich; aż wydawało się, że jakieś zakłęcie nagle je obłaskawiło. Queequeg klepał je po czołach, Starbuck łechtał ich grzbiety lancą, wszelako w obawie przed skutkami na razie wstrzymywał się od ciosu.

Lecz oto hen, w dole, pod tym zdumiewającym światem na powierzchni wód, oczy nasze, gdyśmy wyjrzeni przez burtę, spotkały inny, jeszcze dziwniejszy świat. Albowiem zawieszane wśród owych wodnych sklepień unosiły się kształty karmiących matek wielorybich i tych, które sądząc po olbrzymiej grubości, najwyraźniej miały niedługo matkami zostać. Jak już wspomniałem, jeziorko było do znacznej głębokości

niesłychanie przeźrocyste; i podobnie jak ludzkie niemowlęta ssąc spoglądają nieruchomo i spokojnie nie na pierś, a w przestrzeń, jak gdyby wiodły jednocześnie dwa odrębne życia i wchłaniając doczesny pokarm, duchowo brały jeszcze udział w biesiadzie złożonej z jakichś nieziemskich wspomnień – tak właśnie młode tych wielorybów zdawały się patrzeć w górę, ku nam, ale nie na nas, jak gdybyśmy w ich nowo narodzonych oczach byli jedynie kępką morskich wodorostów. Matki leżące na boku jakby również spokojnie na nas spoglądały. Jedno z tych maleńkich niemowląt, które, jak można było wnosić z pewnych szczególnych oznak, nie miało więcej niż dzień, mierzyło około czternastu stóp długości, a sześciu w obwodzie. Było ono nieco rozdokazywane, chociaż na razie ciało jego niezbyt snadź odpoczęło po uciążliwej pozycji, którą jeszcze tak niedawno zajmowało w matczynym łonie, kędy to z ogonem przy głowie, w pełnej gotowości do ostatecznego skoku, nie narodzony wieloryb leży wygięty niczym łuk tatarski. Delikatne płetwy boczne, płaty jego ogona jeszcze nadal zachowały pofałdowany i zmiętoszony wygląd uszu dziecka świeżo przybyłego z nieznanych stron.

– Lina! Lina! – krzyknął Queequeg wyglądając przez burzę. – Złapany! Złapany! Czyja lina? Kto go trafić? Dwie wieloryby: jedna duży, druga mały!

– Co cię ukąsiło, człowieku? – zawołał Starbuck.

– Patrzeć tutaj – odparł Queequeg wskazując w dół. Podobnie jak wtedy, gdy ugodzony wieloryb, wyciągnąwszy

z bębna setki sążni liny, znurkuje głęboko, a potem znów wypływa do góry ukazując luźne jej skręty, lekko podnoszące się spiralami ku powierzchni, tak i teraz Starbuck ujrzał długie zwoje pępowiny Madame Lewiatanowej, którymi młode ciele było snadź nadal przytwierdzone do swej matki. Nierzadko w toku błyskawicznych wydarzeń polowania owa naturalna lina, której matczyny koniec jest już wolny, splącze się z liną konopną, w ten sposób pętając cielaka. Niektóre z najskrytszych tajników morza objawiły nam się w owej zaklętej sadzawce. Ujrzelśmy w głębinach miłosne igraszki młodych Lewiatanów.<sup>10</sup>

I tak oto, choć je otaczał krąg za kręgiem lęku i trwogi, owe niepojęte stworzenia, znajdujące się pośrodku, swobodnie i bez obawy oddawały się wszelkim pokojowym zajęciom, a nawet z pogodą rozkoszowały się pustotą i uciechą. Ale tak samo przecie pośród huraganowego Atlantyku mojego jestestwa, zawsze w środku raduję się niemym spokojem i podczas gdy ważkie planety nie ustającej zgrzyoty obracają się

---

<sup>10</sup> Kaszalot, podobnie jak i wszystkie odmiany Lewiatana, w przeciwieństwie jednak do większości innych ryb, płodzi swe małe bez względu na porę roku; po okresie brzemienności, który można prawdopodobnie określić na dziewięć miesięcy, wydaje na świat tylko jedno na raz, choć bywało, że w nielicznych znanych przypadkach zrodził Ezawa i Jakuba. Na taką okoliczność ma dwie sutki osobliwie rozmieszczone po obu stronach odbyticy; same piersi jednak znajdują się wyżej. Jeśli przypadkiem owe cenne części karmiącej samicy wieloryba przebite zostaną lancą łowcy, wówczas wylewające się mleko oraz krew matki współzawodniczą w zabarwianiu morza na całe stajania. Mleko jest bardzo słodkie i tłuste, człowiek już go próbował; mogłoby dobrze nadać się do poziomek. Kiedy są przepelnione wzajemnym szacunkiem, wieloryby pozdrawiają się *more hominum*. (Przyp. aut.)

wokoło mnie, gdzieś głęboko, gdzieś daleko w głębi ładu nadal się pławię w wieczystej słodczy radości.

Tymczasem, gdyśmy tak trwali jak urzeczeni, w oddali nagle, opętańcze sceny od czasu do czasu dawały znać o działaniu innych szalup zajętych łowami na skraju stada czy może prowadzących wojnę wewnątrz pierwszego kręgu, gdzie miały obfitość miejsca i łatwość odwrotu. Wszelako widok spętanych klocami, wściekłych wielorybów, tam i sam rzucających się na oślep wskroś kręgów stada, był niczym w porównaniu z tym, cośmy na koniec ujrzeli. Istnieje czasem zwyczaj, że gdy łódź przytrzyma wieloryba o niepospolitej sile i zręczności, usiłuje go się jak gdyby okulać przecinając lub okaleczając jego gigantyczne ścięgno ogonowe. Dokonuje się tego przez rzucenie łopatki wielorybniczej o krótkiej rękojeści, do której uwiązana jest linka dla przyciągnięcia jej z powrotem. Otóż (jak się później dowiedzieliśmy) jeden z wielorybów zraniony w tę część ciała, wszakże podobno nieskutecznie, wyrwał się łodzi zabierając z sobą połowę liny harpunowej i w niesłychanej męce, jaką mu zadawała rana, gnał teraz wskroś krążących kół stada, niby ów samotny konny straceniec Arnold w bitwie pod Saratogą, niecąc popłoch, gdziekolwiek się zjawił.

Jednakże choć rana owego wieloryba była tak bardzo dręcząca, a widok rzeczywiście straszliwy, przecież szczególne przerażenie, jakie najwyraźniej niecił pośród reszty stada, wynikało z przyczyny, którą zrazu przysłoniła nam odległość. Nareszcie jednak dostrzegliśmy, że przez jeden z nieprawdopodobnych wypadków łowieckich ów wieloryb zaplątał się w ciągnioną przez siebie linę harpunową; uciekał mając wbity we własne ciało łopatkę i podczas gdy wolny koniec linki przytwierdzonej do tej ostatniej uwikłał się na dobre w zwoje linki harpunowej, owiniętej wokoło ogona, sama łopaska wysunęła się z ciała wieloryba. Tak więc, umęczony do szaleństwa, roztrzącał teraz toń młóćąc gwałtownie swym giętym ogonem i miotał wokoło ostrą łopatkę, raniąc i mordując własnych towarzyszy.

Ów widok straszliwy najwyraźniej wyrwał całe stado z odrętwiałego lęku. Naprzód wieloryby tworzące skraj naszego jeziora zaczęły się nieco tłoczyć i przepychać wzajemnie, jakby je uniosły słabnące fale, co przyplłynęły z oddali; następnie samo jezioro poczęło się lekko wzdymać i kołysać, znikły podmorskie komnaty małżeńskie oraz dziecinne pokoje, wieloryby tworzące środkowe koła poczęły pływać w coraz bardziej zbitych gromadkach po stale zacieśniającej się orbicie. Tak pierzchał długotrwały spokój. Rychło usłyszano stłumiony, coraz to bliższy szum i wreszcie, niby rozhukane masy kry, kiedy to wiosną pękają lody na wielkiej rzece Hudson, całe zastępy wielorybów wwały się w sam środek, jak gdyby chciały się spiętrzyć w jedną wspólną górę. Natychmiast Starbuck i Queequeg zamienili się miejscami, tak że Starbuck zasiadł na rufie.

– Do wiosła! Do wiosła! – szepnął w napięciu, chwytając rękojeść steru. – Łapcie się teraz za wiosła i bierzcie w kupę! Trzymajcie się, na Boga! Odepchnij go tam, ty, Queequeg, o, tego wieloryba! Dziabnij go! Wal go! Wstawaj i zostań tak! Nuże, ludzie, wiosłować. Nie zważać na ich grzbiety. Podrapcie po nich!

Szalupa była teraz niemal ściśnięta między dwoma wielkimi czarnymi wielorybami, które pozostawiały między swymi długimi cielskami tylko wąziutkie Dardanele. Dzięki

rozpaczliwym wysiłkom wyrwaliśmy się nareszcie na chwilowo otwartą przestrzeń, a następnie szybko się cofnęliśmy, jednocześnie gorliwie wypatrując innego ujścia. Po wielu podobnych wymykaniach się o włos od katastrofy, wypłynęliśmy wreszcie bystro na przestrzeń niedawno objętą jednym z zewnętrznych kół, a przemierzaną teraz przez najróżniejsze wieloryby, które kierowały się gwałtownie do jednego centralnego punktu. Owo szczęśliwe ocalenie okupione zostało tanio utratą kapelusza Queequega, któremu, gdy stał na dziobie i kłuł uciekające wieloryby, zdmuchnął go z głowy wir powietrzny, wywołany przez nagłe a bliskie strzepnięcie szerokich płetw ogonowych.

Aczkolwiek powszechnie poruszenie było teraz tak burzliwe i bezładne, wkrótce przecie przybrało pozór systematycznego ruchu, gdy skupiwszy się wreszcie w jedną zwartą masę, wieloryby ponowiły ucieczkę przed siebie ze zwiększoną chyżością. Dalszy pościg był już bezcelowy, ale szalupy trwały jeszcze na szlaku, aby pochwycić spętane kłocami wieloryby, które mogły w tyle pozostać, jak również aby zabrać tego, którego Fiasz ubił i naznaczył proporczykiem. Proporczyk ów jest to drążek z chorągiewką; dwa lub trzy takie zabiera ze sobą każda szalupa i kiedy ma się na podorędziu dodatkową zwierzynę, zatyka się je pionowo w pływające ciało ubitego już wieloryba po to, aby oznaczyć jego miejsce na morzu, a także jako dowód pierwotnego zięcia w posiadanie, na wypadek, gdyby szalupy jakiegoś innego statku znalazły się w pobliżu.

Wynik tych łowów był poniekąd ilustracją mądrego powiedzenia rybackiego: „Im więcej wielorybów, tym mniejsza zdobycz.” Ze wszystkich spętanych kłocami wielorybów pojмалиśmy tylko jednego. Reszta zdołała na razie ujść, ale tylko po to, by stać się łupem innego statku, jak to się później okaże.

## ROZDZIAŁ LXXXVIII

### SZKOŁY I NAUCZYCIELE

Poprzedni rozdział mówił o olbrzymiej masie, czyli o stadzie kaszalotów; podano w nim również prawdopodobne przyczyny zbierania się ich w tak wielkie skupiska.

Owóz choć czasami spotyka się takie ogromne stada, jednakże, jak się o tym z całą pewnością przekonano, po dziś dzień obserwować można małe, oderwane gromadki obejmujące od dwudziestu do pięćdziesięciu sztuk każda. Takie gromadki znane są pod nazwą „szkół”. Bywają one zazwyczaj dwóch rodzajów; pierwsze składają się niemal wyłącznie z samic, w drugich zaś skupiają się tylko młode krzepkie samce, poufale zwane bykami.

Przy szkole żeńskiej niezmiennie widzimy towarzyszącego jej z galanterią samca w pełni rozrostu, ale nie starego, który za lada alarmem wykazuje swoją rycerskość zajmując miejsce w tyle i osłaniając ucieczkę dam. W rzeczywistości ów dżentelmen jest rozmiłowanym w rozkoszach Ottomanem, co pływa po wodnym świecie otoczony wszelkimi uciechami i karesami haremu. Kontrast między owym Sułtanem i jego konkubinami jest uderzający, gdyż o ile on sam ma zawsze największe lewiatańskie rozmiary, to damy, nawet w pełni wyrosnięte, nie przekraczają jednej trzeciej wielkości przeciętnego samca. Są one w istocie stosunkowo delikatne; powiedziałbym, że nie mają więcej niż pół tuzina jardów w tali. Niemniej jednak nie sposób zaprzeczyć, że na ogół mają dziedziczną skłonność do *embonpointu*.

Jest rzeczą bardzo ciekawą obserwować harem i jego pana w trakcie ich gnuśnych wędrówek. Wzorem osób wytwornych są one bowiem wiecznie w poszukiwaniu nowych wrażeń. Spotyka się je na równiku w porze pełnego rozkwitu ekwatorialnego sezonu żerowego, dokąd, być może, dopiero co powróciły po spędzeniu lata na morzach północnych, w ten sposób wykpiwszy się od wszelkich nieprzyjemnych znojów i upałów letniej pory. Przespacerowawszy się nieco tam i na powrót po promenadzie równika, ruszają na wody wschodnie w oczekiwaniu tamtejszego chłodnego sezonu i tak unikają tej drugiej zbyt wysokiej temperatury roku.

Spokojnie odbywając jedną z tych wędrówek, imć pan wieloryb, jeżeli jakikolwiek dziwny, podejrzany dostrzeże widok, ma zaraz przezorne baczenie na swoją interesującą rodzinę. Gdyby jakiś nieobliczalny, zuchwały młody Lewiatan, spotkany po drodze, zamyślał zbliżyć się poufale do którejś z dam, z jakąże szaloną furią natrze nań Basza i precz go przepędzi! W istocie piękne by to były czasy, gdyby pozbawionym zasad młodym lowelasom miano zezwolić na wdzieranie się w świętość szczęścia domowego; choć z drugiej strony Basza może robić, co chce, a przecie nie jest w stanie utrzymać najbardziej notorycznego Lotaria z dala od swej łóżnicy, ile że — niestety! — wszystkie ryby dzielą ze sobą jedno łożo. Podobnie jak na lądzie damy często stają się przyczyną najsroższych pojedynków między rywalizującymi ze sobą wielbicielami, tak samo rzecz się ma i u wielorybów, które czasem wdają się w śmiertelne bitwy, a wszystko z miłości. Fechtują się siwymi długimi dolnymi szczękami, czasem je szczepiają z sobą, i w ten sposób walczą o zdobycie przewagi, wzorem łosi, co w walce splątują

swe rosochy. Niemal chwyta się wielorybów noszących głębokie blizny po owych potyczkach – bruzdy na głowach, wyłamane zęby, postrzępione płetwy, a w niektórych przypadkach wybite i wywichnięte paszcze.

Przypuściwszy jednak, iż burzyciel domowego ogniska zabierze się precz na pierwszy odruch pana haremu – wówczas ogromnie zabawne jest obserwować tego ostatniego. Wsuwa on delikatnie ogromny kadłub między swą trzódkę i zabawia się tam przez chwilę, zadając męki Tantalą przebywającemu w pobliżu młodemu Lotarowi, niczym pobożny Salomon żarliwie się modlący pośród tysiąca nałożnic. O ile inne wieloryby są w zasięgu wzroku, poławiacze rzadko kiedy rozpoczną łowy na któregoś z owych Padyszachów; Padyszachowie bowiem zbyt rozrzutnie szafują swoimi siłami i dlatego niewiele posiadają oleju. Co się zaś tyczy synów i córek, które płodzą, to owi synowie i córki muszą sobie samodzielnie dawać radę, co najwyżej jedynie z matczyną pomocą. Albowiem wzorem innych wszystkożernych, wędrownych kochanków, jakich by można wymienić, imć Wieloryb nie ma upodobania do dziecinnego pokoju, choć mu go nie brak do buduaru; toteż będąc wielkim podróżnikiem, pozostawia po całym świecie bezimienne dzieci, z których każde jest mu nie znane. Po pewnym czasie wszelako przygasają ognie młodości, w miarę jak narastają lata i melancholia, jak przychodzi zastanowienie wraz ze swymi uroczystymi momentami spokoju; krótko mówiąc ogólne znużenie ogarnia nasyczonego Turczyzna i wówczas umiłowanie ukojenia i cnoty wypiera miłość do dziewcząt: nasz Padyszach wkracza w bezsilny, skruszony, przestrogami brzemienny okres żywota, wyrzeka się haremu i rozpuszcza go, a przemieniwszy się w przykładnego, markotnego starucha wędruje samotnie wśród południków i równoleżników, odmawiając modlitwy i przestrzegając każdego młodego Lewiatana przed miłosnymi błędami.

Otóż jak harem wielorybi zwany jest przez łowców szkołą, tak też pan i władca owej szkoły nosi fachowe miano nauczyciela. Nie jest więc rzeczą całkiem właściwą, choć kryje się w tym wspaniała satyra, iż choć sam do szkoły uczęszczał, teraz chadza po świecie wdrażając innym nie to, czego się tam nauczył, ale poczucie całej tego nedorzecznosci. Zdawałoby się, że jego tytuł nauczyciela wywodzi się w sposób całkiem naturalny od nazwy nadanej samemu haremowi, ale niektórzy mniemają, że człowiek, który po raz pierwszy tak nazwał ów rodzaj sułtańskiego wieloryba, musiał czytać memuary Vidocqa i dowiedzieć się, jakiego typu wiejskim nauczycielem był za młodu ów głośny Francuz, tudzież jakiej natury były owe tajemnicze lekcje udzielane przezeń niektórym z uczennic.

To samo odosobnienie oraz izolację, do jakiej ucieka się nauczyciel w podeszłych latach, stwierdzić można u wszystkich sędziwych kaszalotów. Pojedynek – jak nazywają samotnego Lewiatana – niemal powszechnie okazuje się starcem. Niby czcigodny, omszałobrody Daniel Boone nie chce on mieć nikogo w pobliżu prócz samej Natury i ją właśnie bierze sobie za małżonkę pośród pustkowień wód, ona zaś jest mu najlepszą z żon, choć tyle posępnych zachowuje tajemnic.

Wspomniane już wyżej szkoły złożone wyłącznie z młodych i krzepkich samców stanowią jaskrawy kontrast ze szkołami haremowymi. Albowiem o ile samice wielorybie cechuje charakterystyczna bojaźliwość, to młode samce, czyli Byki-Szkunery,

jak je nazywają, są bezwzględnie najbardziej wojowniczymi ze wszystkich Lewiatanów i przysłowiowo najniebezpieczniejszymi w spotkaniu, wyjąwszy owe przedziwne, siwogłowe, popielate wieloryby, które się czasem spotyka, a które walczyć z wami będą niczym zawzięte szatany, rozwścieczone dotkliwą podagrą.

Szkoły złożone z Byków-Szkunerów są większe od szkół haremowych. Niby ciżba młodych studentów, awanturnicze, żądne uciech i zepsute, taczają się po świecie, tak zuchwałe i rozhukane, że żaden roztropny urzędnik nie ubezpieczyłby ich, podobnie jak nie uczyniłby tego z jakimś awanturniczym chłopakiem z Yale czy też z Harvardu. Rychło jednak porzucają owe brewerie i gdy już urosną do jakichś trzech czwartych pełnego rozmiaru, rozłącza ją się i osobno ruszają na poszukiwanie sposobu urządzenia sobie życia, to znaczy haremu.

Inny moment różniący szkoły męskie od żeńskich jest jeszcze bardziej charakterystyczny dla płci obojga. Przypuśćmy, że ugodzicie takiego Byka-Szkunera. Biedaczysko! Wszyscy koledzy go opuszczają. Ale jeśli porazicie damę ze szkoły haremowej, to jej towarzyszki pływają wokół niej ze wszystkimi oznakami troski, czasem marudząc w pobliżu tak długo, że same padają ofiarą.

## ROZDZIAŁ LXXXIX

### RYBA PRZYTRZYMANA I RYBA WOLNA

Aluzja do proporczyków oraz ich drażków, zamieszczona w przedostatnim rozdziale, nasuwa konieczność złożenia pewnych wyjaśnień co do praw tudzież reguł wielorybnictwa, za których główny symbol i oznakę można uważać ów właśnie proporczyk.

Często się zdarza, że kiedy kilka statków poluje pospołu, jakiś wieloryb, trafiony przez jeden z nich, może się następnie wymknąć i wreszcie paść ofiarą innego; z tym też się łączą liczne pomniejsze ewentualności, które razem składają się na jedną główną całość. Na przykład po znojnym i niebezpiecznym pościgu i upolowaniu wieloryba cielsko jego może się oderwać od żaglowca w czasie gwałtownego sztormu i odsunąwszy się daleko ku zawietrznej, wpaść w ręce innych poławiaczy, którzy wśród spokojnej pogody cichutko je przyholują do boku swego statku nie ryzykując życia ani lin. W ten sposób między wielorybnikami często mogłyby najprzykrzejsze i najgwałtowniejsze wyniknąć kłótnie, gdyby nie istniało pewne pisane czy nie pisane, powszechne, niesporne prawo dające się stosować do wszelkich przypadków.

Zapewne jedynym formalnym kodeksem wielorybniczym, autoryzowanym przez nadanie mu mocy prawnej, był kodeks holenderski. Wydany został przez Stany Generalne w roku pańskim 1695. Ale choć żaden inny naród nigdy nie posiadał jakiegokolwiek pisanego prawa wielorybniczego, przecie amerykańscy poławiacze sami dla siebie stali się prawodawcami i jurystami w tej mierze. Stworzyli system, którego zwięzłość i wszechstronność przewyższa Pandekta Justyniana tudzież statuty Chińskiego Towarzystwa do Walki z Wtrącaniem się w Sprawy Innych Ludzi. Owszem, prawa owe można by wyryć na szelągu królowej Anny czy na zadziórze harpuna i nosić je zawieszane na szyi – tak są krótkie:

I. Ryba Przytrzymana należy do tego, kto ją przytrzymał.

II. Ryba Wolna jest zwierzyną dozwoloną każdemu, kto ją pierwszy pochwycić potrafi.

Tym jednak, co płata figle owemu mistrzowskiemu kodeksowi, jest jego podziwu godna zwięzłość, która wymaga dużego tomu komentarzy, aby go należycie objaśnić.

Po pierwsze: co to jest Ryba Przytrzymana? Ryba żywa czy martwa wówczas nazywa się Przytrzymaną, kiedy jest połączona z obsadzonym przez ludzi statkiem czy łodzią za pomocą jakiegokolwiek środka, nad którym ów stanowiący obsadę człowiek czy ludzie mogą w ogóle panować – obojętne, czy będzie to maszt, czy wiosło, dziewięciocalowa lina, drut telegraficzny, czy pasmo pajęczyny. Tak samo ryba uważana jest za Przytrzymaną, jeśli nosi proporzec czy jakikolwiek inny uznany symbol posiadania – póki załoga, która ją oznaczyła, w sposób oczywisty wykazuje zdolność do przycumowania jej w Itaźdej chwili tudzież zamiar dokonania tego.

To są komentarze naukowe; wszelako komentarze samych wielorybników czasem polegają na mocnych słowach i jeszcze mocniejszych razach – takich Coke-Littletonach pięści. Oczywiście, uczciwsi i bardziej honorowi wielorybnicy zawsze uwzględniają

szczególne przypadki, w których byłoby jaskrawą moralną niesprawiedliwością ze strony jednej załogi rościć sobie prawo do wieloryba uprzednio ścięganego czy ubitego przez drugą. Jednakże inni bynajmniej nie mają podobnych skrupułów.

Jakieś pięćdziesiąt lat temu rozpatrywany był w Anglii ciekawy spór o prawo własności do wieloryba; powodowie wyjaśnili, że kiedy po ciężkiej pogoni za wielorybem na morzach północnych udało się im (powodom) trafić go harpunami, zmuszeni zostali, z uwagi na niebezpieczeństwo życia, do porzucenia nie tylko swych lin, ale nawet własnej szalupy. Ostatecznie pozwani (załoga innego statku) podплыnęli do wieloryba, ugodzili go, zabili, pochwycili i wreszcie przywłaszczyli sobie w oczach powodów. Kiedy zaś upominano owych pozwanych, ich kapitan machnął ręką przed nosem powodów i upewnił ich, że dla uświęcenia dokonanego przez siebie czynu zatrzyma jeszcze ich liny, harpuny oraz łódź, która była przyczepiona do wieloryba w momencie zagarnięcia ryby. Toteż powodowie wytoczyli teraz sprawę o zasądzenie na ich korzyść równowartości wieloryba, lin, harpunów i szalupy.

Pan Erskine był obrońcą pozwanych, a lord Ellenborough sędzią. W trakcie obrony dowcipny Erskine począł ilustrować swoje wywody wspomnieniami o niedawnej sprawie na tle seksualnym, kiedy to pewien dżentelmen, po daremnych próbach okiełznania rozwiązłości swojej małżonki, nareszcie ją porzucił na morzach żywota; jednakże z biegiem lat pożałował tego kroku i wszczął sprawę o przywrócenie posiadania. Erskine występował wówczas po przeciwnej stronie i popierał jej stanowisko, twierdząc, że lubo ów jegomość pierwotnie trafił damę harpunem i niegdyś ją przytrzymał, a porzucił ją wreszcie jedynie z uwagi na ogromnie silne napięcie wynikające z jej nurkującego zepsucia, uczynił to przecie, a więc stała się ona Rybą Wolną; toteż kiedy następny dżentelmen znowu ją zharpunował, dama stała się jego własnością włącznie ze wszelkimi harpunami, jakie w jej ciele znaleźć by można.

Otóż w niniejszym przypadku Erskine dowodził, że przykłady wieloryba i damy wzajemnie się ilustrują.

Wysłuchawszy jak należy owych argumentów i kontrargumentów wielce uczony sędzia w dobitny sposób sprawę rozstrzygnął, a mianowicie: jeśli idzie o szalupę, to przyznał ją powodom, ponieważ opuścili ją jedynie dlatego, aby ratować własne życie, natomiast co do spornego wieloryba, harpunów i lin uznał, że należą one do pozwanych; wieloryb, ponieważ w chwili ostatecznego pochwylenia był Rybą Wolną, a harpuny i liny dlatego, że kiedy ryba zemknęła wraz z nimi, nabyła do tych przedmiotów prawa własności i stąd, ktokolwiek ją później pochwylił, również to prawo do nich zyskiwał. Owóż pozwani pochwycili rybę później, *ergo* wyżej wymienione artykuły im się należą.

Zwykły człowiek, zastanawiając się nad tą decyzją wielce uczonego sędziego, będzie może miał wobec niej zastrzeżenia. Ale jeśli się dokopać do samego pierwotnego sedna sprawy, to owe dwie wielkie zasady, ustanowione w uprzednio zacytowanych bliźniaczych prawach wielorybniczych tudzież zastosowane i wyjaśnione przez lorda Ellenborough w przytoczonej powyżej sprawie, a dotyczące Ryby Przytrzymanej oraz Ryby Wolnej, uznamy po namyśle za podwaliny wszelkiej ludzkiej jurysprudencji;

bowiem mimo swoich wymyślnie rzeźbionych ozdób, Świątynia Sprawiedliwości, podobnie jak Świątynia Filistynów, ma tylko dwie podpory, na których stanąć może.

Czyż nie jest powszechnie znane owo powiedzenie, że Posiadanie to połowa Prawa, i to bez względu na sposób, w jaki dana rzecz w posiadanie się dostała? Ale często Posiadanie jest całością Prawa. Czymże są mięśnie i dusze rosyjskich poddanych i republikańskich niewolników, jeśli nie Rybą Przytrzymaną, której posiadanie całość prawa stanowi? Czym dla drapieżnego właściciela ziemskiego jest ostatni szeląg wdowi, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? A czym ów marmurowy pałac niewykrytego łotra, mający na drzwiach tabliczkę miast proporczyka – czym, jeżeli nie Rybą Przytrzymaną? Czym, jeśli nie Rybą Przytrzymaną, jest rujnujący procent, jaki pośrednik Wysysacz potrąca biednemu bankrutowi, Nędzocie, od pożyczki mającej uchronić rodzinę Nędzoty od śmierci głodowej? Czym jest owe 100 000 funtów dochodu arcybiskupa Ratujdusza, ściągnięte ze skąpego chleba z serem setek tysięcy robotników, którym grzbiet pęka od znoju (a którzy mają zapewnione miejsce w niebiesiech bez żadnej pomocy Ratujdusza), czymże jest owe krągłe 100 000, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? Czym są dziedziczne miasteczka i wioski księcia Wartogłowa, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? Czym jest biedna Irlandia dla owego straszliwego harpunnika, Johna Bulla, jeżeli nie Rybą Przytrzymaną? Czym Teksas dla apostolskiego oszczepnika, Brata Jonatana, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? A więc zważywszy to wszystko, czyż Posiadanie nie jest całością Prawa? Atoli o ile doktryna Ryby Przytrzymanej daje się niemal powszechnie stosować, to pokrewna doktryna Ryby Wolnej ma zakres jeszcze szerszy. Tę można stosować międzynarodowo i powszechnie.

Czym była w roku 1492 Ameryka, jeśli nie Rybą Wolną, na której Kolumb zatknął sztandar hiszpański, znacząc ją tym proporcem w imieniu swego królewskiego Pana i Pani? Czym była Polska dla cara? Czym Grecja dla Turka? Czym Indie dla Anglii? Czym wreszcie stanie się Meksyk dla Stanów Zjednoczonych? Wszystko to Ryby Wolne.

Czym są Prawa Człowieka i Wolności Świata, jeśli nie Rybami Wolnymi? Czym są zdania i opinie wszystkich ludzi, jeśli nie Rybami Wolnymi? A czym jest zasada religijnej w nie wiary, jeśli nie tym samym? Czym są dla ostentacyjnych szmuglerzy-werbalistów słowa myślicieli, jeśli nie Rybą Wolną? Czym jest sama ta wielka kula ziemską, jeżeli nie Rybą Wolną? A czymże ty jesteś, człowieku, jeśli nie Rybą Wolną i Rybą Przytrzymaną zarazem?

## ROZDZIAŁ XC

### GŁOWY CZY OGONY

De balaena vero sufficit, si rex habeat caput, et regina caudam. Bracton, 1. 3, c. 3.

Oto łaciński cytat z księgi praw Anglii, który wraz z kontekstem oznacza, że ze wszystkich wielorybów upolowanych przez kogokolwiek u wybrzeży tego kraju, król, jako Honorowy Wielki Harpunnik, winien otrzymać głowę, królowej zaś należy z respektem ofiarować ogon. Jest to podział, który u wieloryba mocno przypomina przepołwienie jabłka, ponieważ brak tu jakiegś pośredniej reszty. A jako że to prawo w zmodyfikowanej formie po dziś dzień w Anglii obowiązuje oraz z uwagi na fakt, że pod różnymi względami stanowi dziwną anatomię w stosunku do ogólnych przepisów o Rybie Wolnej i Przytrzymanej, omówione to więc zostanie w osobnym rozdziale, na tej samej kurtuazyjnej zasadzie, która skłania koleje angielskie do pokrywania kosztów osobnego wagonu specjalnie zarezerwowanego na użytek rodziny królewskiej. Przede wszystkim, jako osobliwy dowód faktu, że wyżej wspomniane prawo nadal pozostaje w mocy, przystąpię do przedstawienia wam pewnego wypadku, który zdarzył się przed dwoma laty.

Mianowicie jakimś zacynym marynarzom z Dovru czy Sandwich, czy też któregoś z Cinque Ports udało się po uciążliwej pogoni ubić i wyciągnąć na brzeg pięknego wieloryba, którego pierwotnie wypatrzyli daleko od wybrzeża. Otóż Cinque Ports znajdują się czy to częściowo, czy jakoś inaczej pod jurysdykcją kogoś w rodzaju policjanta bądź pedla, zwanego Lordem Strażnikiem. Ponieważ, jak mi się zdaje, otrzymuje on swój urząd wprost od Korony, zatem wszelkie królewskie dochody, wpływające z terytorium Cinque Ports, przypadają mu w udziale. Niektórzy pisarze zowią ów urząd synekurą. Tak jednak nie jest. Albowiem Lord Strażnik bywa czasem bardzo zajęty ściąganiem dochodów, które głównie dzięki temu właśnie ściąganiu stają się jego własnością.

Otóż kiedy ci biedni, ogorzali majtkowie, na bosaka, w portkach wysoko podwiniętych na chuderławych nogach, z trudem wywlekli na suchy ląd tłustą rybę, obiecując sobie dobre 150 funtów za cenny olej i kości, i w wyobraźni, za pieniądze uzyskane z przypadających im części, już pociągali wyborną herbatę w towarzystwie swoich małżonek oraz przednie piwo z przyjaciółmi – podchodzi do nich wielce uczony i bardzo chrześcijański a litościwy jegomość z egzemplarzem Blackstone'a pod pachą i położywszy dłoń na głowie wieloryba powiada: – Ręce precz! Ta ryba, moi panowie, jest Rybą Przytrzymaną. Konfiskuje ją jako własność Lorda Strażnika. – Na to biedni majtkowie w pełnej uszanowania konsternacji – tak rzetelnie angielskiej – nie wiedząc, co powiedzieć, nuże się energicznie drapać po głowach, jednocześnie pozierając żałośliwie to na wieloryba, to na nieznanego. To jednak w żadnej mierze nie poprawiło sprawy ani bynajmniej nie zmiękczyło twardego serca uczonego dżentelmena z egzemplarzem Blackstone'a. Wreszcie jeden z marynarzy, po długim drapaniu się w głowę w poszukiwaniu pomysłu, ośmielił się przemówić:

– Przepraszam wielmożnego pana, ale kto to jest Lord Strażnik?

– Książę.

– Ale książę nie miał nic wspólnego z ułowieniem tej ryby.

– Ryba należy do księcia.

– Znieśliśmy wiele trudów, niebezpieczeństw, mieliśmy trochę wydatków – a to wszystko ma wyjść na korzyść księciu, my zaś nie dostaniemy nic a nic za nasz znoj, krom bąbli na rękach?

– Ryba należy do księcia.

– Czyżby książę był tak ubogi, że zmuszony jest do podobnie rozpaczliwego sposobu zarabiania na życie?

– Ryba należy do księcia.

– Częścią mojego udziału chciałem nieco ulżyć starej matce przykutej do łoża.

– Ryba należy do księcia.

– Czy książę nie zadowoliliby się ćwiartką albo też połową?

– Ryba należy do księcia.

Jednym słowem wieloryb został skonfiskowany i sprzedany, a Jaśnie Oświecony książę Wellington otrzymał pieniądze. Mniemając, że istnieje niejaka możliwość, iż sprawa oglądana w pewnym szczególnym świetle może być – zważywszy okoliczności – w jakimś drobnym stopniu uważana za raczej nieprzyjemną, pewien pocziwy pastor z miasta skierował z całym uszanowaniem pismo do Jaśnie Oświeconego, upraszając go, aby zechciał gruntownie rozpatrzyć sprawę owych nieszczęsnych marynarzy. Na co książę odpowiedział mniej więcej (oba listy zostały opublikowane), że już to uczynił, otrzymał pieniądze i będzie zobowiązany wielebnemu kapłanowi, jeżeli ten w przyszłości (wielebny kapłan) zaniecha wtrącania się w nie swoje sprawy.

Tenże to był bojowy jeszcze starzec stojący u węglów trzech królestw, a wszędzie wymuszający jałmużnę od żebraków?

Łatwo spostrzec, że w tym wypadku rzekome prawo księcia do wieloryba było mu przekazane przez monarchę. Musimy więc zastanowić się, na jakiej zasadzie nadano pierwotnie owo prawo monarsze. Ono samo zostało już wyłożone. Natomiast Plowden podaje nam przyczynę jego powstania. Mówi on, iż wieloryb w ten sposób upolowany należy do króla i królowej „z uwagi na jego znamienitą jakość”. A najtężsi komentatorzy zawsze uznawali to za przekonujący argument w podobnych materiałach.

Czemu jednak król miałby otrzymać głowę, a królowa ogon? Podajcie powód po temu, prawnicy!

W swoim traktacie o „Złocie królowej”, czyli o jej pieniądzach „na szpilki”, pewien dawny autor z Ławy Królewskiej, niejaki William Prynne, tak rzecz wywodzi: „Ogon przypada królowej gwoli wyposażenia jej garderoby w fiszbiny.” Otóż słowa te pisano w epoce, kiedy czarne, giętkie fiszbiny wala grenlandzkiego, czyli właściwego, miały szerokie zastosowanie w damskich gorsetach. Ów fiszbin nie znajduje się jednak w ogonie, a w głowie, tedy mamy tu paskudną pomyłkę u tak mądrego prawnika jak Prynne. Czyż jednak królowa jest syreną, że należy jej ofiarować ogon? Mógłby się tu kryć pewien sens alegoryczny.

Istnieją dwie ryby królewskie, tytułowane tak przez angielskich pisarzy prawników – wieloryb i jesiotr; obie stanowią własność królewską z pewnymi ograniczeniami i

nominalnie dostarczają jednej dziesiątej zwykłych dochodów koronnych. Nic mi nie wiadomo, żeby jakikolwiek inny autor o tym wspominał, ale nasuwa mi się wniosek, że jesiotra musi się dzielić w ten sposób co wieloryba i że król otrzymuje niezwykle zwartą i elastyczną głowę, rybie owej właściwą, co z symbolicznego punktu widzenia jest być może krotocwilnie oparte na jakiejś przypuszczalnej pokrewności. Tak więc najwidoczniej wszystko ma swoją przyczynę, nawet prawo.

## ROZDZIAŁ XCI

### „PEQUOD” SPOTYKA „PAK RÓŻY”

*Próżno się było grzebać w trzewiach onego  
Lewiatana za ambrą szarą, albowiem fetor  
nieznośny poszukiwań wzbraniał. Sir T. Browne,  
V. E.*

W jakiś tydzień czy dwa po ostatniej scenie wielorybniczej, jaką opowiedziano, właśnie kiedyśmy o południu z wolna płynęli po sennym, zamglonym morzu, liczne nosy na pokładzie „Pequoda” okazały się czujniejszymi odkrywcami od trzech par oczu na górze. Doleciał nas szczególny i nie nazbyt przyjemny zapach rozchodzący się po morzu.

– Założyłbym się o coś – rzekł Stubb – że gdzieś w pobliżu jest kilka tych rannych wielorybów, któreśmy wtedy połechtali. Takem i myślał, że niebawem wypłyną brzuchem do góry.

Rychło opary przed nami rozpierzchły się na boki i oto w oddaleniu ujrzelśmy statek, którego zwinięte żagle zwiastowały, iż musi mieć u kadłuba jakiegoś wieloryba. Gdyśmy podpłynęli bliżej, dostrzegliśmy na dziobie barwy francuskie, a po kłębiącej się chmurze drapieżnego ptactwa morskiego, które wokół krążyło, unosiło się w powietrzu i spadało w dół, wnosić było można z pewnością, iż przycumowany wieloryb musi być takim, którego rybacy nazywają „wielorybem zwiędłym”, to znaczy wielorybem, co szezł nie nękany na morzu i pływał jako bezpańskie zwłoki. Można sobie snadnie wyobrazić, jak nieprzyjemny odór wydzielać musi taka masa; gorsze to niżli asyryjskie miasto w czas zarazy, kiedy żywi nie nadążają grzebać umarłych. W istocie odór ten jest przez niektórych uważany za tak nieznośny, że żadna chciwość nie mogłaby ich skłonić, by przycumować statek do takiego wieloryba. Są jednak tacy, co czynią to, mimo faktu, że olej otrzymany z podobnych sztuk jest bardzo niskiej jakości i bynajmniej nie posiada własności olejku różanego.

Zbliżywszy się jeszcze bardziej z zamierającą bryzą, ujrzelśmy, że Francuz ma u kadłuba drugiego wieloryba, ten zaś zdawał się być jeszcze przedniejszym bukietem niż pierwszy. W istocie okazało się, że jest on jednym z tych zagadkowych wielorybów, co zdają się schnać i zdychają z czegoś w rodzaju potężnej dyspepsji, czyli niestrawności, pozostawiającej martwe ciała w stanie niemal całkowitego bankructwa, jeśli idzie o cośkolwiek, co by przypominało olej. Niemniej jednak na właściwym miejscu zobaczymy, że nigdy żaden świadomy rzeczy poławiacz nie kręci nosem na takiego właśnie wieloryba, choćby w ogólności nie wiedzieć jak unikał zwiędłych wielorybów.

„Pequod” podpłynął teraz tak blisko do obcego statku, iż Stubb przysięgał się, że poznaje drzewce swojej łopatki uwikłane w liny, które omotały ogon jednego z tych wielorybów.

– A piękny mi kolega! – śmiał się szyderczo, stojąc na dziobie statku. – Patrzajcie szakala! Wiem dobrze, że te ropuchy, Francuzi, to w wielorybnictwie niedojdy. Czasem

spuszczają łódź za pryskającą falą biorąc ją za wydmuch kaszalota, a jakże. Czasem też wypływają z portu z komorą pełną skrzynek z łożówkami i pudełek z nożycami do świec, w przewidywaniu, że cały olej, jaki zdobędą, nie wystarczy, by w nim zamoczyć knot dla kapitana! Tak, wszyscy to wiemy, ale, widzicie, tu jest ropucha, co się kontentuje naszymi odpadkami, to znaczy tym oto wielorybem z kłocem. Owszem zadawała się też oskrobaniem suchych gnatów tej drugiej cennej ryby, którą tam ma. Biedaczysko! Mówię wam, puść tam który kapeluszek w obrót, zrobimy mu przez litość prezent z odrobiny oleju, bo ten, który dostanie z owego wieloryba, nie nada się do palenia w więzieniu, ba, nawet w celi skazańców. Co zaś się tyczy drugiej ryby, to cóż, gotowym wydobyc więcej oleju wytapiając posiekane trzy nasze maszty, niżeli oni go wyciągną z tej kupy gnatów – ale znów z drugiej strony a nuż zawiera ona coś wartego o wiele więcej niż olej – a tak, szarą ambre? Ciekaw jestem, czy nasz stary o tym pomyślał. Warto by popróbować. Tak, wezmę się do tego! – z tymi słowy ruszył w stronę mostka kapitańskiego.

Tymczasem słaby podmuch ustąpił miejsca zupełnej ciszy, tak że chcąc nie chcąc „Pequod” był teraz na dobre uwięziony w owym zapachu, bez żadnej nadziei na ucieczkę, chyba żeby powiało znowu. Wyszedłszy z kajuty Stubb zwołał załogę swej szalupy i powiosłował ku obcemu statkowi. Przepływając pod jego dziobem zauważył, że zgodnie z wymyślonym gustem francuskim górna część stewy przedniej wyrzeźbiona była w kształt ogromnej zwisającej lodygi pomalowanej na zielono; miast kolców miała sterczące tu i ówdzie szpikulce z miedzi, całość zaś wieńczyła zwinięta symetrycznie bulwa jaskrawoczerwonej barwy. Na deskach dzioba odczytał wypisane wielkimi, złożonymi literami słowa: „Bouton de Rose” – czyli „Pąk Róży” i to właśnie było romantyczne miano owego aromatycznego żaglowca.

Mimo że Stubb nie zrozumiał w napisie owego *Bouton*, przecie słowo *Rose* oraz bulwiasta ozdoba na dziobie, zestawione razem, dostatecznie wyjaśniły mu całość.

– Drewniany pączek róży, co? – zawołał zatykając sobie ręką nos. – Pięknie on wygląda, ale za to jak pachnie!

Owóz aby nawiązać bezpośredni kontakt z ludźmi znajdującymi się na pokładzie, musiał przepłynąć wokoło dziobu na stronę sterbortu, w ten sposób znaleźć się blisko zwiędłego wieloryba i rozmawiać ponad nim.

Dotarłszy do tego miejsca, z ręką ciągle przy nosie, wrzasnął: – „Bouton de Rose”, ahoy! Jest tam u was który z *bouton de ros'ów*, co by gadał po angielsku?

– Tak – odparł zza burty jakiś człowiek z Guernsey, który okazał się pierwszym oficerem.

– A więc, mójże ty pączku różany, czy widziałeś pan białego wieloryba?

– *Jakiego* wieloryba?

– *Białego* wieloryba – kaszalota – Moby Dicka! Widziałeś go pan?

– Nigdy w życiu nie słyszałem o takim wielorybie. *Cachalot blanc!* Białe wieloryb – nie.

– Dobrze więc. Żegnam tymczasem i wpadnę jeszcze za minutę.

Następnie chyżo powiosłował z powrotem do „Pequoda” i widząc, że Ahab, wychylony przez poręcz mostka kapitańskiego, oczekuje odeń relacji, złożył w trąbkę

dłonie i krzyknął: — Nie, kapitanie! Nie! — po których to słowach Ahab cofnął się, a Stubb powrócił do Francuza.

Zauważył teraz, że ów człowiek z Guernsey, który właśnie przełazi przez burzę i manipulował łopatką wielorybniczą, wsadził sobie na nos coś w rodzaju woreczka.

— Co się panu stało w nos? — zagadnął Stubb. — Złamałeś go może?

— Ba, wolałbym, żeby był złamany albo żeby go w ogóle nie miał! — odparł człowiek z Guernsey, który bynajmniej nie zdawał się gustować w pracy, jaką wykonywał. — Ale czemu pan się tak trzymasz za swój własny?

— O, nic takiego. To nos z wosku. Muszę go przytrzymywać. Piękny dzień, nieprawdaż? Powietrze, można powiedzieć, całkiem kwietne. Rzuciłbyś tak nam parę bukietów, *bouton de rose*?

— Czego, u diabła, pan tu chcesz? — ryknął tamten wpadając w nagłą pasję.

— No, no, zachowajże pan trochę chłodu. Chłodu? Tak, o to właśnie chodzi. Czemu nie zapakujesz tych wielorybów do lodu na ten czas, gdy przy nich pracujesz? Ale żart na stronę. Wiesz pan, pączku różany, że próba wydobycia jakiegokolwiek oleju z takich wielorybów to zupełny absurd? Jeśli idzie o tego tu, wyschniętego, to nie ma on nawet kwaterki w całym swoim ścierwie.

— Wiem o tym bardzo dobrze, ale, widzi pan, nasz kapitan nie chce w to uwierzyć. To jego pierwsza wyprawa — był przedtem fabrykantem w Kolonii. Wejdźże pan na pokład, a nuż uwierzy tobie, skoro nie chce wierzyć mnie, i tak się może wymigam od tej brudnej roboty.

— Dla pana wszystko, drogi i miły kolego — odparł Stubb i po tych słowach zaraz wdrapał się na pokład. Tam osobliwy widok ukazał się jego oczom. Marynarze w czerwonych włóczkowych czapkach z chwastami przygotowywali ciężkie bloki do windowania wielorybów. Pracowali jednak powoli, a mówili bardzo szybko i bynajmniej nie zdawali się być w dobrym humorze. Wszyscy wysuwali w górę sterczące nosy niczym bukszpryty. Od czasu do czasu kilku z nich rzucało robotę i wdrapywało się na maszty, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Niektórzy, obawiając się zarazy, maczali pakuły w smole węglowej i co chwila podnosili je do nozdrzy. Inni, ułamawszy cybuchy fajek niemal tuż u samej nasady, energicznie wciągali dym tytoniowy, tak że im nieprzerwanie wypełniał drogi oddechowe.

Stubba zaskoczyła ulewa krzyków i klątw, dobywających się z budki kapitańskiej na rufie, spojrzawszy więc w tę stronę ujrzał ogniste oblicze wytknięte zza drzwi uchylonych od wewnątrz. Był to udręczony lekarz okrętowy, który na próżno protestując przeciwko zajęciom tego dnia, wycofał się do budki kapitana (*cabinet*, jak ją nazywał), aby uniknąć zarazy, wszelako chwilami nie mógł pohamować błagalnych lub pełnych oburzenia okrzyków.

Zauważywszy to wszystko Stubb dobrze sobie wróżył o powodzeniu swego planu i zwróciwszy się do człowieka z Guernsey przeprowadził z nim małą pogawędkę, w czasie której obcy oficer dał wyraz swej odrazie dla własnego kapitana jako zarozumiałego kpa, który ich wszystkich w tak niewonne i niekorzystne wciągnął tarapaty. Wysondowawszy go starannie, Stubb spostrzegł się, że jego rozmówca nie ma najmniejszych podejrzeń co do szarej ambry. Dlatego zachował milczenie na ten temat,

ale poza tym rozmawiał zupełnie szczerze i poufale, toteż obaj rychło nagotowali pewien mały plan mający na celu zarówno wyprowadzenie w pole, jak i ośmieszenie kapitana, tak aby temu nawet się nie śniło wątpić w ich szczerłość. W myśl owego małego planu człowiek z Guernsey miał pod pozorem funkcji tłumacza mówić kapitanowi, co mu się żywnie spodoba, podając to jednak jako słowa pochodzące od Stubba; ten zaś miał wygadywać wszelakie bzdury, jakie mu w trakcie rozmowy ślina na język przyniesie.

W tym momencie ich przysła ofiara wynurzyła się ze swej kajuty. Był to niski i ciemnowłosy człowiek, wyglądający nieco zbyt delikatnie jak na kapitana morskiego, noszący wszelako ogromne bokobrody i wąsy; miał na sobie kurtkę z czerwonego bawełnianego welwetu, u boku zaś zwiślały mu pieczętki od zegarka. Temu to dżentelmenowi przedstawił uprzejmie Stubba człowiek z Guernsey, który natychmiast począł ostentacyjnie udawać, że tłumaczy rozmowę toczącą się między nimi.

– Co mam mu na wstępie powiedzieć? – zapytał.

– No cóż – odparł Stubb przyglądając się welwetowej kurtce, zegarkowi i pieczęciom. – Możesz mu pan na początek powiedzieć, że wygląda mi nieco dziecinnie, chociaż nie twierdzę, że jestem dobrym sędzią.

– On mówi, *monsieur* – rzekł po francusku człowiek z Guernsey zwracając się do kapitana – że nie dalej jak wczoraj ich statek rozmawiał z innym, którego kapitan i pierwszy oficer wraz z sześcioma marynarzami zmarli na febrę, bo zarazili się od zwiędłego wieloryba przycumowanego do statku.

Kapitan drgnął i chciwie zażądał dalszych wiadomości.

– Co teraz? – powiedział człowiek z Guernsey do Stubba.

– No, ponieważ tak to łatwo przyjmuje, powiedz mu pan, że kiedy mu się już dobrze przyjrzałem, jestem całkiem pewny, że nie lepiej się nadaje na dowódcę statku wielorybniczego niż małpa z St. Jago. A w ogóle powiedz mu pan ode mnie, że jest szympansem.

– Przysięga się, *monsieur*, że tamten drugi wieloryb, ten suchy, jest jeszcze bardziej śmiertelnie niebezpieczny, niż ten zwiędły, i wreszcie zaklina nas, żebyśmy, jeśli nam życie miłe, odcięli te ryby.

Kapitan niezwłocznie podskoczył naprzód i donośnym głosem rozkazał załodze, aby przestała wciągać bloki i natychmiast rozluźniła liny i łańcuchy przytrzymujące wieloryby przy statku.

– A teraz co? – zapytał człowiek z Guernsey, gdy kapitan do nich powrócił.

– No zaraz, cóż by tu jeszcze? Możesz mu pan teraz powiedzieć, że... że istotnie – powiedz mu, że go wystrychnąłem na dudka, a także – to dodał po cichu do siebie – być może jeszcze i kogoś innego.

– Mówi, *monsieur*, że jest bardzo szczęśliwy, iż mógł nam oddać przysługę.

To usłyszawszy kapitan zaklął się, że wdzięczność jest po ich stronie (mając na myśli siebie tudzież oficera), i zakończył zaproszeniem Stubba na dół, do swojej kajuty, na flaszkę bordeaux.

– Prosi, żeby pan z nim wypił lampkę wina – rzekł tłumacz.

– Podziękuj mu pan z całego serca, ale powiedz, że jest sprzeczne z moimi zasadami pić z człowiekiem, którego oszwabiłem. Powiedz mu w ogóle, że muszę już odejść.

– Mówi, *monsieur*, że jego zasady nie pozwalają mu pić, ale jeżeli *monsieur* chce wyżyć jeszcze jeden dzień, żeby się napić, to najlepiej uczyni spuszczać wszystkie cztery łodzie i odciągając statek od tych wielorybów, bo jest taka cisza, że same nie spłyną. Stubb był już za burtą i zląwszy do szalupy zakrzyknął na człowieka z Guernsey obwieszczając mu, że ponieważ ma w łodzi długą linę holowniczą, uczyni, co potrafi, żeby im przyjść z pomocą i odciągnąć od ich żaglowca lżejszego z dwóch wielorybów. I podczas gdy szalupy francuskie zabrały się do holowania statku w jedną stronę, Stubb życzliwie odciągał swego wieloryba w drugą, ostentacyjnie wypuszczając z łodzi niebywale długi hol.

Wprędce powiała bryza; Stubb udał, że porzuca wieloryba, Francuz wciągnąwszy swe szalupy rychło się oddalił, a „Pequod” wsunął się między niego i Stubbowego wieloryba. Wówczas Stubb szybko powiosłował do unoszącego się na wodzie cielska i zakrzyknąwszy do „Pequoda”, by mu oznajmić o własnych zamiarach, natychmiast przystąpił do zbierania owoców swego nieuczciwego podstępu. Chwycił ostrą łopatkę i począł wycinać w ciele wydrążenie, nieco w tyle za boczną płetwą. Można było niemal pomyśleć, że wykopuje tam w morzu piwnicę; kiedy zaś wreszcie jego łopatka uderzyła o chude żebra, było to tak, jakby potracił stare, rzymskie kafle czy naczynia zagrzebane w tłustym angielskim ile. Cała załoga jego łodzi zdradzała niezwykle podniecenie i pilnie dopomagała swojemu dowódcy z gorliwością równą tej, jaką się odznaczają poszukiwacze złota.

A przez cały czas nieprzeliczone rzesze ptactwa nurkowały, pluskały się i biły wokoło nich. Stubb zaczynał zdradzać rozczarowanie, zwłaszcza że wzmagał się straszliwy odór, gdy nagle z samego jądra tego smrodu dobył się wątyły strumyk woni perfum, który spłynął wskroś potopu cuchnących wyziewów nie dając się przez nie pochłonać, niby jedna rzeka, co wpływa w drugą i podąża pospołu dalej, przez czas jakiś z nią się nie mieszając.

– Mam! Mam! – krzyknął w zachwyceniu Stubb i uderzył o coś w owych podziemnych regionach. – Skarb! Skarb!

Odrzucił łopatkę, wepchnął do środka obie dłonie i wyciągnął garść czegoś, co wyglądało jak dostatek mydło windsorskie czy też tłusty, cętkowany, stary ser, bardzo mazisty i jednocześnie wonny. Łatwo go można było nagnieść palcem; kolor miał pośredni między żółtym i barwą popiołu. I to właśnie, drodzy przyjaciele, była szara ambra, dla każdego aptekarza warta złotą gwineę za uncję. Zebrano jej jakieś sześć garści, ale jeszcze więcej bezpowrotnie przepadło w morzu; można było wydobyć znacznie większą ilość, gdyby nie donośny rozkaz zniecierpliwionego Ahaba, który wołał, by Stubb dał pokój i wracał na pokład, gdyż w przeciwnym razie statek pożegna się z nimi.

## ROZDZIAŁ XCII

### SZARA AMBRA

Owóż ta szara ambra jest wielce ciekawą substancją i tak ważnym przedmiotem handlu, że w roku 1791 niejaki kapitan Coffin, pochodzący z Nantucket, był na ten temat przesłuchiwany w brytyjskiej Izbie Gmin. Albowiem w owej dobie, a zresztą i do stosunkowo niedawnych czasów, właściwe pochodzenie szarej ambry, zarówno jak i ona sama pozostawały zagadką dla uczonych.

Należy tu stwierdzić, że istnieją dwa zupełnie odrębne rodzaje ambry. Albowiem choć zwykłą ambre można wprawdzie czasem znaleźć na morskim wybrzeżu, bywa ona jednak wykopywana także z ziemi położonej daleko w głębi lądu; natomiast ambry szarej nigdzie się poza morzem nie znajduje. Prócz tego ambra zwykła jest twardą, przezroczystą, łamliwą i bezwoną substancją, używaną do wyrobu ustników do fajek, paciorków i ozdób, natomiast ambra szara jest miękka, woskowata, a tak niezwykle aromatyczna i ostro pachnąca, że ma szerokie zastosowanie przy wyrobie perfum, kadzideł, drogich świec, pudru do włosów oraz pomad. Turcy używają jej przy gotowaniu potraw, a także noszą do Mekki dla tych samych celów, dla których nosi się kadzidło do Sw. Piotra w Rzymie. Niektórzy winiarze wrzucają kilka ziarenek ambry do klaretu, ażeby podnieść jego aromat.

Któż by pomyślał, że tak wykwintne damy i panowie rozkoszują się esencją znajduwaną w sromotnych jelitach chorego wieloryba! A jednak tak się dzieje. Szarą ambre jedni uważają za przyczynę, inni zaś za skutek niestrawności u wieloryba. Trudno orzec, w jaki sposób należy leczyć podobną niestrawność – można by chyba tylko zastosować wielorybowi trzy czy cztery pełne szalupy pigułek przeczyszczających, a następnie zmykać przed niebezpieczeństwem, podobnie jak to czynią robotnicy wysadzający w powietrze skały.

Zapomniałem nadmienić, że w tej szarej ambrze znaleźliśmy twarde, krągłe, kościane płytki, które Stubb wziął zrazu za guziki od spodni marynarskich; okazało się jednak później, że nie było to nic innego, jak kawałki kości drobnych mięczaków, w ten sposób zabalsamowane.

Czyż jest rzeczą bez znaczenia, iż ową nieskazitelność najwonnejszej ambry znajduje się w samym sercu takiego rozkładu? Przypomnijcie sobie słowa św. Pawła w liście do Koryntian, mówiące o skazitelności i nieskazitelności, o tym, jak to wsiewani jesteśmy w niesławie, ale wschodzimy w chwale. A także przywołajcie sobie na pamięć owo powiedzenie Paracelsusa o tym, co czyni piżmo najprzedniejszym. Nie zapominajcie także i o dziwnym fakcie, że ze wszystkich rzeczy cuchnących najgorsza jest woda kolońska w swoich początkowych stadiach wytwarzania.

Chciałbym zakończyć rozdział powyższym wezwaniem, nie mogę jednak tego uczynić, jako że gorąco pragnę odeprzeć często stawiany wielorybnikom zarzut, który w opinii pewnych uprzedzonych ludzi mógłby znaleźć pośrednie potwierdzenie w tym, co tu powiedziano o obu wielorybach Francuza. Na innym miejscu w książce niniejszej odparta już została oszczerza plotka, iż rzemiosło wielorybnicze jest zajęciem na

wskroś niechlujnym i brudnym. Jest wszakże jeszcze inna rzecz, której należy dać odpawę. Mówi się, iż wszystkie wieloryby zawsze cuchną. Skądże się wzięło owo piętno ohydne?

Moim zdaniem jest jasne, że bierze ono swój początek od chwili, kiedy to przed z górą dwustu laty pierwsze statki wielorybiczne przybyły z Grenlandii do Londynu. A to mianowicie dlatego, że owi wielorybnicy ani naówczas, ani obecnie nie wytapiają oleju na morzu, jako to zawsze czynią statki południowe, lecz pociąwszy świeży tłuszcz na niewielkie kawałki, wpychają je przez otwory szpuntowe do ogromnych beczek i w ten sposób wiozą do domu, ile że krótkotrwałość sezonu łowieckiego na owych lodowatych morzach oraz nagle, a gwałtowne sztormy, na jakie są narażeni, nie pozwalają na jakiegokolwiek inne rozwiązanie. Skutek jest taki, że kiedy otworzyć komory i rozładować na nabrzeżu portowym któryś z owych wielorybich cmentarzy, wydaje on woń przypominającą poniekąd tą, która się rozchodzi, kiedy się rozkopuje stary cmentarz miejski, aby założyć w tym miejscu fundamenty pod szpital położniczy.

Domyślam się również, że to nikczemne oskarżenie, wymierzone przeciwko wielorybnikom, częściowo przypisać można istnieniu za dawnych czasów na wybrzeżu Grenlandii wioski holenderskiej zwanej Schmerenburgh albo Smeerenberg, przy czym właśnie tego ostatniego miana używa uczonego Fogo Von Slack w swym wielkim dziele o zapachach, będącym źródłową pracą na ten temat. Jak sama nazwa wskazuje (smeer – tłuszcz; berg – stawiać), wioskę ową wybudowano po to, by w owym miejscu holenderska flotylla wielorybiczna mogła wytapiać tłuszcz nie wożąc go do Holandii. Było to skupisko pieców, kadzi do tłuszczu oraz składów oleju; kiedy zaś fabryka była w pełnym ruchu, musiała z pewnością wydzielać woń niezbyt przyjemną. Rzecz się ma jednak zgoła inaczej ze statkiem wielorybicznym z mórz południowych, który podczas mniej więcej czteroletniej wyprawy, wypełniając po brzegi ładownię olejem, na wytopienie go nie poświęca nawet pięćdziesięciu dni; w tym zaś stanie, w jakim się olej załadowuje do beczek, jest on prawie bezwonny. Prawda wygląda tak, że wieloryby jako gatunek – żywe czy martwe – jeśli się z nimi przyzwyczają obchodzić, nie są bynajmniej zwierzętami cuchnącymi, a wielorybików nie sposób rozpoznać tak, jak rzekomo ludzie wieków średnich rozpoznawali Żyda wśród zebranych – a mianowicie za pomocą nosa. Niepodobna też, żeby wieloryb nie był pachnący, skoro z reguły cieszy się tak wybornym zdrowiem, zażywa w bród ruchu i zawsze przebywa poza domem, choć co prawda rzadko kiedy na otwartym powietrzu. Twierdzą, że poruszenie ogona kaszalota ponad wodą rozsiewa woń perfum, podobnie jak wówczas, gdy piżmem pachnąca dama poruszy sukniemi w nagrzanym salonie. Do czegoż więc mam przyrównać kaszalota pod względem aromatyczności, jeśli wziąć pod uwagę jego ogrom? Czy nie do owego przesławnego, pachnącego mirrą słonia o kłach zdobnych w klejnoty, którego wyprowadzono z pewnego indyjskiego ogrodu, by uczcić Aleksandra Wielkiego?

## ROZDZIAŁ XCIII

### ROZBITEK

Nieledwie w kilka dni po spotkaniu z Francuzem niesłychanie znaczący wypadek przydarzył się najmniej znaczącemu spośród członków załogi „Pequoda” ; wypadek niezwykle opłakany, w wyniku którego płynący ku swemu przeznaczeniu żaglowiec, jakże często szalony wesołością, zyskał żywą i stale towarzyszącą mu przepowiednię nieszczęsnego losu, jaki mógł mu przyspaść w udziale.

Otóż na statku wielorybniczym nie każdy wsiada do szalup. Pozostają nieliczni marynarze zwani „dozorcami”, których zadaniem jest prowadzenie żaglowca, podczas gdy łodzie ścigają wieloryba. Z reguły owi dozorczy to ludzie równie krzepcy jak ci, co tworzą załogi szalup. Ale jeśli na statku trafi się jakiś niezwykle wiotki, niemrawy czy lękliwy osobnik, będzie on niechybnie uczyniony dozorcą. Tak było i na „Pequodzie” z owym małym Murzynkiem przewiskiem Pippin, w skróceniu: Pip. Biedny Pip! Słyszeliście już o nim przedtem; musicie pamiętać ten jego bębenek owej dramatycznej nocy, tak ponuro wesołej.

Zewnętrznym wyglądem Pip i Klucha pasowali do siebie niczym biały i czarny kucyk równego wzrostu, choć odmiennej maści, w jednym ekscentrycznym idące zaprzęgu. O ile jednak nieszczęsny steward miał z natury umysł tępy i niemrawy, to Pip, choć nazbyt czułego serca, był w gruncie rzeczy bardzo żywy, tą miłą, radosną, wesołą żywością, właściwą jego plemieniu, które zawsze obchodzi wszystkie święta i uroczystości z większą i bardziej niewymuszoną radością niż jakakolwiek inna rasa. Dla czarnych kalendarz powinien by wskazywać wyłącznie trzysta sześćdziesiąt pięć Czwartych Lipca lub Dni Noworocznych. Nie uśmiechajcie się też, gdy napiszę, że ten czarnulek był błyskotliwy, albowiem nawet czerń ma swój połysk; spójrzcie tylko na lśniący heban boazerii w komnatach królewskich. Ale Pip kochał życie i wszystko, co w nim spokojne i bezpieczne, toteż owo straszliwe rzemiosło, w które się jakimś niepojętym sposobem uwikłał, srodze przyćmiło żywość jego usposobienia. Jednakże, jak się niebawem okaże, to, co w nim było chwilowo zdławione, miały później ponuro opromienić dziwne ognie szaleństwa, przydając mu pozornie po dziesięćkroć większego blasku od owego przyrodzonego, którym niegdyś, w swoim ojczystym hrabstwie Tolland w Connecticut, ożywiały niejedną zabawę muzykantów wśród zieleni, o rozśpiewanym wieczorze, zmieniając wesołymi okrzykami krągły horyzont w jedno gwiazdami dzwoniące tamburino. Tak właśnie, chociaż czysty diament, zawieszony na znaczonych błękitnymi żyłkami szyi, będzie w jasnym świetle dnia promieniał zdrowym połyskiem, to jednak, kiedy przebiegły jubiler zechce wam klejnot ukazać w najbardziej imponującym blasku, położy go na tle ciemnym i oświetli nie słońcem, a jakimś nienaturalnym światłem. Wówczas to wystąpią ogniste, szatańsko wspaniałe promienie; wówczas to diament niedobrym gorejący blaskiem, niegdyś boski symbol niebios kryształowych, wyda się klejnotem koronnym skradzionym królowi piekieł. Powróćmy jednak do naszej historii.

Zdarzyło się, że podczas tamtej sprawy z ambrą wioślarz szlakowy Stubba tak sobie wywichnął rękę, iż na czas jakiś został zupełnym kaleką i Pipa wyznaczono chwilowo na jego zastępcę.

Gdy Stubb po raz pierwszy ruszył wraz z Pipem na łowy, ten okazywał ogromną nerwowość, na szczęście jednak uniknął wtedy bliższego kontaktu z wielorybem i dlatego wyszedł z tej przygody niecałkiem niechlubnie, choć obserwujący chłopaka Stubb nie omieszkiał później go zaklinać, by zebrał w kupę całą odwagę, gdyż często może mu się okazać potrzebna.

Atoli za drugim spuszczeniem łódź ich natknęła się na wieloryba, i gdy ten otrzymał cios żelazem, szarpnął się jak zwykle i tym razem uderzenie trafiło w łódź akurat pod siedzenie biednego Pipa. W odruchu przerażenia chłopiec wyskoczył wówczas z szalupy z wiosłem w ręku i to w taki sposób, że trafiwszy pierśią na część luźnej liny harpunowej wypchnął ją swym ciałem za burtę, a wpadając wreszcie do wody, oplatał się w jej zwoje. W tej chwili ugodzony wieloryb pomknął wściekłym pędem, a lina poczęła się szybko napinać; rychło nieszczęsny Pip, cały przesłonięty pianą, wypłynął na powierzchnię pod korytkiem linowym szalupy, ciągniony bezlitośnie przez linę, która po kilkakroć owinęła się wkoło jego piersi i szyi.

Na dziobie stał Tasztego gorejąc łowieckim zapalem. Nie cierpiał Pipa za jego tchórzostwo. Wyrwawszy z pochwy nóż szalupowy wznosił ostrą klingę nad liną i obróciwszy się do Stubba wykrzyknął pytająco: – Ciąć? – Tymczasem sina, zdławiona twarz Pipa wyraźnie mówiła: „Tak, na litość boską!” Wszystko przyszło jak błyskawica. Cała rzecz trwała mniej niż pół minuty.

– Niech go diabli! Tnij! – ryknął Stubb i w ten sposób stracono wieloryba, a uratowano Pipa.

Ledwie biedny Murzynek przyszedł do siebie, już nań spadły złorzeczenia i krzyki marynarzy. Stubb spokojnie zaczekał, póki owe bezładne przekleństwa nie rozwiały się w powietrzu, po czym sklął Pipa w prosty, rzeczowy, ale na poły żartobliwy sposób, a następnie udzielił mu nieoficjalnie wielu zbawiennych rad. Istota ich polegała na tym: „Nigdy nie wyskakuj z łodzi, Pip, chyba żeby...”, cała reszta jednak była nieokreślona, jak to zazwyczaj bywa z najroztropniejszymi radami. Otóż na ogół w wielorybnictwie właściwe motto brzmi: „Trzymaj się łodzi” ; czasami jednak zdarzają się przypadki, kiedy jeszcze lepsze będzie: „Wyskakuj z łodzi”. Nadto Stubb, jak gdyby spostrzegłszy się wreszcie, że jeśli nie będzie Pipowi udzielał treściwych, nierozwodnionych rad, to pozostawi mu na przyszłość zbyt szerokie możliwości wyskakiwania, zaniechał nagle wszelkich wskazówek i zakończył stanowczym rozkazem: „Trzymaj się łodzi, Pip, i na Boga, pamiętaj, że nie będę cię wylawiał, jak wyskoczysz. Nie możemy sobie pozwolić na trawienie wielorybów, przez takich jak ty. Wieloryba można sprzedać za trzydziestokrotnie wyższą sumę od tej, którą za ciebie dadzą w Alabamie. Zakonotuj to sobie dobrze i więcej nie wyskakuj.” W ten sposób, być może, Stubb dał pośrednio do zrozumienia, że choć człowiek miłuje bliźniego swego, przecie jest zwierzęciem robiącym pieniądze, która to skłonność aż nazbyt często tłumi w nim uczucie życzliwości.

Wszyscy jednakże jesteśmy w rękach bogów i Pip wyskoczył znowu. Odbyło się to w okolicznościach bardzo podobnych do pierwszego razu; teraz jednak nie wyrzucił pierściami liny, toteż, kiedy wieloryb począł pędzić, Pip pozostał w tyle na morzu, niby walizka podróżnego, który się zbyt pośpieszył. Niestety! Stubb okazał się aż nazbyt wierny danemu słowu. Był to przepiękny, szczodroblivy, błękitny dzień; roziskrzony morze, spokojne i chłodne, płasko rozpościerało się wszędy wokoło aż po horyzont niby skowany do ostatka arkusz złotej folii. W tym morzu podrzucana w górę i w dół hebanowa głowa Pipa wydawała się główką cebuli. Żaden nóż nie podniósł się w szalupie, gdy chłopak wypadł tak raptownie za rufę. Nieubłagane plecy Stubba odwróciły się od niego; wieloryb zaś mknął jak na skrzydłach. Po trzech minutach Pipa i Stubba dzieliła już cała mila bezbrzeżnego oceanu. Ze środka morza Pip wznosił kudłatą, kędzierzawą, czarną głowę ku słońcu – temu drugiemu rozbitkowi, samotnemu, choć najwynioślejszemu i najbardziej promiennemu.

Otóż pływanie na pełnym morzu podczas spokojnej pogody jest równie łatwe dla człowieka doświadczonego, jak na lądzie przejażdżka resorowanym powozem. Nieznośna jest tylko straszliwa samotność. Mój Boże, któż potrafi opisać napiętą koncentrację własnego „ja” wpośród tak bezlitosnego ogromu? Uważcie, jak to marynarze, zażywający kąpieli na pełnym morzu w czasie absolutnej ciszy, blisko się tulą do swojego statku i pływają tylko wzdłuż jego kadłuba.

Czy jednak Stubb naprawdę pozostawił biednego Murzynka na pastwę losu? Nie, a przynajmniej wcale nie miał takiego zamiaru. Jego szlakiem płynęły bowiem jeszcze dwie szalupy i Stubb bez wątpienia przypuszczał, że bardzo szybko przybliżą się do Pipa i wyłowią go, chociaż co prawda tego rodzaju względy dla wioślarzy, którzy się narazili na niebezpieczeństwo dzięki własnej lekkości, nie zawsze bywają okazywane przez łowców w podobnych okolicznościach, a przypadki takie nierzadko się zdarzają i w wielorybnictwie tchórz jest niemal zawsze napiętnowany tą samą okrutną nienawiścią, która jest właściwa wojsku czy marynarce wojennej.

Tak się jednak zdarzyło, że owe łodzie nie widziały Pipa, natomiast nagle wypatrzyły wieloryby niedaleko w bok od siebie, skręciły więc i rozpoczęły pościg; a szalupa Stubba była już teraz tak daleko, zaś on sam i jego załoga tak zapatrzeni w swoją rybę, że otaczający Pipa horyzont zaczął się okrutnie wokół niego poszerzać. Najczystszy przypadkiem sam statek ocalił go na koniec, ale od tej chwili mały Murzynek chodził po pokładzie niespełna rozumu; za takiego przynajmniej go uważano. Morze, jak na urągowisko, utrzymało na powierzchni jego doczesną powłokę, pochłonęło natomiast nieskończoność jego duszy. Nie całkiem jednak. Raczej ją żywcem poniosło w niesamowite głębiny, kędy przedziwne kształty niezmiennego, pierwotnego świata przesuwają się tam i z powrotem przed jej biernymi oczami; kędy owa skąpa wodnica, Mądrość, ukazała swe nagromadzone bogactwa, a pośród radosnych, okrutnych, zawsze młodych, wieczystych spraw Pip ujrzał nieprzeliczone, jak Bóg wszechobecne, koralowe owady, co z głębi firmamentu wód dźwigają olbrzymie globy. Ujrzał stopę Boga na pedale krosien i opowiadał o tym – dlatego też koledzy-marynarze nazwali go szaleńcem. Tak więc szaleństwo człowiecze jest w niebie rozumem, a odchodząc od wszelkiego ludzkiego rozsądku człowiek dociera wreszcie

do owej myśli niebiańskiej, co dla rozumu jest niedorzeczna i obłędna; w złej czy dobrej doli czuje się on wówczas nieustępliwy i obojętny jak Bóg.

A zresztą nie potępiajcie Stubba zbyt surowo. Rzecz taka jest w wielorybnictwie pospolita i w dalszym ciągu tej powieści okaże się jeszcze, w jak podobnym opuszczeniu ja sam się znalazłem.

## ROZDZIAŁ XCIV

### UŚCISK DŁONI

Owego tak drogo okupionego wieloryba Stubba przyciągnięto z kolei do boku „Pequoda”, gdzie wszelkie wyżej wyszczególnione operacje krajania i windowania odbyły się jak należy, aż do odszpuntowania heidelberskiej beczki, czyli pudła włącznie.

Gdy jedni marynarze zajęci byli tymi czynnościami, inni odciągali większe beczki, ledwie je napełniono olbrotem; we właściwym zaś czasie ów olbrot poddano starannym zabiegom poprzedzającym przetopienie, o czym zaraz będzie mowa.

Ostygl on i skryształizował się do tego stopnia, że kiedy wraz z kilkoma towarzyszami zasiadłem przy wypełnionej nim potężnej wannie Konstantyna, okazało się, iż osobliwie zakrzepł w grudki, tu i ówdzie pływające w części płynnej. Naszym zadaniem było rozgniatać owe grudki z powrotem na ciecz. Słodki to i namaszczony obowiązek! Nie dziwota, że za dawnych czasów olbrot był tak ulubionym kosmetykiem. Jak on oczyszcza! Jaką ma słodycz! A delikatność! I jak cudownie zmiękcza skórę! Potrzymano w nim dłonie zaledwie przez kilka minut, poczułem, że palce moje stają się niby węgorki, że zaczynają jakby wić się i spiralizować.

Kiedy po zaciekłych mozołach u kabestanu zasiadłem wygodnie na pokładzie skrzyżowawszy po turecku nogi, a nad głową miałem spokojne, błękitne niebo; kiedy statek pod leniwymi żaglami sunął tak pogodnie naprzód; kiedy zanurzałem dłonie między owe miękkie, delikatne kuleczki utworzone z nasiąkniętych cieczą tkanek, co ukształtowały się niemal w ciągu godziny; kiedy one szczerze pękały pod moimi palcami rozlewając całe swe bogactwo niby w pełni dojrzałe, tryskające sokiem winne jagody; kiedym wdychał ich aromat niepokalany – doprawdy zupełnie podobny do woni wiosennych fiołków – w owej chwili, oświadczam to wam, poczułem się jakby pośród pachnącej łąki. Zapomniałem ze szczętem o naszej straszliwej przysiędze; umywałem od niej dłonie i serce w owym niewysłowionym olbrocie; już niemal zacząłem wierzyć w stary przesąd Paracelsusa, że olbrot posiada rzadką właściwość uśmierzenia żaru gniewu; pławiąc się w owej kąpieli, poczułem się bosko wolny od wszelkiej złej woli, rozdrażnienia czy zawiści jakiegokolwiek rodzaju.

Wyciskać! Wyciskać! Wyciskać! I tak przez cały ranek; wyciskałem ów olbrot, aż na koniec niemal sam się w nim roztopiłem; wyciskałem go, aż wreszcie przyszło na mnie coś w rodzaju osobliwego zapamiętania i zauważyłem, że nieświadomie ściskam dłonie moich towarzyszy pracy, biorąc je za owe miękkie kuleczki. To zajęcie zrodziło we mnie tak szczodre, serdeczne, przyjazne i miłościwe uczucia, iż koniec końców ciągle ściskałem ich dłonie i zaglądałem im sentymentalnie w oczy, jak gdybym chciał powiedzieć: „Ach, drodzy bliźni moi, czemuż mielibyśmy dłużej żywić wobec siebie jakowąś gorycz czy też doświadczać najłżejszego choćby złego humoru lub zawiści! Pójdźcie, zewrzyjmy wokół w uścisku nasze dłonie. Nie – wciśnijmy się wszyscy w siebie nawzajem – roztopmy się powszechnie w samym mleku i olbrocie życzliwości.”

Obym tak mógł wyciskać ów olbrot po wsze czasy! Albowiem teraz, kiedy po długich i ponawianych doświadczeniach pojąłem, że w każdym wypadku człowiek

musi na koniec obniżyć, a przynajmniej odmienić swoje pojęcie osiągalnego szczęścia i lokować je nie w umyśle ani fantazji, ale w żonie, w sercu, łóżku, stole, siodle, kominku czy kraju – teraz kiedy pojąłem to wszystko, gotówem tak wyciskać na wieki. W widzeniach nocnych myślami oglądałem długie szeregi aniołów w raju, z których każdy miał dłonie zanurzone w dzbanie olbrotu.

Rozprawiając o olbrocie wypada pomówić o innych pokrewnych mu rzeczach, na które natrafiamy w trakcie przygotowywania kaszalota do wytapiania tłuszczu.

Mamy tu przede wszystkim tak zwaną „pianę”, którą się otrzymuje ze zwężonego końca ciała ryby, a także i z grubszych części jej płetw ogonowych. Jest ona twarda od stężonych ścięgien – to jakby podściółka z mięśni – zawiera jednak nieco oleju. Po wycięciu „piany” z wieloryba, kraje się ją najpierw na podłużne, dające się przenosić bryły, a potem sieka na kawałki. Bryły te bardzo przypominają bloki marmuru z Berkshire.

Miano „plum-puddingu” nadano pewnym cząstkom mięsa wielorybiego, tu i ówdzie przywartym do „kołdry” tłuszczu i często w znacznym stopniu dzielącym z nią jej mazistość. Rzecz to niezwykle odżywcza, wesola i piękna dla oka. Jak nazwa jej wskazuje, jest niezwykle soczystej, nierównej barwy, z tłem w śnieżne i złociste smugi, nakrapianym plamkami najgłębszego szkarłatu i purpury. Są to rodzynki z rubinów na tle cytrynowym. Wbrew rozsądkowi trudno powstrzymać się od jedzenia tego mięsa. Wyznam, że kiedyś zakradłem się za fokmaszt, by go pokosztować. Smakowało ono po trosze tak, jak, wyobrażam sobie, mógłby smakować królewski kotlet z udźca Louis le Gros, przyjąwszy, iż zabito by go pierwszego dnia po sezonie polowań na dziczyznę, a ów właśnie sezon zbiegł się z niezwykle udanym rocznikiem z winnic Szampanii. Istnieje jeszcze inna substancja, i to bardzo osobliwa, która się ujawnia w toku roboty; uważam jednak, że zbyt jest zagadkowa, aby ją należycie opisać. Nazywana jest „szlamem” ; miano to pochodzi od wielorybników i owa substancja taką się w istocie naturą odznacza. Jest to bowiem coś niewymownie szlamowatego i włóknistego, a znajdujące bywa najczęściej na dnie kadzi, po dłuższym wyciskaniu, a następnie zlanie olbrotu. Ja osobiście uważam, że są to zebrane na dnie, nieprawdopodobnie cienkie, porwane błonki pudła.

Tak zwane „odpadki” to termin stanowiący w gruncie rzeczy własność poławiaczy wielorybów właściwych; czasem jednak zdarzy się, iż go użyją łowcy kaszalotów. Oznacza on ciemną, kleistą substancję, którą się zeskrobuje z grzbietu wala grenlandzkiego, czyli właściwego, i której wielkie ilości zaścielają pokłady tych jednostek niższego rzędu, co polują na owe podlejsze Lewiatany.

„Kleszcze”. Ściśle rzecz biorąc, wyraz ten nie przynależy do wielorybiego słownictwa. Ponieważ jednak używany jest przez wielorybników, stał się więc jego częścią. Kleszcze wielorybiczne oznaczają krótkie, mocne pasmo ścięgnowe wycięte ze zwężającej się części ogona Lewiatana; ma ono przeciętnie cal grubości, a poza tym jest mniej więcej rozmiarów żelaznej części motyki. Pociągane kaniem po zatłuszczonym pokładzie działa jak skórzana graca i najróżniejszymi sztuczkami pociąga ku sobie, jak za zakłębieniem, wszelkie nieczystości.

Najlepszym jednak sposobem, żeby dowiedzieć się wszystkiego o rzeczach tak niejasnych, będzie zejść natychmiast do komory tłuszczowej i dłużej pogadać z jej domownikami. O tej komorze wspomniano już wyżej jako o miejscu, w którym składa się „kołdry” po zdarciu ich z wieloryba i wywindowaniu na górę. Kiedy nadejdzie właściwy czas, by pociąć zawartość komory, ów apartament staje się widownią okropności w oczach wszystkich nowicjuszy, a już szczególnie nocą. Oto z jednej strony pozostawiono dla pracujących tutaj wolną przestrzeń, oświetloną mdłym światłem latarni. Tworzą oni zazwyczaj pary: jeden niesie pikę i bosak, drugi łopatkę. Pika wielorybnicza przypomina broń tej samej nazwy używaną do walki wręcz na fregatach wojennych. Bosak jest właściwie taki sam, jak ten, którym przyciąga się łodzie. Człowiek uzbrojony w ów bosak zahacza nim płat tłuszczu i usiłuje przytrzymać go na miejscu, aby się nie wysliznął, gdy statek miota się i przechyla na boki. Tymczasem człowiek z łopatką staje na samym płacie i pionowo z góry szatkuje go na przenośne kawałki. Łopatka jest wyostrzona do ostateczności; stopy człowieka są bosc, to, na czym stoi, czasem wysliznie się spod niego niepowstrzymanie niczym sanki. Czyż więc bardzo byście się dziwili, gdyby obciął palec u nogi sobie samemu albo swemu pomocnikowi? Palce u nóg są rzadkością wśród weteranów komory tłuszczowej.

## ROZDZIAŁ XCV

### SUTANNA

Gdybyście wstąpili na pokład „Pequoda” w pewnej fazie owej sekcji zwłok wieloryba i przespacerowali się na przód, w pobliże bratszpilu, jestem pewien, iż obejrzelibyście z niemałym zaciekawieniem bardzo a bardzo dziwny, zagadkowy przedmiot leżący tam wzdłuż korytek odpływowych po zawietrznej. Ani zdumiewająca cysterna olbrzymiej głowy wieloryba, ani dziwo jego wyważonej z zawias dolnej szczęki, ani cud symetrycznego ogona – żadna z tych rzeczy tak by was nie zadziwiła, jak jeden rzut oka na ów niepojęty stożek, dłuższy niż wzrost mieszkańca Kentucky, mający niemal stopę w przekroju u podstawy, i kruczoczarny, niczym Jodżo, hebanowe bożyszczce Queequega. W istocie owa część ciała jest bożyszczem albo raczej był nim jej wizerunek w czasach starożytnych. Takim bożyszczem jak to, które znajdowało się w sekretnych gajach królowej Maacha w Judei; właśnie za oddawanie mu czci, syn jej, król Asa, zdeponizował matkę, zniszczył bałwana i spalił jako ohydę u potoku Cedron, co niejasno wyłożono w piętnastym rozdziale pierwszej Księgi Królów.

Spójrzcie na marynarza zwanego siekaczem, który właśnie podchodzi. Z pomocą dwóch towarzyszy zarzuca sobie z wysiłkiem na plecy grandissimusa, jak zowią go marynarze, i zgiąwszy grzbiet, kuśtyka z nim, niczym grenadier unoszący poległego towarzysza z pola bitwy. Rozłożywszy go na pokładzie forkasztełu poczyna teraz cylindrycznie ściągać zeń ciemną skórę, niby afrykański myśliwiec skórę z węża boa. Z tym się uporawszy, przewraca ją na drugą stronę niby nogawkę od spodni, rozciąga dobrze, tak aby niemal podwoić jej średnicę, i wreszcie, dla wysuszenia, zawiesza mocno napiętą na olinowaniu. Niebawem zdejmuje się ją stamtąd, a ów marynarz, odciawszy z niej jakieś trzy stopy od spiczastego końca, wykrawa dwa otwory na ręce z drugiej strony i wślizguje się do środka. Siekacz stoi teraz przed wami przybrany w pełne szaty kanoniczne swojego zawodu. Używany od niepamiętnych czasów przez cały jego zakon, jedynie ten strój należycie go zabezpieczy przy wykonywaniu szczególnych funkcji wynikających z jego urzędu.

Funkcje te polegają na siekaniu kawałów tłuszczu przeznaczonych do kotła; operacji tej dokonuje się na osobliwym drewnianym koźle, ustawionym jednym końcem przy nadburciu; pod nim umieszczona jest pojemna kadź, w którą posiekane kawałki spadają równie szybko jak kartki z pulpitu uniesionego oratora. Przybrany w godną czerń, stojący na widocznej zewsząd kazalnicy, skupiony nad kartkami Biblii<sup>11</sup> – jakimże kandydatem na arcybiskupa, ba, na samego papieża mógłby być ów siekacz!

---

<sup>11</sup> „Kartki z Biblii! Kartki z Biblii!” Oto okrzyk rzucany nieodmiennie przez oficerów siekaczowi. Zaleca mu on, żeby się starał ciąć tłuszcz na najcieńsze płyty, jako że to wielce przyśpiesza wytapianie oleju i powiększa znacznie jego ilość, nie mówiąc już o tym, że może to polepszyć i jakość. (Przyp. aut.)

## ROZDZIAŁ XCVI

### WYTAPIALNIA

Amerykański żaglowiec wielorybiczny wyróżnia się zewnętrznie, prócz zawieszonych nad burtami szalup, także i wytapialnia tłuszczu. Stanowi ona ciekawą anomalię, gdyż tęgi mur przyłącza się tu do dębu i konopii, by złożyć się na całość statku. Jest to po trosze tak, jak gdyby na pokład przeniesiono z szerokich pól piec do wypalania cegieł.

Wytapialnia stoi między fok- i grotmasztem, w najprzestronniejszym miejscu pokładu. Belki pod nią mają szczególną moc, zdolną do utrzymania ciężaru niemal całkowicie zwartej masy cegieł i zaprawy o wymiarach mniej więcej dziesięciu stóp na osiem i pięciu stopach wysokości. Fundament nie przenika pod pokład, natomiast mury są mocno przytwierdzone do powierzchni tego ostatniego za pomocą ciężkich klamer żelaznych przytrzymujących ze wszech stron i przygważdżających je do belek. Po bokach ściany obite są drzewem, a od góry całość zamknięta jest dużą, wzmocnioną łatami, pochylą pokrywą. Kiedy ją podnieść, ujrzy się dwa wielkie kotły do wytapiania tłuszczu, każdy z nich o pojemności kilku beczek. Gdy nie są w użyciu, kotły te utrzymuje się w niezwykłej czystości. Czasem poleruje się je proszkiem i piaskiem, aż lśnią od wewnątrz niczym srebrne wazy do ponczu. W czasie wacht nocnych poniektórzy cyniczni starzy marynarze wpełzają do środka i tam układają się do drzemki. Kiedy w czasie polerowania owych kotłów w każdym z nich siedzi bok w bok marynarz, wiele poufnych zwierzeń przesyłanych bywa ponad ich żelaznymi wargami. Jest to również miejsce odpowiednie do głębokich matematycznych medytacji. To właśnie w lewym kotle „Pequoda”, kiedy proszek pracowicie wirował w kółko, po raz pierwszy uderzył mnie pośrednio ów zastanawiający fakt, że w geometrii wszystkie ciała sunące po cykloidzie, na przykład tenże mój proszek, opadają z każdego punktu w dokładnie tym samym czasie.

Kiedy się zdejmie klapę żelazną umieszczoną z przodu kotłów, ukaże się nam od tej strony nagi mur, przez który przenikają dwa żelazne wyloty palenisk umieszczone wprost pod kotłami. Owe wyloty wyposażone są w ciężkie drzwiczki z żelaza. Tęgi żar płomienia nie może się przenieść na deski pokładu, gdyż zapobiega temu płytki rezerwuar umieszczony pod całą zamkniętą powierzchnią wytapialni. Za pomocą wprowadzonego w tyle przewodu dopełnia się stale ów rezerwuar, w miarę jak woda zeń paruje. Brak tu wszelkich zewnętrznych kominów; ujście otwiera się bezpośrednio w tylnej ścianie. A teraz cofnijmy się jeszcze na chwilę.

Po raz pierwszy podczas niniejszej wyprawy wytapialnia „Pequoda” ruszyła około dziewiątej wieczorem. Nadzór nad tą sprawą należał do Stubba.

– Wszystko gotowe? Więc zdjęj klapę i zaczynaj! Ty, kucharzu, roznieć ogień pod kotłami! – Była to prosta sprawa, ponieważ przez cały czas podróży cieśla wrzucał do paleniska wióry. Należy tu nadmienić, że na wyprawie wielorybicznej pierwszy ogień pod kotłami trzeba przez pewien czas podtrzymywać drzewem. Potem nie używa się już drzewa, chyba tylko jako środka do szybkiego rozpalenia głównego paliwa. Krótko

mówiąc, po wytopieniu kruche, wysuszone kawałki tłuszczu, w tym stanie zwane „odpadkami” lub „naleśnikami”, zachowują nadal znaczną część swych oleistych własności. Owe „naleśniki” podtrzymują ogień. Jak krwisty, płonący na stosie męczennik czy też mizantrop, który sam się zżera, wieloryb, gdy już raz ogień pod niego podłożył, sam dostarcza dla siebie paliwa i spala się na ogniu z własnego ciała. Oby jeszcze pochłaniał własny dym! Albowiem straszna to rzecz dym jego wdychać, a trzeba to czynić; nie dość na tym, musi się w nim żyć przez czas pewien. Ma on niewysłowiony, okrutny, hinduski odór, taki zapewne jak ten, który się snuje w pobliżu stosów ofiarnych. Pachnie on jak lewica w dzień Sądu Ostatecznego; jest argumentem na rzecz otchłani piekielnej.

O północy wytopialnia była już w pełnym ruchu. Odplynęliśmy od truchła wielorybiego, rozwinięto żagle, wiatr się wzmagał, nieprzenikniony był mrok dzikiego oceanu. Mrok ów jednakże zlizywały wściekle płomienie, które od czasu do czasu rozcapierały się na zewnątrz pokrytych sadzą przewodów oświetlając w górze każdą linię takielunku niby owym słynnym ogniem greckim. Płonący statek sunął przed siebie, jak gdyby bezlitośnie dążąc do jakowegoś mściwego celu. Tak właśnie naładowane smołą i siarką brygi owego zuchwałego hydrioty, Kanarisa, opuszczały nocne kryjówki i, wypłynawszy z wielkimi płatami płomienia miast żagli, spadały na tureckie fregaty spowijając je w pożogę.

Po usunięciu pokrywy z wierzchu całego urządzenia otwierało się teraz szerokie przed nim palenisko. Stały tam cienie z Tartaru – harpunnicy pogańscy, którzy są zawsze palaczami na żaglowcu wielorybniczym. Ogromnymi rozwidlonymi drągami wrzucali syczące masy tłuszczu do rozpalonych kotłów lub też poruszali pod nimi ogień, aż węzowe płomienie wyrwały się w skrętach na zewnątrz, by ich pochwytać za stopy. Dym toczył precz swe ponure kłęby. Każdemu kolebianiu się statku towarzyszyło chluśnięcie wrzącego oleju, który, rzekłbyś, pałał pragnieniem skoczenia w twarz ludziom. Naprzeciw wylotu, w pewnej odległości od tego szerokiego, drewnianego kominka, widniał kabestan. Ten służył za morską sofę. Tutaj zasiadali ludzie z wachty, kiedy nie mieli nic innego do roboty, i spoglądali w czerwony żar ognia, dopóki nie poczęły ich palić oczy pod czaszką. Ogorzałe lica, teraz całe usmolone sadzą i potem, skołtunione brody i kontrast barbarzyńskiego blasku białych zębów przedziwnie się jawiły w kapryśnym przepychu ognia. Gdy tak opowiadali sobie nawzajem swoje bezecne przygody, gdy snuli opowieści o okropnościach, ujęte w słowa pustackie, kiedy nieokrzesany ich śmiech wystrzelał w górę niczym ów płomień z pieca, kiedy przed nimi harpunnicy dziko potrząsali ogromnymi widłami i czerpakami, kiedy wył wicher, morze chlustało, statek jęczał i nurzał się w toni, a jednak uparcie wrażał swe czerwone piekło coraz dalej i dalej w czerń morza i nocy, wzgardliwie gryząc trzymaną w zębach białą kość i gniewnie plując na boki – wówczas to pracy naprzód „Pequod”, pełen dzikich i ładowny ogniem, spalający trupa i nurkujący w czerń mroku, zdał się być materialnym odpowiednikiem duszy swojego maniackiego wodza.

Tak mi się to wszystko wydało, kiedy stałem u steru i przez długie godziny w milczeniu prowadziłem ów okręt ognisty poprzez morze. Sam na ten czas spowity w ciemność, tym lepiej widziałem czerwień, szaleństwo i upiorność innych. Ustawiczny

widok szatańskich cieni, płasających przede mną na poły w dymie, na poły w płomieniach, zrodził nareszcie w mej duszy pokrewne widziadła, gdy tylko zacząłem ulegać owej niepojętej senności, co zawsze mnie nachodzi, gdy o północy stoję u steru.

Tej nocy jednak wydarzył mi się przedziwny (i dotąd nie wyjaśniony) wypadek. Ocknąwszy się z krótkiej drzemki na stojąco, uczułem, iż przenika mnie straszliwa świadomość, że dzieje się coś fatalnie złego. Rumpel z kości szczękowej uderzył mnie w bok, którym się on opierałem; w uszach miałem cichy szum żagli, co właśnie poczęły łopotać na wietrze; mniemałem, że oczy mam otwarte; na wpół uświadomiłem sobie, iż przykładam palce do powiek i mechanicznie rozwieram je coraz szerzej. Jednakże mimo to wszystko nie mogłem dojrzeć przed sobą kompasu, według którego miałem sterować, choć wydawało mi się, że ledwie minutę temu śledziłem go w spokojnym świetle lampy naktuzowej. Przede mną nie było nic prócz czarnego mroku, raz po raz upiornie przerywanego błyskami czerwieni. Przemożne było wrażenie, że ta chyża i mknąca rzecz, na której stoję, nie tyle zmierza do jakiegokolwiek portu przed nami, co umyka od wszystkich portów, które zostały w tyle. Ogarnęło mnie drętwe uczucie oszłomienia, jak gdyby śmierci. Dłonie moje konwulsyjnie chwyciły za rękojęść steru, jednak z obłądną świadomością, że w jakiś zaczarowany sposób odwróciła się ona w drugą stronę. „Boże mój! Co się ze mną dzieje?” – pomyślałem. Zaiste! W czasie krótkiego snu zrobiłem pół obrotu i stałem teraz twarzą do rufy, a plecami do dziobu i kompasu. W jednej chwili obróciłem się na powrót, akurat w sam czas, by zapobiec odpadnięciu statku od wiatru, co najprawdopodobniej przewróciłoby go na bok. Jakże radosne i pełne wdzięczności było to uwolnienie się od niesamowitej nocnej halucynacji oraz fatalnej ewentualności przewalenia się na burtę!

Nie spoglądaj zbyt długo w oblicze ognia, człowiecze! Przenigdy nie śnij z dłonią na rękojęści steru! Nie odwracaj się tyłem do kompasu; przyjmij pierwszą przestrożę szarpiącego się rumpla; nie dowierzaj sztucznemu ogniowi, gdy jego czerwień wszystkim przedmiotom nadaje pozór widmowy! Jutro, w naturalnym świetle słońca, niebiosa będą jasne, tych, co niby szatany gorzeli w językach płomieni, ranek w całkiem odmiennym, a przynajmniej łagodniejszym ukaże kształcie; przepyszne, złociste, radosne słońce, to jedyna rzetelna lampa – wszelkie inne to tylko kłamcy!

A jednak słońce nie ukrywa złowieszczych bagien Wirginii ani przekłętej rzymskiej Kampanii, ani rozległej Sahary, ani milionów mil pustkowi i zgryzot pod księżycem. Słońce nie kryje oceanu, który jest ciemną stroną tej ziemi i który jest dwiema trzecimi tej ziemi. Dlatego to ów śmiertelny człowiek, co więcej ma w sobie wesela niż smutku, nie może być prawdziwym człowiekiem – jest albo nieprawdziwy, albo też prostak. To samo z książkami. Najprawdziwszym ze wszystkich ludzi był Tamten, Boleściwy, a najprawdziwszą z książek – księga Salomona, zaś Eklezjastes to przednia, kowana stal niedoli. „Wszystko jest marnością.” WSZYSTKO. Ten świat uparty nie przejął jeszcze mądrości niechrześcijańskiego Salomona. Lecz ten, kto unika szpitali i więzień, kto szybkim krokiem przemierza cmentarze i woli mówić o operach niż o piekle; ten, kto Cowpera, Younga, Pascala i Rousseau nazywa chorymi biedakami; kto przez całe beztroskie życie zaklina się na Rabelais'ego jako na wielkiego mędrca i przeto właśnie

człowieka wesołego – ten nie jest zdatny, by zasiąść na kamieniach nagrobnych i wraz z niezgłębionym, cudownym Salomonem przebić zieloną, wilgotną pleśń.

Ale wszak nawet Salomon powiada: „Człek, któren zejdzie z drogi rozumu, pozostanie (tzn. nawet za życia) między rzeszą umarłych.” Nie poddawaj się więc ogniowi, gdyż ten cię odwróci i oszołomi, jak to na chwilę uczynił i ze mną. Istnieje mądrość, która jest nieszczęściem, ale istnieje też nieszczęście, które jest obłędem. A jest w niektórych duszach orzeł z Catskill, co zarówno potrafi znurkować w najczarniejsze rozpadliny, jak też i wzbić się z nich znowu i zniknąć w słonecznych przestworach. A nawet jeśliby na zawsze krążył po owych rozpadlinach, toć znajdują się one wśród gór, więc nawet opuszczając się tak nisko, jak tylko może, ów orzeł górski pozostanie nadal wyżej od ptaków z równin, choćby się w górę wzbijały.

## ROZDZIAŁ XCVII

### LAMPA

Gdybyście przeszli od kotłów „Pequoda” na jego forkasztel, gdzie sypia nie pełniąca służby wachta, wówczas przez jedną chwilę pomyślelibyście zapewne, że stanęliście w jakimś oświetlonym grobowcu kanonizowanych królów i kanclerzy. Tam oto spoczywali w swej trójkątnej, dębowej krypcie – każdy marynarz niby rzeźbione milczenie; a tuzin lamp świeciło im w przysłonięte oczy.

Na statkach handlowych olej dla marynarzy jest rzadszy niż mleko monarchiń. Zwykły to los żeglarza odziewać się w ciemnościach, jadać w ciemnościach i po ciemku potykać się w drodze na swój barłóg. Ale wielorybnik, jak szuka pokarmu dla światła, tak też i w świetle żyje. Ze swojej koi czyni lampę Aladyna i w niej się układa, tak iż wśród najciemniejszej nocy czarny kadłub żaglowca kryje w swym wnętrzu iluminację.

Spójrzcie, z jak całkowitą swobodą wielorybnik niesie garść swoich lamp – często po prostu starych butelek i flaszek – do miedzianego naczynia, w którym chłodzi się olej przy kotłach, i tam je na nowo napełnia niby dzbany od piwa u kadzi. A także wypala on najczystszy z olejów w nieprzerobionym i dlatego nieskażonym stanie – płyn nie znany jakimkolwiek słonecznym, księżycowym czy gwiazdnym urządzeniem na ładzie. Olej ten jest słodki jak masło z wczesnych traw kwietniowych. Wielorybnik rusza na łowy w poszukiwaniu swego oleju, aby być pewnym jego świeżości i czystości, tak właśnie jak na prerii podróżnik musi sam sobie upolować wieczerzę ze zwierzyny.

## ROZDZIAŁ XCVIII

### ROZLEWANIE I CZYSZCZENIE

Opowiedziano już, jak to z masztów wypatruje się w oddali wielkiego Lewiatana, jak go się ściga przez wodne rozłogi i ubija w dolinach głębin; jak go się wtedy przyciąga do statku i obcina mu głowę, a wreszcie, jak to (na tej samej zasadzie, która dawniej dawała katu prawo do odzieży ściętego skazańca) jego ogromny, wатовany surdut staje się własnością oprawcy; jak w należywym czasie potwór skazany zostaje na wrzucenie do kotła i niby Sydrach, Misach i Abdenago, jego olbrot, tłuszcz i kości przechodzą bez szwanku przez ogień. Teraz jeszcze pozostaje mi zakończyć ostatni rozdział tej części opisu relacją – opiewaniem, jeżeli potrafię – romantycznego proceduru rozlewania oleju do beczek i opuszczania ich do ładowni, kędy Lewiatan znowu powraca do swych rodzinnych głębin i sunie, jak przedtem, pod powierzchnią wód, niestety jednak po to, by nigdy już nie wypłynąć i nie dmuchnąć.

Olej, póki ciepły, rozlewa się jak gorący poncz do sześcioba-ryłkowych stągwi, a kiedy statek może właśnie miota się i kolebie w tę i tamtą stronę pośród nocnego morza, olbrzymie beki toczą się i koziółkują, czasem groźnie pędząc poprzez oślizły pokład niczym lawiny, póki wreszcie nie pochwycą ich ludzie i nie powstrzymają w pędzie; a wokół, po obręczach, łup, łup, wali je tyle młotków, ile się zmieści, teraz bowiem każdy marynarz jest *ex officio* bednarzem. W końcu, kiedy ostatnia kwarta wlana zostanie do beczek i wszystko już ostygnie, odpieczętowuje się wielkie pokrywy luków, trzewia żaglowca stają otworem i beczki opuszczają się na miejsce swego ostatecznego spoczynku na morzu. Po dokonaniu tego pokrywy wracają na swoje miejsca i luki zostają hermetycznie zamknięte niby zamurowana skrytka.

Przy połowach kaszalotów należy to może do najbardziej uwagi godnych wydarzeń całego wielorybniczego rzemiosła. Jednego dnia deski pokładu spływają strumieniami krwi i oleju; na uświęconym mostku kapitańskim piętrzą się bezpiecznie olbrzymie kawały głowy kaszalota; wielkie zardzewiałe belki walają się tu i ówdzie niczym na dziedzińcu browaru; dym z wytapialni pokrył sadzą wszystkie nadburcia; marynarze chodzą złani tłustością; cały statek zdaje się być samym wielkim Lewiatanem, a hałas jest wszędzie ogłuszający.

Ale w dzień czy dwa później rozglądasz się wokoło po tym samym żaglowcu i szczypiesz się w ucho; gdyby nie te wymowne szalupy i kotły, przysięgłbyś, iż stąpasz po jakimś cichym statku handlowym mającym niebawem schludnego dowódcę. Nie przerobiony olbrot posiada szczególnie oczyszczające własności. Oto przyczyna, dla której pokłady nigdy nie wyglądają równie białe jak tuż po tak ogólnie zwanej „sprawie tłuszczowej”. Poza tym z popiołu pozostałego po spalonych odpadkach wieloryba sporządza się z łatwością mocny ług; i jeśli tylko jakowaś lepkość z grzbietu ryby pozostanie jeszcze przywarta do kadłuba, ług ten szybko ją zniszczy. Majtkowie pilnie krzątają się wzdłuż burt i za pomocą gałganów oraz wiader wody przywracają je do stanu zupełnej czystości. Niższą część takielunku oczyszcza się z sadzy. Wszystkie tak liczne narzędzia, które były w użyciu, również czyści się najsumienniejszym i na bok

odkłada. Wielka pokrywa, uszorowana i umieszczona z powrotem na wytapialni, kompletnie przesłania kotły; wszystkie beczki znikły, liny zwinięto w niewidzialnych zakątkach i kiedy dzięki połączonej i jednoczesnej zapobiegliwości niemal całej załogi żaglowca zakończy się nareszcie owa gruntowna praca, wówczas sami marynarze przystępują do ablucji, przebierają się od stóp do głów i wreszcie wychodzą na niepokalany pokład, wyświeżeni i promienni jak oblubieńcy, którzy tylko co wyskoczyli z jakiejś przeszludnej Holandii.

Teraz po dwóch, po trzech przemierzają pokład rozradowanym krokiem i żartobliwie rozprawiają o salonach, sofach, dywanach i delikatnych batystach, proponują, żeby wysłać deski matami, zastanawiają się, czy nie rozwiesić kotar na masztach, użalają się, że nie pijają herbaty przy księżycu na tarasie forkasztelu. Wspomnieć takim wypachnionym marynarzom o kościach, oleju czy tłuszczu byłoby niemal zuchwalstwem. Nawet nie znają tej rzeczy, o której tu mglisto napomykacie. Odejdźcie i podajcie nam serwetki!

Ale zważcie tylko: tam, w górze, na topach trzech masztów stoją trzej ludzie, pilnie wypatrując nowych wielorybów, które jeśli zostaną upolowane, niechybnie znowu zbrukają stare, dębowe sprzęty i pozostawią gdzieś przynajmniej jedną plamkę oleju. Tak jest – i nieraz się zdarza, że po najsurowszym, nieprzerwanym mozołu, który nie zna, co to noc, i trwa jednym ciągiem przez dziewięćdziesiąt sześć godzin; kiedy z szalupy, gdzie puchły im ręce od całodziennego wiosłowania na równiku, marynarze wstępują na pokład tylko po to, by taskać ogromne łańcuchy, obracać ciężki kabestan, krajać a rąbać i złani własnym potem wędzić się i znowu gorzeć w połączonym ogniu równikowego słońca i równikowych kotłów; kiedy po tym wszystkim zabiorą się wreszcie do oczyszczenia statku czyniąc zeń nieskazitelną izbę mleczarską – nieraz bywa, że biedacy, właśnie zapinając pod szyję czyste kaftany, drgną od okrzyku: „Tam dmucha!” – i znowu pędzą, by walczyć z następnym wielorybem i przejść ponownie przez wszystkie te znoje.

O, przyjaciele, to rzecz dla człowieka zabójcza! Ale takie jest życie. Albowiem ledwie my, śmiertelnicy, długim mozołem wydobędziemy z ogromnej bryły tego świata jego skąpy, lecz cenny olbrot, a potem z niezmordowaną cierpliwością obmyjemy się ze zmazy i nauczymy żyć w czystym tabernakulum duszy – ledwie się to stanie, gdy oto: „Tam dmucha!” – tryska w górę duch i znowu precz żeglujemy, by walczyć z jakimś innym światem i przejść przez stare koleje młodego żywota.

O, metempsychozo! O, Pitagorasie, któryś zmarł w jasnej Grecji dwa tysiące lat temu, tak dobrotliwy, tak mądry, tak łagodny; czasu ostatniej wyprawy żeglowałem wraz z tobą wzdłuż peruwiańskich wybrzeży i choćem głupi, przecie uczyłem ciebie, prostego nowicjusza, jak zaplatać liny.

## ROZDZIAŁ XCIX

### DUBLON

Opowiedziano już przedtem, jak Ahab zwykł był się przechadzać po mostku kapitańskim, regularnie zawracając u każdego końca, u naktuza i u grotmasztu, ale wśród mnogości innych spraw wymagających relacji nie dodano, że czasami w trakcie tych wędrówek, kiedy był najbardziej zatopiony w myślach, miał zwyczaj przystawać kolejno w każdym z tych miejsc i trwał tam, dziwnie wpatrzony w przedmiot znajdujący się przed nim. Kiedy tak stawał przed naktuzem, ze wzrokiem utkwionym w ostrą igłę kompasu, spojrzenie jego uderzało jak oszczep równie ostrym napięciem myśli, co nim owładnęła; kiedy zaś podjąwszy swój spacer stawał z kolei przed masztem i jego wzrok uparty wbijał się w tkwiącą tam złotą monetę – w oczach kapitana widniała znowu tak samo przygważdżająca stanowczość, zasnutą tylko jakowąś dziką tęsknotą czy nawet nadzieją.

Ale pewnego ranka, kiedy zawracał około dublonu, zdało się, iż go na nowo przyciągnęły dziwne znaki i napisy wybite na monecie, jak gdyby to po raz pierwszy zaczął w jakiś maniacki sposób tłumaczyć sobie mogący się w nich kryć sens. A przecież jakieś znaczenie musi się kryć we wszystkich rzeczach, gdyż inaczej wszystkie one byłyby mało warte, zaś cały ten krągły świat – jedynie pustą cyfrą, chyba żeby go sprzedawać na wzory dla zasypania bagien na Mlecznej Drodze, podobnie jak się sprzedaje wzgórza w pobliżu Bostonu.

Owóż ten dublon był z najczystszeo, dziewiczeo złota wykopaneo gdzieś w samym sercu wspaniałych wzgórz, z których na wschód i zachód spływają po złotych piaskach wody niejednego Paktolosa. I choć był teraz przybity wpośród całej tej rdzy żelaznych sworzni i śniedzi miedzianych bretnali, przecie niepokalany i niedotykalny dla jakiejkolwieo zmazy zachował nadal swój blask z Quita. A także chociaż się znalazł wśród nieokiełzanej załogi i każdej godziny przesuwają się po nim nieokiełzane ręce, zaś w czasie długich nocy okrywał go mrok głęboki, który mógłby przesłonić wszelkie złodziejskie poczynania – niemniej jednak każdy wschód zastawał dublon na tym samym miejscu, na którym go zachód zostawił. Albowiem odłożony był i uświęcony dla jedynego, lękiem przejmującego celu i przeto, jakkolwieo swawolne są obyczaje żeglarskie, każdy z marynarzy szanował monetę jako talizman białego wieloryba. Bywało, że o niej gwarzyli w czasie nużących wacht nocnych, zastanawiając się, komu miała wreszcie przypaść w udziale i czy ów człowiek pożyje dość długo, by móc ją wydać.

Otóż te szlachetne złote monety z Ameryki Południowej to jakby medale słońca i oznaki tropików. Wyobrażone są na nich w bujnej obfitości palmy, wulkany i lamy, tarcze słońc oraz gwiazdy, ekliptyki, rogi obfitości i bogate, łopocące sztandary, tak że to drogocenne złoto zdaje się zyskiwać dodatkową cenę i tym wspanialszą świetność przechodząc przez pełne fantazji mennice, tak po hiszpańsku poetyczne.

Zdarzyło się, że dublon „Pequoda” był najbogatszym przykładem tych rzeczy. Wokoło jego krągłej krawędzi biegł napis: REPUBLICA DEL ECUADOR: QUITO. Tak to

więc owa błyszcząca moneta pochodziła z kraju tkwiącego pośrodku świata, pod wielkim ekwatorem, od którego wziął swoje miano; a została odiami gdzieś w Andach, w owej niewiędnej krainie, co nie zna jesieni. Wewnątrz kręgu tych liter widniała podobizna trzech szczytów Andów; z jednego dobywał się płomień, na drugim stała wieża, na trzecim – piejący kogut, a nad tym wszystkim rozpiął się łukiem fragment zodiaku, którego wszystkie znaki ukazywały zwykle swe cyfry kabalistyczne, sam zaś ośrodek – słońce przechodziło u Wag przez punkt, w którym dzień równa się z nocą.

Przed tą ekwatorialną monetą stanął teraz Ahab, co nie uszło uwagi innych.

– Jest zawsze coś z egzotyizmu w szczytach gór i wieżycach, we wszystkich innych rzeczach wspaniałych i wyniosłych. Patrzajcie: oto trzy turnie dumne jako Lucyfer. Ta krzepka wieża to Ahab, ten wulkan to Ahab, dzielny, nieposkromiony, zwycięski ptak to także Ahab. Wszystkie one są Ahabem, a ten krążek złota to po prostu obraz jeszcze krągłego globu, co niby szkiełko czarodzieja każdemu po kolei odsyła odbicie jego własnej, tajemnej jaźni. Wielki znój, a mały zysk czeka tych, co chcą, by świat rozwiązał ich tajemnicę, on sam bowiem pojąć siebie nie potrafi. Wydaje mi się teraz, że słońce na tej monecie ma czerstwe lico, lecz patrzcie! Zaiste, oto wchodzi w znak burzy, w ekwinokjuin. Ale ledwie sześć miesięcy temu wytoczyło się z poprzedniego, u Ariesa! Od burzy do burzy! Niech więc tak będzie. Słuszne jest, by człek, zrodzony z bólu, żył w bólu i pomarł w bólu! Niechże więc tak będzie! Oto przedni żer dla niedoli. Niech się tak stanie.

– To nie czarodziejskie palce dotknęły tego złota, ale szpony szatana musiały pozostawić na nim od wczoraj swe ślady – szepnął do siebie Starbuck oparty o burzę.

– Stary zdaje się czytać straszliwy napis Baltazara. Nigdy się dobrze nie przyjrzał tej monecie. O, właśnie schodzi na dół. Odczytajmy więc sami. Ciemna dolina między trzema potężnymi, niebotycznymi szczytami, co zdaje się niemal jakimś nikłym, ziemskim symbolem Trójcy. Tak, zatem w tej Dolinie Śmierci otoczył nas Bóg, a ponad naszym smutkiem świeci nadal słońce Sprawiedliwości jako drogowskaz i nadzieja. Jeśli spuścimy oczy, mroczna dolina ukaze nam swój czarnoziem, ale kiedy je podniesiemy, wzrok nasz ku swej radości napotka w pół drogi jasne słońce. Lecz wielkie słońce nie trwa tam stale. Gdybyśmy o północy chcieli zeń czerpać słodkie ukojenie, próżno go będziemy wyglądali. Ten pieniądz mówi do mnie mądrze, łagodnie, prawdziwie, ale jednak smutnie. Odejdę, bo inaczej Prawda wstrząśnie mną zdradliwie.

– O, stary Mogo! – rzekł do siebie Stubb stojący opodal, wytapiałni. – Przyglądał się dublonowi. A teraz Starbuck stamtąd odchodzi, obaj zaś mają miny wydłużone, powiedziałbym, na jakieś dziewięć sążni. A wszystko przez to, że patrzyli na sztukę złota. A ja, gdybym ją teraz miał na Negro Hill albo w Carlear's Hook, nie oglądałbym się długo, żeby ją wydać. Hm, w moim skromnym, nic nie znaczącym mniemaniu jest to rzecz osobliwa. Widywałem ją już dublony w czasie moich wędrówek; dublony ze starej Hiszpanii, z Peru i z Chile, dublony z Boliwii, z Popayanu i w bród złotych moidorów i pistoli, i pensów, półpensów i ćwierćpensów. Cóż więc takiego miałoby tkwić w tym dublonie z Ekwadoru, żeby był tak zabójczo cudowny! Na Golkondę! Niechże i ja raz przeczytam. Oho! Rzeczywiście, ależ tu znaki i cuda! O, właśnie to nazywa stary Bowditch w swym podręczniku zodiakiem. Tak samo zresztą zowie się i ten kalendarz,

co go mam na dole. Przyniosę go i tak jakem słyszał, że można wywołać diabła za pomocą książki arytmetycznej Dabolla, tak samo poprobuję, czy potrafię wydobyć jakieś znaczenie z tych dziwnych wykrętasów przy pomocy kalendarza z Massachusetts. No, mamy go. Teraz się przyjrzymy. Znaki i cuda – i słońce; ono tam zawsze jest między nami. Hm, hm, hm – macieź je wszystkie jak żywe: Aries, czyli Baran, Taurus, czyli Byk i – bodaj to! – Gemini, czyli Bliźnięta we własnej osobie. A słońce wśród nich kołuje. Tak, i na tej tu monecie właśnie przechodzi przez próg dzielący dwie komnaty spośród dwunastu ułożonych kołem. Leżże tu, książko. Fakt faktem, że wy, książki, winnyście znać swoje miejsce. Wystarczy, że nam dacie nagie słowa i fakty, a naszą jest rzeczą dostarczyć myśli. Takie jest moje małe doświadczenie, jeżeli idzie o kalendarz z Massachusetts, podręcznik żeglarski Bowditcha i arytmetykę Dabolla. Znaki i cuda, hę? Szkoda, że nie ma nic cudownego w znakach, a znaczącego w cudach! Gdzieś tu jest jakiś trop. Chwileczkę, zaraz... mam, na Jowisza! Słuchaj no, dublonie, ten twój zodiak to życie człowiecze w jednym okrągłym zamkniętym rozdziale i teraz je odczytam wprost z księgi. Chodź tu, kalendarzu! Na początku jest Aries, czyli Baran – rozpustny pies; i ten nas płodzi, dalej Taurus, czyli Byk – ten, pierwsza rzecz, guza nam nabija; wreszcie Gemini, czyli Bliźnięta – to znaczy Cnota oraz Występek. Chcemy sięgnąć po Cnotę, ale oto pojawia się Cancer, czyli Rak, i odciąga nas wstecz. A gdy od Cnoty odchodzimy, na ścieżce leży Leo, ryczący Lew – kilkakroć srogo kłapnie paszczką i groźnie łapą uderzy. Zamykamy i pozdrawiamy Virgo, Dziewicę; to nasza pierwsza miłość. Żenimy się i już mniemamy, żeśmy na wieki szczęśliwi, gdy bęc! – nadchodzą Libra, czyli Wagi – waży się szczęście i stwierdza, że go brak. A kiedy siedzimy strapieni, Boże, jak nie skoczymy, bo Scorpio, czyli Skorpion wyciął nas z tyłu. Leczymy właśnie ranę, gdy oto brzdęk! – już lecą zewsząd strzały; to się zabawia Sagittarius, czyli Strzelec. Właśnie wyrwamy wbite bełty, a tu: na bok! Leci taran: Capricornus, czyli Koziorożec grzmi cwałem przed siebie i zwala nas na łeb na szyję. Wtem Aqarius, czyli Wodnik, wylewa na nas cały potop i toniemy, zwijamy się w kłębek wraz z Pisces, czyli Rybami, i idziemy spać. Oto kazanie wypisane na niebie wysokim. Słońce przez nie co roku przebiega, a przecie wychodzi całkiem żywe i ochocze. Ono tam, w górze, wesoło się toczy poprzez trud i zmartwienia i tak samo tu, na dole, czyni wesoły Stubb. Wesołość, oto hasło na wieki! *Adieu*, dublonie! Lecz zaraz, oto tu zmierza mały „King-Post”. Schowajmy się za kotłami i posłuchajmy teraz, co ten będzie miał do powiedzenia. O, właśnie, już stoi przed dublonem – zaraz z czymś wyjedzie. Tak, tak, już zaczyna.

– Nic tu nie widzę, oprócz krągłego przedmiotu ze złota, a ktokolwiek wypatrzy pewnego wieloryba, otrzyma ten krążek na własność. Więc po co było tak mu się przyglądać? Prawda, że wart szesnaście dolarów, a licząc po dwa centy za cygaro, mamy tu dziewięćset sześćdziesiąt cygar. Nie paliłbym parszywej fajki, jak Stubb, ale cygara, owszem, lubię, a tu ich jest dziewięćset sześćdziesiąt. Więc Fiask wylezie na górę, aby je wypatrzeć.

– Czy nazwać to mądrym, czy też głupim? Jeśli jest rzeczywiście mądre, to ma trochę głupi pozor; jeśli rzeczywiście głupie, to wygląda mądravo. Ale dość! Oto nadchodzi ten nasz stary z Wyspy Man – stary karawaniarz, bo musiał chyba nim być,

zanim wyruszył na morze. Zakręca przed dublonem, oho, i przechodzi na drugą stronę masztu; wszak tam jest przybita podkowa. Ale znów jest z powrotem. Cóż to ma znaczyć? Cicho, coś szepcze – głos niczym stary, sterany młynek od kawy. Nadstawmy uszu i słuchajmy!

– Jeżeli mają wypatrzeć białego wieloryba, stać się to musi w takim miesiącu i dniu, gdy słońce przebywać będzie w którymś z tych znaków. Badałem je i wiem, co znaczą. Nauczyła mnie tego w Kopenhadze stara wiedźma, czterdzieści lat temu. Przy którymże znaku znajdzie się wtedy słońce? Przy znaku podkowy, bo tam ona tkwi, właśnie na wprost złota. Czymże jest znak podkowy? To lew – ryczący i rozżarty lew. Statku, stary statku! Moja stara głowa trzęsie się, kiedy myślę o tobie.

– Znów nowe tłumaczenie, ale tekst wciąż ten sam. No tak; ludzie wszelkiego pokroju na jednym i tym samym świecie. Ukryjmy się znowu! Nadchodzi Queequeg, cały wytatuowany – sam wygląda jak znaki zodiaku. Cóż gada ten ludożerca? Jak mi Bóg miły, porównuje znaki. Patrzy na swoje udo – myśli, że słońce jest albo na nim, albo na łydce, albo może w jelitach. Podobnie gadają o astronomii stare baby po zapadłych kątach. Na Jowisza, znalazł coś w okolicy uda – pewnie to Sagittarius, czyli Strzelec. Nie, nie ma on pojęcia, co myśleć o tym dublonie. Pewnie go bierze za stary guzik od spodni jakiegoś króla. Ale cofnijmy się znowu. Idzie tu ów stary duch-szatan, Fedallah! Jak zawsze ogon zwinięty i ukryty, a pakuły w nosach trzewików. Cóż ten znowu gada, a jak patrzy po swojemu! Aha, tylko znak daje znakowi i składa mu ukłon; na monecie jest słońce – a on to czciciel ognia, ani chybi. Ho, coraz ich więcej. Idzie tu Pip, biedaczysko! Bogdajby był zginął, on albo ja! Straszny mi jego widok. I on też przyglądał się tym wszystkim tłumaczom – ze mną włącznie – a teraz, patrzcie, idzie sam przeczytać, z tą swą nieziemską twarzą głuptaka. Odsuńmy się znowu i posłuchajmy go. Cyt!

– Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

– Na mą duszę, musiał studiować gramatykę! Rozwija swój umysł, biedaczysko. Cóż teraz mówi – tss!

– Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

– Cóż to, na pamięć się uczy... Cicho! Znowu...

– Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

– No, to zabawne...

– I ja, ty i on; my, wy i oni, wszyscy jesteśmy nietoperzami. Ja zaś jestem wroną, zwłaszcza gdy wleżę na czubek tej sosny. Kra! Kra! Kra!.Kra! Kra! Kra! Czyżem nie wrona? A gdzie straszydło na wrony? Tam stoi: dwa gnaty wetknięte w parę starych spodni, dwa inne wsunięte w rękawy starej kurty.

– Ciekawe, czy mnie ma na myśli? A to pochlebne! Biedny chłopak! Miałbym chęć się powiesić. Tak czy inaczej, na razie odejdę z jego sąsiedztwa. Mogę znieść pozostałych, bo mają wszystkie klepki, ale on zbyt jest pomieszany jak na mój rozsądek. Tak, tak, zostawię go, niech szepcze.

– Oto jest pępek statku, ten właśnie dublon., a wszyscy są jak na węglach, żeby go odkręcić. Ale odkręćcie sobie pępek – jakież będą tego skutki? A znów jeśli tu pozostanie, to też niedobrze, bo kiedy cokolwiek przybite jest do masztu, to znak, że

sprawy mają się rozpaczliwie. Ha! Ha! Stary Ahabie! Biały wieloryb; on cię przygwoździ. A to jest sosna. W starym hrabstwie Tolland mój ojciec ściał niegdyś sosnę i znalazł wrośnięty w nią srebrny pierścionek; pewnie zaręczynowy jakiegoś starego czarnucha. Jak się tam dostał? Tak właśnie rzekną w czas zmartwychwstania, kiedy wyłowią ten stary maszt pokryty ostrygami miał kosmatej kory i znajdą tkwiący w nim dublon. O, złoto! Cenne, drogocenne złoto! Wrychle cię zabierze zielony skąpiec! Tss, tss! Bóg stąpa pośród światów i zbiera jeżyny. Kucharzu! Hej, kucharzu! Ugotuj nas! Jenny, hej, hej, hej, hej, Jenny! Jenny! Upiecz nam placek z mąki!

## ROZDZIAŁ C

### NOGA I RAMIĘ. „PEQUOD” Z NANTUCKET SPOTYKA „SAMUELA ENDERBY” Z LONDYNU

Statek, ahoy! Widzieliście białego wieloryba?

Tak wołał Ahab znowu witając zbliżający się od rufy żaglowiec, na którym widniały barwy angielskie. Stary, z tubą przy ustach, stał w zawieszanej u mostka szalupie i jego kościana noga była dobrze widoczna dla obcego kapitana, który niedbale rozparł się na dziobie własnej łodzi. Był to ciemno opalony, tęgi, dobroduszny i przystojny mężczyzna lat sześćdziesięciu czy coś około tego, przyodziany w obszerny kabat, który zwisał wokół fałdami granatowego marynarskiego sukna; jeden pusty rękaw owego kabata spływał mu z pleców, niby haftowany rękaw huzarskiego dolmana.

– Widzieliście białego wieloryba?

– A widzisz pan to? – tu kapitan wyciągnął w górę dobyte spomiędzy kryjących je fałd białe ramię z kości kaszalota, zakończone drewnianą gałką podobną do młotka.

– Moja osada do szalupy! – krzyknął porywczo Ahab roztrącając leżące wokoło wiosła. – Spuszcząć!

W ciągu czasu krótszego od minuty, nie wychodząc z łodzi, on sam i jego załoga opuszczeni zostali na wodę i wkrótce znaleźli się u boku obcego żaglowca. Tutaj jednak nastęczyła się osobliwa trudność. Pod wpływem podniecenia chwili Ahab zapomniał, że od czasu utraty nogi ni razu nie stąpnął na pokład żadnego statku znajdującego się na morzu, oprócz własnego, a i to odbywało się zawsze przy pomocy pomysłowego i bardzo poręcznego mechanizmu właściwego „Pequodowi”, którego to urządzenia nie można było jednak umocować i umieścić na jakimś innym okręcie ot tak, w jednej chwili. Otóż nie jest rzeczą zbyt łatwą dla nikogo – z wyjątkiem tych, co jak wielorybnicy robią to niemal każdej godziny – wdrapywać się na pełnym morzu z łodzi po kadłubie statku; bowiem potężne bałwany to wynoszą łódź wysoko ku burtom, to znów natychmiast ją strącają niemal aż po sam kilson. Tak więc Ahab pozbawiony jednej nogi, widząc, że obcy statek nie jest, rzecz oczywista, wyposażony w ów dogodny wynalazek, znalazł się znowu w obrzydłym położeniu niezdarnego szczura lądowego; beznadziejnie spoglądał na niepewną i zmienną wysokość, małe mając widoki, by móc się na nią wydostać.

Wspomniano już, być może, że najmniejsza niesprzyjająca okoliczność, jaka go spotykała, a wynikała bezpośrednio z jego nieszczęśliwego wypadku, niemal niezmiennie rozdrażniała i rozjątrzała Ahaba. Tym razem zaś wszystko to jeszcze spotęgował widok dwóch oficerów obcego statku, wychylonych przez burtę opodal pionowej drabinki z deszczulek i kołyszących w jego stronę parą gustownie zdobionych linek pomocniczych, zrazu bowiem snadź się nie zastanowili, iż jednonogi człowiek musi być przecie zbyt wielkim kaleką, by móc się posłużyć tą ich morską balustradą. Jednak kłopotliwa sytuacja trwała ledwie minutę, gdyż nieznanomy kapitan, poznawszy od jednego rzutu oka, jak się rzeczy mają, zakrzyknął:

– Rozumiem! Rozumiem! Przestańcie się tam dźwigać! Skoczcie, chłopcy, i spuście bloki do wciągania wielorybów!

Szcześnie chciało, że przed kilkoma dniami mieli wieloryba przycumowanego do statku i potężne talie wisiały jeszcze w górze, a masywny, zagięty hak tłuszczowy, teraz już czysty i suchy, umocowany był na końcu. Szybko spuszczone go Ahabowi, który od razu pojawiwszy, o co chodzi, wsunął swoje samotne udo w zagięcie haka (było to coś w rodzaju siedzenia na pazurze kotwicy czy też w rozwidleniu gałęzi jabłoni) i dawszy hasło uchwycił się mocno haka, jednocześnie pomagając przy windowaniu ciężaru własnego ciała przez to, że pociągał w dół drugą część przesuwejacej się po bloku liny. Wkrótce ostrożnie wciągnięto go za wysokie nadburcie i łagodnie opuszczono na bęben kabestanu. Kapitan podszedł wyciągając serdecznie na powitanie swą rękę z kości. Ahab zaś wysunawszy nogę kościaną, skrzyżował ją z kościanym ramieniem (niby dwa ostrza ryb-mieczów) i wykrzyknął buńczuczным głosem:

– Tak, tak, kochanku! Potrząśnijmy naszymi gnatami! Ramię i noga! Ramię, co nigdy się, widzisz, nie uchyli, i noga, co nigdy uciekać nie może. Gdzieżeś to widział białego wieloryba? Jak dawno temu?

– Białego wieloryba? – ozwał się Anglik wskazując ku wschodowi kościanym ramieniem i żałośliwie wzdłuż niego spoglądając, jak gdyby było lunetą. – Tam go widziałem, na równiku, zeszłego sezonu.

– I on ci zabrał tę rękę, co? – zapytał Ahab zesuując się z kabestanu i wspierając zarazem na ramieniu Anglika.

– Tak, a przynajmniej był tego przyczyną. A tę nogę także on?

– Gadajże mi od razu – odparł Ahab – jak się to stało?

– Było to wówczas, gdym pierwszy raz w życiu krążył po równiku – zaczął Anglik. – Nic wtedy nie wiedziałem o białym wielorybie. No i któregoś dnia spuściliśmy łodzie za stadkiem złożonym z czterech czy pięciu sztuk i moja szalupa przytrzymała jedną z nich. A był to całkiem regularny koń cyrkowy i zaczął tak kołować i kołować, że moja załoga mogła utrzymać łódź w równowadze jedynie zasiadłszy wszystkimi zadkami na zewnętrznej burcie. I raptem wystrzela z dna morza rozskakany, ogromny wieloryb z mlecznobiałym łbem i garbem, cały w zmarszczki i bruzdy...

– To był on! To był on! – krzyknął Ahab nagle dając ujście zapartemu w piersiach oddechowi.

– I harpuny mu tkwiły od sterbortu, w pobliżu płetwy!

– Tak, tak, to moje, moje żelaza! – zawołał Ahab z tryumfem. – Ale mów dalej!

– Dajże mi więc pan możność! – odparł wesoło Anglik. – Otóż ten stary pradziadek o białej głowie i garbie wpada cały w pianie między stado i nuże wściekle rwać zębami mą linę harpunową.

– Tak, pojmuje! Chciał ją przeciąć, uwolnić przytrzymaną rybę – stary to kawał – znam go!

– Jak się to właściwie stało, nie wiem – ciągnął jednoreki dowódca – ale kiedy gryzł linę, jakoś mu się zaplątała między zęby i o coś zahaczyła. Tegośmy jednak wówczas nie widzieli, toteż gdyśmy później zaczęli linę ciągnąć, bęc – najechaliśmy

prościutko na jego garb, miał tamtego drugiego wieloryba, który poszedł na nawietrzną machając ogonem. Widząc, jak się rzecz ma i jaki to wspaniały i ogromny wieloryb – najwspanialszy i największy, jakiegom w życiu widział – postanowiłem go upolować, mimo że najwyraźniej aż wrzał z wściekłości. Sądząc zaś, iż owa przypadkowa lina puści albo wyrwie mu ów kieł nią oplątany (mam bowiem załogę diabelnie zdatną do ciągnięcia liny wielorybniczej), miarkując więc, jak powiadam, to wszystko, skoczyłem do szalupy mojego pierwszego oficera, tu obecnego pana Mounttopa (a propos, kapitanie – pan Mounttop; Mounttop – pan kapitan), no więc wskoczyłem do szalupy Mounttopa, która, widzisz pan, płynęła wtedy burta w burtę z moją, i porwawszy za pierwszy lepszy harpun władowałem go staremu pradziadowi. Ale, o Boże – słuchaj pan, kapitanie – niechże mnie lichy porwie, człowieku – w następnej chwili już byłem ślepy jak nietoperz, na oba oczy – cały otumaniony i ogłupiały od czarnej piany – a ogon wieloryba zamajaczył w tym wszystkim pionowo w powietrzu, niczym marmurowa wieża. Nie było co się cofać, ale kiedym szukał po omacku – a było samo południe, oślepiające słońce świeciło jak wszystkie klejnoty koronne – kiedym więc po omacku szukał drugiego harpuna, aby go również rzucić, spada na nas ogon niczym waląca się baszta w Limie, rozcina mi łódź na dwoje, a każda połowa idzie w drzazgi, za ogonem zaś miota się wskroś tych szczątków biały garb, jak gdyby to były wióry. My wszyscy wypadliśmy z łodzi. Żeby uniknąć tej straszliwej młocki, uchwyciłem się sterczącego w jego ciele drzewca mojego harpuna i na chwilę przywarłem doń niby ssąca ryba. Lecz przeleciała fala i zmyła mnie, a w tej samej chwili wieloryb, rzuciwszy się mocno naprzód, znurkował jak błyskawica, a zadziór tego przekłętego harpuna, wleczonego tuż obok, zahaczył mnie tutaj – kapitan klepnął się w rękę poniżej ramienia – tak, zahaczył mnie tutaj, powiadam, i ciągnął w sam ogień piekielny, jak mi się już wydało, kiedy – dzięki Ci, dobry Boże – kiedy nagle żelazo przedarło mi się wzdłuż ciała, prosto przez całą długość ręki, puściło u napiętka i oto wypłynąłem na wierzch. Ten tutaj dżentelmen opowie panu resztę (o, właśnie; kapitanie – doktor Bunker, lekarz okrętowy; Bunker, mój chłopcze – pan kapitan). A teraz, Bunker, snuj swoją część opowieści. Przedstawiciel medycznej profesji, w tak poufały sposób wskazany Ahabowi, stał cały czas opodal, przy czym nic szczególnie widomego nie wskazywało na jego tak wysoką rangę na statku. Oblicze miał niezwykle krągłe, ale spokojne; ubrany był w wełnianą bluzę czy koszulę spłowiałobłękitnej barwy tudzież łątane spodnie; do tej pory dzielił swą uwagę między szydło do splatania lin trzymane w jednym ręku a pudełko z pigułkami, które miał w drugim; od czasu do czasu rzucał krytyczne spojrzenie na kościane kończyny obu kalekich kapitanów. Ale kiedy przełożony przedstawił go Ahabowi, skłonił się uprzejmie i od razu przystąpił do wykonania rozkazu kapitana.

– Paskudna to była rana – zaczął ów lekarz wielorybiczny – i tu obecny kapitan Boomer, do rad się moich stosując, zawrócił naszego starego Sama...

– Mój statek zowie się „Samuel Enderby” – przerwał jednoręki kapitan zwracając się do Ahaba. – Mów dalej, chłopcze.

– ...zawrócił naszego starego Sama ku północy, by wydostać się z tych palących upałów na równiku. Ale nie dało się rady, robiłem, co tylko mogłem, po nocach przy nim siadywałem, bardzo dlań byłem surowy w sprawach diety...

– O, bardzo surowy! – zawtórował mu pacjent; a potem, nagle zmieniwszy głos, dodał: – Żłopał ze mną co noc gorący grog z rumu, że aż mało co widział przy zakładaniu bandaży, a mnie posyłał do łóżka spitego jak bela około trzeciej nad ranem. O, nieba! Siadywał przy mnie, a jakże, i wielce był surowy w sprawach diety. O, to znamienity pielęgniarz, a w sprawach diety człek ogromnie surowy, ten doktor Bunker (Bunker, ty łajdaku, śmieję się! Czemu nie ryczysz? Sam wiesz, że z ciebie łotr nie lada!). Ale wal dalej, chłopie! Wolałbym raczej zginąć z twojej ręki niż być utrzymany przy życiu przez innego człeka.

– Kapitan mój, jak to szanowny pan zapewne już zauważył – rzekł z bogobojną miną niezmiśnany Bunker lekko się skłaniając Ahabowi – ma czasem skłonność do facecji. Wiele nam takich przemyślnych rzeczy powiada. Ale mogę nadmienić – *en passant*, jak mówią Francuzi – że ja osobiście, to znaczy Jack Bunker, poprzednio należący do wielebnego stanu duchownego, jestem człowiekiem najściślej i całkowicie wstrzemięźliwym. Nigdy nie pijam...

– ...wody! – krzyknął kapitan. – Tak, nigdy jej nie pija, mało go od tego szlag nie trafi, słodka woda przyprawia go o wodowstręt. Ale dalejże, opowiadaj tę historię o ręce.

– Proszę bardzo – odparł chłodno lekarz. – Miałem zamiar właśnie zauważyć, zanim kapitan przerwał mi tak krotocwilnie, że mimo moich najlepszych i najpilniejszych starań, z raną było coraz gorzej i gorzej. W rzeczy samej, kapitanie, była to najpaskudniej ziejąca rana, jaką lekarz kiedykolwiek widział: ponad dwie stopy i kilka cali długości. Zmierzyłem ją linką od sondy. Krótka rzekłszy, zaczęła czernieć. Wiedziałem, czym to grozi, no i tak też się stało. Wszelako nie przyłożyłem ręki do sporządzenia tego oto kościanego ramienia. Jest to rzecz sprzeczna ze wszelkimi prawidłami – tu wskazał na nią sztydłem. – To już robota kapitana, nie moja. Kazał ją sporządzić cieśli i przytwierdzić na końcu tę maczugę, widocznie aby móc komuś roztrzaskać głowę, jak to kiedyś próbował uczynić ze mną. Czasami bowiem wpada w diabelną furję. Widzisz pan tę szczerbę? – Tu zdjął kapelusze i odsunąwszy włosy pokazał na czaszce krągłą wklęsłość, która jednakże nie nosiła najmniejszych śladów blizn ani też niczym nie wskazywała, że mogła być kiedyś raną. – Otóż kapitan powie panu, skąd się to wzięło, dobrze mu o tym wiadomo.

– Nie, ja nie wiem – odparł kapitan. – Ale wie o tym jego matka, bo tak się już urodził. Ach, ty koronny nicponiu, ty, ty, Bunker! Czyż istniał kiedykolwiek drugi taki Bunker na całym wodnym świecie? Bunker, kiedy umrzesz, powinno się ciebie trzymać w occie, ty nicponiu. Warto cię zakonserwować na przyszłe stulecia, obwiesiu.

– Cóż się stało z białym wielorybem? – wykrzyknął w tej chwili Ahab, który dotychczas z niecierpliwością przysłuchiwał się rozgrywce między obu Anglikami.

– Ach! – zawołał jednoręki kapitan. – Ach, właśnie! No więc, kiedy znurkował, nie widzieliśmy go więcej przez czas jakiś, w ogóle, jakem to już wspomniał, nie wiedziałem wtedy, co to za wieloryb tak mi się przysłużył, aż dopiero później,

wróciwszy na równik, usłyszeliśmy o Moby Dicku, jak go niektórzy nazywają, i wówczas dowiedziałem się, że to był on.

– Czyś pan jeszcze kiedyś przeciął jego wart?

– Dwukrotnie.

– Nie mogłeś go jednak przychwycić?

– Nie chciałem próbować, albowź utrata jednej ręki nie starczy? Cóż ja bym począł bez drugiej? A zdaje mi się, że Moby Dick okrutnie jest łapczywy.

– No więc – przerwał Bunger – dajże mu lewą rękę na przynętę, aby dostać prawą. Czy wiecie, panowie – skłonił się po kolei obu kapitanom z wielką powagą i matematyczną precyzją. – Czy wiecie, panowie, że organy trawienne wieloryba są w tak niepojęty sposób skonstruowane przez Opatrzność boską, że jest zupełną niemożliwością, by strawił całkowicie choćby ludzką rękę? I on o tym dobrze wie. Tak więc to, co bierzecie za złośliwość białego wieloryba, jest po prostu jego niezręcznością. Nigdy bowiem nie zamierza połykać choćby jednej jedynej kończyny. Chce tylko straszyć swymi fortelami. Ale czasem przypomina mi starego kuglarza, co niegdyś na Cejlonie był moim pacjentem. Udając, że łyka noże, raz wpuścił jeden w gardło zupełnie na serio i nóż tam pozostał przez dwanaście miesięcy czy więcej. Wówczas dałem biedakowi emetyk, a on wyrzucał nóż z siebie po kawałku. Nie było żadnej możliwości, żeby strawił ten kozik i w pełni go przyswoił swojemu organizmowi. Tak, kapitanie Boomer, jeśli się żwawo do tego zabierzesz i zechcesz dać w zastaw jedną rękę, aby uzyskać przywilej wyprawienia przyzwoitego pogrzebu drugiej, no to w takim razie ręka należy do ciebie. Daj tylko wielorybowi jeszcze jedną sposobność zmierzenia się z tobą, ot i wszystko.

– Nie, dzięki ci, Bunger – odparł angielski kapitan. – Niech już sobie zatrzyma tę rękę, którą ma, ile że nic na to poradzić nie mogę, a także ponieważ wówczas go nie znałem, ale od drugiej mu wara. Dość już mam białych wielorybów. Raz za nim łódź spuściłem i to mnie zadowala. Owszem, wiem, że wielka by to była chwała ubić go, a ma on też w sobie cały statek cennego olbrotu, ale słuchajcie mnie: najlepiej zostawić go w spokoju. Nie sądzisz pan, kapitanie? – Tu rzucił okiem na kościaną nogę.

– Pewnie. Ale mimo to będzie się na niego polować. Taka przeklęta rzecz, którą najlepiej zostawić w spokoju, nie zawsze najmniej człeka pociąga. On jest jak magnes! Czy dawno temu widziałeś go pan po raz ostatni? W którą stronę zmierzał?

– Na mą duszę! A niech to wszyscy diabli! – wykrzyknął Bunger i pochyliwszy się począł obchodzić Ahaba dokoła, dziwnie, jak pies, węsząc. – Krew tego człowieka – dajcie tu termometr! – jest w punkcie wrzenia! Od jego pulsu drgają deski! Kapitanie! – i dobywszy z kieszeni lancetu podsunął się do Ahaba.

– Precz! – ryknął Ahab i pchnął go na burtę. – Załoga do szalupy! W którą stronę szedł?

– O, dobry Boże! – zawołał kapitan angielski, do którego pytanie było skierowane.

– Co się stało? Zdaje się, że szedł na wschód... Czy wasz kapitan jest szalony? – szepnął do Fedallaha.

Ale Fedallah położył palec na ustach i zsunął się przez burzę, by uchwycić za wiosło sterowe, Ahab zaś, przyciągnąwszy do siebie blok, rozkazał marynarzom angielskim, by go spuścili do szalupy.

W jednej chwili stał już na rufie łodzi, a ludzie z Manilii rzucili się do wiosł. Daremnie nawoływał go angielski kapitan. Odwrócony tyłem do obcego statku, z twardą jak krzemień twarzą skierowaną ku swemu własnemu, Ahab stał wyprostowany, póki nie dotarł do boku „Pequoda”.

## ROZDZIAŁ CI

### KARAFKA

Zanim statek angielski zniknie nam z oczu, warto tu zanotować, iż pochodził on z Londynu i nazwany tak został od nieboszczyka Samuela Enderby, kupca z owego miasta, założyciela słynnego domu wielorybniczego Enderby & Synowie; domu, który, jeśli idzie o istotne znaczenie historyczne, moim skromnym zdaniem wielorybnika, niewiele pozostaje w tyle za połączonymi królewskimi domami Tudorów i Burbonów. Moje rozliczne dokumenty rybackie nie wyjaśniają, od jak dawna przed rokiem pańskim 1775 istniał już ów wielki dom wielorybniczy; wszelako w tymże roku (1775) wyekwipował on pierwszy statek angielski, jaki kiedykolwiek regularnie polował na kaszaloty, choć już od lat kilkudziesięciu (poczynając od roku 1726) nasi dzielni Coffinowie czy Maceyowie z Nantucket i Vineyardu ścigali owego Lewiatana ogromnymi flotami, ale tylko na północnym i południowym Atlantyku – nie gdzie indziej. Trzeba tutaj wyraźnie zaznaczyć, że spośród całego rodzaju ludzkiego nantucketańscy byli pierwszymi, którzy zharpunowali wielkiego kaszalota cywilizowaną stałą, i że przez pół wieku oni jedyni na całej kuli ziemskiej polowali nań w ten sposób.

W roku 1773 piękny żaglowiec „Amelia”, specjalnie w tym celu wyekwipowany na wyłączny koszt energicznych Enderbych, śmiało opłynął Przylądek Horn i pierwszy spośród narodów świata spuścił szalupę wielorybniczą na wielkim Morzu Południowym. Wyprawa była udana i szczęśliwa; a jako że „Amelia” powróciła do macierzystego portu z ładownią pełną cennego olbrotu, więc też wprędce inne okręty, angielskie i amerykańskie, poszły za jej przykładem i w ten sposób otwarto na ścieżaj wielkie łowiska kaszalotowe Pacyfiku. Nie zadowoliliwszy się jednak owym pięknym czynem, niezmordowana firma znowu zabrała się do dzieła: Samuel tudzież wszyscy jego Synowie – a ilu ich było, wie tylko ich matka – skłonili rząd brytyjski, aby bezpośrednio pod ich auspicjami, a częściowo, jak miemam, ich własnym sumptem wysłał słupek wojenny „Szumny” w odkrywczy rejs wielorybniczy na Morze Południowe. „Szumny”, dowodzony przez kapitana fregaty, szumnej dokonał podróży i położył pewne zasługi; jak wielkie, tego dokładnie nie wiadomo. Na tym jednak nie koniec. W roku 1819 tenże sam dom wyposażył własny wielorybniczy statek odkrywczy, który ruszył w podróż doświadczalną na odległe wody japońskie. Ów żaglowiec – słusznie „Syreną” nazwany – dokonał wspaniałej wyprawy eksperymentalnej i w ten to sposób po raz pierwszy powszechnie się dowiedziano o wielkich japońskich łowiskach wielorybich. W czasie owej słynnej podróży dowodził „Syreną” niejaki kapitan Coffin, nantucketańczyk.

Najwyższe tedy uznanie należy się rodzinie Enderbych, których dom, jak sądzę, po dziś dzień istnieje, choć bez wątpienia ów pierwszy Samuel musiał już od dawna ruszyć w rejs na wielkie Morze Południowe tamtego świata.

Żaglowiec nazwany jego imieniem godzien był tego zaszczytu, jako że pływał bardzo szybko i pod każdym względem był statkiem szlachetnym. Raz wsiadłem nań o

północy, gdzieś w pobliżu patagońskich wybrzeży, i na forkasztelu napiłem się przedniego *flipu*. Mieliśmy wtedy doskonały *gam*, a ich marynarze byli co do jednego wybornymi kompanami. Krótkie ich życie, a śmierć wesoła. Zaś ów doskonały *gam*, w którym brałem udział, długo, bardzo długo po tym, jak stary Ahab dotknął kościaną piętą desek owego statku – na myśl mi przywodzi szlachetną, niezawodną, saksońską gościnność tego statku i niech o mnie zapomni mój pleban, a przypomni sobie diabeł, jeśli kiedykolwiek uleci mi ona z pamięci. *Flip*? Czy mówiłem, żeśmy popijali *flip*? A jakże, i pociągaliśmy go w tempie dziesięciu galonów na godzinę, kiedy zaś nadszedł szkwał (bo koło Patagonii często zdarzają się szkwały) i kto żyw – z gośćmi włącznie – zawezwany został do reflowania marsli, wszyscy mieliśmy tak mocno w czubach, że musieliśmy się wzajemnie wciągać na górę linami; nieświadomie wplątywaliśmy poły naszych kurt w zwijane żagle, tak żeśmy tam zawisli, na moc wrefowani pośród wyjącej wichury, jako ostrzegawczy przykład dla wszystkich pijanych żeglarzy. Jednakowoż maszty nie poszły za burtę i pomalenku zleźliśmy na dół, tak trzeźwi, że znowu trzeba było puścić w ruch *flip*, choć dzikie, słone bryzgi, wwalające się przez właz forkasztelu, zbyt go, jak na mój gust, rozcieńczały i zaostrzały.

Wołowina była wyborna – twarda, ale mięsista. Mówiono, że to wołowina z byka; inni znów twierdzili, że z dromadera – nie wiem jednakże z pewnością, jak było w istocie. Mieli tam także i knedle; małe, ale treściwe, symetrycznie krągłe, niezniszczalne knedle. Przypuszczam, że po przełknięciu można je było wyczuć i podrzucać w sobie. Zbyt pochylając się do przodu ryzykowalibyście, że wyskoczą z was niczym kule bilardowe. Chleb; na to nie było już rady; nadto chodziło o przeciwdziałanie skorbutowi – krótko mówiąc, chleb stanowił jedyne świeże pożywienie, jakie otrzymywali. Ale forkasztel nie był zbyt widny i bardzo łatwo było wleźć do jakiegoś ciemnego kąta, kiedy się chleb spożywało. Wszelako wszystko razem wzięwszy, od galki masztowej aż do rumpla, zważywszy rozmiary kotłów kucharza, z pergaminowym, żywym kotłem jego własnego brzucha włącznie, od dzioba do rufy „Samuel Enderby” był zacnym statkiem; wikt miał dobry i obfity, *flip* smakowity i mocny; chłopców co do jednego pierwszorzędnym, wręcz kapitalnym od obcasa aż po wstążkę na kapeluszu.

Ale czemu tak się dzieje, myślicie sobie, że „Samuel Enderby” oraz niektóre inne – lubo nie wszystkie – angielskie statki wielorybnicze, o jakich słyszałem, są tak wspaniałe i gościnne; czemu częstują wołowiną i chlebem, napitkiem i dowcipem, a nierychło się nużą jedzeniem, piciem i śmiechem? Powiem wara. Szczodroblawa wesołość owych angielskich wielorybników to temat do historycznych dociekań. Ja zaś nigdy nie skąpiłem trudu w historycznych poszukiwaniach na tematy wielorybnicze, jeśli mi się to wydawało potrzebne.

Anglików poprzedzili w połowach wielorybów Holendrzy, Zelandczycy i Duńczycy. Od nich to przejęto tyle terminów nadal w rybołówstwie używanych; co więcej, przyjęto też ich tłuste, stare obyczaje, nakazujące w bród jeść i pić. Albowiem na ogół angielski statek handlowy skąpi wszystkiego swojej załodze – inaczej natomiast rzecz się ma z angielskim statkiem wielorybniczym. Dlatego to u Anglików ta cecha wielorybniczej ochoczości nie jest normalna i naturalna, ale przypadkowa i osobliwa;

toteż musiała ona mieć jakiś szczególny początek, na który się tutaj wskazuje i który dalej jeszcze wyjaśniać będziemy.

Podczas moich badań historii lewiatańskich natknąłem się na starodawną księgę holenderską i po zatechłym wielorybim zapachu poznałem, iż traktować musi o statkach wielorybnych. Tytuł brzmiał: *Dan Coopman*, z czego wnosilem, że muszą to być bezcenne memuary jakiegoś amsterdamskiego bednarza wielorybniczego, jako że każdy statek wielorybny musi mieć swojego bednarza. Utwierdziłem się w tym przekonaniu widząc, że wydał go niejaki Fitz Swackhammer. Ale przyjaciel mój, dr Snodhead, człowiek wielce uczony, profesor dialektu dolnoholenderskiego i górnoniemieckiego w kolegium Santa Claus i St. Pott, któremu wręczyłem dzieło do przetłumaczenia ofiarowując mu za jego trud skrzynkę świec olbrotowych – tenże więc dr Snodhead, ledwie przejrzał książkę, upewnił mnie, że „Dan Coopman” nie znaczy „Bednarz”, ale „Kupiec”. Krótko mówiąc, owa starodawna i uczona księga niderlandzka traktowała o handlu Holandii i między innymi zawierała także ogromnie interesujące sprawozdanie o jej wielorybnictwie. W tym to rozdziale zatytułowanym „Smeer”, czyli „Tłuszcz”, znalazłem długą, szczegółową listę wyposażenia spizarni i piwnic 180 holenderskich żaglowców wielorybnych, z której to listy, tak jak ją przełożył dr Snodhead, przepisuję, co następuje:

400 000 funtów wołowiny 60 000 funtów wieprzowiny fryzyjskiej

150 000 funtów sztokfisa

550 000 funtów sucharów 72 000 funtów chleba miękkiego 2 000 beczek masła 20 000 funtów sera z Texel i Lejdy

144 000 funtów sera (prawdopodobnie niższej jakości)

550 anarków dżinu holenderskiego 10 800 antałów piwa

Większość tablic statystycznych jest w czytaniu okropnie sucha; nie w tym jednakże przypadku, kiedy to czytelnika wręcz zalewają całe antały, beczułki, kwarty i galony zacnego dżinu i zacnej ochoty.

Wówczas poświęciłem trzy dni na pracowite przetrwanie całego tego piwa, wołowiny i chleba, a w ciągu owych dni nasunęło mi się wiele głębokich myśli w transcendentalnym i platońskim duchu; co więcej, zestawiłem własne tablice dodatkowe, podające prawdopodobną ilość sztokfisa, konsumowaną przez każdego niderlandzkiego harpunnika, biorącego za dawnych czasów udział w połowach grenlandzkich i szpicberskich. Przede wszystkim zdumiewająca wydaje się ilość spożytego masła oraz sera z Texel i Lejdy. Przypisuję to jednak ich z przyrodzenia otłuszczonym naturom, które jeszcze bardziej otłuszcza natura ich rzemiosła, zwłaszcza że ściągają zwierzynę po lodowatych morzach polarnych, u samych wybrzeży owej eskimoskiej krainy, kędy tubylcy przy stole biesiadnym wznoszą wzajemnie swe zdrowie szklanicami pełnymi tranu wielorybiego.

Ilość piwa jest również bardzo duża – dziesięć tysięcy osiemset beczek. Owóz tych polarnych połowów dokonywać można jedynie w czasie krótkiego lata, owemu klimatowi właściwego, tak że cała wyprawa któregokolwiek z holenderskich statków wielorybnych, włącznie z krótką podróżą na morze szpicberskie i z powrotem, nieznacznie przekracza, powiedzmy, trzy miesiące – a licząc po 30 ludzi na każdy ze

180 statków ich flotę tworzących, mamy ogółem 5 400 holenderskich marynarzy i dlatego też otrzymamy dokładnie dwa antałki piwa na człowieka jako dwunastogodniową rację, nie licząc godnego udziału w owych 550 baryłkach dżinu. Toteż wydaje się trochę nieprawdopodobne, żeby ci dżinowo-piwni harpunnicy, można sobie wyobrazić jak ululani, byli ludźmi odpowiednimi do stawania na dziobie łodzi i dobrego celowania w pędzące wieloryby. A przecież celowali w nie, co więcej, trafiali. Pamiętać jednak należy, że działo się to daleko na północy, gdzie piwo dobrze służy organizmowi; na równiku, w naszym południowym rybołówstwie, snadnie by ono mogło pograżyć w senność harpunnika stojącego na szczycie masztu, a mąć mu głowę w szalupie; stąd zaś wielce bolesna strata dla Nantucket i Nowego Bedfordu wyniknąć by mogła.

Dość już wszelako; wystarczy to, co powiedziałem, ażeby wykazać, iż dawni holenderscy wielorybnicy sprzed dwóch czy trzech wieków byli smakoszami oraz że wielorybnicy angielscy nie zlekceważyli sobie tak wybornego przykładu. Skoro bowiem, jak powiadają, pływając na pustym statku nie możesz nic lepszego ze świata wydobyć, tedy przynajmniej weź zeń dobry obiad. A to opróżnia karafkę.

## ROZDZIAŁ CII

### ALTANA NA ARSACYDACH

Jak dotąd, opisując kaszalota, rozwodziłem się głównie nad cudownościami jego zewnętrznej postaci lub też z osobna wchodziłem w szczegóły poniekórych jego wewnętrznych cech strukturalnych. Ale żeby szerokie i prawdziwie gruntowne o nim osiągnąć pojęcie, wypada mi jeszcze go dalej obnażyć, odpiąć mu pantalon i podwiązki, rozluźnić haftki stawów jego najwewnętrzniejszego kośćca, ukazać go wam w ostatecznym kształcie, to znaczy w jego absolutnym szkielecie.

Ale jakże to być może, Izmaelu? Miałżebyś ty, zwykły wioślarz wielorybiczny, pretendować do jakichkolwiek wiadomości o ukrytych częściach wieloryba? Czyżby erudyta Stubb, wlaższy na kabestan, wygłaszał odczyty o anatomii waleni i przy pomocy bratszpilu windował w górę żebro, aby je wam ukazać? Wytłumacz się, Izmaelu. Możliwi wciągnąć na pokład wyrośniętego wieloryba, ażeby go obejrzeć, podobnie jak kucharz rozkłada na półmisku pieczonego wieprzaka? Na pewno nie. Rzetelnym byłeś dotąd świadkiem, Izmaelu, zważaj wszelako, że przywłaszczasz sobie wyłączny przywilej Jonasza: przywilej rozprawiania o dźwigarach i belkach, o krokwiach, palach, podciągach i wspornikach tworzących konstrukcję Lewiatana; a także, być może, o kadziach na łój, młeczarniach, składach masła i sernicach znajdujących się w jego wnętrzu.

Wyznam, że od czasów Jonasza nieliczni wielorybicy spenetrowali dorosłego wieloryba głębiej niż na grubość skóry; ja jednak obdarowany zostałem sposobnością rozczłonkowania go w miniaturze. Na pewnym statku, do którego załogi należałem, wciągnięto raz na pokład małego kaszalotowego cielaka dla jego skóry, z której chciano sporządzić pochwy na zadziory harpunów i groty lanc. Czyliż sądzicie, żem wypuścił z rąk tę sposobność, nie używszy toporka szalupowego oraz noża i nie złamawszy pieczęci w celu odczytania całego wnętrza owego młodziaka?

Co zaś się tyczy posiadanej przez mnie dokładnej znajomości kośćca Lewiatana w gigantycznym, pełnym rozwoju, to ową rzadką wiedzę zawdzięczam mojemu nieżyjącemu monarszemu przyjacielowi Tranquo, królowi wyspy Tranque, jednej z Arsacydów. Przebywając mianowicie przed laty w Tranque, kiedy to przydzielony byłem do statku handlowego „Dej Algieru”, otrzymałem zaproszenie, by spędzić część świąt arsacydzkich u władcy Tranque w jego odosobnionej willi palmowej w Pupelli, nadmorskim zakątku niezbyt odległym od miejsca, które nasi marynarze zwali Miastem Bambusowym, czyli stolicą owego władcy.

Między innymi zaletami mój królewski przyjaciel Tranquo obdarzony był gorącym zamiłowaniem do wszystkich rzeczy z dziedziny barbarzyńskich sztuk pięknych; jakoż nagromadził w Pupelli wszelkie rzadkości, jakie co pomysłowski spośród jego poddanych wykoncypować mogli; głównie zaś drewno rzezbione w przedziwne wzory, ryte muszle, inkrustowane włócznie, kosztowne wiosła, aromatyczne czołna; wszystko to zaś przemieszane z wszelkimi naturalnymi dziwami, jakie cudami brzemienne, hołdownicze fale złożyły na jego wybrzeżu.

Pierwsze miejsce wśród nich zajmował ogromny kaszalot, którego po niezwykle długo szalejącej burzy znaleziono na brzegu martwego, z łbem wspartym o pień palmy kokosowej; pióropuszczone pęki jej zwisających liści zdawały się być zieloną fontanną wieloryba. Kiedy ogromne cielsko odarto nareszcie z grubej na sążnie powłoki, a kości wyschły w słońcu na proch, przeniesiono ostrożnie szkielet do Pupelli, gdzie go teraz chroniła wspaniała świątynia z wyniosłych palm.

Żebra obwieszono trofeami; na kręgach wyrzezano dziwnymi hieroglifami arsacydzkie kroniki; w czaszce kapłani podtrzymywali niegasnący, wonny ogień, tak że owa głowa tajemnicza znów wyrzucała tuman swojego wydmuchu, a zawieszona u gałęzi straszliwa dolna szczeka kołysała się ponad wiernymi niby ów wiszący na włosku miecz, co tak przeraził Damoklesa.

Przedziwny to był widok. Gaj zielony jak mchy Icy Glen; drzewa w nim dumne i wyniosłe, wyczuwające własne, żywe soki; w dole pracowita ziemia niby krosna tkacza z założonym na nie wspaniałym kobiercem, na którym latorośle pnącego wina tworzyły wątek i osnowę, a żywe kwiaty – wzory. Wszystkie drzewa i ich ciężkie od owocu gałęzie, wszystkie krzewy, paprocie, trawy i wieścionośne powietrze – wszystko to było w nieustannym ruchu. Poprzez plecionkę liści wielkie słońce zdawało się być latającym czółenkiem tkającym niezmordowanie zieleni. O, pilny tkaczu! Niewidzialny tkaczu! Zatrzymaj się – na słówko! Dokądże spływa tkanina? Jakież ma okryć pałac? Na cóż ten trud nieprzerwany? Przemów, tkaczu! Dłoń swą powstrzymaj! Jedno tylko zamienię z tobą słowo! Nie – mknie czółenka – spływają wzory z krosien – źródłami bijący kobierzec ciągle precz sunie. Boski tkacz pracuje i tak jest tą pracą ogłuszony, że nie słyszy śmiertelnego głosu; a i nas, co patrzymy na krosna, także ów szum ogłusza i tylko kiedy mu się wymkniemy, dosłyszemy tysiące głosów, co przezeń gadają. Tak właśnie dzieje się we wszystkich prawdziwych fabrykach. Słów, które się wymawia, nie sposób dosłyszeć wśród latających wrzecion; a te same słowa są wyraźnie, dosłyszalne na zewnątrz murów, dokąd się wymykają z otwartych okien. Różne szelmostwa w ten sposób wykrywano. Baczcie więc, śmiertelniku, albowiem wskroś łoskotu wielkich krosien świata twe najtajniejsze myśli z dala podsłuchane być mogą.

Owóz pośród owych zielonych, życiem pulsujących krosien arsacydzkiego gaju odpoczywał olbrzymi, biały, uświęcony szkielet – próżniak gigantyczny! A jednak, kiedy wiecznie przetykana zielona osnowa i wątek splatały się i szumiały wokoło, potężny próżniak zdawał się sam być zręcznym tkaczem; cały opleciony winem, co miesiąc przybierający się w świeższą, bujniejszą zieleni – a przecie tylko szkielet. Życie osnuwało Śmierć – Śmierć oplatały pnącza Życia; posępny bóg poślubił młodzieńcze Życie i płodził z nim kędzierzawe cuda.

Kiedy więc z królewskim Tranquo odwiedziłem owego przedziwnego wieloryba i ujrzałem ołtarz z czaszki tudzież sztucznie wywoływany dym, wzbijający się z miejsca, z którego niegdyś wylatywał prawdziwy wydmuch, zdziwiłem się, że król traktuje kaplicę jako przedmiot kolekcjonerski. Roześmiał się. Jeszcze bardziej jednak dziwiło mnie, iż kapłani przysięgali, że owa dymna fontanna jest prawdziwa. Przeszedłem się tam i z powrotem przed szkieletem, odsunąłem na bok winorośl, włamałem się przez żebra i z kłębkim arsacydzkiego sznurka w dłoni długo wędrowałem i kręciłem się w

kółko wśród licznych zawiłych, cienistych kolumnad i altan. Wprędce jednak skończył się mój sznurek, zawróciwszy więc po nim tą samą drogą, wynurzyłem się z otworu, przez który wszedłem. We wnętrzu nie widziałem żywej duszy; nie było tam nic prócz kości.

Uciałem sobie zielony pręt do mierzenia i ponownie dałem nurka we wnętrze szkieletu. Przez szczelinę w czaszce dojrzeli mnie kapłani w chwili, gdy mierzyłem wysokość ostatniego żebra. – Cóż to? – zawołali. – Zali mierzysz naszego boga? To do nas należy! – Dobrze, kapłani. A zatem jak myślicie: ile ma długości? – Na to zażarty spór dotyczący się stóp i cali wybuchnął między nimi; tłukli się wzajem po łepetynach miarkami, aż echo szło po wielkiej czaszce; skorzystawszy więc z owej szczęśliwej okazji, sam szybko ukończyłem własne pomiary.

Pomiary te właśnie chcę wam przedłożyć. Ale po pierwsze, należy mieć na uwadze, iż w tej materii nie mogę dowolnie przytaczać pierwszych lepszych wyimaginowanych cyfr, jakie mi się spodoba, ponieważ istnieją szkieletowe autorytety, do których możecie się odnieść, by sprawdzić mą akuratność. Jak słyszę, w Anglii, w Hull, jednym z portów wielorybicznych owego kraju, istnieje Lewiatańskie muzeum, gdzie mają kilka świetnych okazów finwali i innych wielorybów. Słyszałem także, iż muzeum w Manchesterze, w New Hampshire, posiada coś, co właściciele nazywają *jedynym doskonałym okazem wala grenlandzkiego, czyli właściwego w całych Stanach Zjednoczonych*. Ponadto w Anglii, w pewnej miejscowości w Yorkshire, zwanej Burton Constable, niejaki sir Clifford Constable posiada szkielet kaszalota, wszelako umiarkowanych rozmiarów, w żadnym razie nie takiego ogromu jak ten, który jest własnością mego przyjaciela, króla Tranquo.

W obu przypadkach do wyciągniętych na brzeg wielorybów, o których szkielety chodzi, właściciele rościli sobie pierwotnie prawo na podobnej podstawie. Król Tranquo zabrał swojego, ponieważ chciał go mieć, sir Clifford zaś, ponieważ był panem włości w owych stronach. Wieloryba sir Clifforda całego zaopatrzone w zawiasy; jakoż możecie otwierać i zamykać wszystkie jego kostne zakamarki niby ogromną komodę, rozkładać żebra niczym gigantyczny wachlarz i przez dzień cały huścić się na jego dolnej szczęce. Mają tam założyć zamki na niektórych z jego klap i okiennic; przyszłych zaś gości oprowadzać będzie lokaj z pękiem kluczy u boku. Sir Clifford zamyśla pobierać dwa pensy opłaty za zajrzenie do galerii stosu pacierzowego, która odznacza się tą osobliwością, że wszeptane w nią słowo powraca echem; trzy pensy kosztować będzie posłuchanie echa w jamie mózgowia, sześć pensów nieporównany widok z czoła.

Rozmiary szkieletu, jakie wam teraz przedstawię, są skopiowane *verbatim* z mojego prawego ramienia, gdzie je wytatuować kazałem, jako że w moich dzikich ówczesnych wędrówkach nie było innego pewnego sposobu przechowania podobnie cennych danych statystycznych. Ale ponieważ zbrakło mi miejsca, gdyż inne części ciała chciałem zostawić jako niezapisaną stronicę dla pewnego poematu, jaki wówczas układałem – przynajmniej te części, które jeszcze nie były tatuowane – więc też nie zadawałem sobie trudu ze wszystkimi dodatkowymi calami, o ile w ogóle cale winny wchodzić w rachubę przy właściwym pomiarze wieloryba.

## ROZDZIAŁ CIII

### WYMIARY SZKIELETU WIELORYBA

Przede wszystkim pragnę przedłożyć wam specjalne, wyraźne oświadczenie dotyczące żywej masy owego Lewiatana, którego szkielet mamy niebawem przedstawić. Takie oświadczenie może się tu okazać pożyteczne.

Według starannych obliczeń, jakich dokonałem i jakie częściowo opieram na ocenie kapitana Scoresby, że największy wal grenlandzki długości sześćdziesięciu stóp waży siedemdziesiąt ton – według więc moich starannych obliczeń kaszalot największych rozmiarów, między osiemdziesięcioma pięcioma i dziewięćdziesięcioma stopami długości, mający w najszerszym miejscu nieco poniżej czterdziestu stóp obwodu, ważyć będzie co najmniej dziewięćdziesiąt ton; licząc tedy po trzynastu ludzi na tonę, ciężar jego znacznie przeważa całą razem wziętą ludność miasteczka o tysiąc stu mieszkańców.

Czyż zatem nie sądzicie, że takiemu Lewiatanowi należy przydać mózg, który w imaginacji ludzi ładu zdolny by był poruszyć go z miejsca na kształt wołów w zaprzęgu?

Przedstawiwszy wam już na różne sposoby jego czaszkę, tryskawkę, szczękę, zęby, ogon, czoło, płetwy i rozmaite inne części, wskażę teraz po prostu to, co jest najbardziej interesujące w ogólnej masie samych jego kości. Ponieważ jednak kolosalna czaszka stanowi tak ogromną część całego szkieletu, ponieważ jest bezwarunkowo najbardziej skomplikowanym jego członem i ponieważ w niniejszym rozdziale nic już o niej powtarzać nie będziemy, kiedy więc pójdziemy dalej, musicie koniecznie mieć ją stale w pamięci czy też pod pachą, gdyż inaczej nie uzyskacie pełnego pojęcia o ogólnej strukturze, którą mamy obejrzeć.

Szkielet kaszalota w Tranque mierzył siedemdziesiąt dwie stopy długości; toteż kiedy za życia wieloryb ów był przyobleczony w swą pełną powłokę i rozciągnięty na całą długość, musiał liczyć dziewięćdziesiąt stóp długości, albowiem szkielet u wieloryba traci około jednej piątej długości w porównaniu z żywym ciałem. Z owych siedemdziesięciu dwóch stóp przypadało na czaszkę i szczękę jakieś dwadzieścia, co pozostawiało około pięćdziesięciu stóp samego kręgosłupa. Na przestrzeni mniejszej nieco niż jedna trzecia całej jego długości przytwierdzony był doń potężny, krągły kosz żeber, który niegdyś zamykał w sobie żywotne części ryby.

Mnie ów ogromny, kością żeberowany tors z długim, wolno zawieszonym kręgosłupem biegnącym hen jedną prostą linią, niemało przypominał kadłub wielkiego okrętu w trakcie budowy, kiedy to ledwie jakieś dwadzieścia nagich szpant przytwierdzono do kilu, którego reszta jest na razie tylko długim, luźnym drągiem.

Żeber było dziesięć z każdego boku. Pierwsze, zaczynając od szyi, miało niemal sześć stóp długości; drugie, trzecie i czwarte były stopniowo coraz dłuższe, aż do szczytowego punktu żebra piątego, czyli jednego ze środkowych, które mierzyło osiem stóp i kilka cali. Od tego miejsca pozostałe żebra malały, a dziesiąte i ostatnie rozpięta się na długość zaledwie pięciu stóp i paru cali. Grubość ich wszystkich zachowywała

należyłą proporcję do długości. Żebra środkowe najbardziej były wygięte. Niektórych na Arsacydach używają jako podpór i po nich przerzucają kładki ponad mniejszymi potokami.

Gdy oglądałem te żebra, musiała mnie znowu uderzyć okoliczność, na wszelkie sposoby w tej książce powtarzana, że szkielet wieloryba bynajmniej nie odpowiada kształtom jego zewnętrznej powłoki. Największe żebro kaszalota z Tranque, jedno ze środkowych, znajdowało się w tej części ryby, która za życia największą ma wysokość. Atoli największa wysokość ciała tego właśnie wieloryba musiała wynosić co najmniej szesnaście stóp, żebro zaś mierzyło niewiele ponad osiem. Dawało ono tedy ledwie połowę właściwego pojęcia o żywym ogromie tejże części. Prócz tego, na znacznej przestrzeni, tam gdzie teraz widziałem tylko nagi kręgosłup, wszystko było niegdyś okryte tonami dodatkowej masy mięsa, mięśni, krwi tudzież trzewi. Co gorsza, miast szerokich płetw widniało tam zaledwie kilka rozlekatanych stawów, a w miejsce ciężkiego i majestatycznego, lecz bezkostnego ogona – pustka całkowita!

Jakże więc czcze i głupie ze strony nieobytego, lękliwego człeka, pomyślałem sobie, są próby właściwego zrozumienia owego przedziwnego wieloryba przez zwykłe wpatrywanie się w jego martwy wynędzniały szkielet, rozciągnięty w owym spokojnym gaju. Nie! Tylko w samym sercu najsroźszych niebezpieczeństw, tylko w wirze jego gniewnego ogona, tylko na głębokim, bezkresnym morzu można poznać rzetelną, żywą prawdę o przyobleczonej w ciało wielorybie.

Ale weźmy kręgosłup. Najlepszym sposobem obejrzenia go byłoby użyć dźwigu, co by wysoko podniósł jego kości za jeden koniec. Nielatwe to zadanie. Atoli kiedyśmy już to uczynili, kręgosłup wielce przypomina kolumnę Pompejusza.

Jest tam wszystkiego czterdzieści kilka kręgów, które w szkielecie nie są ze sobą połączone. Na ogół leżą niby owe wielkie sękate bloki gotyckiej wieżycy tworzące zwarty ciąg ciężkiej kamiennej budowy. Największy, środkowy, ma nieco mniej niż trzy stopy szerokości, głębokości zaś ponad cztery. Najmniejszy, tam gdzie grzbiet zwęży się i w ogon przechodzi, ma zaledwie dwa cale szerokości i trochę przypomina białą kulę bilardową. Mówiono mi, że były tam jeszcze mniejsze, ale pogubiły je jakieś małe kanibalskie urwisy, dzieci kapłana, które skradły owe kręgi, aby nimi grać w piłkę. Tak to postrzegamy, że kręgosłup najpotężniejszego nawet z żyjących stworzeń koniec końców do zwykłej, dziecinnej sprowadza się igraszki.

## ROZDZIAŁ CIV

### WIELORYB WYKOPALISKOWY

Z uwagi na swą potężną masę wieloryb stanowi temat, który najłatwiej można wyolbrzymiać, rozszerzać i w ogólności długo się nad nim rozwodzić. Ścieśnić go nie byłibyście w stanie, nawet gdybyście tego pragnęli. Z prawa mu się należy, by o nim tylko w największych traktować foliach. Nie powtarzając już tu o tych stajaniach, jakie mierzy od tryskawki do ogona, o jardach w talii, pomyślany tylko o gigantycznej gmatwaninie jego wnętrzości, spoczywających wewnątrz niego niby ogromne sznury i liny holownicze złożone w zwoje w orlopie wojennego liniowca.

Skoro się już podjąłem wziąć w obroty owego Lewiatana, przystoi mi wykazać się w owym przedsięwzięciu wyczerpującą wszechwiedzą i nie przeoczyć najdrobniejszego załączka we krwi potwora ani też nie zaniedbać rozwikłania najdalszego zwoju jego jelit. Ponieważ już opisałem większość terażniejszych osobliwości zarówno otoczenia, w którym żyje, jak i jego anatomii, pozostaje mi więc oświetlić go z archeologicznego, skamienielinowego i przedpotopowego punktu widzenia. Zastosowane do jakiegokolwiek innej niż Lewiatan istoty – do mrówki lub pchły – tak ważkie terminy słusznie by uznać można za bezzasadnie górnotne. Sprawa wszelako się zmienia, gdy mowa o Lewiatanie. Mając przed sobą taki cel, zmuszony jestem ślaniać się pod ciężarem najbardziej ważkich słów dykcjonarza. Tu zaś należy nadmienić, że kiedykolwiek w toku niniejszych dysertacji wypadło mi zajrzeć do słownika, niezmiennie używałem ogromnego wydania *In Quarto słownika* Johnsona, umyślnie na ten cel zakupionego; albowiem niepospolita osobista tusza tego słynnego leksykografa szczególnie uczyniła go sposobnym do zestawienia leksykonu, którym mógłby się posługiwać taki jak ja autor wielorybiczny.

Często się słyszy o pisarzach, którzy rosną i pęcznieją wraz ze swym tematem, choćby się on wydawał pospolity. Cóż dopiero ja, który piszę o tym Lewiatanie? Nieświadomie pismo moje rozrasta się w wielkie litery afisza. Dajcież mi pióro kondora! Dajcie mi krater Wezuwiusza miast kałamarza! Podtrzymujcie mnie za rękę, przyjaciele! Albowiem czynność spisywania moich myśli o Lewiatanie utrudza mnie, aż omdleвам od ich dalekosiężnego rozmachu, obejmującego tak wiele, że chyba włączony tu być musi cały krąg nauk, wszystkie generacje wielorybów i ludzi, i mastodontów, przeszłe, obecne i przyszłe, wraz z wirującymi panoramami władztwa na ziemi i w całym wszechświecie nie wyłączając jego przedmieść. Takie i tak powiększające są zalety wielkiego, szczodrobliwego tematu! Rozrastamy się sami do jego miary. Aby stworzyć potężną książkę, musicie wybrać temat potężny. Nigdy nikt nie napisze wielkiego wiekomnego dzieła o pchle, choć było wielu, co tego próbowali.

Zanim poruszę temat wielorybów wykopaliskowych, składam me listy uwierzytelniające jako geolog, stwierdzając, że w różnych okresach swojego życia byłem kamieniarzem, a także zamięłowanym kopaczem rowów, kanałów i studzien, loszków na wino, piwnic tudzież cystern wszelkiego autoramentu. Chciałbym również przypomnieć na wstępie czytelnikowi, że podczas gdy we wcześniejszych warstwach

geologicznych znajduje się skamienieliny potworów obecnie już niemal całkowicie wymarłych, późniejsze szczątki odkrywane w tak zwanych formacjach trzeciorzędowych zdają się być łączącym, a w każdym razie pośrednim ogniwem między stworzeniami przedhistorycznymi, a tymi, których dalecy przodkowie mieli jakoby wsiąść do Arki; wszystkie dotychczas odkryte wieloryby kopalne należą do trzeciorzędu, który jest ostatnim okresem poprzedzającym formację wierzchnie. A chociaż żaden z tych wielorybów nie odpowiada ściśle którejkolwiek ze znanych obecnie odmian, są im jednak ogólnie biorąc, wystarczająco pokrewne, by uzasadnić ich zaszeregowanie jako waleni skamieniałych.

W ciągu ostatnich lat trzydziestu znajdowano od czasu do czasu u podnóża Alp, w Lombardii, Francji, Anglii i Szkocji, w stanach Luizjana, Missisipi i Alabama luźne ułamki skamienielin przedadamowych wielorybów oraz fragmenty ich kości i szkieletów. Wśród ciekawszych spomiędzy takich szczątków mamy część czaszki, którą w r. 1779 wykopano w Paryżu na Rue Dauphine, krótkiej uliczce wychodzącej niemal bezpośrednio na pałac Tuileryjski, a także kości wydobyte przy kopaniu wielkich doków antwerpskich za czasów Napoleona. Cuvier orzekł, iż owe szczątki należały do jakiegoś zupełnie nie znanego lewiatańskiego gatunku.

Wszelako bezwzględnie najbardziej zdumiewającym ze wszystkich wielorybich zabytków był niemal całkowity, ogromny szkielet potwora wymarłego gatunku, znaleziony w roku 1842 na plantacji sędziego Creagha w Alabamie. Strachem zdjęci, łatwowierni niewolnicy okoliczni wzięli go za kości jednego z upadłych aniołów. Uczni z Alabamy orzekli, iż jest to olbrzymi gad i nadali mu miano *Basilosaurus*. Kiedy jednak kilka kości zawieziono jako próbkę za morze Owenowi, anatomowi angielskiemu, okazało się, iż ten rzekomy gad był wielorybem, lubo już wygasłego gatunku. Znamienna to ilustracja stale w tej książce powtarzanego faktu, że szkielet wieloryba daje bardzo słabe pojęcie

o kształtach jego pełnego cielska. Zatem Owen na nowo ochrzcił potwora mianem *Zeuglodon*, a w swojej dysertacji odczytanej przed Londyńskim Towarzystwem Geologicznym orzekł, iż jest to jedna z najniezwyklejszych istot wymazanych z życia przez zachodzące na tym globie przemiany.

Kiedy staję pośród tych olbrzymich lewiatańskich szkieletów czaszek, kłów, szczęk, zeber oraz kręgów, które cechuje częściowe podobieństwo do istniejących gatunków morskich potworów, ale też z drugiej strony także powinowactwo do niepomiernie oó nich starszych, unicestwionych Lewiatanów przedhistorycznych, wówczas nurt jakiś ponosi mnie wstecz ku owemu przedziwnemu okresowi, co trwał, rzec by można, zanim sam czas wziął swój początek, jako że czas zaczął się razem z człowiekiem. Tutaj przetacza się nade mną szary chaos Saturna i z drżeniem widzę mgliste obrazy owej polarnej prawieczności, kiedy te ostrokatne bastiony lodowców twardo cisnęły na obecne podzwrotnikowe obszary, a na wszystkich 25 tysiącach mil obwodu tego świata nie dostrzegłbyś ani piędzi zamieszkałej ziemi. Naówczas świat cały do wieloryba należał; toteż on, król stworzenia, kreślił swój szlak wzdłuż obecnej linii Andów i Himalajów. Któż to ma taki rodowód jak Lewiatan? Harpun Ahaba rozlał krew starożytniejszą od krwi faraonów. Matuzalem wydaje się tu być szkolnym uczniakiem.

Rozglądam się za Semem, by dłoń mu uścisnąć. Zdejmuje mnie przerażenie na myśl o przedmojżeszowym, pierwotnym. istnieniu nie dającej się zawrzeć w słowach straszliwości wieloryba, która, poczęta przed wszelkim czasem, będzie z pewnością trwała i wtedy, gdy wszystkie wieki ludzkości przeminą.

Atoli ów Lewiatan pozostawił swoje przedadamowe ślady nie tylko na stereotypowych płytach natury; nie tylko w wapniu

i marglu przekazał potomnym swe starożytne popiersie. Także i na tabliczkach egipskich, których starodawność użycza im niemal skamienielinowego charakteru, znajdujemy niewątpliwy odcisk jego płetwy. W jednej z komnat olbrzymiej świątyni Denderah jakieś pięćdziesiąt lat temu odkryto na granitowym stropie rzeźbiony i malowany planiglob obfitujący w centaury, gryfy i delfiny podobne do groteskowych figur umieszczanych przez ludzi współczesnych na sklepieniu niebieskim. Sunąc między nimi płynął tam, jak ongiś, stary Lewiatan i pływał tak po tym planiglobie na całe wieki przedtem, nim Salomona do kolebki złożono.

Niepodobna też pominąć innego osobliwego potwierdzenia starodawności wieloryba w jego popopotopowej, kostnej, rzeczywistej postaci, które zapisał czczigodny John Leo, dawny podróżnik po Barbarii.

*Nie opodal morskiego wybrzeża Świątynię posiadają, której krokwie i belki z wielorybich sporządzone są kości, albowiem martwe wieloryby srogich rozmiarów na one wybrzeża częstokroć wyrzucane bywają. Gmin mniema, iż Moc tajemna, przez Boga onej nadana Świątyni, sprawia, iż jaki Wieloryb przepłynąć mimo nie może, śmierci natychmiastowej nie ponosząc. Prawdą jest wszelako w onej materii, że po obu stronach Świątyni skały stoją, które na dwie mile w Morze wchodzi i ranią Wieloryby, jeśli takowe na nie się natkną. Żebro Wieloryba niewiarygodnej długości tamże jako cud przechowują, które to żebro na ziemi spoczywając, wygiętą częścią do góry zwrócone, łuk tworzy, którego szczytu człek wielbłąda dosiadający nie sięgnie. Pomienione żebro (mówi John Leo) jakoby leżało tamże już od lat stu, zanim je ujrzałem. Ich dziejopisowie utrzymują, iż Prorok pewien, którego Mahometa przepowiedział, z onej pochodził Świątyni, poniektórzy zasię twierdzą, iż Prorok Jonasz u stóp tejże Świątyni przez Wieloryba wyrzucon był.*

W tej to afrykańskiej Świątyni Wieloryba pozostawiam cię, czytelniku, a jeśli jesteś nantucketańczykiem i wielorybnikiem, pewnie tam w milczeniu cześć mu oddasz.

## ROZDZIAŁ CV

### CZY ZMNIJSZA SIĘ ROZMIAR WIELORYBA? CZY ON SAM ZAGINIE?

Jako że ów Lewiatan brnie ku nam od kolebki prawieków, można by snadnie zapytać, czy w długim łańcuchu pokoleń nie zdegenerował się pierwotny ogrom jego praszczurów.

Aliści po zbadaniu sprawy dowiemy się, że nie tylko wieloryby czasów obecnych są większe rozmiarami od tych, których skamieniałe szczątki znajdowane są w trzeciorzędzie (obejmującym wyraźny okres geologiczny poprzedzający pojawienie się człowieka), ale że spośród wielorybów, w tymże trzeciorzędzie znajdujących, te, które należą do jego późniejszych formacji, przewyższają wielkością tamte z formacji wcześniejszych.

Ze wszystkich dotąd ekshumowanych, przedadamowych wielorybów bezwzględnie największym jest ten z Alabamy, wspomniany w ostatnim rozdziale; ma on szkielet długości około siedemdziesięciu stóp. Widzieliśmy już natomiast, że taśma miernicza pokazuje siedemdziesiąt dwie stopy dla szkieletu dużego współczesnego wieloryba. Ja zaś słyszałem z miarodajnych źródeł wielorybicznych, że ubijano kaszaloty długości niemal stu stóp w momencie złowienia.

Wszelako czy nie może tak być, że chociaż wieloryby chwili obecnej wykazują znacznie większe rozmiary niż wieloryby ze wszystkich poprzednich okresów geologicznych, to jednak zdegenerowały się one od czasów Adama?

Pewnie, że nie inną musielibyśmy wyciągnąć konkluzję, gdybyśmy mieli dać wiarę takim panom jak Pliniusz i starożytni naturaliści w ogóle. Albowiem Pliniusz opowiada nam o wielorybach, które przedstawiały całe akry żywej masy, zaś Aldrovandus o innych, mierzących osiemset stóp długości – istne to wieloryby-powroziarnie i wieloryby-tunele pod Tamizą! A nawet za czasów Banksa i Solandera, przyrodników Cooka, spotykamy Duńczyka, członka Akademii Nauk, który określa długość pewnych wielorybów islandzkich (*Reydan-siskur*, czyli Pomarszczony Brzuch) na sto dwadzieścia jardów, to jest trzysta sześćdziesiąt stóp. Lacepede, przyrodnik francuski, w swej pracowitej historii wielorybów, na samym początku dzieła (strona 3) twierdzi, że wal właściwy ma sto metrów, czyli trzysta dwadzieścia osiem stóp. A dzieło to opublikowane zostało bardzo niedawno, bo w roku pańskim 1825.

Czyż jednak którykolwiek wielorybnik uwierzy w tę historię? Nie. Wieloryb dzisiejszy jest równie duży jak jego przodkowie z czasów Pliniusza. Jeśli kiedykolwiek pójde tam, gdzie jest Pliniusz, wówczas ja, wielorybnik (lepszy od niego), będę miał śmiałość mu to powiedzieć. Dlatego mianowicie, że pojąć nie mogę, czemu to – choć mumie egipskie pogrzebane na tysiące lat, zanim Pliniusz w ogóle się narodził, mniejsze są wzrostem w swych sarkofagach od nowoczesnego mieszkańca Kentucky w skarpetkach; choć bydło, tudzież inne zwierzęta wyryte na najstarszych tabliczkach egipskich i niniwskich, wnosząc ze stosunkowych proporcji, w jakich je wyobrażano, są najwyraźniej dowodem, że tuczony, premiowany bydło wysokiej rasy ze Smithfield nie tylko dorównuje, ale znacznie przewyższa rozmiarami najtłustsze z tłustych krów

faraona – czemuż więc w obliczu tych faktów miałbym uznać, że ze wszystkich zwierząt jeden tylko wieloryb się zdegenerował?

Pozostaje atoli jeszcze inne zagadnienie; takie, które często roztrząsają bardziej wtajemniczeni nantucketańscy. Czy mianowicie wzięwszy pod uwagę nieledwie wszechwiedzące posterunki na masztach statków wielorybicznych, które przenikają teraz nawet poprzez Cieśninę Beringa i aż do najdalszych sekretnych szufladek i puzderek świata, wzięwszy pod uwagę tysiące harpunów i lanc miotanych wzdłuż wybrzeży wszystkich kontynentów – czy Lewiatan długo potrafi wytrzymać łowy o tak szerokim zasięgu i rzeź tak bezlitosną – oto rzecz do dyskusji. Czy wieloryby nie muszą zostać w końcu wytracone na morzach i czy ostatni wieloryb, tak jak ostatni człowiek, nie wypali swej ostatniej fajki i nie ulotni się w końcowym wydmuchu?

Jeśli porównamy garbate stada wielorybów z garbatymi stadami bawołów, co jeszcze czterdzieści lat temu pokrywały dziesiątkami tysięcy prairie Illinois i Missouri i potrząsając żelaznymi grzywami ponuro spoglądały spod gromem nabrzmiałego czoła na miejsca, gdzie obecnie leżą ludne nadrzeczne stolice, w których uprzejmy pośrednik sprzedaje wam ziemię po dolarze za cal, to porównanie takie będzie na pozór nieodpartym argumentem dowodzącym, że ścigany wieloryb nie może ująć rychłej zagłady. Musicie wszelako przyjrzeć się tej sprawie w każdym świetle. Chociaż tak niedawno temu – mniej niżby wyniósł porządny okres życia ludzkiego – liczba bawołów w Illinois przekraczała spis ludności obecnie Londyn zamieszkującej, w tej chwili zaś nie pozostał w owych stronach ani jeden róg, ani jedno kopyto. i choć przyczyną owej zdumiewającej eksterminacji była ludzka włócznia, to jednak zupełnie odmienna natura łowów wielorybich stanowczo nie dopuszcza, by Lewiatana spotkał koniec tak niesławny. Czterdziestu ludzi, na jednym statku polujących na kaszalota przez czterdzieści osiem miesięcy, uważa, że wybornie się sprawiło i Bogu dziękuje, jeśli na koniec przywiezie do domu olej z czterdziestu ryb. Natomiast za czasów dawnych kanadyjskich i indyjskich łowców i traperów Zachodu, kiedy ten daleki Zachód (w którego zmierzchu nadal jeszcze słońca wschodzą) był dziewiczą pustynią, ta sama liczba ludzi w mokasynach, dosiadając koni miast żaglowych okrętów, ubiłaby przez tę samą ilość miesięcy nie czterdzieści, ale czterdzieści tysięcy i więcej bawołów, który to fakt, jeśli zaszła potemu potrzeba, można udowodnić statystycznie.

Podobnie, jeśli to należycie zważyć, nie będzie żadnym argumentem na rzecz stopniowego wymierania kaszalota, że na przykład dawniej (powiedzmy, w ostatniej części ubiegłego stulecia) spotykało się owe Lewiatany w małych stadkach znacznie częściej niż obecnie i że dlatego wyprawy nie przedłużały się tak ogromnie, a były znacznie bardziej zyskowne. Mianowicie, jak to już gdzie indziej zauważono, wieloryby, powodowane pewnymi względami bezpieczeństwa, pływają obecnie po morzach w olbrzymich karawanach i przeto rozproszone pojedynki, pary, stada i szkoły z dawnych czasów, teraz w znacznym stopniu gromadzą się w olbrzymie, ale z osobna chadzające, rzadko spotykane armie. Oto i wszystko. A równie fałszywe jest przekonanie, że ponieważ tak zwane wieloryby fiszbinowce nie nawiedzają już terenów obfitujących w nie dawnymi laty, tedy i ten gatunek zanika. Są one bowiem po prostu pędzane od

przyłądka do cypla; i jeżeli jednego wybrzeża nie ożywiają już ich fontanny, bądźcie pewni, że niezwykle ten widok dopiero co zadziwił jakiś inny odleglejszy brzeg.

Ponadto, co się tyczy tych ostatnich Lewiatanów, posiadają one dwie tęgie fortece, które według wszelkiego ludzkiego prawdopodobieństwa, na zawsze pozostaną niezdobyte. Podobnie jak w czas najazdu na ich doliny, mroźni Szwajcarzy wycofali się w swojej góry, tak i fiszbinowce, przepędzane z sawann i łąk śródkowych mórz, mogą na ostatku zbiec do swych polarnych cytadel i tam znurkowawszy popod ostatnie szkliste bariery i mury, wychynąć pośród kry i pól lodowych, a w zaklętym kręgu wieczystego grudnia wszelkiemu ludzkiemu urągać pościgowi.

Ale ponieważ na jednego kaszalota zabija się jakieś pięćdziesiąt tych fiszbinowców, poniektórzy filozofowie z forkasztelu doszli do wniosku, że te istne spustoszenia już bardzo poważnie uszczupliły wielorybie bataliony. Chociaż od pewnego czasu pokaźna liczba tych wielorybów, nie mniej niż 13 000, bywa dorocznie mordowana u wybrzeży północno-zachodnich przez samych Amerykanów, to jednak istnieją względy, które nawet tę okoliczność pozbawiają większej wagi jako przeciwnego argumentu w tej mierze.

Acz naturalna jest pewna nieufność, jeśli idzie o liczbę co potężniejszych istot tego globu, to jednak cóż odpowiemy Hartowi, historykowi Goa, kiedy nam mówi, że król Syjamu w czasie jednych łowów upolował 4 000 słoni i że w owych krainach słonie są równie liczne jak stada bydła w umiarkowanych regionach. I nie widać żadnej racji, żeby wątpić, iż skoro te słonie, na które od tysięcy lat polowała i Semiramida, i Porus, i Hannibal, i wszyscy następni monarchowie Wschodu – skoro tu słonie przetrwały tam w pokaźnej liczbie, to tym bardziej wytrzyma wszelkie łowy wielki wieloryb, ile że może do woli błąkać się po pastwiskach dokładnie dwakroć większych od całej Azji, obu Ameryk, Europy, Afryki, posiadłości holenderskich tudzież wszystkich wysp morza razem wziętych.

Co więcej, pamiętać należy, że z uwagi na przypuszczalną wielką długowieczność wielorybów, które prawdopodobnie osiągają sto lat i więcej, zawsze musi żyć jednocześnie kilka odrębnych dorosłych pokoleń. Co zaś to oznacza, o tym rychło możemy powziąć niejakie pojęcie, jeśli wyobrazimy sobie, że wszystkie cmentarze, sarkofagi i groby rodzinne całego świata wydają żywe ciała wszystkich mężczyzn, niewiast i dzieci, co żyły siedemdziesiąt pięć lat temu, i dorzucają owe nieprzeliczone zastępy do obecnego zaludnienia kuli ziemskiej.

Dlatego też, ze względu na wszystkie owe rzeczy, uważamy wieloryba za nieśmiertelnego jako gatunek, choć zniszczalnego jako indywiduum. Pływał po morzach, zanim kontynenty wynurzyły się z wód; ongiś przepływał ponad miejscem, gdzie teraz stoją Tuilerie i Zamek Windsorski, i Kreml. W czasie potopu wzgardził arką Noego; a jeśli kiedykolwiek świat ma być znowu w potopie pogrążon jak Holandia, aby wytracić wszystkie na nim szczury – wówczas wiekuisty wieloryb znowu to przeżyje i wzniósłszy się na najwyższej fali ekwatorialnej powodzi tryśnie ku niebu pienistym wyzwaniem.

## ROZDZIAŁ CVI

### NOGA AHABA

Pośpiech, z jakim kapitan Ahab opuścił „Samuela Enderby” z Londynu, sprawił, że nie obeszło się bez pewnego drobnego poturbowania jego własnej osoby. Z taką mianowicie energią wylądował na ławce swojej szalupy, że kościana noga omal nie pękła od uderzenia. Kiedy zaś dotarł na własny pokład i trafił nią w wydrążony tam otwór, tak gwałtownie obracał się dokoła, rzucając sternikowi naglące rozkazy (jak zawsze, było tam coś na temat nie dość sztywnego trzymania steru), że kość, już nadwerżoną, teraz na dobitkę skręcił i wywichnął, i chociaż była jeszcze cała i według wszelkich pozorów mocna, przecie Ahab nie uważał jej już za całkiem godną zaufania.

A i po prawdzie trudno się było dziwić, że mimo na wskroś go przenikającego, szalonego zuchwalstwa Ahab czasami pilną zwracał uwagę na stan owej martwej kości, na której częściowo się wspierał. Niedługo bowiem przed wypłynięciem „Pequoda” z Nantucket znaleziono pewnej nocy kapitana rozciągniętego bez zmysłów na ziemi; jakimś nieznanym i pozornie niewytłumaczonym, niepojętym przypadkiem kościana noga tak gwałtownie wybita została ze swego miejsca, że na kształt pała ugodziła i nieledwie przebiła mu pachwinę; toteż nie bez najwyższej trudności wyleczono całkowicie tę straszliwie dręczącą ranę.

I wtedy to musiała się zrodzić w jego głowie maniacka myśl, że wszystkie męki wówczas przeżywane były jedynie bezpośrednim skutkiem uprzedniego nieszczęścia; zbyt jasno snadź dostrzegął, że wzorem najbardziej trucicielskiego gada z bagnisk, przedłużającego swój gatunek równie nieuchronnie jak najśłodszy śpiewak z gaju – także i wszelkie nieszczęśliwe wypadki, na równi z każdą pomyślnością, w sposób naturalny rodzą podobne sobie zdarzenia. „A zaiste więcej niż na równi – myślał Ahab – ponieważ tak przodkowie jak i potomstwo Strapienia dalej sięgają niżli przodkowie i potomstwo Radości. Nie mówiąc już o tym, że z pewnych nauk kanonicznych wynika, iż niektóre naturalne radości, tu, na ziemi, nie wydadzą potomstwa na tamtym świecie, ale przeciwnie, nastąpi po nich bezdzietność Radości, właściwa całej udręce piekieł; natomiast pewne występne doczesne nędze nadal poza grobem płodnie rodzić będą wieczyście mnożące się potomstwo utrapień – owóż przy głębszej analizie wychodzi tu na jaw nierówność. Albowiem – myślał Ahab – w najwyższym ziemskim szczęściu zawsze się czai jakaś nic nie znacząca małość, natomiast u dna wszystkich cierpień duchowych tkwi tajemnicze znaczenie, a u niektórych ludzi nawet i wielkość archanielska – toteż pilne tropienie ich pochodzenia nie zada kłamu temu oczywistemu wnioskowi. Śledzenie rodowodu owych wielkich doczesnych nędz doprowadzi nas wreszcie do nie mającej początku primogenitury bogów; toteż w obliczu radosnego słońca, co sianokosom przyświeca, w obliczu krągłego, miękko dzwonnego, żniwnego księżycy musimy przyznać jedno: że sami bogowie nie zawsze są weseli. Niezatarte piętno smutku na czole człowieka jest tylko pieczęcią bólu tego, kto podpis swój tam położył.”

Nieświadomie wyjawiono tu sekret, który mógł być we właściwszy i bardziej należyty sposób być ujawniony już przedtem. Wraz z wieloma innymi szczegółami, tyczącymi się Ahaba, zawsze pozostawało dla niektórych tajemnicą, czemu przez pewien czas, tak przed jak i po wyruszeniu „Pequoda”, kapitan ukrywał się w odosobnieniu godnym Dalaj Lamy i przez ów okres czasu jak gdyby szukał milczącego schronienia pośród marmurowego senatu umarłych, uzasadnienie rozpowszechniane przez kapitana Pelega nie wydawało się wcale a wcale wystarczające, chociaż po prawdzie, co się tyczy wszystkich głębszych pokładów duszy Ahaba, to każde nowe odkrycie więcej w sobie miało znamienego mroku niż wyjaśniającego światła. Koniec końców jednak wszystko wyszło na jaw; a przynajmniej ta jedna sprawa. Ten to okrutny wypadek leżał u dna chwilowego odosobnienia kapitana. Mało tego; dla stale się zacieśniającego, malejącego kręgu ludzi, którzy na łądzie z tych czy innych przyczyn mieli przywilej mniej utrudnionego dostępu do kapitana – nawet dla tego lękliwego kółka wspomniany wypadek – przez Ahaba ponuro pozostawiony bez wyjaśnienia – przyoblekał się w straszliwość nie całkiem obcą światu duchów i lamentów. Toteż przez swą gorliwość w stosunku do kapitana wszyscy się sprzysięgli, żeby, o ile to będzie w ich mocy, zataić tę sprawę przed innymi; dlatego właśnie dopiero po upływie znacznego czasu rzecz przeniknęła na pokład „Pequoda”.

Ale niech będzie, co chce; niechże ów niewidzialny, niepojęty synod obradujący w przestworzach czy też mściwi książęta i potentaci ognia piekielnego zajmują się ziemskim Ahabem; w sprawie nogi podjął on zwykłe, praktyczne kroki; zawezwał cieśle.

Kiedy zaś stanął przed nim ów rzemieślnik, kapitan rozkazał mu zabrać się bez zwłoki do sporządzania nowej nogi; dał też wskazówki oficerom, by dostarczyli cieśli wszelkie drążki i belki z kości szczękowej (kaszalota), jakie do tej pory w czasie wyprawy nagromadzono, a to żeby mu umożliwić staranny wybór najtęższego, posiadającego najwłaściwszy słoń materiału. Następnie nakazano cieśli ukończyć nogę tejże nocy oraz dostarczyć wszystkie wiązania niezależnie od tych, co należały do tamtej, używanej, która straciła zaufanie swojego pana. Co więcej, miano wywindować kuźnię okrętową z miejsca jej chwilowej gnuśności w ładowni; aby przyspieszyć bieg spraw, kazano kowalowi natychmiast zabrać się do wykuwania wszelakich żelaznych dodatków, jakie mogą się okazać potrzebne.

## ROZDZIAŁ CVII

### CIEŚLA

Zasiądź po sułtańsku pośród księżyców Saturna i spójrz z wysoka na pojedynczego, abstrakcyjnego człowieka, a wyda ci się cudem, wielkością i niedolą. Ale spójrz z tego samego miejsca na rodzaj ludzki w całości, a w swej większości wyda ci się on tłumem zbędnych duplikatów, zarówno współczesnych jak i dziedzicznych. Wszelako choć arcyskromny i daleki od tego, aby swoją osobą dawać przykład wzniosłej ludzkiej abstrakcji, cieśla „Pequoda” nie był duplikatem; dlatego też we własnej osobie teraz na scenę tę wkracza.

Wzorem wszystkich pływających po morzu cieśli okrętowych, a w szczególności tych ze statków wielorybnych, był on w pewnym powierzchownym sensie praktycznie i jednako obeznany z rozlicznymi rzemiosłami i zatrudnieniami pokrewnymi jego własnemu, ile że zawód cieśli jest pradawnym, rozgałęziającym się pnem wszystkich tych rozlicznych rękodzieł, które mają mniej lub więcej do czynienia z drewnem jako materiałem. Atoli poza odnoszącą się doń powyższą uwagą ogólną, ów cieśla „Pequoda” wykazywał osobliwe zdolności w przeróżnych mechanicznych potrzebach, których wyliczyć nie sposób, a które ustawicznie się ponawiają na dużym statku w toku trzy- czy czteroletniej podróży po niecywilizowanych i dalekich morzach. Nie mówiąc bowiem o jego gotowości do pełnienia zwykłych obowiązków – naprawiania podziurawionych łodzi, wywichniętych drzewc, ulepszania kształtu wiosel o niezgrabnie wykonanych piórach, wprawiania w pokład okienek czy też wbijania nowych ćwieków w deski kadłuba, tudzież najrozmaitszych innych spraw bardziej bezpośrednio związanych z jego specjalnością, był jeszcze niezawodnie biegły w najprzeróżniejszych zajęciach, zarówno pożytecznych jak błahych.

Jedyną wielką sceną, na której odgrywał wszystkie swoje tak różnorodne role, był jego warsztat – długi, toporny, ciężki stół zaopatrzony w kilka imadeł różnej wielkości, zarówno żelaznych jak i drewnianych. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy do statku były przycumowane wieloryby, warsztat ów zawsze stał w poprzek statku, przytwierdzony do tylnej ścianki wytapialni.

Jakiś nagiel okazuje się zbyt gruby, by go bez trudu wsunąć w otwór? Cieśla wsadza go w jedno ze swych stale gotowych imadeł i od ręki opiłowuje. Zagubiony lądowy ptak o dziwnym upierzeniu błąka się po pokładzie i zostaje schwytany? Z gładko oczyszczonych prętów fiszbinowych i płytek poprzecznych z kaszalotowej kości cieśla sporządza dlań klatkę pagodzie podobną.

Wioślarz wywichnął sobie rękę? Cieśla gotuje uśmierzające lekarstwo. Stubb marzył o wymalowaniu szkarłatnych gwiazd na piórze każdego ze swych wiosel? Wkręciwszy każde z nich w wielkie, drewniane imadło, cieśla symetrycznie je zaopatruje w owe konstelacje. Któremuś z marynarzy przychodzi do głowy nosić kolczyki z kości rekina? Cieśla przekłuwa mu uszy. Inny ma ból zęba? Cieśla dobywa obcęgow i klepnąwszy warsztat jedną ręką, zaprasza majtka, by na nim zasiadł. Biedaczysko wyrывa się

niemiłosiernie w trakcie nie dokończonych operacji? Cieśla odkręca rękojeść drewnianego imadła i daje mu znak, by wetknął w nie szczękę, jeżeli chce, by mu ząb wyrwano.

Tak więc ów cieśla był na wszystko gotów, jednak na wszystko obojętny i nie szanujący niczego. Zęby uważał za kawałki kości, głowy za klocki; samych ludzi traktował beztrzesko, jako coś w rodzaju kabestanów. Wszystkie te tak rozliczne i urozmaicone umiejętności wraz z wielkim ożywieniem i biegłością zdawałyby się świadczyć o jakiejś niepospolitej żywej inteligencji. Tak jednak właściwie nie było. Nic w tym człowieku nie zwracało bardziej uwagi niż jakieś bezosobowe otępienie; bezosobowe, powtarzam, tak się bowiem wtapiało w dookólną nieskończoność rzeczy, iż zdawało się tworzyć jedność z powszechnym otępieniem, jakie można było dostrzec w całym widzialnym świecie, który, choć nieprzerwanie czynny na niezliczone sposoby, zachowuje jednakże wieczysty spokój i ignoruje was, choćbyście kopali fundamenty pod katedry. Jednakże owo tak przerażające otępienie pociągało snadź za sobą wszystko ogarniający brak serca; a przecież czasem mieszało się dziwnie z jakimś przestarzałym, kulawym, przedpotopowym, mozolnym humorem nie pozbawionym chwilami błysków pewnego staroświeckiego dowcipu takiego, jakim może skracano sobie długie wachty nocne na omszałym forkasztelu arki Noego. Czy działo się tak dlatego, że ów stary cieśla był całe życie wędrowcem, który płacząc się tu i ówdzie nie tylko nie obrósł mchem, ale przeciwnie, wytarł wszelkie drobne, zewnętrzne narośle, jakie mogły pierwotnie doń przyłgnąć? Był obnażoną abstrakcją, całością niepodzielną; bezkompromisowy jak nowo narodzone dziecko, żył bez żadnego przemyślanego związku z tym czy z tamtym światem. Można by nieledwie powiedzieć, że owa osobliwa bezkompromisowość pociągała za sobą pewien rodzaj braku inteligencji; mianowicie w swych rozlicznych rzemiosłach zdawał się pracować nie tyle przez rozsądek czy instynkt, czy też po prostu dlatego, że go tak przyuczono, względnie na skutek jakiejś mieszaniny, w równych czy nierównych częściach „wszystkich owych racji, ale wręcz z tej racji, że było to dlań czymś w rodzaju głuchego i niemego, spontanicznego, powszedniego procederu. Był to czysty rękodzielnik; mózg, jeśli go miał kiedykolwiek, musiał już z dawna przesączyć się w mięśnie jego palców. Przypominał jeden z owych nierozumnych, a przecie wysoce użytecznych Sheffieldowskich przyrządów *multum in parvo*, które przybierają zewnętrzną postać – wprawdzie nieco obrzmiałą – zwykłego scyzoryka, a jednak zawierają nie tylko ostrza różnych rozmiarów, ale także i śrubokręty, korkociągi, szczypczyki, szydełka, pióra, linijki, pilniki do paznokci, świderki. Tak więc, jeśli przełożeni chcieli użyć cieśli jako śrubokrętu, to 'wystarczyło im otworzyć właściwą jego część i już śruba twardo siedziała; jeśli go chcieli zastosować jako szczypce, wystarczyło wziąć go za nogi i miało się, czego potrzeba.

Atoli, jak już uprzednio wspomniano, ów wielonarzędziowy, otwierany i zamykany cieśla nie był, bądź co bądź, zwykłą maszyną czy automatem. Jeżeli nawet nie miał w sobie zwyczajnej duszy, to posiadał coś tajemniczego, co w jakiś kaleki sposób pełniło jej powinność. Niepodobna dociec, co to było takiego; czy sama esencja rtęci, czy kilka kropel wywaru z jelenich rogów. Było tam przecie i tkwiło tak od przeszło sześćdziesięciu lat. I on to właśnie, ten niepojęty, mądry pierwiastek życia kazał mu

przez wielką część czasu monologować, ale tylko jak. bezmyślne koło, co również monologuje swoim turkotem; a może raczej ciało tego cieśli było budką wartownika, a ów monologista tkwił tam na posterunku, gadając przez cały czas do siebie, aby nie zasnąć.

## ROZDZIAŁ CVIII

### AHAB I CIEŚLA

#### **Pokład – pierwsza wachta nocna**

*(Cieśla stoi przed swym warsztatem i przy świetle dwóch latarni pilnie opiłowuje przeznaczony na nogę kawał kości, mocno uchwycony w imadło. Na warsztacie walają się płytki kości, skrawki skóry, kawałki wyściółki, śruby i różne narzędzia wszelkiego rodzaju. W przodzie widać czerwony ogień kuźni, w której pracuje kowal.)*

– Do kata z pilnikiem i do kata z kością! To jest twarde, co powinno być miękkie, a miękkie to, co powinno być twarde. Tak się wiedzie temu, co piłuje stare szczęki i golenie. Spróbujmy innego. Tak, proszę, z tym idzie lepiej. *(kicha)* Ach, ten pył kostny *(kicha)* – ten pył jest *(kicha)* – jest właśnie *(kicha)* – *do diabła, nie da mi dojść do słowa!* Oto czego dorabia się stary chłop pracując na martwym materiale. Popiłuj żywe drzewo, a nie będziesz miał takiego pyłu, amputuj żywą kość, a też go nie będzie. *(kicha)* No, no, do roboty, stary smoluchu, dawaj tę skuwkę i sprzączkę. Zaraz będę gotów do nich się zabrać. Całe szczęście *(kicha)*, że nie trzeba robić stawu kolanowego. To by dopiero był kłopot! Ale zwykła goleń – no, to przecie jest równie łatwe, jak zrobić tykę do chmielu, chciałbym jeno dać dobre wykończenie. Czas, czas – gdybym tylko miał czas, tobym mu zmajstrował taką zgrabną nóżkę *(kicha)*, że nigdy ładniejsza nie tupiała po damskim saloniku. Te zamszowe nogi i lydki com je widywał na wystawach sklepowych, aniby się do niej nie umywały. Nasiąkają wodą, naturalnie dostają reumatyzmu i trzeba je leczyć *(kicha)* lekarsstwami i płynami, zupełnie jak żywe nogi. No, teraz, zanim ją odpiluję, muszę zawezwać jego mogolską mość i zobaczyć, czy długość w sam raz. Coś mi się widzi, że chyba za krótka. Aha! Stukot pięty! Mam szczęście, właśnie nadchodzi chyba nie kto inny, to pewne.

AHAB

*(przybliża się)*

*(Podczas sceny, która teraz następuje, cieśla nadal kicha od czasu do czasu).*

– No cóż, człekorobie?

– W sam czas pan nadchodzi. Za pozwoleniem pana kapitana, zaznaczę sobie długość. Pozwól mi pan wziąć miarę.

– Miarę na nogę! Dobrze! Cóż, nie pierwszy to raz. Podnieś ją! Tak, trzymaj tu palec. Tęgie masz imadło, cieślo, daj mi raz poczuć jego uchwyt. O, tak, tak, trochę szczypie.

– O, kapitanie, to może połamać kości, ostrożnie, ostrożnie!

– Nie ma obawy. Lubię dobry uścisk. Lubię czuć na tym śliskim świecie coś, co potrafi trzymać człowieka. Cóż robi ten Prometeusz – to znaczy kowal – nad czym pracuje?

– Pewnie wykuwa teraz sprzączkę.

– Słusznie. Oto współpraca; on dostarcza części mięśniowych. Ależ wściekle czerwony ogień rozniecił!

– Tak jest, kapitanie. Musi rozgrzać metal do białości przy tak delikatnej robocie.

– Uhm. Musi. Otóż wydaje mi się wielce znamienne, że ten starodawny Grek, Prometeusz, co tworzył ludzi, był, jak powiadają, kowalem i ożywił ich przy pomocy ognia; albowiem co w ogniu powstało, do ognia należeć musi i dlatego istnienie piekła jest prawdopodobne. Jakże latają te sadze! To muszą być odpadki, z których ów Grek zrobił Afrykańczyków. Cieśło, kiedy kowal skończy z tą sprzączką, powiedz, żeby ukuł parę stalowych kości łopatkowych. Jest tu na statku przekupień, co nosi przytłaczające brzemię.

– Słucham?

– Czekaj! Skoro Prometeusz wziął się do roboty, zamówię sobie całkowitego człowieka według pożądanego wzoru. Po pierwsze pięćdziesiąt stóp wzrostu w skarpetkach, następnie pierś sklepiona na wzór Tunelu Tamizy, dalej nogi zaopatrzone w korzenie, by mogły ustać w miejscu, ręce – na trzy stopy w kiści, serca w ogóle nie trzeba; czoło miedziane i około ćwierci akra wyborowego mózgu; i jeszcze – zaraz, zaraz – czy zamówić oczy, co by na zewnątrz patrzyły? Nie, dam mu na czubku głowy górne okienko, które by jego wnętrze oświetlało. No, bierz zamówienie i ruszaj!

– A ten znowu o czym i do kogo gada, chciałbym wiedzieć? Czy mam tu dalej stać?  
(na stronie)

– Kiepska to architektura, co ślepą tworzy kopułę, a to jest jedna z nich. Nie, nie, nie, muszę mieć latarnię.

– Ha, o *to* idzie? Są tu dwie, a mnie wystarczy jedna.

– Po cóż mi świecisz w oczy tym złodziejołapem, człowieku? Świecenie takie gorsze jest od wymierzonego pistoletu.

– Myślałem, kapitanie, że mówił to pan do mnie, cieśli.

– Cieśli? No przecie... ale nie. Bardzo schludnemu i, rzekłbym, niezwykle pańskiemu oddajesz się zajęciu, cieślo. Czy też może wolałbyś pracować w glinie?

– Słucham? W glinie? To przecie błoto. Glinę pozostawiamy kopaczom rowów.

– A nicpoń! Czemu to kichasz?

– Kości dają sporo pyłu, panie kapitanie.

– Bierz więc stąd nauczkę i kiedy zemrzesz, nigdy się nie daj pochować pod nosem ludzi żywych.

– Słucham! Och! Ach! Tak, zdaje się... tak. O, mój Boże!

– Słuchaj no, cieślo. Pewnie uważasz się za prawdziwie dobrego rzemieślnika, rzemieślnika co się zowie, hę? No więc, czy będziesz całkiem dobrze świadczyło o twej pracy, jeśli stanąwszy na tej nodze, którą robisz, będę mimo to czuł inną w tym samym, identycznym miejscu, to znaczy, cieślo, moją dawną, utraconą nogę, tę z krwi i ciała, wiesz? Czy nie umiesz przepędzić precz starego Adama?

– Po prawdzie, panie kapitanie, zaczynam teraz coś niecoś miarkować. Tak, słyszałem różne ciekawe rzeczy na ten temat; że człek, któremu maszt odłamało, nigdy ze szczętem nie traci czucia w swym dawnym drzewcu, ale że coś go od czasu do czasu w nie kłuje. Dopraszam się pokornie, czy naprawdę tak jest, panie kapitanie?

– Jest tak, człowieku. Patrz, postaw swą żywą nogę tutaj, w tym miejscu, gdzie moja była. Otóż i masz jedną tylko nogę rozpoznawalną dla oka, natomiast dla duszy dwie.

Gdzie ty wyczuwasz piękące życie – tam, dokładnie tam, na włos nie gdzie indziej wyczuwam je i ja. Czy to nie zagadka?

– Pozwoliłbym to sobie pokornie nazwać zagadnieniem.

– Uważaj więc. Skąd wiesz, czy dokładnie w tym samym miejscu, gdzie właśnie stoisz, nie stoi też jakaś żywa, całkowita, myśląca istota, niewidzialna i nie przenikająca się z tobą wzajemnie; czy zaiste nie stoi tam wbrew tobie samemu? Alboż nawet w swych najsamotniejszych chwilach nie lękasz się, że ktoś cię podsłuchuje? Wstrzymaj się, nie odpowiadaj. Jeżeli ja nadal czuję piękący ból w zmiażdżonej nodze, choć tak już dawno zniknęła, to czemuż ty, cieślo, nie miałbyś na wieki czuć ognistej boleści piekieł, choćby nawet bez ciała? Ha!

– Dobry Boże! Po prawdzie, panie kapitanie, jeśli o to idzie, musiałbym na nowo rzecz rozważyć. Zdaje mi się bowiem, że niezbyt się mogę w tym połapać.

– Słuchaj mnie, baranie łby nigdy nie powinny szukać logicznych przesłanek. Jak długo potrwa robota tej nogi?

– Może z godzinę.

– Kleć ją więc, a potem przynieś mi. (*Obraca się, by odejść*) O, życie! Oto tu stoję, dumny jako grecki bóg, a przecie jestem dłużnikiem tego kpa, bo dał mi kość, na której stanąć mogę! Niech będzie przekłete to doczesne wzajemne zadłużenie, co nie może się obejść bez ksiąg rachunkowych. Chciałbym być wolnym jak powietrze, a jednak zapisany jestem w księgach całego świata. Takem bogaty, że mógłbym się licytować z najzamożniejszymi pretorianami na wyprzedazy cesarstwa rzymskiego (co świata cesarstwem było), a przecie dłużny jestem za ciało tego języka, którym się chełpię. Nieba! Wezmę tygiel, wejdę weń i roztopię się aż po najmniejszy zwarty krąg. Tak!

## CIEŚLA

(wracając do pracy)

– No, no, no! Stubb zna go najlepiej i zawsze mówi, że to dziwak. Nic prócz tego jednego, wystarczającego małego słówka: dziwak; dziwak z niego powiada Stubb, dziwak z niego... dziwak, dziwak, i cały czas bębni to w ucho panu Starbuckowi: dziwak, panie, dziwak, dziwak, straszny dziwak. A tu jego noga. Tak, właściwie jak się nad tym zastanowić, to przecie jest mu ona towarzyszką łoża! Ma za żonę drąg z wielorybiej szczęki! I to jest jego noga, na tym będzie stał! Jak to było z tą jedną nogą stojącą w trzech miejscach, a wszystkie trzy miejsca stoją w jednym piekle? Jakże to było? O, nie dziwię się, że tak szydęrczo na mnie łypał. Czasem miewam nieco osobliwe myśli, jak powiadają, ale to tylko od przypadku do przypadku. Bo też niskie, małe stare ciało, takie jak moje, nie powinno nigdy brać się do brodzenia po głębinie z wysokimi kapitanami o czaplej budowie. Woda rychło zacznie wtedy głąskać pod brodę i dopieroż trzeba wołać o łodzi ratunkowe! A oto właśnie noga czapli! Długa i szczupła, a jakże! Owóż dla większości ludzi jedna para nóg starcza na całe życie, a musi tak być dlatego, że ich zażywają litościwie, niczym czułościową starszą damę swych przysadzistych, starych koni od powozu. Ale Ahab – o, ten to ostry woźnica! Patrzenie tylko: jedną nogę zajeździł na śmierć, a drugą okulał na całe życie i teraz nosi kościane nogi całymi pęczkami. Hej tam, smoluchu, bierzże się za śrubki i skończmy,

zanim ten od zmartwienia przyjdzie z trąbą zwołując wszystkie nogi, prawdziwe czy sztuczne, podobnie jak ludzie z browaru jeżdżą zbierając stare beczki od piwa, aby je znowu napełnić. Cóż to za noga! Wygląda jak prawdziwa, żywa noga; spiłowana, że tylko sam trzon pozostał. Kapitan jutro na niej stanie, na niej też będzie robił obliczenia. Hej! Byłbym zapomniał o tej małej owalnej tabliczce z wygładzonej kości, na której oblicza szerokość geograficzną. Otóż to, dawać tu zaraz dłuto, pilnik i papier szklany!

## ROZDZIAŁ CIX

### AHAB I STARBUCK W KAJUCIE

Zgodnie ze zwyczajem, następnego ranka uruchomiono na statku pompy i oto wraz z wodą wypłynęła wcale pokaźna ilość oleju; beczki na dole musiały porządnie przeciekać. Wielce się tym zafrasowano i Starbuck zaszedł do kajuty, by zameldować o tej niepomysłnej sprawie.<sup>12</sup>

Właśnie „Pequod” zbliżał się od południowego zachodu do Formozy oraz wysp Bashee, między którymi znajduje się jedno z podzwrotnikowych wyjść z wód chińskich na Pacyfik. Toteż Starbuck zastał Ahaba nad rozpostartą mapą ogólną wschodnich archipelagów tudzież inną, osobną, przedstawiającą długie wschodnie wybrzeża wysp japońskich: Nipponu, Matsumai i Szikoku. Oparłszy się śnieżnobiałą, nową kościaną nogą o przyśrubowaną do podłogi nogę stołu, w rękę dzierżąc kozik długi niby nóż ogrodniczy, ten przedziwny kapitan, odwrócony plecami do drzwi od przejścia, marszczył brwi i na nowo wykreślał swoje stare kursy.

– Kto tam? – powiedział na odgłos kroków u drzwi, nie odwracając się jednak. – Na pokład! Wynosić się stąd!

– Pomyłka, kapitanie, to ja. Olej w ładowni przecieka. Musimy wciągnąć burtony i otworzyć ładownię.

– Wciągnąć burtony i otworzyć ładownię? Teraz, kiedy dopływamy do Japonii? Stać tu przez tydzień, żeby latać kupę starych beczek?

– Albo to uczynimy, albo w ciągu jednego dnia zmarnuje się więcej oleju, niż go potrafimy przez rok uzupełnić. Warto ratować to, po co się płynie dwadzieścia tysięcy mil, kapitanie.

– A tak, a tak. O ile to dostaniemy!

– Ja mówię o oleju w ładowni.

– Ja zaś ani o tym nie mówię, ani nie myślę. Wynos się! Niech przecieka! Ja sam cały przeciekam. Tak, dziura na dziurze! Nie tylko pełno we mnie dziurawych beczek, ale jeszcze tkwią one na dziurawym statku, to zaś o wiele gorsze położenie niż „Pequoda”, człowieku. A jednak nie przystaję, by zatkać dziurę, bo któż by ją mógł odnaleźć na tak głęboko zanurzonym kadłubie – a nawet gdyby się ją znalazło, jakże tu myśleć o jej zatkaniu wpośród wyjącej nawałnicy tego życia! Starbuck! Nie pozwolę wciągać burtonów.

– Cóż na to powiedzą właściciele, kapitanie?

– Niech sobie właściciele staną na plaży w Nantucket i popróbują przekrzyczeć tajfuny. Cóż to obchodzi Ahaba? Właściciele, właściciele! Zawsze mi pleciesz, Starbuck,

---

<sup>12</sup> Na statkach wielorybnych, mających na pokładzie znacznie większą ilość oleju, musi się obowiązkowo dwa razy w tygodniu wprowadzać węża do komory i polewać beczki wodą morską, którą później co jakiś czas usuwa się za pomocą pomp. W ten sposób usiłuje się utrzymać beczki w stanie wilgotnym i przez to zachować ich szczelność; zaś dzięki zmianom w wyglądzie spuszczonej wody marynarze od razu wykrywają wszelkie poważniejsze wyciekanie cennego ładunku. (Przyp. aut.)

o tych sknerowatych właścicielach, jak gdyby byli moim sumieniem. Ale słuchaj no: jedynym rzeczywiście właścicielem czegokolwiek jest ten, co tym dowodzi. I uważaj: moje sumienie tkwi w kilku tonach. Na pokład!

– Kapitanie! – rzekł zaczerwieniony oficer postępując w głąb kajuty ze śmiałością tak dziwnie pełną szacunku i ostrożności, jak gdyby usiłowała nie tylko na wszelkie sposoby uniknąć najdrobniejszego przejawiania się na zewnątrz, ale nawet jakby we wnętrzu tego człowieka niezbyt ufała samej sobie. – Ktoś lepszy ode mnie mógłby snadnie przejść do porządku nad takim tonem u ciebie, choć szybko by zań powziął urazę do człeka młodszego; a tak, i szczęśliwszego, panie kapitanie.

– Do diaska! Czyżbyś posuwał się tak daleko, żebyś śmiał mnie krytykować? Na pokład!

– Nie, jeszcze nie. Ja tylko pana usilnie proszę. A także śmiem być pobłażliwym! Czy nie rozumiemy się lepiej niż dotychczas, kapitanie?

Ahab porwał nabity muszkiet ze stojaka (stanowiącego część sprzętu kajutowego na większości statków z Mórza Południowych) i wymierzywszy go w Starbucka zakrzyknął:

– Jest tylko jeden Bóg, który jest panem ziemi, i tylko jeden kapitan, który panem jest na „Pequodzie” ! Na pokład!

Przez chwilę, sądząc po rzucających błyskawice oczach oficera i jego rozgorzałych policzkach, można by mniemać, że naprawdę raził go płomień z wymierzonej lufy. Opanowawszy jednak wzburzenie, wstał dość spokojnie, a w chwili gdy opuszczał kajutę, zatrzymał się w progu i powiedział:

– Pokrzywdziłeś mnie, ale nie znieważyłeś, kapitanie. Toteż nie proszę, byś się strzegł Starbucka; śmiałybyś się tylko. Niechaj wszelako Ahab strzeże się Ahaba! Samego siebie strzeż się, kapitanie.

– Odważny się robi, ale jednak słucha. Wielce to ostrożna odwaga! – mruknął Ahab, gdy Starbuck zniknął. – Jak on to powiedział? „Niech Ahab strzeże się Ahaba.” Coś w tym jest! – Następnie, nieświadomie wspierając się na muszkiecie niby na lasce, począł z ołowianą chmurą na czole przechadzać się tam i z powrotem po małej kajucie; wprędce jednak wygładziły się gęste zmarszczki i Ahab, odstawiwszy broń na stojak, wyszedł na pokład.

– Z ciebie za dobry chłop, Starbuck – powiedział cicho do oficera, po czym podniósłszy głos zawołał do marynarzy: – Zwijać bramzagle! Refować marsie na fok i bezanie! Przebrasować grotreję, burtony w górę i otwierać główną ładownię!

Daremne byłoby zapewne domyślać się, dlaczego w stosunku do Starbucka Ahab postąpił w ten sposób. Mógł to w nim być przebłysk uczciwości, a może po prostu ostrożna polityka, która w podobnych okolicznościach kategorycznie wzbraniała mu okazywania najłżejszych choćby symptomów jawnej niechęci, nawet przelotnej, w stosunku do pełniącego ważne funkcje pierwszego oficera jego statku. Jakkolwiek tam było, rozkazy jego wykonano i burtony zostały wciągnięte na górę.

## ROZDZIAŁ CX

### QUEEQUEG W SWEJ TRUMNIE

Po sprawdzeniu okazało się, że beczki ostatnio ustawione w ładowni są całkowicie nietknięte i że dziura musi znajdować się gdzieś dalej. Ponieważ pogoda była spokojna, dostawano się coraz głębiej i głębiej do ładowni zakłócając sen olbrzymich antałów ze spodniej warstwy i spośród owej czarnej nocy wysyłano te gigantyczne krety na górę, na światło dzienne. Tak głęboko się dobrano, a dolne stągwie wyglądały tak sędziwie, tak były przez czas nadzarte i omszałe, że niemal rozglądaliśmy się, czy tu gdzie nie stoi jakaś zapleśniała beczka – kamień węgielny – zawierająca monety należące do kapitana Noego lub czy nie wiszą plakaty daremnie przestrzegające przed potopem obłąkany, stary świat. Także i warstwę za warstwą wody do picia, chleba, wołowiny, wiązki klepek beczkowych, żelazne pęki obręczy windowano na górę, aż wreszcie trudno się było poruszać po zawalonych pokładach, pod stopą zaś próżny kadłub rozbrzmiewał echem, jak gdybyś po pustych stąpał katakumbach; statek zataczał się i kołysał na morzu niczym butla wypełniona powietrzem. Miał w czubie ten statek niby student, co brzuch ma pusty, ale za to całego Arystotelesa w głowie. Szczęściem nie nawiedziły nas wtedy tajfuny.

Otóż w tym to czasie mojego biednego pogańskiego towarzysza i wiernego przyjaciela od serca, Queequega, chwyciła gorączka, która omal go nie przywiodła do końca ziemskiej wędrówki.

Należy stwierdzić, że w tym wielorybniczym rzemiośle synekury są nieznane; godność i niebezpieczeństwo idą ręką w rękę; dopóki nie dojdziecie do stopnia kapitana, im wyżej się wznosicie, tym twardszy was czeka trud. Tak było i z biednym Queequegiem, który jako harpunnik musiał nie tylko stawiać czoło całej furii żywego wieloryba, ale też – jak to gdzie indziej widzieliśmy – dosiadać jego martwego grzbietu wśród rozchluśniętych fal i nareszcie schodzić w mrok ładowni, aby przez cały dzień, siódmym potem złany w owym podziemnym więzieniu, brać rezolutnie w obroty najnieporęczniejsze beki i doglądać ich ustawiania. Krótko mówiąc wśród wielorybników harpunnicy są robotnikami ładowni.

Biedy Queequeg! Kiedy statek już mniej więcej do połowy wypatroszono, warto było pochylić się nad lukiem i spojrzeć tam w dół, kędy rozebrany do wełnianych kalesonów, wytatuowany dziki pełzał pośród wilgoci i mułu niby zielono nakrapiana jaszczurka na dnie studni. I rzeczywiście studnią czy raczej lodownią okazało się to dla biednego poganina, bowiem, dziw powiedzieć, mimo całego upału i potów zaziębił się okrutnie, zaziębienie to zaś przeszło w gorączkę i nareszcie po kilku dniach cierpień złożyło go w hamaku, na samym progu śmierci. Marniał i marniał przez te kilka długo ciągnących się dni, aż na koniec rzekłbyś, że niewiele zeń pozostało, oprócz szkieletu i tatuaży. Jednakże w miarę jak wszystko w nim chudło, a kości policzkowe zaostrzały się coraz bardziej, jego oczy jakby rosły i rosły; zyskały blask osobliwej miękkości i tak spośród niemocy spoglądały na was łagodnie, lecz głęboko, stanowiąc zdumiewające świadectwo nieśmiertelnego w nim zdrowia, co zamrzeć ni zwąteć nie mogło. Jak koła

na wodzie, które słabnąc rozszerzają się, oczy Queequega zdawały się zaokrąglać coraz bardziej niby kręgi wieczności. Lęk, którego w słowach nie zawrzeć, spłynąłby na was, gdybyście siedzieli u boku owego wędrującego dzikusa i oglądali na jego obliczu rzeczy tak przedziwne, że dziwniejszych nie widzieli ci, co byli świadkami zgonu Zoroastra. Albowiem to, co w człowieku jest istotnie zadziwiające i straszliwe, nigdy dotąd w słowach czy księgach ujęte nie zostało. A zbliżanie się Śmierci, która jednakowo wszystkich równa, jednakże też na wszystkich wywiera wrażenie ostatnim objawieniem, które tylko autor pochodzący spośród grona umarłych właściwie opisać by umiał. To też – powtórzmy to raz jeszcze – żaden dogorywający Chaldeczyk czy Grek nie miał wznioślejszych i świątobliwszych myśli niżli te, których tajemnicze cienie pełzały po licach biednego Queequega, gdy tak spokojnie leżał w bujającym się hamaku, a rozkolebane morze jakby go łagodnie kołysało do ostatecznego spoczynku, zaś niewidzialne przyływy oceanu wynosiły go coraz wyżej i wyżej ku przeznaczonym mu niebiosom.

Nie było wśród załogi nikogo, kto by nie uważał, że Queequeg jest stracony; jeśli zaś idzie o jego własne zdanie, dobitnie dał do zrozumienia, co o tym myśli, prosząc o pewną szczególną przysługę. Kiedyś o samym brzasku, o szarej godzinie porannej wachty, wezwał kogoś do siebie i wzięwszy go za rękę powiedział, że będąc w Nantucket miał sposobność widzieć osobliwe małe czółna z ciemnego drzewa, przypominającego wspaniałe drzewo z jego wyspy ojczystej i na pytanie otrzymał odpowiedź, że wszyscy wielorybnicy, którzy umierają w Nantucket, grzebani są w tychże ciemnych czółnach; myśl, że mógłby być w ten sposób złożony do grobu, ogromnie mu się spodobała, gdyż przypominała zwyczaj jego współziomków, którzy zabalsamowanego zmarłego wojownika układają w jego czółnie i pozostawiają na wodzie, co ma go ponieść ku gwiazdnym archipelagom; nie tylko bowiem wierzą, iż gwiazdy to wyspy, ale także, że gdzieś daleko, poza wszelkimi widzialnymi horyzontami, łagodne, bezkresne morza zlewają się z niebem błękitnym, w ten sposób na Mlecznej Drodze tworząc białe piany. Dodał, iż dreszcz go przejmuje na myśl, że zgodnie ze zwykłym morskim obyczajem pochowają go w hamaku i cisną jak coś nikczemnego padlinożernym rekinom. Nie; pragnie dla siebie takiego czółna jak tamte z Nantucket, które tym bardziej są odpowiednie dla niego, wielorybnika, że na podobieństwo wielorybniczej szalupy owe czółna-trumny nie posiadają kilu; choć to pociąga za sobą brak pewności w sterowaniu i silne dryfowanie wskroś mglistych stuleci.

Kiedy o tym dziwnym zdarzeniu dowiedziano się na rufie, cieśla natychmiast otrzymał rozkaz spełnienia życzeń Queequega, jakiegokolwiek by one były. Na pokładzie znalazło się jakoweś pogańskie, trumiennej barwy stare drewno, które w czasie długiej poprzedniej wyprawy ścięto w dziewiczych gajach wysp Lackaday; z tych to ciemnych desek miano sporządzić trumnę. Ledwie cieśla dowiedział się o zamówieniu, a już wziął całówkę i natychmiast, z całą obojętną gotowością, usposobieniu jego właściwą, udał się na forkasztel i zdjął z Queequega miarę ogromnie dokładnie, kredą czyniąc znaki na jego ciele, w chwili gdy miarkę przesunął.

– Ach, biedaczysko! Teraz będzie musiał zemrzeć! – wykrzyknął majtek z Long Island.

Cieśla podszedł do swego warsztatu i dla wygody tudzież ogólnej orientacji przeniósł nań dokładną długość, jaką miała mieć trumna, a następnie utrwalił to nacinając na końcach dwa karby. Po tej czynności rozłożył deski oraz narzędzia i zabrał się do roboty.

Kiedy ostatni gwóźdź był już wbity, a wieko należycie zheblowane i dopasowane, cieśla zarzucił sobie lekko trumnę na ramię i udał się z nią na dziób zapytując, czy są tam już do niej gotowi.

Dosłyszawszy pełne oburzenia, choć na poły żartobliwe okrzyki, z jakimi ludzie na pokładzie poczęli precz trumnę odpychać, Queequeg nakazał, ku powszechnej konsternacji, żeby mu ją niezwłocznie przyniesiono; nie było mowy o sprzecznie, zważywszy, że ze wszystkich śmiertelnych ludzie umierający największymi są tyranami, a ponieważ będą się nam przez całą wieczność tak już niewiele naprzykrzać, tedy oczywiście powinno się biedakom pobłażać.

Wychyliwszy się z hamaku Queequeg długo spoglądał na trumnę baczny okiem. Następnie poprosił o swój harpun, kazał wyciągnąć zeń drzewce i ułożył żeleźce w trumnie wraz z jednym z krótkich wiosel swojej łodzi. Również na jego żądanie umieszczono wewnątrz po bokach suchary, u wezglowia flaszkę słodkiej wody, w nogach zaś woreczek brudnej ziemi wyskrobanej w ładowni; zamiast poduszki podłożono mu zwinięty kawał żaglowego płótna; wtedy Queequeg zaczął błagać, żeby go złożono do jego ostatniego łoża, aby mógł wypróbować jego wygody, jeśli je ono w ogóle posiada. Poleżał bez ruchu kilka minut, po czym poprosił jednego z marynarzy, by przyniósł mu z jego sakwy owego małego bożka, Jodża. Następnie, skrzyżowawszy ręce na piersi i umieściwszy między nimi Jodża, poprosił, by zamknięto nad nim wieko trumny (nazywał je pokrywą luku). Część wieka znajdująca się przy głowie otwierała się na skórzaną zawiasce i oto Queequeg spoczął w swej trumnie, cały ukryty z wyjątkiem spokojnego oblicza. – *Rarmai!* (nadaje się, wygodne) – szepnął nareszcie i dał znak, by go z powrotem przenieść na hamak.

Zanim się to jednak stało, Pip, który przez cały ten czas cichaczem krążył w pobliżu, podsunął się do leżącego i ze stłumionym łkaniem ujął go za rękę, w drugiej dłoni trzymając swój bębenek.

– Biedny włóczęgo! Czyż nigdy nie skończysz z tym nużącym błędzeniem? Dokądże teraz idziesz? Jeżeli prądy poniosą cię do owych słodkich Antyli, gdzie plaże pokryte są liliami wodnymi, to czy załatwisz jedną sprawę dla mnie? Odszukaj niejakiego Pipa, co już od dawna zaginął. Zdaje mi się, że jest na owych dalekich Antylach. Jeśli go znajdziesz, pociesz go, bo bardzo musi być strapiony, gdyż – patrz – zostawił tu swój bębenek, i ja go znalazłem. Rig-a-dig, dig, dig! Teraz, Queequegu, umrzyj, a ja ci wybębnię twój marsz pogrzebowy.

– Słyszałem – mruknął Starbuck zaglądając przez właz – że w ostrej gorączce ludzie całkiem ciemni mówili starodawnymi językami i że kiedy tajemnica zgłębniona została, zawsze się okazywało, iż w zgoła zapomnianych czasach dzieciństwa rzeczywiście rozmawiali przy nich w owym języku jacyś wielcy uczeni. Tak właśnie w

moim głębokim przekonaniu biedny Pip, w przedziwnej słodyczy swojego obłędu, przynosi niebiańskie świadectwa z naszych niebiańskich siedzib. Gdzież się tego nauczył, jeśli nie tam? Uwaga, znów mówi, lecz bardziej dziko tym razem.

– Formujcie się dwójkami! Uczyńmy go generałem! Hej! gdzież jego harpun? Położyć go tu na poprzek. Rig-a-dig, dig, dig, hura! O, żeby tak dzielny kogut siadł mu na głowie i zapiał! Queequeg umiera dzielnie – dobrze to sobie zważcie; Queequeg umiera dzielnie – zapamiętajcie; Queequeg umiera dzielnie; powiadam, dzielnie, dzielnie, dzielnie! Ale nędzny mały Pip pomarł jak tchórz, cały dygotał konając. Precz z Pipem! Słuchajcie: jeśli znajdziecie Pipa, rozpowiedźcie po całych Antylach, że to zbieg i tchórz, tchórz, tchórz! Powiedźcie tam, że wyskoczył z łodzi wielorybniczej! Nigdy bym nie bił w bębenek dla nędznego Pipa i nie wołał na niego „generale”, gdyby tu raz jeszcze umierał. Nie, nie! Hańba wszystkim tchórzom – hańba im! Niech się po topią jak Pip, co wyskoczył z wielorybniczej łodzi! Hańba! Hańba! Hańba!

Przez cały ten czas Queequeg leżał z zamkniętymi oczami, jak gdyby pogrążony we śnie. Pipa odprowadzono, a chorego złożono z powrotem na hamaku.

Wszelako teraz, kiedy najwyraźniej poczynił wszystkie przygotowania do zgonu, kiedy okazało się, że trumna dobrze pasuje, Queequeg raptem zebrał się w sobie; wkrótce pudło robione przez cieślę przestało się wydawać potrzebne, a gdy ktoś dał wyraz radosnemu zdumieniu, Queequeg powiedział, iż przyczyna nagłego ozdrowienia jest następująca: oto w krytycznym momencie przypomniał sobie właśnie pewną drobną sprawę na ładzie, której dotąd nie załatwił i dlatego zmienił swe zamysły co do umierania; utrzymywał, że jeszcze umrzeć nie może. Zapytano go więc, czy życie i śmierć są sprawą jego własnej najwyższej woli i fantazji. Odpowiedział, że oczywiście. Jednym słowem, Queequeg był przekonany, że jeśli człowiek postanowi żyć, nie może go zabić zwykła choroba; może to uczynić tylko wieloryb, sztorm czy jakiś inny gwałtowny, nieokiełznany, nierozumny niszczyciel w tym rodzaju.

Owóz między dzikimi i ludźmi cywilizowanymi istnieje następująca godna uwagi różnica: o ile człek cywilizowany nieraz po chorobie przychodzi do siebie przez sześć miesięcy, to chory dzikus wydobrzeje nieomal zupełnie w ciągu jednego dnia. Tak więc rychło mój Queequeg począł odzyskiwać siły i wreszcie posiedziawszy na bratszpilu przez kilka gnuśnych dni (jedząc wszakże z wilczym apetytem) raptem zerwał się, rozprostował ręce i nogi, przeciągnął się porządnie, ziewnął odrobinę i wskoczywszy na dziób zawieszanej szalupy wycelował harpun i oświadczył, że jest gotowy do walki.

Przez dziki kaprys używał teraz swej trumny jako marynarskiej skrzyni; wsypał do niej zawartość swego płóciennego worka z odzieniem i tam je porządnie ułożył. Wiele wolnych godzin strawił na rzeźbieniu wieka we wszelkiego rodzaju dziwaczne figury i wzory; zdawało się, że na swój prymitywny sposób usiłował tu skopiować części zawilego tatuażu, który miał na ciele. Tatuaz ów był dziełem pewnego zmarłego proroka i wróżą z jego wyspy, który owymi hieroglificznymi znakami wypisał mu na ciele kompletną teorię niebios i ziemi oraz tajemny traktat o sztuce osiągnięcia prawdy; toteż Queequeg w swojej własnej osobie był zagadką do rozwiązania, przedziwnym dziełem w jednym tomie, którego tajemnic wszakże nawet on sam odczytać nie był w stanie, choć uderzało o nie jego własne, żywe serce; dlatego przeznaczeniem owych

tajemnic było koniec końców w pył się obrócić wraz z żywym pergaminem, na którym były zapisane, i do ostatka pozostać bez rozwiązania. I pewnie ta myśl nasunęła Ahabowi ów dziki okrzyk, kiedy pewnego ranka przyjrząwszy się biednemu Queequegowi odwrócił twarz i zawołał: – O, szatański tantalizmie bogów!

## ROZDZIAŁ CXI PACYFIK

Minąwszy wyspy Bashee wypłynęliśmy wreszcie na wielkie Morze Południowe; gdyby nic temu nie stało na przeszkodzie, byłbym powitał mój drogi Pacyfik z nieskończoną wdzięcznością, bo oto stawało się zadość długim marzeniom mojej młodości; na wschód od miejsca, w którym się znaleźliśmy, ów spokojny ocean toczył tysiące mil swojego błękitu.

Jest jakaś nieokreślona słodka tajemnica w tym morzu, którego łagodne a straszliwe kolebanie zdaje się mówić o jakiejś pod powierzchnią ukrytej duszy niczym owe legendarne falowania ziemi efeskiej nad pogrzebanym św. Janem Ewangelistą. Jakoż właściwe jest, żeby ponad owymi pastwiskami morza, szeroko rozkołysanymi wodnymi preriami i cmentarzyskami wszystkich czterech kontynentów, fale wznosiły się i opadały, przyływały i odpływały bez ustanku, tu bowiem miliony przemieszanych duchów i cieni, zatopionych snów, somnambulicznych rojeń i marzeń – wszystko, co zwiemy życiem i duszą, spoczywa cicho w rozmarzeniu lub miota się niby na łożach ludzie śpiący i niepokojem swym w ruch wprawia wieczyście toczące się fale.

Każdemu skłonmemu do rozmyślań, uduchowionemu wędrowcy ów spokojny Pacyfik, raz ujrany, musi na zawsze stać się morzem wybranym. W nim przetaczają się centralne wody świata, jako że Ocean Indyjski oraz Atlantyk to tylko jego odnogi. Te same fale obmywają mola nowo wybudowanych miast kalifornijskich, ledwie wczoraj wzniesionych przez najmłodszą rasę ludzką – i splukują przybrakłe, lecz jeszcze wspaniałe pobraża krain azjatyckich, starszych od Abrahama; pośrodku zaś unoszą się mleczne drogi raf koralowych i płaskich, nieskończonych, nieznanych archipelagów i nieprzeniknionych wysp Japonii. Tak to ów tajemniczy, ów boski Pacyfik opasuje wokoło całą bryłę świata, wszystkie wybrzeża jedną sobie czyni zatoką, zdaje się być bijącym przyplływami sercem ziemi. Uniesieni owym odwiecznym kołysaniem, musicie się opowiedzieć za uwodzicielskim bożkiem i skłonić głowę przed Panem.

Niewiele jednak myśli o Panie poruszyło mózg Ahaba, gdy stojąc niby żelazny posąg na swoim zwykłym miejscu przy olinowaniu bezanmasztu, jednym nozdrzem z roztargnieniem wciągał cukrowy aromat dolatujący z wysp Bashee (kędy w słodkich gajach przechadzają się nadobni kochankowie), drugim zaś świadomie wdychał słone tchnienie na nowo odnalezionego morza, tego samego, w którym znienawidzony biały wieloryb musiał w tej właśnie chwili pływać. Na owych niemal już najdalszych wodach, w miarę jak się zbliżano do łowisk japońskich, przewodni cel kapitana nabierał coraz więcej żywości i siły. Zacięte wargi Ahaba zwierały się niby krawędzie imadła, delta żył jego czoła nabrzmiewała niczym wezbrane potoki; nawet przez sen jego dźwięczny krzyk niósł się po sklepionym kadłubie statku: „Stać! Biały wieloryb rzyga gęstą posoką!”

## ROZDZIAŁ CXII

### KOWAL

Korzystając z łagodnej, świeżej, letniej pogody, która obecnie panowała w tych stronach, a także gotując się do szczególnie ożywionych łowów, jakich należało się niebawem spodziewać, Perth, usmolony, stary kowal o rękach pęcherzami pokrytych, ukończywszy swoją część pracy nad nogą Ahaba, nie zabrał z powrotem do ładowni swej przenośnej kuźni, ale zatrzymał ją nadal na pokładzie, mocno przytwierdzoną do pierścieni u fokmasztu. Teraz niemal nieprzerwanie prosili go dowódcy szalup, harpunnicy i wioślarze, by sporządził dla nich jakieś drobiazgi, zmienił, naprawił czy też na nowo przysposobił ich broń rozmałą oraz wyposażenie łodzi. Często otaczał go natarczywy krąg ludzi, a wszyscy czekali, by ich obsłużył; trzymali w dłoniach łopatkę, groty włóczni, harpuny i lance, zazdrośnie śledząc w trakcie pracy każdy ruch jego usmolonych dłoni. Jednakże ten stary władał cierpliwym młotem kierowanym przez cierpliwe ramię. Nie wymknęło mu się żadne burknięcie, żaden odruch zniecierpliwienia czy rozdrażnienia. Milczący, powolny i uroczysty zginał jeszcze niżej swój chronicznie przygięty grzbiet i pracował, jak gdyby praca sama była życiem, a ciężkie uderzenia młota – ciężkimi uderzeniami serca. Tak też i było. O, nędzo!

Starzec ten odznaczał się szczególnym chodem; pewne drobne, ale nieprzyjemnie widoczne zbaczanie z kierunku przy chodzeniu podnieciło na początku wyprawy ciekawość marynarzy. Uległ wreszcie natręctwu ustawicznych pytań i w ten sposób zdarzyło się, że wszyscy poznali haniebną historię jego nieszczęśliwego żywota.

Pewnej przejmującej, zimowej nocy, zapóźniwszy się nie bez własnej winy na gościńcu łączącym dwa miasteczka, na wpół otepiały kowal uczuł ogarniającą go śmiertelną drętwość, poszukał więc schronienia w pochyłej, rozklekotanej stodole. Skutek był taki, że utracił palce obu stóp. Z tego to wyznania częśćka po częśćce wyszły wreszcie na jaw cztery akty radosne tudzież długie, a dotąd pozostający bez rozwiązania, bolesny akt piąty dramatu jego życia.

Był on człowiekiem starym, którego późno, w wieku lat niemal sześćdziesięciu, spotkała rzecz, nosząca w słowniku utrapień nazwę ruiny. Był rzemieślnikiem cieszącym się powszechną sławą i mającym wiele zajęcia. Posiadał dom z ogrodem, do łona tulił młodocianą jak córka, zakochaną małżonkę i troje radosnych, rumianych dzieci; co niedziela chadzał do schludnego kościółka stojącego pośród lasu. Wszelako pewnej nocy, pod osłoną mroku, szczelniej jeszcze przesłonięty niezwykle przewrotnym przebraniem, wśliznął się do owego szczęśliwego domu zuchwały włamywacz i okradł ich ze wszystkiego. A co straszniejsza, sam kowal wprowadził nieświadomie owego złoczyńcę do serca swej rodziny. Był nim bowiem Czarodziej Butelki! Gdy wyciągnięto fatalny korek, zły duch wyleciał i zniszczył dom kowala. Otóż dla pewnych słusznych, przez przezorność dyktowanych i oszczędnościowych względów warsztat kowala znajdował się w suterenie domu, mając wszelako osobne wejście; toteż młoda, kochająca i zdrowa małżonka zawsze przysłuchiwała się bynajmniej nie z żalem czy rozdrażnieniem, lecz z żywą rozkoszą – tęgiemu dzwonienu młota swego

młodorekiego starego męża; dźwięki te, stłumione przenikaniem wskroś podłóg i murów, dolatywały do niej w dzieciennym pokoju, co nie było pozbawione pewnej słodyczy; i tak przy kołysance Trudu układano do snu dzieci kowala.

O, nędzo, o, niedolo! O, Śmierci, czemuż nie umiesz czasami przyjść w porę? Gdybyś była zabrała do siebie starego kowala, zanim go nawiedziła zupełna ruina, młodej wdowie przypadłaby w udziale spokojna żałoba, sieroty miałyby prawdziwie czcigodnego, legendarnego rodzica, o którym mogłyby marzyć w późniejszych latach, wszyscy zaś oni – środki do życia, co każdą usunęłyby troskę. Śmierć jednak skosiła jakiegoś zacnego starszego brata, od którego pogodnej, codziennej pracy zawisł los innej rodziny, natomiast pozostawiła przy życiu tego starego, więcej niż bezużytecznego człeka, czekając, aż ohydna zgnilizna życia uczyni go sposobniejszym do zżęcia.

Na cóż mówić wszystko? Uderzenia młota w suterenie co dnia stawały się rzadsze, każde zaś z nich słabsze było co dzień niż poprzednio; niewiasta siedziała zmrożona u okna spoglądając błyszczącym, suchym okiem na zapłakane twarzyczki dzieci; porzucono miechy, palenisko zadławiło się popiołem, dom sprzedano, matka spoczęła pod wysoką trawą cmentarza, po dwakroć dziecięcy pogrzeb podążył tam jej śladem, a bezdomny, rodziny pozbawiony stary człowiek ruszył w świat jako żalobny włóczęga; boleść jego nie znalazła poszanowania, a siwy włos stał się pośmiewiskiem lnianych kędziorów!

Śmierć zdaje się być jedynym pożądanym następstwem takiej drogi życiowej; wszelako śmierć jest tylko wyprawą w regiony dziwów Niezbadanego; jest ledwie pierwszym powitaniem możliwości, jakie daje ogrom Dalekiego, Dzikiego, Wodnego, Bezbrzeżnego; dlatego to w spragnionych śmierci oczach takich ludzi, co jeszcze zachowali niejaki wewnętrzne skrupuły wzbraniające im samobójstwa, wszystko dający i wszystko przyjmujący ocean rozpościera powaby całej swej doliny niepojętych, porywających straszliwości i cudownych przygód nowego życia; do tych ludzi śpiewają tysiące syren z samego serca nieskończonych Pacyfików: „Pójdź, o ty, który masz serce złamane; tu inne jest życie, wolne od zmazy śmierci; tutaj są cuda nadnaturalne, choć aby je osiągnąć, nie trzeba umierać. Pójdź! Zagrzeb się w życiu, co dla twego równie znienawidzonego, jak nienawidzonego ziemnego świata więcej ma zapomnienia niżeli śmierć sama. Pójdź! Złóż i ty swój kamień nagrobny na cmentarzu i przyjdź tu, a weźmiemy ciebie za małżonka!”

Nasłuchawszy się owych głosów ze wschodu i zachodu, o jutrzence i o wieczorze, dała na nie odzew dusza kowala: „Dobrze, przybywam!” I Perth wyruszył na wieloryby.

## ROZDZIAŁ CXIII

### KUŹNIA

Około południa Perth, ze skołtunioną brodą, owinięty w szorstki fartuch z rekinowej skóry, stał między paleniskiem kuźni i kowadłem, które spoczywało na kłocu drzewa żelaznego, i jedną ręką trzymał grot oszczepu wsunięty w węgle, drugą zaś płuca kuźni, gdy nadszedł kapitan Ahab niosąc niewielki, podniszczony woreczek skórzany. W pewnej odległości od kuźni pośpny Ahab przystanął, aż wreszcie Perth wyciągnąwszy żelazo z ognia począł je kuć na kowadle; czerwona masa miotła iskry, gęstymi snopami tryskające w powietrze i kilka z nich przeleciało w pobliżu Ahaba.

– Czy to twoje morskie jaskółki, Perth? Zawsze latają twoim śladem; ptaki dobrej wróżby, lecz nie dla wszystkich. Spójrz: parzą – ale ty, ty żyjesz pośród nich bez szwanku!

– Ponieważ już jestem cały poparzony, kapitanie – odparł Perth opierając się chwilę na młocie. – Mnie już oparzyć nie sposób. Nielatwo poparzyć bliznę.

– No, no, dość już. W twym głosie powściągliwym słyszę nazbyt spokojne, nazbyt rozsądne nieszczęście. Sam nie będąc w rajach niecierpliwie się, gdy widzę w innych jakiegokolwiek strapienie, które nie jest szalone. Powinien byś oszaleć, kowalu. Powiedzże mi, czemu nie jesteś szalony? Jak możesz wytrzymać nie wpadając w obłęd? Zaliż niebiosa nienawidzą cię jeszcze, że nie potrafisz zwariować? Cóżżeś tu robił?

– Spawałem stary grot od włóczni. Miał rysy i szczyrby.

– I potrafisz go znowu uczynić całkiem gładkim, kowalu, po tak twardej służbie?

– Tak sądzę, kapitanie.

– Przypuszczam zatem, że potrafisz zawsze wygładzić każdą rysę i szczyrbę, bez względu na to, jak twardy jest metal, kowalu?

– Tak, kapitanie, sądzę, że potrafię. Wszystkie rysy i szczyrby, prócz jednej.

– Słuchaj mnie więc! – zawołał Ahab, gwałtownie się podsuwając i oburącz wspierając na ramionach Perth. – Słuchaj mnie, *słuchaj*: czy potrafisz wygładzić taką rysę jak ta? – przesunął dłonią po czole bruzdami pokrytym. – Jeżeli potrafisz, kowalu, to rad będę położyć głowę na twoim kowadle i poczuć najcięższy twój młot między oczami. Odpowiedz! Potrafisz tę rysę wygładzić?

– O, to właśnie ta, kapitanie. Alboż nie powiedziałem: wszystkie rysy i szczyrby, prócz jednej?

– Tak, kowalu, to ta. Tak, człowieku, jest ona niewygładzalna, bo choć ją widzisz tylko na moim ciele, wżarła mi się już w kość czaszki – i ona cała też w bruzdach! Precz jednak z dziecinnymi igraszkami. Dość na dziś oszczepów i pik. Patrz tutaj! – Brzęknął skórzanym woreczkiem, jak gdyby pełny był złotych monet. – Ja też chcę mieć harpun; taki, którego nie mogłoby rozszcześcić tysiące par szatanów, Perth; taki, co będzie tkwił w wielorybie jak jego własna kość płetwowa. Masz tu materiał! – Cisnął worek na kowadło. – Patrz, kowalu, tu są zebrane hufnale od stalowych podków wyścigowych koni.

– Hufnale od podków? Ależ kapitanie, ma pan tu najprzedniejszy i najnieustępliwszy materiał, jaki my, kowale, w ogóle obrabiamy.

– Wiem o tym, stary. Te hufnale stopią się z sobą niczym klej z rozpuszczonych kości morderców. Szybko! Ukuj mi harpun. A naprzód wykuj dwanaście prętów na jego trzon. Następnie skręcaj je, splataj i skuwaj jak włókna i żyły liny holowniczej. Szybko! Ja rozdmucham ogień.

Kiedy nareszcie owe dwanaście prętów było gotowych, Ahab wypróbował je po jednemu, okręcając spiralnie własną ręką wokół długiego, ciężkiego sworznia żelaznego. – Ma feler! – odrzucił ostatni. – Ten obrób na nowo, Perth.

Kowal uczynił to i już zabierał się do skuwania wszystkich dwunastu w jedno, gdy Ahab rękę jego zatrzymał i oświadczył, że sam ukuje swoje żelazo. Kiedy następnie kapitan regularnie dysząc i stękając uderzał młotem w kowadło, a Perth podawał mu jeden po drugim rozżarzone pręty, zaś z rozdmuchanego paleniska strzelały w górę wściekle płomienie, przeszedł mimo pars i w milczeniu skłoniwszy się ogniewi, posłał, być może, owej pracy jakową klątwę czy błogosławieństwo. Wszelako, gdy Ahab podniósł oczy, Fedallah odsunął się na bok.

– A po cóż się tu płacze ten pęczek lucyperów? – mruknął Stubb spoglądając z forkasztelu. – Ten pars węższy za ogniem niczym zapalka, a śmierdzi nim jak gorąca panewka muszkietu.

Na koniec trzon harpuna, już jako jeden, całkowity pręt, rozżarzone po raz ostatni, i kiedy Perth, aby hart mu nadać, zanurzył syczące żelazo w kadź wody, co stała opodal, parząca para strzeliła w twarz nachylonego Ahaba.

– Czy chcesz mnie napiętnować, Perth? – zapytał krzywiąc się chwilę z bólu. – Czyżbym więc kuł dla siebie samego żelazo do piętnowania?

– Na Boga, nie! Wszelako lekam się czegoś, kapitanie. Czy ten harpun nie jest przeznaczony na białego wieloryba?

– Na białego szatana! Ale teraz zadziory. Musisz je zrobić sam, człowieku. Masz tu me brzytwy – stal najprzedniejsza – bierz je i zrób grot tak ostry jak lodowa igła na Morzu Lodowatym.

Stary kowal spoglądał przez chwilę na brzytwy, jak gdyby nie miał ochoty ich użyć.

– Bierz je, człowieku, ja ich nie potrzebuję, boć teraz ani się gołę, ani wieczeram, ani się modlę, dopóki... no, ale masz – do roboty!

Stal, wykuta na koniec w kształt strzały i spojona przez Perth z trzonem, rychło uwieńczyła ostrzem żelazo i kowal, zabierając się do ostatecznego rozżarzania zadziorów grotu przed nadaniem im hartu, krzyknął do Ahaba, by bliżej podsunął kadź z wodą.

– Nie, nie – nie wody mu trzeba. Chcę dlań prawdziwie śmiertelnego hartu. Ahoy, tam! Taztego, Queequeg, Daggoo! Co wy na to, poganie? Dacie mi tyle krwi, żeby zalać ten grot? – Tu podniósł go wysoko w górę. Jednym zwartym szykiem trzy ciemne głowy kiwnięciem odpowiedziały: „Tak”. Trzy uczyniono nakłucia w pogańskim ciele i tak zahartowany został grot na białego wieloryba.

– *Ego non baptiso te in nomine patris, sed in nomine diaboli!* – zakrzyknął dziko Ahab, gdy wściekle, złe żelazo chrzestną krew z sykiem pożerać jęło.

Przejrzawszy z kolei wszystkie przyniesione z dołu zapasowe drzewce, Ahab wybrał jedno, hikorowe, jeszcze okryte korą, i dopasował jego koniec do tulejki żelźca. Następnie rozwinięto zwój nowej liny holowniczej i kilka jej sążni przymocowano do kabestanu naciągając ją do najwyższego napięcia. Ahab nacisnął linę stopą, aż zadźwięczała niczym struna harfy, następnie pochylił się nad nią gorliwie i nie dostrzegłszy żadnych splątań, wykrzyknął: — Dobra! A teraz wiązanie!

Linę rozkręcono z jednego końca, a porozkładane włókna spleciono i owinięto wokół tulejki harpuna; następnie wbito w nią silnie drzewce, od dołu przeciągnięto linę do jego połowy i przytwierdzono okręcając ją szpagatem. Od tej chwili drzewce, żelazo i lina — niczym trzy fata — stały się nierozłączne i Ahab zabierając broń z sobą, ponuro się oddalił; odgłosy stąpania jego kościanej nogi oraz stukania hikorowego drzewca głucho rozbrzmiewały na każdej desce. Nim jednak kapitan wszedł do kajuty, dał się słyszeć przyciszony, nienaturalny, na poły drwiący, a jednak niezwykle żałośliwy głos. O, Pipie! Twój gorzki śmiech, gnuśne, a przecie rozbiegane oko, twe osobliwe grymasy, jakże znamiennie się wiązały z mroczną tragedią melancholijnego statku i jakże z niej drwiły!

## ROZDZIAŁ CXIV

### ZŁOTNIK

W miarę jak „Pequod” przenikał coraz to głębiej i głębiej do serca łowisk japońskich, ogarniała go łowiecka gorączka. Częstokroć w łagodną, przyjemną pogodę marynarze tkwili w szalupach po dwanaście, piętnaście, osiemnaście i dwadzieścia godzin z rzędu, uparcie żeglując czy robiąc wiosłami w pogoni za wielorybem, albo też przez sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt minut spokojnie oczekując, aby ponownie wypłynął, jednakże z niewielkim powodzeniem pomimo tylu trudów.

W takich to razach, pod przymglonymi promieniami słońca, unoszeni przez dzień cały na gładkich, z wolna się dźwigających falach, siedząc w łodzi lekkiej niby brzoźowe czółno, gdy w tak przyjaznej jesteście komitywie z łagodnymi falami, że niby koty przy kominku ocierają się mruczając o nadburcia — wówczas jest pora rozmarzonego spokoju, kiedy to podziwiając ciche piękno i połyskliwość skóry oceanu, człek zapomina o tygrysim sercu, co pod nią bije, i niechętnie sobie uświadamia, że owa aksamitna łapa tak okrutne kryje pazury.

Wtedy to właśnie wędrowiec w swej wielorybniczej szalupie doświadcza jakiegoś miękkiego, synowskiego, pełnego ufności, jakby lądowego uczucia w stosunku do morza; patrzy na nie jak na ukwieconą ziemię, daleki okręt ukazujący ledwie czubki masztów zdaje się przedzierać nie poprzez wyniosłe, toczące się fale, ale wskroś wysokiej trawy rozkołysanej prerii, jak wtedy gdy na Dalekim Zachodzie konie pionierów ukazują tylko nastawione uszy, a całe ich ciała, ukryte przed wzrokiem, brną wskroś przedziwnej zieleni.

Jak w długich, dziewiczych dolinach, na łagodnych błękitnych stokach *wzgórz*, tak samo i tutaj jest cisza i szmery; przysiągłbyś niemal, że utrudzone zabawą dzieci ułożyły się do snu na owym pustkowiu w jakiś wesoły dzień majowy, w porze zrywania leśnych kwiatów. To wszystko zaś miesza się z twoim najtajniejszym nastrojem, tak iż rzeczywistość i fantazja gdzieś w pół drogi przenikają się i tworzą całość bez skazy.

Takie kojące sceny, lubo przemijające, nie omieszkają wywrzeć co najmniej równie przemijającego wpływu na Ahaba. Wszelako jeśli nawet owe sekretne złote klucze zdawały się otwierać w nim sekretne, złote skarbcce, to oddech jego kaził tylko ich połysk.

O, polanki ruiną okryte! O, wiekuiście wiośniane, nieskończone krajobrazy duszy! W was, choć tak spieczonych martwą posuchą doczesnego życia — w was mogą się jeszcze tarzać ludzie, niczym o poranku żrebce w młodej koniczynie i przez kilka przelotnych chwil uczuć na sobie chłodną, nieśmiertelną rosę życia. Daj Boże, by owe cisze błogosławione trwać mogły! Jednakże zwikłane i wikłające nici żywota tkane są niby wątek i osnowa; cisze krzyżują się z burzami, na każdą ciszę przypada burza. W tym życiu nie ma stałego postępu, nie zavrcającego z drogi; nie idziemy naprzód ustalonymi etapami, aby się przy ostatnim zatrzymać: podążamy poprzez nieświadomy urok dzieciństwa, bezmyślną wiarę pacholeństwa, wątpliwości młodzieńczego wieku (powszechny to los), a dalej sceptycyzm, potem niewiarę, by wreszcie osiągnąć wiek

męski, a w nim pełen rozważliwy spokój mieszczący się w słowie „jeżeli”. Wszak raz drogę tę przebywszy, znów nią dążymy i wiecznie jesteśmy dziećmi, pacholętami, mężami i tymi, co myślą: „jeżeli”... Gdzież leży ostateczna przystań, od której już nie odcumujemy? W jakimże zwiewnym eterze żeglujecie świat, który najbardziej utrudzonego nigdy nie znuży? Gdzie kryje się ojciec podrzutka? Dusze nasze są jak owe sieroty, których nieślubne matki zmarły przy porożu; tajemnica naszego pochodzenia spoczywa w ich grobie i tam się udać musimy, aby ją poznać.

Tego samego dnia spoglądając ze swej łodzi w dół, w to samo złociste morze, Starbuck szeptał z cicha:

– O piękności bardziej niezgłębiona od tej, jaką kiedykolwiek kochanek ujrzał w oczach swej młodej oblubienicy! Nie mów o twych zębistych rekinach ni o zbójckich, ludożerczych obyczajach. Niechajże wiara wypiera fakty, niechaj fantazja wypiera pamięć. Spoglądam oto daleko w głąb i wierzę.

A Stubb, wesół jak ryba o łusce połyskliwej, podskoczył w tym samym złotym świetle:

– Ja jestem Stubb, a Stubb niejedno przeżył. Ale teraz Stubb może poprzysiąc, że zawsze był wesół.

## ROZDZIAŁ CXV

### „PEQUOD” SPOTYKA „KAWALERA”

Wesołe też były owe widoki i głosy, jakie wiatr przygnał do nas w kilka tygodni po ukuciu Ahabowego harpuna.

Był to „Kawaler”, statek z Nantucket, który właśnie zaszpurował ostatnią beczkę oleju, zaryglował pękające od obfitości ładownie i teraz wesoło, odświeżenie przystrojony, żeglował radośnie, choć nieco chełpliwie, pośród rozsznycanych po łowisku statków, by później wziąć kurs na dom.

Trzej ludzie na jego masztach mieli u kapeluszy długie, wąskie, czerwone wstążki; na rufie wisiała szalupa wielorybnicza dnem do góry, a u fokaszprytu przyczepiono długą dolną szczękę ostatniego wieloryba, jakiego ubito. Znaki, bandery i proporce wszystkich barw powiewały po każdej stronie olinowania. Z boku u trzech marsów żaglowca przywiązano trzy pary beczulek olbrotu; powyżej na salingu stengi można było dojrzeć niewielkie baryłki tejże cennej cieczy, a u samej galki grotmasztu przybito mosiężną latarnię.

Jak się później dowiedziałem, „Kawalera” spotkało wręcz niebywałe powodzenie, co było tym bardziej zadziwiające, że liczne statki, krążąc po tych samych wodach, przez całe miesiące nie upolowały ani jednej ryby. „Kawaler” nie tylko porozdawał baryłki wołowiny i chleba, aby zrobić miejsce dla znacznie cenniejszego olbrotu, ale jeszcze drogą wymiany pozyskał od napotkanych statków dalsze dodatkowe beczki i te ustawiono wzdłuż pokładu, tudzież w kajutach kapitana i oficerów. Nawet sam stół kajutowy rozbito na podpałkę i grono należące do messy obiadowało na szerokim wierzchu antału z olejem przytwierdzonego do podłogi w miejsce centralnego stołu. W forkasztelu marynarze pouszczelniali i nasmołowali swoje skrzynie, po czym napełnili je olbrotem; dworowano sobie, że kucharz nalał olbrotu do największego kotła i przykrył go pokrywą; że steward napełnił i zaszpurował wolny imbryk do kawy; że harpunnicy powyjmowali drzewce z tulejek, do których naleli cennej cieczy — że, jednym słowem, wszystko było napełnione olbrotem z wyjątkiem kieszeni pantalonów kapitana, które ten sobie zarezerwował, żeby móc w nich trzymać ręce na znak zadowolenia z siebie i całkowitej satysfakcji.

Gdy ów radosny okręt szczęścia podpłynął do posepnego „Pe-quoda”, usłyszeliśmy dolatujący z jego forkasztelu dziki łoskot olbrzymich bębnow; znalazłszy się jeszcze bliżej, ujrzeliśmy tłum marynarzy stojących wokół ogromnych kotłów do wytapiania tłuszczu, które, pokryte pergaminowym *poke*, czyli skórą z brzucha ryby czarnej, za każdym uderzeniem ściśniętych pięści marynarzy wydawały donośny huk. Na pomoście kapitańskim oficerowie i harpunnicy płasali z oliwkowymi dziewczętami, co zbiegły z nimi z wysp Polinezji, a temu rozpasanemu dżigowi przewodzili z ozdobnej szalupy mocno przytwierdzonej między foki grotmasztem trzej Murzyni z Long Island dzierżący w ręku błyszczące smyczki z kości wieloryba. Tymczasem inni członkowie załogi hałaśliwie rozbierali mury wytapialni, z której usunięto olbrzymie kotły. Można

było pomyśleć, że rozwalają przeklętą Bastylię, tak dzikie wznosili okrzyki miotając w morze bezużyteczną już cegłę i zaprawę.

Panując niepodzielnie nad całą tą sceną, stał na wyniosłym pomoście żaglowca wyprostowany kapitan, tak że wszystkie owe uciechy rozgrywały się wprost przed nim, jak gdyby je urządzono dla jego osobistej rozrywki.

Ahab, z rozwichrzonym włosem, czarny, uparcie ponury, także stał na swoim mostku kapitańskim; i kiedy oba statki krzyżowały swe szlaki – jeden tętniący radością z rzeczy przeszłych, drugi pełen przeczuc o rzeczach, co stać się miały – ich dwaj kapitanowie uosabiali cały uderzający kontrast tej sceny.

– Chodź pan do nas, do nas! – zawołał dowódca wesołego „Kawalera”, wznosząc do góry butelkę i szklankę.

– Widziałeś białego wieloryba? – zazgrzytał w odpowiedzi Ahab.

– Nie, tylkom o nim słyszał, lecz ani trochę w niego nie wierzę – odparł tamten wesoło. – Chodź pan do nas, na pokład!

– Nadtoś wesoły. Płyn dalej. Straciłeś kogoś z załogi?

– Nie ma o czym mówić: dwóch krajowców z wysp, ot i wszystko – ale chodźże do nas, stary, prosimy. Migiem ci zetrę tę chmurę z czoła. Przybywaj, proszę (wesoło tu u nas), pełny mamy statek i płyniemy do domu.

– Jakże zadziwiająco poufały bywa głupiec! – mruknął Ahab, po czym dodał głośno: – Powiadasz, że statek twój pełny i do domu płynie. No a mój możesz nazwać pustym i płynącym z domu. Idź zatem swoją drogą, ja pójdę swoją. Hej tam, na dziobie! Rozwinąć wszystkie żagle i trzymać kurs na wiatr!

I tak, gdy jeden statek mknął wesoło z bryzą, drugi uparcie z nią walczył; oba rozdzieliły się, a załoga „Pequoda” spoglądała poważnym, tęsknym wzrokiem na odpływającego „Kawalera”. Lecz marynarze, w ochoczej pogrążeni hulance, ni trochę nie zważali na owe spojrzenia. Ahab zaś wychylony przez reling spoglądał na statek płynący do domu i dobywszy z kieszeni małą flaszczkę, napełnioną piaskiem, patrzył to na nią, to na żaglowiec, jak gdyby łączył ze sobą dwa dalekie skojarzenia, albowiem flaszcza owa pełna była piasku z Nantucket.

## ROZDZIAŁ CXVI

### KONAJĄCY WIELORYB

Nierzadko w tym życiu, gdy z właściwej strony przepływają faworyci fortuny, my sami, acz przedtem zgnębieni, pochwycimy coś z owej wiejącej bryzy i radośnie czujemy, jak wypełniają się nasze obwisłe żagle. Tak się widocznie rzecz miała z „Pequodem”. Albowiem następnego dnia po spotkaniu wesołego „Kawalera” ujrzano wieloryby i cztery ubito; jednego z nich upolował Ahab.

Było to późnym popołudniem; kiedy oręż spoczął już po owej szkarłatem oblanej walce i w pięknym świetle zachodu, unosząc się na morzu i nieboskłonie, wieloryb i słońce cicho konały pospołu, wówczas taka słodycz i żal, takie wieńczące rozmodlenie rozsunęło się w różnym powietrzu, iż niemal rzekłbyś, że z oddali, od głębokich, zielonych, klasztornych dolin wysp Manili, hiszpański powiew lądowy, z przekory zostawszy marynarzem, ruszył na morze niosąc ów hymn nieszporny.

Znów uspokojony, ale tym głębiej posepny Ahab, który cofnął szalupę od wieloryba, siedział, bacznie śledząc jego agonię ze spokojnie unoszącej się na falach łodzi. Albowiem to osobliwe widowisko dające się zaobserwować u wszystkich dogorywających kaszalotów – a mianowicie obrócenie głowy ku słońcu i konanie w ten sposób – to widowisko oglądane tak cichego wieczoru miało dla Ahaba nie znaną dotąd osobliwość.

– Ostatnimi konającymi ruchy obraca i obraca ku słońcu, jakże wolno, ale jak uparcie, swe hołdownicze i wyzywające czoło. On też jest czcicielem ognia – ten najwierniejszy, pewny, feudalny wasal słońca! O, że też nazbyt łaskawe oczy patrzą na ten nazbyt łaskawy widok! Spójrzcie! Tu oto, w zamknięciu wód, z dala od wszelkiego rozgwaru ludzkiej pomyślności czy niedoli, na tych najczystszych, bezstronnych morzach, gdzie nie masz skał, co by tradycjom tablic dostarczały, gdzie od długich, chińskich stuleci fale ciągle się toczą, nieme i nie nagabywane przez nikogo, niby gwiazdy, co świecą ponad nieznanym źródłem Nigru – tu także życie zamiera zwrócone ku słońcu i pełne wiary. Lecz spójrzcie tylko! Ledwie skona, a już śmierć trupa odwróci i inną skieruje drogą.

O, ty, hinduska, mroczna połowo przyrody, co z potopionych kości zbudowałaś swój osobny tron gdzieś w sercu owych pustynnych wód; jesteś niewierną, o, królowo, i nazbyt prawdziwie przemawiasz do mnie we wszechmorderczym tajfunie i cichym, pogrzebnym spokoju, jaki po nim następuje. Także i twój wieloryb nie bez nauki dla mnie obrócił ku słońcu swą konającą głowę, po czym znów koło zatoczył.

O, po trzykroć obręczami okute i spawane ramię mocy! O, ty, wysoko bijąca, tęczowa fontanno! Daremne twe wysiłki, daremne twoje tryskanie! Na darmo, o, wielorybie, szukasz wstawienictwa u ożywczego słońca, co tylko wywołuje życie, ale go już nie przywraca. Ty zaś, ciemna połowo, kołyszysz mnie dumniejszą, choć bardziej mroczną wiarą. Wszystka twa nienazwana gęstwa pływa tu pode mną, unosząc się na tchnieniach rzeczy niegdyś żywych, wydechanych ongiś jako powietrze, lecz teraz w wodę zmienionych.

Więc żegnaj, żegnaj na zawsze. O, morze, w którego odwiecznych kolebaniach ptak dziki swój jedyny spoczynek znajduje! Z ziemi zrodzony, ale przez morze wykarmiony, choć wzgórza i doliny były mi macierzą, wy, fale, moimi mlecznymi siostrami jesteście!

## ROZDZIAŁ CXVII

### WACHTA WIELORYBIA

Cztery wieloryby, zdobywszy tego wieczora, szczyły daleko od siebie: jeden hen, po nawietrznej, drugi bliżej zawietrznej, trzeci przed nami, czwarty za rufą. Trzy ostatnie przyholowano d statku przed zapadnięciem nocy; lecz do tego, który znajdował się po nawietrznej, nie sposób było dotrzeć przed ranem i łódź, która go zabiła, pozostała przez całą noc u jego boku. A łodzią tą była szalupa Ahaba.

W tryskawkę martwego wieloryba zatknięto pionowo drzewce proporczyka, a latarnia zawieszona na jego szczycie rzucała niepewny, migocący blask na czarny, połyskliwy grzbiet i na spowite nocą fale, które łagodnie ocierały się o szeroki bok wieloryba, niby miękkie piany spływające po plaży.

Ahab wraz z całą załogą swej szalupy zdawał się spać; tylko Fedallah czuwał i skulony na dziobie siedział obserwując rekiny, które upiornie igrały wokół wieloryba trzepiąc ogonami o lekkie cedrowe deski łodzi. Dźwięk, co przypominał unoszący się nad Asfaltowym Jeziorem jęk pokutujących duchów Gomory, drgając przenikał poprzez powietrze.

Ocknąwszy się z drzemki Ahab ujrzał twarz w twarz parsa; ujęci w obręcz mroku nocy zdawali się być ostatnimi ludźmi na ziemi zalanej przez potop.

– Znowu mi się to śniło – rzekł Ahab.

– Mary? Czym ci nie mówił, kapitanie, że ani mar, ani trumny mieć nie będziesz?

– A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?

– Alem powiedział, kapitanie, że zanim będziesz mógł umrzeć na tej wyprawie, musisz zaiste po dwakroć ujrzeć na morzu mary, pierwsze nie będą uczynione śmiertelnymi dłońmi, a widome drzewo drugich musi pochodzić z Ameryki.

– Tak, tak! Dziwny to widok, parsie. Katafalk z pióropuszcami unoszący się na oceanie i fale miast karawaniarzy. Ha! Taki widok nieprędko zobaczymy!

– Wierz albo nie wierz, a przecie nie będziesz mógł umrzeć, póki tego nie ujrzysz, kapitanie.

– A jak brzmi ta przepowiednia o tobie?

– Że choćby przyszło do ostateczności, ja jednak pójdę przed tobą jako twój pilot.

– A kiedy już pójdziesz – jeśli się to kiedykolwiek przydarzy – wówczas zanim będę mógł ruszyć twoim śladem, musisz mi się jeszcze ukazać, by dalej mnie pilotować? Nieprawdaż? No więc. czy nie uwierzyłem we wszystko, co mówisz, o, mój pilocie? Mam tutaj dwie rękojmie, że jeszcze zabiję Moby Dicka i przeżyję to.

– Przyjmij jeszcze jedno zapewnienie, kapitanie – ozwał się pars, a oczy jego rozbliły w mroku niby robaczki świętojańskie. – Tylko konopie mogą cię zabić.

– To znaczy szubienica. Jestem więc nieśmiertelny na lądzie i na morzu! – zawołał Ahab z szyderym śmiechem. – Nieśmiertelny na lądzie i na morzu!

Obaj znowu zamilkli równocześnie. Nadszedł szary brzask, drzemiąca załoga powstała z dna szalupy i około południa przyholowano zabitego wieloryba do statku.

## ROZDZIAŁ CXVIII

### KWADRANT

Nareszcie nadszedł sezon równikowy i co dnia Ahab, wyszedłszy z kajuty i rzuciwszy okiem w górę, widział, jak czujny sternik z ostentacją manipuluje szprychami koła, a gorliwi marynarze szybko biegną do brasów, stają tam ze wzrokiem utkwionym w jeden centralny punkt: przybity do masztu dublon, i niecierpliwie wyglądają rozkazu wzięcia kursu na równik. Rozkaz ten we właściwej chwili został wydany. Było to przed samym południem; Ahab zasiadł na dziobie swojej wysoko zawieszanej szalupy i zajęty był właśnie przeprowadzaniem zwykłych, codziennych obserwacji słonecznych, aby określić własne położenie geograficzne.

Owóz na tym japońskim morzu dnie w lecie są jak strumyki promienistości. To niewzruszenie żywe słońce japońskie zda się być płomiennym ogniskiem niezmierzonej soczewki zapalającej połyskliwego oceanu. Niebo wygląda jak z laki, obłoków nie ma w ogóle, horyzont unosi się w powietrzu i ta nagość nieodmiennego rozjarzenia jest jak nieznośny przepych Bożego tronu. Dobrze, iż kwadrant Ahaba posiadał kolorowe szkła, przez które można było patrzeć na tę słoneczną pożogę. Kapitan zasiadł poddając swe ciało kołysaniom statku i przyłożył do oka ów astrologicznie wyglądający instrument, po czym pozostał przez kilka chwil w tej pozycji, aby uchwycić dokładnie moment, kiedy słońce dojdzie do samego zenitu. Podczas gdy cała jego uwaga była tym pochłonięta, niżej, na deskach pokładu, przycupnął Fedallah i podniósłszy twarz wzorem Ahaba, wraz z nim spozierał w to samo słońce, tylko powieki na w pół przesłaniały mu oczy, a dziką twarz owładnęła jakowaś nieziemską beznamiętność. Wreszcie Ahab poczynił potrzebne obserwacje i wprędce obliczył ołówkiem na kościanej nodze swoje obecne położenie geograficzne. Następnie pograżył się na chwilę w zadumie, znów spojrzął ku słońcu i szepnął do siebie:

– O, ty, morski drogowskazie! Wyniosły i potężny Pilocie! Prawdziwie mi powiadasz, gdzie jestem, ale czy możesz mi choćby tylko napomknąć, gdzie *będę*? Albo czy możesz powiedzieć, gdzie się w tej chwili podziewa inna jeszcze istota poza mną samym? Gdzie jest Moby Dick? W tymże momencie musisz nań spoglądać. Te moje oczy patrzą w oko, co właśnie teraz go widzi. Zaiste w to samo oko, co widzi przedmioty znajdujące się po tamtej, nieznannej twojej stronie, o, słońce!

Następnie spojrzął na swój kwadrant i dotknąwszy kolejno jego rozlicznych kabalistycznych urządzeń, zamyślił się znowu i szepnął:

– Głupia zabawko! Dziecięca igraszko dumnych admirałów, komodorów i kapitanów. Świat chełpi się tobą, twą przemyślnością i mocą, a przecie cóż właściwie potrafisz uczynić poza wskazaniem nędznego, żałosnego punktu, w którym na tej szerokiej planecie zdarzy się znaleźć tobie oraz dłoni, co cię trzyma? Nie, nie potrafisz ni joty więcej! Nie potrafisz powiedzieć, gdzie jutro w południe będzie kropla wody czy ziarnko piasku; a przecie bezsilą swoją znieważasz słońce! Nauko! Bądź przeklęta, ty, próżna igraszko, i przeklęte niech będą wszelkie rzeczy, co wznoszą oczy człowieka w górę, ku tym niebiosom, których żywa jaskrawość piecze je tylko, tak jak te stare oczy

piecze w tej chwili światło tve, o, słońce! Z natury rzeczy spojrzenie oczu ludzkich poziome jest i biegnie ku horyzontowi tej ziemi, a nie wystrzela z ciemienia, jakby się to działo, gdyby Bóg pragnął zwrócić wzrok człowieka ku swemu firmamentowi. Przeklęty bądź kwadrancie! – tu rzucił go na pokład. – Dłużej nie będę się tobą kierował w mej ziemskiej wędrówce; poziomy kompas okrętowy i poziome obliczenia logiem i linką – oto, co mnie prowadzić będzie i miejsce moje na morzu mi wskazywać. Tak! – Zeskoczył z łodzi na pokład. – Oto cię depczę, rzeczy nędzna, co słabowicie ku górze wskazujesz, oto cię rozbijam i niszczę!

Gdy rozszalały kapitan wymawiał te słowa depcząc kwadrant zarówno żywą jak i martwą nogą – przez niemą, nieruchomą twarz Fedallaha przemknął szydery grymas tryumfu, który zdał się być przeznaczony dla Ahaba, oraz fatalistyczna rozpacz, przeznaczona snadź dla samego siebie. Wstał niepostrzeżenie i cicho odszedł; natomiast marynarze przerażeni widokiem swojego dowódcy zbili się w gromadkę na farkasztelu, dopóki Ahab niespokojnie krocząc po pokładzie nie zakrzyknął:

– Do brasów! Ster na burzę! Zbrasować reje!

W jednej chwili reje zatoczyły półkole i gdy statek robił pół obrotu, jego trzy krzepko osadzone, wdzięczne maszty, tkwiące prosto na długim, żebrowanym kadłubie, przywodziły na myśl trzech Horacjuszów czyniących zwrot na jednym wybornym rumaku.

Stojąc u nasady bukszprytu Starbuck obserwował burzliwy szlak „Pequoda”, a także i Ahaba przemierzającego pokład chwiejnym krokiem.

– Siadywałem przed tęgim ogniem, patrzałem na rozżarzone węgle pełne udręczonego, rozplómiennionego życia i widziałem, jak wreszcie zamierały coraz bardziej i bardziej, aż stały się martwym pyłem. Duchu oceanów! Z całego twojego płomiennego życia zostanie w końcu garsteczka popiołu!

– Tak! – odkrzyknął Stubb. – Ale popiołu z węgla morskiego, pamiętaj o tym, panie Starbuck, nie z tego zwyczajnego drzewa. No, no, słyszałem, jak Ahab szeptał: „Ktoś wpycha te karty w moje stare dłonie i klnie się, że grać muszę tymi, a nie innymi.” Niech mnie licho, Ahabie, słusznie czynisz: żyjesz i umrzesz grając!

## ROZDZIAŁ CXIX

### ŚWIECE

Najcieplejsze krainy kryją najokrutniejsze kły; tygrys bengalski czai się w wonnych gajach o wiecznej zieleni. Nieba najbardziej promienne noszą w sobie najstraszliwsze pioruny; przecudna Kuba zna tornada, jakie nigdy nie zamiatały łagodnych krajów północnych. Toteż i na owych roziskrzonych morzach japońskich żeglarz spotyka najstraszliwszą ze wszystkich nawałnic – tajfun. Czasami runie on z owego bezchmurnego nieba jak wybuchająca bomba ciśnięta na osłupiałe i senne miasto.

Pod wieczór owego dnia „Pequod”, odarty z żagli, z nagimi drzewcami, stanął do walki z tajfunem, który nań wprost od czoła uderzał. Kiedy zapadły ciemności, niebo i morze ryczały, pękały od grzmotów i gorzały od błyskawic ukazujących kalekie maszty, na których tu i ówdzie trzepotały się strzepy pozostawione przez pierwszą furie huraganu dla własnej, dalszej rozrywki.

Trzymając się wanty Starbuck stał na pomoście kapitańskim; za każdym błyskiem piorunu spoglądał w górę, by sprawdzić, jakie dalsze szkody mogła ponieść zawila gmatwanina takielunku; Stubb i Fiasz kierowali ludźmi, którzy podciągali wyżej i przytwierdzali mocniej szalupy. Wszystkie ich wysiłki wydawały się jednak daremne. Choć ją wywindowano do samego szczytu szlupbelek, łódź wisząca przy mostku kapitańskim po nawietrznej (a należąca do Ahaba) nie uszła swemu losowi. Olbrzymi, rozpędzony bałwan, chlusnąwszy wysoko w górę o wyniosły bok rozhuśtanego statku wybił dno szalupy u rufy i pozostawił ją wszystką ociekającą wodą jak sito.

– Kiepsko, kiepsko, panie Starbuck – ozwał się Stubb spoglądając na szczątki. – Ale cóż, morze musi postawić na swoim. Jeśli idzie o Stubba, to nie może on z nim walczyć. Widzisz pan, panie Starbuck, fala bierze taki straszny długi rozpęd, zanim skoczy, bo obiega świat dokoła i dopiero daje susa! Co do mnie zaś, cały rozpęd, jaki mam, aby jej wyjść na spotkanie, to ledwie tu, przez szerokość pokładu. Ale mniejsza. Wszystko to igraszki, jak mówi stara piosenka (*śpiewa*)

Sztorm, wesolek mórz otwartych,  
Jak wieloryb lubi żarty:  
Tnie ogonem rozpostartym.  
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,  
zrywać boki,  
hoki-poki, taki to ocean jest!

Pędzą chmury, kładą cienie;  
Trunek jego tak się pieni,  
Gdy dorzuci doń korzeni.  
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,  
zrywać boki,  
hoki-poki, taki to ocean jest!

Bije w statki grom z wysoka,  
A on gębą trunek cmoka,  
Delektując się głęboko.  
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,  
zrywać boki,  
hoki-poki, taki to ocean jest!

– Dosyć, Stubb! – zawołał Starbuck. – Niechaj tajfun śpiewa i uderza w harfę naszego olinowania. Jeżeli jesteś dzielny człkiem, zachowasz spokój.

– Ale ja nie jestem dzielny. Nigdy tego nie mówił. Jestem tchórzem i śpiewam, żeby się podtrzymać na duchu. I coś panu powiem, panie Starbuck: nie ma na tym świecie innego sposobu, aby mnie powstrzymać od śpiewu, oprócz poderżnięcia mi gardła. A kiedy to uczynisz, stawiam dziesięć przeciw jednemu, że na zakończenie wyśpiewam ci hymn pochwalny.

– Wariat! Patrz moimi oczami, jeśli nie masz własnych.

– Co? Jakże możesz pan widzieć lepiej w ciemną noc niż ktokolwiek inny, bez względu na to, jakby był niemądry?

– Patrz! – krzyknął Starbuck chwytając Stubba za ramię i wyciągając rękę ku nawietrznej. – Czy nie widzisz, że burza nadchodzi od wschodu, z tego właśnie kursu, po którym Ahab ma iść za Moby Dickiem? Tego samego kursu, który wziął dziś w południe? A teraz przyjrzyj się tej szalupie. Gdzież ma dno wybite? Na samej rufie, tam gdzie zwykł stawać. Jego miejsce jest wybite, człowieku! A teraz skacz za burtę i śpiewaj dalej, jeśli musisz!

– Zupełnie pana nie rozumiem. Cóż to wisi w powietrzu?

– Tak, tak, najkrótsza droga do Nantucket wiedzie wokoło Przylądka Dobrej Nadziei – powiedział nagle do siebie Starbuck nie zwracając uwagi na pytanie Stubba.

– Ten wichur, co teraz w nas grzmoci, żeby nam rozbić statek, możemy przemienić w pomyślny wiatr, który nas powiedzie do domu. Tam, po nawietrznej, wszystko jest czernią złowieszczą, ale po zawietrznej, w stronie domu, widzę, że się przejaśnia – i to nie od błyskawic.

W tej samej chwili, w jednym z momentów głębokiej ciemności, jaka następowała po błyskach, głos jakiś dał się słyszeć u jego boku i niemal równocześnie przetoczyła mu się nad głową nawała grzmotów.

– Kto to?

– Stary Grom! – odparł Ahab szukając po omacku, wzdłuż nadburcia, drogi do swojego otworu w pokładzie; nagle jednak ujrzał, że szlak jego oświetliły zygzakowate lance ognia.

Otóż podobnie jak na lądzie piorunochron na wieży ma za zadanie przenosić niebezpieczny fluid w ziemię, tak i pokrewny mu pręt, który na morzu pewne okręty posiadają u każdego masztu, winien go przenosić w wodę. Ponieważ jednak ów piorunochron musi schodzić na znaczną głębokość, żeby jego koniec mógł uniknąć wszelkiego zetknięcia z kadłubem, i co więcej, ponieważ gdyby się go stale tam

włoczyło, byłby narażony na różne uszkodzenia, nie mówiąc już o tym, że stanowiłby niemałą zawadę dla niektórych lin i mniej czy więcej przeszkadzałby posuwaniu się okrętu po wodzie – z tych wszystkich więc przyczyn dolne części piorunochronów okrętowych nie zawsze znajdują się poza burtą, ale przeważnie składają się z długich, smukłych członów, aby je było łatwiej, w zależności od potrzeby, albo podciągnąć do ław talrepowych na zewnątrz burty, albo też opuścić w morze.

– Pręty! Pręty! – krzyknął marynarzom Starbuck, nagle pobudzony do czujności przez ostrą błyskawicę, co właśnie buchnęła pochodnią, by Ahabowi oświetlić drogę do jego posterunku. – Czy są za burtą? Zrzucić je na przodzie i tyle! Szybko!

– Stać! – zawołał Ahab. – Zagrajmy uczciwie, acz jesteśmy słabszą stroną. Przyczyniłbym się do wzniesienia piorunochronów na Himalajach i Andach, żeby świat cały mógł być bezpieczny, ale żadnych przywilejów! Zostaw to pan.

– Patrz w górę! – krzyknął Starbuck. – Ognie św. Elma! Ognie św. Elma!

Wszystkie noki rej zapłonęły na czubkach bladym ogniem, a tknięte u każdego z trójzębnych zakończeń piorunochronów trzema spiczastymi, białymi płomykami, wszystkie trzy wyniosłe maszty płonęły cicho w nasiarkowanym powietrzu, niby przed ołtarzem trzy gigantyczne woskowe gromnice.

– Do kata z szalupą! Niech ją! – krzyknął w tej chwili Stubb, kiedy chlaszcząca fala wzbiła się pod jego własną małą łodzią, której nadburcie gwałtownie przygniotło mu dłoń, gdy przyciągał linę. – Do kata z nią! – Gdy jednak odsunął się w tył na pokład, podniesiony wzrok oficera natrafił na płomyki, więc natychmiast zmieniając ton zawołał: – Ognie św. Elma, miejcie miłosierdzie nad nami wszystkimi!

U marynarzy przekleństwa są słowami codziennego użytku; marynarze klną w ekstazie ciszy morskiej i w samych kłach nawałnicy; miotać będą przekleństwa z noków rej marszałgi, kędy się huśtają ponad kipiącym morzem; natomiast w trakcie wszystkich moich wędrówek rzadko kiedy słyszałem pospolite przekleństwo w chwili, gdy na okręcie spoczął ognisty palec Boga, gdy Jego „Mene, Mene, Tekel, Upharsin” wplotło się w wanty i liny.

Kiedy tam w górze płonęła owa bladość, niewiele słów słyszano z ust zaczarowanej załogi, która, zbита w gęstą gromadkę, stała na forkasztelu z oczami połyskującymi w świetle tej bladej fosforescencji niby odległa konstelacja gwiazd. Odcinając się na tle upiornej poświaty majaczył gigantyczny kruczoczarny Negr, Daggoo, trzykrotnie, rzekłbyś, wyższy niż w rzeczywistości; zdawał się być tą czarną chmurą, z której padł piorun. Rozchylone usta Tasztego ukazywały rekinowo-białe zęby, które lśniły dziwnie, jak gdyby i one zapłonęły na czubkach ognikami, a oświetlone nadnaturalnym blaskiem tatuaże Queequega gorzały na jego ciele niby sataniczne, błękitne płomyki.

Cała ta scena znikła nareszcie wraz z ową bladością w górze i znowu „Pequoda” oraz każdą żywą istotę na jego pokładzie spowił kir. Minęło kilka chwil i Starbuck, idąc ku dziobowi, wpadł na kogoś. Był to Stubb.

– No, i cóż myślisz, człowieku? Słyszałem twój krzyk. Nie tak było w piosence.

– Ano, nie. Powiedziałem, żeby ognie św. Elma miały miłosierdzie nad nami wszystkimi, i jakoś ufam, że tak będzie. Ale czyżby miały miłosierdzie tylko nad wydłużonymi minami, a brakło im serca dla śmiechu? Patrz pan tylko, panie Starbuck...

Ale za ciemno jest, by patrzeć. Posłuchaj mnie więc: uważam, że te ognie, któreśmy widzieli na topach masztów, to dobry znak, bo te maszty tkwią korzeniami w ładowni, która będzie aż pękać od olbrotu i w ten sposób cały ów olbrot przeniknie w maszty niby soki w drzewo. Tak, tak, trzy nasze maszty będą jeszcze niby trzy olbrotowe świece – oto ta dobra wróżba, którąśmy widzieli.

W tej chwili Starbuck dojrzał, że twarz Stubba zaczyna powoli majaczyć w ciemności. Spojrzał w górę i zakrzyknął: – Patrz! Patrz! – i oto znowu ujrzano wysokie spiczaste płomyki, których bladość wydała się w dwójnasób nadnaturalna.

– Niech ognie św. Elma mają miłosierdzie nad nami wszystkimi! – znowu wykrzyknął Stubb.

U podstawy grotmasztu, wprost pod dublonem i płomykami, klęczał przed Ahabem pars obróciwszy jednak twarz od kapitana; opodał, na łukowato zwisającym takielunku, kilku marynarzy, których w czasie pracy nad przymocowaniem rei zaskoczył ów blask, zbiło się razem i kołysało niby rój odrętwiałych os zwisających u gałęzi w sadzie. W różnych zakłęci pozach, ni to stojące, kroczące czy biegnące szkielety w Herkulanum, inni majtkowie wrosli w pokład; wszystkie jednak oczy wzniesione były w górę.

– Tak, tak, ludzie! – zawołał Ahab. – Patrzcie, zakonotujcie sobie dobrze: biały płomień oświetla drogę do białego wieloryba! Podajcie mi tu pręty piorunochronu z grotmasztu. Chciałbym poczuć ich puls i dać mojemu o nie uderzyć. Krew o ogień! Tak!

Następnie zawrócił i dzierżąc mocno w lewej ręce ostatnie ogniwo, wsparł stopę na parsie; z utkwionym w górze wzrokiem i wysoko wyrzuconą prawą ręką przystanął wyprostowany przed wyniosłą, trójzębną trójcą płomieni.

– O, ty jasny duchu jasnego ognia, którego na tych morzach wielbił jak niegdyś Persowie, aż tak mnie aktem sakramentalnym spaliłeś, że po dziś dzień noszę jeszcze bliznę. Znam cię już teraz, o duchu jasny, i wiem, że właściwa cześć dla ciebie to wyzwanie. Nie zmiękcy cię ani miłość, ani szacunek. Nawet za nienawiść potrafisz tylko zabijać; i wszyscy zginąć muszą. Nie stoi teraz przed tobą jakiś nieustraszony głupiec. Znana mi jest twa moc bezmowna, niepochwytna, ale do ostatniego tchu mego huraganowego życia będę zwalczał jej tyrańską, a przecie nie pełną nade mną władzę. Wśród uosobionej bezosobowości stoi tu osobowość. Lubo znikoma jest jak punkt, przecie skądkolwiek przybywam i dokądkolwiek dążę, póki tu żyję na ziemi, żyje też we mnie królewska osobowość i swe monarsze zna prawa. Lecz wojna to boleść, a nienawiść to nieszczęście. Przyjdź w swym najniższym kształcie miłości, a klęknię i ucałuję cię. Ale w swoim najwyższym przyjdź po prostu jako niebiańska siła; i aczkolwiek wysyłasz całe ładowne floty światów, jest jeden taki, co obojętność zachowa. O, ty jasny duchu, z ognia swego mnie uczyniłeś i jako wierne dziecię ognia oddaję ci go swym tchnieniem.

*(Nagle, powtarzając się zygzaki błyskawic; dziewięć płomieni wzbija się aż do trzykrotnie większej wysokości; Ahab wraz z resztą zamyka oczy, silnie przyciskając je prawą dłońią)*

– Uznaję twą moc bezmowna, nieuchwytną. Czy nie tak powiedziałem? Ani mi nie wydarto, ani nie rzucam tego piorunochronu. Możesz oślepić, ale ja wtedy mogę szukać po omacku. Możesz mnie spalić, ale ja wtedy mogę być popiołem. Przyjmij hołd tych biednych oczu i dłoni, co je przesłaniają jak okiennice. Ja bym go nie przyjął. Piorun

błyska wskroś mej czaszki, gałki oczu bolą mnie i bolą. Czuję, jak ścięto mój skolatany mózg, który się teraz toczy po głuchej ziemi. Och, och! Z przesłoniętymi oczyma będę przecie mówił do ciebie. Jakkolwiek jesteś światłem, to jednak wyskakujesz z ciemności, ja zaś jestem mrokiem wyskakującym ze światła – z ciebie samego! Ustają błyski oszczepów. Otworzę oczy, widzę czy nie? Tam płoną ognie! O, ty wielkoduszny! Teraz się szczycę mą genealogią! Ale tyś jest tylko moim ognistym rodzicem. Nie znam swej słodkiej matki. Och, okrutniku! Cóżes z nią uczynił? W tym tkwi moja zagadka; twoja wszelako jest większa. Nie wiesz, w jaki sposób się stałeś, i dlatego zowiesz się niezrodzonym, a z pewnością nie znasz swojego początku i dlatego zowiesz się niepoczętym. Ja wiem o sobie to, czego ty o sobie nie wiesz, o, wszechmocny! Jest ponad tobą, o, duchu jasny, jakowaś rzecz nieroztapialna, dla której cała twoja wieczność to tylko chwila, cała twoja moc twórcza to jedynie mechaniczna siła. Wskroś ciebie, wskroś twej płomiennej istności, moje spieczone oczy widzą to niewyraźnie. O, ty bezdomny ogniu, odwieczny pustelniku, ty także masz swą nieprzekazywalną zagadkę, swój niepodzielny ból. I tu znów w wyniosłej męce odnajduję swojego rodzica. Skacz, skacz w górę i liź niebo? Ja skaczę z tobą i płonę z tobą, chętnie bym się w ciebie wtopił i wielbię cię zuchwale!

– Łódź! Łódź! – krzyknął Starbuck. – Spójrz na swą łódź, kapitanie!

Harpun Ahaba, ten ukuty w kuźni Perth, tkwił mocno przywiązany na dobrze z dołu widocznych widelkach, tak że wystawał poza dziób szalupy; jednakże bałwan, który wybił jej dno, zrzucił też z broni luźną skórzaną pochwę i z ostrego stalowego grotu dobywał się teraz sterczący, blady, rozwidlony płomień. Gdy harpun gorzał tak w ciszy, językowi węża podobny, Starbuck porwał Ahaba za ramię:

– Bóg, sam Bóg jest przeciw tobie, kapitanie! Powstrzymaj się! To zła wyprawa! Żle zaczęta, źle idzie. Pozwól mi przebrasować reje, póki jeszcze czas, kapitanie, i pójść z dobrym wiatrem w stronę domu, aby w lepszą niż ta podróż wyruszyć!

Dosłyszawszy, co mówił Starbuck, ogarnięta paniką załoga natychmiast skoczyła do brasów, choć ani jeden żagiel nie pozostał w górze. Prze chwilę zdało się, że każdą myśl przerażonego oficera dzielają i marynarze; podnieśli już na wpół buntowniczy krzyk. Jednakże Ahab, cisnąwszy z chrzęstem na pokład człony piorunochronu, porwał płomienisty harpun i począł nim wywijać między marynarzami jak pochodnią, klnąc się, że przebije pierwszego z nich, co choćby zluzuje koniec liny. Skamienieli na jego widok marynarze, a bardziej jeszcze przeraził ich gorejący grot, który kapitan trzymał w ręku, cofnęli się więc w popłochu, Ahab zaś znowu przemówił:

– Wszystkie wasze przysięgi, że będziecie ścigać białego wieloryba, równie są wiążące jak i moja. A stary Ahab związany jest sercem, duszą i ciałem, każdym tchnieniem i życiem swoim. Ażebyście poznali, w jaki takt bije moje serce, tedy patrzcie: tak wydycham z siebie ostatnią obawę! – I jednym dmuchnięciem zgasił płomyki.

Jak w czasie huraganu, który miecie po równinie, ludzie umykają z sąsiedztwa samotnego, gigantycznego wiązu, gdyż sama jego wysokość i moc tym niebezpieczniejszym go czyni, ile że dogodniejszym jest celem dla piorunów – tak też i po ostatnich słowach Ahaba wielu marynarzy odbiegło odeń w okrutnym przerażeniu.

## ROZDZIAŁ CXX

### POKŁAD POD KONIEC PIERWSZEJ WACHTY NOCNEJ

*(Ahab stoi u steru, podchodzi Starbuck)*

– Musimy spuścić grotmarsareję. Zaczep jest obluzowany i lina od zawietrznej na wpeł urwana. Opuścić, kapitanie?

– Nic nie opuszczaj, podwiązać. Gdybym miał trumselstengi, i te bym teraz wyciągnął.

– Kapitanie! Na litość boską, kapitanie...

– No cóż?

– Kotwice się obluzowały... Czy mam je wciągnąć na pokład?

– Nic nie opuszczaj, niczego nie ruszaj, tylko podwiąż wszystko. Wiatr się wzmaga, ale jeszcze mi on niestraszny. Szybko czyń, co mówię. Na maszt i kil! Bierze mnie za garbatego szypra jakiegoś przybrzeżnego kutra! Spuszczaj moją grotmarsareję! Do kroćset! Najwyższe gałki masztowe robione są na najdziksze wichry, a ta gałka mojego mózgu żegluje teraz pośród beltów chmur. Czy i ją mam opuścić? O, tylko tchórze opuszczają gałki swych mózgów w czas nawałnicy! Cóż za rwetes tam, w górze! Wziąłbym go nawet za coś 'wzniosłego, gdybym nie wiedział, że kolka to hałaśliwa choroba. O, trzeba lekarstwa, trzeba lekarstwa!

## ROZDZIAŁ CXXI

### PÓŁNOC – U NADBURCIA FORKASZTELU

*(Stubb i Fiask siedzą na nadburciu i zakładają dodatkowe wiązadła u zawieszonych tam kotwic)*

– Nie, Stubb, możesz pan ubijać ten węzeł, ile ci się żywnie podoba, ale nigdy nie wbijesz mi do głowy tego, coś właśnie rzekł. Alboż dawno temu powiadałeś coś wręcz przeciwnego? Nie mówiłeś kiedyś, że na którymkolwiek statku Ahab popłynie, statek ten powinien coś dopłacić do swej polisy ubezpieczeniowej, zupełnie tak samo, jak gdyby był załadowany baryłkami prochu na rufie, a skrzynkami zapalek na dziobie. No, przestań pan na chwilę. Nie mówiłeś tak?

– Przypuśćmy, że mówiłem. No to co z tego? Częściowo odmieniłem już ciało od tej pory. Czemuż więc nie miałbym zmienić zdania? Poza tym przypuśćmy nawet, że mamy załadowane baryłki prochu na rufie, a zapalki na dziobie. Jakże u diabła zapalki mogłyby zapłonąć w tych mokrych bryzgach? Cóż, mój mały człowieczku, masz pan piękne czerwone włosy, a przecie nie mógłbyś się teraz zapalić. Otrząśnij ze się. Jesteś Aquarius, czyli Wodnik, Fiask, można by dzban napełnić wodą z twego kołnierza. Nie pojmujesz, że na te dodatkowe ryzyka towarzystwa ubezpieczeń morskich mają dodatkowe gwarancje? Masz tu prawdziwe hydranty, Fiask. Ale posłuchaj mnie pan jeszcze, a odpowiem ci w tamtej drugiej sprawie. Najpierw jednak zabierz tę nogę z główicy kotwy, żebym mógł przeciągnąć linę. A teraz słuchaj. Czy jest taka wielka różnica między trzymaniem w rękę podczas burzy piorunochronu masztowego a stanem też podczas burzy przy maszcie, który w ogóle piorunochronu nie ma? Nie rozumiesz, zakuta głowo, że żadna krzywda nie może się stać trzymającemu pręt, jeśli maszt nie zostanie wprzód trafiony? O czymże więc pan gadasz? Może jeden okręt na sto ma piorunochrony, Ahab zaś – a zaiste, człowieku, także i my wszyscy byliśmy tamtej nocy, moim skromnym zdaniem, w nie większym niebezpieczeństwie niżeli wszystkie załogi dziesięciu tysięcy statków płynących teraz po morzach. Ba, pan, „King-Post”, pan, jak przypuszczam, chciałbyś, żeby każdy człowiek na świecie chodził z małym piorunochronikiem sterczącym w rogu kapelusza, niby spiczaste pióro oficera milicji, i wlokącym się z tyłu jak szarfa. Czemu pan nie jest rozsądny, Fiask? Tak łatwo być rozsądnym, więc czemu pan takim nie jesteś? Każdy, kto umie patrzeć, potrafi być rozsądnym.

– Nie wiem, Stubb. Pan znajdujesz czasami, że to dość trudno.

– Tak, kiedy człek jest przemoczony do nitki, trudno być rozsądnym, to fakt. A ja już niemal przesiąknęłam tą pianą. Mniejsza z tym. Łap pan linę i przeciągaj. Mam takie wrażenie, że przywiązujemy te kotwice, jak gdyby nigdy już nie miały być użyte. Związywanie tych dwóch kotwic, Fiask, to po trosze tak, jak wiązanie z tyłu rąk człowiekowi. A wielkie, wspaniałomyślne to są łapy, a jakże! Takie żelazne pięści, co? A jaki mają uchwyt! Ciekawe, Fiask, czy ten świat jest gdzieś zakotwiczony? Jeśli tak, to na niepospolicie długiej linie. No, przybij pan ten węzeł i skończ. O tak, drugą, po lądowaniu, najprzyjemniejszą rzeczą jest zleźć na pokład. Ale, ale, wyźmij mi pan poły

od surduta, dobrze? Dzięki. Śmieją się z lądowej mody, Fiask, ale mnie się zdaje, że w czasie wszystkich sztormów na morzu winno się zawsze nosić długopół surdut. Bo widzisz pan, ten ogon, tak się zwężający ku dołowi, służy do odprowadzania wody. To samo z oficerskimi pierogami; dzioby tych kapeluszy tworzą dwie przeciwległe rynny dachowe, Fiask. Dość mam już kurt marynarskich i zydwestek. Muszę przywdziać jaskółczy ogon i bobrowy kapelusz, tak! Ho! Hej! Moja zydwestka leci za burtę! Boże, Boże, żeby wiatry, które z nieba przylatują, tak były nieokrzese! Paskudna noc, chłopie.

## ROZDZIAŁ CXXII

### PÓŁNOC NA MASZCIE – GROMY I BŁYSKAWICE

*(Grotmarsareja. Tasztego podwiązuje ją na nowo)*

Hm, hm, hm. Dość tych grzmotów! O wiele za dużo grzmotów tu, na górze. Jaki jest pożytek z grzmotów? Hm, hm, hm. Nie chcemy grzmotów, chcemy rumu; dajcie nam szklaneczkę rumu! Hm, hm, hm!

## ROZDZIAŁ CXXIII

### MUSZKIET

Podczas najgwałtowniejszych uderzeń tajfunu marynarz, stojący na „Pequodzie” u rumpla sporządzonego z kości szczękowej, kilka razy został okręcony i ciśnięty na deski pokładu przez spazmatyczne ruchy rękoności steru, mimo że przytwierdzono do niej zabezpieczający osprzęt; nie trzymał on jednak dość ściśle, ponieważ rumpel wymaga pewnego luzu.

W tak ostrym szkwale, kiedy wicher rzuca okrętem jak piłką, widok igieł kompasów zataczających od czasu do czasu pełne koła nie jest bynajmniej czymś niezwykłym. Tak też było i z kompasami „Pequoda”; nieledwie za każdym wstrząsem sternik widział wyraźnie, z jaką szybkością wirują igły na tarczach kompasów; nie każdy potrafi oglądać ów widok bez niezwykłego wzburzenia.

W kilka godzin po północy tajfun na tyle przycichł, że dzięki wyteżonym wysiłkom Starbucka i Stubba – jednego na dziobie, drugiego na rufie statku – poszarpane resztki kliwra tudzież fok- i grotmarsa odcięto od drzewc; wirując poleciały na zawietrzną niby pióra albatrosa, które czasami ulatują z wiatrem, kiedy ptak mknie miotany burzą.

Takież trzy nowe żagle przytwierdzono teraz do rej i zrefowano, a dalej w tyle wciągnięto sztormowy trajsel, toteż niebawem statek znów poszedł po wodzie z niejaką precyzją, sternikowi zaś ponownie podano kurs – na razie na wschodnio-południowy-wschód – który miał utrzymać, jeżeli się to okaże możliwe, albowiem podczas okropności huraganu sterował on tylko jak się dało. Lecz oto, gdy ustawiał żaglowiec możliwie jak najbliżej kursu śledząc tymczasem kompas – nagle dobry znak! – bryza najwyraźniej nadleciała od rufy; zaiste, wiatr wrogi stał się pomyślnym!

Natychmiast przebrasowano reje w takt żywej piosenki: „*Ho! Pomyślny wiatr! Oh – ye – ho! A z sercem, chłopcy!*” śpiewanej przez załogę z radości, że wydarzenie tyle obiecujące tak szybko kłam zadało poprzedzającym je złym wróżbom.

Zgodnie ze stale obowiązującym rozkazem dowódcy, żeby bez zwłoki, każdej godziny dnia i nocy meldować o wszelkiej istotnej zmianie na pokładzie, Starbuck ledwie ustawiwszy reje do wiatru – chociaż niechętnie i ponuro – zeszedł machinalnie pod pokład, aby powiadomić kapitana Ahaba o tym fakcie.

Zanim zapukał do drzwi kajuty, mimowolnie przystanął przed nimi na chwilę. Lampa kajutowa, rozkołysana w tę i tamtą stronę, płonęła urywanie i urywane rzucała cienie na zaryglowane drzwi kapitana – drzwi cienkie, ze stałą żaluzją wprawioną w miejsce górnego filungu. Odosobniona podziemność kajuty sprawiała, że panowała tu dzwoniąca w uszach cisza, dokoła spięta obręczą ryku żywiołów. Połyskliwie dobywały się z mroku nabite muszkiety, pionowo uszeregowane na stojaku pod przednią grodzią. Starbuck był człekiem uczciwym i prawym, wszelako w chwili gdy ujrzał muszkiety, w sercu jego zakiełkowała dziwnie zła myśl, tak jednak stopiona z obojętnymi czy nawet dobrymi elementami, że w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać jej właściwej istoty.

– Byłby mnie niegdyś ustrzelił – szepnął. – Tak, to ten sam muszkiet, z którego do mnie mierzył, ten z kolbą nabijaną ćwiekami. Niechże go dotknę... niech podniosę.

Dziwne, że ja, który tyłoma śmiertelnymi władałem lancami, tak teraz drzę. Naładowany? Muszę zobaczyć. A jakże, i proch na panewce; to niedobrze. Może by lepiej wysypać go?... Zaczekajmy: Przejdzie mi... Będę śmiało trzymał muszkiet zastanawiając się jednocześnie. Przychodzę donieść mu o pomyślnym wietrze. Ale pomyślnym dla kogo? Dla śmierci i zagłady – to jest pomyślnym dla Moby Dicka. To wiatr pomyślny, który jest takim jedynie dla tej przeklętej ryby. Oto lufa, którą we mnie wymierzył! Ta sama... *ta...* Trzymam ją tu. Byłby mnie zabił tą właśnie rzeczą, którą w tej chwili mam w ręce. A jakże, i chętnie by pozabijał całą swą załogę. Alboż nie mówił, że nie opuści rej przed żadną nawałnicą? Alboż nie rozbił swojego niebieskiego kwadrantu? I czy na tych oto niebezpiecznych morzach nie szuka po omacku drogi według zwykłych, ślepych obliczeń tak bardzo omylnego logu? A choćby w czasie tego tajfunu, czyż nie przysięgał się, że nie chce żadnych piorunochronów? Ale czyż podobna cierpieć spokojnie, by oszalały kapitan pociągał za sobą całą załogę na zatracenie? No tak, jeżeli statek spotka jakowyś zabójczy wypadek, Ahab stanie się umyślnym mordercą przeszło trzydziestu ludzi. A na mą duszę klnę się, że o ile postawi na swoim, wypadku takiego statek nie uniknie. Jesliby go więc w tej chwili... usunięto, nie popełniłby owej zbrodni. Ha! Coś przez sen mruczy? Tak, śpi tuż – o, tutaj. Śpi? Tak, ale żyje i wkrótce się przebudzi. Nie potrafię ci stawić czoła, kapitanie. Nie chcesz słuchać ani rozumowania, ani perswazji, ani błagań; drwisz z takich rzeczy. Wszystko, czego żądasz, to bezwzględne posłuszeństwo twoim bezwzględnym rozkazom. Tak, i jeszcze powiadasz, że ludzie także złożyli tę samą co ty przysięgę. Mówisz, że wszyscy jesteśmy Ahabami. A niechże Bóg broni! Czy jednak nie ma innej drogi? Legalnej drogi? Uwięzić go i zawieźć do kraju? Co? Mieć nadzieję, że temu staremu wydrze się żywą władzę z żywych rąk. Tylko głupiec by tego próbował. Przypuśćmy nawet, żeby go skępować, związać całego linami i holami, łańcuchem przykuć do pierścieni na podłodze tej kajuty. Byłby wtedy ohydniejszy od zamkniętego w klatce tygrysa. Nie zdzierzyłbym tego widoku. Nie umiałbym uciec przed jego wyciem. Wszelki spokój, sen nawet, bezcenny rozsądek opuściłby mnie w czasie nieznośnie długiej podróży.

Cóż więc pozostaje? Łąd jest o setki mil, najbliżej zaś – niedostępna Japonia. Tkwię tutaj sam na pełnym morzu; dwa oceany i cały kontynent zaległy między mną a prawem. Tak, tak jest. Czyż niebo jest mordercą, gdy grom uderzy niedoszłego zabójcę w jego własnym łóżu, spopielaając posłanie i ciało? Czyż więc i ja byłbym mordercą, gdybym... – z wolna, ukradkiem, rzucając wzrokiem na strony, oparł o drzwi lufę nabitego muszkietu.

– Na tym poziomie, wewnątrz, kołysze się hamak Ahaba, tu jego głowa. Jedno dotknięcie i Starbuck może wyżyć, by znów utulić swą żonę i dziecko... o, Mary, Mary! Synku mój, synku!... Bo jeśli nie zbudzę cię śmiercią, kapitanie, to któż wie, jaka bezdena głębia może za tydzień pochłonąć wraz z całą załogą ciało Starbucka! Boże wielki, gdzież jesteś? Czy mam to uczynić? Czy mam?... Wiatr przycichł i zmienił kierunek, kapitanie; fok- i grotmarszagieli są zrefowane i nastawione. Statek idzie po kursie.

– Cofać! Ach, Moby Dicku, wreszcie ci serce wydrę!

Taki to okrzyk wyrwał się gwałtownie spośród udręczonych snów kapitana, jak gdyby głos Starbucka kazał przemówić długo milczącemu sennemu widzeniu.

Zniżony jeszcze muszkiet zadrżał oparty o płytę drzwi niby ramię pijaka; Starbuck jakby się zmagał z aniołem; odwrócił się jednak, odłożył śmiercionośną rurę na stojak i odszedł.

– Śpi zbyt twardo. Stubb, zejdz pan, zbudz go i zamelduj. Ja muszę zobaczyć, co się dzieje na pokładzie. Wiesz, co mu powiedzieć.

## ROZDZIAŁ CXXIV

### IGŁA

Następnego ranka jeszcze nie uciszone morze toczyło swe długie, powolne, zwaliste bałwany i wdzierając się w bulgocący wart „Pequoda” popychało statek naprzód, niby rozłożone dłonie olbrzyma. Silna, nieustępliwa bryza wiała tak szczodrze, iż niebo i powietrze zdawały się być ogromnymi, wydętymi żaglami; cały świat rwał z wiatrem. Spowite w pełną światłość poranka, niewidoczne słońce poznać było można tylko po szeroko rozjarzonym miejscu, w którym się znajdowało i z którego snopami rozchodziły się bagnety jego promieni. Nad wszystkim królował przepych zaiste godny koronowanych babilońskich monarchów i monarchiń. Morze było jak tygiel roztopionego złota, co wystrzela w górę banieczkami światła i upału.

Ahab stał na uboczu, długo milcząc jak zaklęty; za każdym razem, gdy rozkołysany statek walił się w dół bukszprytem, on obracał oczy ku jasnym promieniom słońca odbijającym się przed nim na wodzie; gdy zaś żaglowiec głęboko osiadał rufą, kapitan odwracał się w tę stronę i patrzył za siebie na słońce, obserwując, jak te same żółte promienie stapiają się z jego własnym nieomylnym wartem.

– Ha, ha, okręcie mój! Można by cię teraz snadnie wziąć za morski rydwan słońca. Ho, ho! O, wy, wszystkie narody, jakie mam teraz przed sobą, oto wam niosę słońce! Sprząc dalsze fale! Powożę oceanem jak parą rumaków!

Nagle jednak, pod wpływem jakowejś myśli przeciwnej, pośpieszył ku sterowi i zapytał ochryłym głosem o kierunek statku.

– Wschodnio-południowy-wschód, panie kapitanie – odparł przestraszony sternik.

– Łżesz! – grzmotnął go zaciśniętą pięścią. – Na wschód o tej godzinie z rana, a słońce za rufą?

Na to wszystkich ogarnęło pomieszanie, bowiem fenomen właśnie zaobserwowany przez Ahaba uszedł jakimś niepojętym sposobem uwagi innych; przyczyną tego musiała być zapewne jego uderzająca oczywistość.

Wepchnąwszy niemal całą głowę w naktuz Ahab jednym spojrzeniem ogarnął kompas; wzniesiona ręka z wolna opadła; przez chwilę kapitan jakby się ślaniał. Starbuck stanąwszy za nim zajrzał i zobaczył, że oba kompasy wskazują kierunek wschodni, natomiast „Pequod” żegluję niechybnie na zachód.

Zanim jednak pierwszy dziki popłoch zdążył ogarnąć załogę, kapitan wykrzyknął ze zdławionym śmiechem: – Mam! To już się zdarzało! Panie Starbuck, ostatniej nocy piorun przekreślił nam kompas, ot i wszystko. Słyszałeś już, jak sędzę, o czymś podobnym.

– Tak jest, ale nigdy mi się to dotąd nie przydarzyło – ponuro odparł poblady oficer.

Trzeba tu nadmienić, że podobne przypadki niejednokrotnie zdarzały się okrętom w czasie gwałtownej burzy. Energia magnetyczna, działająca na igłę okrętowego kompasu, jest w zasadzie, jak to wszystkim wiadomo, jednym i tym samym, co elektryczność, jaką obserwujemy na niebie; nie należy więc zbyt dziwić, że takie

rzeczy bywają możliwe. W wypadkach, kiedy piorun rzeczywiście ugodzi w statek tak, że pourywa niektóre drzewce czy takielunek, wpływ jego na igłę bywa czasami o wiele fatalniejszy, a mianowicie unicestwia wszystkie jej magnetyczne własności, tak że stal, przedtem namagnesowana, nie jest teraz użyteczniejsza od szydła starej baby. W obu jednak wypadkach igła nigdy już sama z siebie nie odzyskuje pierwotnych własności, w ten sposób nadwerężonych czy utraconych; zaś jeśli dotknięte tym są kompasy naktuza, ten sam los spotka i wszystkie inne, jakie się mogą na statku znajdować, nawet gdyby najniżej z nich położony wprawiony był w kilson.

Stojąc w zamyśleniu nad naktuzem i spoglądając na przekręcone kompasy, kapitan wyciągnął nastawioną dłoń, aby ustalić dokładne położenie słońca i przekonawszy się, że igły są odwrócone akurat w przeciwnym kierunku, począł krzykiem wydawać rozkazy, by odpowiednio zmienić kurs statku. Reje przebrasowano na nawietrzną i raz jeszcze „Pequod” wbił swój nieposkromiony dziób w przeciwny wiatr, ponieważ ów rzekomo pomyślny tylko go zwodził.

Tymczasem Starbuck, bez względu na to, jakie były jego własne, potajemne myśli, nie oponował, ale spokojnie wydawał wszystkie konieczne rozkazy, a Stubb i Fiask – którzy w pewnym, niewielkim zresztą, stopniu zdawali się w owej chwili podzielać jego uczucia – również zgodzili się bez szemrania na wszystko. Jeśli zaś idzie o załogę, to choć niektórzy coś cicho pomrukiwali, jednakże ich lęk przed Ahabem był silniejszy od lęku przed losem. Natomiast harpunnicy pogańscy, jak zawsze dotąd, pozostali niemal zupełnie nieporuszeni; bo jeśli nawet coś ich poruszyło, to jedynie jakiś magnetyzm wszczepiony ich pokrewnym sercom przez nieugięte serce Ahaba.

Przez pewien czas kapitan chodził po pokładzie pogrążony w burzliwej zadumie. Ale gdy się nagle o coś potknął kościaną nogą, ujrzał, że to potrzaskane miedziane rury kwadrantu, który poprzedniego dnia cisnął był o deski pokładu.

– Biedny dumny wypatrywaczu niebieski i pilocie słońca! Wczoraj cię rozbiłem, dziś zaś kompasy chętnie by mnie rozbiły. Tak, tak, ale Ahab jest jeszcze panem poziomego magnesu. Panie Starbuck – lancę bez drzewca, młot i najmniejszą z igieł żaglowych. Szybko!

Być może, poza impulsem dyktującym mu rzecz, którą zamierzał teraz uczynić, istniały jeszcze pewne dodatkowe względy, z ostrożności się wywodzące, których celem mogło być podtrzymanie załogi na duchu przez pokaz własnej tajemnej biegłości w materii tak niepojętej, jak sprawa przekręconych kompasów. Prócz tego kapitan dobrze wiedział, że sterowanie przy pomocy odwróconych igieł, choć od biedy wykonalne, nie jest rzeczą, nad którą przesądni marynarze mogliby przejść do porządku bez dreszczów lęków tudzież złych wróżb.

– Ludzie – powiedział, spokojnie zwracając się do załogi, gdy oficer podał mu żądane przedmioty. – Ludzie, grom przekręcił igły starego Ahaba, ale z tego kawałka stali Ahab potrafi sobie zrobić własną igłę, która będzie wskazywała równie prawdziwie jak każda inna.

Gdy wypowiadał te słowa, marynarze zamienili ze sobą zmieszane spojrzenia pełne pokornego podziwu i z zafascynowanym wzrokiem czekali, spodziewając się jakichś czarów. Starbuck natomiast odwrócił oczy.

Jednym uderzeniem młota Ahab odbił stalowy grot lancy, po czym wręczywszy oficerowi długi pręt żelazny, jaki pozostał, rozkazał mu trzymać go prosto, nie tykając wszakże desek pokładu. Następnie po kilkakroć uderzył młotem w górny koniec owego żelaznego pręta, po czym umieścił stępioną igłę szpicem na jego czubku i uderzył ją mniej silnie kilka razy, podczas gdy oficer nadal trzymał pręt tak samo jak przedtem. Następnie uczynił nim kilka dziwnych ruchów – nie wiadomo, czy niezbędnych do namagnetyzowania stali, czy też mających po prostu wzmóc bojaźń załogi – zawołał o nitkę z płótna i podszedłszy do naktuza usunął obie przekręcone iglice i poziomo zawiesił na środek igłę żaglową ponad jedną z tarcz kompasowych. Z początku stał obracała się i obracała drżąc i wibrując każdym końcem, ale wreszcie zatrzymała się w miejscu i wówczas Ahab, który w napięciu oczekiwał tego rezultatu, odstąpił z ulgą od naktuza i wskazawszy nań wyciągniętą ręką, wykrzyknął:

– Przyjrzyjcie się sami, czy Ahab nie jest panem poziomego magnesu! Słońce jest na wschodzie i ten kompas daje temu świadectwo !

Jeden po drugim marynarze zagłądali do środka, gdyż nic prócz własnych oczu nie potrafiłoby przemóc takiej jak ich ciemnoty, i jeden po drugim ukradkiem odchodzili.

W płomiennych oczach kapitana, pełnych szyderstwa i tryumfu, można było wówczas ujrzeć całą zgubną dumę Ahaba.

## ROZDZIAŁ CXXV

### LOG I LINKA

Choć płynąc na spotkanie swojego przeznaczenia „Pequod” już od tak dawna znajdował się na morzu podczas niniejszej wyprawy, jednakże logu i linki używano dotąd bardzo rzadko. Ponieważ tak ufnie się polega na innych środkach służących do określania położenia okrętu, niektóre statki handlowe, a także liczne wielorybnicze, zwłaszcza gdy krążą po terenach łowieckich, ze szczerem zaniedbują zrzucanie logu, mimo że jednocześnie, często raczej dla formy niż z jakiejś innej przyczyny, regularnie wpisuje się na przeznaczoną po temu tabliczkę zarówno kurs statku, jak i przypuszczalną przeciętną drogę przebywaną co godzina.

Tak też było i z „Pequodem”. Drewniana szpula i kanciasty log do niej przywiązany wisiały, z dawna nie tykane, tuż pod relingiem nadburcia rufowego. Deszcze i bryzgi nasyciły je wilgocią, słońce i wiatr wypaczyły; wszystkie żywoły zmówiły się, by zniszczyć przedmiot wiszący tak beczynnym. Nie bacząc wszakże na to wszystko, w kilka godzin po wydarzeniu z magnezem, Ahab przypadkiem rzucił okiem na szpulę i przypomniawszy sobie, że jego kwadrant nie istnieje oraz że złożył ową zacieklą przysięgę o poziomym logu i lince, powziął nagle postanowienie. Statek płynąc nurzał dziób w falach; za rufą kłębiły się wzburzone bałwany.

– Hej tam, na farkasztelu! Zrzucić log!

Podeszli dwaj marynarze; złotoskóry mieszkaniec Tahiti i siwy człowiek z wyspy Man.

– Bierz któryś szpulę. Ja zrzucę log.

Poszli na samą rufę, od zawietrznej, kędy pokład pod energicznym, skośnym naporem wiatru niemal się nurzał w spienionych, z boku toczących się falach.

Człowiek z wyspy Man wziął szpulę i podniósł ją wysoko, trzymając za wystające uchwyty osi, wokół której okręcał się zwój linki, i tak stał z kanciastym logiem zwisającym w dół, dopóki Ahab nie podszedł.

Kapitan stanął przed nim i począł lekko odwijać jakieś trzydzieści czy czterdzieści skrętów, aby zebrać w rękę pierwszy zwój, który można by wyrzucić za burtę, gdy nagle stary marynarz, który bacznie śledził tak jego, jak i linkę, ośmielił się przemówić :

– Panie kapitanie, nie mam do tego zaufania. Linka wygląda na nic wartą. Długie upały i wilgoć popsują ją.

– Wytrzyma, dobrodzieju. Alboż ciebie popsują długie upały i wilgoć? Wydaje mi się, że i ty jeszcze jakoś się trzymasz. Albo może raczej życie trzyma ciebie, a nie ty życie.

– Trzymam szpulę, panie. Niech będzie wedle słów mego kapitana. Nie warto się spierać mając, jak ja, siwe włosy, a już szczególnie z przełożonym, który nigdy racji nie przyzna.

– A cóż to znowu? Widzicie go! Żal się Boże, profesor z granitowego kolegium Królowej Natury! Wydaje mi się tylko, że nazbyt jest służalczy. Gdzieżeś się rodził?

– Na małej, skalistej wysepce Man.

– Wybornie! Tameś w ten świat uderzył!

– Nie wiem, panie, ale tam się rodziłem.

– Na wyspie Man, hę? No cóż, z drugiej strony to i dobrze. Oto jest człowiek z Man. Człowiek zrodzony na niegdyś niezawisłej wysepce Man, a teraz opuszczonej przez niego Man... co? W górę szpulę! O martwy, ślepy mur rozbijają się na koniec wszystkie wnikliwe głowy. W górę ją! O, tak!

Log został rzucony. Luźne zwoje szybko rozciągnęły się za rufą w długą, wleczoną linkę, po czym szpula zaczęła natychmiast wirować i wtedy, na skutek oporu holowanego logu, którym szarpały w górę i w dół rozkołysane bałwany, trzymający szpulę stary marynarz dziwnie się zatoczył.

– Trzymaj mocno!

Trzask! Zbyt naciągnięta linka zwisa jednym długim festonem; holowany log urwał się.

– Ja rozbijam kwadrant, piorun przekreśla mi igły, a teraz oszalałe morze urywa linkę logową. Lecz Ahab wszystko naprawić potrafi. Holuj tu, Tahitiańczyku, ty, stary, nawijaj na szpulę. I słuchajcie: niechaj cieśla zrobi drugi log, a ty napraw linkę. Twoja w tym głowa.

– I oto odchodzi. Jemu nic się nie stało, ale dla mnie to tak, jakby oś wypadła ze szpuli świata. Holuj, holuj, Tahitiańczyku! Te linki wylatują całe i wibrujące, lecz powracają stargane, powolne i odporne. Ha, Pip? Przyszedłeś pomóc, co, Pip?

– Pip? Kogo nazywasz Pipem? Pip wyskoczył z wielorybniczej szalupy. Pip zaginął. Zobaczmy, czy go nie wyłowiliśmy, rybaku. Ciężko idzie ta linka. Myślę, że to pewnie on ją przytrzymuje. Wyszarpnij mu linkę, Tahiti! Wyszarpnij! Nie holujemy tutaj tchórzów. Oho! tam właśnie wystaje z wody jego ramię. Toporka! Toporka! Odrąbać je. Nie holujemy tu tchórzów. Kapitanie Ahabie! O, tutaj Pip próbuje znowu wydostać się na pokład.

– Spokój, ty opętany wariacie! – krzyknął człowiek z Man porywając go za ramię.  
– Precz z pomostu!

– Większy głupiec zawsze łaje mniejszego – mruknął Ahab postępując naprzód. – Ręce precz od tej świętości! Jak powiadasz, chłopcze, gdzie jest Pip?

– Za rufą, tam! Za rufą! O! O!

– A kim ty jesteś, chłopcze? Nie widzę swego odbicia w pustych źrenicach twoich oczu. O Boże! Że też człowiek jest dla dusz nieśmiertelnych sitem, przez które przelatują! Kim jesteś, chłopcze?

– Dzwonnikiem, kapitanie, heroldem okrętowym. Dzyń, dzyń, dzyń! Pip! Pip! Sto funtów gliny w nagrodę za Pipa; pięć stóp wzrostu – wygląda tchórzliwie – najłatwiej go po tym rozpoznać! Dzyń, dzyń, dzyń! Kto widział Pipa-tchórza?

– Niepodobna, żeby ponad linią śniegów biło jakieś serce! O, wy, zmrożone niebiosy! Spójrzcie tu w dół. Poczęłyście to nieszczęsne dziecię i opuściłyście je, o, wy, twórcy libertyni! Słuchaj, chłopcze. Kajuta Ahaba będzie odtąd domem Pipa, dopóki Ahab żyje. Dotykasz samego rdzenia mej istoty, chłopcze. Związanyś ze mną liną splecioną z włókien mojego serca. Chodź, zejźmy na dół.

– Cóż to jest? Aksamitna skóra rekina... – wyrzekł Pip baczenie się przyglądając dłoni Ahaba i dotykając jej. – Ach, gdyby tak biedny Pip mógł dotknąć czegoś równie łaskawego, może by nigdy nie zaginął! Wydaje mi się to czymś jakby linką pomocniczą; czymś, czego słabe dusze mogą się uchwycić. O, kapitanie, niechże teraz przydzie stary Perth i znituje razem te dwie dłonie: białą i czarną, bo ja jej już nie wypuszczę.

– O, chłopcze, ani ja nie wypuszczę ciebie, chyba żebym cię miał w ten sposób w większe pociągnąć okropności niżli te, co się tutaj dzieją. Pójdź więc do mojej kajuty. Patrzajcie wy, co wierzycie, że wszystka dobroć jest w bogach, a wszystko zło w ludziach! Spójrzcie! Patrzcie, jak wszechwiedzący bogowie zapominają o cierpiącym człowieku. A człowiek, choć głupi, choć nie wie, co czyni, pełen jest przecie słodkich spraw miłowania i wdzięczności. Pójdź! Prowadząc cię za twą czarną rękę, czuję się dumniejszy, niż gdybym ścisnął dłoń cesarza!

– Macie dwóch opętańców! – mruknął stary marynarz. – Jeden opętany siłą, a drugi słabością. Ale oto i koniec tej przegniłej linki, cała ocieka wodą. Naprawić ją, akurat! Myślę, że najlepiej będzie wziąć całkiem nową. Pomówię o tym z panem Stubbem.

## ROZDZIAŁ CXXVI

### BOJA RATUNKOWA

Sterując teraz na południowy wschód według stalowej iglicy Ahaba i określając przebytą przestrzeń wyłącznie na podstawie jego poziomego logu i linki, „Pequod” trzymał się swego kursu na równik. Długo przemierzał wody tak opustoszałe, że nie napotykał żadnego okrętu; niebawem zaś popychany z boku przez nieodmiennie wiejący passat, jął sunąć po monotonnych, łagodnych falach; wszystko zdawało się być dziwną ciszą poprzedzającą jakieś burzliwe i rozpaczliwe wydarzenia.

Kiedy wreszcie statek przybliżył się niejako do peryferii łowisk równikowych i w głębokiej ciemności poprzedzającej jutrzeńkę przepływał mimo gromady skalistych wysepek, wachta – na której czele stał Fiask – drgnęła od krzyku tak żałośliwie dzikiego i nieziemskiego – ni to bełkotliwego zawodzenia duchów ongiś przez króla Heroda pomordowanych niewiniątek – że wszyscy marynarze jak jeden mąż ocknęli się ze swych marzeń i póki rozlegał się ten krzyk dziki, stali, siedzieli czy leżeli w słuch zamienieni niby ów rzeźbiony niewolnik rzymski. Chrześcijańska, czyli cywilizowana część załogi orzekła, że to syreny, i wzdrgnęła się; natomiast harpunnicy pogańscy nie zdradzali żadnych obaw. Jednakże siwy człowiek z Man – najstarszy ze wszystkich marynarzy – orzekł, iż owe dzikie, dreszczem przejmujące dźwięki, które słyszano, to głosy ludzi, co właśnie w morzu po-tonęli.

Ahab, leżąc na dole w hamaku, nic o tym nie słyszał i dowiedział się dopiero o szarym brzasku, kiedy wyszedł na pokład; wówczas opowiedział mu wszystko Fiask, nie omieszkawszy przydać zjawisku jakowegoś mrocznego znaczenia. Kapitan zaśmiał się głucho i tak wyjaśnił to dziwo.

Owe skaliste wysepki, koło których statek przepływał, zamieszkiwała wielka ilość fok, i młode, co utraciły swe matki, lub matki, które utraciły młode, musiały zapewne wynurzyć się w pobliżu statku i popłynęły wraz z nim, płacząc i łkając swym zawodzącym, do ludzkiego podobnym głosem. To jednak wywarło tym większe wrażenie na niektórych ludziach z załogi, że wielu marynarzy żywi w związku z fokami niezwykle przesady spowodowane nie tylko osobliwym głosem wydawanym przez owe zwierzęta, kiedy się znajdują w opałach, ale także nieledwie ludzkim wyglądem ich krągłych głów i zmyślnych pysków, gdy się je zobaczy ze statku, ciekawie wynurzone nad powierzchnię wody. W pewnych okolicznościach nieraz już brano na morzu foki za ludzi.

Aliści wieszczę przecucia załogi miały zyskać przekonywające potwierdzenie w losie, jaki spotkał tego ranka jednego z marynarzy. O wschodzie słońca człowiek ów wstał z hamaka i wdrapał się na swój posterunek na topie fokmasztu; czy to; niezupełnie się jeszcze ze snu rozbudził (gdyż marynarze czasami; wyłażą na górę w stanie przejściowym od snu do jawy), czy więc to było przyczyną, niepodobna już dociec, w każdym razie nie przebywał długo na swej grzędzie, gdy usłyszano krzyk – krzyk oraz szum spadającego ciała – i ludzie spojrzawszy w górę ujrzeli, jakiś kształt

leący przez powietrze, spojrzawszy zaś w dół – niewielką, podrzucaną przez fale plamę białych pian na błękanie morza.

Boję ratunkową – długą, smukłą beczkę – zrzucano z rufy, gdzie zawsze wisiała posłuszna przemyślnej sprężynie; wszelako z wody nie wynurzyła się żadna ręka, by ją pochwycić, a ponieważ słońce z dawna prażyło w beczkę, zeschła się była tak, że teraz z wolna poczęła napełniać się wodą; samo zaś wysuszone drewno również nasiąkało wszystkimi porami; toteż nabijana ćwiekami, ujęta w żelazne obręcze beczka poszła na dno śladem marynarza, jak gdyby chciała mu stać się poduszką, lubo po prawdzie dość twardą.

Tak więc pierwszy człowiek z „Pequoda”, który wdrapał się na maszt, by wypatrywać białego wieloryba na jego własnym, wyłącznym terenie, został pochłonięty przez topiel. Jednakże wówczas może tylko niewielu o tym pomyślało. W istocie nie boleli zbytnio nad tym wypadkiem,” przynajmniej nie jako nad złą wróżbą, albowiem uznali go nie za zwiastuna zła na przyszłość, ale za dopełnienie zła już przepowiedzianego. Oświadczyli, że teraz już dowiedzieli się przyczyny owych dzikich krzyków słyszanych ubiegłej nocy. Ale znowu stary z wyspy Man zaprzeczył.

Trzeba teraz było czymś zastąpić utraconą boję i Starbuck otrzymał rozkaz, by tego dopilnować; ponieważ jednak nie sposób było znaleźć dostatecznie lekką beczkę, a w gorączkowym zapale zbliżającego się najwyraźniej krytycznego stadium wyprawy wszystkich niecierpliwła wszelka robota nie związana bezpośrednio z jej ostatecznym celem, jakikolwiek by się okazał, miano więc już pozostawić rufę żaglowca ogołoconą z boi, kiedy za pomocą osobliwych znaków tudzież półsłówki Queequeg dał coś do zrozumienia na temat swojej trumny.

– Boja ratunkowa z trumny! – zawołał drgnąwszy Starbuck. – To raczej osobliwe, muszę powiedzieć – rzekł Stubb.

– Będzie zupełnie niezła – powiedział Fiask. – Cieśla może ją łatwo przerobić.

– Przynieście ją. Nie mamy nic innego na to miejsce – rzekł Starbuck po chwili melancholijnego milczenia. – Bierz się do dzieła, cieślo – nie gapże się tak na mnie – do tej trumny, oczywiście. Słyszysz mnie? Bierz się do niej.

– Czy mam przybić wieko, panie kapitanie? – zapytał cieśla poruszając ręką niby młotem.

– Tak.

– A czy uszczelnić szpary? – tu znowu wykonał dłonią ruch uszczelniania.

– Tak jest.

– A czy mam potem zalać je smołą? – zrobił gest, jakby trzymał w ręku kociołek.

– Idź do diabła! Co się z tobą dzieje? Zrób z trumny boję ratunkową, ot i wszystko. Panie Stubb, panie Fiask, proszę ze mną na dziób.

– Odchodzi w złości. Całość to potrafi wytrzymać, ale przed częstką się wzdraga. Wcale mi się to nie podoba. Zrobiłem nogę dla kapitana Ahaba i on ją nosi jak na dżentelmena przystało.

Ale robię pudełeczko dla Queequega, a ten nawet weń głowy nie wsadzi. Czy wszystkie moje trudy przy tej trumnie mają pójść na marne? Teraz mi każą z niej zrobić boję. To tak jakby przenieć starą kurtę; trzeba ją jakoś wywrócić na drugą stronę.

Nie lubię takiego partactwa, wcale a wcale nie lubię. Brak temu godności, to nie dla mnie robota. Niech sobie tam jakieś popychadła klecą co bądź. My jesteśmy od nich lepsi. Ja lubię. brać do ręki tylko czystą, dziewiczą, prostą, matematyczną robotę, coś, co się przepisowo zaczyna na początku, jest w środku, kiedy dochodzimy do połowy drogi, i kończy się na końcu, a nie takie tam partactwo, co na zakończenie jest w środku, a kończy się u początku. To dobre dla starych bab, brać partacką robotę. Boże! Ileż czułości mają dla partaczy wszystkie stare baby! Znałem kiedyś jedną starą, co miała sześćdziesiąt pięć lat i uciekła z młodym, łysym wyrobnikiem. Z tej właśnie przyczyny nigdy nie chciałem na łądzie pracować dla starych, samotnych wdów, kiedy miałem swój warsztat w Vineyardzie. Mogło im bowiem przyjść do starych, samotnych głów, żeby ze mną uciekać. Ale hej-ho! Na morzu nie ma innych białogłów, prócz białogłowych mew. No, zobaczymy. Przybić wieko, uszczelnić szpary, zalać je smołą, ciasno obić łatami i wywiesić za rufą na zatraskowej sprężynie. Alboż coś podobnego robiono kiedykolwiek z trumną? Poniektórzy przesądni cieśle prędzej by się dali powiesić na olinowaniu, niżby wykonali taką robotę! Ale ja jestem zrobiony z sękatej choiny znad rzeki Aroostook i ani drgnę. Mieć z tyłu trumnę miast podogonia! Żeglować po świecie z cmentarnym pudłem! Ale mniejsza o to. My, pracujący w drewnie, robimy małżeńskie łoża i stoliki do kart, tak samo jak trumny i mary. Pracujemy „według miesiąca, według roboty albo według zapłaty. Nie nasza rzecz pytać, co i dlaczego się robi, chyba że robota jest już zbyt przeklętym partactwem, to wtedy ją rzucamy, jeżeli można. Hm! Wezmę się teraz z sercem do dzieła. Zrobi się tutaj – zaraz, ilu jest wszystkich razem ludzi załogi? Zapomniałem. W każdym razie robi się tu ze trzydzieści linek ratowniczych z węzłami, każda po trzy stopy długości, a wisieć będą naokoło trumny. I wtedy, jakby statek szedł na dno, trzydziestu dziarskich chłopców będzie walczyło o jedną trumnę, co jest widokiem nieczęsto spotykanym pod słońcem! No, dawać tu młot, dłuto, kubełek smoły i marszpikiel. Bierzemy się do roboty!

## ROZDZIAŁ CXXVII

### POKŁAD

*(Trumna spoczywa na dwóch bębnach linowych, między warsztatem ciesielskim i otwartym lukiem; cieśla uszczelnia szpary, pasmo skręconych paków z wolna odwija się z dużego kłębka, który cieśla ma w zanadrzu kaftana. Ahab powoli wychodzi z zejścia kajutowego i słyszy, że za nim podąża Pip)*

– Wróć się, chłopcze, zaraz do ciebie przyjdę. Odchodzi! Nawet własna moja ręka nie stosuje się do mej woli bardziej ochoczo od niego. Czy to środkowa nawa kościoła? Cóż to?

– Boja ratunkowa, kapitanie. Z rozkazu pana Starbucka. Ostrożnie! Uwaga na luk!

– Dzięki ci, człowieku. Twoja trumna leży blisko krypty.

– Słucham, panie? Luku? Ach tak, rzeczywiście.

– Wszak jesteś tym, co robił nogę? Spójrz, czyż ten kikut nie z twojego pochodzi warsztatu?

– Zdaje mi się, że tak, kapitanie. Czy skuwka dobrze trzyma?

– Dość dobrze. Ale jak widzę, jesteś również przedsiębiorcą pogrzebowym?

– Tak jest. Skleciłem to jako trumnę dla Queequega, ale mnie teraz zasadzili, żeby ją przerobić na co innego.

– Więc powiedz sam, czyliż nie jesteś wierutnym, wszystko łapiącym, wścibskim, monopolistycznym, pogańskim starym łajdakiem, że jednego dnia robisz nogi, następnego trumny, w których je zatrzaśniesz, a później znowu boje ratunkowe z tychże trumien? Jesteś równie pozbawiony zasad jak bogowie i taki sam jak oni majster-klepka.

– Mnie tam nic po głowie nie chodzi. Robię to, co robię.

– Znowu jak bogowie. Słuchaj no, czy ty nigdy nie śpiewasz pracując przy trumnie? Powiadają, że Tytani nucili przyśpiewki, kiedy kopali kratery dla wulkanów, a grabarz w tragedii śpiewa z łopatą w ręku. A ty nigdy?

– Śpiewać, kapitanie? Czy śpiewam? O, nie mam do tego zbytnej skłonności, ale przyczyną, dla której ów grabarz bawił się muzyką, musiało zapewne być to, że nie dawała mu jej łopata. Natomiast młotek do uszczelniania pełen jest muzyki. Niech pan tylko posłucha.

– Tak, to pochodzi stąd, że owo wieko jest deską rezonacyjną. Tym zaś, co daje rezonans we wszelkich rzeczach, jest pustka, która się pod spodem roztacza. A jednak trumna zawierająca ciało dźwięczy zupełnie podobnie, cieślo. Czyś kiedy pomagał nieść miary i słyszał, jak trumna uderzy o bramę cmentarza, gdy przez nią przechodzi?

– Na wiarę, kapitanie, ja...

– Na wiarę? A to co znowu?

– No cóż, to tylko taki rodzaj wykrzyknika, ot i wszystko, panie kapitanie.

– Hm, hm... Mów dalej.

– Chciałem powiedzieć, że...

– Co to, jesteś jedwabnikiem? Wysnuwasz z siebie własny całun? Spójrz, co masz w zanadrzu! Bystro! I zabierz mi z oczu tę pułapkę.

– Odchodzi na rufę. A to było nagłe! Ale szkwały nagle przychodzą w gorącym klimacie. Słyszałem, że wyspę Albermarle, jedną z Galapagos, w samym środku przecina równik. Coś mi się widzi, że jakiś równik przecina także i tego kapitana prosto przez środek. Zawsze jest pod równikiem – aż gore od upału, powiadam wam! Patrzy w tę stronę... chodźcie tu, pakuły, a prędko. No, robimy dalej. Ten drewniany młotek to korek, a ja jestem profesorem gry na szklankach – stuk, puk!

*(Ahab do siebie)*

– Co za widok! Co za dźwięki! Siwogłowy dzięcioł stuka w pusty pień drzewny! Można by teraz pozazdrościć ślepym i głuchym. Patrzenie, trumna spoczywa na dwóch bębnach linowych, pełnych lin holowniczych. Bardzo złośliwy dowcipniś z tego chłopca. Stuk-puk! Oto drugi puls człowieka! O, jakże niematerialna jest wszelka materia! Jakież są rzeczy realne, oprócz nieważkich myśli? Oto mamy straszliwy symbol ponurej śmierci, który przez zwykły przypadek uczyniono wymownym znakiem pomocy i nadziei dla najbardziej zagrożonego życia. Boja ratunkowa z trumny! Może to sięga dalej? Może w jakimś duchowym sensie trumna jest, bądź co bądź, futerałem nieśmiertelności? Pomyślę o tym. Ale nie. Tak już daleko zaszedłem w ciemną część ziemi, że druga jej strona, ta teoretycznie jasna, zdaje mi się być ledwie niepewnym półmrokiem. Czyż nigdy nie skończysz, cieślo, z tym przeklętym hałasem? Schodzę pod pokład. Niech już tu nie widzę tej rzeczy, kiedy powrócę znowu. No, Pip, obgadamy to; od ciebie najprzedziwniejszą chłonę filozofię! Jakoweś nieznanne kanały z nieznanym światów muszą mieć w tobie ujście!

## ROZDZIAŁ CXXVIII

### „PEQUOD” SPOTYKA „RACHELĘ”

Następnego dnia ujrano duży statek, „Rachelę”, zmierzający prosto na „Pequoda”, ze wszystkimi drzewcami gęsto obsadzonymi przez ludzi. W tym czasie „Pequod” płynął po morzu ze znaczną szybkością; gdy jednak od nawietrznej przyleciał doń szerokokrzydły obcy statek, chełpliwe żagle zapadły się wszystkie niby puste, pęknięte pęcherze, i całe życie uszło z porażonego kadłuba. – Złe wieści, złe wieści przynosi – szepnął stary marynarz z wyspy Man. Zanim wszelako dowódca statku, który z tubą przy ustach stał w swojej szalupie, zdążył ufnie pozdrowić „Pequoda”, usłyszano głos Ahaba:

– Widziałeś białego wieloryba?

– Tak, wczoraj. A widzieliście łódź na falach?

Zdusiwszy w sobie radość, Ahab przecząco odpowiedział na to niespodziewane pytanie i już by był chętnie podpłynął do obcego żaglowca, kiedy ujrano, że sam nieznajomy kapitan zatrzymawszy swój statek schodzi do szalupy. Kilka energicznych uderzeń wiosłami i już bosak jego łodzi zahaczył o ławę talrepową „Pequoda”, kapitan zaś wskoczył na pokład. Ahab natychmiast rozpoznał w nim znajomego nantucketańczyka. Nie wymienili jednak formalnych powitań.

– Gdzie był? Nie ubity! Nie ubity! – krzyknął Ahab podchodząc bliżej. – Jak to się stało?

Okazało się, że dość późnym popołudniem poprzedniego dnia, podczas gdy trzy szalupy żaglowca zajęte były pogonią za stadem wielorybów, które odwiodło je na jakieś cztery czy pięć mil od statku, gdy więc szalupy ścigały je co sił na nawietrzną, nagle zamajaczył biały garb i łeb Moby Dicka, który wynurzał się z wody niedaleko po zawietrznej; wówczas więc natychmiast spuszczone w pogoń czwartą, gotową łódź rezerwową. Po śmigłej gonitwie z wiatrem powiodło się snadź tej czwartej szalupie, najszybszej ze wszystkich, przytrzymać wieloryba, przynajmniej o ile mógł coś na ten temat powiedzieć człowiek stojący na maszcie. W oddali ujrzał zmniejszoną, małą jak kropeczka szalupę, następnie błysk spienionej białej wody, potem zaś już nic więcej, z czego wywnioskowano, że, jak to się często zdarza, ugodzony wieloryb musiał gdzieś uciec wraz ze swymi prześladowcami. Było trochę niepokoju, ale na razie żadnego wyraźnego popłochu. Na olinowaniu umieszczono sygnały odwoławcze; zapadły ciemności i statek zmuszony był pozbierać trzy szalupy znajdujące się daleko po nawietrznej, zanimby mógł wyruszyć na poszukiwanie czwartej w kierunku wręcz przeciwnym; nie tylko więc musiał pozostawić tę łódź jej losowi niemal aż do północy, ale nawet chwilowo zwiększyć dzielącą go od niej odległość. Wszelako gdy reszta załogi znalazła się wreszcie bezpiecznie na pokładzie, statek rozwinął wszystkie żagle, z pomocniczymi włącznie, i ruszył za zaginioną łodzią, rozpaliwszy ogień pod kotłami wytapialni jako znak orientacyjny; co drugi marynarz zaś tkwił na czatach w górze. Jednak mimo że przepłynąwszy w ten sposób odległość wystarczającą, by dotrzeć do przypuszczalnego miejsca, w którym po raz ostatni widziano zaginionych, statek

zatrzymał się i spuścił pozostałe szalupy, które wiosłowały wszędzie wokoło w poszukiwaniu, a nie znalazłszy niczego, znów ruszyły dalej, znowu przystanął, znów spuścił łodzie – i choć tak czynił aż do świtu, przecie nie dojrzano najmniejszego śladu zaginionej szalupy.

Opowiedziawszy tę historię obcy kapitan natychmiast przystąpił do wyłuszczenia celu swego przybycia na pokład „Pequo-da”. Pragnął, by ten ostatni połączył się z jego statkiem w poszukiwaniach i popłynął równolegle po morzu w odległości jakichś czterech czy pięciu mil, w ten sposób ogarniając niejako podwójny horyzont.

– Pójdę o zakład – szepnął Stubb Flaskowi – że ktoś w tej zaginionej łodzi miał na sobie najlepszą kurtę kapitana, a może jego zegarek – tak diabelnie się zawziął, żeby to dostać z powrotem. Kto kiedy słyszał, żeby dwa uczciwe statki wielorybnicze krążyły za jedną zaginioną szalupą w pełni wielorybniczego sezonu? Patrz, Fiask, patrz tylko, jaki on bład; bład aż po białka oczu... to nie była kurta, to musiał być...

– Mój chłopak, mój własny chłopak jest między nimi. Na miłość boską... błagam... zaklinam!... – wykrzyknął obcy kapitan do Ahaba, który do tej chwili lodowato słuchał jego prośby. – Pozwól mi pan wynająć swój statek na czterdzieści osiem godzin... Z ochotą za to zapłacę i dobrze zapłacę... jeśli nie ma innego sposobu... Tylko na czterdzieści osiem godzin... tylko tyle... musisz pan, och, musisz to uczynić i uczynisz!

– Jego syn! – krzyknął Stubb. – Ach, więc to syna utracił! Cofam tę kurtę i zegarek... Co też powie Ahab? Musimy uratować tego chłopca!

– Utonął razem z resztą zeszłej nocy – rzekł stary marynarz z wyspy Man, który stał za nimi. – Słyszałem... wszyscyście słyszeli ich duchy.

Jak się wkrótce okazało, tym, co czyniło ów wypadek „Racheli” jeszcze smutniejszym, była okoliczność, że nie tylko jeden z synów kapitana znajdował się pośród załogi zaginionej łodzi, ale między załogą tamtych drugich szalup, w tym samym memencie, choć w przeciwnej stronie, oddzielony od statku rozmaitymi kolejami pościgu, był drugi syn; przez pewien czas nieszczęsny ojciec pogrążony był w najokrutniejszej rozterce, z której znalazł wyjście jego pierwszy oficer, instynktownie przyjmując zwykły w takich okolicznościach sposób postępowania na statku wielorybniczym – polegający mianowicie na tym, że kiedy ma się do wyboru zagrożone, lecz rozdzielone łodzie, zawsze należy najpierw wyłowić te, na których znajduje się więcej ludzi. Ale kapitan, dla jakichś nieznanych, zasadniczych przyczyn powstrzymał się od wyjawienia tego wszystkiego i dopiero zmuszony lodowatym przyjęciem Ahaba, napomknął o swoim zaginionym chłopcu, młodzieńcem, ledwie dwunastoletnim wyrostku, którego ojciec z zaciekłym, nieulekłym zuchwalstwem, cechującym miłość ojcowską nantucketańczyka, usiłował tak wcześnie wtajemniczyć w niebezpieczeństwa i dziwy rzemiosła od niemal niepamiętnych czasów będącego przeznaczeniem całego jego plemienia. Nierzadko też się zdarza, że kapitanowie nantucketańscy wysyłają synów w tak młodocianym wieku daleko od siebie, na przewlekłą, trzy lub czteroletnią wyprawę na innym, nie własnym statku, aby pierwszego zetknięcia z rzemiosłem wielorybnika nie złagodziły jakiegokolwiek przypadkowe objawy naturalnej, chociaż niewczesnej ojcowskiej słabości czy też zbytecznego niepokoju i troski.

Tymczasem obcy kapitan nadal błagał Ahaba o łaskę, zaś Ahab nadal stał niby kowadło, przyjmując wszelkie uderzenia, sam jednak na jotę nie poruszony.

– Nie odejdę – mówił kapitan – dopóki nie powiesz mi pan: „tak”. Uczyni dla mnie to, co byś chciał, bym ja w podobnym przypadku uczynił dla ciebie. Boć przecie i pan, kapitanie, także masz syna – acz ledwie dziecię, bezpiecznie teraz w domu piastowane – dziecko twojej starości... Tak, tak, mięknie. Widzę to... biegnijcie, biegnijcie, ludzie, i gotujcie się do przebrasowania rej!

– Stać! – krzyknął Ahab. – Niech nikt się nie waży tknąć liny! – Następnie przeciągle i z naciskiem wymawiając każde słowo, powiedział: – Kapitanie Gardiner, nie uczynię tego. Nawet w tej chwili tracę czas. Żegnaj mi, żegnaj! Niech Bóg ci błogosławi, człowieku, muszę odejść – obym potrafił wybaczyć to sam sobie. Starbuck, spójrz pan na zegar naktuzowy i w ciągu trzech minut od tej chwili usuń z pokładu wszystkich obcych, następnie brasuj znów naprzód i niechaj statek płynie jak przedtem.

Cofnął się śpiesznie i z odwróconą twarzą zeszedł do kajuty pozostawiając obcego kapitana przygwożdżonego tym bezwzględny i całkowity odrzuceniem tak gorącej prośby. Ocknąwszy się z odrętwienia Gardiner w milczeniu pośpieszył do burty, bardziej zwałił się, niż zeszedł do szalupy, i powrócił na swój statek.

Rychło oba żaglowce oddaliły się od siebie; dopóki „Rachel” pozostawała w zasięgu wzroku, można ją było widzieć, jak zbacza to tu, to tam, ku każdemu, choćby najmniejszemu ciemnemu punktowi na morzu. Jej reje obracały się w tę i tamtą stronę, lawirowała ciągle to na sterbort, to na bakbort, raz uderzała w falę toczącą się od przodu, to znów popychana była z tyłu przez inną, a przez cały ten czas jej maszty i reje roiły się od ludzi, niby trzy wysokie drzewa wiśniowe, gdy chłopcy zbierają owoc wśród gałązek.

Wszelako po wahającym kursie i krętym, żałośliwym szlaku można było jasno poznać, że ów statek płaczący bryzgami pian wciąż nie znajduje pocieszenia. Była to „Rachel” oplakująca swe dzieci, które zginęły.

## ROZDZIAŁ CXXIX

### KAJUTA

*(Ahab wstaje, by wyjść na pokład; Pip chwytą go za rękę, chcąc udać, Hę za nim)*

--- Chłopcze, chłopcze, powiadam ci, że nie powinieneś teraz iść, za Ahabem. Nadchodzi godzina, gdy Ahab nie odpędzi cię od siebie, wszelako nie zechce mieć cię przy sobie. Jest w tobie coś, biedaku, co, jak wyczuwam, zbyt dobrze leczy moją chorobę. Podobieństwa leczą się wzajem; a dla tych łowców choroba moja staje mi się najbardziej upragnionym zdrowiem. Pozostań tu, na dole, gdzie cię obsłużą, jak gdybyś był samym kapitanem. Tak, chłopcze, zasiądziesz tutaj, w mym własnym krześle przyśrubowanym do podłogi i musisz być jeszcze jedną w nim śrubą.

– Nie, nie, nie! Twe ciało nie jest całe, kapitanie. Używaj mnie biednego miast twojej utraconej nogi. Stąpaj po mnie – o nic Więcej nie proszę, bo tak pozostanę częścią ciebie.

– O, na przekór milionom łotrów, to mnie utwierdza w niezniszczalnej wierze w człowieka! I to czarny! I wariat! Ale zdaje się, że i ja działam nań uzdrawiająco. Znowu się robi tak przytomny...

--- Mówią panie, że Stubb niegdyś opuścił biednego, małego Pipa, którego zatopione kości są teraz białe mimo całej czerni jego skóry za życia. Ale ja ciebie nigdy nie opuszczę, tak jak Stubb jego. Kapitanie, muszę iść za tobą.

– Jeżeli trochę dłużej tak do mnie pogadasz, to cel, do którego Ahab dąży, załamie się w nim. Powiadam ci: nie. Nie może to być.

– O, dobry panie, panie, panie!

– Płacz tak, a zamorduję cię! Miej się na baczności, bo Ahab też jest szalony. Posłuchaj tylko, a nieraz dosłyszysz mą stopę kościaną Uderzającą o deski pokładu i będziesz wiedział, że tam jestem. A teraz zostawiam cię. Twoja ręka! Mam ją! Wiernyś, mój chłopcze, jako obwód środkowi koła. Tak, niech Bóg ci na wieki błogosławi; a jeśli do tego dojdzie – niechże cię na wieki wybawi, cokolwiek by się stało.

*(Ahab odchodzi, Pip postępuje krok naprzód)*

– W tej chwili tu stał. Jeszcze oddycham jego powietrzem, lecz jestem sam. Gdyby choć był tutaj ten mały Pip, mógłbym to znieść, ale go nie ma. Pip! Pip! Ding, dong, ding! Kto widział Pipa? Musi tu gdzieś być. Spróbujmy otworzyć drzwi. Cóż to? Ni zamka, ni rygla, ni sztaby, a przecie nie sposób otworzyć! W tym musi być zakłęcie, kazał mi tutaj zostać, tak, i powiedział, że to przyśrubowane krzesło do mnie należy. A więc rozsiądę się tu i oprę o belkę, w samym środku statku. Będę go miał przed sobą wraz z kilem i wszystkimi trzema masztami. Nasi starzy marynarze powiadają, że tutaj właśnie, na swoich czarnych fregatach o siedemdziesięciu czterech działach, czasem zasiadają za stołem wielcy admirałowie królując nad szeregami kapitanów i oficerów. Ha, cóż to? Epolety! Epolety! Epolety się tłoczą... Niech krążą karafki. Rad wam jestem, nalejcie, *messieurs!* Jakże to dziwne uczucie, gdy czarny chłopiec gości białych ludzi ze złotymi haftami na kurtach! *Messieurs,* czy widzieliście niejakiego Pipa? Mały Murzynek, pięć stóp wzrostu, nędzny wygląd i tchórzliwy! Niegdyś wyskoczył z łodzi

wielorybniczej. Widzieliście go? Nie? A zatem nalejcie znowu, kapitanie, i wypijmy na hańbę wszystkim tchórzom! Nie wymieniam żadnych nazwisk. Hańba im! Połóżmy nogi na stole! Hańba wszystkim tchórzom! Tss! Słyszę kość, tu na górze. O, panie! Doprawdy przygnębia mnie to, kiedy nade mną stąpasz. Ale zostanę tu, choćby ta rufa miała o skały uderzyć, one zaś przebić ją na wylot, a ostrygi przyplynać, aby się ze mną połączyć.

## ROZDZIAŁ CXXX

### KAPELUSZ

Teraz, gdy wydawało się, że we właściwym czasie i miejscu, po tak długim i szerokim wstępnym krążeniu, Ahab – przemierzywszy wszystkie inne wielorybnicze tereny – zapędził swego wroga do oceanicznej zagrody, by tam go tym pewniej ubić; teraz, gdy znalazł się niemal pod tą samą długością i szerokością geograficzną, gdzie mu zadano ową ranę okrutną; teraz, gdy rozmawiał ze statkiem, który właśnie poprzedniego dnia rzeczywiście natrafił na Moby Dicka; gdy wszystkie kolejne jego spotkania z różnymi statkami tak wyraziście ukazywały demoniczną obojętność, z jaką biały wieloryb rozdzierał łowców, czy mu zawinili, czy nie – teraz to w oczach kapitana czaiło się coś, czego widok słabe dusze ledwie znieść były zdolne. Niby niezachodząca gwiazda polarna, co w ciągu nie kończącej się arktycznej, sześciomiesięcznej nocy utrzymuje swe przenikliwe, równe, skoncentrowane światło – cel, do którego dążył Ahab, teraz uparcie promieniał nad nieprzerwaną nocą ponurej załogi. Tak bardzo przytłaczał marynarzy, że wszystkie ich przecucia, wątpliwości, obawy i lęki wołały się kryć w głębi ich dusz, nie wypuszczając na zewnątrz nawet jednego pędu czy listka.

W tym doniosłym momencie zniknął też wszelki humor wymuszony czy naturalny. Stubb już nie usiłował wywołać uśmiechu; Starbuck nie usiłował też uśmiechów tłumić. Radość i troska, lęk i nadzieja na równi zdały się być zmielone na najdrobniejszy proch, wsypany w owej chwili do swoistej zaprawy żelaznej duszy Ahaba. Ludzie poruszali się w milczeniu po pokładzie niby maszyny, stale świadomi tego, że zwrócone jest na nich despotyczne oko dowódcy.

Gdybyście mu się jednak bacznie przyjrzeni w tych sekretniejszych, poufnych godzinach, kiedy sądził, że żadne spojrzenie, oprócz jednego, nie spoczywa na nim, dostrzeglibyście, że tak samo jak oczy Ahaba nieciły przerażenie w oczach marynarzy, tak też i wzrok nieprzeniknionego parsia budził lęk w oczach kapitana, a w każdym razie czasem straszliwie nań oddziaływał. Smukłego Fedallaha zaczęła teraz otaczać tak wzmożona, nieuchwytna niesamowitość, wstrząsały nim dreszcze tak nieustanne, że ludzie spoglądali nań z powątpiewaniem, niezupełnie snadź pewni, czy jest naprawdę uczyniony z żywej, doczesnej substancji, czy też jest tylko cieniem rzucanym na pokład przez ciało jakowejś niewidzialnej istoty. A cień ów stale się tam błąkał. Nikt bowiem nie wiedział na pewno, czy nawet nocą Fedallah zdrzemnął się kiedykolwiek lub zszedł pod pokład. Godzinami stał nieruchomo; nigdy nie usiadł ani nie oparł się o nic; jego wyblakłe, przedziwne oczy mówiły wyraźnie: „My, dwaj czatownicy, nie spoczywamy nigdy”.

Obecnie było też niepodobieństwem, żeby marynarze wyszli na pokład o którejkolwiek porze, nocą czy za dnia, i nie zastali tam już Ahaba – albo stojącego z nogą w otworze, albo miarowo stąpającego po deskach pomostu między dwiema niezmiennymi granicami: grot- i bezanmasztem. Widywano go też stojącego w zejściu kajutowym, z żywą nogą wysuniętą na pokład, jak gdyby miał dać krok, w kapeluszu

mocno wciśniętym na oczy. I jakkolwiek stał tam bez ruchu, jakkolwiek przybywało nocy i dni, w czasie których nie kołysał się w swym hamaku, jednakże nie można było nieomylnie stwierdzić, czy oczy jego ukryte pod opuszczonym rondem kapelusza chwilami istotnie się przemykają, czy też kapitan bacznie śledzi swych ludzi, choćby tak stał w zejściu przez całą godzinę bez przerwy, nie dbając, że nocna wilgoć zbiera się paciorkami rosy na owej w kamieniu wykutej kurcie i kapeluszu. Odzienie, które noc przemoczyła, schło na nim w słońcu następnego ranka; i tak to trwało dzień po dniu i noc po nocy; nie schodził już pod pokład, a jeśli czegokolwiek potrzebował z kajuty, posyłał kogoś, by mu to przyniósł.

Jadał na otwartym powietrzu, to znaczy tylko swoje dwa posiłki – śniadanie i obiad, gdyż wieczerzy nigdy nie tykał; nie obcinał też brody, która rosła mu ciemna, cała poskręcana, niby wyrwane z ziemi korzenie obalonych drzew, co nadal rosła leniwie u obnażonej podstawy, choć szczęła ich górna zieleń. Jakkolwiek jednak całe jego życie stało się teraz nieprzerwaną wachtą na pokładzie i choć tajemnicza straż pełniona przez parsę była równie nieprzerwana jak jego własna, przecież ci dwaj zdawali się nigdy do siebie nie mówić – chyba tylko z rzadka, gdy jakaś nieistotna sprawa skłoniła ich do tego. Mimo że czar tak przemożny najwyraźniej jednoczył tajemnie tych dwóch ludzi, przecież na zewnątrz, wobec ogarniętej lękiem załogi, zdawali się być sobie dalecy jak dwa bieguny. O ile nawet zagadali do siebie przypadkiem za dnia, to nocą obaj byli jak niemi; nie odzywali się do siebie ni słowem. Czasami przez długie godziny nie wydając żadnego głosu, stali z dala od siebie w poświacie gwiazd – Ahab w zejściu kajutowym, Fedallah u grotmasztu – jednako nieruchomo wpatrywali się w siebie nawzajem, jak gdyby w parsie Ahab widział rzucany przez się cień, a pars w Ahabie – opuszczoną materialną część swojego jestestwa.

Mimo to jednak Ahab w swej właściwej istocie – tak jak się ona władczo jawiła jego podkomendnym co dzień, co godzina i co chwila – zdawał się niezawisłym panem, a pars tylko jego niewolnikiem. A jednak obaj byli najwyraźniej ze sobą sprzęgnięci, wiódł ich zaś jakowyś niewidzialny tyran; smukły cień podążał za twardą szpantą. Czymkolwiek bowiem był pars, szpantami i kilem był twardy Ahab.

O pierwszym bladym brzasku jutrzeńki słyszano dolatujący od rufy jego żelazny głos: „Posterunki na maszty!” – i przez cały dzień, aż do zachodu słońca i nawet po zmierzchu, ten sam głos dawał się słyszeć co godzina na dźwięk dzwonu sternika: „Co tam widzicie? Wypatrywać bystro!”

Kiedy jednakże upłynęły trzy czy cztery dni od spotkania poszukującej dzieci „Racheli” i nie dojrzano jeszcze żadnej fontanny, maniacki kapitan począł snadź tracić zaufanie do wierności swej załogi, a przynajmniej do nieledwie wszystkich marynarzy z wyjątkiem pogańskich harpunników; zdawał się nawet powątpiewać, czy Fiask i Stubb umyślnie nie przeoczyli widoku, którego szukał. Wszelako jeśli naprawdę żywił podobne podejrzenia, to jednak roztropnie powstrzymywał się od wyrażania ich słowami, jakkolwiek czyny jego zdawały się na nie wskazywać.

– Sam muszę pierwszy dostrzec wieloryba – powiedział. – Tak! Ahab musi dostać dublon! – i własnymi rękami sporządził gniazdo z koszykowato plecionych lin, a

posławszy na górę marynarza z pojedynczym blokiem, kazał mu go przytwierdzić do górnego złącza steng grotmasztu, pochwycił oba zrzucone końce przewleczonej przez boki liny i do jednego z nich przymocował swój kosz, dla drugiego zaś przygotował nagiel, by linę uwiązać u nadburcia. Następnie stanął obok nagła i trzymając ciągle w ręku ów wolny koniec liny, rozejrzał się po załodze, tocząc wzrokiem od jednego człowieka do drugiego, długo zatrzymał oczy na Daggoo, Queequegu i Tasztego, unikając jednak Fedallaha, a następnie utkwiał stanowcze, ufne spojrzenie w pierwszym oficerze i powiedział:

– Bierz pan linę. Składam ją w twoje ręce, Starbuck. Następnie usadowił się w koszu i dał znak, by go wciągnięto

na górę, przy czym Starbuck był tym, który zamocował linę, później zaś stał przy niej. I tak, jedną ręką obejmując bombramstengę, Ahab wypatrywał po morzu na całe mile – przed dziobem, za rufą, w lewo i prawo – ogarniając wzrokiem szerokie, rozległe kolisko, widoczne z tak ogromnej wysokości.

Kiedy na morzu marynarz, wykonując rękami jakąś robotę w wysokim, całkiem samotnym miejscu między takielunkiem, gdzie nie ma na czym oprzeć stopy, zostanie wywindowany do tego punktu i utrzymywany tam jest za pomocą liny, wówczas jej przytwierdzony na pokładzie koniec powierzany bywa ścisłej opiece jednego z ludzi, który specjalnie pełni nad nim straż. Albowiem pośród biegnącej na wsze strony gęstwiny takieluriku, którego przeróżne wzajemne powiązania w górze nie zawsze można nieomylnie z pokładu rozeznaczyć, zważywszy także, iż dolne, pokładowe końce lin co kilka minut zrzucą się z nagli, byłoby zupełnie naturalną fatalnością, gdyby wywindowany w górę marynarz, pozbawiony stałego strażnika, zleciał stamtąd przez jakieś niedbalstwo załogi i runął jak kamień w morze. Tak więc kroki przedsięwzięte w tej mierze przez Ahaba nie miały w sobie nic niezwykłego; osobliwe było w nich chyba tylko to, że właśnie Starbuck, bodaj jedyny człowiek, który kiedykolwiek miał odwagę sprzeciwić się kapitanowi w sposób, w najlżejszym choćby stopniu przypominający stanowczość – a także jeden z ludzi, w których uczciwość na posterunku obserwacyjnym Ahab zdawał się nieco wątpić – dziwne więc było, że tego właśnie człowieka wybrał sobie teraz na strażnika, dobrowolnie powierzając swe życie w ręce kogoś, komu skądinąd tak nie ufał.

Owóż gdy Ahaba po raz pierwszy wciągnięto na górę, nie upłynęło dziesięć minut, kiedy pojawił się jeden z owych dzikich, czerwodziobych sokołów morskich, które w tych stronach tak często latają niebezpiecznie blisko obsadzonych przez posterunki masztów statku wielorybniczego, i począł z krzykiem kreślić wokoło głowy kapitana gmatwaninę splątanych, szybkich kręgów. Następnie wzbił się na tysiąc stóp prosto w górę, po czym opuścił się spiralą i znowu jął wirować wokoło jego głowy.

Lecz Ahab mając wzrok utkwiony w mglisty, daleki horyzont nie zauważył snadź owego dzikiego ptaka; a i w istocie nikt inny nie zwróciłby nań większej uwagi, jako że nie był to żaden niezwykły wypadek; tyle tylko, że obecnie nawet najmniej baczone oko dopatrywało się jakiegoś szczególnego znaczenia niemal we wszystkim, co widziano.

– Kapelusz, pański kapelusz, kapitanie! – zakrzyknął nagle marynarz sycylijski, który, pełniąc służbę na szczycie bezanmasztu, stał wprost za Ahabem, choć nieco niżej, oddzielony odeń głęboką, przepastną pustką.

Ale już krucze skrzydło przesłoniło oczy kapitana, długi, zakrzywiony dziób sięgnął jego głowy; z wrzaskiem czarny sokół umknął precz, unosząc swoją zdobycz.

Orzeł po trzykroć okrążył głowę Tarkwiniusza zdejmując mu czapkę i nakładając ją z powrotem, na co Tanakwilla, jego małżonka, orzekła, że Tarkwiniusz zostanie królem Rzymu. Jednakże omen poczytano za dobry tylko dzięki owemu nakładaniu czapki z powrotem. Kapelusz Ahaba nigdy nie został zwrócony; dziki sokół leciał z nim coraz dalej i dalej, hen, przed dziobem statku, i na koniec zniknął z oczu, gdy zaś już zniknął, rozeznano jak przez mgłę maleńki czarny punkcik, który spadł w morze z owej olbrzymiej wysokości.

## ROZDZIAŁ CXXXI

### „PEQUOD” SPOTYKA „ROZKOSZ”

Zaciekły „Pequod” żeglował dalej; płynęły rozkołysane fale i dnie: trumna-boja wciąż lekko się chwiała u rufy; i oto spostrzeżono inny żaglowiec, jakże żałośliwie i mylnie przezwany „Rozkoszą”. Gdy był już blisko, wszystkie oczy skupiły się na jego grubych belkach, „nożycami” zwanych, które na pewnych statkach wielorybicznych umieszczone są ponad mostkiem kapitańskim na wysokości ośmiu czy dziewięciu stóp, a służą do zawieszania zapasowych, nie wyposażonych lub też uszkodzonych szalup.

Na „nożycach” owego statku dojrzano potrzaskane, białe żebra oraz kilka połupanych desek czegoś, co niegdyś było łodzią wielorybniczą; tylko że teraz można było patrzeć wskroś tego wraku równie swobodnie jak poprzez ogołocony, rozklekotany, pobielający szkielet koński.

– Widzieliście białego wieloryba?

– Patrzcie! – odparł zza relingu rufowego wychudły kapitan wskazując tubą wrak łodzi.

– Ubiliście go?

– Jeszcze ten harpun nie ukuty, co tego kiedykolwiek dokona – odpowiedział kapitan rzucając smutne spojrzenie w stronę spoczywającego na pokładzie, wypchanego hamaku, którego ściągnięte krawędzie zeszywało właśnie kilku milczących marynarzy.

– Nie ukuty! – Porwawszy z widełek nastawione żeleźce Perth Ahab wyciągnął je przed siebie i zakrzyknął: – Patrz, nantucketańczyku! Tu oto, w tej dłoni dźwierzę jego śmierć! Krwią hartowany, piorunem hartowany jest ten grot i klnę się, że go po trzykroć zahartuję w owym gorącym miejscu za płetwą białego wieloryba, gdzie najmocniej krąży jego przekłete życie!

– A zatem niech Bóg ma cię w swojej opiece, kapitanie. Czy widzisz? – wskazał hamak. – Chowam zaledwie jednego z pięciu krzepkich marynarzy, co żyli jeszcze wczoraj, lecz martwi byli, nim noc zapadła. Tylko tego jednego chowam, reszta pochowana została jeszcze przed śmiercią. Żeglujesz po ich grobie. – Następnie, zwróciwszy się do swych ludzi, rzekł: – Gotowiście już! Położyć deskę na relingu i unieść ciało – o tak! Boże! – wykrzyknął zbliżając się do hamaka ze wzniesionymi rękami. – Oby zmartwychpowstanie i życie...

– Brasuj w przód! Ster za burtę! – jak grom krzyknął Ahab swoim ludziom.

Lecz nagle ruszony z miejsca „Pequod” nie zdążył umknąć pluśnięciu, z którym w następnej chwili ciało uderzyło o falę; nie zdążył też ująć dość szybko, by wystrzelające w górę bryzgi nie pokropiły jego kadłuba upiornym chrztem.

Gdy teraz Ahab oddalał się od zgębnionej „Rozkoszy”, niesamowita boja ratunkowa zawieszona u rufy „Pequoda” ukazała się z całą wyrazistością.

– Hej, patrzcie, patrzcie tam, ludzie! – zakrzyknął wieszczy głos w naszym kilwaterze. – Próżno, o nieznajomi, uciekacie od naszego smutnego pogrzebu. Obracacie ku nam rufę po to tylko, aby swą trumnę ukazać!

## ROZDZIAŁ CXXXII

### SYMFONIA

Był jasny, stalowobłękitny dzień. Firmamenty powietrza i wód ledwo mogłeś odróżnić w owym wszystko przenikającym lazurze; tylko zadumane powietrze było przezroczyste miękkie, jakby niewieście, a mocarne, męskie morze wzdymało się długimi, potężnymi wolnymi tchnieniami niby pierś pogrążonego we śnie Samsona.

Tu i ówdzie, hen, wysoko, migały śnieżnobiałe skrzydła niewielkich, przeczystych ptaków; były to łagodne myśli niewieściego powietrza", tu i tam w głębinach, daleko w dole, pośród bezdennej modrości, sunęły potężne Lewiatany. ryby-miceze i rekiny, to krzepkie, niespokojne, morderczo myśli męskiego morza.

Choć jednak wewnątrz tak ze sobą kontrastowały, na zewnątrz kontrast ów ujawniał się jedynie barwą i odcieniami; morze i niebo zdawały się być jednością i tylko jak gdyby płeć je różniła.

Hen, w górze, słońce niby królewski car i m:march'a. dawało zuchwałemu, rozkołysanemu morzu owo łagodne powietrze jak oblubienicę oblubieńcowi. Opasująca to wszystko linia horyzontu lekkim, migotliwym drganiem najczęściej spotykanym tu, na równiku – wyrażała tkliwą, pełną drzeń ufność, miłosny-niepokój, z jakim biedna oblubienica osuwa, się w oczekujące ramiona.

Zebrany w sobie, zwarty, poorany bruzdami i zmarszczkami, z dzikim, nieustępliwym wejrzeniem z oczami gorejącymi jak węgle, co jeszcze się żarzą pośród zgliszcz ruiny, niewzruszony Ahab wyszedł na światłość poranka, podnosząc pęknięty szyszak swego czoła ku jasnym, dziewczęcym skroniom niebios.

O ty, wieczyste dziecięstwo i niewinności lazuru! O, niewidzialne, uskrzydłone stwory, co wokół nas igracie! Słodkie pacholeństwo powietrza i nieba! Jakoście były niepomne doskwierającej niedoli Ahaba! Tak to widziałem małą Miriam i Martę, radosno słodkie elfy płochy skaczące wokół starego rodzica, igrające pierścieniami osmalonych włosów, co rosły na krawędzi wypalonego krateru jego mózgu.

Przeszedłszy z wolna od zejścia kajutowego przez pokład, Ahab wychylił się za burtę i patrzył, jak jego cień na wadzie zanurza; się coraz bardziej i bardziej, im usilniej on sam próbuje przebić wzrokiem głębinę. Wszelako cudny aromat owego zaczarowanego powietrza rozproszył, zda się, na chwilę zropiały wrzód tkwiący w jego duszy. Radosne, szczęśliwe powietrze, to urzekające niebo wreszcie go ugłaskały i utuliły; macocha-świat, tak długo dlań okrutna i odstręczająca, teraz zarzuciła mu tkliwe ramiona na nieugiętą szyję i zdawała się lkać nad nim radośnie jak gdyby nad kimś, kogo mogła teraz całym sercem ocalić i uszczęśliwić, chociaż był hardy i błdził. Spod nasuniętego na oczy kapelusza Ahab uronił w morze łzę; cały Pacyfik nie zawierał takiego bogactwa jak ta jedyna, maleńka kropla.

Starbuck spostrzegł kapitana; ujrzał go ciężko wspartego o burtę i zdało się że we własnym, uczciwym sercu dosłyszał niezmierne szlochanie, co wymykało się z pogodnej ciszy, jaka zaległa dokoła. Bacząc, by nie tknąć kapitana, by nie być przezeń zauważonym, podsunął się jednak blisko i tam przystanął.

Ahab obrócił się.

– Starbuck!

– Kapitanie...

– O, Starbuck! Jakież łagodny, łagodny powiew, jakie łagodne niebo! Takiego dnia – niemal takiego słodkiego jak dziś – ugodziłem swojego pierwszego wieloryba – chłopiec – harpunnik osiemnastoletni! Czterdzieści, czterdzieści lat temu! Czterdzieści lat ustawicznych połowów! Czterdzieści lat wyrzeczeń, niebezpieczeństw i burz! Czterdzieści lat na bezlitosnym morzu! Na cztery dziesiątki lat Ahab wyrzekł się spokojnego lądu, przez lat czterdzieści prowadził walkę z potwornościami głębin! Tak, tak jest, Starbuck, z tych czterdziestu lat nawet trzech nie spędziłem na lądzie. Kiedy pomyślę o życiu, jakie wiodłem, o pustce samotności, jaką ono było, o kamiennym, warownym odosobnieniu kapitana, co znikomy daje dostęp wszelkim uczuciom z zielonych krain leżących na zewnątrz niego – jakież to znużenie, jaki ciężar! Gwinejska niewolo samotnego dowodzenia! Gdy uprzytomnię sobie to wszystko, czego dotychczas ledwie się domyślałem, a czego nigdy dotąd nie uświadomiłem sobie z taką przenikliwością – jak to przez lat czterdzieści żywiłem się suchą, soloną strawą – prawdziwym symbolem suchego pożywienia mojej duszy! – podczas gdy najuboższy z ludzi mógł co dzień sięgnąć po świeży owoc i łamać świeży chleb tego świata, ja zaś jedynie spleśniałą skibę – kiedy pomyślę, żem był daleko, o całe oceany, od owej żony-dzieweczki, którą poślubiłem po pięćdziesiątce udając się następnego dnia na Przylądku Horn i na mej małżeńskiej poduszce jeden tylko pozostawiając ślad głowy... Żona-li to była? Żona? Już raczej wdowa po mężu żyjącym! Tak, owdowiała ta biedna dziewczyna, kiedym ją pojął za żonę, Starbuck... A potem ten szal, ten obłęd, ta wrząca krew i dymiące czoło, z jakim po tysiącokroć stary Ahab, wściekły, spieniony, spuszczał szalupę i gnał za swą ofiarą, bardziej demonem będąc niż człowiekiem! Tak, tak! Przez lat czterdzieści jakimże głupcem, głupcem, starym głupcem był stary Ahab! Po co owa zaciekłość pościgu? Po cóż utrudzać, paraliżować ramię wiosłem, harpunem i lancą? Czymże jest Ahab bogatszy czy lepszy w tej chwili? Spójrz na mnie. O, Starbuck! Czyż to nie okrutne, że spode mnie noszącego takie brzemie wyrwano tę jedną nędzną nogę? Odsuń mi na bok te stare włosy; włożą mi w oczy i zdają się płakać. Takie szare kosmyki nigdy nie wyrastają znikąd, prócz popiołów. Ale czy wyglądam bardzo staro, tak bardzo, bardzo staro, Starbuck? Czuję się śmiertelnie osłabły, przygięty, przygarbiony, jak gdybym był Adamem ślaniającym się pod brzemieniem stuleci, co się spiętrzyły od czasów Raju. Boże! Boże! Boże! Roznieś mi serce, roztrzaskaj mózg! Szyderstwo! Szyderstwo! Gorzkie, dojmujące szyderstwo siwych włosów! Zaliż dość już przeżyłem radości, by nosić was na skroni i wydawać się, i czuć tak nieznośnie starym? Bliżej! Podejdź bliżej do mnie, Starbuck. Niech spojrzę w ludzkie oczy – to lepsze, niż patrzeć w morze czy w niebo. Lepsze niż Boga oglądać. Klnę się na ziemię zieloną! Na jasny ogień kominka! Oto czarnoksiężskie szkiełko, człowieku, w oczach twych widzę żonę, moją i dziecko. Nie, nie, pozostań na pokładzie, na pokładzie! Nie spuszczaaj łodzi, gdy ja to czynić będę, kiedy napiętnowany Ahab rozpocznie pościg za Moby Dickiem. Niechże ten hazard ciebie ominie. Nie, nie! Nie czyn tego, ty, w którego oczach daleki dom dostrzegam!

– O, kapitanie mój, kapitanie! Duszo szlachetna! Masz jednak wspaniałe serce! Po cóż by ktokolwiek miał ścigać tę rybę nienawistną! Uchodźmy! Uchodźmy z tych wód zabójczych! Płynmy do domu! I Starbuck ma żonę i dziecko – żonę i dziecko swojej braterskiej, siostrzanej, beztroskiej młodości, tak jak ty, kapitanie, masz żonę i dziecko miłującej, tęsknej ojcowskiej starości! Uchodźmy! Uchodźmy stąd! Pozwól mi zaraz kurs zmienić! Jakże wesoło, jakże radośnie, o, kapitanie mój, mknąć będziemy z powrotem, by znów zobaczyć stare Nantucket! Myślę, że tam, w Nantucket, bywają takie same łagodne, błękitne dni jak ten.

– Bywają, bywają. Widywałem je – niektóre letnie dni o poranku. W tej pewnie chwili... tak, teraz jest jego południowa drzemka... Chłopiec mój żwawo się budzi; siada na łóżku – a jego matka opowiada mu o mnie, starym kanibalu, jak to jestem hen, daleko na głębinie, ale powrócę jeszcze, by znów z nim dokazywać.

– Tak samo moja Mary, moja Mary! Obiecała, że co ranka wynosić będzie mojego chłopaczka na wzgórze, by pierwszy ujrział żagiel swego ojca! Tak, tak! Dość tego! Postanowione! Płyniemy do Nantucket! Pójdź, kapitanie, przestuduj kurs i ruszamy! Patrz, patrz! Twarz syna w oknie! Rączką nam kiwa ze wzgórza!

Lecz Ahab wzrok odwrócił; otrząsnął się niby schnące drzewo owocowe, co roni na ziemię ostatnie, zetlałe jabłko.

– Cóż to jest, co za nienazwana, nieprzenikniona, nieziemska rzecz, jakież podstępny, ukryty pan i władca, jakież okrutny i bezlitosny cesarz mną włada, że wbrew wszelkim przyrodzonym miłowaniom i tęsknotom tak nadal prę, tłoczę się i cisnę przez cały czas, gotując się do uczynienia czegoś, na co w mym własnym, przyrodzonym sercu nawet bym się ośmielić nie mógł? Czy Ahab jest Ahabem? Czy to ja, czy Bóg, czy jeszcze ktoś inny to ramię podnosi? Wszelako jeśli wielkie słońce nie porusza się samo, lecz jest chłopcem na posyłki w niebie; jeśli ni jedna gwiazda nie może się obrócić, o ile jej w ruch nie wprawi jakowaś niewidzialna siła, to jakże to jedno małe serce uderzać by mogło, a ten jeden mały mózg snuć swoje myśli, gdyby to nie Bóg był przyczyną owego uderzania, owego myślenia, owego życia – Bóg, a nie ja? Zaprawdę, człowieku, obracani jesteśmy wkoło i wkoło na tym świecie, jak ów kabestan, a Los jest hanszpugiem. I ciągle – spójrz! – to roześmiane niebo i niezgruntowane morze! Patrz! Widzisz tego tuńczyka? Któż mu to wdroył, że musi ścigać i zagryzać rybę latającą? Dokąd odchodzą mordercy? Kogóż należy potępić, jeśli samego sędziego włóczą przed kratki? Ale mamy łagodny wiatr i łagodnie wygląda niebo, a powietrze pachnie teraz, jak gdyby nawiewane było od łąk dalekich... Gdzieś hen, u stoków Andów, skoszono trawy, Starbuck, i żeńcy śpią w świeżym sianie. Śpią? A tak. Jakkolwiek byśmy się mozolili, zawsze wreszcie zaśniemy na polu. Zaśniemy? Tak, i rdzewieć będziemy pośród zieleni niby zeszlóroczne kłosy, ciśnięte na ziemię i zostawione wśród traw na wpół zżętych... Starbuck!

Ale oficer, z rozpaczy jak trup pobladły, już się był oddalił.

Ahab przeszedł przez pokład i wyjrzał przez drugą poręcz, lecz drgnął na widok dwojga odbitych w wodzie, utkwionych w nią oczu. Fedallah wsparty był nieruchomo o tę samą burzę.

## ROZDZIAŁ CXXXIII

### POŚCIGU DZIEŃ PIERWSZY

Tej nocy, w czasie środkowej wachty, kiedy kapitan – jak to czasami miał we zwyczaju opuścić właz kajutowy, przez który wyglądał, i poszedł do swego otworu w pokładzie, wyciągnął nagle głowę i jął węszyć zajadle morskie powietrze, podobnie jak to czyni mądry pies pokładowy, gdy okręt zbliża się do jakiejś egzotycznej wyspy. Orzekł, iż w pobliżu znajdować się musi wieloryb. Wrychle ów osobliwy odór, wydzielany przez żywego kaszalota niekiedy na znaczną odległość, stał się wyczuwalny dla całej wachty; toteż nikt z marynarzy nie zdziwił się, gdy Ahab, sprawdziwszy kompas, a następnie wskaźnik wiatru i ustaliwszy możliwie jak najdokładniej kierunek, z którego woń dolatywała, szybko rozkazał zmienić nieco kurs statku i skrócić żagle.

Roztropną wnikliwość, która podyktowała owe kroki, dostatecznie usprawiedliwił o brzasku widok długiej, lśniącej smugi na morzu, biegnącej wprost dziobu statku w tym samym co on kierunku, gładkiej jak olej i przypominającej przeplatającymi się wokół jej krawędzi zmarszczkami na wodzie polerowane, metaliczne miejsce, w którym przy ujściu głębokiego, wartkiego strumienia ścierają się dwa ostre nurty.

– Posterunki na maszty! Wszyscy na pokład!

Daggoo jął grzmocić w deski forkasztelu końcami trzech hanszpugów i pobudził śpiących marynarzy tak przeraźliwym waleniem, iż zdało się, że coś ich wydmuchuje z włazu, tak błyskawicznie ukazywali się na pokładzie trzymając odzienie w ręku.

– Co tam widzicie? – zawołał Ahab zadzierając twarz ku niebu.

– Nic, nic, kapitanie! – posypały się z góry odpowiedzi.

– Stawiaj bramżagle! „Wrony” ! W górze, w dole i z obu stron!

Gdy rozwinięto już wszystkie żagle, Ahab odwiązał teraz z nagłą linę przeznaczoną do wciągania go na szczyt bombramstengi głównego masztu i kiedy w kilka chwil później windowano go już w górę, znalazłszy się ledwie na dwóch trzecich drogi, wyrzwał przed siebie poprzez poziomą lukę między grotmarslem a bramżaglem i wyrzucił z siebie w powietrze krzyk podobny do wrzasku mewy:

– Tam dmucha! Tam dmucha! Garb niczym śnieżna góra! To Moby Dick!

Tknieci iskrą owego krzyku, który jednocześnie podchwyciły trzy posterunki na masztach, ludzie rzucili się przez pokład do olinowania, aby obejrzeć przesławnego wieloryba, którego od tak dawna ścigali. Ahab wy dostał się już na swoje ostateczne stanowisko o kilka stóp wyżej od innych posterunków obserwacyjnych; tuż pod nim, na złączu bombramstengi, stał Tasztego, tak że głowa Indianina znajdowała się niemal na jednym poziomie z piętą Ahaba. Z tej wysokości ujrzeni teraz o jakąś milę przed sobą wieloryba, który za każdym przetoczeniem się fal ukazywał wysoki połyskliwy garb i regularnie wyrzucał w powietrze bezgłośny wydmuch. Zabobonnym marynarzom wydało się, że to ta sama fontanna, którą ongiś oglądali w poświęcie księżycy na Atlantyku i Oceanie Indyjskim.

– I żaden z was nie dojrzał go przedtem? – krzyknął Ahab ludziom uczeponym wokół niego.

– Zobaczyłem go prawie w tej samej chwili, co pan, kapitanie, i krzyknąłem – odparł Tasztego.

– Nie w tej samej chwili, nie w tej samej! Nie, dublon jest mój. Los zachował go dla mnie. Ja tylko – nikt z was – mogłem pierwszy dojrzeć białego wieloryba. O, dmucha, dmucha – tam dmucha! Znowu! Znowu! – wykrzykiwał przeciągłym, nieśpiesznym, rytmicznym głosem, zestrojonym z dobrze widocznymi, coraz dłuższymi wydmuchami wieloryba. – Będzie nurkował! Zwinąć „wrony” ! Na dół bramzagle! Gotuj się przy trzech szalupach! Panie Starbuck, pamiętaj, zostań na pokładzie i kieruj statkiem. Sternik, uwaga! Steruj ostrzej na wiatr o rumb! Tak! Spokojnie, człowieku, spokojnie! Widać ogon! Nie, nie, to tylko cień na wodzie! Szalupy gotowe? Do szalup, do szalup! Spuszczaj mnie, Starbuck, spuszczaaj, spuszczaaj prędko, prędezej! – I osunął się przez powietrze na pokład.

– Wali prosto na zawietrzną, kapitanie! – krzyknął Stubb. – Prościutko od nas! Nie mógł jeszcze dojrzeć statku!

– Milcz, człowieku! Do brasów! Ster mocno na burtę! Brasuj, brasuj! Zatrzymać statek, zatrzymać! Tak! Dobrze! Szalupy, szalupy!

Wprędce spuszczone wszystkie szalupy, prócz łodzi Starbucka, wciągnięto na nie wszystkie żagle i wszystkie wiosła poszły w ruch; roztrącając wodę łodzie pomknęły jak strzała na zawietrzną; Ahab przewodził natarciu. Błady, śmiertelny błysk zapłonął w zapadniętych oczach Fedallaha, a wargi wykrzywił mu ohydny grymas.

Niby bezgłośnie skorupy nautilusów lekkie łodzie mknęły po morzu, wszelako bardzo powoli zbliżały się do nieprzyjaciela. W miarę jak dopływały bliżej, ocean wyglądał się coraz bardziej, jak gdyby rozciągał na falach kobierzec; na myśl przywodził łąkę o południu, taki się na nim spokój roztaczał. Wreszcie, z zapartym tchem, łowca przybliżył się na tyle do swej pozornie niczego nie podejrzewającej ofiary, że cały połśniewający garb wieloryba stał się wyraźnie widoczny, gdy sunął wskroś fal niby samotna osobna bryła, ustawicznie okalana wirującym pierścieniem najdelikatniejszych, wełnistych, zielonawych pian. Za nimi ujrzał łowca ogromne, splecione zmarszczki lekko wystającego łba. W przodzie, po tureckim kobiercu wód, niósł się połyskliwy, biały cień szerokiego, mlecznego czoła w rytm melodyjnego, rozigranego pochłustu fal; za nim błękitne wody na przemian wlewały się w ruchomy wawóz równego wartu, po obu zaś stronach wzbijały się i tańczyły świetliste banieczki pian. Te jednak roztrącały z kolei drobne szpony setek wesołych ptaków, które lekko muskały skrzydłami wodę, to znów raptownie podrywały się w górę; zaś na kształt masztu banderowego, co wznosi się na malowanym kadłubie okrętu, z grzbietu białego wieloryba sterczało wysokie, choć nadłamane drzewce niedawno w białej lancy. Od czasu do czasu któryś z chmary trzepotliwych ptaków, unoszących się niby baldachim tuż ponad wielorybem i muskających tu i ówdzie jego grzbiet cicho przysiadł na owym drzewcu i kołysał się na nim, a długie pióra jego ogona spływały w dół niby porporzec.

Jakaś łagodna radość – ogromne, pogodne ukojenie, czerpane z szybkości przenikało mknącego wieloryba. Nawet sam biały byk-Jowisz unoszący porwaną

Europę, która przywarła do jego wdzięcznie wygiętych rogów, baczenie z ukosa śledzący dziewicę swymi pięknymi oczami, gdy mknęli z niepowstrzymaną, czarodziejską chyżością wprost do małżeńskiego gaju na Krecie – nawet sam Jowisz – Jowisz majestat najwyższy! – nie był wspanialszy od przesławnego białego wieloryba, tak bosko wskroś fal sunącego.

Na wsze strony, wraz z owym szlakiem na wodzie, który za nim rozlewał się tak szeroko, wieloryb roztaczał wokół swój powab; Nic więc dziwnego, że bywali łowcy, którzy niewymownie znęcani i urzeczni tym spokojem ważyli się na atak; wszelako przekonywali się w sposób fatalny, że ta cisza jest jedynie powłoką huraganów. A jednak spokojny, jakże nęcąco spokojny, suniesz przed siebie, o, wielorybie, w mniemaniu tych wszystkich, co po raz pierwszy cię Ujrzeli, niebaczni, żeś już tylu przedtem w tenże sam sposób oszukał i unicestwił.

Tak oto, wskroś kojącego spokoju tropikalnego morza, wśród fal przypominających ludzi, którym pod wpływem najwyższej ekstazy dłonie klaszczące zawisły w powietrzu, płynął Moby Dick nie ukazując jeszcze wszystkiej straszliwości pogrążonego w toni kadłuba i całkowicie skrywając przed wzrokiem wywichniętą potworność swojej paszczęki. Wrychle jednak przednia część potwora z wolna wydzwignęła się z wody. Przez chwilę całe jego marmurowe ciało tworzyło wysoki łuk na podobieństwo Mostu Naturalnego w Wirginii, po czym, ostrzegawczo załopotawszy w powietrzu sztandarem ogona, wielkie bożyszczce objawiło się, zanurkowało i zniknęło nam z oczu. Białe ptaki morskie zatrzymały się w locie i zamiatając po wodzie skrzydłami tęsknie krążyły nad zbeltaną sadzawką, którą na morzu zostawił.

Z podniesionymi wiosłami, opuszczonymi łopatkami, poluźniwszy płachty żagli, trzy szalupy unosiły się teraz cicho na wodzie w oczekiwaniu chwili, gdy Moby Dick ponownie się ukaże.

– Godzina! – powiedział Ahab, który stał jak wrośnięty na rufie swojej łodzi i patrzył hen, poza miejsce, w którym zniknął wieloryb, ku mglistym, modrym przestworzom i rozległemu, wabiącemu pustkowiu po zawietrznej. Trwało to tylko chwilę, bo znowu oczy kapitana jęły niejako wirować pod czaszką, gdy wzrokiem zamiatał wodne kolisko. Powiała silniejsza bryza; morze poczęło się wzdymać. – Ptaki! Ptaki! – krzyknął Tasztego.

Jeden za drugim, niby czaple ustawiające się do lotu, białe ptaki sunęły długim sznurem w stronę szalupy Ahaba; kiedy znalazły się o kilka jardów od niej, poczęły trzepotać się ponad wodą, krążąc i krążąc wkoło z radosnymi, pełnymi oczekiwania krzykami. Wzrok ich bystrzejszy był od ludzkiego. Ahab nie mógł jeszcze dojrzeć na morzu żadnego znaku, gdy jednak wpatrywał się i wpatrywał w toń, dostrzegł nagle głęboko w dole nie większą od białej łasicy żywą, białą plamę, która wypływała ku górze ze zdumiewającą szybkością i rosła coraz bardziej, aż wreszcie obróciła się i ukazała dwa długie, zakrzywione szeregi białych, lśniących zębów, wynurzające się z nieprzeniknionej topieli. Była to rozchylona paszcza i krzywa szczeka Moby Dicka; jego olbrzymie, niewyraźne cielsko stapiało się jeszcze z błękitem morza. Połyskująca paszczeka rozwarła się pod szalupą, niczym otwarty marmurowy grobowiec. Ahab jednym ukośnym zagarnięciem wiosła sterowego okręcił łodzią i odsunął ją od owej

zjawy straszliwej. Następnie, na dane hasło, Fedallah zamienił się z nim miejscem; Ahab przeszedł na dziób, porwał harpun Perthę i rozkazał załodze, by chwyciła za wiosła i gotowała się do cofnięcia szalupy.

Dzięki owemu okręceniu w porę łodzi na jej osi, dziób jej już z góry był tak ustawiony, że znalazł się na wprost łba wieloryba, gdy ten był jeszcze pod wodą. Jednakże, jakby przejrzawszy ów fortel, Moby Dick z ową przypisywaną mu złośliwą inteligencją w jednej chwili przekreślił się jakoś bokiem i wynurzył pofałdowany łeb wzdłuż popod szalupą.

Wskroś całej łodzi, wskroś każdej deski i każdej szpanty przebiegło teraz krótkie drżenie, gdy wieloryb, leżąc ukośnie na grzbiecie, tak jak to czyni kęsający rekin, powoli i starannie ujmował cały jej dziób w paszczę, tak iż długa, wąska, zgięta dolna szczęka zawisała wysoko w powietrzu, a jeden z zębów zahaczył o dulkę. Błękitnawe, perłowobiałe wnętrze paszczy znalazło się o sześć cali od głowy Ahaba, sięgało zaś jeszcze wyżej. W tej pozycji biały wieloryb potrząsnął teraz wątłą cedrową łodzią, niczym spokojny, łagodnie okrutny kot – myszą. Fedallah przyglądał się temu nieporuszony i skrzyżował ręce na piersiach; natomiast tygrysióżółta załoga poczęła na łeb na szyję cisnąć się i deptać, aby tylko dotrzeć do najdalszego krańca rufy.

Oba elastyczne nadburcia wyginały się do środka i na zewnątrz, gdy wieloryb igrał w ów szatański sposób z nieszczęsną łodzią; ponieważ zaś cielsko jego było pod nią zanurzone, nikt nie mógł ugodzić weń z dziobu, tym bardziej że sam dziób tkwił niemal cały w paszczy potwora. I kiedy inne szalupy bezwiednie zatrzymały się w miejscu, jakby w obliczu rychłej katastrofy, której nie sposób zapobiec, Ahab doprowadzony do szału przez udrękę bliskości swego wroga, która sprawiała, że on, żywy i bezradny, znalazł się w samej znienawidzonej paszczy, pochwycił w obłędzie furii długą szczękę gołymi rękami i wściekle począł szarpać, usiłując rozewrzeć jej uścisk. Gdy się tak daremnie z nią zmagał, szczęka wymknęła mu się, wątłe nadburcia przygięły, załamały i trzasły, a obie szczęki, niby przeogromne nożyce, spadając dalej ku rufie przecięły łódź na dwoje i zwały się mocno w wodzie pomiędzy dwiema pływającymi częściami wraku. Fala odsunęła je od siebie z obwisłymi, potrzaskanymi końcami desek; na szczątku rufy ludzie przywarli do nadburć usiłując trzymać się wiosła.

W tamtej chwili poprzedzającej roztrzaskanie szalupy, Ahab pierwszy poznał zamiary wieloryba po chytrym podniesieniu łba, które na chwilę rozluźniło uścisk; wówczas to ręka kapitana uczyniła ostatni wysiłek, aby wypchnąć szalupę spod szczęk. Wszelako łódź wślizgiwała się coraz głębiej w paszczę wieloryba i w tym momencie przechyliła na bok, co sprawiło, że szczęka wymknęła mu się z rąk, gdy zaś pochylił się pod wpływem pchnięcia, wypadł za burtę i runął na płask w wodę.

Moby Dick prując toń odsunął się był od swej ofiary i spoczywał teraz w niewielkiej odległości rzucając pionowo w wodzie podługowatym, białym łbem to do góry, to w dół i jednocześnie wolno okręcając jak wrzecionem całym swym cielskiem. Gdy olbrzymie, pomarszczone czoło potwora wychynęło na jakieś dwadzieścia czy więcej stóp z wody, wezbrane belty wraz ze wszystkimi ścierającymi się falami poczęły

rozbijać się o nie, mściwie wyrzucając rozpylone bryzgi hen, wysoko w powietrze<sup>13</sup>. Tak to w czas sztormu, ledwie w pół ujarzmione bałwany na Kanale odskakują od nabrzeży Eddystone tylko po to, by tryumfalnie przesadzić ich krawędzie kurzawą pian.

Rychło jednakże Moby Dick powrócił do poziomego położenia i jał bystro pływać wkoło i wkoło rozbitków, bokiem burząc wodę na swym mściwym warcie, jak gdyby dodawał sobie bodźca do ponownego i jeszcze bardziej morderczego ataku. Widok roztrzaskanej łodzi snadź go rozjuszał, podobnie jak sok winnych jagód i owoców morwy rozjuszał słonie Antiocha z księgi Machabeuszów. Tymczasem Ahab na poły się dusił wśród pian wzbijanych przez zuchwały ogon kaszalota; kalectwo nie pozwalało mu płynąć, choć mógł się jakoś utrzymać na wodzie, nawet w samym sercu tak straszliwego wiru; widać też było głowę bezradnego kapitana podobną do podrzucanej banieczki wody, którą rozbić mogło pierwsze lepsze, najłżejsze choćby uderzenie. Ze szczątka rufy Fedallah przypatrywał mu się spokojnie i bez ciekawości; marynarze uczepli u wraku drugiej spychanej przez wodę części szalupy nie mogli przyjść kapitanowi z pomocą, ile że byli zupełnie pochłonięci ratowaniem samych siebie. Jakoż widok kołującego białego wieloryba był tak straszliwy, a zacieśniające się kręgi, jakie zataczał, tak planetarnie chybkie, iż zdawało się, że lada chwila spadnie na nich poziomo niby drapieżny ptak.

I chociaż inne szalupy, nietknięte, unosiły się blisko na wodzie, nie śmiały jednak wpłynąć w wir, by uderzyć, gdyż stałoby się to hasłem do natychmiastowego unicestwienia zagrożonych rozbitków z Ahabem włącznie, a same łodzie nie mogłyby wówczas mieć żadnej nadziei na ocalenie. Ze wszystkich sił wyteżając wzrok pozostawali więc na samym skraju straszliwego kręgu, którego ośrodkiem stała się teraz głowa kapitana.

Tymczasem ze szczytów masztów żaglowca obserwowano to wszystko od samego początku; przebrasowawszy więc reje statek płynął wprost ku miejscu katastrofy i był już teraz tak blisko, że Ahab krzyknął z wody: – Steruj na... – ale w tej chwili spieniony bałwan chlusnął nań od Moby Dicka i skrył go na chwilę pod wodą. Ahab wydobył się jednak znowu na wierzch i w chwili gdy przypadkiem wyniosła go w górę spiętrzona grzywa fali, krzyknął:

– Steruj na wieloryba! Odpędźcie go!

„Pequod” skierował dziób w tę stronę i przełamawszy zaczarowany krąg, ostatecznie odepchnął białego wieloryba od jego ofiar. Gdy potwór ponuro odpływał, szalupy rzuciły się na pomoc.

Ahaba wciągnięto do łodzi Stubba; miał krwią nabiegłe źrenice, ośleple oczy, a w bruzdach jego twarzy zakrzepła biała sól morska; długotrwałe napięcie fizycznych sił ustąpiło, bezradnie poddał się na chwilę śmiertelnemu wyczerpaniu, które go ogarnęło, i leżł zmiażdżony na dnie łodzi Stubba jak człek, którego stratowało stado słoni. Z głębi

---

<sup>13</sup> Ów ruch właściwy jest kaszalotowi. Otrzymał swą nazwę (koziółkowanie) przez przyrównanie go do owego wstępnego podbijania i opuszczania lancy wielorybniczej poprzedzającego jej wyrzucenie zwane „koziółkowaniem”, które zostało opisane powyżej. Dzięki owemu ruchowi wieloryb zapewne najlepiej i najdokładniej widzi wszelkie otaczające go przedmioty. (Przyp. aut.)

jego jestestwa dobywały się niewymowne jęki niby rozpaczne zawodzenia dolatujące z dna otchłani.

Wszelako właśnie to natężenie jego fizycznej prostracji sprawiło, że trwała krócej. Czasami wielkie serca w ciągu jednej chwili ściśnie głęboka boleść, która jest sumą ogólną owych płytkich cierpień, łaskawie rozsianych po całym życiu ludzi słabszych. I serca owe, choć krótko, doświadczają każdego poszczególnego strapienia, przecie, jeśli taka jest wola bogów, skupią w ciągu życia całe stulecia cierpień, na których sumę składają się chwilowe, gwałtowne doznania; albowiem owe szlachetne natury są zdolne zawrzeć w sobie całe kręgi dusz pośledniejszych.

– Harpun... – wyszeptał Ahab unosząc się nieco i ciężko wspierając na zgiętej ręce.

– Czy jest w porządku?

– Tak, kapitanie, boć przecie nie był rzucony. Oto on – odparł Stubb pokazując mu broń.

– Połóż go przede mną. Brak kogoś?

– Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu: było pięć wiosła i jest pięciu ludzi.

– Dobrze. Pomóż mi... chcę wstać. Tak, tak, widzę go! Tam! Tam! Idzie dalej na zawietrzną. Cóż za fontannę wzbija! Zabierajcie się precz z tymi rękami! Wieczyste soki znów krążą w kościach Ahaba! Wciągnąć żagiel! Do wiosła, do rumpla!

Często się zdarza, że kiedy jedna szalupa zostanie rozbita, jej załoga, wyłowiona przez drugą, pomaga przy wiosłowaniu i w ten sposób prowadzi się dalej pościg z tak zwaną podwójną obsadą u wiosła. Stało się tak i teraz. Atoli pomnożona moc szalupy nie mogła dorównać pomnożonej mocy kaszalota; zdawało się, iż ten potroił obsadę u każdej płetwy, płynął bowiem z chyżością, która wyraźnie wskazywała, że jeśli teraz, w tych okolicznościach, będzie się pościg ciągnęło, przedłuży się on w nieskończoność albo okaże w ogóle beznadziejny. Żadna załoga nie była też w stanie wytrzymać przez tak długi czas podobnie nieprzerwanego, wytężonego wysiłku u wiosła, który ledwie by był do zniesienia w razie jakiejś krótkotrwałej konieczności. Toteż, jak się to czasem zdarza, sam statek stanowił na razie najodpowiedniejszy środek do podjęcia pogoni. Szalupy więc skierowały się teraz ku niemu i wrychle zawisły na szlupbelkach; dwie części rozbitej łodzi „Pequod” wyłowił już przedtem i wciągnawszy wszystko po kadłubie, rozwinął wysoko w górze żagle, po bokach rozłożył płachty „wron” niby podwójne skrzydła albatrosa i ruszył ku zawietrznej śladem Moby Dicka. W dobrze znanych, równych odstępach czasu regularnie meldowano z obsadzonych masztów o połyskliwej fontannie wieloryba. Kiedy zaś donoszono, że właśnie znurkował, Ahab sprawdzał czas i z naktuzowym zegarkiem w dłoni poczynał kroczyć po pokładzie; a ledwie upłynęła ostatnia sekunda zwykłej w tych razach godziny, słyszano jego głos: – Czyżże będzie teraz dublon? Widzicie wieloryba? – Jeśli zaś odpowiedź brzmiała: – Nie, kapitanie! – rozkazywał natychmiast, by go windowano na stanowisko. W ten sposób upłynął dzień; Ahab to wisiał w bezruchu na górze, to znów niezmordowanie kroczył po pokładzie. Gdy tak się przechadzał, nie wydając ni dźwięku, chyba tylko po to, by krzyknąć coś posterunkom na masztach lub też rozkazać, aby wciągnięto jeszcze wyżej któryś z żagli czy inny rozwinęto szerzej – krocząc tam i z powrotem w kapeluszu wciśniętym na oczy, za każdym nawrotem mijał swą własną rozbitą szalupę,

która, złożona na mostku kapitańskim, leżała tam przewrócona, ze strzaskanym dziobem, skierowanym ku rozwalonej rufie. Nareszcie zatrzymał się przed nią i podobnie jak po już zachmurzonym niebie przepłyną czasem świeże chmur zastępy, przez twarz kapitana przemknął teraz jakiś nowy cień.

Gdy Ahab przystanął, Stubb, chcąc być może, acz nie przez chępliwość, pokazać swój hart niezłomny i w ten sposób zaskarbić sobie uznanie kapitana dla własnego męstwa, przybliżył się i rzuciwszy okiem na wrak, zawołał:

– Oto oset, którego osioł nie chciał. Zbyt mocno pysk mu pokłuło, ha, ha, ha!

– Cóż to za bezduszne stworzenie śmieje się w obliczu szczątków? Człowieku, człowieku! Gdybym nie wiedział, żeś dzielny niczym nieulekły ogień (i równie mechaniczny), przysięgłbym, że jesteś tchórzem. Ni jęku, ni śmiechu nie powinno się słyszeć nad wrakiem.

– Tak, kapitanie – ozwał się Starbuck podchodząc do nich. – To widok uroczysty. Omen, i to zły omen.

– Omen? Omen? Dajcie mi słownik! Jeśli bogowie chcą wprost przemówić do człowieka, to prosto, uczciwie gadają, a nie potrzęsają głowami, dając coś niejasno do zrozumienia wzorem starej baby. Odejdźcie! Jesteście dwoma przeciwnymi biegunami jednego i tego samego. Starbuck to Stubb odwrócony, Stubb zaś to Starbuck, a wy obaj to cały rodzaj ludzi. Ale Ahab tkwi samotnie pośród milionów zaludniających ziemię i nie ma ni bogów, ni ludzi za sąsiadów! Chłód, chłód! Drzę cały! No cóż tam w górze? Widzicie go? Krzyczeć za każdym wydmuchem, choćby dmuchał dziesięć razy na sekundę!

Dzień miał się już ku końcowi; jeszcze tylko szeleścił kraj jego pozłocistej sukni. Wprędce uczyniło się niemal zupełnie ciemno, ale na masztach ludzie wciąż trwali na posterunku.

– Nie widzę już wydmuchu. Za ciemno! – zawołał głos z góry.

– W którą stronę szedł ostatnio?

– Jak przedtem, kapitanie. Prosto na zawietrzną.

– Dobrze! Teraz, kiedy już noc zapadła, popłynie wolniej. Opuścić bombramsle i bramzagle, Starbuck. Nie powinniśmy go przegonić przed świtem; po tej podróży może się chwilę zatrzyma. Sternik, uwaga! Trzymaj się dobrze na wietrze! Wy tam, na górze! Złazić! Stubb, poślij pan nowego człowieka na fokmaszt. Dopilnuj, żeby posterunek był tam do rana. – Następnie podszedł do dublonu przybitego na grotmaszcie. – Ludzie, to złoto do mnie należy, bowiem je zarobiłem. Wszelako pozostawię je tutaj, dopóki biały wieloryb nie zginie, a wtedy dostanie je ten spośród was, kto pierwszy go wypatrzy w dniu, w którym zostanie zabity. Jeślibym zaś owego dnia ja sam go znowu dojrzał, wówczas dziesięciokrotnie większa suma zostanie podzielona między was wszystkich. Rozejść się teraz! Pokład należy do pana.

To powiedziawszy opuścił się do połowy ciała w zejście kajutowe, nacisnął kapelusze na oczy i pozostał tak aż do świtu, od czasu do czasu budząc się z odrętwienia, aby popatrzeć, jak noc przemija.

## ROZDZIAŁ CXXXIV

## POŚCIGU DZIEŃ WTÓRY

Już o brzasku trzy maszty obsadzono od nowa.

– Widzicie go? – zawołał Ahab odczekawszy chwilę, by nieco się rozwidniło.

– Nic nie widać, panie kapitanie.

– Wszyscy na pokład, rozwijać żagle! Idzie szybciej, niżeli myślałem... Bramżagle! Tak, powinny były zostać na całą noc. Ale mniejsza, to tylko wythnienie przed skokiem.

Należy tu nadmienić, że taka uparta pogoń za jednym poszczególnym wielorybem, trwająca dzień i noc, noc i dzień, nie jest bynajmniej czymś niebywałym w rybołówstwie na Morzach Południowych. Taka jest bowiem zadziwiająca biegłość, na doświadczeniu oparta wprawa i niezwykła pewność siebie, zdobywana przez niektóre przyrodzone geniusze spośród nantucketańskich dowódców, że *po* prostu na podstawie tego, jak po raz ostatni zaobserwują wieloryba, potrafią w danych okolicznościach wcale dokładnie przepowiedzieć zarówno kierunek, w którym będzie nadal przez pewien czas płynął poza zasięgiem ich wzroku, jak również prawdopodobną przestrzeń, jaką w owym czasie przebędzie. W takich to razach, po trosze jak pilot, co tracąc z oczu ląd, którego ogólne położenie jest mu dobrze znane i do którego zamierza niebawem w jakimś dalszym punkcie powrócić; jak ów pilot staje u kompasu i dokładnie pomierza kierunek widocznego w owej chwili cypla, aby tym pewniej ostatecznie trafić do odległego, niewidocznego przylądka – tak i łowca u swego kompasu postępuje w stosunku do wieloryba.

Albowiem po kilkogodzinnym pościgu i pilnym obserwowaniu ryby za dnia, później, gdy noc ją przesłoni, jej przyszły szlak w ciemnościach jest niemal równie pewnie ustalony w mądrym umyśle łowcy, jak położenie wybrzeża dla pilota. Tak więc przy zdumiewającej wprawie poławiacza przysłowiowa znikomość rzeczy pisanej na wodzie, czyli wartu, jest czymś niemal równie pewnym, jak ląd stały. I jak każde poruszenie potężnego żelaznego Lewiatana, nowoczesnej kolei, jest tak dobrze znane, że ludzie z zegarkiem w ręku odmierzają jej szybkość niczym lekarze puls dziecka i mówią niedbale, że pociąg idący w tę czy tamtą stronę przybędzie do tego a tego miejsca o takiej a takiej godzinie – podobnie też bywają przypadki, że owi nantucketańczycy odmierzają czas tego Lewiatana głębin według zaobserwowanej szybkości, jaką rozwija, i powiadają sobie, że za tyle a tyle godzin wieloryb przepłynie dwieście mil i dotrze mniej więcej do tego a tego stopnia długości i szerokości geograficznej. Wszelako, aby w końcu uwieńczyć powodzeniem takową przenikliwość, wiatr i morze muszą być sprzymierzeńcami wielorybnika, jakąż bowiem doraźną korzyść wśród ciszy morskiej czy przeciwnego wiatru przyniesie marynarzowi wprawa dająca mu pewność, że znajduje się dokładnie o dziewięćdziesiąt trzy i ćwierć mili od portu? Z tych stwierdzeń można wyciągnąć wiele ubocznych wniosków, dotyczących różnych subtelności wielorybich łowów.

Statek parł naprzód, pozostawiając na morzu bruzdę tak głęboką, jak zbłąkany pocisk armatni, co niby radło pługą przeorał równe pole.

– Do kroćset! – zawołał Stubb. – Od tego szybkiego ruchu pokładu aż człowiekowi ciarki po nogach chodzą, a w sercu pika! Ten statek i ja to dwa junaki! Ha, ha! Niech mnie ktoś złapie i puści grzbietem na fale, bo, do kroćset! Mój grzbiet to kil! Ha, ha, idziemy takim chodem, co kurzu nie pozostawia!

– Tam dmucha... dmucha!... Dmucha! Prosto przed nami! – zabrzmiał krzyk ze szczytu masztu.

– Aha! – zawołał Stubb. – Wiedziałem... Nie możesz zemknąć! Dmuchaj dalej, niech ci gardziel pęknie! O, wielorybie! Sam opętany szatan cię goni! Dmij w trąbę! Zedrzyj sobie płuca! Ahab ci krew zatamuje jak młynarz, co zamyka śluzy na strumieniu!

Stubb wyrażał w tej chwili uczucia niemal całej załogi. Albowiem o tym czasie zapął łowiecki zapiecił się już w niej, niby na nowo przefermentowane stare wino. Jakkolwiek do tej pory niektórzy marynarze mogli odczuwać blady strach, bądź żywić złe przeczucia, jednakże teraz wzrastająca bojaźń przed Ahabem nie tylko utrzymywała je na wodzy, ale wręcz złamała i zawsze przepłoszyła niby lękliwe zające, które na prerii rozproszy pędzący bizon. Dusze ich wszystkich pochwyliło w swe ręce Przeznaczenie, a serca porwała burzliwa groza dnia poprzedniego, dręczące napięcie ostatniej nocy, uparty, nieustraszony, ślepy, zuchwały pęd zaciekłego okrętu, który pruć wodę ku swemu mknącemu celowi. Wiatr, co wzdymał żagle niby olbrzymie brzuszyska i pchał statek naprzód równie niewidzialnym jak nieodpartym ramieniem, zdawał się być symbolem owej niewidocznej mocy, co tak ich zniewalała do pościgu.

Byli jak jeden mąż, nie jak trzydziestu ludzi. Albowiem podobnie jak ów statek, który niósł ich wszystkich, składał się wprawdzie z tylu najprzeróżniejszych rzeczy – dębu, klonu i sośniny, żelaza, smoły i konopi – a przecież stapiały się one wszystkie w jeden zwarty kadłub, co parł po swym szlaku utrzymywany w równowadze i kierowany przez długi centralny kil – tak też i wszystkie indywidualności załogi, męstwo tego czy lęk tamtego, winy i występki, wszystkie najprzeróżniejsze cechy stapiały się w jedność i kierowane były do owego fatalnego celu, który im wskazał Ahab, ich kil i pan jedyny.

Liny ożyły. Szczyty masztów, niby czubki wyniosłych palm, zwieńczył sterczący na wsze strony pióropusz ludzkich ramion i nóg. Ci, uchwyciwszy się masztu jedną ręką, wyciągali przed siebie drugą, machając nią niecierpliwie; tamci, przysłoniwszy oczy od jaskrawych promieni słońca, siedzieli na końcach rozkołysanych rej; wszystkie drzewca obrodziły ludzkim owocem, gotowym i dojrzałym na spotkanie Przeznaczenia. Ach, jakże parli poprzez ów nieskończony błękit, goniąc za czymś, co mogło ich unicestwić!

– Czemu nie krzyczycie, jeżeli go widać? – wołał Ahab, kiedy w ciągu kilku minut od pierwszego okrzyku nic więcej nie słyszano. – Windować mnie na górę, chłopcy. Oszukaliście się – Moby Dick nie wyrzuca takiego pojedynczego, oderwanego wydmuchu, by potem zniknąć!

Tak właśnie było; rychło się okazało, że w swej gwałtownej zajadłości ludzie wzięli za fontannę wielorybią coś zgoła innego; ledwie bowiem Ahab dotarł do swego stanowiska na górze, ledwie na pokładzie okręcono linę wokoło nagłą, gdy już kapitan poddał ton orkiestrze, która zatrzęsa powietrzem niby salwa wielu karabinów.

Tryumfalny wrzask trzydziestu płuc tęgich jak skóra kozłowa rozległ się w chwili, gdy – znacznie bliżej statku niż miejsce domniemanego wydmuchu, o niespełna milę przed nami – sam Moby Dick ukazał się raptem w całym swym ogromie! Tym razem bowiem biały wieloryb dawał znać o swej bliskości nie jakimś cichym, ospałym wydmuchem, nie spokojnym tryskaniem owej tajemniczej fontanny dobywającej się z jego łba, ale o wiele bardziej zadziwiającym fenomenem wyskakiwania z wody. Jakoż czasami kaszałot przebija się z najdalszych głębin z najwyższą szybkością, wyrzuci całe swe cielsko w przezysty żywioł powietrza i piętrząc górę olśniewających pian, ukaże miejsce, w którym się znajduje, z odległości siedmiu i więcej mil morskich. W takich chwilach poszarpane, wściekle fale, które roztrąca, zdają się jego grzywą; w pewnych przypadkach owo wyskakiwanie jest z jego strony aktem wyzwania.

– Tam wyskakuje! Tam wyskakuje! – zabrzmiały okrzyki, gdy biały wieloryb z niezmierną brawurą miotał się niczym łosoś ku niebu. Nagle się ukazawszy wśród modrej równiny morza, zarysowana na tle jeszcze głębszego błękitu krawędzi nieba, kurzawa piany, jaką wzbił, przez chwilę nieznośnie błyszcziała i lśniła na kształt lodowca i stała w powietrzu, stopniowo zanikając po pierwszym roziskrzeniu i przemieniając się w ćmiącą mgławicę niby ulewa, co idzie doliną.

– Tak, skacz do słońca po raz ostatni, Moby Dicku! – zawołał Ahab. – Godzina twoja i harpun twój już blisko! Na dół, na dół wszyscy! Niech tylko jeden na foku zostanie! Do szalup! Gotować się!

Nie dbając o uciążliwe drabinki sznurowe want ludzie jak spadające gwiazdy osunęli się na pokład po pojedynczych sztagach i podciągach; Ahab, mniej błyskawicznie, choć szybko, opuszczony został ze swego stanowiska.

– Spuszczaj szalupy! – zawołał, ledwie się znalazł w swej łodzi zapasowej, przygotowanej poprzedniego popołudnia. – Panie Starbuck, statek w pańskich rękach. Trzymaj się z dala od szalup, ale bądź w pobliżu. Spuszczaj wszystkie!

Jak gdyby chciał w ludziach wzniecić strach dojmujący, przechodząc w tej chwili pierwszy do ataku, Moby Dick zawrócił i rwał teraz na trzy szalupy. Łódź Ahaba była pośrodku; kapitan zagrzewał swych ludzi do walki zapowiadając, że weźmie wieloryba na sztych – to znaczy podpłynie od przodu do jego czoła. Rzecz to nie była niezwykła, jeśli bowiem łódź dotrze na pewną odległość, manewr ten wyklucza wejście w boczne pole widzenia wieloryba. Nim jednak znaleźli się dość blisko, w chwili gdy jeszcze wszystkie trzy łodzie były dla oka białego wieloryba równie wyraźnie widoczne jak trzy maszty statku, potwór zapienił morze od wściekłego pędu i nieledwie w jednym momencie, z otwartą paszczką, młócąc ogonem, runął między szalupy, na wsze strony straszliwą wydając bitwę; niebacznym grotów miotanych weń z każdej szalupy, zdawał się łaknąć jedynie unicestwienia każdej deski, z jakiej się owe łodzie składały. Jednakże zręcznymi manewrami, ciągle kołując niczym wyćwiczone rumaki na polu bitwy, szalupy umykały mu przez czas jakiś, aczkolwiek chwilami ledwie o szerokość deski; a nieludzki okrzyk bojowy Ahaba darł ustawicznie na strzępy wszelki głos oprócz jego własnego.

Na koniec jednak swymi nieuchwytnymi dla oka ewolucjami wieloryb tak pokrzyżował, pogmatwał i po tysiäckroć splątał luźne części trzech lin od tkwiących już

w nim harpunów, że, skrócone, same z kolei pociągnęły złączone z nim łodzie ku wbitym w ciało bestii żelazom, acz wieloryb właśnie na chwilę odpłynął, jak gdyby po to, by zebrać się w sobie przed jeszcze straszliwszym atakiem. Ahab wykorzystał tę sposobność i najpierw wyrzucił z łodzi nieco więcej liny, którą następnie jął szybko ciągnąć i targać mając nadzieję, że w ten sposób uwolni ją od poplątań, kiedy oto ujrzano widok okrutniejszy od rzędu kłów rekina!

Splątane i pogięte, wkręcone w gmatwaninę lin, luźne harpuny i lance o sterczących ostrzach i zadziarach wychyły połyskliwe i ociekające wodą tuż pod korytkiem linowym u dziobu szalupy Ahaba. Jedno tylko można było przedsięwziąć. Kapitan porwał nóż szalupowy i z wielkim narażeniem sięgnął do środka, dalej wskroś, a następnie na zewnątrz pęku stalowych promieni, wciągnął linę, która znajdowała się z drugiej strony, przerzucił ją wewnątrz łodzi do przedniego wioslarza, za czym po dwakroć przeciąwszy ją u korytka, cisnął w morze pochwyconą wiązkę stali i znów utrzymał łódź w równowadze. W tejże chwili biały wieloryb rzucił się nagle między pozostałe sploty lin i w ten sposób nieodparcie pociągnął uwikłane szalupy Stubba i Fiaska w stronę swago ogona, cisnął je o siebie niczym dwie łupiny miotane falami rozbijającymi się na plaży, po czym zanurkował i zniknął w kipiącym wirze, na którym wonne szczątki cedrowych desek tańczyły przez chwilę wkoło jak tarta gałka muszkatołowa w szybko mieszanej wazie ponczu.

Podczas gdy ludzie z obu łodzi bystro krążyli w wodzie i wyłapywali koziołkujące bębny linowe, wiosła oraz inne części sprzętu, które unosiły się na morzu, gdy mały Fiask podskakiwał bokiem na falach niczym pusta buteleczka, podkurczając nogi, by wymknąć się straszliwym paszczom rekinów, a Stubb ze wszystkich sił wrzeszczał, by ktoś go chochlą wyłowić – kiedy na skutek zerwania swej liny kapitan był już w stanie wpłynąć w spienioną sadzawkę i ratować, kogo się dało – wśród owej dzikiej jednoczesności tysiąca odrębnych niebezpieczeństw zdało się, że dotąd nie tkniętą łódź Ahaba pociągnęły ku niebu jakoweś niewidzialne nici, albowiem biały wieloryb, wystrzeliwszy z toni pionowo w górę na kształt strzały, grzmotnął szerokim czołem o dno łodzi i wyrzucił koziołkującą w powietrze; runęła w wodę nadburciem do dołu, Ahab zaś i jego ludzie poczęli się spod niej mozolnie wydobywać niby foki z nadmorskiej pieczary.

Pierwszy impet wynurzającego się wieloryba zmienił jego kierunek w momencie, gdy zderzał się z powierzchnią wody – i potwór chcąc nie chcąc pchnięty został po niej na pewną odległość od środka spustoszeń, jakie poczynił; przez chwilę leżał teraz tyłem i z wolna poruszał na boki płetwami; gdy tylko jakieś porzucone wiosło, kawałek deski, najmniejszy odłamek czy szczątek łodzi tknął jego skóry, ogon wieloryba podnosił się szybko i bokiem grzmocił w morze. Wrychle jednak, jakby upewniwszy się, że dzieła na razie dokonał, pchnął swe pofałdowane czoło wskroś oceanu i wlokąc za sobą zwikłane liny podjął na nowo, z równomierną szybkością podróżnika, swoją wędrówkę ku zawietrznej.

I tym razem jak poprzednio baczny statek obserwował całą walkę, znów więc podpłynął szybko na pomoc i spuścił szalupę, która wyłowiła unoszących się na wodzie marynarzy, bębny, wiosła i cokolwiek dało się pochwycić, a następnie szczęśliwie

przywiodła na pokład. Kilka wywichniętych rąk, kiści i kostek, sine stłuczenia, pogięte harpuny i lance, niemożliwa do rozwikłania gmatwanina lin, potrzaskane wiosła i deski – wszystko to wprawdzie tam było, wszelako żadna fatalna czy nawet poważniejsza krzywda nie spotkała nikogo. Podobnie jak to się zdarzyło poprzedniego dnia z Fedallahem, znaleziono tym razem Ahaba zaciekle przywartego do strzaskanej połowy własnej szalupy, która stanowiła stosunkowo dogodny pływak; jakoż nie wyczerpało go to do tego stopnia, co wczorajszy wypadek.

Kiedy jednak dopomóżono kapitanowi wydostać się na pokład, oczy wszystkich zwróciły się na niego, gdy miast o własnych stać siłach, nadal jeszcze zwisał na ramieniu Starbucka, który, jak dotąd, był zawsze pierwszy, aby mu przyjść z pomocą. Kościana noga kapitana została urwana; pozostała z niej zaledwie krótka, ostra drzazga.

– Tak, tak, Starbuck. Czasem dobrze jest tak się wesprzeć, obojętne, kto by to czynił. Oby stary Ahab częściej był się wspierał niżli to robił!

– Skuwka nie wytrzymała, panie kapitanie – ozwał się cieśla, który właśnie podszedł bliżej. – Ja w tę nogę włożyłem dużo sumiennej pracy.

– Ale mam nadzieję, że żadnej kości pan sobie nie uszkodził? – rzekł Stubb ze szczerym przejęciem.

– A jakże! I to cała potrzaskana w drzazgi, Stubb! Nie widzisz? Mimo to stary Ahab pozostaje nietknięty, nawet jeśli ma kość złamaną. Nie uważam zaś, żeby którakolwiek z moich żywych kości była na jotę bardziej mną niż owa martwa, którą utraciłem. Ni białe wieloryb, ni człowiek, ni czart nie mogą nawet drasnąć samej niedostępnej istoty Ahaba. Alboż jakkolwiek sonda jest w stanie sięgnąć tego dna pod nami? Alboż jest maszt, co otarłby się o sklepienie niebios? Wy tam, na górze! W którą stronę idzie?

– Prościutko na zawietrzną.

– Zatem ster na burtę, znowu rozwinąć wszystkie żagle, strażnicy! Opuścić resztę zapasowych łodzi i oporzędzić je. Idź pan, panie Starbuck, i zbierz załogi szalup.

– Pozwól mi wprzód doprowadzić cię do nadburcia, kapitanie.

– Och, och, jakże ta drzazga mnie bodzie! Cóż za przeklęty los, że niepokonany kapitan mej duszy takiego nędznego ma oficera!

– Słucham pana?

– O ciele moim mówię, człowieku, nie o tobie. Dajcie mi coś miast laski – o, tamta nadwerężona lanca wystarczy. Zbierz pan ludzi. Przecie jeszcze go nie widział... Na Boga, nie może to być! Czyżby zaginął? Szybko! Zwołuj wszystkich!

Domniemanie kapitana okazało się słuszne. Na zbiórce załogi przekonano się, że brak Fedallaha.

– Pars! – krzyknął Stubb. – Musiał się zaplątać w...

– Niech cię czarna zaraza! Ruszajcie wszyscy na górę, na dół, do kajuty, na forkasztel... Odszukać go... przecie nie zniknął... nie zniknął!...

Wprędce jednak ludzie powrócili z wieścią, że parsza niepodobna nigdzie odnaleźć.

– Tak, kapitanie – ozwał się Stubb. – Uwikłał się w sploty pańskiej liny... Zdawało mi się, że widziałem, jak go ciągnęły w dół.

– *Mojej liny? Mojej liny?* Nie ma go? Nie ma? Cóż znaczą te krótkie słowa? Jakież dzwonn pogrzebowy w nich dźwięczy, że stary Ahab drży cały, jak gdyby był

dzwonnica? A harpun? Rozrzucić te śmiecie – macie go? Kute żelazo, ludzie, to przeznaczone dla białego wieloryba! Nie, nie, nie, przekłety głupiec ze mnie! Ta ręka je rzuciła! Tkwi w wielorybie! Hej, tam, na górze! Trzymajcie się go! Szybko! Wszyscy do opatrywania szalup!... Zebrać wiosła... Harpunnicy! Żelaza! Żelaza! Wyżej podciągnąć bombramsle! Dociągnąć wszystkie szkoty! Sternik, równo! Równo, jeśli ci życie miłe! Po dziesięćkroć opłynę, na wskroś przeniknę nieobjęty świat, a przecie go ubiję!

– Wielki Boże! Ukaż się choćby na chwilę! – krzyknął Starbuck. – Nigdy, przenigdy go nie pokonasz, kapitanie! Na imię Jezusa, dość tego, to gorsze niż obłąd szatański! Dwa dni pościgu i po dwakroć łodzie potrzaskane w drzazgi. Twa własna noga znowu urwana. Zły upiór uszedł. Wszyscy dobrzy aniołowie nie szczędzą ci przestróg – czegoż chcesz więcej? Czyż mamy dalej ścigać ową morderczą bestię, dopóki nie zatopi nam ostatniego człowieka? Czyż mamy jej dać się pociągnąć na dno morza? Czyż ma nas poholować do dziedzin piekielnych? Och, och! To bezceństwo, to bluźnierstwo dalej ją ścigać!

– Starbuck, ostatnio dziwnie mnie coś do ciebie ciągnęło. Od owej godziny, kiedyśmy obaj nawzajem ujrzeni – sam wiesz co – w naszych oczach. Ale jeśli idzie o wieloryba, oblicze twoje jest dla mnie jak ta dłoń, bezwargą, rysów pozbawioną pustką. Ahab na zawsze pozostanie Ahabem, człowieku. Cały ten akt jest nieodmiennie postanowiony. Przepowiadaliśmy go sobie, i ty, i ja, na biliony lat, zanim ów ocean jął toczyć swe fale. Głupcze! Ja jestem oficerem Przeznaczenia, działam wedle rozkazu. Bacz ty, podwładny, byś słuchał mojego. Stańcie tu naokoło mnie, chłopcy. Widzicie starego człowieka okaleczonego do kości, wspartego na połamanej lancy, stojącego na samotnej nodze. To Ahab, to jego część cielesna, ale dusza Ahaba ma sto nóg i na stu nogach się porusza. Czuję się skołatany, na poły porwany niby liny, które holują w czas huraganu fregatę o połamanych masztach; i być może, iż tak wyglądam. Lecz zanim ta lina moja pęknie, usłyszycie jeszcze trzask, a póki go nie usłyszycie, widzicie, że hol Ahaba ciągnie nadal jego postanowienie. Alboż wierzycie, chłopcy, w rzeczy, które się zwą omenami? Śmiejcie się więc w głos i wołajcie: „jeszcze!”, bo rzeczy tonące, nim pójdą na dno, po dwakroć się na powierzchnię wynurzą i znów ukażą, by wreszcie zatonać na zawsze. Tak jest i z Moby Dickiem. Przez dwa dni płynął – a jutro będzie dzień trzeci. Tak, chłopcy, wynurzy się znowu, lecz tylko po to, by trysnąć ostatnim wydmuchem! Macie odwagę, chłopcy, imacie odwagę?

– Jak nieulekły ogień! – zawołał Stubb.

– I równie mechaniczną... – mruknął Ahab. Następnie zaś, gdy ludzie odchodzili na przód statku, szeptał dalej: – Rzeczy, które się zwą omenami! A jeszcze wczoraj mówiłem to samo Starbuckowi o mej strzaskanej szalupie. O, jakże dzielnie usiłuję przegnać z serc cudzych to, co tak twardo zacisnęło się na moim własnym! Pars... Pars!... Więc zniknął, zniknął? A miał odejść przede mną. Wszelako powinienem go jeszcze ujrzeć, zanimbym sam mógł zginąć. Jakże to? Tkwi w tym zagadka, która stropiłaby wszystkich adwokatów wraz z duchami całego pokolenia sędziów. Kuje mi ona mózg niby dziób sokoła. A jednak JA ją rozwikłam!

Gdy zmierzch zapadł, wieloryba ciągle jeszcze było widać po zawietrznej.

Znowu więc skrócono żagle i wszystko odbyło się niemal tak samo jak poprzedniej nocy, tylko prawie do świtu słychać było huk młotów i chrobot brusów; ludzie pracowali przy świetle latarni wyposażając troskliwie zapasowe łodzie w pełny takielunek i ostrząc świeżą broń na jutro. Tymczasem ze złamanego kilu strzaskanej szalupy Ahaba cieśla sporządził mu nową nogę; i znowu, tak jak ubiegłej nocy, kapitan w naciśniętym na oczy kapeluszu stał nieruchomo we włazie kajutowym. Z ukrycia wzrok jego w oczekiwaniu kierował się wstecz; zwrócony wprost ku wschodowi, wypatrywał, niby heliotrop, pierwszego promienia słońca.

## ROZDZIAŁ CXXXV

### POŚCIGU DZIEŃ TRZECI

Ranek trzeciego dnia wstał jasny i świeży; raz jeszcze samotny nocny posterunek na szczycie fokmasztu zluzowała ciżba dziennych czatowników, którzy pokryli wszystkie maszty i nieledwie każdą reję.

– Widać go? – zawołał Ahab, ale jeszcze nie można było dojrzeć wieloryba.

– Iść jego nieomylnym tropem, tylko jego wartem, ot i wszystko. Sternik! Trzymaj się równo. Tak jak w tej chwili i jak dotychczas. Cóż za piękny dzień znowu! Gdyby świat powstał na nowo i uczyniony został przybytkiem aniołów, a ranek dzisiejszy był pierwszym, kiedy im go otwarto, nie mógł zaświtać nad ziemią piękniejszy dzień. Oto sprawa dla rozmyślań, gdyby Ahab miał czas myśleć. Lecz Ahab nie myśli nigdy – on tylko czuje, czuje, co jest i tak dość uciążliwe dla śmiertelnego człowieka! Myślenie to zuchwalstwo. Jedyne Bóg ma to prawo i przywilej. Myślenie jest albo winno być chłodem i spokojem, na to zaś nasze biedne serca zbyt mocno uderzają, a biedne mózgi zbyt pulsują. A przecie czasem myślę, że mózg mam nader spokojny – lodowato spokojny. Ta stara czaszka trzeszczy niby szklenica, której zawartość w lód się przemieniła i rozsadza ją. Jednakże włosy moje nadal rosną, rosną w tej chwili, musi je więc ożywiać ciepło – ale nie, są one niby ta pospolita trawa, co rosnąć będzie gdziekolwiek bądź, w ziemnych rozpadlinach, wśród lodów grenlandzkich czy też na lawie Wezuwiusza. Jakże ten dziki wiatr je rozwiewa! Smagają mnie niby porwane strzępy pękniętych żagli chłoszczące miotany okręt, do którego przywarły. Nikczemny wiatr, co bez wątpienia dał przedtem po korytarzach i celach więzień, po izbach szpitalnych i przewietrzył je, a teraz przyleciał aż tutaj, niewinny jak runo owiec! Precz z nim! On skażony! Gdybym był wiatrem, nie dmuchałbym więcej na tak nikczemny, tak nędzny świat. Wpełznąłbym kędyś dc pieczar i w niej się ukrył. A jednak szlachetna i bohaterska te rzecz ów wiatr! Któż go kiedykolwiek pokonał? W każdej walce ostatni i najdotkliwszy zadaje cios. Rzuć się nań pędem, a tylkc wskroś przelecisz. Ha! Tchórzem jest wiatr, co nagich ludzi uderza, sam jednak nie stanie, by chociaż jeden cios przyjąć. Nawe Ahab jest czymś dzielniejszym, czymś szlachetniejszym od niego. Gdybyż ten wiatr miał chociaż ciało. Jednakże wszystkie rzeczy które najbardziej rozjątrzają i znieważają człowieka, są bezcielesne, acz bezcielesne jedynie jako przedmioty, nie jako moce. Tkwi w tym najszczególniejsza, najbardziej przewrotna, o, i najzłośliwsza różnica! A jednak powtarzam i klnę się w tej chwili, że jest coś szczytnego i wdzięcznego w wietrze. Te ciepłe passaty przynajmniej, co po czystych niebiosach dmą wprost przed siebie z mocną, upartą, krzepką łagodnością i nie zbaczają z drogi, jakkolwiek by zawracały i lawirowały niskie prądy morskie jakkolwiek by się wiły i zakreślały najpotężniejsze Missisipi lądu, niepewne, dokąd się w końcu udać. O, na odwieczne bieguny! Ten sam passat, który tak prosto popycha mój pocziwy statek, ten passat, czy też coś, co mu jest podobne, równie niezmiennie i równie silne, jak on, pcha narzód kil mojej duszy! Do dzieła! Hej, tam, na górze! Co widać?

– Nic, panie kapitanie!

– Nic! A już blisko południe! Dublon idzie po proście! Zo baczmy słońce. Tak, tak, musi to być. Musiałem go prześcignąć.

Jakże, więc jestem w przodzie? Tak, i to on mnie teraz ściga, a nie ja jego... Żle, powinienem był to przewidzieć. Głupiec! Te liny, te harpuny, które wlecze! Tak jest, musiałem go przegonić tej nocy. Zawracać! Zawracać! Schodzić na dół, wszyscy prócz samych tylko posterunków! Do brasów!

„Pequod”, sterując jak dotychczas, płynął w baksztag, więc też wzięwszy teraz przeciwny kurs, przebrasowany statek ruszył prosto pod wiatr, na nowo roztrzając białą śmietaną pian własnego kilwateru.

– Teraz żegluj przeciw wiatrowi, prosto w otwartą paszczkę – szepnął do siebie Starbuck, okręcając u relingu świeżo naciągnięty główny bras. – Niechaj Bóg ma nas w swej opiece, ale już czuję, jak mi kości w ciele namakają zwilżając ciało od środka. Wyrzuty sobie czynię, że nie słucham mego Boga, słuchając kapitana.

– Wciągnijcie mnie na górę! – zawołał Ahab i podszedł do konopnego kosza. – Niebawem powinniśmy się na niego natknąć.

– Tak jest, kapitanie! – i niezwłocznie Starbuck wykonał rozkaz Ahaba, który znów zawisł wysoko w powietrzu.

Minęła pełna godzina złotem przekuta na wiek. Sam Czas w najwyższym napięciu wstrzymywał teraz swe długie tchnienia. Wszelako wreszcie, jakież trzy rumby po nawietrznej, Ahab znowu rozpoznał fontannę i naychmiast z trzech szczytów masztów wzbiły się trzy okrzyki jak gdyby wyrzucone przez języki płomieni.

– Twarzą w twarz spotykam cię po raz trzeci, Moby Dicku! Mej tam, na pokładzie! Ostrzej zbrasować. Gnać prosto w oczy wiatru. Jest jeszcze za daleko, by spuszczać szalupy, Starbuck. Żagle łopoczą! Z młotem trzeba stać nad tym sternikiem! Tak, tak, chyżo płynie. Muszę już spuszczać łódź. Ale niechże raz jeszcze dobrze rozejrzę się z góry po morzu. Jest na to czas. Stary, stary to widok, a przecie tak jakoś młody. Nie zmienił się ani krzyny, odkąd go po raz pierwszy chłopcem ujrzałem z piaszczystych wzgórz Nantucket! Ten sam! Ten sam! Ten sam dla Noego i dla mnie. Lekki deszcz po zawietrznej... Jakież śliczne te zawietrzności! Muszą dokądś prowadzić – do czegoś innego niż pospolity ląd, czegoś, co bardziej palmowe od samych palm. Zawietrzna! Białe wieloryb idzie w tym kierunku. Patrzmy więc ku nawietrznej – lepsza to, acz uciążliwsza strona. Żegnaj mi, żegnaj, stary topie masztu! Co to? Zielony? Tak, drobne mchy w tych popaczonych szczelinach. Nie ma takich zielonych śladów wichrów i niepogody na czole Ahaba! W tym tkwi różnica między starością człowieka i materii. Tak, tak, mój stary maszcie, razem się obaj starzejemy, ale kadłuby nasze nienaruszone, nieprawdaż, okręcie? Tak, tylko nogi mi brak – to wszystko. Na Boga, to martwe drzewo wzięło pod każdym względem górę nad moim żywym ciałem. Nie mogę się z nim równać. Znałem okręty, co z martwego zbudowane drewna, przetrwały życie ludzi uczynionych z najżywotniejszego ciała żywotnych ojców. Jak on to powiedział? Że pójdzie przede mną jako mój pilot, a jednak zobaczą go jeszcze? Ale gdzie? Alboże będę miał oczy na dnie morza, jeżeli nawet zejdem po owych nieskończonych schodach? I przecie całą noc odpływałem od niego, gdziekolwiek zatonał. Tak jest. Jak wiele innych, wypowiedziałeś okrutną prawdę o sobie, parsie, lecz co się tyczy Ahaba – tu strzał

twój chybił celu. Żegnaj mi, maszcie. Miej baczne oko na wieloryba, kiedy odpłyne. Pogwarzymy jeszcze jutro, nie, dziś wieczorem, gdy biały wieloryb będzie leżał tam w dole, za ogon i łeb uwiązany.

Dał hasło i rozglądając się jeszcze na wsze strony, opuścił się z wolna na pokład wskroś błękitnego powietrza.

W odpowiedniej chwili spuszczone łodzie; wszelako gdy Ahab stojąc na rufie swej szalupy zawisł już ponad wodą, skinął na oficera, który dzierżył na pokładzie jedną z lin blokowych, i kazał mu się zatrzymać.

– Starbuck!

– Kapitanie?

– Po raz trzeci wyrusza na tę wyprawę okręt mojej duszy.

– Tak jest, kapitanie. Stanie się według twojej woli.

– Niektóre okręty wypływają z własnych portów, a jednak potem przepadają, Starbuck.

– Prawda, kapitanie. Najsmutniejsza to prawda.

– Niektórzy ludzie giną w czas przypływu, inni przy odpływie; jeszcze inni na pełnym morzu – ja zaś czuję się teraz jak fala, która jest jedynym grzywiastym grzebieniem, Starbuck. Stary jestem. Uściśnij mi dłoń.

Dłonie ich spotkały się, oczy przywarły do siebie; zespoliły je łyzy Starbucka.

– O, mój kapitanie, mój kapitanie!... Szlachetne serce!... Nie odchodź... Nie odchodź... Patrz: to płacze człek odważny... Jakaż więc musi być męka przekonywania!

– Spuszczaj szalupy! – krzyknął Ahab odtrącając rękę oficera. – Gotować się, załoga!

Nie minęła chwila i łódź opływała już statek tuż pod rufą.

– Rekiny! Rekiny! – zawołał jakiś głos z nisko tam umieszczonego okienka kajuty.

– O, panie mój, panie, wróć się!

Lecz Ahab nie słyszał, albowiem w tej chwili własny jego głos rozbrzmiewał donośnie i szalupa skoczyła naprzód.

Wszelako głos tamten prawdę powiadał; jakoż ledwie odbili od statku, a już roje rekinów, najwidoczniej wynurzające się z ciemnych odmętów pod kadłubem żaglowca, jęły złośliwie kąsać pióra wiosł, ilekroć zanurzano je w wodzie, i tak towarzyszyły łodzi swoim kłapaniem. Jest to rzecz, która nierzadko spotyka szalupy wielorybnicze na owych mrowiących się od nich morzach; czasami rekiny najwyraźniej podążają za łodziami w ten sam przewidujący sposób, co sępy, które na wschodzie unoszą się ponad sztandarami maszerujących regimentów. Jednakże te rekiny były pierwszymi, jakie zaobserwowano z „Pequoda”, odkąd dostrzeżono białego wieloryba; i czy to dlatego, że cała załoga szalupy Ahaba składała się z takich tygrysiozółtych barbarzyńców, których ciało było dla rekinów bardziej wonne – wiadomo bowiem, że czasem je to nęci – czy też z innych przyczyn, dość że bestie najwyraźniej płynęły za tą właśnie łodzią, nie niepokojąc innych.

– Serce z kowanej stali! – szepnął Starbuck wyglądając przez burtę i ściągając wzrokiem oddalającą się szalupę. – Zaliż możesz jeszcze śmiało uderzać na ten widok? Spuszczasz łódź między rozżarte rekiny i ruszasz w pościg goniony przez bestie o

paszczach rozwartych – i to trzeciego, krytycznego dnia! Albowiem jeśli trzy dni upływają na jednym nieprzerwanym, napiętym pościgu, można być pewnym, że pierwszy to ranek, drugi – południe, trzeci zaś – wieczór i koniec sprawy, jakkolwiek on będzie. O, Boże mój! Cóż to przeszywa mnie na wskroś i pozostawia tak śmiertelnie spokojnym, a jednak pełnym oczekiwania – jak gdybym zawisł na krawędzi dreszczu? Rzeczy przyszłe płyną przede mną niby puste zarysy i szkielety, jednakże przeszłość powleka jakąś mgłą. Mary, dziewczyno moja! Nikniesz gdzieś za mną w bladej poświacie... Synku! Zdaje mi się, że widzę tylko twoje oczy, które się stały przedziwnie błękitne... Najosobliwsze problemy życia zdają się rozjaśniać, wszelako przesłaniają je chmury. Czyżby się zbliżał kres mojej wędrówki? W nogach czuję słabość jako ten, co chodził przez dzień cały. Niech dotknę serca... Czy nadal bije? Porusz się, Starbuck! Odwróć to jeszcze... Ruszaj się, ruszaj, w głos przemów! Wy tam, na maszcie! Czy widzicie rączkę mojego chłopca na wzgórzu?... Oszalałem... Uwaga, tam, na górze! Miejcie najpilniejsze baczenie na łodzie. Zapamiętajcie sobie dobrze, gdzie wieloryb! Ho! Znowu! Odpędzić tego sokoła! Patrz! Dziobie... Drze porzecz! – wskazał czerwoną flagę powiewającą u gałki grotmasztu. – Ha! Ulatuje z nim! Gdzież teraz kapitan? Czy widzisz, Ahabie? Drzyj, drzyj!

Szalupy nie odpłynęły jeszcze zbyt daleko, kiedy sygnałem ze szczytów masztów – ręką w dół skierowaną – dano znać Ahabowi, że wieloryb znurkował; kapitan pragnął jednak znaleźć się blisko, gdy znowu wychynie, płynął więc dalej, nieco w bok od żaglowca; załoga szalupy, jak zakłeta, zachowywała najgłębsze milczenie, gdy fale uderzające od przodu kuły i kuły w dziób, co im opór stawiał.

– Wbijajcie, wbijajcie swe gwoździe, o, fale! Wbijajcie je aż po same główki! Uderzacie jedynie w coś, co nie ma wieka. Ja bowiem ni trumny, ni mar mieć nie mogę. Tylko konopie mogą mnie zabić! Ha, ha!

Nagle wody wokoło nich jęły się z wolna wzdymać szerokimi kręgami, potem szybko podniosły się, jakby spływając na boki z podwodnej góry lodowej, która szybko wynurza się na powierzchnię. Dosłyszano przytłumiony, głuchy szum niby podziemny pomruk i wszyscy wstrzymali dech w piersiach, gdy omotany wleczonymi linami, harpunami i lancami, jakiś olbrzymi kształt wytrysnął podłużnie, lecz ukosem z morza. Spowity cienkim, opadającym woalem oparów, zawisł na chwilę w tęczowym powietrzu, po czym zwałił się w toń schlustany wodą. Bryzgi buchnęły na trzydzieści stóp w górę, zaśniły na chwilę jak pęki fontann, załamały się i opadły deszczem płatków, a spieniony wir na powierzchni zabielił się jak świeże mleko wokół marmurowego cielska wieloryba.

– Wiosłować co sił! – zakrzyknął Ahab wioślarzom i łodzie rzuciły się do ataku; jednakże Moby Dick, doprowadzony do szału przez nowe, wczorajsze żelaza, które się weń wżerały, był jakby opętany przez wszystkich upadłych aniołów. Ujrzano ogromne pokłady zbitych ścięgien okrywających pod skórą jego ogromne, białe czoło i przeplatających się wzajem; łbem naprzód runął między szalupy grzmocąc ogonem i raz jeszcze rozpędził je niby cepem; powyrzucił harpuny i lance z łodzi obu oficerów i wgniótł z jednej strony nadburcia dziobów, wszelako łódź Ahaba pozostała niemal nietknięta.

W chwili gdy Daggoo i Queequeg zatykali dziury w nadwerężonych deskach, wieloryb zaś wypłynął spomiędzy szalup, zakręcił i mijając je obrócił się i pokazał cały bok – w powietrze wzbił się przejmujący krzyk. Ujrano przytroczone do grzbietu potwora, uwikłane w niezliczone sploty lin, którymi ubiegłej nocy cały się był okręcił, poszarpane zwłoki Fedallaha; jego czarny ubiór w strzępach, a szeroko rozwarte oczy patrzyły wprost na Ahaba.

Harpun wypadł z ręki kapitana.

– Omamilem się, omamilem! – Ahab długo, żałośnie wciągał w piersi powietrze. – Tak, parsie, widzę cię znowu. Tak, odchodzisz przede mną. Więc to, to są owe mary, któreś przyobiecał... Ale trzymam cię za słowo, aż do ostatniej litery. Gdzież drugie mary? Nuże, oficerowie, do statku! Te łodzie są teraz bezużyteczne. Naprawcie je, jeśli zdążycie, i wracajcie do mnie. Jeśli zaś nie, Ahab potrafi sam umrzeć. Siadać, chłopcy! Pierwszy, kto by choć zdradził chęć wyskoczenia z tej łodzi, na której stoje, przebity zostanie harpunem. Nie jesteście innymi ludźmi, a tylko moimi ramionami i nogami. Słuchajcie więc moich rozkazów. Gdzie wieloryb? Znurkował znowu?

Jednakże kapitan wypatrywał za blisko; Moby Dick bowiem, jak gdyby pragnął umknąć z niesionym na grzbiecie ciałem, jak gdyby to miejsce ostatniego spotkania było zaledwie etapem jego podróży ku zawietrznej, znów równo płynął przed siebie i niemal już minął statek, który do tej pory żegłował mu na spotkanie, chociaż na razie zatrzymał się był w miejscu. Wieloryb płynął snadź z najwyższą szybkością i w owej chwili pragnął tylko podążać swym prostym szlakiem po morzu.

– O, Ahabie! – zawołał Starbuck. – Nie jest jeszcze za późno, nawet teraz, trzeciego dnia, poniechać go. Patrz! Moby Dick ciebie nie szuka. To ty, ty obłądnie szukasz jego!

Wciągnąwszy żagiel na zrywającej się bryzie, samotna szalupa szybko pomknęła ku zawietrznej popychana zarówno przez wiosła, jak i przez płótno. Gdy wreszcie Ahab przepływał obok „Pe-quoda” tak blisko, że wyraźnie mógł rozeznaczyć twarz wychylonego przez reling Starbucka, krzyknął do oficera, by zrobił zwrot statkiem i podążył za nim nie nazbyt szybko, w roztropnej odległości. Rzuciwszy wzrokiem w górę ujrzał Taztega, Queequega i Daggoo, którzy żwawo wdrapywali się na szczyty trzech masztów, podczas gdy wioślarze kołysali się w obu uszkodzonych szalupach, podciągniętych w górę u boku statku, pilnie pracując przy ich naprawie. Gdy spieszenie przepływał mimo, dojrzał przelotnie, poprzez otwory w nadburciu, Stubba i Fiaska, jak się krzatali po pokładzie wśród pęków nowych harpunów i lanc. Kiedy zobaczył to wszystko, kiedy usłyszał stukot młotków w potrzaskanych łodziach, zdało mu się, że inne zgoła młoty wbijają gwoździe w jego serce. Zebrał się jednak w sobie. Zauważywszy, że wskaźnik wiatru, czyli owa flaga, znikła ze szczytu grotmasztu, Ahab zakrzyknął do Taztega, który właśnie się tam wydostał, by zszedł na powrót, wziął inną flagę, młotek oraz gwoździe i przybił ją do masztu.

Czy to dlatego, że był znużony trzydniowym, ustawicznym pościgiem i oporem, jaki stawiała mu pogmatwana sieć lin, którą niósł na sobie, czy też przyczyną był tu jakowyś ukryty podstęp i złośliwość – jakkolwiek było, szybkość białego wieloryba poczęła się teraz zmniejszać, czego najwyraźniej dowodził fakt, że szalupa znowu się doń zbliżała

nader szybko, acz tym razem wieloryb nie wyprzedził jej był tak znacznie jak poprzednio. A kiedy Ahab sunął po falach, bezlitosne reki nadal mu towarzyszyły i tak uparcie trzymały się szalupy, tak ustawicznie kąsały pracujące z wysiłkiem wiosła, że pióra tych ostatnich postrzępiły się, połupały i nieledwie' za każdym zanurzeniem pozostawiały na wodzie drobne szczyпки.

– Nie zwracać na nie uwagi! Ich zęby to nowe dulki dla waszych wiosel. Naprzód! Szczęka rekina daje lepsze oparcie niż ustępliwa woda!

– Ale za każdym kąśnięciem, kapitanie, cienkich piór coraz to ubywa!

– Jeszcze wystarczają! Wiosłować dalej! Któż jednak wie – szepnął – czy te reki płyną, by sobie ucztę wyprawic z wieloryba czy też z Ahaba? Wiosłować dalej! Tak, bacność teraz! Zbliżamy się do niego. Rumpel, brać rumpel! Przechodzę na przód! – Po tych słowach dwaj wioslarze pomogli mu przedostać się na dziób rozpędzonej szalupy.

Na koniec łódź skrzyła i poczęła podpływać do boku białego wieloryba; on jednak zdawał się dziwnie niepomny jej bliskości – jak to czasami bywa z wielorybami – i Ahab znalazł się nieledwie w obrębie tumanu spiętrzonej mgły, co wyrzucana z tryskawki wieloryba, kłębiła się wokół ogromnego Monadnocku jego garbu; dotarłszy tak blisko, kapitan odchylił ciało do tyłu, rozkrzyżował wysoko uniesione ramiona, aby zachować równowagę, i cisnął w znieawidzonego wieloryba swoje zaciekle żelazo i jeszcze zacieklejsze przekleństwo. Kiedy stalowy grot i kłatwa wbiły się aż po nasadę, jak gdyby pochłonęło je trzesawisko, Moby Dick szarpnął się w bok, spazmatycznie uderzył z bliska ciałem o dziób szalupy i nie wybiwszy w niej nawet dziury, tak raptownie okręcił łodzią, że gdyby Ahab nie trzymał się wystającej części nadburcia, znowu wpadłby był w morze. Mimo to trzech wioslarzy, którzy nie przewidzieli dokładnie momentu rzutu i dlatego nie byli przygotowani na jego skutki, wyleciało z łodzi; upadli jednak tak blisko, że natychmiast dwóch uczepiło się znowu burty i podciągawszy do jej wysokości na grzywie fali, wwalilo się na powrót do środka; trzeci nie dał już rady i pozostał za rufą, wszelako utrzymywał się na wodzie i płynął.

Niemal jednocześnie potężnym odruchem woli biały wieloryb z błyskawiczną szybkością pomknął poprzez rozchlustane morze. I oto kiedy Ahab krzyknął sternikowi, by wybrał kilka zwojów liny i przytrzymał ją, załozde zaś kazał obrócić się na miejscach i przyciągnąć szalupę do wieloryba, zdradziecka lina, ledwie poczuła owo podwójne napięcie, trzasła w powietrzu!

– Cóż to pękło we mnie? Mięśnie mi się zerwały? Znowu są całe! Do wiosel! Walić na niego!

Dosłyszawszy potężny szum prującej fale szalupy, wieloryb zatoczył koło, by uderzyć na napastników swym tępyim czołem; w trakcie tej ewolucji dojrzał jednak zbliżający się czarny kadłub statku; najwidoczniej uznał go za źródło wszelkich doznanych prześladowań, być może też pomyślał, że ma tu do czynienia z większym i szlachetniejszym wrogiem, gdyż niespodzianie rzucił się w stronę dziobu nadpływającego zagłowca kłapiąc paszczką wśród wściekłych bryzgów pian.

Ahab zachwiał się i ręką uderzył w czoło. – Slepnię! O, ręce! Wyciągnijcie się przede mną, abym mógł dalej iść po omacku! Czy to noc?

– Wieloryb! Statek! – zakrzyknęli skuleni marynarze.

– Wiosłować! Wiosłować! Ugnij się w głąb, stań się pochylnią, o, morze, by Ahab mógł ten ostatni, ostatni raz ześliznąć się ku swojemu celowi, zanim będzie na wieki za późno! Widzę: statek! Statek! Gnajcie, ludzie! Czyż nie uratujecie mojego statku?

Gdy jednak wiosłarze ze wszystkich sił pchali szalupę wskroś łomocących w nią fal, dwie deski u dziobu nadwerżone uprzednio przez wieloryba pękły, i niemal w jednym momencie bezsilna chwilowo łódź pogrążyła się prawie po wręby w morzu; schlustana załoga brodziła w jej wnętrzu, usiłując zatkać otwór i usunąć wlewającą się wodę.

Tymczasem u szczytu masztu żaglowca młotek Tasztega zawisł na moment w jego dłoni, kiedy Indianin spojrzał przed siebie, a czerwona flaga spowiła go niby szal, po czym odwinęła się prosto w przestrzeń podobnie jak jego własne, wyrrywające się z piersi serce; w tej samej chwili co on, Starbuck i Stubb, którzy w dole stali na bukszprycie, ujrzeli rwącego w ich stronę potwora.

– Wieloryb! Wieloryb! Ster na burtę, na burtę! O, wszystkie słodkie, napowietrzne moce, zasłońcie mnie teraz! Jeśli już Starbuck ma zginąć, niechże nie umiera w omdleniu jak niewiasta! Ster na burtę, mówię, wy, głupcy! Paszcza! Paszcza! Czyż to już koniec wszystkich mych rozdzierających modlitw, wszystkim wierności mojego życia? O, Ahabie, Ahabie, spójrz – twoje dzieło! Spokojnie, sterniku, spokojnie! Nie, nie! Znow ster na burtę! Obraca się nam na spotkanie! Och, jego czoło nienasycone pędzi na tego, komu obowiązek odejść wzbrania! Boże mój! Bądź teraz przy mnie!

– Bądź nie przy mnie, ale pode mną, kimkolwiek jesteś ty, co teraz masz pomóc Stubbowi, bo i Stubb tkwi tutaj. Drwię z ciebie, szydę ci wielorybie! Któż kiedykolwiek dopomógł Stubbowi, któż go utrzymał w czujności, jeśli nie jego własne, niezmruczone oko? A teraz biedny Stubb położy się na spoczynek na materacu, co nazbyt będzie miękki. Bogdajby był chociaż wypchany chrustem! Drwię z ciebie, szydę ci wielorybie! Patrz, o słońce, księżycu, patrzcie, gwiazdy! Będziecie mordercami najlepszego chłopca, jaki kiedykolwiek wyzionął ducha! A mimo to jeszcze bym się z tobą tracił szklanką, gdybyś ją tylko potrafił utrzymać! Och, och, ty szydę ci potworze, wkrótce dość będzie chleptania! Czemuż nie uciekasz, Ahabie? Ja zrzucam buty i kurtę. Niechaj Stubb zginie w portkach! Jednak zbutwiała i przesolona to będzie śmierć. Ach, wiśnie, wiśnie, wisienki! O, Fiask, cóż bym dał za jedną czerwoną wiśnię, zanim umrzemy!

– Wiśnie? Ba, gdybyśmy tam mogli być, gdzie one rosną! O, Stubb, ufam, że moja biedna matka podjęła już do tej pory część mojej płacy, bo jeśli nie, dostanie ledwie kilka miedziaków, jako że to już koniec wyprawy.

Na dziobie statku stłoczyli się beczynnie nieomal wszyscy marynarze; nieświadomie dzierżyli jeszcze w dłoniach młotki, kawałki desek, lance i harpuny, tak jak przypadli tu od najróżniejszych zajęć; wszystkie oczy, niby zakłute, utkwione były w wieloryba, który dziwnie potrząsając w obie strony swym łbem niosącym im spełnienie przeznaczeń, parł w pędzie przed sobą szeroki, rozlany, półkolisty wał pian. Cały był odplątą, zacieklą zemstą, odwieczną złością i oto na przekór wszystkiemu, co mógłby uczynić człowiek śmiertelny, zwarta, biała skarpa jego czoła grzmotnęła w dziób żaglowca od sterbortu, aż zatrzęśli się ludzie i belki. Niektórzy padli na twarz. Niczym

obluzowane gałki masztów, głowy harpunników tkwiących na górze zachybotwały się na ich byczych karkach. Usłyszeli, jak poprzez wyłom wlewa się woda, niby górski potok wpadający do rzeki.

– Statek! To mary!... To drugie mary! – krzyknął z łodzi Ahab. – Ich drzewo mogło być tylko z Ameryki!

Wieloryb znurkował popod osiadający żaglowiec i przepłynął rozedrgany wzdłuż kilu, wszelako zawrócił pod wodą i nagle znowu wychynął na powierzchnię, daleko po drugiej stronie, ale o kilka jardów od szalupy Ahaba, i tam przez chwilę leżał w bezruchu.

– Odwracam od słońca me ciało. Hej, Tasztego, niechże twój młot usłyszę! O, wy, trzy niepokonane wieżycy moje, o, ty, nienaruszony kilu, kadłubie tylko przez samych rozgromiony bogów. Krzepki pokładzie, sterze wyniosły, dziobie, co się ku biegunowi zwróciłeś – śmiercią wspaniały okręcie! Musisz więc szczeznąć, i to beze mnie? Byłebym zatem pozbawiony ostatniej lubej dumy najnędnieszego z kapitanów-rozbitków? O, samotna śmierci po samotnym żywocie! Odczuwam teraz mój ból najwyższy. Ho! Od najodleglejszych krańców spływajcie teraz, zuchwałe odmęty całego mego minionego życia i piętrzcie się na szczycie skłębionej fali mej śmierci! Ku tobie płynę, wszystko niszczący, lecz nie zwycięski wielorybie. Do ostatka zmagam się z tobą, z samego serca piekieł godzę w ciebie. W imię nienawiści plwam na ciebie ostatnim mym tchnieniem! Zrzuć w jedną topiel wszystkie trumny i wszystkie mary, a skoro mnie przypaść nie mogą w udziale, rozwłócz mnie na strzępy, nadal cię ścigającego, choć uwiązane do ciebie, przeklęty! Oto masz! Masz tę włócznię!

Harpun został rzucony; ugodzony wieloryb pomknął przed siebie. Lina z szybkością iskry poczęła lecieć przez wyżłobienie; zaczepiła. Ahab pochylił się, by ją uwolnić; uczynił to, lecz przelatujący zwój okręcił mu się wokoło szyi i bezgłośnie, jak wówczas, gdy niemi tureccy niewolnicy duszą ofiarę cięciwą łuku, kapitan wyszarpięty został z łodzi, nim załoga spostrzegła, że zniknął. W następnej chwili ciężka pętla na końcu liny wyleciała z pustego bębna, obaliła jednego z wiosłarzy i smagnąwszy morze, zniknęła w topieli.

Przez chwilę zmartwiała załoga szalupy stała jak wryta. Wreszcie marynarze obrócili głowy. – Statek! Wielki Boże, gdzie statek? – Rychło wskroś przyćmionego, zamraczającego тумanu dojrzeli podłużny, niknący majak żaglowca niby w mgławicy fatamorgany; z wody sterczały jedynie najwyższe stengi masztów, a harpunnicy pogańscy, których do niegdyś wyniosłych posterunków przykuł jakowyś obłęd, wierność czy los, nadal trwali na swoich tonących stanowiskach. Koncentryczne kręgi porwały wreszcie samotną szalupę, całą jej załogę, każde pływające wiosło, każde drzewce lancy, i zakręciwszy w jednym wirze wszystkim, co żywe i martwe, pochłonęły i skryły przed wzrokiem najmniejszy szczątek „Pequoda”.

Lecz oto w chwili kiedy ostatnie bełty spłynęły w siebie nawzajem nad pogrążoną w toni głową Indianina, który stał na grotmaszcie – w chwili gdy widać było jeszcze zaledwie kilka cali pionowego drzewca wraz z rozwiniętą, długą flagą, która ironii pełnym zbiegiem okoliczności łopotała ponad niszczącymi bałwanami, nieledwie ich dotykając – w tejże chwili do tyłu odchylone czerwonoskóre ramię dzierżące młot

podniosło się w powietrze i jęło przybijać flagę coraz to mocniej i mocniej do zapadającego się drzewca. Sokół podniebny, który wzgardliwie podążał w dół za gałką masztu od swej naturalnej siedziby hen, pośród gwiazd, i dziobiąc flagę niepokoił Tasztega, teraz przypadkiem wsunął szerokie, roztrzepotane skrzydło pomiędzy młot i drzewo; jednocześnie zaś zalany wodą dziki odczuł jego niebiańskie drżenie i w śmiertelnym spazmie przytrzymał młot odrętwiały. Tak więc ów ptak podniebny z archanielskim krzykiem, ze sterczącym w górę majestatycznym dziobem, wszystkich spowity i uwięziony we fladze Ahaba, poszedł pod wodę wraz z jego statkiem, który, wzorem szatana, nie chciał się zapaść w czeluść piekielną, dopóki nie pociągnął za sobą żywej części niebios i nie uczynił z niej sobie przyłbicy.

Teraz drobne ptactwo jęło z wrzaskiem krążyć ponad ziejącą jeszcze otchłanią; posępna biała kipiela uderzała o jej strome ściany, po czym wszystko się zapadło i przeogromny całun morza roztoczył znowu swe fale, tak jak je toczył przed pięcioma tysiącami lat.

## EPILOG

*I tyłkom ja sam uszedł, abym ci oznajmił*

Dramat skończony. Po cóż więc tutaj ktoś jeszcze występuje? Albowiem był taki, co pozostał przy życiu po owej katastrofie.

Tak się zdarzyło, że po zniknięciu parsa ja byłem tym, który z wyroku Przeznaczenia zajął miejsce dziobowego wioślarza na łodzi Ahaba, kiedy ów wioślarz przejął wakującą funkcję; ja byłem tym, który ostatniego dnia, kiedy trzech ludzie wyrzuceni zostali z rozchwianej łodzi, wypadł za rufę. Tak więc unosiłem się na falach, na skraju sceny, jaka nastąpiła, i widziałem ją doskonale; kiedy zaś dosięgnął mnie zanikający już, ssący lej tonącego okrętu, pociągnął mnie z wolna ku sobie wir, który się właśnie zamykał. Gdy jednak doń dotarłem, opadł już był i przemienił się w spienioną sadzawkę. Okręcany więc wkoło i wkoło, krążyłem niby nowy Iksjon coraz to bliżej czarnej, guzik przypominającej banieczki tkwiącej pośrodku z wolna wirującego kręgu. Gdym wreszcie znalazł się w owym centralnym punkcie, czarna banieczka wyprysnęła w górę i oto uwolniona dzięki przemyślnej sprężynie oraz swej wielkiej lekkości, wynurzywszy się z wielką siłą, wystrzeliła podłużnie z morza trumna-boja ratunkowa, spadła na wodę i legła na niej u mego boku. Trzymając się owej trumny, przez niemal cały dzień i noc unosiłem się na łagodnych, żalobnych falach. Rekiny przepływały mimo, nie czyniąc mi żadnej krzywdy, jak gdyby miały kłódki na paszczach; dzikie sokoły morskie przelatywały z zamkniętymi dziobami. Drugiego dnia ujrzałem okręt, który począł przybliżać się coraz bardziej i bardziej, aż na koniec mnie wyłowił. Była to błędnie krążąca „Rachel”, która, zawróciwszy w poszukiwaniu swych zagubionych dzieci, znalazła jeszcze jednego sierotę.

KONIEC